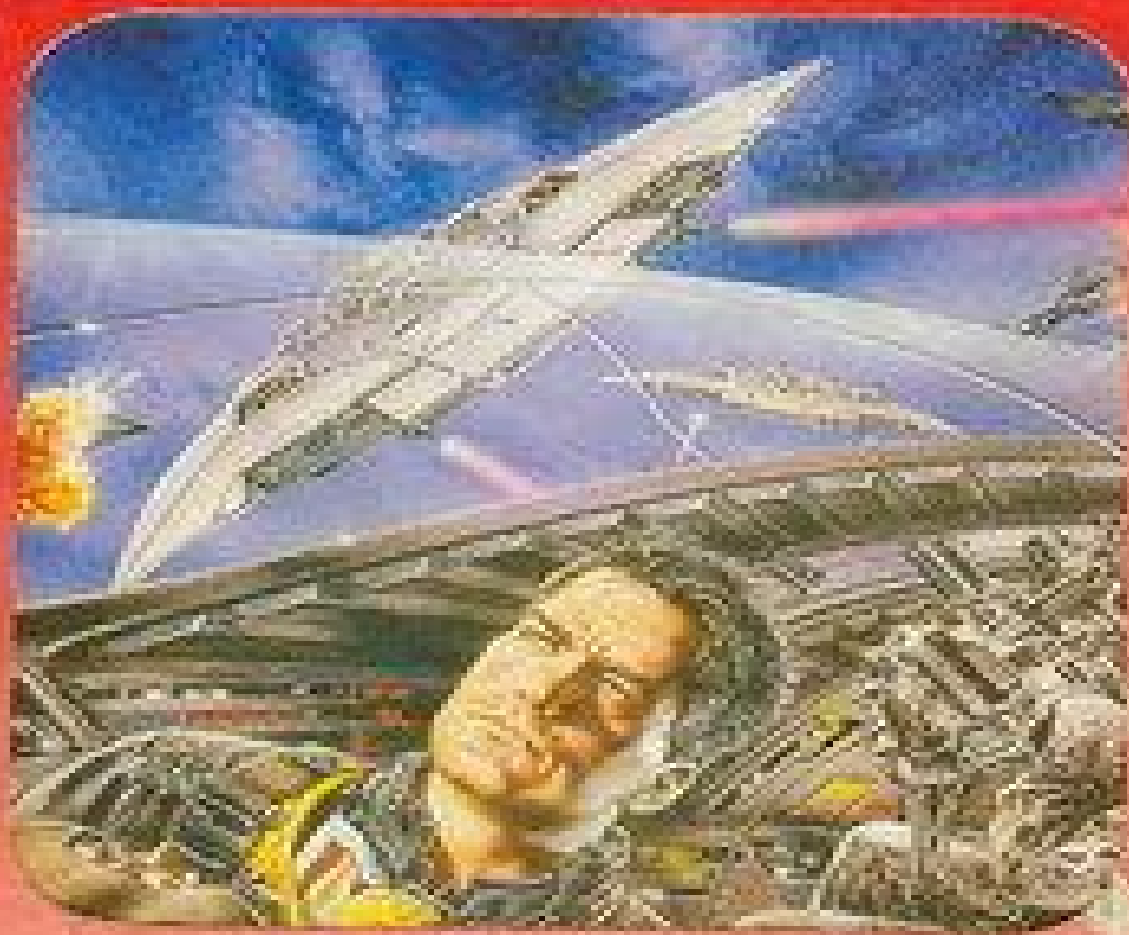


MISTRZ LITERATURY SCIENCE FICTION

JAMES P. HOGAN

DAJAZD
Z PRZESZŁOŚCI

PIERWSZE
PEŁNE WYDANIE



K W A D R A T

JAMES P. HOGAN

**NAJAZD
Z
PRZESZŁOŚCI**

PROLOG

– Panie i panowie, oto nasz dzisiejszy gość honorowy: Henry B. Congreve – zakończył przemówienie mistrz ceremonii i usunął się na bok, robiąc przejście na podium krępemu, białowłosemu mężczyźnie w smokingu i czarnej muszce. Trzystu gości, zebranych w zespole hotelowym Hiltona na zachodnich przedmieściach Waszyngtonu zaczęło entuzjastycznie klaskać. Po chwili światła na sali przygasły, widownia pociemniała. Zamiast tłumy zebranych widać było tylko gęstwinę białych gorsów, połyskujących szyj i palców oraz twarzy jak blade maski. Dwa punktowe reflektory wyłowiły z mroku mówcę, czekającego, aż ucichnie owacja. Mistrz ceremonii po ciemku powrócił na swój fotel.

Pomimo sześćdziesięciu ośmiu lat szarpaniny z życiem, Congreve stał wyprostowany. Był muskularny jak buldog, ramiona miał kwadratowe, głowę krótko ostrzyżoną. W surowej, jakby wyciosanej toporem twarzy o twardych i zdecydowanych rysach, gdy rozglądał się po sali, oczy błyszczały dobrodusznie. Wielu zebranych dziwiło się, że człowiek tak żywotny i nadal tak pełen wewnętrznej siły ma wygłosić przemówienie z okazji swego odejścia w stan spoczynku.

Niewielu z obecnych: młodszych wiekiem astronautów, naukowców, inżynierów czy urzędników, przypominało sobie, by na czele Północnoamerykańskiej Organizacji Eksploatacji Kosmosu stał inny prezes, niż Congreve. Dla wielu zaś zmiana na tym stanowisku oznaczała coś nieodwracalnego.

– Dziękuję ci, Matt! – zagrzmiał z rozstawionych wokoło głośników szorstki baryton Congreve'a. Prezes rozejrzał się, jakby chciał zapamiętać wszystkich obecnych. – Ja... ach, ledwie tu trafiłem. – Przerwał. Ostatnie szepty na sali umilkły. – W holu jest napis, że pokaz skamielin odbywa się wyżej, w pokoju dwanaście – zero – trzy. – Tego tygodnia u Hiltona miało swe doroczne zebranie Amerykańskie Towarzystwo Archeologiczne.

Congreve wzruszył ramionami. – Pomyślałem sobie, że właśnie tam powinienem się udać. Na szczęście w przejściu wpadłem na Matta, który skierował mnie we właściwą stronę.

Na sali rozległy się śmiechy, przerywane pyry niektórych stolikach okrzykami protestu. Congreve odczekał, aż znów zapanuje cisza, po czym przemówił już mniej żartobliwym tonem.

– Zacząć muszę od podziękowania wszystkim tu obecnym, a także tym pracownikom POEK, którzy nie mogli przybyć na zaproszenie. Oczywiście chcę także powiedzieć, że bardzo sobie cenię to spotkanie, a jeszcze bardziej cenię je jako wyraz waszych uczuć. Dziękuję wam... Wam wszystkim.

Zrobił gest w stronę osiemnastocalowej wysokości modelu ze srebra i brązu, jeszcze nie wypróbowanej i bezimiennej sondy kosmicznej o symbolu SP3, stojącej na podstawie z tekowego drewna naprzeciwko jego miejsca na stole prezydialnym. I jeszcze poważniej kontynuował:

– Nie chcę opowiadać anegdot ani snuć wspomnień osobistych. Istnieje zwyczaj, że przy okazjach takich jak dzisiejsza mówi się podobne błaheści. Ale nie chcę, by moje ostatnie przemówienie jako prezesa POEK było błahe. Nasze czasy nie pozwalają na taki luksus. Zamiast tego chcę mówić o sprawach dotyczących całej naszej planety, sprawach, które wpłyną na życie każdej na Ziemi istoty, a nawet na pokolenia jeszcze nie narodzone – zakładając, że nastąpią po nas jakiegokolwiek przyszłe pokolenia.

Przerwał na chwilę. – Chcę mówić o przetrwaniu... Przetrwaniu rodzaju ludzkiego.

Chociaż w sali było cicho, zdawało się, że po tych słowach cisza stała się jeszcze głębsza. Tu i ówdzie zebrani wymieniali zaciekawione spojrzenia. Było już jasne, że przemówienie Congreve'a nie jest zwyczajową mową, wygłaszaną z okazji odejścia na emeryturę.

Kontynuował. – Już raz byliśmy na krawędzi trzeciej wojny światowej, balansując ryzykownie na jej skraju. Dziś, w roku 2015, upłynęły dwadzieścia trzy lata od chwili starcia się radzieckich i amerykańskich sił zbrojnych w Beludżystanie, z użyciem taktycznych broni jądrowych. I chociaż szybki rozwój gospodarki, opartej na wykorzystywaniu reaktorów wodorowych, zapowiada przynajmniej rozwiązanie problemów energetycznych, które doprowadziły do owego starcia, istnieją nadal jak istniały: zawiści, nieufności i podejrzania, które doprowadziły nas na skraj wojny i były plagą ludzkości przez całą jej historię.

Dziś nasz przemysł woła o surowce mineralne, tak mu konieczne do istnienia, jak niegdyś ropa naftowa. Za pięćdziesiąt lat nasza umiejętność wykorzystywania kontrolowanej syntezy jądrowej wyeliminuje zapewne i tę przyczynę niedoborów. Tymczasem jednak krótkowzroczne racje polityczne znów tworzą klimat takiego napięcia i rywalizacji, jakie w końcu ubiegłego wieku wywołał problem ropy naftowej. Oczywiście w tym kontekście aktualne linie postępowania mocarstw kształtowane są przez rolę, jaką odgrywa Afryka Południowa, prawdopodobnym zaś punktem zapłonu kolejnego starcia między Wschodem i Zachodem okaże się region granicy irańsko – pakistańskiej, którą Związek Radziecki, jak oceniają nasi stratedzy, zakwestionuje, by uzyskać dostęp do Oceanu Spokojnego jako etap na drodze do poparcia tak zwanej wojny wyzwoleniczej czarnych Afrykanów przeciw Południowi.

Congreve przerwał, obiegnął salę spojrzeniem i podniósł ręce w geście zniechęcenia. – Wydaje się, że jako jednostki możemy być tylko bezradnymi obserwatorami, patrzącymi na wydarzenia, które pochwyliły i niosą nas wszystkich. Jeszcze bardziej komplikuje sytuację pojawienie się i szybkie umocnienie gospodarcze i militarne Chińsko – Japońskiej Strefy Wspólnego Rozkwitu. Jej ewentualne przymierze z nami i z Europejczykami to dla Moskwy groźba, iż stanie w obliczu niepokonalnego bloku mocarstw. Niemało kremlinologów jest zdania, że najmniej ryzykowne dla niej byłoby podjęcie rozgrywki z Zachodem już teraz, nim sojusz taki się zrealizuje. Innymi słowy nie jest żadną przesadą twierdzenie, że przyszłość rodzaju ludzkiego nigdy jeszcze nie była bardziej zagrożona, niż obecnie.

Congreve odepchnął się rękami od mównicy i wyprostował. Gdy znów przemówił, głos jego zabrzmiał nieco mniej uroczyście.

– Co zaś do spraw, które nas wszystkich tu zgromadzonych dotyczą na co dzień, to rosnące w ciągu dwóch minionych dziesięcioleci tempo rozwoju programu kosmicznego dało nam wiele wzruszeń. Niektóre osiągnięcia budziły nadzieję, mogąc równoważyć mniej przyjemne nowiny, nadchodzące z innych stron. Zbudowaliśmy stałe bazy na Księżycu i Marsie, buduje się osiedla ludzkie w przestrzeni kosmicznej, do księżyców Jowisza dotarła wyprawa załogowa, prowadzi się za pomocą robotów badania na najdalszych rubieżach systemu słonecznego i poza nim. Ale tu z westchnieniem wyciągnął ramiona – były to działania na skalę narodową, nie zaś międzynarodową. Mimo nadziei i mimo słów wypowiedzianych w ubiegłych latach, w każdym wypadku odkrycia były natychmiast wykorzystywane militarnie. Prowadzi to nas do nieuchronnego wniosku, że wojna, jeśli wybuchnie, szybko rozprzestrzeni się poza Ziemię i zagrozi naszemu gatunkowi w każdym miejscu. Musimy mieć odwagę spojrzeć prawdzie w oczy: taki jest obraz niebezpieczeństwa grożącego nam w najbliższych latach.

Odwrócił się na chwilę, spojrzął na błyszczący obok na stole model SP3, a potem zrobił gest w jego stronę. – Za pięć lat ta automatyczna sonda opuści system słoneczny i wyruszy do najbliższych gwiazd w poszukiwaniu planet nadających się do zamieszkania... daleko od Ziemi i z dala od wszystkich ziemskich problemów, niesnasek i zagrożeń. Na koniec, jeśli wszystko dobrze pójdzie, dotrze w miejsce bronione przekraczającą ludzką wyobraźnię odległością od tego, co spowodowało,

że walka stała się nieodłączną i nieuniknioną częścią smutnej historii istnienia rodzaju człowieczego na naszej planecie. – Congreve wpatrzył się w model sondy kosmicznej, jakby jego myśli chciały ulecieć wraz z nią daleko i jeszcze dalej. – Będzie to nowy dom – dodał w zamyśleniu. – Nowy, świeży, pełen życia świat. Nie napiętnowany walką człowieka o wydzwignięcie się spośród zwierząt. Miejsce, które może być dla naszej rasy jedyną szansą zachowania swej odrośli tam, gdzie będzie mogła przeżyć, a jeśli trzeba, zacząć od nowa. Lecz tym razem w pełni świadoma nauk, wyciągniętych z lekcji przeszłości.

Przez salę przeleciał szmer zmieszanych szeptów. Congreve potrząsnął głową na znak, że gotów jest rozproszyć wszelkie wątpliwości. Podniesieniem ręki poprosił o uwagę. Szepty z wolna ucichły.

– Nie, nie chcę przez to powiedzieć, że SP3 można przebudować ze statku – robota na załogowy. Projektu w jego obecnym, zaawansowanym stadium nie da się już zmienić. Zbyt wiele meczy trzeba by przemyśleć na nowo, a realizacja tego rodzaju zadania wymagałaby dziesięcioleci. Przy tym nigdzie nie planuje się konstrukcji tak zaawansowanej jak SP3, a cóż dopiero mówić o jej zbudowaniu. Lecz sposobność jest wyjątkowa i za żadną cenę nie możemy pozwolić, by się nam wymknęła. Na opóźnienie, choćby i konieczne dla wykorzystania okazji, też pozwolić sobie nie możemy. Jakież więc jest wyjście z sytuacji?

Congreve rozejrzał się po sali w oczekiwaniu na odpowiedź. Nie było żadnej.

– Badamy ten problem od pewnego czasu – dodał – i sądzimy, że rozwiązanie istnieje. Nie jest możliwe wysłanie na statek grupy ludzi dorosłych, ani jako czynnej załogi, ani w stanie hibernacji. Budowa sondy jest zbyt zaawansowana, by można zmienić wyjściowe parametry jej kontrakcji. Ale po cóż w ogóle wysyłać dorosłych? – Congreve wyciągnął błagalnie rękę. – Przecież naszym celem jest tylko danie gatunkowi ludzkiemu szansy przedłużenia istnienia tam, gdzie będzie wolny od nieszczęść Zagrożających mu tutaj. Czyli – gdy osiągnie kres podróży. Ani w drodze, ani w okresie badań wstępnych ludzie nie będą potrzebni. W tym zakresie wszystko i w sposób doskonały mogą wykonać maszyny. Dopiero gdy ta faza zostanie pomyślnie ukończona. obecność człowieka stanie się konieczna. Odrzucając konwencjonalne koncepcje podróży międzygwiazdnych i podchodząc w ten sposób do problemu zupełnie na nowo, możemy wyminąć wszystkie przeszkody w wysyłaniu ludzi w przestrzeń międzygwiazdną. Niech statek stworzy ludzi, gdy przybędzie na miejsce!

Przerwał, oczekując reakcji. Ale najcichszy nawet szept nie zakłócił milczenia. Congreve znów zabrał głos – z coraz większym naciskiem, z przekonaniem, z żarem.

– Postępy inżynierii genetycznej i embriologii pozwalają na elektroniczne zapisanie w komputerach statku ludzkiej informacji genetycznej. Kosztem niewielkiej masy i przestrzeni wyposażenie statku można uzupełnić o wszystko, co niezbędne dla stworzenia i wyhodowania pierwszej generacji, liczącej nawet kilkaset w pełni ukształtowanych ludzkich zarodków – gdy tylko wstępne badania atmosfery i powierzchni wykażą, że planeta o właściwych warunkach została znaleziona. Następnie embriony można oddać pod opiekę, a później na wychowanie wyspecjalizowanym robotom, które przekażą im tyle z naszej kultury i historii, ile pomieści pamięć komputerów. Wszystkiego, co konieczne dla zbudowania i utrzymania rozwiniętego społeczeństwa, dostarczy sama planeta. W tym celu, podczas gdy na orbicie pierwsze pokolenie będzie jeszcze w okresie niemowlęctwa, inne maszyny wybudują na powierzchni zakłady przetwórstwa metali i innych surowców, fabryki, ферmy, systemy transportu i ośrodki mieszkalne. Można oczekiwać, że w ciągu paru pokoleń powstanie kwitnąca kolonia i niezależnie od tego, co stanie się tutaj, rodzaj ludzki ocaleje. Takie podejście do sprawy ma jeszcze i tę zaletę, że jeśli zaangażujemy się weń natychmiast, konieczne zmiany zmieszczą się w harmonogramie budowy SP3 i zgodnie z dotychczasowymi planami start może nastąpić za pięć lat.

Słuchacze powoli otrząsali się z osłupienia. Choć wielu z nich było nadal zbyt zdumionych, by zdobyć się na wyraźną reakcję, głowy zaczęły skłaniać się twierdząco, a szepty przebiegające salę brzmiały aprobująco. Prezes skinął głową i z lekka się uśmiechnął, jakby ciesząc się myślą, że to, co najlepsze zachował na koniec.

– Drugą rzeczą, którą chciałbym oznajmić dzisiaj, jest to, że tego rodzaju decyzja została właśnie podjęta. Jak przed chwilą wspomniałem, temat ten był już przedmiotem studiów przez dłuższy okres. Dziś mogę was poinformować, że trzy dni temu prezydent Stanów Zjednoczonych i przewodniczący Wschodniej Strefy Wspólnego Rozkwitu podpisali wchodzące w życie natychmiast porozumienie, o wspólnym urzeczywistnieniu projektu, który wam pokrótce zarysowałem. Działalność różnych państwowych i prywatnych instytutów badawczych i innych organizacji, które zostaną zaangażowane w przedsięwzięcie, będą koordynować przedstawiciele Północnoamerykańskiej Organizacji Eksploatacji Kosmosu i reprezentanci naszych chińskich i japońskich partnerów, pod nazwą kodową “Gwiezdna Przystań”.

Twarz Congreve'a rozjaśnił szeroki uśmiech. – Trzecia informacja, jaką mam przekazać, brzmi następująco: mimo wszystko ten wieczór nie oznacza mego wycofania się z pracy zawodowej. Prezydent zaproponował mi kierownictwo projektu “Gwiezdna Przystań” z ramienia Stanów Zjednoczonych, które będą nadzorować przedsięwzięcie. Przyjąłem. Rezygnuję z funkcji w POEK wyłącznie dlatego, by móc w całości poświęcić się moim nowym obowiązkom. Tych, którzy sądzą, że w przeszłości mieli ze mną ciężkie życie, mogę z nieszczerym ubolewaniem zawiadomić, że będę się tu kręcił jeszcze przez dłuższy czas. Zanim zaś nasz projekt zostanie urzeczywistniony, czasy staną się o wiele cięższe.

Kilka osób w końcu sali wstało i zaczęło klaskać. Aplauz wzrastał, aż przekształcił w zbiorową owację. Nie zmieszany Congreve podziękował uśmiechem za ten wybuch entuzjazmu, przez chwilę stał pozwalając trwać oklaskom, wreszcie znów oparł się o mównicę.

– Pierwsze oficjalne spotkanie z Chińczykami odbyło się wczoraj i już podjęliśmy pierwszą wspólną oficjalną decyzję. Znów rzucił okiem na model sondy gwiazdnej. – SP3 ma już nazwę. Nadano jej imię bogini z mitologii chińskiej, która wydała nam się odpowiednią patronką dla statku: *Kuan-yin* – bogini przynosząca dzieci. Miejmy nadzieję, że dobrze potrafi strzec swych dzieci w latach, które nadchodzą.

CZEŚĆ PIERWSZA

Wyprawa statku *Mayflower II*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Trzeci pluton kompanii "D" zajął taktyczną pozycję bojową około dwustu stóp poniżej linii grzbietowej, w zagłębieniu otoczonym stykającymi się spłachetkami dzikiej szałwii i niskich zarośli. Z dwóch stron osłaniały ją występy niskiej ściany skalnej, potężny głaz zamykał trzecią, z przodu zaś chroniła półka z mniejszych, płaskich kamieni. Tarcza termiczna rozciągnięta w górze skrywała ciepło ciał żołnierzy przed wykryciem przez zawsze czujne sensory nieprzyjacielskich satelitów obserwacyjnych.

Gidy Colman, trzymając nadal głowę głęboko cofniętą, uniósł skraj siatki maskującej, ujrzał widok pełen zwodniczego spokoju. Zbocze pagórka poniżej pozycji stromo opadało. Słabe światło gwiazd ledwie pozwalało dostrzec jego zarysy, rozplywające się w ciemnościach leżącego u stóp wzgórza wąwozu. Noc była bezksiężycowa, niebo bezchmurne jak kryształ. Wzrok Colmana powoli przystosował się do panującego zmroku, sierżant przeniósł spojrzenie dalej. Systematycznie badał obszar, na którym dwudziestu pięciu ludzi jego plutonu od trzech godzin trwało nieruchomo w ukryciu. Jeśli wykopali doły strzeleckie i stanowiska sprzętu tak, jak im pokazał, a także należycie wykorzystali roślinność i kamienie, mieli dużą szansę, że nie zostaną wykryci. Aby jeszcze bardziej zmylić przeciwnika, kompania "D" rozłożyła pozorujące atrapy termiczne o pół mili dalej, blisko grzbietu wzgórza, w miejscu gdzie wedle wszelkich zasad pluton powinien zająć pozycję bojową. Samoprogramujące się promienniki włączały się i wyłączały losowo, pozorując przesuwanie się ludzi. Dzięki temu przez większą część nocy ściągały na siebie sporadyczny ogień nieprzyjaciela. Pluton w ogóle nie był ostrzeliwany, co dobrze świadczyło o przestrzeganiu regulaminu, w jego wersji przerobionej na własną rękę przez sierżanta sztabowego Colmana: – Istnieją dwa sposoby robienia czegokolwiek – mawiał rekrutom. – Sposób wojskowy i sposób błędny. Innych sposobów nie ma. Jeśli więc mówię wam, abyście coś zrobili po wojskowemu, co to oznacza?

– Aby robić tak, jak pan to mówi, sierżancie.

– Doskonale.

O pięćdziesiąt stóp dalej, w miejscu gdzie Stanislaw i Carson trzymali ścieżkę do wąwozu w polu ostrzału submegadżulowego lasera, zabłyś na sekundę pomarańczowy punkcik. Colman zachmurzył się. Prawie niedostrzegalnie odwróciwszy głowę, szepnął do Driscolla: – Widać papierosa przy SDL. Skończyć z tym.

Driscoll zapukał palcem w płytkę kompaku i z wbitego w ziemię ostrza pobiegły przez glebę drgania nadźwiękowe, niosąc sygnał wywoławczy Stanowiska Działa Laserowego. – Tu SDL, słucham – rozległ się przyciszony głos z kompaku.

Driscoll szepnął do mikrofonu przymocowanego do hełmu: Czerwony Trzy, sprawdzenie linii. – Ten tekst, automatycznie zapisany w elektronicznym dzienniku łączności bojowej, brzmiał zupełnie niewinnie. W ciemności Driscoll włączył na chwilę blokadę zapisu. – Światło u was, gówniarze. Zgasić albo ukryć. – Zdjął palec z wyłącznika. – Melduj sytuację, SDL.

– W stanie gotowości i dozoru – odpowiedział obojętny głos. – Nic do zameldowania. – Na stanowisku działa ogień znikł w mgnieniu oka.

– Utrzymywać gotowość. Koniec.

Colman odchrząknął cicho, raz jeszcze rozejrzał się po terenie, opuścił skraj siatki maskującej i odwrócił się. Obok Driscolla Maddock przyglądał się łożysku wężu przez wzmacniacz obrazu. W ciemności obok niego kapral Swley wpatrywał się z napięciem w ekran wideoskopu przedpola. W przyćmionym świetle ekranu rysy jego twarzy nabrały ostrości.

Obraz, który przykuł uwagę kaprała, był przekazywany przez osiemnastocalowy szybujący automat zwiadowczy piechoty, jaki udało im się skrycie umieścić na wysokości tysiąca stóp nad dnem wężu, niemal dokładnie nad przednim skrajem pozycji nieprzyjacielskiej. Jego odczyt był uzupełniony przez dodatkowe dane z satelitów i innych źródeł sieci wywiadu elektronicznego. Na ekranie widać było bunkier dowodzenia w głębi wężu, ujawnione stanowiska broni nieprzyjaciela, obliczone przez komputerową analizę punktów początkowych śledzonych radarowo trajektorii wystrzelonych pocisków, oraz położenie punktów obserwacyjnych i ogniowych na podstawie analizy triangulacyjnej rozproszenia odbić światła laserów kontrolnych. Chłodne wody strumienia i jego dopływów wyglądały na ekranie jak czarne gałązki, skały i głązy świeciły odcieniami błękitu, żywa roślinność przechodziła od rdzawego brązu na wzgórzach do głębokiej czerwieni w gęstych zaroślach u podnóży ścian wężu; ślady po odłamkach bomb i pocisków świeciły odcieniami od matowego oranżu do żółci, zależnie od tego, ile czasu upłynęło od wybuchu.

Tym jednak, co tak przykuwało uwagę kaprała Swleya, były maleńkie plamki jaśniejszej czerwieni, które mogły być, ale mogły i nie być, śladami niewystarczająco zamaskowanej pozycji obronnej, a także ledwie widoczne, cienkie jak włos linie, które mogły być śladami termicznymi niedawnego ruchu pojazdów.

W jaki sposób Swleyowi udawało się czytać obraz tak precyzyjnie, nikt dokładnie nie wiedział, a już najmniej on sam. Niezależnie od przyczyn, zdolność Swleya do wyławiania znaczących szczegółów z beznadziejnej gmatwaniny zaśmieconego tła obrazu i nieomylnego odróżniania wartościowych informacji od atrap pozorujących i pułapek była z całkowitą słusnością głośna – i niesamowita. Ponieważ jednak sam Swley nie wiedział, jak to robi, nie był więc w stanie wytłumaczyć tego programistom systemów elektronicznych, którzy mieli nadzieję powielić jego osiągnięcia w programach analizy obrazów. W rezultacie wszyscy "iści" oraz "ologowie" zaczęli go maltretować, poddając nieskończenie długim i bezpłodnym badaniom testowym. Na koniec Swley wymyślił dla nich dość wiarygodnie brzmiące wytłumaczenie, które miało tylko jeden słaby punkt: programy napisane zgodnie z nim – nie działały. Wtedy Swley oświadczył, że jego tajemnicza zdolność nagle znikła.

Major Thorpe, oficer wywiadu elektronicznego w sztabie brygady, przeczytał kiedyś, że szpinak i ryby są znakomitym lekarstwem przeciw osłabieniu wzroku, przepisał więc je Swleyowi w formie diety intensywnej. Ale Swley nienawidził ryb i szpinaku jeszcze bardziej niż testów, którym był poddawany, i w przeciągu tygodnia został dotknięty ostrym daltonizmem, co udowodnił nie dostrzegając niczego w ogóle nawet na najprostszych displejach treningowych.

W rezultacie Swley został uznany za "nieprzystosowanego społecznie" i przeniesiony do kompanii "D", gdzie zsyłano wszystkich nieprzystosowanych i niezadowolonych. Tam jego zdolność cudownie powracała, pod warunkiem że nie było w pobliżu żadnego z oficerów, z wyjątkiem kapitana Sirocco, który dowodził kompanią "D" i zupełnie nie interesował się w jaki sposób Swley uzyskuje swoje wyniki, tak długo, jak długo były one prawidłowe. Nie obchodziło też kapitana, że

Swyley był nieprzystosowany, szczególnie dlatego, że tak czy inaczej z samego założenia cała kompania "D" składała się wyłącznie z takich ludzi.

Oznacza to chyba, że nie ma łatwego sposobu wydostania się z kompanii "D", a cóż dopiero ze służby wojskowej w ogóle rozmyślał Colman, oczekując w ciemności, aż Swyley wyda swe orzeczenie. Wynikało z tego, że przeniesienie Colmana z Armii do Inżynierii, o które prosił, było mało prawdopodobne.

Według przekonania Colmana rozumiało się samo przez się, że nikt pozostający przy zdrowych zmysłach nie chce zostać zabity albo wysyłany do miejsca, o którym nigdy nie słyszał, przez ludzi których nigdy nie spotkał, w celu zabijania innych ludzi, których nie znał. Dlatego nikt przy zdrowych zmysłach nie służył w wojsku. Ponieważ jednak Armia była pełna ludzi, których uważał za dostatecznie normalnych i zdrowych na umyśle, wynikał z tego prawdopodobnie wniosek, że wojskowe pojęcie normalności musiało być nader dziwne. Z drugiej strony przeniesienie się do czegoś takiego, jak Inżynieria, wyglądało na pierwszy rzut oka na sprawę całkowicie naturalną, rozsądną, konstruktywną i pożądaną. A to, jak się zdaje, było dostateczną gwarancją; że Armia uzna taką prośbę za nierozsądną i dla Colmana niewłaściwą.

Z jeszcze innej strony, do ważnych elementów oceny należało badanie i rekomendacja psychiatryczna, Colman zaś podczas kilku seansów, spędzonych z przydzielonym do brygady psychiatrą Pendreyem, stopniowo doszedł do coraz jaśniejszego wniosku, że Pendrey był zdeklarowanym wariatem. Zastanawiał się więc, czy zwariowany psychiatra, wychodząc ze zwariowanych założeń, może w końcu dojść do wniosków zgodnych ze zdrowym rozsądkiem; podobnie jak dwie równoważne inwersje logiczne w dowodzeniu nie naruszają prawdziwości wniosku. Ale znów, jeśli zgodnie ze standardami Armii Pendrey był normalny, analogia nie chwyciała.

Prawda, że Sirocco poparł wniosek; ale Colman nie był pewien czy to zda się na wiele, biorąc pod uwagę, że Sirocco dowodził kompanią "D" i wszystko co proponował, było w sposób oczywisty gdzieś po drodze służbowej rozumiane odwrotnie. Może powinien był przekonać kapitana, by nie popierał wniosku. Z drugiej jednak strony, jeśli wszystko co popierał Sirocco od razu podlegało odwróceniu i jeśli Pendrey był wariatem, ale zgodnie z normami wojskowymi człowiekiem normalnym, i jeśli założenia, z których Pendrey wychodził, były równie wariackie, to mimo wszystko mogła z tego wyniknąć decyzja dla Colmana pomyślna. Ale czy rzeczywiście? Jego próby wmyślenia się w pokrętną logikę sytuacji zostały znów przerwane przez Swyleya, który wreszcie odwrócił się od ekranu i rozparł wygodnie.

– Praktycznie całość ich sił została zgrupowana na flankach po obu stronach wąwozu – obwieścił Swyley. – Jest kilka pododdziałów, które posuwają się w dół po przeciwległym zboczu, ale nie ujmą pozycji jeszcze około trzydziestu minut. – Odblask ekranu podkreślił zdumienie, widoczne na jego twarzy. Wzruszył ramionami. – W tej chwili prosto przed nami nie są niczym na dole osłonięci.

– Niczego tam nie mają? – upewnił się Colman, dotykając ekranu palcem w miejscu, gdzie dolna część ścieżki wynurzała się z zagajnika na skraju trawiastej płaszczyzny o kilkaset stóp od nieprzyjacielskiego bunkra. Na ekranie widniał ledwie dostrzegalny układ kleksów po obu stronach drogi, dokładnie w miejscach, w których można było spodziewać się pozycji obronnej.

Swyley potrząsnął głową. – To są atrapy. Jak mówiłem, przesunęli praktycznie wszystkich facetów na zewnętrzne skrzydła – tknął palcem w ekran – tu, tu i tu.

– Starają się okrążyć kompanię "B" i dostać wyżej, na grzbiet cztery – dziewięć – trzy – orzekł Colman, studiując obraz.

– Być może – odparł Swyley wymijająco.

– Tam na dole wygląda mi tak martwo, jak na pustyni wmieszał się Maddock, nie odrywając ani na chwilę wzroku od wizjera wzmacniacza.

– Co mówią sejsmometry i wachacze o tych atrapach Swyleya? – spytał Colman, zwracając się do Driscolla.

Driscoll przetłumaczył pytanie na język komputera i spojrzął na sumator danych na jednym z ekranów kompaku. – Nieznaczne drzenie nadprogowe w odległości ośmiuset jardów. Współczynnik wzrostu w kierunku wiatru poniżej pięciu punktów w odległości czterystu. Potwierdzenie negatywne ze zwiadu akustycznego znaczny wzrost tła. – Komputery nie wykazywały układów drgań wywołanych przez działania człowieka wśród danych nadchodzących od czujników, skrycie zrzuconych wokół wąwozu z lecących na niskim pułapie, zdalnie sterowanych "pszczoł" krążących nocą; sensory chemiczne rozmieszczone na zawietrznej mniemanych atrap pozorujących wykryły tylko niewiele molekuł związków zapachowych, charakterystycznych dla ciała ludzkiego; przez mikrofony nie nadeszły żadne spójne sygnały dźwiękowe, ale to niewątpliwie spowodowane było wysokim poziomem białych szumów, generowanych w pobliżu strumienia. Chociaż więc dowody były tylko cząstkowe i do tego negatywne, podtrzymywały niewiarygodne skądinąd twierdzenie Swyleya, że główna droga na dół, prowadząca do celu działania, była w tym momencie faktycznie nie broniona.

Colman zmarszczył brwi i błyskawicznie przeanalizował sens zebranych danych. Żadna jednostka wojskowa, składająca się z ludzi przy zdrowych zmysłach, nie brałaby pod uwagę możliwości zdobywania tego rodzaju obiektu frontalnym natarciem w centrum – najniższy odcinek kierunku natarcia był zbyt dobrze osłonięty przez panujące nad nim zbocza, a jeśli atak utknie, nie będzie miał drogi odwrotu. Nieprzyjacielski dowódca pomyślał więc sobie, że w ten sposób będzie rozumował każdy. Po cóż więc wiązać masę ludzi dla obrony punktu, który nie będzie wcale atakowany? Zgodnie z regulaminem, właściwym sposobem natarcia na bunkier byłby albo atak z góry, wzdłuż strumienia, albo też przez przekroczenie go poniżej bunkra i rozwinięcie natarcia ze szczytu po przeciwległej stronie. Dlatego nieprzyjaciel skoncentrował się w punktach górujących nad obu oczywistymi drogami natarcia, czekając w zasadzkach na któryś z wariantów ataku. Ale właśnie dlatego środek pozostał szeroko otwarty.

– Stan pogotowia po sieci dla dowódców drużyn – powiedział Colman do Driscolla. – I daj łączność z Niebieskim Jeden.

Sirocco odezwał się przez kompak w parę chwil później. Colman streścił sytuację. Śmiałość pomysłu natychmiast przekonała kapitana. – Musimy to zrobić na własną rękę. Nie ma czasu, by wciągać w to brygadę, ale możemy związać facetów po przeciwnej stronie, gdy będziesz szedł naprzód, i przetoczyć przed tobą zaporę ogniową dla oczyszczenia terenu z przeszkód. – Sirocco miał na myśli zrobotyzowane kompanijne baterie artyleryjskie, rozmieszczone w głębi, za linią grzbietową pasa wzgórz. – Ale to oznacza, że jak tam wleziesz, będziesz szedł do przodu bez żadnego ognia przeciwartyleryjskiego. Co sądzisz?

– Jeśli pójdziemy szybko, damy sobie radę bez tego – odparł Colman.

– Bez ognia przeciwartyleryjskiego nie będzie czasu na podciągnięcie żadnego innego plutonu dla wsparcia twoich działań. Będziesz zdany tylko na siebie – odparł Sirocco.

– Możemy użyć robobaterii dla położenia osłony bliskiego działania na skrzydłach. Jeśli dasz nam przykrycie optyczne i podczerwone na tysiąc dwieście stóp, damy sobie radę.

Sirocco zawahał się na ułamek sekundy. – Okay – powiedział wreszcie. – Do roboty.

W dziesięć minut później Sirocco ukończył pośpiesznie nakreślony z pomocą oficera operacyjnego plan ogni i przekazał szczegóły do pierwszego, drugiego i czwartego plutonu, Colman zaś zakończył odprawę swego plutonu za pośrednictwem dowódców drużyn. Sierżant sprawdził i

zabezpieczył wyposażenie osobiste; rozładował, załadował i ponownie sprawdził swe działo szturmowe M32; sprawdził i przeliczył amunicję.

Gdy tylko pierwsza salwa bomb dymowych rozerwała się w odległości tysiąca dwustu stóp, kryjąc teren przed obserwacją nieprzyjacielską, trzeci pluton rzucił się naprzód wzdłuż ścieżki, w kierunku gęściejszych zarośli poniżej. W parę chwil później granaty przesłaniania optycznego zaczęły wybuchać dokładnie poniżej zasłony dymnej, rzygając chmurami pyłu aluminiowego, rozkładającymi nieprzyjacielski system kontroli i komunikacji laserowej. Skoncentrowany ogień zaporowy artylerii przed nacierającym oddziałem i wysokoenergetyczne promienie pulsujące, wystrzeliwane przez plutony flankujące natarcie toczyły się naprzód wzdłuż ścieżki, oczyszczając ją z min i innych urządzeń przeciwpiechotnych. Za zaporą ogniową drużyny trzeciego plutonu posuwały się skokami, osłaniając się wzajemnie ogniem dla uzupełnienia działań artylerii. Oporu nie było. Artyleria obrońców otworzyła ogień w dziesięć sekund od pojawienia się zasłony dymnej, ale nieprzyjaciel strzelał na ślepo i po większej części nieskutecznie.

Po trzynastu minutach walka była skończona. Colman stał na zwirowatym brzegu strumienia, przyglądając się, jak jego ludzie wyprowadzają z nieprzyjacielskiego bunkra zdumionego majora i jego ogłupiały sztab. Dołączono ich do stada rozbrojonych obrońców, zgonionych do kupy pod czujnym spojrzeniem uśmiechniętych wartowników z trzeciego plutonu. Najważniejszym zadaniem było wzięcie jeńców i uzyskanie informacji, plon zaś stanowiło, na dodatek do majora: dwóch kapitanów, porucznik, podporucznik, starszy chorąży sztabowy, sierżant szef, dwóch sierżantów i ponad tuzin szeregowych. Ponadto zdobyto nienaruszone wykazy sygnałów wywoławczych i mapy wraz z bezcennym sprzętem łączności i sterowania bronią. Całkiem niezły połów, pomyślał Colman z satysfakcją.

Komputery uznały dwóch ludzi z trzeciego plutonu za zabitych i pięciu za ciężko rannych. Colman myślał sobie, jakby to było pięknie, gdyby prawdziwe wojny można było prowadzić w taki sposób. W tym momencie jaskrawe światła wysoko w górze w mgnieniu oka zmieniły na scenie wydarzeń noc w sztuczny dzień. Przez parę sekund mrużył oślepienie oczy, po czym zsunął hełm na tył głowy i rozejrzał się. "Zabici" i "ciężko ranni", trafieni na zboczach wyżej, schodzili grupką po ścieżce, pozostałe trzy plutony kompanii "D" wychodziły z ukrycia. Wzdłuż wąwozu widać było większy ruch po obu stronach, w miarę jak jednostki obrońców i napastników pojawiały się na otwartej przestrzeni. Wozy sztabowe, transportery piechoty i różne inne pojazdy latające zaczęły brzęczeć z daleka, zza odleglejszych łańcuchów wzgórz, gdzie kończyło się niebo. Colman nie miał pojęcia, że aż tyle wojska brało udział w manewrach. Nieprzyjemne uczucie wślizgnęło się do jego mózgu: właśnie doprowadził do przedwczesnego końca skomplikowaną zabawę, na którą sztabowcy cieszyli się od dłuższego czasu; prawdopodobnie nie będą z tego powodu zbyt szczęśliwi. Może nawet dojdą do wniosku, że nie chcą go dłużej w Armii pomyślał filozoficznie.

Jeden z wozów sztabowych zbliżył się z narastającym wyciem, przez sekundę zawisł nieruchomo prawie dokładnie nad bunkrem, by wreszcie gładko wylądować. Jego tylne wejście odsunęło się, ukazując szczupłego, śniadego kapitana Sirocco w hełmie, battle-dressie i kamizelce przeciwdławkowej. Gdy pojazd był sześć stóp nad ziemią, wyskoczył zwinnie i podszedł spokojnie do Colmana. Jego niefrasobliwa twarz, ocieniona obfitym czarnym wąsem, jak zwykle nie wyrażała niczego, ale w oczach tańczyły ogniki. Niezła robota, Steve – powiedział bez wstępów. Z rękami na biodrach odwrócił się i przyjrzał grymasom oburzenia wziętych do niewoli "nieprzyjacielskich" oficerów, stojących z ponurymi minami koło bunkra. – Nie sądzę jednak, abyśmy za to dostali odznaki sprawności zuchowych. Właśnie złamaliśmy prawie wszystkie punkty regulaminu walki piechoty. – Colman chrząknął. Nie spodziewał się wiele więcej. Sirocco podniósł brwi i

wieloznacznie skinął głową. – Czołowy atak na umocnioną pozycję, odsłonięte skrzydła, praktycznie żadnej możliwości odwrotu, żadnego planu postępowania w nieprzewidzianych wypadkach, niedostateczne wsparcie z powierzchni i żadnego ognia przeciwartyleryjskiego wyrecytował rzeczowo, a równocześnie bez cienia niepokoju.

– A co na temat odsłaniania przed wrogiem słabizny? – spytał Colman. – Nic o tym nie ma w regulaminie?

– Zależy o tego, kim jesteś. Gdy chodzi o kompanię "D", wszystko jest względne.

– Nie myślałeś kiedy, by podszyć spodnie na siedzeniu kawałkiem kamizelki przeciwodłamkowej? – spytał Colman po chwili. Być może będzie ci potrzebna.

– Ach, gówno mnie to obchodzi. – Sirocco spojrział w górę. W każdym razie za chwilę się przekonamy.

Colman poszedł za jego wzrokiem. Pancerny transporter dla Bardzo Ważnych Osobistości, z odznakami generalskimi na masce, zdążył w ich kierunku. Colman przerzucił swe M32 na drugie ramię i wyprostował się w oczekiwaniu. – Podciągnąć się tam! zawołał do ludzi z trzeciego plutonu, włączających się grupami, paląc i rozmawiając, nad strumieniem i koło bunkra. Papierosy rozduszono grubymi podeszwami butów bojowych, rozmowy umilkły, grupki stanęły w większym porządku.

– Na czym opierał pan swoją analizę obrazu sytuacji, sierżancie – zapytał Sirocco ostrym, wysokim głosem, małpując urzędowy sposób mówienia pułkownika Wessermana, adiutanta generała Portneya. Nadał swemu głosowi ton podejrzliwy i oskarżycielski. Czy kapral Swyley odegrał istotną rolę w sformułowaniu pańskiej oceny taktycznej? – Takie pytanie musiało się pojawić; regulaminowa procedura analizy obrazowej, prowadzonej w brygadzie, nie ujawniłaby żadnych danych, usprawiedliwiających decyzję natarcia.

– Nie, sir – odpowiedział sztywno Colman, patrząc nieruchomo wprost przed siebie. – Kapral Swyley obsługiwał kompak. Nie można mu powierzać analizy danych wywiadu elektronicznego. Jest daltonistą.

– W takim razie, jak wyjaśnicie wasze niezwykle wnioski?

– Myślę, sir, że był to przypadek trafnego domysłu.

Sirocco westchnął. – Zdaje mi się, że będę musiał złożyć raport, iż zezwoliłem na natarcie z własnej inicjatywy, bez żadnych danych na jej poparcie. – Łypnął na Colmana. – Nie masz przypadkiem pod ręką kogoś, kto umiałby uszyć dobrą parę spodni?

Drzwi transportera dla Bardzo Ważnych Osób otwały się tuż przed nimi, ukazując korpulentną sylwetkę pułkownika Wessermana. Jego rumiana twarz była jeszcze bardziej rumiana niż zwykle, przybierając w okolicy szyi kolor fioletowy. Wyglądał, jakby dusiła go tłumiona wściekłość.

– Mam wrażenie, że on zupełnie nie czuje słodkiej woni sukcesu – szepnął Colman obserwując pułkownika.

Sirocco przez chwilę kręcił wąsa. – Sukces jest jak pierdnięcie rzekł. – Tylko własny ładnie pachnie.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dyżurujący w sali monitorów Subcentrum Sterowania Napędem Bernard Fallows dostrzegł nagłą zmianę kolorów i linii na jednym z rozmieszczonych wokół ekranów. W mgnieniu oka wszystko inne znikło z jego myśli. Ekran był jednym z kilku podłączonych do Piątego Zespołu Głównego Systemu Dostawy Paliwa i obrazował pracę jednej z baterii potężnych pomp zasilania wodorowego, rozmieszczonych w rufowej części statku, o pięć mil od miejsca, w którym Fallows się znajdował.

– Co się dzieje z Piątą – E, Horacy? – zwrócił się do pustego pokoju, w którym siedział.

– Projekcja tendencji niskopoziomowej – odpowiedział komputer wykonawczy Subcentrum przez głośnik za małą siatką, umieszczoną na jednym z boków pulpitu sterowniczego przed Fallowsem. – Wygląda, jakby zasilacz trzy łamane przez pięć miał się znowu zacząć grzać. Korelacja całkowita sześćdziesiąt siedem, kontrola działania pozytywna, wskaźnik rozprężania osiem – zero.

– Odczyt na wskaźniku sześć?

– Znikomy.

Dalsze informacje otrzymał Fallows z ekranu. Zmiany wykryte przez komputer były minimalne: maleńkie otwarcie tendencji, która jeśli nawet się utrzyma, nie będzie sprawiać kłopotów przez miesiąc albo i dłużej. Biorąc pod uwagę, że do osiągnięcia Chirona były jeszcze trzy miesiące podróży, powodów do niepokoju nie było. Szczególnie że pozostałe pompy tej samej grupy miały zaprojektowany dostateczny margines mocy, by dać sobie radę bez wsparcia. Ale, nawet biorąc to pod uwagę, nie ulegało wątpliwości, że Merrick będzie się upierał przy rozmontowaniu Głównego Systemu, by przeszlifować łożyska, wyregulować ustawienie i ponownie wyważyć wirniki. Od czasu gdy włączono główny napęd, już dwa razy w ciągu trzech miesięcy przeszli przez tę procedurę. Oznaczało to jeszcze jeden tydzień pracy w stanie niemal nieważkości, niezdarnego gramolenia się w ciężkich skafandrach ochronnych po niedobrej stronie rufowej osłony przeciwpromiennej. – Durna pompa – kwaśnym tonem mruknął Fallows.

– Ponieważ pompa nie należy do istot organicznych, zakładam, że wypowiedź ta należy do kategorii gramatycznej wykrzykników zaszczebiotał Horacy.

– Och, udław się. – Komputer posłusznie powrócił do swych medytacji.

Fallows znów usiadł na krześle i regulaminowo obiegił wzrokiem salę monitorów. Za szklaną przegrodą naprzeciw jego pulpitu, na stanowiskach załogi, wszystko wydawało się przebiegać normalnie; pozostałe ekrany potwierdzały, że i wszystko inne jest takie, jak powinno. Rezerwowy zbiornik paliwa raketowego silnika korekcyjnego numer 2 został, po uprzedniej nieznacznej korekcie kursu, dopełniony i znów sygnalizował: "Gotów". Wszystkie podzespoły paliwa, chłodziwa, mocy głównej i pomocniczej, hydrauliczne, pneumatyczne, benzynowe, olejowe, regeneracji powietrza oraz oprzyrządowania, obsługujące Sekcję Napędu, działały należycie w założonych granicach. Daleko, w okolicach rufy, zespoły gigantycznych reaktorów termojądrowych pożerały 35 milionów ton wodoru, wychwyconego magnetycznie z przestrzeni kosmicznej podczas dwudziestoletniej podróży. Co sekunda dwie jego tony przekształcały się w energię w postaci strasznego, półtoramilowej średnicy strumienia promieniowania i produktów reakcji. Aby wyhamować prędkość podrózną 140 milionów ton masy *Mayflowera II*, strumień musiał palić się przez sześć miesięcy.

Statek opuścił Ziemię, niosąc na pokładzie tyle tylko paliwa, ile potrzeba było dla osiągnięcia szybkości podróźnej, i wziął kurs przez gęste chmury wodoru, aby zebrać go tyle, ile potrzebne będzie do hamowania.

Fallows spojrzął na zegar pośrodku pulpitu. Mniej niż godzina do przejęcia wachty przez Waltersa. Będzie więc miał przed ponownym objęciem służby dwa wolne dni. Przez chwilę smakował tę myśl, przymknąwszy oczy.

Jeszcze tylko trzy miesiące lotu! Jego dzieci często pytały, czemu jako młody człowiek w kwiecie wieku odwrócił się plecami do wszystkiego co znał i zapłacił dwudziestu latami życia za prawo do jednokierunkowej podróży do Alfy Centauri. Pytały nie bez racji, bo przecież jego decyzja w znacznej mierze przesądziła również ich przyszłość. Większość z trzydziestu tysięcy mieszkańców *Mayflowera II* już się przyzwyczaiła do wysłuchiwania podobnych pytań. Fallows zwykle odpowiadał, że ogarniało go coraz większe rozczarowanie na widok świata nieustannych zbrojeń, zbliżających się do poziomu szaleństwa, które poprzedziło zniszczenie większej części Ameryki Północnej, Europy i północnej Azji oraz koniec Radzieckiego Imperium podczas krótkiej masakry roku 2021, i że zostawił to za sobą, by zacząć od nowa gdziekolwiek indziej. To była powszechnie przyjęta odpowiedź, która miała także przywracać spokój sumienia odpowiadającemu. Ale Fallows zdawał sobie doskonale sprawę, że sam w to nie wierzy. Starał się udawać przed sobą, że nie pamięta rzeczywiście przyczyny.

Urodził się niemal pod koniec Chudych Lat, które nastąpiły po wojnie. Nie pamiętał ich więc, ale ojciec opowiadał mu o czasach, gdy pięćdziesiąt milionów ludzi żyło w nędznych budach, skleconych wokół szerniałych i pokreconych szkieletów tego, co niegdyś było miastami, i tłoczyło się na śniegu w kolejkach po przydziałową zupę i chleb z rządowych kuchni polowych. Opowiadał też o jego matce, harującej po piętnaście godzin dziennie przy cięciu płyt na prefabrykowane domy, co pozwalało jej dwa razy dziennie postawić na stole rodzinnym skąpy posiłek: rosół wołowy z ryżem, dostarczany przez chińskie statki zaopatrzeniowe, a także co pół roku kupić po jednej parze obuwia jednorazowego użytku z prasowanego papieru. O starszym bracie, zabitym w walce z bandami rabunkowymi, które przybyły z Karaibów i z południa.

Fallows pamiętał późniejsze lata, gdy smukłe palce budynków błyszczących nowością miast znów zaczęły, wśród pustyń gruzu, wskazywać niebo; gdy huczały i łomotały nowe huty stali i aluminium, podczas gdy na drugiej półkuli Chiny i Indo – Japonia zmagaly się w zapasach o kontrolę nad przemysłową i handlową potęgą Wschodu. To były podniecające lata, pulsujące lata, lata natchnienia. Fallows pamiętał zalane światłem reflektorów waszyngtońskie parady Czwartego Lipca – barwę i wspaniałość zmasowanych orkiestr, kolumny maszerujących pod powiewającymi sztandarami żołnierzy w błyszczących mundurach, hymny narodowe i pieśni wznoszące się z gardeł dziesiątków tysięcy zgromadzonych na Capitol Square, tam gdzie niegdyś stały słynne budowle. Pamiętał, jak dumnie wkroczył na bal w szkole wyższej w nowiutkim mundurze Korpusu Młodzieży Amerykańskiego Nowego Porządku, udając z wyniosłą miną, że nie dostrzega pełnych podziwu spojrzeń, które wszędzie mu towarzyszyły. Jak chełpił się przed zazdrosnymi przyjaciółmi po pierwszym weekendzie, spędzonym na manewrach wojskowych na pustyni Nowego Meksyku... Pamiętał wybuch entuzjazmu, gdy Ameryka znów otworzyła stałą bazę załogową na Księżycu.

Rozpalała go, jak większość rówieśników, wizja Ameryki Nowego Porządku, którą pomagali wykuwać z ruin i zgliszcz starej. Jeszcze silniejsza niż poprzednia, czystsza moralnie i duchowo, ufna świadomością misji powierzonej jej przez Boga, powstanie na nowo jako nienaruszalne sanktuarium, chroniące dziedzictwo kultury Zachodu przed rozkładowym potopem pogańskiej dekadencji i aroganckiego bogactwa, zalewającego przeciwną stronę kuli ziemskiej. A gdy Wschód wreszcie rozpadnie się na skutek wewnętrznego rozkładu, gdy ostatecznie zostanie zdemaskowany fałsz jedności, którą Arabowie próbują narzucić w Azji Środkowej i gdy afrykańska wojowniczość na koniec wyczerpie się w orgii morderczych sporów, Amerykański Nowy Porządek wchłonie zbłąkaną

chwilowo Europę i zwycięży. Oto był cel.

Mayflower II, który z roku na rok rósł i nabierał kształtów na orbicie okołoksiężycowej, stał się widomym symbolem tych dążeń. Choć Fallows w roku 2040 miał tylko osiem lat, wyraźnie pamiętał podniecenie wywołane wiadomością, że nadszedł sygnał ze statku kosmicznego zwanego *Kuan-yin*, wystrzelonego w roku 2020, bezpośrednio przed wybuchem wojny. Sygnał zawierał wiadomość, że *Kuan-yin* wykryła na orbicie Alfry Centauri odpowiednią planetę i rozpoczyna eksperyment. Planetę nazywano Chironem, jak jednego z mitycznych centaurów. Trzy inne, większe planety, odkryte przez *Kuan-yin* w systemie Alfry Centauri, otrzymały nazwy: Folus, Nessus i Eurytion.

Upłynęło dziesięć lat, zanim Ameryka Północna i Europa zakończyły odbudowę, a mocarstwa Wschodu uregulowały swe spory. Pod koniec tego okresu Nowa Ameryka rozciągała się od Alaski do Panamy, do Wielkiej Europy należała Rosja, Estonia Łotwa i Ukraina, oddzielne państwa, Chiny zaś były hegemonem Federacji Wschodnioazjatyckiej, rozciągającej się od Pakistanu do Cieśniny Beringa. Wszystkie te trzy supermocarstwa prawie równocześnie zaczęły realizować programy ponownej ekspansji na kosmos. A że każde z nich zgłaszało roszczenia do kolonii na Chironie i żywiło podejrzenia co do pozostałych dwu, wszystkie rozpoczęły budowy statków kosmicznych dalekiego zasięgu, by pierwsze osiągnąć cel i zabezpieczyć własne interesy.

Wśród rówieśników Fallowsa niewielu było takich, którzy nie pamiętaliby upojenia tamtych czasów, czasów krucjaty, wyzwania, celu i zamiaru – odbudowy imperium poza Ziemią i podboju jej samej. Gdy zaś, jako symbol tych spraw, rozrastał się na księżycowym niebie *Mayflower II*, dla wielu marzenie o udziale w locie statku i krucjacie dla uchronienia Chirona przed Niewiernymi stało się ambicją życia. Lekcje dyscypliny i poświęcenia z czasów Chudych. Lat pomogły w ukończeniu *Mayflowera II* dwa lata wcześniej od najszybszego z rywali. Dzięki temu dwudziestoosmioletni Bernard Fallows po męsku ucisnął dłoń ojca i ucałował na pożegnanie zapłakaną matkę. Wkrótce potem, na pokładzie promu wystrzelonego z bazy w Arizonie, dotarł do transportera księżycowego, który miał go wynieść na start do pierwszego etapu jego osobistej krucjaty: niesienia Amerykańskiego Nowego Porządku ku gwiazdom.

Nieczęsto teraz o tym myślał. Marzenie, by stać się wielkim przywódcą i zdobywcą, który zanieś Słowo na Chirona, z biegiem lat zbladło. Zamiast tego... co? Dziś, gdy statek był niemal u celu drogi, okazało się, że Fallows nie miał jasnego wyobrażenia, co robić... poza kontynuowaniem trybu życia, do którego przywykł od dawna. Tyle że w innym otoczeniu.

Tok jego myśli przerwany został widokiem Cliffa Waltersa, zdążającego po drugiej stronie szklanej przegrody do pokoju monitorów. W chwilę później boczne drzwi otworzyły się z cichym wizgiem i do środka wkroczył Walters. Fallows odwrócił się na obrotowym krześle i spojrzał zdziwiony. – Cześć. Wcześniej przyszedłeś. Miałeś jeszcze czterdzieści minut.

Walters ściągnął marynarkę i powiesił ją w szafie przy drzwiach, wyjmując równocześnie książkę z wewnętrznej kieszeni. Fallows zachmurzył się, ale milczał.

– Wcześniej przejmuję służbę – odpowiedział Walters. Merrick chciałby chwilę z tobą porozmawiać, zanim skończysz służbę. Mam ci też powiedzieć, żebyś przyszedł na PDI. Możesz zakończyć dyżur i odbyć z nim rozmowę w czasie wliczanym do Pracy. – Podeszedł do pulpitu i skinął głową w stronę ekranów. Jak tam leci? Masa burzliwych i emocjonujących wydarzeń?

– Ucieszysz się, jak ci powiem, że główna trzy łamane przez pięć znów zaczyna swoje kawały. Na niskim poziomie, ale bez żadnych wątpliwości. O godzinie siedemnastej zero zero odpalenie korekcyjnego dwa przez jedną piętnastą sekundy, bez zakłóceń. Główne spalanie sprawuje się pięknie i wyrównuje zgodnie z programem... – Wzruszył ramionami. – To by było tyle.

Walters chrząknął, obiegł szybkim spojrzeniem ekrany i na nie zajętym wywołał dziennik za

ostatnie cztery godziny. – Wygląda, że czeka nas znówu demontaż tej cholernej pompy – mruknął nie odwracając głowy.

– Tak to wygląda – odpowiedział Fallows z westchnieniem.

– Nie warto się z nią opieprzać – oświadczył Walters. – Za trzy miesiące możemy doskonale przejść na zapasową i do diabła z tym wszystkim. Załatwi się ją, jak dolecimy, gdy będzie wygaszony główny napęd. Po co się pocić i odchudzać w małych kostiumach?

– Powiedz to Merrickowi – odrzekł Fallows, z wysiłkiem ukrywając swą dezaprobatę. Takie gadanie zdradzało niedbały stosunek do spraw techniki. Nawet gdyby podróż miała trwać tylko trzy tygodnie, nic nie usprawiedliwiałoby pozostawienia bez naprawy wymagających tego części maszynierii. Ryzyko katastrofalnej awarii mogło być mikroskopijne, ale jednak było. A dobry zwyczaj wymagał zmniejszenia takiego ryzyka do zera. Fallows uważał się za wykwalifikowanego inżyniera, miał więc obowiązek być drobiazgowym. Do przyzwyczajień zaś Waltersa należał brak obowiązkowości w pewnych sprawach – na pewno w mało ważnych. Ale niedbalstwo pozostawało niedbalstwem. Fallowsa drażniło, że obaj mieli równy stopień służbowy. – Wpis do dziennika służby o zmianie wachty, Horacy – zwrócił się do siatki na pulpicie sterującym. Dyżurny Fallows zdaje, dyżurny Walters przejmuje.

– Odnotowano – odpowiedział Horacy.

Fallows wstał z krzesła i odsunął się na bok, Walters rozwalił się na miejscu kierownika Subcentrum. – Odchodzisz na czterdziestoośmiogodzinny, prawda? – spytał Walters.

– Mhm.

– Planujesz coś?

– Właściwie nie. Jay gra jutro w jednej z drużyn w Czaszy. Chyba pójdę i popatrzę. Może nawet przejadę się na Manhattan, już dość dawno tam nie byłem.

– Weź dzieci na spacer wokół segmentu Wielkiego Kanionu poradził Walters. – Przebudowano go – dużo drzew i skał, masa wody. Powinien być ładny.

Fallows zdziwił się. – Myślałem, że będzie jeszcze przez dwa dni nieczynny. Podobno Armia miała tam manewry czy coś w tym rodzaju.

– Wcześniej się skończyły. W każdym razie Bud powiedział mi, że jutro Kanion będzie otwarty. Sprawdź to i spróbuj.

– Chyba to zrobię – powiedział Fallows, kiwając powoli głową. – Taaak... Mogę się powłóczyć parę godzin na świeżym powietrzu. Dzięki za wiadomość.

– Do usług. Uważaj na siebie.

Fallows wyszedł z sali monitorów, przeciął Subcentrum Sterowania Napędem i przez podwójne, rozsuwane drzwi wyszedł na jasno oświetlony korytarz. Winda przeniosła go o dwa piętra wyżej na inny korytarz i w parę minut później Fallows został wprowadzony do biura na Pokładzie Dowodzenia Inżynierią. Siedział tam Leighton Merrick, Pomocnik Zastępcy Dyrektora Inżynierii i coś kontemplował na ekranach informacyjnych panelu zamontowanego w lewym rogu jego biurka.

Fallows miał zawsze wrażenie, że Merrick przypomina mu budowę średniowieczną katedrę gotycką. Długie, wąskie ciało, sztywno wyprostowane, przypominało z daleka kolumnę z surowego, szarego kamienia; spadziste ramiona, pionowe zmarszczki na twarzy, skośne brwi i czołowa łysina z ostrym, skierowanym ku górze środkiem podkreślającym szpiczastość jego głowy składały się na kompozycję ostrołuków, pobożnie wspinających się ku niebu, precz od doczesnego świata spraw ziemskich. Twarz zaś, niby kamienna fasada spoglądająca w dół przez osłaniające wewnętrzne *sanctum*, obojętne okna, podobna była do skorupy odpychającej profanów na należyty dystans od tego, kto zamieszkiwał jej wnętrze. Czy w tym wnętrzu rzeczywiście ktokolwiek przebywał? –

zastanawiał się niekiedy Fallows. Czy też raczej z biegiem lat skorupa zyskała samodzielny byt i kontynuowała swe funkcje, natomiast ten, kto ją niegdyś zamieszkiwał, zwał niezauważalnie lub zszedł z tego świata?

Fallowsowi nigdy nie udało się opanować sztuki swobodnego samopoczucia w obliczu Merricka, choć tyle już lat był jego podwładnym. Okazywanie nieuprawnionej poufałości było oczywiście nie do pomyślenia między funkcjonariuszami czwartego i szóstego stopnia. Ale nawet biorąc poprawkę na tę różnicę, Fallows zawsze odczuwał ostry niepokój w parę sekund po wejściu do pomieszczenia, w którym znajdował się Merrick. Szczególnie gdy było to spotkanie w cztery oczy. Tym razem na to nie pozwoli po raz narty zdecydował jeszcze na korytarzu. Tym razem pomyśli w racjonalny sposób, że zachowywał się irracjonalnie, i nie pozwoli, by go zastraszyła własna wyobraźnia. Przecież Merrick nie obrał go sobie za przedmiot szczególnego lekceważenia. W ten sposób zachowywał się wobec każdego. To więc było bez znaczenia.

Merrick milcząco wskazał mu krzesło po drugiej stronie biurka i nadal wpatrywał się w ekran, nie spojrzawszy nawet na podwładnego. Fallows usiadł. Po dziesięciu mniej więcej sekundach poczuł się niewyraźnie. Co niewłaściwego popełnił w ostatnich paru dniach? Może o czymś zapomniał... a może nie zameldował na czas... albo coś odłożył nie podejmując decyzji? Wysilał pamięć, ale nic mu nie przychodziło do głowy. Wreszcie, zdenerwowany, zdołał wyjąkać: – Mmmmm... pan mnie wzywał, sir.

Pomocnik Zastępcy Dyrektora Inżynierii zstąpił w końcu z wyższych regionów myśli i podniósł głowę. – Ach, tak, Fallows. Wskazał na ekran, który przed chwilą studiował. – Co wiecie o jakimś Colmanie, który stara się wydostać z Armii i przejść do Inżynierii? Zastępca otrzymał kopię wniosku o przeniesienie i przekazał mi do zaopiniowania. Wynika z niego, że ten Colman powołuje się na was. Co o nim wiecie? – Szpiczasty podbródek i zsunięte gotyckie brwi Merricka zmieniły się w znak milczącego zapytania, jak oto szanujący się funkcjonariusz Inżynierii w czwartym stopniu służbowym mógł się pospolitować z sierżantem piechoty.

Dopiero po paru chwilach Fallows zrozumiał, o co chodzi. Gdy wreszcie pojął w jakiej jest sytuacji, jęknął bezgłośnie.

– Ja, eee... On był instruktorem mego syna w przysposobieniu wojskowym – wyjąkał Fallows w odpowiedzi na badawcze spojrzenie Merricka. – Spotkałem go na paradzie z okazji zakończenia kursu... rozmawiałem z nim przez chwilę. Wydawało mi się, że bardzo mu zależy na dostaniu się do szkoły inżynieryjnej. A ja prawdopodobnie powiedziałem: – Czemu nie spróbować? czy coś w tym rodzaju. Przypuszczam, że mógł on zapamiętać moje nazwisko.

– Mmmm. A więc w rzeczywistości nie wiecie niczego ani o jego doświadczeniu, ani o zdolnościach. Jest to ktoś, kogo spotkaliście przypadkowo i kto nadał zbyt wiele wagi waszej wypowiedzi. Tak?

Fallows nie był w stanie przełknąć w całości słów, które Merrick wkładał mu w usta. W rzeczywistości bowiem zapraszał tego człowieka kilka razy do domu, by pogadać o sprawach techniki. Colman miał kilka fascynujących pomysłów. Fallows nie umiał się powstrzymać od przeczącego potrząśnięcia głową. – No cóż, wydawało mi się, że zadziwiająco orientuje się w szerokim zakresie istotnych zagadnień. Jeszcze do zeszłego roku służył w Korpusie Inżynieryjnym Armii, ma więc mocne podstawy praktyczne. I uczył się dużo od chwili, gdy wyruszyliśmy z Ziemi. Mam... miałem wrażenie, że może warto zwrócić na niego uwagę. Ale to oczywiście tylko wrażenie.

– Zwrócić uwagę... W jakim celu? Na pewno nie chcecie przez to powiedzieć, że nadaje się on na pracownika inżynieryjnego.

– Oczywiście, że nie! Ale może jako technik drugiej czy trzeciej grupy. Albo na kursie

przygotowawczym na wyższą uczelnię.

– Hmm. – Merrick machnął ręką w kierunku ekranu. Brak wyższego wykształcenia. Musiałby odbyć przynajmniej rok studiów z chłopcami o połowę młodszymi od niego. Nie jesteśmy punktem rehabilitacji społecznej, jak wiecie.

– Z powodzeniem przerobił samodzielnie kurs politechniki od pierwszego do piątego semestru – zwrócił uwagę Fallows. Denerwowało go, że sprawia wrażenie, jakby się wyklócał. Ale nie miał wielkiego wyboru. – Myślałem, że może po kursie doskonalącym byłby w stanie uzyskać drugi...

Merrick spojrział podejrzliwie zza biurka. Wyraźnie nie takiej odpowiedzi oczekiwał. – Jego stan służby w Armii pozostawia, wiecie, wiele do życzenia. Sierżant sztabowy w wieku lat dwudziestu dwóch, a od czasu startu z Księżycą lata w górę i w dół jak jo jo. Wstąpił do wojska tylko po to, aby uniknąć dwóch lat służby poprawczej, a już o wiele wcześniej był w tarapatach po uszy.

– No, ja... ja nic o tym dotychczas nie wiedziałem, sir.

– Teraz już wiecie. – Merrick złożył przed sobą dłonie czubkami palców. – Czy jesteście zdania, że przestępstwa i skłonności kryminalne są, czy też nie są w zgodzie z wyobrażeniem, jakie powinniśmy się starać utrzymać o naszej Służbie?

W obliczu tak postawionego pytania Fallows mógł tylko odpowiedzieć: – Cóż... nie, mam wrażenie, że nie są.

– Aha! – Merrick wydawał się nieco bardziej zadowolony. Ja bym z pewnością nie chciał, aby moje nazwisko występowało w dokumentach w połączeniu z nazwiskiem kogoś takiego. – Jego wypowiedź świadczyła jak najwyraźniej, że Fallows stworzyłby sobie nie najlepsze perspektywy na przyszłość, gdyby pozwolił na to, by i jego nazwisko pojawiło się w takich dokumentach. Merrick skrzywił się, jakby gryzł cytrynę. – Motłoch z dołów społecznych starający przepchnąć się wyżej. Musimy, Fallows, jak wiecie, umieć trzymać ich tam, gdzie ich miejsce. Właśnie z takich powodów upadł Stary Porządek. Pozwolił im wspiąć się za wysoko, a oni wzięli górę. I co się stało? Ściągnęli ją w dół – naszą cywilizację. Czy chcecie być świadkiem tego raz jeszcze?

– Nie, na pewno nie – odpowiedział niezbyt uszczęśliwionym tonem Fallows.

– Innymi słowy pozytywna odpowiedź na ten wniosek nie może być traktowana ani jako służąca najlepszym interesom Służby, ani Państwa, nieprawdaż?

Fallows nie był w stanie rozwikłać logiki tego wyводу w stopniu dostatecznym, by zakwestionować wyciągnięty zeń wniosek. Potrząsnął więc głową twierdząco. – Rzeczywiście nie wygląda na to, jak sędzę.

Merrick skinął z powagą. – Funkcjonariusz, który jest uczestnikiem działania sprzecznego z najważniejszymi interesami Służby jest nielojalny, obywatel zaś, który działa przeciwko interesom Państwa powinien być uważany za wywrotowca. Zgadza się z tym?

– Tak, to prawda, ale...

– Czy więc chcielibyście być odnotowani w aktach jako popierający działania nielojalne i wywrotowe? – zaatakował Merrick.

– Zdecydowanie nie. Ale znów...

– Dziękuję wam – powiedział Merrick, chwytając okazję zakończenia rozmowy. – Zgadza się z wami i aprobuję waszą ocenę. Bardzo dobrze, Fallows. Korzystajcie z wolnego czasu. Merrick odwrócił się bokiem i zaczął coś wystukiwać na klawiaturze pod ekranami.

Fallows wstał niezdarnie i zaczął iść ku drzwiom. W pół drogi zawahał się, zatrzymał i jeszcze raz zwrócił do Merricka. – Sir, jest jeszcze coś, co chciałbym...

– To wszystko, Fallows – mruknął Merrick, nie podnosząc wzroku. – Możecie odejść.

W kwadrans później, pędząc w stronę domu kapsułą tranzytową wzdłuż liczącej sześć mil średnicy linii obwodowej *Mayflowera II*, Fallows był ciągle jeszcze pogrążony w myślach. Merrick miał rację – zdecydował. On sam zaś był głupcem. Nie miał żadnego powodu, by dla zachcianek Colmana znosić taki magiel jak przed chwilą lub pozwalać, by kwestionowano jego uczciwość. Nie ma obowiązku pomagania któremukolwiek z tych ludzi w prostowaniu powikłanych ścieżek ich życia.

Cliff Walters nigdy by się nie wplątał w tak głupią sytuację. Czy można więc mieć pretensję, gdy czasem przymruży oko na drobiazg bez znaczenia? I to by już było wszystko, jeśli idzie o Fallowsa durnego chłopaczka, który przyleciał z Arizony, by zbawiać świat, a nie wie, że nie trzeba pchać palca między drzwi. Cliff Walters zasługiwał na wszystkie otrzymywane awanse – przyznał Fallows, odprawiając seans samobiczowania, on sam zaś nie zasługiwał na nic więcej, jak pozostanie zerem przez wszystkie przyszłe lata na Chironie. Może kiedyś nauczy się słuchać Jean.

ROZDZIAŁ TRZECI

Mayflower II przypominał koło, nasadzone na cieńszy koniec prawie stożkowej osi, zwanej Wrzecionem. Od podstawy leja zbieraka magnetycznego na dziobie do olbrzymiej parabolicznej misy odrzutowej, tworzącej jego ogon. Wrzeciono mierzyło ponad sześć mil.

Koło, czyli Pierścień, miało ponad osiemnaście mil obwodu i dzieliło się na szesnaście oddzielnych segmentów, połączonych przegubami kulowymi. Dwa segmenty wiązały Pierścień z Wrzecionem, z którym były sztywno połączone, pozostałe czternaście mogło obracać się na sprzęgach międzysegmentowych, co zmieniało kąty nachylenia podłóg poszczególnych segmentów wobec osi podłużnej Wrzeciona. Ta konstrukcja o zmiennej geometrii pozwalała na taką wypadkową składowej poprzecznej sił obrotowych ze składową osiową siły napędu, że w Pierścieniu panował przez cały czas normalny poziom pseudograwitacji, niezależnie od tego, czy statek szedł z przyśpieszeniem, czy też, jak przez większą część podróży, bez ciągu.

W segmentach Pierścienia rozmieszczone były wszelkiego rodzaju urządzenia, umożliwiające mieszkanie, pracę, wypoczynek, produkcję przemysłową i rolną, wynalezione w okresie budowy osiedli orbitalnych. W chwili gdy statek zbliżał się do Alfy Centauri, służyły trzydziestu tysiącom ludzi. Ponieważ okres opóźnienia przy rozmowie z Ziemią wynosił obecnie dziewięć lat, te trzydzieści tysięcy składało się na społeczeństwo całkowicie niezależne, samorządne i samowystarczalne. Posiadało własne siły zbrojne, a ponieważ planiści wyprawy musieli brać pod uwagę wszelkie możliwe okoliczności i scenariusze, wojsko było przygotowane na wszystko – nie mogło być mowy o żądaniu posiłków, gdyby pojawiły się trudności. Celom militarnym służył milowej długości Moduł Bojowy, przycumowany do ostrza Wrzeciona, który mógł się odczepić od statku i w potrzebie działać samodzielnie jako okręt wojenny o sile ognia wystarczającej, by unicestwić każdą ze stron, które brały udział w II wojnie światowej. Mógł wyrzucać samonaprowadzające się pociski dalekiego zasięgu, umiające wybierać cele w odległości pięćdziesięciu tysięcy mil oraz pociski orbitujące dla rażenia powierzchni planety zarówno bombami dla celów pojedynczych, jak bronią promienistą; wypuszczać sondy wysokiego pułapu i czujniki podwodne; zrzucać do atmosfery statki bombardujące i manewrujące rakiety lecące tuż nad ziemią oraz wysadzać desanty. Ponadto niósł wielkie zapasy materiałów rozszczepialnych.

Wojsko dysponowało też warsztatami dla regeneracji głowic bojowych i produkcji wyposażenia zamiennego. Dla zabezpieczenia przed wypadkami i by zmniejszyć ciężar, projektanci umieścili je na drugim końcu Wrzeciona, za olbrzymią osłoną przeciwpromienną, która oddzielała resztę statku od płomienia z dyszy głównego napędu. Warsztaty nazywały się oficjalnie Składnicą i Zakładem Regeneracji Głowic, nieoficjalnie zaś Fabryką Bomb. Nikt w niej nie pracował. Bieżące operacje wykonywały maszyny; inżynierowie rzadko tam zaglądali, tylko z okazji przeglądów lub naprawy nadzwyczajnej. Niemniej był to zakład wojskowy, składowano w nim amunicję, a zgodnie z przepisami oznaczało to, że musi być strzeżony. Nie czynił najmniejszej różnicy fakt, że był on prawdziwą fortecą, tak skutecznie bronioną elektronicznie, że mucha nie przedostałaby się bez zezwolenia – regulamin mówił, że składnice amunicyjne muszą być strzeżone przez wartowników. A warta w tym miejscu – myślał Colman – była najparszywszą, najbardziej zasraną służbą w całej służbie wojskowej.

Tak właśnie myślał, siedząc wraz z Sirokkiem koło okna wartowni, wychodzącego na pancerne wrota warsztatów, i gapiąc się na korytarz, którym od dwudziestu lat nie przeszedł nikt, jeśli

naprawdę nie musiał. Obaj siedzieli zamknięci w ciężkich skafandrach ochronnych. Za nimi starszy szeregowiec Driscoll wciśnięty w krzesło oglądał film na jednym z ekranów komunikacyjnych, z fonią przełączoną na radiostację własnego skafandra. Driscoll powinien był patrolować korytarz, ale nie stosowano tego rytuału, gdy Sirocco dowodził oddziałem wartowniczym przed Fabryką Bomb. Coś z rok temu ktoś z kompanii "D" wykorzystał fakt, że w ciężkich skafandrach wszyscy wyglądali jednakowo i podłączył wideotaśmę z jakimś dawno zapomnianym obowiązkowym wartownikiem do obwodu telewizji przewodowej, przez który przełożeni mieli zwyczaj od czasu do czasu ich podglądać. Od tej pory nikt z kompanii nie trudził się patrolowaniem. Natomiast kamery przestawiono na wczesne ostrzeżenie przed nie zapowiedzianymi inspekcjami.

– Nigdy nie wiadomo. Może będziesz miał większe szanse, gdy dolecimy do Chirona – powiedział Sirocco. Wniosek Colmana o przeniesienie został odrzucony przez Inżynierę. – Przyrost ludności wzrośnie jak szalony, a to otworzy różne możliwości. No i masz.

– No i co mam?

– No i masz za to, że jesteś dobrym żołnierzem i parszywym obywatelem.

– Czy ten, kto nie lubi zabijać innych, jest dobrym żołnierzem?

– Oczywiście. – Sirocco podniósł dłoń w pancernej rękawicy, jakby odpowiedź była oczywista.

– Chłopaki, które tego nie lubią, a muszą, robią się wściekli. Jeśli nie mogą wyładować wściekłości na tych, którzy im rozkazują, przenoszą ją zastępczo na nieprzyjaciela. W ten sposób stają się dobrymi żołnierzami. Natomiast ci, którzy to lubią, stają się ryzykantami i giną. Wobec tego nie są tak dobrzy. To logiczne.

– Wojskowa logika – mruknął Colman.

– Nigdy nie twierdziłem, że jest sensowna. – Sirocco rozłożył ręce, przeciągnął się trochę i westchnął. Po chwili milczenia spojrzał ciekawie na Colmana. – Więc... co nowego z tym kociakiem z Brygady?

– Nie ma sprawy.

– Nie leciała?

– Głupia.

– Fatalne. W jaki sposób?

– Astrologia i siły kosmiczne. Chciała się dowiedzieć, pod jakim znakiem jestem urodzony. Powiedziałem jej, że pod znakiem z napisem: Sala Porodowa. – Colman skrzywił się kwaśno. Do diabła, dlaczego muszę bez przerwy dostosowywać się do wszystkich?

Sirocco uśmiechnął się pod wąsem. – Nie nabierzesz mnie, Steve. Po prostu nie chcesz się angażować, póki nie zbadasz szans na Chironie. No, przyznaj się – aż cię korci, by się dorwać do chirońskich dziewczyn. – Pierwszymi zrodzonymi przez maszynę była dziesięcioletnia grupa, stworzona przez *Kuan-yin* w pierwszym dziesięcioleciu od przylotu. Najstarsi z nich mieliby obecnie ponad czterdzieści lat. Według wskazówek zapisanych w komputerach rodzicielskich, pierwsze pokolenie powinno zacząć doświadczenia w zakresie ograniczonej reprodukcji jako dwudziestolatki. To samo miało dotyczyć drugiego pokolenia i w rezultacie podnieść liczbę ludności do około dwunastu tysięcy. Ale Chirończycy mieli widocznie na ten temat własne poglądy, gdyż ludność liczyła już ponad sto tysięcy i wzrastała błyskawicznie, obecnie już w czwartym pokoleniu. Wynikały z tego zastanawiające wnioski.

– Nie ma się czym przejmować – przekonywał Colman nie po raz pierwszy. – Może jest tak, jak niektórzy chłopcy myślą, a może nie. W każdym razie, statystycznie rzecz biorąc, każda dziewczyna w naszym wieku jest tam już prababcią.

– A któż o nich myśli? Czy obliczyłeś sobie, ile słodkich laleczek tam na dole biega luzem? –

zachichotał lubieżnie Sirocco przez interkom. – Założę się, że zanim wejdziemy na orbitę, Swyley zostanie cudownie uleczony. – Niezależnie od tego, czy był daltonistą czy nie, kapral Swyley doskonale orientował się

w sytuacji. Dowodem tego było choćby to, że dokładnie na dwadzieścia cztery godziny przed wyznaczeniem kompanii "D" do dwutygodniowej służby wartowniczej przed Fabryką Bomb, akurat zdążył zameldować, że jest chory na kurcze żołądka. Ponieważ zameldował o tym w czasie wolnym od zajęć, został uznany za chorego; gdyby zgłosił się z kurczami żołądka podczas zajęć, Armia uznałaby go za symulanta.

Rozległ się sygnał wywoławczy ze sztabu Brygady i Sirocco włączył się do kanału fonii, by przyjąć wiadomość. Colman usiadł wygodniej i rozejrzał się. Wskaźniki i sygnalizatory alarmowe na stojącym przed nim pulpicie kontrolnym nic nie wskazywały. W okolicy nikt nie czołgał się pod podłogą, by precyzyjnie się między zewnętrzną i wewnętrzną powłoką statku; nikt nie majstrował przy żadnych drzwiach ani włazach; nie wycinał dziury z przedziału silnikowego, pełną z pokładu akceleratorów o piętro wyżej, ani nie wspinał się ukradkiem w przestrzeni kosmicznej po poszyciu statku. Jednym słowem nikomu dziś nie były potrzebne głowice termojądrowe. Colman wstał i obszedł krzesło. – Muszę rozprostować nogi – odpowiedział na rzucone zza szyby hełmy spojrzenie Sirocca. – Zresztą i tak czas na obchód. – Sirocco skinął głową i dalej mówił do mikrofonu w hełmie. Colman wziął na ramię swoje M32 i wyszedł z wartowni.

Z korytarza skręcił w boczne, nigdy nie używane drzwi i poszedł galerią między zewnętrzną ścianą fabryki i kurtyną z kabli, rut i przewodów, poruszając się w grawitacji wynoszącej 15 procent normalnej powolnymi, niedbałymi susami, które od dawna stały się jego drugą naturą. Chociaż przeniesienie do kompanii "D" było uważane za równoznaczne z degradacją, Colman dozna wielkiej ulgi, gdy na koniec dostał się pod rozkazy kogoś takiego jak Sirocco. Był to jedyny znany mu dowódca, który z chęcią brał ludzi takimi, jacy byli, nie uważając za swój obowiązek przemodelowywania ich na coś innego. Nie mieszał się i nie wtykał nieustannie nosa w cudze sprawy. Jak długo robiono to, czego żądał, nie przejmował się specjalnie tym, w jaki sposób to robiono i pozwala ludziom postępować tak, jak im odpowiadało. Raz wreszcie być traktowanym jak ktoś odpowiedzialny, szanowany, jako istota obdarzona rozumem i umiejająca go używać – było to przeżycie nowe i krzepiące. Większość ludzi w kompanii odczuwała to samo. Nie należeli do gatunku skwapliwie wyrażającego takie uczucia słowami... ale okazywali je.

Nie wpływało to zbyt na utwierdzenie tego typu posłuszeństwa, jaki Armia chciałaby wprowadzić, ale Sirocco na to, co trzeba robić miał własne poglądy, najczęściej znacznie różniące się od przyjętych w Armii. Dobrzy oficerowie bardzo przejmowali się robieniem kariery i awansami, lecz Sirocco nie mógł się zmusić, by Armię traktować naprawdę serio. Oczywiście wielomiliardowej wartości przemysł, stworzony dla zabijania ludzi, był sprawą nader poważną; lecz Colman był przekonany, że Sirocco w głębi duszy nigdy nie dostrzegł wzajemnego powiązania tych spraw. Wojsko było po prostu grą, w którą lubił się bawić. A że przy tym Sirocco ani nie miał zamiaru przejmować się nimi, ani ich gry brać na serio, dali mu kompanię "D". To jednak, jak się okazało, bardzo mu odpowiadało.

Colman dotarł do mostka, łączącego galerię z drzwiami w grodzi, prowadzącymi do jednej z pompowni. Tryt produkowany na rufie w reaktorach pomocniczych był tu sprężany, by wzbogacić plazmę jądrową głównego napędu przed wyrzuceniem jej w przestrzeń. Trudno było sobie wyobrazić skalę gigantycznych sił, wyzwalanych niedaleko stąd w misie odrzutowej, gdy do uszu dochodził tylko ciągły, daleki grzmot. Ale Colman raczej czuł, niż słyszał ten natarczywy, ryczący łoskot, przenikający ze stalowych taśm podłogi przez podeszwy butów skafandra i przez rękawice na

dłoniach opartych na barierce mostka, wysoko nad halą maszyn. I jak zawsze coś w nim w środku drgnęło, gdy poprzez system nerwowy ciało odebrało wrażenie rozpiętej wokół siły – dzikiej, brutalnej, drapieżnej energii, okiełznanej i posłusznej lekkiemu dotknięciu palca na przełączniku. Spojrzał na linie nadprzewodzących szyn zbiorczych, chłodzonych do temperatury ledwie o parę dziesiątków stopni wyższej od zera absolutnego, biegnących o kilka stóp od plazmy rozpalonej do setek milionów stopni; na obudowę akceleratora nad głową, gdzie cząstki atomów pędziły z przyświelną szybkością ścieżkami wytyczonymi z dokładnością do milionowej części cala; na zwoje kabli systemu informacyjnego, przekazującego z mikrosekundy na mikrosekundę wiecznie czuwającym komputerom wiadomości o wszystkim, co się tu działo. I pomyślał, że to wszystko zbudowali ludzie. Musiał to sobie przypominać, bo niekiedy owo miejsce wyglądało tak, jakby cały ten świat zaprojektowany i stworzony przez maszyny był królestwem maszyn, w którym człowiek jest kimś obcym i niepotrzebnym.

Cohnan uważał jednak, że on sam nie był wśród maszyn obcym. Rozumiał je, przemawiał ich językiem, one zaś mówiły do niego. W tej chwili mówiły językiem drgań przenikających jego skafander. Mowa ich była jasna i bezpośrednia. Nie znała sofizmatów i dwuznaczników. Maszyny nigdy nie mówiły czegoś innego, niż myślały, nie dawały mniej, niż obiecały i nie żądały niczego ponad to, o co już poprosiły. Nie kłamały, nie oszukiwały, nie kradły i były uczciwe wobec tych, którzy je uczciwie traktowali. Podobnie jak Sirocco brały go takim, jakim był, a same też nie udawały, że są czymś innym. Nie domagały się, by się zmienił ze względu na nie, i same nie obiecywały, że się zmienią dla niego. Maszyny nie znały pojęć wyższości czy niższości i akceptowały istniejące między nimi różnice – jedne były lepsze do tego, a drugie do czegoś innego. Potrafiły to zrozumieć. Czemu – rozmyślał Colman ludzie tego nie potrafią?

Za mostkiem drzwi w grodzi były otwarte. Koło odemkniętej skrzynki rozdzielczej leżały narzędzia. Colman wszedł przez drzwi do pompowni. Znalazł się na otoczonej barierą platformie, powyżej poziomu podłogi wysokiej hali, ciągnącej się w górę i w dół, podzielonej na piętra systemem dźwigarów i wsporników. Na każdym piętrze mieściła się jedna z wielkich pomp i jej urządzenia pomocnicze. Na poziomie bezpośrednio pod Colmanem pracowała przy pompie grupa inżynierów i monterów. Zdjęli część obudowy na jednym końcu maszyny, rozmontowali łożyska i właśnie podczepiali w górze do suwnicy bramowej liny, na których miał się unieść wirnik. Oparty o barierę Colman śledził ich przez chwilę, kiwając głową w milczącej aprobacie: liny główne i ubezpieczające były należycie, pod kątem prostym, napięte; wirnik podparto klinami, by nie przygniótł monterom dłoni; części wymontowane leżały w porządku z dala od maszyny, obnażone zaś powierzchnie łożyska zabezpieczono wyściółką od uszkodzenia przez przypadkowo upuszczone narzędzie. Lubił przyglądać się dobrej robocie.

Stał tak prawie pięć minut, gdy otworzyły się drugie drzwi o parę kroków dalej i na platformę wyszedł człowiek ubrany tak samo jak inżynierowie pracujący poniżej. Podeszedł do drabinki niedaleko Colmana, zatrzymał się na chwilę obrzucając go dziwnym spojrzeniem i zaczął schodzić na dół. Identyfikator na kieszeni jego kombinezonu nosił napis: B. FALLOWS. Colman podniósł dłoń w pozdrowieniu i przełączył swe radio na częstotliwość lokalną. Hej, Bernard, to ja, Steve Colman. Nie wiem, czy już słyszałeś, ale nie wyszło z przeniesieniem. Niemniej dzięki za poparcie.

Za szybą hełmu na twarzy zagadniętego nie było uśmiechu. Pan Fallows dla was, sierżancie. – Głos był lodowaty. – Przepraszam, ale jestem zajęty. Mniemam, że i wy macie robotę. Czy mogę zaproponować, aby każdy z nas zajął się tym, co do niego należy? – Chwycił za poręcz drabinki, zszedł tyłem z platformy, lekko ześlizgnął się na poziom niżej i odwrócił, by dołączyć do grupy pracujących.

Colman patrzył za nim przez chwilę, wreszcie powoli zrobił w tył zwrot i skierował się do drzwi w grodzi. Nie czuł się ani urażony, ani szczególnie zdziwiony. Zbyt wiele razy widywał podobne sceny. Fallows był niezłym facetem, ktoś tam gdzieś tam natarł mu uszu i koniec. – Może on wie wszystko o tym, jak maszyny działają mruknął do siebie półgłosem Colman, idąc galerią koło ściany Fabryki Bomb. – Ale nie wie, jak one myślą.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Na ekranie ściennym w jadalni Fallowsów, w jednostce mieszkalnej dla funkcjonariuszy wyższych stopni średniego szczebla w segmencie Maryland, wyświetlano film o wojnie 2021 roku. Jay Fallows nie posiadał się z radości, gdy projekcja się zakończyła. Film pokazywał Amerykanów jako wysokich, muskularnych, smukłych ludzi o stalowych oczach, falujących czuprynach, ubranych w mundury kroju marynarkowego, z krawatami, co dowodziło, że noszą je ludzie przyzwoici i dobrze wychowani. Natomiast Sowieci mieli pyski buldogów, byli fałszywi i bezwzględni, nosili włosy krótko ostrzyżone, a mundury zapinane pod szyją, co oznaczało, że chcą zawojować świat. Amerykanie dysponowali lepszą techniką, ponieważ byli lepiej ogoleni.

– Olbrzym nie został zabity – obwieścił wysoki, muskularny, stalowooki bohater swemu wiernemu adiutantowi o falujących włosach, gdy stali przed samolotem pionowego startu Amerykańskich Sił Powietrznych, na szczycie wzgórza San Gabriel nad popieliskiem Los Angeles. – Teraz, gdy jego zadanie zostało wykonane, będzie spał przez chwilę, by zaleczyć rany. Lecz powstanie na nowo, twardszy i zahartowany w płomieniach. To nie pójdzie na marne. – Z odjazdem kamery postacie i pagórek zmniejszyły się szybko, a panorama rozpostarła, obejmując zachodzące słońce, które jednak będzie świadkiem powracającego świtu; zagrzmiała muzyka w porywającym finale trąb i bębnow na tle chóru, który brzmiał jak niebiański.

Jay Fallows myślał przez chwilę, że się wyrzyga, i próbował wyłączyć dźwięk, skubiąc równocześnie resztki lunchu. Na stole przed nim leżał podręcznik astronomii. Za nim zaś matka z jego dwunastoletnią siostrą Marie z milczącą czią syciły się końcowym przesłaniem filmu. Książka otwarta była na stronicę ukazującej konstelacje półkuli północnej, widziane z Ziemi. Wyglądały podobnie jak z *Mayflowera II*, z tym wyjątkiem, że w Kasjopei brakowało jednej gwiazdy – Słońca. Na stronicy obok, w jednym z ramion Krzyża Południa, widniała Alfa Centauri, która ze statku wyglądała jak jaskrawy krąg, błyszczący osobno na pierwszym planie. Proxima Centauri zaś na ziemskiej mapie nie była w ogóle ukazana. Był to słaby czerwony karzeł o blasku poniżej jednej dziesięciotysięcznej jasności Słońca, teraz jednak całkiem bliski i dobrze widzialny z *Mayflowera II*. Zmiany w obrazie gwiazd, niemal niezauważalne z dnia na dzień, a nawet z miesiąca na miesiąc, stały się jeszcze powolniejsze od chwili, gdy główny napęd zaczął stale działać, systematycznie wyhamowując szybkość, z jaką statek przebył cztery lata świetlne kosmosu.

Większość znanych Jayowi dorosłych – to znaczy więcej niż dwudziestopięcioletnich, i tak dalej – uważała, że ma obowiązek okazywania sympatii takim jak on, którzy nigdy nie doświadczyli życia na Ziemi. To, co mu pokazywano, wcale nie dawało pewności, czy rzeczywiście tak wiele stracił. Życie na *Mayflowerze II* było wygodne i bezpieczne, z mnóstwem interesujących zajęć, a w niedalekiej przyszłości czekało go podniecające wyzwanie, jakie rzuciła nowa, nieznana planeta. Na pewno nikt na Ziemi nie mógł się spodziewać czegoś podobnego.

Na lekcjach Nauki Politycznej w szkole podstawowe zadanie *Mayflowera II* zostało określone jako “profilaktyczne wyzwolenie”. Oznaczało to, że ponieważ Azjaci i Europejczycy są tacy jacy są, będą chcieli owładnąć Chironem i przerobić go na swoją zgniłą modłę, jeśli tylko nadarzy im się okazja. Wobec tego *Mayflower II* musiał w ciągu dwóch lat nauczyć Chirończyków, jak się mają bronić. Były też inne, bardziej abstrakcyjne przyczyny, dla których tak ważne było dla Chirończyków, by zostali wychowani i oświeceni: Przyczyn tych jednak Jay nie rozumiał w pełni, gdyż należały do zakresu wielu tajemnic, które niewątpliwie odkryją się same we właściwym czasie, w ramach

rozwiązywania skomplikowanego problemu stawania się człowiekiem dorosłym.

Niezależnie od tego, jakich objawień miał wówczas dostąpić, Jay nie był w stanie zgłębić, co za związek łączy je z budowaniem modeli lokomotyw parowych i uroczystym oświadczeniem ojca, że kontynuowanie przyjaźni ze Steve'em Colmanem nie byłoby dobrym pomysłem. Ale robienie wielkiego szumu z tego powodu nie miałoby sensu, Jay skłamał więc na temat swoich zamiarów nie czując przy tym żadnej winy, jako że ludzie, którzy uczyli go, by był uczciwym, nie dali mu innego wyboru. To znaczy formalnie mu dali, ale to się nie liczyło, bo przecież były sprawy, których i tak nie rozumieli... albo może zapomnieli. Ale Steve zrozumie.

– Cieszę się, że się wówczas jeszcze nie urodziłam – powiedziała Marie za jego plecami. – Nie mogę sobie wyobrazić płonących całych miast. To musiało być okropne.

– Było – potwierdziła Jean. – To lekcja, którą wszyscy musimy pamiętać. A zdarzyło się tak dlatego, że ludzie zapomnieli, iż wszyscy mamy ustalone miejsca w porządku rzeczy i ustalone zadania do wykonania. Zbyt wielu niekompetentnym i niegodnym ludziom pozwolono wznieść się na stanowiska, na które nie zasłużyli.

– *Odbierz co twoje, zapiać coś winien. I rób z ochotą to, coś powinien* – wyrecytowała Marie.

– Doskonale – oświadczyła matka.

Gówniara – pomyślał Jay i odwrócił stronicę. Następny rozdział książki zaczynał się od diagramu układu Centaura, uwydatniając jego centralny układ podwójny z orbitą osiemdziesięcioletniego obiegu wzajemnego. Diagram miał też włamane wizerunki planet, zdjęte najpierw przez instrumenty z *Kuan-yin*, a następnie potwierdzone przez Chirończyków. Poniżej głównego diagramu pokazano spektrogramy podobnej do Słońca Alfy G2v z licznymi prążkami metali; chłodniejszej pomarańczowej Bety Centauri typu K1 z osłabionym błękitnym skrajem widma i słabymi pasmami absorpcyjnymi wolnych rodników oraz M5e, czerwonej Proxymy, z silnymi strefami absorpcji we fiolecie i wyraźnymi prążkami CO, CH i TiO.

– Nie będzie wojny na Chironie, prawda? – zapytała Marie.

– Oczywiście, że nie, kochanie. Po prostu Chirończycy nie zwrócili tyle uwagi ile powinni na to, czego komputery próbowały ich nauczyć. Mieli zawsze maszyny, które dawały im wszystko, czego zapragnęli, i dlatego myślą oni, że życie to jedne wielkie wakacje. Ale to nie ich wina, bo przecież to nie są tacy sami ludzie jak my. – Tego rodzaju opinia była szeroko rozpowszechniona na *Mayflowerze II*, nawet mimo tego, że biskup naczelny wyprawy wiozł z sobą z Ziemi specjalne rozporządzenie, dekretujące, że Chirończycy mają duszę. Jean zdała sobie sprawę, że wyraziła się w sposób wysoce niejasny i pośpiesznie dodała: – No cóż, oczywiście to są ludzie. Ale niezupełnie tacy jak ty, bo urodzili się bez ojców i matek. Nie powinnaś ich nienawidzić, ani nic w tym rodzaju. Po prostu pamiętaj, że jesteś trochę lepsza, bo miałaś trochę więcej szczęścia i wiesz o rzeczach, których oni nie mieli okazji się nauczyć. Tak więc, nawet jeśli będziemy musieli okazać im odrobinę stanowczości, będzie to w końcu dla ich własnego dobra.

– To znaczy wtedy, gdy dostaną się tu Chińczycy i Europejczycy?

– Właśnie. Musimy pokazać Chirończykom, jak stać się silnymi w taki sam sposób, jak myśmy się tego nauczyli, a gdy to zrobimy, nie będzie w ogóle żadnej wojny.

Jay zdecydował, że ma tego dość, wymamrotał usprawiedliwienie i przeniósł się z książką do holu. Ojciec siedział rozwalony w fotelu, dyskutując o polityce z Jenym Pernakiem, zaprzyjaźnionym fizykiem, który wpadł do nich godzinę wcześniej. Polityka była jeszcze jedną tajemnicą, która, jak zakładał Jay, któregoś dnia stanie się dla niego zrozumiała.

By zachować istotne cechy systemu amerykańskiego, życie na pokładzie *Mayflowera II* toczyło się pod kierownictwem administracji cywilnej, której podlegało zarówno dowództwo wojsk

regularnych, jak zorganizowana na wzór wojskowy załoga statku. Głównym ciałem ustawodawczym tej administracji był Najwyższy Dyrektoriat pod przewodnictwem Dyrektora Misji, wybieranego na to stanowisko na trzyletnie kadencje i odpowiedzialnego za nominacje dziesięciu członków Dyrektoriatu. Ostatnia kadencja obecnego Dyrektora Misji, Garfielda Wellesleya, upłynąć miała z chwilą ukończenia podróży. Miały wówczas odbyć się wybory członków rządu, zrekonstruowanego w sposób odpowiedniejszy dla warunków planetarnych.

– Howard Kalens, bez wątpienia – mówił Bernard Fallows. Jeśli mamy tylko dwa lata na doprowadzenie tego miejsca do porządku, on jest właśnie człowiekiem, jakiego nam trzeba. Wie czego chce i mówi o tym, nie bacząc na fanaberie sondaży opinii publicznej. I ma odpowiednie pochodzenie dla takiej funkcji. Nie można stanowiska gubernatora oddać komuś z motłochu, sam rozumiesz.

Pernakowi nie nazbyt się śpieszyło do wyrażenia zgody, na którą Fallows wyraźnie oczekiwał. Zaczął mówić coś nieobowiązującego, przerwał i spojrział na wchodzącego Jaya. – Cześć, Jay. Jaki był film?

– Ech, nie przyglądałem się. – Jay zrobił niejasny gest książką i odłożył ją na półkę. – Taki jak inne.

– O czym tam dziewczyny rozmawiają? – spytał Bernard.

– Nie jestem pewien. Nie przysłuchiwałem się specjalnie.

– Popatrz – on już przygotowuje się do życia małżeńskiego zwrócił się ze śmiechem Bernard do Pernaka. Pernak na chwilę wyszczerzył zęby. Bernard spojrział na syna. – Ano, jest jeszcze dość wcześnie. Już wiesz, co będziesz robił po południu?

– Myślałem, żeby pojechać na parę godzin do Jersey, popracować nad lokomotywą.

– Świetnie. – Bernard skinął twierdząco głową, ale patrzył Jayowi w oczy przez sekundę dłużej, niż było trzeba i z większą powagą, niż tego wymagał ton jego głosu.

– Jak ci z nią idzie? – spytał Pernak.

– Nieźle. Kocioł mam już wypróbowany i zamontowany, a zestawy kołowe gotowe do montażu. W tej chwili staram się dopasować zawory suwakowe do cylindrów wysokoprężnych. Trudna sprawa.

– Dałeś sobie z nimi radę? – spytał Pernak.

– Jeden komplet musiałem złomować – westchnął Jay. Myślę, że muszę dopasować je na nowo. Chyba od tego dziś zacznę.

– No to kiedy mi ją pokażesz?

Jay wzruszył ramionami. – Kiedy pan zechce.

– Zaraz jedziesz do Jersey?

– Wybieram się. Ale nie muszę jechać w tej chwili.

Pernak spojrział na Bernarda i oparł dłonie na poręczach fotela, jakby miał wstawać. – No, mam jeszcze pojechać po południu do Princeton, a do Jersey jest bliżej. Mogę wziąć wóz razem z Jayem.

Bernard wstał. – Oczywiście... Nie zatrzymuję cię, jeśli masz coś do roboty. Dziękuję za zwrot precinaka. – Odwrócił się w stronę jadalni i zawołał głośno: – Hej tam, chcecie się pożegnać z Jerryem?! Wychodzi. – Pernak i Jay czekali przy drzwiach na Jean i Marie.

– Idziesz? – spytała Jean Pernaka.

– Robota sama się nie zrobi. Po drodze zatrzymam się w Jersey, obejrzeć jak tam jego lokomotywa.

– Ach, ta lokomotywa! – Jean spojrziała na syna. – Znowu nad nią pracujesz?

– Może jeszcze przez parę godzin.

– No to nie siedź tym razem przez pół nocy, dobrze? – A do Pernaka: – Uważaj, Jerry. Dziękuję za wizytę. Kłaniaj się Ewie i przypomnij jej, że już znowu czas na wspólny obiad. W zeszłą niedzielę po kościele mówiła, że zatelefonuje do mnie w tej sprawie, ale nie zadzwoniła.

– Przypomnę jej – obiecał Pernak. – Gotów, Jay? No to w drogę.

Pernak czarne jak smoła włosy nosił krótko przystrzyżone, był mocno zbudowany i miał ruchliwą twarz, która zawsze fascynowała Jaya nieograniczoną możliwością przybierania różnych wyrazów. W szkole Jaya Pernak miał serię wykładów z fizyki i zdobył popularność, zarówno przez umiejętność zabawienia słuchaczy, jak przez doskonałą znajomość tematów. Umiał je przekazywać pasjonująco, wtrącając zaskakujące uwagi o tym, co się dzieje wewnątrz czarnych dziur; o łamigłówkach związanych z pierwszymi minutami istnienia wszechświata czy fantastycznych domysłach na temat życia w skrzywionych czasoprzestrzeniach o niezwyklej geometrii. Kiedyś pokazał grafy Feynmana, ukazujące cząstki elementarne jako linie przecięcia n – wymiarowego wszechświata z continuum dwuwymiarowym, którego jedna oś reprezentowała przestrzeń, a druga czas. Matematycznie i teoretycznie cząstka poruszająca się w przód po osi czasu była nieodróżnialna od swej antycząstki, poruszającej się wstecznie. Pernak zaś postawił słuchaczy wobec oszałamiającej hipotezy, że w całym wszechświecie być może istnieje jeden tylko elektron – powielający się nieustannie – biegnąc w czasie w przód jako elektron i powracając w przeciwnym czasie jako pozyton. To przynajmniej, podkreślił Pernak, wyjaśniałoby fakt, że wszystkie one mają taki sam ładunek i masę, czego dotychczas nikt nie potrafił wytłumaczyć w bardziej zadawalający sposób.

Pernak szedł zadziwiająco długimi jak na swój wzrost krokami i Jay musiał się śpieszyć, by nie zostawać w tyle. Podążali wzdłuż gęsto zamieszkanego, ale sprawiającego wrażenie izolowanego dzięki pomysłowemu układowi krzyżujących się tarasów, bloków mieszkalnych segmentu Maryland.

Już po chwili Pernak zaczął opowiadać o zmianach fazowych w prawach fizyki i ich przejawianiu się jako proces ewolucji. Jedną z zalet Pernaka było zdaniem Jaya to, że trzymał się zawsze tematu i nie obciążał go moralizowaniem ani nieproszonymi radami dorosłego człowieka. Chłopiec nie był pewien, czy taka postawa wynikała ze skrywanej niewiary w skuteczność moralizatorstwa, czy też Pernak był po prostu zdania, że należy pilnować własnego nosa. Nigdy nie zdobył się jednak na postawienie fizykowi takiego pytania.

Doszli do stacji kapsuł pasażerskich i stanęli na peronie, gdzie już czekało cztery czy pięć osób. Parę z nich było sąsiadami, pozdrowili Jaya skinieniem głowy. Najbliższa kapsuła okólna wzdłuż Pierścienia miała nadszednąć za minutę z sekundami. Jay i Pernak zatrzymali się przed plakatem wyborczym, ukazującym surowe i arystokratyczne rysy Howarda Kalensa, obejmującego opiekuńczym spojrzeniem łaskawego, choć powściągliwego bóstwa planetę Chiron. Hasło było krótkie: POKÓJ I JEDNOŚĆ.

– Traktuj to jak zmiany fazowe, które opisują przejścia między stanem stałym, ciekłym i gazowym – rzekł Pernak. – Prawa dla gazów sprawdzają się tylko w pewnym ograniczonym zakresie. Jeśli będziesz próbował ekstrapolować je zbyt daleko, otrzymasz zwariowane wyniki, w rodzaju objętości osiągającej wartość zerową, i tak dalej. W rzeczywistości nie może to nastąpić, ponieważ gaz przechodzi w ciecz, zanim osiągnie się tę granicę. A wtedy występują zachowania inne jakościowo, z nowymi, własnymi prawami.

– Mówi pan, że ewolucja jest serią zmian tego typu?

– Tak, Jay. Ewolucja jest nieustannym procesem wynurzania się układów bardziej uporządkowanych i skomplikowanych z prostszych, na zasadzie serii faz następujących po sobie. Najpierw była ewolucja fizyczna, następnie atomowa, później chemiczna, później biologiczna, jeszcze później zwierzęca, na koniec ludzka, a teraz mamy do czynienia z ewolucją społeczeństw

ludzkich. – Przy wymienianiu każdej fazy ruchliwa twarz Pernaka przybierała coraz to inny wyraz. – Podczas każdej fazy pojawiają się nowe stosunki i właściwości, które można wyrazić tylko w kontekście tego wyższego poziomu, nie można zaś wyrażeniami, dotyczącymi procesów działających na niższych szczeblach ewolucji.

Jay myślał przez kilka sekund i powoli skinął głową. – Sądzę, że zrozumiałem. Chce pan powiedzieć, że sposoby działania ludzi i ich uczucia nie mogą być opisane wyrażeniami dotyczącymi związków chemicznych, z jakich są zbudowani. Molekuła DNA to o wiele więcej, niż wiązka nie zorganizowanych ładunków walencyjnych. Sposób, w jaki jest zorganizowana stwarza jej własne prawa.

– Dokładnie tak, Jay. Masz do czynienia ze wstępującą hierarchią rosnących poziomów komplikacji. Na każdym poziomie pojawiają się nowe powiązania i znaczenia, które są funkcją samego poziomu i w ogóle nie istnieją na poziomach niższych. Na przykład w alfabecie jest dwadzieścia sześć liter. Jedna litera zawiera mało informacji, ale jeśli uporządkować litery w słowa, liczba rzeczy, które można nimi opisać, wypełni cały słownik. Jeśli zaś ułożysz słowa w zdania, zdania w akapity, i tak dalej, aż do całej książki, osiąga się różnorodność praktycznie nieskończoną i można przekazać każdą treść, jakiej się zapragnie. A przecież wszystkie książki, kiedykolwiek napisane po angielsku, zawierają tylko te same dwadzieścia sześć liter.

Nadjechała. kapsuła. Jay milcząco przetrwał słowa Pernaka. Gdy wsiedli, chłopiec wprowadził do tablic przy drzwiach kod stacji w segmencie Jersey. Usiedli na wolnych miejscach naprzeciw siebie, kapsuła ruszyła. Po krótkim rozbiegu wjechała w rurę wyjściową z Marylandu i przeszła przez jeden z kulistych łączników przegubowych, które zarówno sprzęgały poszczególne segmenty Pierścienia w całość, jak stanowiły obudowę łożysk i mechanizmów obrotowych, regulujących położenie segmentów zależnie od ruchu statku. Przez krótką chwilę oglądali przez przezroczysty pancerz zewnętrzny ogromne Wrzeciono, które zdawała się podtrzymywać o trzy mile ponad ich głowami siatka belek i trawersów, z ogromem kosmosu otwierającym się po obu jego stronach. Zaraz potem wjechali do segmentu Kansas, a widok za oknem zmienił się: ogrodzone pastwiska i spiętrzone poziomy osiedli rolnych, gospodarstw rybnych i basenów hydroponicznych.

– Okay, w ten sposób można cofać się aż do Big Bangu Wielkiego Wybuchu – powiedział wreszcie Jay. – A stamtąd dokąd jeszcze można się posunąć?

– Z klasycznego punktu widzenia – nigdzie. Ale jestem całkiem pewien, że jeśli napotykasz teorię zawierającą osobliwości, nieskończoności i nonsensowne wyniki, jest to pewna wskazówka, że starasz się przepchnąć znane ci prawa poza zmianą fazową, na obszar, na którym już nie działają. Myślę, że tak jest w tym właśnie wypadku.

– No to jak daleko można pójść? – nie ustępował Jay.

– Ze znanymi nam prawami fizyki – nigdzie, co jest tylko inną formą powtarzania dobrze znanych wniosków. Ale uważam za błąd podtrzymywanie przekonania, że przedtem nie było niczego w sensie przyczynowym – oczywiście jeżeli “przedtem” oznacza cokolwiek podobnego do tego, co zwykle uważamy, że znaczy. Pernak pochylił się do przodu i zwilżył wargi. – Dam ci luźną analogię. Wyobraź sobie płomień. Załóżmy, że istnieje rasa istot płomiennych, które żyją wewnątrz niego i mogą opisywać procesy zachodzące wokół nich terminami fizyki płomienia, które sobie stworzyli. Okay? – Jay zmarszczył brwi, ale skinął twierdząco. Załóżmy teraz, że dysponując tymi prawami, mogą prześledzić wstecz całą swoją historię do momentu, gdy płomień zapalił się po raz pierwszy na główce zapalniczki czy gdziekolwiek. Dla nich będzie to początek ich wszechświata, nieprawdaż?

– Och, zgoda – oświadczył Jay. – Ich prawa nie mogą im nic powiedzieć o zimnym wszechświecie przed tym momentem. Fizyka płomienia mogła się pojawić dopiero wtedy, gdy już

powstał płomień.

– Zmiana fazowa, wytwarzająca swe własne prawa – potwierdził, kiwając głową, Pernak.

– I mówi pan, że Wielki Wybuch to było coś podobnego?

– Mówię, że to bardzo prawdopodobne. Zmianę fazową inicjuje koncentracja energii – gęstość energii – tak jak na główce zapalki. Dlatego może się okazać, że Wybuch i wszystko, co po nim nastąpiło, były wynikiem koncentracji energii, która nastąpiła z jakichkolwiek przyczyn w systemie rządzonej przez prawa odmienne jakościowo, których istnienie dopiero zaczynamy podejrzewać. Właśnie w tym kierunku prowadzę badania.

Znowu błysnęły gwiazdy i już byli w Idaho, w jednym z dwóch segmentów konstrukcyjnie sztywno połączonych z Wrzecionem. Wnętrze jego było gmatwaniną przestrzeni otwartych i zamkniętych, metalowych ścian i kratownic, cystern, rur, tuneli i maszynierii. Zatrzymali się na chwilę, by przyjąć nowych pasażerów, zapewne przybywających z Wrzeciona linią średnicową. Kapsuła znów ruszyła.

– To otworzyłoby możliwości, od których mózg się może zagotować – podjął temat Pernak. – Przypuśćmy na przykład, że bylibyśmy w stanie zrozumieć te prawa i na miniaturową skalę stworzyć nasze własne koncentracje, przenoszące energię z... nazwijmy to coś hiperkosmosem, do naszego własnego wszechświata – jednym słowem wytwarzać “Małe Wybuchy” – białe minidziury. Pomyśl, co by to było za źródło energii! Reakcja termojądrowa wyglądałaby przy tym, jak wystrzał z kapiszonu. Pernak zamachał rękami. – Albo jeszcze coś innego, Jay. Może się okazać, że otoczenie, w którym żyjemy leży na gradiencie pomiędzy jakimś hiperźródłem, które wlewa masę – energię do naszego świata i jakimś hiperodpływem, który je odbiera – może czymś w rodzaju czarnych dziur. Gdyby tak było, to wszechświat nie byłby wcale zamkniętym układem termodynamicznym. A wtedy proroctwa zagłady wszechświata przez zamrożenie, które ma kiedyś nastąpić, mogą być bzdurą, bo drugie prawo termodynamiki odnosi się tylko do układów zamkniętych. Innymi słowy: może odkryjemy, że jesteśmy istotami płomiennymi, zamieszkującymi fabrykę zapalek.

Kapsuła dojechała do segmentu Jersey i zaczęła zwalniać, zbliżając się do miejsca przeznaczenia zaprogramowanego przez Jaya. Warsztaty i inne publicznie dostępne urządzenia dla majsterkowiczów były rozłożone na bliższym skraju głównych terenów fabrycznych. Jay poprowadził drogą obok budynków administracyjnych i wzdłuż galerii, przez hałaśliwą okolicę woniejącą olejem i rozgrzanym metalem, do obitych stalową blachą wrót. Przez małe boczne drzwi weszli do portierni, gdzie za szklaną ścianką dozorca grał ze strażnikiem w karty na starym, porysowanym metalowym stole. Na widok Jaya i Pernaka portier wstał i zbliżył się powłócząc nogami. Jay pokazał zaświadczenie szkolne, pozwalające mu na bezpłatne korzystanie z warsztatów. Portier wsunął kartę do terminalu komputerowego, po czym zwrócił ją wraz z żetonem na pobieranie narzędzi od magazyniera warsztatów.

Gdy Jay już się zbierał, by pójść dalej, portier zatrzymał go. Jest tu coś dla ciebie. – Sięgnął pod stół i wyjął kartonowe pudełeczko z nabazgranym nazwiskiem Jaya.

Zdumiony Jay przeciął opakowanie i otworzył pudełko. Wewnątrz leżał kawałek wykładziny piankowej i złożona kartka. Pod wykładziną, wtulony w gniazdko z gąbki gumowej, leżał zapakowany w natłuszczony papier komplet części do zaworu suwakowego cylindra wysokoprężnego, wykończonych, wypolerowanych i błyszczących. Na kartce było napisane:

Jay,

Pomyślałem sobie, że będziesz potrzebował pomocy z tym tutaj, więc zrobiłem to zeszłej nocy. Jeśli mnie przecucie nie myli, masz drobne trudności. Nie ma sensu niepokoić ludzi, którzy

chcieliby dobrze. Wierz mi, to nie jest taki zły facet.

STEVE

Jay zamrugał gwałtownie i spojrzał na Pernaka, który przyglądał mu się ciekawie. Poczł się jak winowajca, nie umiejąc znaleźć koniecznego, jak się zdawało, wyjaśnienia. – Bernard opowiedział mi wszystko – rzekł Pernak, zanim Jay znalazł odpowiedź. Myślę, że ma w tej chwili duże trudności, więc nie doszukuj się w tym niczego więcej. – Spojrzał na pudełko w ręce Jaya. – Nic nie widziałem, w ogóle niczego. Chodź, Jay, obejrzymy sobie tę twoją lokomotywę.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Chiron miał prawie dziewięć tysięcy mil średnicy, ale jego żelazo – niklowe jądro było nieco mniejsze od ziemskiego. W rezultacie grawitacja na powierzchni była zbliżona. Jego okres obrotu wokół osi wynosił trzydzieści jeden godzin, sama zaś oś była bardziej nachylona wobec płaszczyzny orbity, niż ziemską. W połączeniu z bardziej wydłużoną elipsą orbity – skutkiem perturbacji, wynikających z bliskości Bety Centauri – dawało to w wyniku większą rozpiętość klimatyczną między szerokościami geograficznymi i większą różnorodność pór roku. W towarzystwie dwóch, podziobanych kraterami księżyców – Romulusa i Remusa Chiron obiegał Alfę Centauri w ciągu 419,66 dni.

Okolo 35 procent jego powierzchni zajmowały lądy, przede wszystkim trzy główne kontynenty. Największym z nich była Terranova, obszerny, wydłużony ze wschodu na zachód konglomerat wszelkich możliwych regionów geograficznych, panujący nad półkulą południową i rozciągający się zza bieguna aż po równik na swym północnym skraju. Selene, o poszarpanej linii brzegowej i z mnogością przylegających wysp, była połączona z zachodnią częścią Terranovy międzymorzem, zwężającym się do przesmyku poniżej równika. Artemia leżała bardziej na wschód, oddzielona przez oceany.

Choć na pierwszy rzut oka Terranova wydawała się zwarta i masywna, rozcinało ją prawie na dwoje rozciągnięte południkowo morze wewnętrzne, zwane Śródchirońskim, łączące się na północy wąską cieśniną z oceanem. Wysoki łańcuch górski na wschód od Morza Śródchirońskiego dopełniał podziału Terranovy na dwa subkontynenty – Orienę na wschodzie i Occidenę na zachodzie.

Na planecie rozwinęły się różnorodne formy życia. Niektóre z nich zbliżały się wyglądem i zachowaniem do przedstawicieli ziemskiej flory i fauny, niektóre zaś nie. Chociaż kilka gatunków dążyło po omacku ku ścieżce, na którą na Ziemi przed dwoma milionami lat wkroczyli hominidzi, nie pojawiła się jeszcze wśród nich kultura oparta na autentycznej inteligencji, języku i używaniu narzędzi.

Morze Śródchirońskie rozciągało się od chłodnej południowej strefy klimatycznej aż do gorących, subtropikalnych szerokości u jego ujścia. Wzdłuż wschodniego brzegu ciągnął się wąski pas nizin nadbrzeżnych, po części otwartych, po części zaś lesistych, stromo przechodzący w podnóże Łańcucha Wielkiej Bariery, za którym rozłożyły się szeroko równiny i pustynie centralnej Orieny. Occidena na przeciwległym brzegu była na znacznej długości bardziej dostępna z morza, ale niziny na zachodzie dzielił na dwie kotliny biegnący na wschód łańcuch górski. Przedłużenie łańcucha sięgało morza jak kamienny kręgosłup pofałdowanych dolin, otoczonych malowniczymi zielonymi równinami, piaszczystymi zatokami i poszarpanymi przylądkami. Nosiło ono nazwę Półwyspu Mandela na cześć znanego męża stanu z lat 2010. U podstawy półwyspu, na północnym brzegu, roboty z *Kuan-yin* obrały miejsce dla Franklina – pierwszego osiedla mieszkalnego na powierzchni planety, zbudowanego w czasie, gdy pierwsi Chirończycy przebywali jako niemowlęta na pokładzie swego statku – matki.

W ciągu czterdziestu dziewięciu lat Franklin wyrósł na pokaźne miasto. W nim i wokół niego mieszkała większość ludności Chirona. Pojawiły się też inne osiedla, przede wszystkim na wybrzeżach Morza Śródchirońskiego lub w ich pobliżu.

Łączność między Ziemią i *Kuan-yin* była podtrzymywana od chwili startu statku automatycznego w 2020 roku, chociaż nie przebiegała w czasie rzeczywistym wobec rosnącej odległości i

progresywnie wzrastającego okresu opóźnienia w przekazywaniu depesz. Pierwsza wiadomość do Chironian nadeszła, gdy najstarsi z nich mieli po dziewięć lat. Była to odpowiedź z Ziemi na otrzymany z *Kuan-yin* pierwszy sygnał o osiągnięciu celu podróży. Odtąd kontakt był stale podtrzymywany, ale pojedyncza wymiana depesz trwała dziewięć lat. Natomiast *Myflower II* obecnie był zaledwie dziesięć dni świetlnych od Chirona i coraz bardziej doń się zbliżał, korzystał więc z informacji o warunkach na planecie, jakie do Ziemi dotarłyby po latach.

Chirończycy odpowiadali dość chętnie na pytania o przyrost i rozmieszczenie ich ludności, o rozwój i zdolność produkcyjną przemysłu wydobywczego i pracujących z wykorzystaniem energii jądrowej zakładów przetwórczych i wytwórczych, o programy szkolne, programy badawcze w laboratoriach, dzieła artystów i kompozytorów, osiągnięcia inżynierów i architektów oraz o wyniki badań geologicznych takich okolic, jak upalne lasy deszczowe południowej Selene czy daleki północny mroźny Subkontynent Lodowy.

Natomiast bardziej powściągliwi byli co do szczegółów swego systemu administracyjnego, w oczywisty sposób daleko odbiegającego od uporządkowanego wzorca, zawartego we wskazówkach, do których, jak zakładano, mieli się zastosować. Wskazówki zawierały plan systemu wyborczego, który miał zostać wprowadzony w życie z chwilą, gdy pierwsze pokolenie osiągnie wiek pokwitania. Ich intencją było nie tyle zaprowadzenie tam i wówczas funkcjonującego systemu decyzyjnego – komputery mogły sobie doskonale dać radę z istotnymi problemami – ile wpojenie Chirończykom w młodym już wieku idei rządów reprezentacyjnych i zasady elity rządzącej: Miało to stanowić psychologiczne podstawy działania systemu społecznego, nadającego się w przyszłości do wcielenia w dotychczas przyjęte na Ziemi wzorce. Ze skąpych wypowiedzi na ten temat zdawało się wynikać, że pierwsze pokolenia zignorowały zupełnie te wskazówki i w ogóle nie posiadały godnego uwagi systemu rządów. Było to absurdem, gdyż jak wynikało z innych odpowiedzi, żyli oni w kwitnym i technicznie zaawansowanym społeczeństwie, kierując nim, jeśli mówili prawdę, całkiem sprawnie. Innymi słowy całą masę spraw ukrywali.

Choć w swych transmisjach laserowych wydawali się grzeczni i szczerzy, wiało od nich chłodem, wystarczającym, by obudzić podejrzenia. Nie wyglądało na to, by pożądliwie wyczekiwali przybycia swych dalekich zbawców. I jak dotychczas nie odpowiedzieli na żądanie ze strony Misji, by uznali jej suwerenność nad kolonią w imieniu Stanów Zjednoczonych Nowego Porządku.

– Mydłą nam oczy – oświadczył generał Johannes Borfontein, Naczelny Dowódca Sił Zbrojnych Ekspedycji Chiron – oddziałów regularnych na pokładzie *Mayflowera II* – małej grupie zwołanej przez siebie na prywatną dyskusję polityczną z Garfieldem Wellesleyem w osobistej sali konferencyjnej Dyrektora Misji, położonej na wyższym poziomie Centrum Rządowego w segmencie, znanym pod nazwą Dystryktu Kolumbia. Generał miał ziemistą i poorly zmarszczkami twarz, włosy czarne z siwymi pasmami, głos zaś pobrzmiwający resztkami gardłowego akcentu, odziedziczonego wraz z pochodzeniem z Afryki Południowej. – Na zorganizowanie tego przedstawienia mamy dwa lata, a oni grają z nami w ciuciubabkę. Na to czasu nie mamy. Nie mamy też dowodów istnienia na planecie jakiegokolwiek planu obrony. Twierdzą, że powinniśmy wylądować z demonstracją siły i natychmiast ogłosić stan wojenny. To najlepsze rozwiązanie.

Admirał Mark Slessor, który dowodził załogą *Mayflowera II*, nie wyglądał na przekonanego. – Nie wiem, czy to takie proste. Mają zakłady termojądrowe, mają promy orbitalne, transkontynentalne odrzutowce i system komunikacyjny, obejmujący całą planetę. Skąd możemy wiedzieć, czy nie pracują nad obroną? Mają ku temu środki i umiejętności. Rozumiem punkt widzenia Johna, ale jego podejście do sprawy jest zbyt ryzykanckie.

– Nigdy nie widzieliśmy niczego związanego z obroną, oni zaś nigdy o tym nie wspominali –

nalegał Borfontein. – Trzymajmy się rzeczywistości i znanych faktów. Po co komplikować rozwiązanie spekulacjami?

– A co ty sądzisz, Howard? – zapytał Garfield Wellesley Howarda Kalensa, siedzącego obok milczącego jak dotąd, z ponurym wyrazem twarzy, Zastępcy Dyrektora Misji, Matthew Sterma.

Jako Dyrektor Łączności, Kalens stał na czele zespołu dyplomatycznego do spraw nawiązania stosunków z przywódcami chirońskimi i był głównym odpowiedzialnym za zaplanowanie polityki, która miała, stopniowo, w miesiącach następujących po lądowaniu, doprowadzić do utworzenia rzekomo wspólnego, a w rzeczywistości zdominowanego przez Ziemian rządu kolonii. Problem dotyczył go więc w większym stopniu niż kogokolwiek tu obecnych. Kalens najpierw nadał odpowiednią pozycję swemu długiemu, starannie wypielęgnowanemu i odzianemu ciału. Następnie odpowiedział. – Zgadzam się z Johnem, że surowe rządy należy wprowadzić wcześniej... może będzie można je złagodzić nieco później, gdy Chirończycy już się nam podporządkują. Niemniej Mark też ma trochę racji. Jeśli tylko można, powinniśmy unikać ryzyka działań wojennych i myśleć o nich tylko jako o ostateczności. Będziemy potrzebowali, by te siły i środki pracowały dla nas, nie przeciw nam. A mamy je nader skąpe. Nie możemy sobie pozwolić na ich roztrwonienie albo zniszczenie. Być może sama groźba użycia siły wystarczy do osiągnięcia naszych celów – bez tak skrajnych kroków jak otwarta demonstracja siły czy zaczynanie działań od ogłaszania stanu wojennego.

Wellesley opuścił wzrok na swe dłonie i długo się im przyglądał. Rozmyślał nad tym, co usłyszał. Przekroczywszy sześćdziesiątkę, miał za sobą dwadzieścia lat odpowiedzialności na pozaziemskich stanowiskach kierowniczych i dwie kadencje jako Dyrektor Misji. Choć w jego bladych, spoglądających spod przerzedzonej rudawej czupryny oczach jeszcze pojawiały się metaliczne błyski, a rysy jastrzębiej twarzy nadal były ostre i wyraziste, widać już po nim było pierwsze oznaki wyczerpania psychicznego: zapadnięte policzki, więdnąca szyja, ledwie widoczne pod marynarką opadnięcie ramion. Wszystko to zdawało się zapowiadać, że Garfield Wellesley, gdy ostatecznie doprowadzi *Mayflowera II* do celu podróży, z zadowoleniem zrzeknie się swych funkcji.

– Sądzę, że nie bierzecie dostatecznie pod uwagę efektów psychologicznych u naszych własnych ludzi – powiedział na koniec, podnosząc wzrok na zebranych. – Obecnie, gdy jesteśmy niemal na miejscu, morale jest wysokie i nie chcę go niszczyć. Postaraliśmy się wpoić masom taki wizerunek Chirończyków, by nasi ludzie przyjęli wobec nich postawę stanowczą. Nieustannie podkreślaliśmy, że przeważa wśród nich młodzież. – Potrząsnął głową. – Metody twardej ręki nie są właściwym sposobem postępowania z tymi, których powszechnie uważa się za rasę dzieci. Po prostu wewnątrz naszego własnego obozu wywołałibyśmy niechęć i sprzeciwy, a tego sobie absolutnie nie życzymy. Tak, musimy pokierować sytuacją w sposób stanowczy, ale elastyczny i umiarkowany, póki się nie umocnimy. Nasze siły muszą być w stanie gotowości na wszelkie niespodzianki, ale bez ostentacji, chyba że okoliczności zmuszą nas do zmiany postępowania. Oto moja recepta, panowie – stanowczo, cicho i elastycznie.

Jeszcze przez pewien czas trwała dyskusja, ale Wellesley ciągle jeszcze był Dyrektorem Misji i władzą najwyższą, jego więc punkt widzenia ostatecznie przeważał. – Zrobię, jak zechcesz, ale nie powiem, że z przyjemnością – oświadczył Borfontein. – Może wielu z nich to jeszcze dzieci, ale jest także prawie dziesięć tysięcy z pierwszego pokolenia i około trzydziestu tysięcy, które już kończą albo przekroczyły wiek nastolatków. Czyli aż nazbyt wielu dorosłych, zdolnych sprawić nam kłopoty. Musimy więc mieć plan działania w nieprzewidzianych wypadkach, i to z założeniem, że będziemy zmuszeni do aktywności i podjęcia inicjatywy.

– Czy zgłaszasz to jako wniosek? – zapytał Wellesley. Proponujesz stworzenie na wypadek nieprzewidzianych okoliczności planu, zakładającego, że użyjemy siły jako pierwsi?

– Musimy brać pod uwagę i taką ewentualność i musimy być na nią przygotowani – odpowiedział Borfontein. – Tak, to jest mój wniosek.

– Popieram – mruknął Howard Kalens.

Wellesley spojrział na Slessora, który chociaż ciągle jeszcze nie wyzbył się obaw, wyglądał równocześnie, jakby mu z jakichś niejasnych przyczyn ulżyło. Wellesley ociężale skinął głową. Dobrze. Działaj na tej podstawie, John. Ale traktuj te plany i sam fakt ich istnienia jako ściśle tajne. O ile tylko się da, ogranicz je do oddziałów SS, wojska w to nie wciągaj, jeśli nie będziesz do tego zmuszony.

– Powinniśmy też podpowiedzieć środkom przekazu, by od tej chwili udoskonalily sposoby oddziaływania – rzekł Kalens. Może mocniejsze podkreślanie takich cech, jak upór i nieodpowiedzialność Chirończyków usztywni opinię publiczną... na wszelki wypadek. Mogą też dać jedną czy parę wzmianek, że istnieją oznaki, iż Chirończycy być może są uzbrojeni i trzeba być na to przygotowanym. Zawsze można to będzie w razie potrzeby zdementować jako informacje przesadzone. Czy mam szepnąć słówko Lewisowi na ten temat?

Wellesley dumiał przez parę chwil nad tą propozycją, ale w końcu skinął głową. – Myślę, że owszem, powinieneś to zrobić.

Sterm przyglądał się, słuchał i milczał.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Howard Kalens siedział przy biurku w gabinecie swojej willi położonej wśród wypielegnowanych krzaków i roślin, w sektorze mieszkalnym dla szczytów hierarchii władzy w Dystrykcie Kolumbia, kontemplując porcelanowy flakon, który z wolna obracał w dłoniach. Wazon pochodził z Korei, z czasów trzynastowiecznej dynastii Koryo. Miał około czternastu cali wysokości, długa szyjka płynnie przechodziła w gruszkowaty brzusiec, pokryty seledynową polewą z delikatnie wtopionymi *mishirna*, przedstawiającymi wierzbę wśród symetrycznych motywów kwiatowych, ujętych w dekoracyjne bordiury o powtarzającym się rysunku liści. Biurko z masywnego orzecha było w stylu dziewiętnastowiecznego nawrotu francuskiego rokoka, z dobrze dobranym fotelem roboty tego samego artysty. Wśród książek, ustawionych na półkach za siedzącym w fotelu Kalensem, znajdowały się pierwsze wydania Henry'ego Jamesa, Scotta Fitzgeralda i Normana Mailera; Matisse na przeciwległej ścianie był reprodukcją oryginału, przechowywanego w skarbcu *Mayflowera II*; obok niego wisiały litografie Rica Lebruna. Oczy Kalensa rozkoszowały się delikatną równowagą szczegółów i kontrastami barw; jego palce gładziły powierzchnię flakonu; on sam zaś napawał się uczuciem, że powrócił maleńki ułamek sekundy i miejsca z odległych miejsc i czasów, by przez krótką, ulotną chwilę być tylko jego własnością.

Koreański rzemieślnik, który wymodelował ten przedmiot, zapewne żył prostym życiem, nie narzekał na swój los i mógł zejść ze świata z pełną satysfakcją świadomością, że stworzył piękno z niczego i przez swój krótki pobyt na tym świecie pozostawił go bogatszym – myślał Kalens. – Czy jego azjatyccy potomkowie po ośmiu wiekach będą w stanie powiedzieć to samo lub mieć to samo poczucie doświadczenia celu, rozdrapując między siebie masowo produkowane dobra konsumpcyjne, afiszując się z arogancją nowobogackich w domach mody i salach aukcyjnych Londynu, Paryża i Nowego Jorku, czy wylegając na pokładach zbytkownych jachtów u wybrzeży Australii? Kalens wątpił w taką możliwość. Cóż więc dało światu ich tak zwane wyzwolenie, poza sprostytuowaniem jego skarbów, zdeprecjonowaniem wartości kulturowych i zatopieniem płodów jego najwspanialszych umysłów w potopie płaskiego egalitaryzmu i powszechnej utraty smaku? Takie samo niszczące pasożytnictwo mas, rozrastające się w tkance społecznej jak złośliwa choroba, o pół wieku wcześniej rzuciło Zachód na kolana.

Spółeczeństwo w warunkach naturalnych jest jak lodowiec. Osiem dziewiątych pogrążonych w grubej ignorancji i służących jedynie temu, by wynieść i podtrzymywać wartościową mniejszość, która wcielając wszystko co najbardziej wysublimowane, co najdoskonalsze w swej rasie, nabywała przez to prawa do przywilejów obok obowiązku władzy. Klęska 2021 roku tym była wywołana, że równowagę naruszyło zbyt wiele balastu ludzkiego, którego miejsce było na dole, balastu usiłującego wspiąć się powyżej środka ciężkości. I lodowiec przewrócił się do góry dnem. Wojna była ceną, którą przyszło zapłacić za to, że kupcykowie zaczęli pozować na mężów stanu, brygadziści fabryczni na fabrykantów, lumpy zaś wymachując dyplomami wyższych uczelni na właścicieli. Ceną za pomieszanie elementarnej wykształcenia z wiedzą i uznania prostodusznego marzycielstwa za dowód wartości duchowych. Ale dziś, gdy doktryna Nowego Porządku zaczęła leczyć Zachód z choroby, na drugiej półkuli wybuchła nowa epidemia – skutek nie kontrolowanego rozrostu azjatyckiego dobrobytu w następstwie wojny. Wszystko to dowodziło, że gatunek ludzki jako całość nigdy się niczego nie nauczy.

– Przeciętność posiadzie Ziemię – powiedział Kalens któregoś dnia 2055 roku do żony Celi,

powróciwszy do ich rezydencji w stanie Delaware z serii rozmów z europejskimi ministrami spraw zagranicznych. – Albo wreszcie dojdzie do nowej wojny.

Dlatego właśnie Kalensowie wyruszyli na *Mayflowerze II*, by w dalekich przestrzeniach stać się świadkami budowy nowego społeczeństwa, które oprze się na lekcjach płynących z przeszłości, lecz nie będzie obciążone jej fatalnym dziedzictwem. Nie trzeba będzie walczyć z tradycjami płonnych nadziei, ustępować przed rywalizacją zagranicy, nie będzie rozrodzonych w miliardowe rzesze wrzaskliwych, bezużytecznych mas, dla których trzeba wymyślać jakieś zajęcia. Chiron stanie się czystym, nienaruszonym, niepokalanym płótnem, które czeka, by Kalens pierwszy nakreślił na nim swoje plany.

Trzy przeszkody stały między Kalensem i latami kształtowaną przezeń wizją przewodzenia jego własnej odmianie ustroju neofeudalnego, która będzie wcieleniem idealnego modelu społeczeństwa. Po pierwsze, trzeba będzie zapewnić sobie zwycięstwo w wyborach o sukcesję po Wellesleyu. O to mógł być niemal spokojny: Lewis skutecznie koordynował kampanię środków masowego przekazu, sondaże opinii dawały doskonałe wyniki. Drugim był problem Chirończyków. Chociaż wolałyby proste i bez cudów rozwiązanie Borfonteina, Kalens musiał przyznać, że po sześciu latach umiarkowanego kursu Wellesleya opinia publiczna *Mayflowera II* będzie się domagać bardziej dyplomatycznego podejścia. Jeśli dyplomacja odniesie sukces i Chirończycy gładko się zintegrują z przybyszami, tym lepiej. Jeśli nie, możliwości militarne Misji zapewnią ostateczne rozwiązanie czy to groibą czy przez eskalację demonstracji siły; oceny da się tak ukształtować, by wynikało z nich uzasadnienie, jakiego będzie potrzeba. Kalens nie wierzył, by na Chironie istniały jakiegokolwiek warte uwagi urządzenia obronne, ale takie sugestie miały potencjalną przydatność propagandową. Chociaż więc do tej pory nie było jasne dla Kalensa, jakich użyje środków, pewien był, że z Chirończykami da sobie radę. Trzecie zagadnienie stanowiła misja Federacji Wschodnioazjatyckiej, która powinna przybyć za dwa lata. Ale rozwiązawszy dwa pierwsze problemy, mając do dyspozycji zasoby surowcowe i przemysłowe całej planety oraz pięćdziesiąt tysięcy dorosłej ludności, przewidzianej jako poborowi, Kalens był pewien, że poradzi sobie zarówno z Azjatami, jak i z wyprawą europejską, która przybędzie w rok po nich. A to mu rozwiąże ręce, pozwalając na zerwanie wszelkich więzi Chirona z Ziemią. Z tej części swoich marzeń nie zwierzał się nikomu, nawet Celi.

Ale zaczynać trzeba od najważniejszego. Już czas na mobilizację potencjalnych sojuszników, których ostrożnie sondował i pozyskiwał sobie od czasu poprzednich wyborów, trzy lata temu. Starannie postawił koreański flakon w przeznaczony do tego niszy między regałami i przeszedłszy przez salon, dostał się na patio, gdzie wyciągnięta na leżaku, z przenośnym komblokiem na kolanach, Celia układała list do jednej z przyjaciółek.

Młoda, nowoczesna żona, którą Howard Kalens zabrał ze sobą na Lunę i załadował do *Mayflowera II*, obecnie przekroczyła już czterdziestkę, lecz twarz jej nabrała charakteru i dojrzałości. Z ładnej, młodej dziewczyny rozwinęła się kobieta o ciele pełnym zmysłowego powabu. W porównaniu z cechującym modelki typem nietrwałej urody nie była, ściśle rzecz biorąc, piękna. Ale mocny, zdecydowany zarys jej podbródka i kształtnych ust wraz ze spokojnym, oceniającym spojrzeniem oczu, badających świat z dystansu, zdradzały pobudliwość zmysłową, nie wygasającą z upływem lat. Sięgające ramion kasztanowate włosy wiązała w koński ogon; ubrana była w brązowe spodnie i pomarańczową jedwabną bluzkę, opinającą pełne, jędrne piersi.

Podnosząc wzrok na wychodzącego z domu Howarda nie zmieniała wyrazu twarzy. Ich wzajemne stosunki były zarówno teraz jak dawniej formą towarzyskiego współżycia, opartego na dojrzałym uznaniu realiów życia i ich wymagań, bez komplikowania go nadmiarem romantycznych złudzeń,

panujących wśród niższych warstw społecznych i podtrzymywanych w imię równowagi, bezpieczeństwa i potrzeby kontrolowanej rozrodczości. Niestety, masy były niezbędne dla podtrzymywania obrony układu. Maszyny miały więcej cech pożądaných, ponieważ pilnie przykładały się do swoich zadań, nie stawiając żądań; ale zbląkadni idealisci mieli niefortunny zwyczaj używania technologii do zastępowania pracy ludzkiej, niezbędnej, by ludzie mieli zajęcie i nie myśleli o głupstwach. Idealisci byli również gotowi uczyć ich myślenia. Były to dwudziestowieczne złudzenia, a rok 2021 ich skutkiem.

– Sądę, że powinniśmy wydać ten obiad, o którym wczoraj mówiłem – rzekł Howard. – Czy możesz ułożyć listę gości i rozesłać zaproszenia? Na koniec przyszłego tygodnia, powiedzmy w piątek lub sobotę.

– Jeśli mamy znowu wziąć salę u “Frangoise”, lepiej zarezerwuję ją teraz – odpowiedziała Celia. – Czy wiesz już, ile ma tam być osób?

– Och, niewiele, niech to sprawia wrażenie prywatne i przytulne. Lepiej będzie tutaj. Z tuzin osób, myślę. Więc oczywiście Lewis i Gerrard. I czas już, abyśmy bardziej zbliżyli się z Borfonteinem.

– Z tym człowiekiem!

– Tak, wiem, że jest w nim coś z barbarzyńcy, ale niestety potrzebuję jego poparcia. A jeśli później pojawią się kłopoty, wiedza o tym, czy możemy liczyć, że wykona swe zadanie, nim ktoś go zastąpi, ma zasadnicze znaczenie. – W okresie czasowego upadku północnego obszaru cywilizacji Zachodu, Afryka Południowa przeszła przez serię wojen wyzwoleniczych, toczonych przez graniczące z nią od północy czarne narody i przekształciła się w kraj o represyjnym, totalitarnym ustroju, sprzymierzony z Australią i Nową Zelandią, które w walce z przyływem azjatyckiego liberalizmu, pochłaniającym już Indonezję, również stały się państwami autorytarnymi. Były to metody nie pozbawione zalet, ale jako produkt uboczny pojawiali się Borfonteinowie.

– I być może także Gaulitz – Celia wymieniła nazwisko jednego z czołowych naukowców Misji.

– O tak, Gaulitz na pewno. Mam plany w związku z Herr Gaulitzem.

– Posada rządowa?

– Posada Szamana. – Kalens uśmiechnął się na widok zmarszczonych brwi Celi. – Jedną z przyczyn upadku Ameryki było to, że pozwoliliśmy, by nauka stała się zbyt rozpowszechniona i zbyt dostępna. Dlatego zaczęto nią gardzić. Nauka jest zbyt potężna, by ją powierzać masom. Musi być kontrolowana przez tych, którzy są dość inteligentni, by się nią posługiwać kompetentnie i dobrotliwie. Gaulitz jest człowiekiem odpowiednim, by go upozować na... arcykapłana, dla przywrócenia nauce tajemniczości i wzbudzenia zdrowego lęku, nie sądzisz? – Pokiwał głową z chytrym wyrazem twarzy. – Starożytni Egipcjanie mieli do tego właściwe podejście. – W tym momencie przyszło mu do głowy, że piramidy można uważać za symbole hierarchicznej formy idealnego, stabilnego społeczeństwa – geometrycznej góry lodowej. Interesująca analogia. Dobrze będzie podnieść ten temat podczas obiadu. Może przyjmie piramidę za godło ustroju, który zostanie wprowadzony na Chironie.

– Czy coś zdecydowałaś co do Sterma? – zapytała Celia.

Howard uniósł rękę i przez parę chwil z wahaniem pocierał podbródek. – Hmmm... Sterm. Nie mogę go rozgryźć. Mam przeczucie, że może on być siłą, z którą trzeba się będzie liczyć, zanim wszystko rozegra się do końca, ale nie wiem, po czyjej stronie on stoi. – Rozmyślał jeszcze przez chwilę i w końcu potrząsnął głową. – Będę chciał poruszyć kilka spraw poufnych. Jest za wcześnie, by zbyt otwarcie ujawniać nasze zamiary. Lepiej go skreślić. Później może się to zmienić... ale tymczasem trzymajmy go na dystans.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

Na *Mayflowerze II* nie rozdawano za darmo towarów ani usług, lecz tak jak wszędzie sprzedawano je za pieniądze. Tym sposobem ludność nie traciła kontaktu z mechanizmem popytu i podaży oraz zachowywała świadomość realiów handlowych, mających zasadnicze znaczenie dla prawidłowego rozwoju przyszłej kolonii na Chitonie.

Jak w każdą sobotę wieczorem, teren przeznaczony dla pieszych na pokładzie pod centrum handlowym i jego biurami w segmencie Manhattan pełen był ożywionych tłumów. Mieściło się tam wiele restauracji; trzy bary, jeden z nich z parkietem tanecznym w głębi; biuro totalizatora, przyjmującego zakłady na wyniki zawodów w Czaszy oraz spóźnione o cztery lata wyniki z Ziemi; teatr klubowy, w którym, jak wszyscy udawali, nie odbywały się przedstawienia striptizowe, oraz niezliczone neony. Bar "Bowery", popularne miejsce spotkań wolnych od służby żołnierzy oddziałów liniowych, gnieździł się w zakątku tego obszaru, obok kawiarni, za nabijanymi gwoździami drzwiami z imitacji dębu i wysokim oknem z małych, barwnych szybek, przez które światło wewnątrz wydawało się czerwone.

Wnętrze "Bowery" było tłoczne i zadymione. Wśród tłumu wzdłuż długiego baru po lewej stronie sali widać było mnóstwo kobiet i mundurów; w mniejszej salce w głębi grał czteroosobowy zespół muzyczny. Colman i paru innych z kompanii "D" siedzieli przy jednym ze stolików, ustawionych w podwójnym szeregu wzdłuż ściany naprzeciw baru. Był z nimi Sirocco, pomimo regulaminowego zakazu bratania się oficerów z szeregowymi. Pojawił się też kapral Swyley. Jego obecność wynikała z tego, że dietetyk z izby chorych wykonał rozkaz brania kaprała, kiedykolwiek zgłosi się do izby, na dietę złożoną :wyłącznie z ryb i szpinaku. Bret Hanlon, sierżant dowodzący drugim plutonem i stary kumpel Colmana, siedział po drugiej stronie Sirocca wraz ze Stanisławem, artylerzystą działą laserowego trzeciego plutonu i paru cywilnymi dziewczynami. Anita, zatrudniona jako siła fachowa w dziale łączności Brygady, tuliła się do Colmana, trzymając go miękko pod rękę.

Stanisław wpatrywał się w skupieniu w oparty o brzeg stołu komblok, z miniaturowym ekranem pełnym wijących się krzywych mikro kodu pamięci komputerowej. Zręcznie wystukał szereg cyfr na klawiaturze pod ekranikiem, przestudiował to, co ukazało się w odpowiedzi i następnie wystukał polecenie. W lewym dolnym rogu ekranu pojawiły się cyfry. Stanisław spojrzał triumfalnie na Sirocca. – 3,141592653 – ogłosił – dziesięć pierwszych cyfr liczby *pi*.

Sirocco prychnął, wyciągnął z kieszeni banknot pięciodolarowy i podał go artylerzyście. Założyli się czy Stanisław może złamać system bezpieczeństwa banku pamięci i wydobyć z niego informację, wprowadzoną pół godziny temu przez Sirocca do działu dostępnego dla publiczności, lecz pod zabezpieczeniem osobistego klucza kodowego.

– No i jak?! – wrzeszczał uradowany Hanlon. – Chłop dał mu radę!

– Nie zapomnij także o kolejce piwa dla wszystkich – zwrócił Colman uwagę Siroccowi. Dziewczyny zapięły z radości.

– Gdzie się tego nauczyłeś, Stan? – spytała Paula, jedna z cywilnych dziewczyn. Miała szczupłą ale przyjemną twarz, niepotrzebnie pokrytą grubą warstwą wyzywającego makijażu. Nosila prowokacyjną, bardzo obcisłą sukienkę.

Stanisław wsunął komblok do kieszeni. – Lepiej się nie dowiadujcie – powiedział. – Niezbyt budująca historia.

– Dalej, Stan. Nawijaj – nalegała Tetra, koleżanka Pauli. Colman rzucił Stanisławowi

rozkazujące spojrzenie, które nie pozwalało na wykryty.

Stanislau pociągnął duży łyk ze szklanki i machnął ręką z rezygnacją. – Mój dziadek przeżył Chude Lata włamując się do składów rządowych i sprzedając, co tam było zmagazynowane. Nikt nie wymyślił zabezpieczeń, których on nie potrafiłby rozpruć. Ojciec pracował w Ratunkowym Biurze Pomocy. Porozumieli się i wpisali do kartoteki dwie siostry i brata, których nigdy nie miałem, dzieląc się zyskami. Więc dało się żyć. – Wzruszył ramionami niemal przepraszająco. – Myślę, że stało się to jakby tradycją... dziedziczną w naszej rodzinie.

– Prawdziwy zawodowy włamywacz! – wykrzyknęła Tetty. – Ty sukinsynu! – rzekł z podziwem Hanlon.

– Czegoś – tam – synu, w każdym razie – dodała Anita. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

Sirocco znał już tę historię, ale nie wypadało mu jej komentować. Stanislau został przeniesiony do kompanii "D" w wyniku dochodzenia w sprawie tajemniczego zniknięcia ze składnic Brygady narzędzi i elektrycznych części zamiennych, które następnie pojawiły się w sprzedaży w dziale materiałów dla majsterkowiczów jednego z domów towarowych.

Swyley, ukryty za grubymi okularami, nadającymi jego oczom wygląd jajek na twardo, co jasno wykazywało absurdalność wszelkich pomysłów badania go na wyjątkowe zdolności wizualne, siedział zamyślony i nieobecny. Rozważał właśnie, czy nie dałoby się wykorzystać przestępczych umiejętności Stanisłaua w celu doliczenia kilku punktów dodatnich w jego własnych aktach personalnych w wojskowym komputerze administracyjnym. Ale w obecności Sirocca nie mógł przecież występować z takim pomysłem, byłoby to już zbyt bezczelne. Zdecydował, że porozmawia ze Stanisłauem w cztery oczy.

– Gdzie się dziś podział Tony Driscoll? – zapytała Paula, rozglądając się po barze. – Tu go nie widzę.

– I nie staraj się zobaczyć – odpowiedział Colman. – Ma nocną służbę.

– Czy wy nie macie litości nad tymi chłopakami? – zwróciła się Terry do Sirocca.

– Ktoś musi zapewniać funkcjonowanie Armii. Dziś właśnie jego kolejka. Umie to równie dobrze, jak inni.

– No cóż, jakby to powiedzieć... Miałam się zabawić dziś wieczorem – powiedziała Paula, rzucając Hanlonowi ciepłe spojrzenie.

Bret Hanlon podniósł rękę obronnym gestem. Miał różową, mięsistą dłoń, porośniętą na grzbiecie rzadkimi złotymi włoskami. Wyglądała, jakby mógł nią rozgniatć orzechy kokosowe i pasowała do jego mocnej, krępej budowy, rumianej twarzy i przenikliwych niebieskich oczu, odziedziczonych po irlandzkich przodkach. – Na mnie nie licz – powiedział. – Jestem już zaangażowany, grzecznie i poważnie. To do tamtego faceta powinnaś robić słodkie oczy. – Pokazał głową na Colmana, uśmiechając się złośliwie.

– Dobrze by mu to zrobiło – orzekł Sirocco. – Może wtedy zrobią go inżynierem. Ale nie pójdzie mu to łatwo. On czeka, póki nie sprawdzi, co one tam umieją na Chironie.

– Nie wiedziałem, że masz skłonności do małych dziewczynek, Steve – przekomarzała się Anita. – Nie wyglądasz na takiego. Hanlon ryknął śmiechem i poklepał się po udach.

– Mam dwie siostry, które nie są w stanie sprawić kłopotów – zaferował Stanislau.

– Nic nie rozumiecie – oświadczył Colman. – Wcale nie idzie o te małe. – Wytrzeszczył oczy w parodii obleśnego oczekiwania. – Pomyślcie o tych wszystkich babciach. – Terry i Paula roześmiały się.

Choć Colman dostosował się do ogólnego nastroju i obrócił wszystko w żart, poczuł w głębi

duszy ukłucie irytacji. Nie był pewien, z jakiego powodu. Drwiny Anity były echem potocznych wyobrażeń, ale zawarty w nich obraz planety zaludnionej przez dzieci był oczywistą bzdurą; pierwsze pokolenie Chirończyków musiało się już zbliżyć do pięćdziesiątki. Nie podobało mu się, że głupie formuły wchodziły ludziom do głowy, a potem znów z nich wychodzą, bez cienia myśli poświęconej po drodze ich znaczeniu. Anita była ponętą i niegłupią dziewczyną. Nie musiała się tak zachowywać. Ale w tej chwili przyszło mu do głowy, że może traktuje to zbyt poważnie. Czy on sam nie zachował się podobnie przed chwilą?

– Niezłe babcie! – wykrzyknęła Terry. – Czy ktoś oglądał dzisiejszy dziennik? Któryś tam naukowiec przypuszcza, że Chirończycy być może produkują bomby. Był też wywiad z Kalensem. Powiedział, że nie można z góry zakładać, że oni tam na planecie są w pełni rozumni.

– Nie chcesz przez to powiedzieć, że przyjdzie do walki, prawda? – spytała Paula.

– Tego nie powiedziałam. Ale to dziwni ludzie... nad wyraz ostrożni. Nie odpowiadają w pełni uczciwie na nasze pytania.

– Ale nie możesz uważać za oczywiste, że oni będą całą tę sytuację oceniać podobnie jak inni ludzie – podsunęła Anita. To naprawdę nie ich wina; nie mieli stosownego wychowania, i tak dalej; niemniej głupio by było ryzykować.

– Myślę, że to by się zgadzało – przyznała Paula z roztargnieniem.

– Czy sądzisz, szefie, że oni mogą nam napytać biedy? zwrócił się Stanisław do Sirocca.

Sirocco wzruszył ramionami. – Nie mam pojęcia. Nie martwiłbym się o to zbyt. Trzymaj się Steve'a i Breta, rób co ci powiedzą, a wyjdiesz z tego cało. – Colman i Hanlon, choć nie weterani wojenni, należeli do nielicznych żołnierzy wojsk liniowych Misji, którzy bali udział w bitwach, służąc jako rekruci w amerykańskiej jednostce ekspedycyjnej, walczącej u boku Południowych Afrykan w Transwalu w 2059 roku; rok później zgłosili się jako ochotnicy na *Mayflowera II*. Doświadczenia wojenne przydały im aury pewnej niezwykłości, szczególnie wśród młodszych żołnierzy, którzy osiągnęli pełnoletność – niektórzy nawet urodzili się i wstąpili do wojska – już w czasie wyprawy.

– Jestem zdania, że Kalens powinien zostać wybrany oświadczyła Terry. – Powiedział trochę wcześniej w dzisiejszym wywiadzie, że byłoby całkiem niezłe, gdyby się okazało, że Chirończycy zaczęli tworzyć armię, ponieważ oszczędziłoby to nam czasu i wysiłku na ich szkolenie. Musimy tylko im pokazać, że jesteśmy po ich stronie, i działać wspólnie, gdy pokaże się *Pagoda*. Statek kosmiczny FWA był zbudowany inaczej niż *Mayflower II*. Dla skompensowania sił występujących podczas przyspieszeń, miał formę dwóch kiści smukłych ostrosłupów, zawieszonych przegubowo wokół osi centralnej. Dzięki temu mogły się wokoło niej obracać lub odchylać. To podobieństwo do na wpół otwartego, dwupiętrowego parasola, zyskało statkowi przezwisko "Latającej Pagody". Terry pociągnęła mały łyk ze szklanki i rozejrzała się po zebranych. – Facet myśli całkiem dorzecznie. Wcale nie musimy z nimi walczyć. Wystarczy, że przerobimy ich na nasz sposób i naprostujemy im myślenie.

– Ale to nie znaczy, że mamy ryzykować – podkreśliła Anita.

– No, oczywiście... Po prostu chcę powiedzieć, że nie ma się czego bać.

Colman znów zaczął się irytować. Do tej pory nikt ze statku nie spotkał Chirończyka, ale wszyscy już byli ich znawcami. Jedyne co widzieli, to ocenzone transmisje z planety, z nagraniem na statku komentarzem. Czemu ludzie nie pojmują, że wmawia się im, co mają myśleć? Przypomniawszy sobie zasłyszane w Cape Town historyjki o tym, jak czarni w buszu gwałcili białe kobiety, a następnie rąbali je siekierami na kawałki. Czarnuch, którego ich patrol przesłuchiwał w wiosce koło Zeerust, nie wyglądał na typa zdolnego do podobnych rzeczy. Był prostym chłopem,

który chce, by mu dano spokojnie uprawiać jego farmę, mimo że niewiele już wówczas z niej zostało. Błagał Amerykanów, by nie przybijali jego dzieci gwoździami do ściany – bo wśród jego ludu opowiadano, że Amerykanie to robią. Wyjaśnił, że z tego właśnie powodu strzelił do patrolu i zranił chudego Teksaszczyka, maszerującego pięć kroków przed Colmanem. I dlatego też biały porucznik Armii Południowej Afryki strzelił mu w łeb. Ale cywile w Cape Town i tak wiedzieli lepiej, bo telewizja powiedziała im, co mają myśleć.

Kapral Swyley nie odzywał się w ogóle, co było znaczące, gdyż Swyley zawsze wykazywał wiele zdrowego rozsądku. Jeśli milczał, znaczyło to, że się nie zgadza z tym, co słyszał. Jeśli się zgadzał, mówił, że się nie zgadza. Nigdy zaś nie powiedział, że się z czymkolwiek zgadza. Gdy dietetyk wykrył, że rozkaz co do diety szpinakowo – rybnej nadal obowiązuje, a Swyley zdecydował, że jest całkiem zdrowy, lekarz wojskowy nie był w stanie oskarżyć go o symulację, ponieważ Swyley nigdy się nie zgadzał, gdy mówiono, że jest chory. Sam powiedział jedynie, że ma kurcze żołądka. Lekarz orzekł, że każdy, kto ma kurcze żołądka w czasie wolnym od służby, musi być chory, Swyley tego nie powiedział. Co więcej, Swyley się z tym nie zgadzał, co dla każdego powinno być jasne, ponieważ milczał.

– Cóż, ja uważam, że jednak mamy się czego bać – rzekła Paula. – A jeśli oni okażą się naprawdę wredni i nie zadadzą sobie trudu, by porozmawiać? Przypuśćmy, że wystrzelą w nas raketę bez ostrzeżenia i w ogóle... Mam na myśli, że jesteśmy tu w kosmosie wystawieni na strzał jak zające, nieprawdaż? I co wtedy będzie?

Sirocco parsknął śmiechem. – Powinnaś więcej wiedzieć o tym statku, nim zaczniesz mieć takie zmartwienia. Prawdopodobnie postawimy zasłonę przechwytywaczy i podejdziemy za nimi do lądowania. Zatrzymują wszystko w promieniu dziesięciu tysięcy mil. Musisz mieć trochę zaufania do naszej firmy.

Hanlon machnął ręką w powietrzu. – Ach, jak na sobotni wieczór, wszystko to robi się zbyt poważne. Po co my o tym gadamy? Mamy się przejmować głupimi plotkami? – Spojrzał na Sirocca. – Szklanki są prawie puste, wasza wysokość. Kolejka była częścią zakładu.

Sirocco już miał odpowiedzieć, ale szybko odstawił szklankę, złapał czapkę ze stołu i wstał. – Muszę zniknąć – szepnął. – Będę u "Rockefellera", jeśli ktoś chce do mnie dołączyć. – Przemknął się między stolikami i znikł w salce w głębi, skąd było wyjście na zewnątrz obok toalety.

– Co, u diabła, go ugryzło? – spytał zdumiony Hanlon. Czy kapitanom już tak marnie płacą?

– SS – mani – mruknął Swyley, nie poruszając wargami. Parę razy poruszył oczami w kierunku swego prawego ramienia, na coś wskazując. W barze trochę przycichło, atmosfera zrobiła się nieco napięta.

Colman śledził znad szklanki wejście do baru trzech żołnierzy Służby Specjalnej. Stanęli groźni i sztywno wyprostowani w ciemnozielonych mundurach, z daszkami czapek nisko opuszczonymi na twarze o twardych, wystających podbródkach, przyglądając się uważnie otoczeniu. Nikt długo nie wytrzymał ich wzroku nie odwracając spojrzenia. Jeden z nich mruknął rozkazująco do barmana, który skłonił się, szybko postawił szklanki i chwycił butelkę z półki za sobą. SS – mani stanowili elitę wojsk regularnych, wybraną z najgorszych drani w Armii i kompletnie pozbawioną poczucia humoru. Przypominali Colmanowi komandosów, których widywał w Transwalu. Przy uroczystych okazjach stanowili ochronę Bardzo Ważnych Osobistości – prócz tradycji nie było na to innych uzasadnień na pokładzie *Mayflowera II* – i zostali sformowani przez Borfontaina jako oddział szturmowy, związany specjalną przysięgą lojalności. Dowodził nimi generał nazwiskiem Stormbel. W kompanii "D" żartowano z ich mechanicznej precyzji ruchów na paradach i niewidzialnych nitek, za które pociągał Stormbel. Ale nie opowiadano takich dowcipów nigdy, gdy którykolwiek z nich

znajdował się w zasięgu głosu. Nazywano też Służbę Specjalną – Sforą Szakali.

– Mam wrażenie, że sami zapłacimy za drinki – orzekł Hanlon, dopijając piwa i stawiając szklankę na stole.

– Na to wygląda – zgodził się Stanisław.

– Ja płaciłem ostatni – zastrzegł się Colman. Towarzystwo jakby ostygło z zapału.

– No to czemu nie zwinąć się stąd i nie wypić kolejki u “Rockefellerów”? – zaproponował Hanlon. – Sirocco powiedział, że tam właśnie idzie.

– Wspaniały pomysł – orzekł Colman i wstał z miejsca. Dłoń Anity ześlizgnęła się z jego ramienia i chwyciła lekko za mały palec. Reszta towarzystwa dopiła piwa, wstała po kolei, żegnając skinieniem głowy właściciela lokalu i zaczęła luźną grupą posuwać się ku drzwiom.

Anita nadal trzymała Colmana za palec, co rozumiał jako milczące zaproszenie. Spał z nią kilka razy przed wielu miesiącami i zachował przyjemne wspomnienia. Ale chociaż czuł, że jej trwające przez cały wieczór zaloty zaczęły go podniecać, rozmowa o możliwości dobrania się jako para i zbliżającym się lądowaniu wprowadziła element nie istniejącego przedtem ryzyka. Mogło przecież być i tak, że Anita w głębi duszy tała zamiar stworzenia w przyszłości na Chironie solidnego, trwałego domu rodzinnego. Zdecydował, że przy pierwszej sposobności szepnie słówko Hanlonowi, by pomógł mu się urwać pod koniec wieczoru.

Gdy Colman z Anitą wyszli z “Bowery” i skierowali się za resztą towarzystwa, które już się dosyć oddaliło, teren dla pieszych pełen był ludzi marnujących czas na zastanawianie się, co by tu zrobić z resztą wieczoru. Anita przystanąła szukając czegoś w torebce, Colman zatrzymał się czekając na nią. Gdy siedzieli w barze, dotknięcie jej ręki na ramieniu było podniecające, lekki aromat perfum dolatujący, gdy pochylała się, by ująć szklankę, działał drażniaco. Co, u diabła? – pomyślał. – Anita nie jest dzieckiem. Po dwudziestu latach zamknięcia w statku kosmicznym człowiek potrzebuje od czasu do czasu rozrywki.

Odwrociwszy się ujrzał, że dziewczyna trzyma w dłoni fiolkę pigułek. Wrzuciła jedną do ust i uśmiechając się szelmowsko, podsunęła fiolkę Colmanowi. – Dziś sobota, może trochę urozmaicenia? – Zmarszczył brwi i potrząsnął głową. Anita odeła wargi. – Dobrze są. Psychiatrizy mówią, że zmniejszają zahamowania i wzmagają świadomość. A powinniśmy znać sami siebie.

– Rozmawiałem z psychami. Wszyscy mają kota. Skąd mogą wiedzieć, czy znam siebie czy nie? Czy wiesz, jak twoja głowa funkcjonuje w środku? – Anita potrząsnęła nią w sposób oznaczający, że nic jej to nie obchodzi. Colman ściągnął brwi jeszcze mocniej, raczej wskutek rozczarowania, że miłe perspektywy zaczęły się rozwiewać, niż z dezaprobaty dla spraw, które go nie dotyczyły. – No to w jaki sposób ma ci o tym powiedzieć pigułka?

– Powinieneś sam siebie odnaleźć, Steve. To dobrze robi.

– Nigdy się nie zgubiłem.

– Zangredi używa stymulatorów dla katalizowania swych prądów psychicznych. Dzięki temu może przewidywać przyszłość.

– Na litość boską, przecież to telewizyjny wymysł. Ona nie istnieje. To nie jest prawdziwe życie. W prawdziwym życiu nic takiego nie ma.

– Kogo to obchodzi? Tak jest zabawniej. Czemu nudzisz? Rozdrażniony Colman odwrócił wzrok. Mogła być świetnym, myślącym człowiekiem. Zamiast tego wołała być lalką, poruszaną i kształtowaną przez wszystko, co widziała i słyszała dookoła. Wokół niego wszędzie to samo, połowa ludzi jakich spotykał śpiewała w chórze w głębi sceny, na której Stormbel dawał przedstawienie kukielkowe. Nagle przypomniały mu się wszystkie przyczyny ochłodzenia jego stosunku do Anity, wiele miesięcy temu, gdy jeszcze poważnie przemyślał nad prawnym uregulowaniem ich związku i

ustatkowaniem się na wzór Hanlona. Próbował wówczas dostroić się do jej fali, ale napotkał tylko biały szum. Najbardziej zaś rozzłościło go to, że ona nie musiała tak się zachowywać – miała głowę na karku, ale odmawiała jej używania.

Chudy, jasnowłosy wyrostek, oparty o kolumnę i leniwie kopiący tam i z powrotem pusty karton, wyprostował się na widok Colmana i podszedł do niego. Zatrzymał się z rękami wetkniętymi głęboko w kieszenie i uśmiechnął z zażenowaniem. Colman spojrział zdumiony na chłopca. Był to Jay Fallows. – Co ty, u diabła, tu robisz?

– Och, wykombinowałem sobie, że będziesz gdzieś w tej okolicy.

– Czy to ten chłopak, który robi lokomotywy? – spytała Anita. – Tak. To jest Jay. Chłop do rzeczy... i bystry.

– Bystry... umysł. – Oczy Anity zaczęły się robić z lekka nieprzytomne. – Lokomotywy, umysł chwytny. To mi się podoba. Rymuje się. Nie uważasz, że się dobrze rymuje? – Uśmiechnęła się do Jaya i mrugnęła łobuzersko. – Cześć, Jay. – Pigułka w połączeniu z alkoholem uderzyła jej do głowy. Jay uśmiechnął się, ale był zażenowany.

– Słuchaj, mam wrażenie, że Jay chce pomówić o sprawach, które by cię nie interesowały – powiedział Colman do Anity. Może dołączysz do tamtych? Dogonię was później.

– Nie chcesz, żebym z tobą została?

Colman westchnął. – Nic podobnego. Po prostu...

Anita pomachała ręką na wysokości twarzy. – W porządku. Nie chcesz, bym z tobą została... Nie chcesz mnie, bym została. W porządku. – Zaczęła recytować śpiewnym głosem: – Kto twierdzi, że potrzebuję kogokolwiek, by się zabawić jakkolwiek? Popatrz, świetnie się czuję. W porządku... Ty i Jay możecie pogadać o lokomotywach i umysłach chwytnych. – Ruszyła przed siebie zataczając się z lekka i wesoło, wielkimi łukami wymachując trzymaną za pasek torebką.

– Słuchaj, ja... ja nie miałem zamiaru przeszkadzać – wyjąkał Jay. – To znaczy, jeśli ty i ona jesteście...

Anita zatrzymała się u wejścia do teatru klubowego, oparty o ścianę żołnierz coś do niej mówił. Wzięła go pod rękę i zaśmiała się głośno w odpowiedzi. – W takim samym stopniu – odpowiedział Colman, pokazując tamtych ruchem głowy. – Nie ma sprawy. Może nawet oddałeś mi przysługę. – Żołnierz rzucił nerwowe spojrzenie na potężną, sześciostopową sylwetkę Colmana i szybko się oddalił z Anitą uwieszoną u ramienia.

Colman popatrzył za odchodzącymi, po czym przestał o nich myśleć i przez kilka chwil spoglądał na Jaya. – Nie wykombinowałeś jeszcze, jak bywa w życiu, he? – burknął. Oszczędziło to wielu niepotrzebnych pytań.

Jay trochę się uspokoił, oczy zabłyśły mu z ulgą, bo odpadła potrzeba zupełnie zbędnych wyjaśnień. – To cholernie skomplikowane – odpowiedział po prostu.

– Czy coś ci ułatwi, jeśli powiem, że i ja też jeszcze nie wykombinowałem do końca, jak to bywa w życiu?

Jay potrząsnął głową. – To by tylko oznaczało, że mamy takie same problemy. Ale niczego by nie rozwiązywało.

– Ja też tak myślę. No to nie powiem tego.

– Czy to oznacza, że już wykombinowałeś?

– A czy twoim problemom robiłoby jakąkolwiek różnicę, gdybym potwierdził?

– Nie. Bo to byłoby rozwiązanie dla ciebie, ale nie dla mnie. – No to masz odpowiedź.

Jay skinął twierdząco, wyprostował tkwiące dłońmi w kieszeniach ręce, aż mu ramiona podeszły na wysokość uszu, pozostawał w tej pozycji przez parę chwil, po czym odprężył się nagle z

westchnieniem. – Czy mogę cię o coś zapytać? – powiedział, zadarłszy głowę.

– A będę musiał na to odpowiedzieć?

– Jeśli nie zechcesz, to myślę, że nie.

– No to wal.

– Czemu jest tak, jak jest? Dlaczego to, co ty i ja robimy w Jersey, ma jakiś związek z posadą mego taty? To się kupy nie trzyma.

– Czy pytałeś go o to?

– Mhm.

– I?

Jay spojrzął w dal mrużąc oczy i podrapał się po głowie. Mniej więcej to, czego się spodziewałem. Nic osobistego; jesteś facetem w porządku; gdyby to od niego zależało, toby inaczej wyglądało, ale nie zależy – takie gadanie. Ale dało się wyczuć, że mówi to dlatego, żeby nie wyglądać na świnię. To poważniejsze, niż się zdaje. Nie o to chodzi, czy to zależy od niego, czy nie. On naprawdę wierzy, że tak być powinno. Jak ludzie mogą stać się takimi?

Colman rozejrzał się i zrobił gest w kierunku kawiarni koło "Bowery". – Nie będziemy tu wystawali przez całą noc – powiedział. – Wejdźmy. Napijesz się kawy?

– Oczywiście... dziękuję. – Poszli w kierunku wejścia. I dziękuję za zawory – dodał Jay. – Pasują znakomicie.

– Jak ci idzie?

– Całkiem nieźle. Zestaw kołowy skończony. Będziesz musiał przyjść i rzucić okiem.

– Oczywiście przyjdę.

Jay usiadł w wolnej łoży, Colman zaś wziął z kontuaru dwie kawy i wsunął do szczeliny swoją wojskową kartę żołdu. Często i na różne sposoby Jay przypominał Colmanowi jego samego z czasów młodości. Nazwisko zawdzięczał sierżant inteligentkiemu małżeństwu, które go adoptowało, gdy miał lat jedenaście, by zapewnić towarzystwo dla swego syna, starszego o dwa lata Dona. Nie chcieli sobie utrudniać karier zawodowych przez drugie własne dziecko. Przybrany ojciec Colmana był inżynierem termodynamikiem, zaangażowanym w sprawę wymienników ciepła w systemach magnetohydrodynamicznych; tłumaczyło to wczesne zainteresowanie chłopca sprawami techniki. Choć Colmanowie robili co mogli, by obu chłopców traktować jednakowo, Steve miał za złe Donowi, że skończył szkołę średnią, a zazdrościł, gdy ten poszedł na studia inżynieryjne, chociaż sam Steve był na to za młody. Buntowniczy charakter, który znacznie przyczynił się do umieszczenia chłopca w domu dla krnąbrnej młodzieży, z którego został wybrany do adopcji, objawił się znowu. W rezultacie małżeństwo Colmanów przeżyło sporo przykrych chwil, o co Steve, ochłonawszy, miewał żal do siebie. Dla jakichś niejasnych dla niego samego przyczyn czuł, że jeśli uda mu się dopomóc Jayowi w realizacji tkwiących w chłopcu możliwości i wykorzystaniu nadarzających się okazji, wynagrodzi tym za swoją przeszłość. Dlaczego – nie wiedział; na pewno cokolwiek uczyni teraz, będzie to obojętne Colmanom, którzy gdzieś tam żyją zapewne jako siwi już starszankowie. Ale czuł, że jest im to winien. Tak działały umysły ludzkie. Umysły mogły być nader osobliwe.

Postawił kawy na stole i wsunął się na miejsce naprzeciwko Jaya. – Miałeś kiedy pragnienie? – zapytał, mieszając cukier w filiżance.

Jay był zdumiony. – Jakżeż... oczywiście. Tak sędzę. Czy to nie każdemu się zdarza?

– Naprawdę spragniony – tak bardzo, że twój język jest jak kłębek waty stalowej, puchnie ci w ustach, a skóra zaczyna pękać. – No... nie. A bo co?

– Ja byłem. Kiedyś odcięto mnie z paru chłopakami na prawie cały tydzień na pustyni w Afryce Południowej. Nie możesz wtedy myśleć, o niczym, prócz wody. Pragnienie jest nie do opisanego. – Za

kubek wody dałbyś sobie odciąć rękę. – Przerwał, Jay czekał zaintrygowany. – Gdy zaś masz picia ile trzeba – kontynuował Colman – zaczynasz się martwić o jedzenie. To idzie wolniej, ale w końcu jest równie złe. Było wiele wypadków zjadania trupów przez ludzi, którzy chcieli zostać przy życiu. Wystarczy być dostatecznie głodnym. Inni walczyli na śmierć i życie o garść obierzyn kartoflanych.

– No i...?

– Gdy masz co jeść i pić, zaczynasz się martwić, by ci było ciepło. A gdy ci już dość ciepło, zaczynasz myśleć o własnym bezpieczeństwie. – Colman na chwilę rozłożył ręce. – Kiedy ludzie żyją w gromadzie, przez większość czasu większość z nich ma co „jeść i pić i udaje. im się zapewnić sobie ciepło i bezpieczeństwo. Jak sądzisz, co wówczas przychodzi im na myśl?

Jay był nieco zakłopotany, zmarszczył brwi. – Seks? – zaryzykował.

Colman wyszczerzył zęby. – Oczywiście masz rację, istnieje jednak przyjęte założenie, że udawać będziesz, iż nie masz o tym pojęcia. Jednak co innego wiałem na myśli: uznanie. Ta właściwość natury ludzkiej ujawnia się, gdy zostają zaspokojone potrzeby podstawowe. A gdy już się ujawni, staje się równie potężna, jak cała reszta. Człowiek potrzebuje przekonania, że nie jest gorszy od innych facetów wokół niego. Potrzebuje uznania za to, co w nim jest dobre i potrzebuje być wyróżniany. Tak jak mówiłeś, prawdopodobnie za tym wszystkim tkwi seks, bo człowiek myśli, że wtedy dziewczyny zwracają na niego uwagę. Ale niezależnie od przyczyn, ta potrzeba naprawdę istnieje.

Jay zaczął już wyciągać wnioski. – Pod jakim względem ma się porównywać z innymi? – zapytał. – Czy jest jakiś standard?

– To bez znaczenia – odpowiedział Colman. – Jest różny w różnych miejscach. Być najlepszym myśliwym w wiosce albo tym, który zabił najwięcej lwów. Może zależeć od sposobu, w jaki pomalujesz twarz. Przez większą część historii standard stanowiły pieniądze. Nieważne, co za nie kupisz. Ważne jest to, że rzeczy, które kupiłeś, mówią do innych: „Żeby zarobić tyle, by to wszystko kupić, miałem takie same możliwości jak ty. Ale ja zarobiłem, a ty nie. Wobec tego jestem lepszy od ciebie”. To o to chodzi w tej całej sprawie.

– Czemu jest ważne, by być lepszym niż ktoś inny?

– Już ci powiedziałem, to jest instynktowne. Nie da się tego zwalczyć. To jest jak pragnienie.

– A ja też powinienem tak odczuwać?

– Odczuwasz. Czy nie jest ci przyjemnie, gdy twoja drużyna zwycięża w Czaszy? Czemu tyle pracujesz w szkole? Oczywiście lubisz naukę, ale czy przy tym nie starasz się usilnie wszystkim udowodnić że jesteś bystrzejszy niż te wszystkie głupsze od ciebie dupki? To cię nie emocjonuje? Bądźże szczerzy. A jako dziecko, czy nie należałeś do bandy z tajnymi hasłami i znakami rozpoznawczymi, składającej się z samych najlepszych kumpli? Założę się, że tak.

Jay kiwnął głową z uśmiechem. – Masz rację. Tak było.

– Tak było ze wszystkimi. A gdy robisz się starszy, to wcale się nie zmienia. Nawet zaostrza. Faceci łączą się w bandy i ustanawiają zasady niedopuszczania do nich innych typków, ponieważ typkom, które należą, jest z tym lepiej niż tym, którzy nie należą.

– Przecież to głupie zasady – zaoponował Jay. – Są bez sensu. Dlaczego ktoś miałby być lepszy przez to, co gada poza miejscem pracy? Przecież liczy się tylko to, w robi w pracy.

– Zasady nie muszą być sensowne. Służą tylko do tego, by głosiły, że jesteś inny. Chwytasz? Twój tata należy do grupy, która ustanowiła mnóstwo zasad, na które nie miał żadnego wpływu. Ale że jest na sznurku w taki sam sposób jak wszyscy, musi odczuwać, że jest akceptowany. Aby zaś być akceptowanym, trzeba okazywać, że się przestrzega zasad. Gdyby tego nie robił, stałby się dla grupy groźny i usunięto by go. Rozejrzyj się wokół, a zobaczysz, w ile idiotyzmów ludzie się wplątują tylko

po to, aby mogli być przekonani, że, należą do liczącej się grupy.

– Nawet ty?

– Oczywiście. Co może być bardziej idiotycznego, niż wojsko?

– Ale ty nie jesteś głupi – powiedział Jay. – Więc czemu wstąpiłeś do Armii?

– Bo to była grupa. Dokładnie jak ci opisałem coś, do czego się należy. Zawsze działałem na własną rękę i rozrabiałem dookoła tylko po to, by mnie zauważono. Tak postępują ludzie. Nie idzie o to, co robisz, coś dobrego czy złego, jeśli tylko robisz coś, dzięki czemu inni zauważają twoje istnienie. Nie ma nic gorszego, jak nie zostać przez nikogo zauważonym. – Colman wzruszył ramiona.

. – Stłukłem typunia, który sam się o to napraszał, ale przypadkiem miał bogatego tatusia, i zaproponowano mi służbę wojskową zamiast ciupy, ponieważ doszli do wniosku, że to będzie nie mniejsza kara. Zgodziłem się natychmiast.

Jay wypił łyk kawy, przyglądał się filizance przez chwilę dłużącą się w nieskończoność, aż wreszcie nie podnosząc oczu powiedział: Myślałem o tym w tę i w tamtą stronę... wiesz, mam wrażenie, że chciałbym dostać się do wojska. Jak to można najlepiej załatwić?

Colman rzucił mu surowe spojrzenie. – Jak ci się zdaje – co na tym zyskasz? – zapytał.

– Och, kto wie... może coś z tego, o czym opowiadałeś.

– Wyrwać się z klatki domowej, być prawdziwym sobą, zerwać z siebie kaftan bezpieczeństwa, i tak dalej, he?

– Może.

Colman, starając się sformułować właściwą odpowiedź, by zyskać na czasie, wytarł usta serwetką wyjętą ze stojącego na stole zasobnika i pokiwał głową. Ugrzązł w Armii, ale chciałby zostać zawodowym inżynierem; Jay śpiewająco mógł stać się inżynierem, ale zdawało mu się, że wolałby być w Armii. Odpowiedź, wyliczająca w lekceważący sposób przyczyny, dla których to nie był tak dobry pomysł, dla Jaya się nie nadawała – znał je na pamięć i nie chciałby ich słuchać.

W tym momencie drzwi otworzyły się z hałasem i kilka mocnych gardeł zagłuszyło rozmowy w kawiarni. Colman poznał trzy twarze z kompanii "B" – wysokiego, żyłastego sierżanta Padawskiego o cienkich, brzydkich wargach i twardym spojrzeniu czarnych oczu, osadzonych w wąskiej, śniadej twarzy, i dwóch kaprali, których nazwisk nie mógł sobie przypomnieć. Byli już po alkoholu, a Padawski potrafił być wredny nawet na trzeźwo. Dawna przyjaźń Colmana z Anitą zawiązała się wówczas, gdy dziewczyna zaczęła szukać w jego i Hanlona towarzystwie obrony przed prześladowaniem ze strony Padawskiego. Colman umiał sobie poradzić w potrzebie, Hanlon zaś poza tym, że dowodził jako sierżant drugim plutonem, był instruktorem walki wręcz dla całej kompanii "D", i to dobrym instruktorem. To zestawienie skutecznie odstraszyło Padawskiego, lecz od tej chwili darzył on Colmana skrytą nienawiścią.

– Co to za jedni? – spytał Jay, zauważywszy napięcie Colmana. – Złe wieści – syknął Colman przez ściśnięte zęby. – Mów spokojnie dalej, nie rozglądaj się.

– Mam to w dupie! – ryczał Padawski, gdy trójka toczyła się w stronę kontuaru. – Mam to głęboko w dupie, móóóję wam. Jeśli ten zasraniec chce, żeby... – Przerwał nagle. – Popatrz, kogóż my tu mamy? Złotowłosa chłopczyk z kompanii "D", z tych kretynów na tyle cwanych, by spieprzyć całe ćwiczenia pierwszego dnia. – Colman czuł drżenie podłogi, gdy ciężkie kroki zbliżały się do lory. Nieznacznie zmienił pozycję nóg pod stołem i położenie ciała tak, by być gotowym do poderwania się w każdej chwili. Wygodniej ujął w dłoń filizankę do połowy wypełnioną gorącą kawą. Spojrzał na złośliwie uśmiechniętego o trzy stopy od stolika Padawskiego.

– Spotkanie prywatne – mruknął cichym, ale groźnym głosem. – Spływaj.

– Hej, chłopcy, złotowłosa ma nową dziewczynkę! Popatrzcie! Chcesz nam coś powiedzieć, Colman? Zawsze cię podejrzewałem. Obaj kaprale głośno zarechotali, jeden z nich zatoczył się na stolik w drugim rzędzie. Siedzący tam człowiek przeprosił i wyniósł się. W głębi lokalu zza kontuaru wyszedł zaniepokojony właściciel.

Jay zbladł i siedział nieruchomo. Colman wlepił w Padawskiego płonący wzrok. Padawski jeszcze bardziej wyszczerzył zęby. Przy trzech na jednego i z chłopcem obok, wiedział, że ma Colmana w ręku. Padawski przysunął twarz do Jaya i chuchnął oddechem przesyconym zapachem piwa.

– Hej, dziubasku, czy chciałbyś...

– Dosyć – warknął Colman. – Odwal się od niego. Sprawę macie ze mną. Pójdę na was trzech, ale nie tutaj. On z tym nie ma nic wspólnego.

Zaferowany właściciel podsunął się bliżej, nerwowo gniotąc ścierkę w dłoniach. – Słuchajcie, nie chcę tu żadnych awantur. Ja po prostu podaję klientom co zamówione, w porządku? Goście też nie chcą awantury. Czemubyście wobec tego...

– Ach, to te chłopczyki, co szukają awantury, tak? – rozległ się przyciszony głos z lekkim irlandzkim akcentem od drzwi wejściowych. Bret Hanlon stał oparty niedbale o framugę, z zimnym błyskiem w niebieskich oczach. Jego potężne ramiona zdawały się zasłaniać wejście na całą szerokość. Wyglądało, że jest zupełnie spokojny i odprężony, ale Colman zauważył, że Hanlon pochylił się lekko do przodu, dłonie zaś nieznacznie opuścił na wysokość ud. Obaj kaprale wymienili przestraszone spojrzenia, obecność Hanlona odwracała szanse, Padawski patrzył niepewnie, ale równocześnie nie chciał się niesławnie wycofywać. Przez parę sekund ciągnących się jak minuty atmosfera na sali naładowała się do granic wybuchu. Nikt nie drgnął.

W tym momencie trzech żołnierzy Służby Specjalnej, wychodzących z "Bowery", zatrzymało się, by sprawdzić kawiarnię. Dało to Padawskiemu poszukiwany pretekst. – Wychodzimy stąd – powiedział. Trio z buńczuczными minami podążyło do drzwi, Hanlon zaś wszedł do środka i stanął z boku. U wyjścia Padawski zatrzymał się, by rzucić Colmanowi nienawistne spojrzenie. Innym razem. A wtedy nie będziesz miał tyle szczęścia. – Wyszli. Na zewnątrz trzech SS – uranów zrobiło w tył zwrot i powoli odeszło.

Hanlon zbliżył się, usiadł w łoży. W sali wszystko wróciło do normy. – Wiedzieli, że tu jesteś, Steve. Podśluchałem ich rozmowę u Rockefellera. Pomyślałem sobie, że wrócę i powłóczę się gdzieś tutaj.

– Zawsze mówiłem, że masz dobre wyczucie chwili, Bret.

– Czy ten fajny chłopak to ten Jay, o którym mi opowiadałeś? – spytał Hanlon.

– To Jay. Jay, to jest Bret, Bret Hanlon. Dowodzi jednym z plutonów i uczy walki wręcz. Nie zadzieraj z nim.

– Czy to dlatego te typy się wyniosły? – spytał Jay, powoli odzyskując naturalny kolor twarzy.

– Prawdopodobnie jedno z drugim miało coś wspólnego odpowiedział z uśmiechem Colman. – Z takimi szumowinami ma się do czynienia w wojsku. Nadal cię interesuje?

– Sądzę, że będę musiał to przemyśleć – zgodził się Jay.

Hanlon zamówił trzy hamburgery z garni i najbliższe pół godziny dwaj sierżanci spędzili na rozmowie z Jayem o życiu wojskowym, o futbolu i o tym, jak Stanislaw przełamuje zastrzeżone kody publicznego banku pamięci. W końcu Jay oświadczył, że czas mu do domu, więc odprowadzili go przez kilka poziomów aż do centralnego dworca kapsuł na Manhattanie.

– Czy wracamy do towarzystwa? – zapytał Hanlon, gdy po odejście Jaya do segmentu Maryland schodzili szerokimi schodami na forum na środkowym pokładzie.

Colman zwolnił kroku i podrapał się w brodę. Nie miał na to ochoty. – Idź sam, Bret – powiedział. – Myślę, że się trochę powłóczę. Wolałbym zostać na chwilę sam.

Rozmowa z Jayem przypomniała Colmanowi parę rzeczy, o których na co dzień nie miał ochoty myśleć. Życie było jak wojsko: brało ludzi, łamało ich na drobne kawałki i układało z powrotem tak, jak chciało. Tyle że nie robiło tego z ciałami, lecz z umysłami. Brało umysły dziecięce w okresie ich plastyczności i paraliżowało je, mówiąc, że są głupie; dezorientowało je przy pomocy ludzi, którzy z założenia wszystko mieli wiedzieć lepiej, ale nic z tego im nie przekazywali; na koniec terroryzowało je przy i pomocy Boga, który kochał wszystkich. A wtedy musztrowało je i ćwiczyło, dopóki słusznym nie stało się tylko to, co kazało im myśleć. Ten system zmienił Anitę w lalkę i próbował zrobić kukielkę z Jaya, tak jak już ją zrobił z Bernarda. Zmieniał ludzi w magnetofony, które nagrywały i odgrywały słowa, i wpajał w nich przekonanie, że wiedzą wszystko o ludności planety, której nigdy nie oglądali na oczy. I rozwaliał czaszki czarnych chłopów, ponieważ chcieli oni uprawiać swe farmy, a nie chcieli, by ich dzieci przybijano gwoździami do ścian, następnie zaś mówił cywilom w Cape Town, że tak jest w porządku. A co zrobił z Colmanem?

Nie miał na to odpowiedzi, ponieważ nie wiedział, jak mogłoby być, gdyby było inaczej.

– Doigrają się szybko tego, co im się należy – oświadczył tłuszcioch siedzący na stołku barowym obok Colmana. – Rozwydrzone dzieci, mnożą się jak króliki... Obrzydliwe. I do tego robią bomby! Dzikusy, nic tylko dzikusy, nie lepsze niż Chińczycy. Kalens ma rację. On ich nauczy trochę szacunku i przyzwoitości. Colman przełknął drinka i wyszedł.

Jezu – pomyślał. Ten ustrój przyprawiał go o mdłości. A ciągnęło się to dawniej, niż od dwudziestu lat, bo czymże był *Mayflower II*, jeśli nie przedłużeniem systemu, od którego próbował uciekać przez całe życie? Jay zaczął już pojmować, że pułapka w jaką wpadł, zaczyna się zamykać. I nic się nie zmieni. Nigdy. Chiron też nie będzie wyjściem, na które Colman miał nadzieję zgłaszając się na ochotnika, gdy miał dziewiętnaście lat. Wiozą system wraz z sobą, a Chiron stanie się jego częścią.

Wrócił do "Bowery", gdzie paru biznesmenów na przechadzce po mieście postawiło mu drinka. Byli zaniepokojeni plotkami o możliwości kłopotów, mieli bowiem wielkie plany ekspansji na Chironie i chcieli wyciągnąć z Colmana, co też się o tym szepcze w Armii. Colman powiedział, że nic się nie szepcze. Biznesmeni mieli nadzieję, że wszystko pójdzie pokojowo, ale byli też zadowoleni, że jest pod ręką wojsko, by usuwać trudności. Nie zależało im na pokoju po to, by Colman i jemu podobni nie zostali zabici ani by Chironczycy podobni do Jaya zostali inżynierami, podobni zaś do czarnego chłopaka koło Zeerust uprawiali farmy, zamiast ginąć pod dywanowym nalotem. Chcieli pokoju po to, by móc nająć Chironczyków za połowę płacy Ziemiaków i by zbudować dla swych dzieci dobre, ekskluzywne szkoły. Chironczykom nie można pozwolić chodzić do szkół, bo wtedy zażądają równych płac z Ziemiakami. A zresztą na takie szkoły nigdy nie będzie ich stać – przecież to w końcu nie są ludzie.

– Jaki wydruk daje chiroński komputer, gdy ktoś go chce użyć bez upoważnienia? – zapytał jeden z biznesmenów, gdy sytuacja dojrzała do opowiadania dowcipów.

– Jaki?

– RATUNKU! GWAŁCĄ! Ha ha, ha ha ha!

Colman zdecydował przejść się do "Rockefellera" i sprawdzić, czy nie został tam ktoś z jego plutonu. Po drodze nagle zwolnił kroku. Nie tak dawno temu natknął się przypadkiem na bardzo osobisty i zadawalający sposób tworzenia sobie wrażenia, że wyrównuje swe rachunki z systemem, choć nie bardzo wiedział, dlaczego tak się dzieje. Nikt prócz niego nie wiedział o tym, nawet Hanlon, ale tajemnica nie wpływała ujemnie na jego samopoczucie. Nie spotykał się z nią od

pewnego czasu, ale właśnie dziś był w odpowiednim nastroju.

By uniknąć posługiwania się komblokiem w niezbyt prywatnym otoczeniu, wszedł do kabiny w holu u "Rockefellera" i wywołał numer tak zaprogramowany, że odpowiadał tylko, gdy była sama. Czekał na sygnał, Colman błyskawicznie przebiegł myślą wydarzenia sprzed sześciu miesięcy. Stał wyciągnięty na baczność w paradnym mundurze obok modelu stanowiska zdalnego kierowania ogniem artyleryjskim – eksponatu, należącego do części wystawy zorganizowanej przez Armię z okazji Święta Czwartego Lipca – gdy ona niedbałym krokiem oddaliła się od grupy sączących koktajle Bardzo Ważnych Osobistości i stanęła obok niego, podziwiając ekrany z pozorowanymi obrazami pola bitwy. Powolnym, sugestywnym ruchem przesunęła długim, lakierowanym paznokciem po klawiaturze skomplikowanego pulpitu kontrolnego podsystemu śledzenia satelitarnego. – A ilu jeszcze tak przystojnych mężczyzn jak ty, sierżancie, jest w Armii? – szepnęła do ekranów przed sobą.

– Nie mogę odpowiedzieć, Madame – odrzekł Colman armacie laserowej, stojącej o dwadzieścia stóp przed nim. – Nie jestem specjalistą od przystojnych mężczyzn.

– Więc może specjalistą od pań, poszukujących podniecającej rozrywki?

– To zależy, Madame. Mogą sprawić sporo kłopotów.

– Bardzo mądrze, sierżancie. Niemniej niektóre z nich umieją być bardzo dyskretne. Teoretycznie biorąc, zaliczałyby się wówczas do innej kategorii, nie sądzisz?

– Teoretycznie, jak sądzę, ma pani słuszość – zgodził się Colman.

Miała przyjaciółkę, Weronikę, mieszkającą samotnie w pracowni artystycznej w segmencie Baltimore i bardzo wyrozumiałą. Można było mieć pewność, że Weronika opuści dom na cały wieczór, i to w każdej chwili; Colman niekiedy zastanawiał się, czy ona rzeczywiście istnieje. Posiadanie pracowni na wyłączny użytek nie stanowiłoby problemu dla żony Bardzo Ważnej Osobistości, nawet przy ograniczonej powierzchni mieszkalnej *Mayflowera II*. Nigdy mu nie powiedziała, czy był jej jedynym mężczyzną, on zaś nigdy nie pytał. To należało do zasad ich związku.

Ekran naprzeciw niego nagle rozjaśnił się, ukazując jej twarz. Przez maleńki ułamek sekundy w jej oczach zabłysło zdziwienie, ustępując ciepłemu płomykowi oczekiwania pomieszanego z odrobiną rozbawienia.

– Hej, witaj, sierżancie – powiedziała niskim głosem. Zaczynałam się zastanawiać, czy nie mam do czynienia z przypadkiem dezercji. Teraz zaś zastanawiam się, co możesz mieć na myśli o tej nocnej godzinie.

– To zależy. Jaka jest sytuacja pod względem towarzyskim?

– Och, jak na sobotni wieczór, bardzo nudna.

– Nie ma go...

– Pije, obzera się i spiskuje. Z pewnością do białego rana.

Colman zawahał się przez chwilę wystarczająco długą, by pytanie stało się jednoznacznie zrozumiałe. – Więc...?

– No cóż, jestem pewna, że Weronika da się przekonać, jeśli zadzwonię do niej i ładnie poproszę.

– Powiedzmy, za pół godziny?

– Pół godziny. – Uśmiechnęła się obiecująco i mrugnęła. W chwili gdy ekran gasł, Colman na moment ujrzał w zbliżeniu sięgające ramion kasztanowate włosy i piękne rysy twarzy kobiety, pochylającej się nad ekranem, by przerwać połączenie.

Jego pólętatowę kochankę z najwyzszych sfer była Celia Kalens.

ROZDZIAŁ ÓSMY

– Na dzień dzisiejszy, dzień ostatniej wspólnej Wigilii Bożego Narodzenia przed osiągnięciem celu naszej podróży, jako temat mego okolicznościowego posłania do was wybrałem fragment, który brzmi: “Pozwólcie dziećcom przyjść do mnie”. – Głos naczelnego biskupa Misji dostojnie spływał z głośników rozmieszczonych wokół Teksaskiej Czaszy do uszu dziesięciu tysięcy zgromadzonych wiernych, z nabożeństwem przysłuchujących się kazaniu z miejsc na jej zboczach. Zielony prostokąt boiska wypełniony był oddziałami załogi i wojska, bez ruchu stojącymi u jednego jego końca w paradnych mundurach. Środek zajmowały równe prostokąty dzieci szkolnych, odzianych w świeżo wyprane i wyprasowane brązowe i niebieskie kurtki. Na drugim końcu stadionu, naprzeciw podwyższenia, z którego przemawiał biskup, wznosiły się amfiteatralnie ławki, gdzie zasiadały Bardzo Ważne Osobistości w ciemnych garniturach, pastelowych sukniach i obwieszonych odznaczeniami mundurach. Głos kontynuował: – Stosowne to słowa, bo zaiste niebawem spotkamy istoty, które musimy uznać i przyjąć jako dzieci pod względem duchowym, choć nie zawsze może cielesnym i umysłowym...

Colman stał obok Hanlona na czele trzeciego i drugiego plutonu kompanii “t?”, bezpośrednio za Sirokkiem, dość daleko na skrzydle oddziałów wojska. Bardzo niewielu z kompanii było nieobecnych z takich czy innych przyczyn. Wśród tych zaś wyróżniał się nieobecnością kapral Swyley, przebywający w izbie chorych Brygady z nadzieją na świąteczny obiad z indykiem; stały rozkaz trzymania kaprala na diecie szpinakowo – rybnej w tajemniczy sposób wymazał się z pamięci komputerowej. Dietetyk był pewien, że poprzednio coś w tym rodzaju musiało istnieć; ale zgodził się w końcu, że może myli Swyleya z kimś innym. Swyley zgodził się, że coś takiego znajdowało się w zapisach, mówiąc, że się nie zgadza; dietetyk nie zrozumiał tego i zdecydował zapomnieć o wszystkim.

– ...na różne sposoby zesłi z właściwej ścieżki, my zaś musimy wspomnieć na nasz zarówno chrześcijański, jak patriotyczny obowiązek wprowadzenia tej zbłąkanej trzódki na powrót do owczarni. Nierzadko jest to niełatwym zadaniem, zadaniem wymagającym zarówno stanowczości, jak poświęcenia, współczucia jak rozumu...

Colman pomyślał o odprawach dotyczących ofensywnej taktyki dla uchwycenia kluczowych pozycji m. powierzchni Chirona, w których uczestniczył niedawno, oraz intensywnym ćwiczeniu działań antyterrorystycznych i przeciwpartyzanckich, które się właśnie rozpoczęło. Kazanie przypomniało mu o starych statkach niewolniczych, które przybywały ze słowami braterstwa i miłości, a pod pokładem trzymały w gotowości magazyny pełne prochu. Czy można było do tego stopnia uwarunkować ludzi, by byli przekonani, że robią jedno, gdy robili coś dokładnie przeciwnego i by nie dostrzegali owej sprzeczności? Zastanawiał się, *czego* takiego Dyrektoriat dowiedział się o Chinonie, a utrzymuje w tajemnicy.

– Będzie więc z naszym pożytkiem, gdy zachowamy w pamięci te rzeczy do chwili, gdy zwracamy się, z wiarą w naszą misję i z ufnością, płynącą z wiedzy, iż nasza sprawa wynikła z Jego woli, ku zadaniom, które przed...

Po przeciwległej stronie stadionu, na najwyższej kondygnacji miejsc siedzących, Colman mógł dostrzec wysoką, wyprostowaną figurę srebrnowłosego Howarda Kalensa, a obok niego Celię w jasnoniebieskiej sukni i odpowiednio dobranym płaszczu. Powiedziała mu, że Kalens działa pod wewnętrznym przymusem posiadania: posiadania rzeczy i posiadania ludzi. Uważał, że zagraża mu

wszystko i wszyscy, którym nie rozkazuje. Colman dziwił się, że tak wielu ludzi może uznawać za swego przywódcę kogoś obarczonego takimi cechami. Aby stać na czele, trzeba umieć obchodzić się z ludźmi, tak by można się do nich odwrócić plecami i mieć pewność, że to niczym nie grozi. Celia nie zgodziła się, by być jedną z pozycji w inwentarzu własności Kalensa i dowiodła tego samej sobie w taki sam sposób, jak Colman potrafił dać samemu sobie dowody, że nikt nie będzie mu dyktował, jak ma myśleć. Takie były następstwa postępowania ludzi działających w taki sposób, że w rezultacie nie śmieli odwrócić się do innych plecami. Colman nie zazdrościł Kalensowi ani jego pozycji, ani wielkiego domu w Dystrykcie Kolumbia; wiedział, że sam może stanąć plecami do ludzi ze swego plutonu bez obawy, że zostanie zastrzelony. Powinno się wszystkim Bardzo Ważnym Osobistościom tam w ławkach wydać działa szturmowe M32. pomyślał Colman. Wtedy wszyscy oni wymordują się, strzelając sobie nawzajem w plecy, ludzie zaś będą mogli pójść sobie spokojnie do domów, by myśleć tak, jak będą mieli na to ochotę.

W jaki więc sposób ludzie tacy, jak Howard Kalens, myśleli o Chironie? Czy wyobrażali sobie, że będą w stanie osiąść całą planetę? Czy to z tego powodu poddawali dzieci praniu mózgow, by je zmienić w marionetki ze Sfory, które myślą tak, jak im się każe, oraz w cywilów, którzy będą mówić, że tak być powinno? Ale dlaczego, dlaczego ludzie na to się zgadzają? Większość z nich nie pragnie posiadać tej planety: po prostu chcą, by dać im spokój i pozwolić być inżynierami czy uprawiać farmy. Zgadzają się zaś dlatego, że akceptują zasady, które mówią, że będą należeli do lepszych, jeśli będą myśleć tak, jak te zasady nakazują. do gorszych zaś, gdy tego nie uczynią.

Trwało to przez całą historię i znowu zaczynało się na nowo. Aktualne nowiny sprzed czterech lat z Ziemi donosiły o szybkiej eskalacji najnowszej wojny przeciwko Nowemu Izraelowi Afryki Południowej. Tym razem jednak wmieszała się FWA. Stratedzy Zachodu zinterpretowali to jako plan FWA sprowokowania powszechnej wojny w Afryce w tym celu, by Federacja mogła następnie wkroczyć i oskrzydlić Europę od południa.

Wynikał z tego zamiar owładnięcia całym blokiem kontynentalnym

Azji, Afryki i Europy. Po coś zaś opanowywać Azję, Afrykę i Europę? Colman nie wiedział. Był całkiem pewien, że większość ludzi, którzy zabijali się tam na Ziemi, ani nie chciała tych obszarów, ani nie przejmowała się aż do tego stopnia, kto będzie nimi władał. To Howardowie Kalensowie chcieli mieć je na własność, bo chcieli mieć wszystko. Być może, gdyby zdołali się nauczyć takiego postępowania z ludźmi, by się nie bać odwracać do nich plecami, a także chodzenia do łóżka z własnymi żonami, nie potrzebowaliby podbojów terytorialnych. A przecież potrafili wmówić wszystkim, że to właśnie czyniło ich lepszymi niż inni, reszta zaś ludzi w to uwierzyła.

Przypomniawszy sobie opowiadanie Jaya o fizyku z laboratoriów w segmencie Princeton, który uważał, że społeczeństwa ludzkie były ostatnią fazą ewolucji zapoczątkowanej miliardy lat temu, gdy wszechświat zaczął się kondensować z promieniowania. Ewolucja to problem przetrwania. Czy ktoś w ogóle przetrwa na dłuższą metę – Colman nie był tego taki pewny. Czy kukielki, które myślą to, co im się każe i zabijają się wzajem z przyczyn, które ich nie powinny obchodzić, czy raczej kapral Swyley, który trzymał się z daleka od wszystkiego i nie mieszał się do niczego tak długo, póki mu dawano spokój?

Być może, pomyślał, w końcu krótkowzroczni posiadają Ziemię.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

W dniu oficjalnie określanym jako 28 grudnia 2080 roku, według systemu rachuby czasu, który będzie obowiązywał tak długo, póki statek nie przestawi się na kalendarz chiroński, *Mayflower II* wszedł do układu planetarnego Alfya Centauri z szybkością 2837 mil na sekundę, stale opóźnianą czynnym z maksymalną siłą głównym napędem. Okres opóźnienia wymiany depesz z Chironem skrócił się znacznie, do poniżej czterech godzin. Telegram z planety potwierdził, że kwatery dla przybywających zostały przygotowane, zgodnie z ich żądaniem, na peryferiach Franklina.

31 grudnia 2080 roku

Odległość od Chirona 1,9 miliarda mil; szybkość zredukowana do 1100 mil na sekundę. Rozpoczęło się stopniowo wzrastające hamowanie działania głównego napędu. Dla skompensowania zmniejszenia siły liniowej, wynikającego z deceleracji, ruchome segmenty Pierścienia zaczęły się z wolna obracać. Od Chirończyków nie nadeszła żadna odpowiedź na depeszę z żądaniem podania nazwisk, stopni służbowych i tytułów dygnitarzy planety, wyznaczonych dla przyjęcia oficjalnej delegacji *Mayflowera II* w chwili jego przybycia.

5 stycznia 2081 roku

Szybkość 300 mil na sekundę, odległość od celu 493 miliony mil. Dokonano korekty kursu dla wprowadzenia statku na orbitę zbliżenia.

8 stycznia 2081 roku

W odległości 8 milionów mil od celu; siły obronne postawiono w stan pełnej gotowości, wysunięto zasłonę zdalnie sterowanych przechwytywaczy, rozwiniętą na 50 000 mil przed statkiem dla przykrycia jego końcowego zbliżenia. Ze strony Chirona zupełna obojętność.

9 stycznia 2081 roku

Okres opóźnienia łączności dwustronnej z Chironem dwadzieścia dwie sekundy. Procedura protokolarna przyjęcia delegacji nadal nie uzgodniona. Chirończycy obsługujący środki łączności twierdzą, że nie ma u nich władz, które by ich reprezentowały i wobec tego nie ma nikogo, kto odpowiadałby żądanym kwalifikacjom. Siły obronne *Mayflowera II* postawione w stan alarmu bojowego.

10 stycznia 2081 roku

Główny komputer sterujący systemów napędowych skontrolował ostatnie stadia hamowania działania głównego napędu i wyłączył reaktory. Gdy zaczęła stygnąć ogromna misa odrzutowa, w której przez sześć miesięcy co sekunda dwie tony materii ulegało przemianie anihilacyjnej w energię, statek, za pomocą rakietowych silników korekcyjnych, łagodnie wprowadzono na orbitę parkingową na wysokości 25 000 mil i przystosowano w całości jego układ do warunków stanu nieważkości. Stał się nową gwiazdą, przemierzającą nocne niebo nad Chironem.

Podróż *Mayflowera II* dobiegła końca.

CZEŚĆ DRUGA

Chirończycy

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Mayflower II powoli obracał się w przestrzeni, wysoko nad powierzchnią Chirona. Zewnętrzne wrota Hangaru Promowego nr 6 w segmencie Vandenberg rozpadły się na cztery sektory i rozwinęły jak płatki gigantycznego metalicznego kwiatu, ukazując dziób stojącego za nimi lądownika. Po chwili, pod działaniem siły odśrodkowej obrotów statku macierzystego, prom nagle wyfrunął na zewnątrz. W trzydzieści sekund później zapalił silniki, kładąc się wirażem prosto na kurs prowadzący do *Kuan-yin*, orbitującej o dziesięć tysięcy mil niżej.

– Otrzymaliśmy rozkaz, że mamy “poprzedzać świętą Ambasadora przez służbę wyjściową, by sformować wartę honorową w holu zewnętrznym *Kuan-yin*, gdzie odbędzie się ceremonia”. Sirocco czytał głośno tekst rozkazu na porannej odprawie żołnierzy kompanii “D”, przydzielonych jako eskorta Ambasadora.

– “Przez cały czas należy utrzymywać najściślejszą dyscyplinę i porządek, biorącym zaś udział w uroczystości żołnierzom należy zwrócić uwagę na niezbędność zachowania należytych form, stosownych dla powagi tego niepowtarzalnego wydarzenia historycznego”. To znaczy, Swyley, że powstrzymasz się od brzuchomówczych komentarzy dla ulżenia nudzie, wy zaś wszyscy wystąpiacie w najlepszych w całym waszym życiu paradnych ciuchach... “Ponieważ ocenia się jako wysoce nieprawdopodobne, by ze strony Chrończyków nastąpiły działania o charakterze prowokacyjnym, oddział wystąpi w Mundurach Defiladowych Numer Jeden, z bronią załadowaną wyłącznie jako środek ostrożności. Na wypadek wystąpienia nieprzewidzianych okoliczności, w promie będzie się znajdować oddział posiłkowy żołnierzy Służby Specjalnej, w pełnej gotowości bojowej dla wykonania takich rozkazów, jakie najstarszy rangą generał towarzyszący składowi delegacji uzna za stosowne wydać”.

– Mieliście kiedykolwiek uczucie, że was wystawiają do sprzedanego meczu? – zapytał kwaśnym tonem Carson z trzeciego plutonu. – Zgadnijcie, kto weźmie na siebie pierwsze uderzenie?

– Czy nie wiesz, że jesteś artykułem jednorazowego użytku? zapytał rzeczowo Stanisław.

– Ach, ale pomyślcie, że to zaszczyt – odpowiedział im Hanlon. – A czyż tym biednym chłopakom z SS siedzącym w promie na tyłach serce nie będzie się krajało z zazdrości i żalu, że nie mogą wraz z nami skorzystać z okazji zaryzykowania własnej głowy za sztandar i ojczyznę?

– A ja mogę się zmienić – zaproponował natychmiast Stanisław.

Sirocco raz jeszcze przejrzał rozkaz i dodał: – “Wysunięty oddział wartowniczy wykona zwrot dla utworzenia dwóch szeregów, ustawionych pod kątem czterdziestu pięciu stopni po obu stronach służby wejściowej, z dowódcami sekcji przed ich frontami. Oficer dowodzący wartą będzie się znajdował o dwa kroki na lewo od wyjścia ze służby. Po zakończeniu ceremonii wstępnych, warta zostanie zmieniona przez oddział z kompanii “B”, który zajmie pozycję na rampie wyjściowej, sama zaś podąży do wnętrza *Kuan-yin*, wystawiając posterunki w punktach wymienionych w załączonym Planie A. Posterunki pozostaną na wyznaczonych im miejscach aż do otrzymania zmiany lub dalszych rozkazów”... Są jakieś pytania na temat?

Ambasadorem, któremu mieli asystować jako warta honorowa, miał być Amery Farnhill, zastępca Howarda Kalensa w Departamencie Łączności. Sam Kalens miał stanąć na czele delegacji głównej, wysyłanej na powierzchnię planety dla podjęcia pierwszych kontaktów z Chirończykami we

Franklinie. Decyzję skierowania na *Kuan-yin* delegacji niższego szczebla, jak również rozmieszczenia na tym statku oddziałów wojskowych podjęto po to, by dać Chirończykom do zrozumienia, że ich statek – robot jest nadal uważany za własność Ziemi. Ze względów protokolarnych Wellesley ani Stern nie wystąpią tak długo, póki na Chironie nie dojdzie do kontaktów na odpowiednim szczeblu i nie zostanie przygotowany porządek dzienny dalszych obrad.

Od czasu gdy *Kuan-yin* wyruszyła z Ziemi w 2020 roku, kształt statku w porównaniu ze znanym z ówczesnych ilustracji zmienił się znacznie – zauważył z zainteresowaniem Colman, siedząc wyprostowany, by nie załamać kantów na odprasowanym mundurze pod pasem bezpieczeństwa, przytrzymującym go na fotelu. Rosnącemu obrazowi statku przyglądał się na ekranie umieszczonym w przedniej części kabiny. W pierwotnej wersji *Kuan-yin* miała formę hantli, z zapasami paliwa jądrowego i impulsowymi silnikami termojądrowymi skupionymi na jednym końcu, komputerami i czułymi urządzeniami rozpoznawczymi zaś na drugim. Łączyła je długa, walcowata konstrukcja, której zadaniem było zarówno sprzęgnięcie obu części w całość, jak odsunięcie wrażliwych przyrządów poza zasięg promieniowania członu napędowego. Modyfikacje konstrukcji, które miały miejsce po roku 2015 w związku z potrzebą stworzenia pierwszych Chrończyków i zapewnienia dla nich pomieszczeń, pociągnęły za sobą konieczność rozbudowania członu instrumentów oraz wmontowania silników pomocniczych. Miały one, po przybyciu na Chirona, obracać hantle wokół jego osi, by zapewnić pierwszym mieszkańcom statku pseudograwitację na okres, w którym na powierzchni planety będą budowane pierwsze osiedla.

W następnych latach człon przyrządów obrósł całą kolekcją struktur pomocniczych, która podwoiła jego objętość. Zbiorniki paliwa, mieszczące się początkowo na rufie, – znikły, zastąpione, jak się wydawało, przez wiązkę ogromnych metalowych butli, otaczających środkową część walca łącznikowego. Ogon znikł i zamiast niego pojawił się na rufie nowy zespół gigantycznych spirali, otaczających rurową obudowę, uwieńczoną paraboliczną misą odrzutową. Przypominała ona główny napęd *Mayflowera II*, znacznie jednak zmniejszony w skali wobec mniejszych wymiarów statku. Konstruktorzy *Mayflowera II* zaprojektowali złącza cumownicze promów w taki sposób, by pasowały do wejść do *Kuan-yin*. Chirończycy zaś, przebudowując swój statek, zachowali jednak moduły wyjściowe. Tak więc z połączeniem lądownika ze statkiem nie było żadnych problemów.

W rzędzie foteli na lewo od Colmana siedziała reszta żołnierzy Sekcji Czerwonej, w przednim zaś rzędzie Sekcja Niebieska, przy której znajdowali się Hanlon i Sirocco. Wszyscy byli dziwnie milczący. Przyglądali się ekranowi, ukazującemu na dalszym planie świetlisty półksiężyc Chirona; dla niektórych z nich był to pierwszy obraz planety oglądany w czasie rzeczywistym. Zgodnie z planem wyładunku w głębi kabiny siedział, otoczony grupą wyższych oficerów, generał Portney; za nimi zaś Amery Farnhill, napięty i poważny, w towarzystwie świąty pracowników dyplomatycznych i pomocników. Sam koniec promu zajmował oddział ponurych i milczących SS – uranów w stalowych hełmach i polowych mundurach, obwieszonych pękami granatów, przytrzymując między kolanami karabiny maszynowe i działa szturmowe.

Sztab Farnhilla zrezygnował z dalszych prób uzyskania od

Chirończyków oficjalnej listy osobistości. W końcu po prostu zawiadomiono *Kuan-yin* o terminie przybycia promu i pogodzone się z myślą, że dalej sprawę trzeba będzie rozgrywać na wyczucie. Chirończycy dosyć łatwo zgodzili się przyjąć delegację, czego wynikiem był rozkaz dla asysty złagodzenia stanu pogotowia. Delegacja Kalensa w rozmowach środkami łączności z Franklinem również nie odniosła sukcesu i ostatecznie zdecydowała, że wyląduje na powierzchni planety na tych samych zasadach, co delegacja udająca się na *Kuan-yin*, jednak z bardziej szczegółowo opracowanymi przygotowaniem i ceremoniałem.

Przez interkom rozległ się głos kapitana promu, który formalnie był dowódcą operacji do chwili zetknięcia się statków: – Odległość tysiąc mil, przewidywany czas przybycia za sześć minut. Wchodzimy na orbitę spotkania i rozpoczynamy manewr styku. Przygotować się na decelerację. *Kuan-yin* potwierdziła, że otworzy służę numer trzy.

Gdy prom, hamując głównym silnikiem, wszedł w wiraż, na ekranie obraz przesunął się w bok i po chwili, gdy włączono tylne kamery, pojawił się na nowo. Przez prawie dwie minuty Colmana przyciskało do fotela, następnie na ekran znów powrócił obraz z kamer dziobowych. Colman miał przez pewien czas wrażenie, że kilka razy staje na głowie w miarę jak komputery kontroli lotu zmieniały trajektorię promu za pomocą kombinacji działania małego ciągu głównego i silników bocznych, by dopasować w chwili końcowego zbliżenia położenie lądownika do orbity *Kuan-yin*. Po niewielkich poprawkach kursu prom obracał się zgodnie z ruchem *Kuan-yin*, co u pasażerów wywołało wrażenie, że leży na plecach, aż wreszcie przesunął się lekko w przód i w górę, kończąc manewr dokowania. Operacja przebiegała gładko i wkrótce rozległ się głos kapitana: – Złączenie wykonane. Grupa lądująca może podjąć swe zadania.

- Przystąpić do działania, generale – powiedział Farnhill . z głębi kabiny.
- Rozwinąć przedni oddział wartowniczy, pułkowniku – polecił generał Portney ze środka.
- Warta, naprzód marsz – rozkazał pułkownik Wesserman z rzędu foteli przed Portneym.
- Oddział wartowniczy, sekcjami, rzędem, w prawo i w lewo marsz – powiedział Sirocco w przedniej części promu. – Dowódcy sekcji na czoło. – Stał między fotelami w przejściu, którego podłoga dla ułatwienia ruchu wzdłuż osi podłużnej promu zmieniła się w strome schody, i wspinał się po nich do bocznej służby wyjściowej, mając za sobą Colmana i Hanlona. Sekcje Czerwona i Niebieska sformowały się w przejściu bezpośrednio za nimi. W służbie drzwi wewnętrzne były już otwarte. Przed otwarciem zewnętrznych oficer wyładowczy ze stałej załogi promu dokonywał ostatniego odczytu przyrządów. Czekając, aż to zakończy, reszta delegacji zaś posunęła się do przodu kabiny, Colman wpatrywał się w pokrywę wjazdu przed sobą. Pomyślał, że po jej drugiej stronie znajduje się statek, który opuścił Ziemię wcześniej niż Colman się urodził, a teraz czeka tu na nich, przeleciawszy ten sam dystans czterech lat świetlnych, których przebycie kosztowało sierżanta równo połowę życia. Za kilka minut, po latach snucia domysłów, znana będzie odpowiedź na wszystkie pytania dotyczące Chirończyków. Opuszczenie pokładów *Mayflowera II* i ujrzenie na ekranie widok pobudziły jego ciekawość w najwyższym stopniu. Bo pomimo wszystkich krążących dowcipów i anegdot Colman był pewien, że wszelkie zmiany w budowie i wyposażeniu *Kuan-yin*, które zaobserwował z zewnątrz, nie mogły być dziełem nieodpowiedzialnych, przerośniętych nastolatków.

- Wyjście wolne – poinformował Sirocca oficer wyładowczy.
- Służa wolna dla wyjścia! – zawołał Sirocco w stronę kabiny.
- Dowódca warty – wykonywać dalej – odpowiedział pułkownik Wesserman z głębi kabiny.
- Pokryć, wyrównać – rozkazał Sirocco. Oddział wartowniczy posunął się do przodu, stając bezpośrednio za Sirockiem, Colmanem i Hanlonem i robiąc przejście dla oficerów i dyplomatów z głębi. Sirocco spojrzał na oficera wyładowczego i skinął głową. Otworzyć właz zewnętrzny. – Utycer wyładowczy wystukał polecenie na tablicy obok siebie i zewnętrzne drzwi promu z wolna odsunęły się na bok.

Sirocco marszowym krokiem przeszedł przez rampę łącznikową do wnętrza *Kuan-yin*, zrobił w lewo zwrot i zastygł w postawie na baczność. Równocześnie Colman i Hanlon wprowadzili sekcje wartowników z karabinami utrzymywanymi precyzyjnie w pozycji "na ramię broń", wolnymi rękami ostro wymachującymi, jakby poruszały je niewidzialne druty, butami unisono łomoczącymi w stalowe płyty podłogi. Oddział rozdzielił się na dwa rzędy i zatrzymał w miejscu, formując dwa zwrócone do

siebie szeregi dokładnie wzdłuż bocznych ścian wejścia. Za nimi wynurzyła się czwórka oficerów i podzieliła na dwie dwójki, podążające za pułkownikiem Wessermanem na lewo i generałem Portneyem na prawo.

– Prezentuj... broń! – szczechnął Sirocco i dwadzieścia dwie dłonie w jednym momencie zgodnie klasnęły o komory zamkowe.

Przejściem między oficerami wystąpili do przodu dyplomaci w nieskazitelnie czarnych garniturach i niepokalanie białych koszulach, w porządku od najniższego do najwyższego rangą. Zatrzymali się. Na koniec ukazała się szlachetna sylwetka Amery'ego Farnhilla i majestatycznym krokiem podążyła naprzód, zajmując miejsce na czele grupy.

– Jego czcigodna ekscelencja, Amery Farnhill. – Stojący o krok z tyłu i dwa kroki w prawo pomocnik oznajmił czystym, dźwięcznym głosem, który odbił się echem od ścian holu służby wejściowej *Kuan-yin*. – Zastępca Dyrektora Łączności Najwyższego Dyrektoriatu Urzędującego Kongresu *Mayflowera II* i wysłannik Dyrektora Kongresu na *Kuan-yin*... – Głos pomocnika stopniowo tracił przekonanie, w miarę jak jego oczy mu wskazywały, że używa słów niewłaściwych dla sytuacji. Niemniej zgodnie z instrukcją brnął przez formułę, po męsku kontynuując: – ...pełniący obowiązki Ambasadora przy systemie planetarnym Alfya Centauri z ramienia rządu... – przełknął ślinę i wziął głęboki oddech – Stanów Zjednoczonych Wielkiej Ameryki Północnej planety Ziemia.

Mała grupka Chirończyków, przyglądających się z małej odległości i tłumek zgromadzony w głębi holu zaklaskały entuzjastycznie, szeroko uśmiechając się z aprobatą. Nie spodziewano się takiego zachowania. Tworzyło niewłaściwą atmosferę.

– Porządne chłopcy – rozległ się znikąd bezcielesny szept kaprała Swyleya. – A my robimy z siebie pajaców.

– Zamknij się – syknął Colman przez zęby.

Najstarszy z grupy Chirończyków nie mógł mieć więcej niż trzydzieści kilka lat, wyglądał jednak na starszego z głową zaczynającą łysieć na czubku i niską, zaokrągloną sylwetką z małym brzuszkiem. Bez krawata, nosił koszulę o skomplikowanym niebiesko – szarym deseni i zwykłe, granatowe spodnie na pasku. W rysach twarzy miał coś azjatyckiego. Koło niego stali młody chłopak i dziewczyna, oboje, jak się zdawało, liczący nieco ponad dwudziestkę, ubrani w białe fartuchy laboratoryjne, i jeszcze jedna, młodsza ciemnoskóra para, wyglądająca na nastolatków. Grupę uzupełniał stojący opodal sześciostopowy robot – android ze srebrzystego metalu, niosący na ramionach małą czarną dziewczynkę. Jej nogi dyndały po obu stronach szyi robota, ręce zaś obejmowały jego głowę.

– Cześć – pozdrowił ich przyjacielsko mężczyzna z brzuszkiem. – Jestem Clem. To jest Carla i Hermann oraz Francine i Borys. Ten tutaj duży nazywa się Cromwell, a mała pani na jego ramionach to Amy. No cóż, mam wrażenie... witajcie na pokładzie.

Farnhill rozejrzał się na wszystkie strony ze zmarszczonym czołem, oblizał wargi i wziął głęboki oddech. Nagle wypuścił powietrze i potrząsnął głową. Po prostu nie mógł znaleźć słów odpowiednich dla tej sytuacji. Grupa dyplomatów zakołysała się niepewnie, żołnierze patrzyli w przestrzeń bez mrugnięcia okiem. Sekundy ciągnęły się niezręcznie. W końcu pomocnik przejął inicjatywę i spojrzał pytająco na człowieka, który przedstawił się jako Clem.

– Kim pan jest? – zapytał. Z jego głosu ulotnił się całkowicie ton urzędowy. – Czy reprezentuje pan tu władzę? Jeśli tak, jaki jest pana stopień służbowy i tytuł?

Clem zmarszczył brwi i potarł w zamyśleniu podbródek. Zależy od tego, co nazywasz władzą – odpowiedział. – Organizuję bieżącą pracę załogi inżynieryjnej statku i nadzoruję utrzymywanie go w sprawności. Przypuszczam, że według ciebie jest to swego rodzaju władza. Ale z drugiej strony nie

mam wiele do czynienia z specjalnymi programami badawczymi i modyfikacjami, bo tym zajmuje się Hermann.

– To prawda – zgodził się Hermann, młody człowiek w kitlu laboratoryjnym. – Ale trzeba dodać, że część tego miejsca służy jako szkoła dla dzieci, by wcześniej mogły zapoznać się z warunkami pozaplanetarnymi. Pani, która prowadzi te sprawy, jest nieobecna w tej chwili, ale później będzie wolna.

– Została zatrzymana na lunchu, gdzie próbuje odpowiedzieć na pytania o supernowe i kwazary – wyjaśniła Francine.

– Z innej znów strony, jeśli pytasz, kto odpowiada za kierowanie tutaj wyposażenia z powierzchni oraz rejestrowanie, kto i kiedy jest przydzielony i do jakich zadań, to należy to do Cromwella powiedziała Carla. – Jest połączony z głównymi komputerami statku, a poprzez nie z siecią planetarną.

– Cromwell wie wszystko – oświadczyła Amy ze swej grędy. – Cromwell, czy ci żołnierze mają ziemskie działa szturmowe M32 czy M30?

– M32 – odpowiedział robot. – Mają udoskonalone celowniki. – Mam nadzieję, że nie zaczną tutaj do siebie strzelać. Na orbicie byłoby to wręcz okropne. Mogliby spowodować dekompresję całego statku.

– Sądzę, że oni o tym wiedzą – odrzekł Cromwell. W przestrzeni kosmicznej przebywali o wiele dłużej niż ty, która zrobiłaś tylko parę wycieczek.

– Tak właśnie przypuszczałam.

Cierpliwość pomocnika nagle się wyczerpała. – To są kpiny! Chcę wiedzieć, kto tu jest władzą najwyższą. Musicie mieć przecież Dyrektora Operacji czy jakiś jego odpowiednik. Bądźcie więc uprzejmi...

Farnhill zatrzymał go ostrym ruchem ręki. – To przedstawienie trwa już zbyt długo – oświadczył. Spojrzał na Clema. – Może będziemy kontynuować tę dyskusję w warunkach większej poufności. Czy jest jakieś odpowiednie miejsce niedaleko stąd?

– Oczywiście. – Clem zrobił szeroki gest do tyłu. – Jest tam w korytarzu duży pokój, wolny w tej chwili, który pomieści wszystkich. Możemy tam dostać trochę kawy. Mam wrażenie, że wam dobrze zrobi – mieliście długą podróż, he? – Wyszczrzył zęby do własnego dowcipu i odwrócił się, by wskazać drogę. Odnosiło się wrażenie, że żart niezbyt się Farnhillowi spodobał.

– Mhm... – odchrząknął generał Portney. – Na czas negocjacji rozmieścimy posterunki na terenie *Kuan-yin*. Ufam, że nie ma sprzeciwów. – Oficerowie zeszywnieli, oczekując odpowiedzi na zawarte w tych słowach pierwsze wezwanie, rzucone prawowitości chirońskich rządów na *Kuan-yin*.

Clem nie odwracając się niedbale machnął ręką. – Ależ proszę odpowiedział. – Choć nie sądzę, żebyście ich naprawdę potrzebowali. Jesteście tu całkiem bezpieczni. Nie mamy wielu włamywaczy. – Farnhill rzucił swym pomocnikom bezradne spojrzenie, po czym zebrał siły i poprowadził swą grupę za Clemem, podczas gdy inni Chirończycy zrobili im przejście. Oddział wojskowy złamał szeregi, by podążyć za grupą, Wesserman zaś szeroko rzucił przez ramię w stronę Sirocca:

– Dowódca warty, wykonywać dalej.

Zmiana z kompanii "B" wymaszerowała z luku promu, zajmując pozycję naprzeciw rampy, Sirocco zaś wystąpił przed front wartowników, by wydać rozkazy. – Oddział pokładowy, baaa – ość! W dwurzędzie, w szyku marszowym, zbiór – ka! – Dwa szeregi odwołane od luku wejściowego stanęły w rzędach za dowódcami sekcji. – Posterunki wystąpią i zajmą kolejno wyznaczone miejsca. W lewo... marsz! – Dwa rzędy żołnierzy z ciężkim tupotem podążyły za Sirockiem przez hol, zaszły w

lewo, przy czym każdy żołnierz po wewnętrznej stronie szyku wykonał w miejscu cztery kroki, po czym oddaliły się, maszerując korytarzem w głąb *Kuan-yin*.

Amy przyglądała się ciekawie znad czubka głowy Cromwella, jak znikali z pola widzenia. – Zastanawiam się, czemu oni chodzą w taki sposób, gdy krzyczą na siebie – powiedziała zadumana. Cromwell, czy nie wiesz, dlaczego tak robią?

– Czy przemyślałaś to już? – zapytał Cromwell.

– Niezupełnie.

– Powinnaś nie tylko zadawać pytania, ale i myśleć o tym, co widzisz. W przeciwnym wypadku skończy się na tym, że inni ludzie zaczną za ciebie myśleć zamiast tego, byś ty polegała na sobie.

– Oooh... Tego bym nie chciała – powiedziała Amy.

– No więc dobrze – odparł Cromwell. – W takim razie, jak myślisz, czemu miałybyś chodzić w ten sposób dlatego, że ktoś na ciebie krzyczy?

– Nie wiem. – Amy wykrzywiła twarz i potarła grzbiet nosa palcem. – Myślę, że musiałabym zwariować.

– No to masz temat do przemyślenia – oświadczył Cromwell.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

ŁUP, ŁUP, ŁUP, łup, łup, łup, łup, łup. – Oddział... stój!

Łup – łup!

Oddziałek z kompanii "D" zatrzymał się w korytarzu wiodącym z Laboratorium Spektroskopii Rentgenowskiej i Analizy Obrazu w miejscu, w którym rozszerzał się on w pionową wnękę, mieszczącą schody o stalowej poręczy. Prowadziły one na Pokład Obserwacyjny, gdzie znajdowały się pięciusetcentymetrowe interferencyjne teleskopy optyczne oraz do prowadzenia obserwacji w promieniach gamma. Paru przechodzących Chirończyków zatrzymało się na chwilę, by popatrzeć, wesoło pomachało rękami i poszło dalej do swoich zajęć.

– Wartownik na posterunek... marsz! – wrzasnął Sirocco. Starszy szeregowiec Driscoll wykonał krok z końca znacznie już uszczuplonego rzędu żołnierzy, wykonał zwrot o dziewięćdziesiąt stopni w prawo, jeszcze krok w tył, w końcu zastygł w postawie zasadniczej plecami do ściany, u wejścia do bocznego, mniejszego korytarza. – Defiladowe... spocznij! – Driscoll odstawił lewą stopę stając na rozstawionych nogach i przerzucił karabin z ramienia w ten sposób, by stopka kolby znalazła się o jeden cal od jego buta. – Reszta oddziału w lewo... marsz!

Łup, łup, łup, łup...

Rytmiczny łomot maszerujących nóg ucichł w oddali. Zamiast niego pojawiły się zmieszane odgłosy codziennego życia na *Kuan-yin*: głos dziewczynki, wykrzykującej jakieś liczby do kogoś o jeden pokład wyżej; odległy śmiech dziecięcy, dolatujący z otwartych drzwi na drugim końcu korytarza, przy którym stał Driscoll; cichy szum maszynierii. Z dołu dobiegł przytłumiony pulsujący dźwięk, przez chwilę narastał, wywołując wibrację podłogi. Z prawej strony rozległy się kroki i urywek rozmowy, przerwane nagle odgłosem zamykanych drzwi.

Driscollowi trochę ulżyło. Jeśli to, co widział dotychczas, będzie trwało nadal, Chirończycy nie sprawią żadnych kłopotów. W holu koło rampy wejściowej musiał ugryźć się w język, by zachować powagę, a cudem tylko nikt ważny nie usłyszał, jak chichocze stojący obok niego Stanisław. Chirończycy są w porządku – zdecydował. Wszystko będzie w porządku... pod warunkiem, że błazny w rodzaju Farnhilla nie wmieszają się, by spieszyć całą sprawę.

Największe wrażenie zrobiło na nim to, że dzieci zdawały się nie mniej zaangażowane we wszystko, co tu się działo, niż dorośli. Zupełnie nie zachowywały się jak dzieci, lecz raczej jak mali ludzie, bardzo zajęci uczeniem się, jak się to wszystko robi. W pokoju o dwa posterunki wcześniej zauważył kilkoro dzieci nie starszych niż dwanaście lat, bardzo ostrożnie i z głębokim skupieniem badających wewnątrz urządzenia elektronicznego, które musiało kosztować miliony. Starszy Chirończyk, który im towarzyszył, ograniczał się do zaglądania im przez ramię i sugerowania czegoś od czasu do czasu. To ma sens – pomyślał Driscoll. Traktuj je, jakby były odpowiedzialne, a będą się zachowywać odpowiedzialnie; daj im do zabawy kawałek taniego plastyku, a tak się będą zachowywały, jak na to zasługuje tani plastyk. A może Chirończycy ubezpieczyli swą aparaturę na wysokie sumy?

Driscoll zastanawiał się, do czego mógłby dojść, mając taki start życiowy, jak te dzieci. I co robiłby taki facet jak Colman, który więcej wiedział o maszynierii *Mayflowera II* niż połowa zasmarkanych inżynierków w czwartym stopniu służbowym razem wziętych? Jeśli komputery wychowały pierwsze dzieci w taki sposób myślał – to mógłby wskazać paru ludzi, którym przydałyby się takie lekcje.

On sam inaczej zaczął życie. Wojna obdarzyła jego rodziców skazą genetyczną i dwoje ich pierwszych dzieci zmarło w niemowlęctwie. Starzejąc się przedwcześnie z powodu wojennych skutków ubocznych, poświęcając kilka pozostałych im lat, które mogli spędzić na Ziemi, i wiedząc, że nigdy nie ujrzą Chirona, zabrali na pokład swego ośmioletniego chłopca, by zapewnić mu gdzieś daleko nowe życie. Paradoksalnie stan ich zdrowia zakwalifikował ich do udziału w wyprawie, ponieważ planiści domagali się włączenia w skład Misji starców oraz ubezpieczonych na życie o małym prawdopodobieństwie przeżywalności, po to, by zapewnić wolne miejsca dla przyszłych nowo narodzonych. Dynamiczny model populacji uznano za pożądany i choć niektórzy uznali przyjęte metody za toporne, niemniej były one konieczne.

Jako chłopak marzył o karierze estradowej piosenkarza, a może humorysty. Ale nie umiał ani śpiewać, ani opowiadać kawałów. Gdy zaś jego rodzice w dwuletnich odstępach zmarli gdzieś w połowie drogi, wylądował w wojsku. A teraz, choć nadal nie umiał zaśpiewać ani jednej nuty ani opowiedzieć dowcipu, wiedział doskonale, w jaki sposób za pomocą M32 zniszczyć z odległości dwóch tysięcy jardów mały budynek, umiał z zawiązanymi oczami obsługiwać kompak polowy i był specjalistą od rozbrajania wyzwalanych optycznie min przeciwpiechotnych.

Ale ponad wszystko był mistrzem w sprawie zupełnie ubocznej: w kartach. Nie pamiętał dokładnie, kiedy zaczęły go fascynować, ale musiało to nastąpić wkrótce potem jak Swyley, wówczas szeregowiec tak jak on, nauczył go tasować talię w taki sposób, by cztery asy znalazły się na jej wierzchu oraz kierować je do właściwych rąk podczas rozdawania. Stwierdziwszy ze zdumieniem, że ma do tego zdolności, Driscoll pożyczył kartkę z książki Colmana i zaczął wczytywać się w temat. Przez wiele wolnych od służby godzin tak długo ćwiczył magiczne ruchy jednej i obu dłoni, póki nie nauczył się wyczarowywać z pustych rąk trzech rozłożonych w wachlarze talii i podnosić określonej liczby kart z leżącej talii osiem razy na dziesięć. Świnką morską dla tych doświadczeń stał się Swyley, ponieważ Driscoll odkrył, że jeśli Swyley nie potrafi zauważyć tricku, to już nikt tego nie potrafi. W następnych latach wydoskonalił swą technikę do tego stopnia, że Swyley był mu obecnie winien za długi karciane wraz z procentami 1 343 859 dolarów i 20 centów.

Lecz zdobyty rozgłos postawił go w sytuacji bez wyjścia na piątkowych nocnych rozgrywkach pokerowych: jeśli wygrywał, wszyscy mówili, że szachruje; jeśli zaś przegrywał, to mówili, że widocznie już się skończył. Przestał więc grać w pokera, ale dopiero gdy jego nazwisko pojawiło się w raportach z powodu tylu awantur i bójek, że został przeniesiony do kompanii "D". Gdy tak patrzył nieruchomym wzrokiem po ścianę po przeciwnej stronie korytarza, przyszło mu na myśl, że tam gdzie jest taka masa dzieci, magik również powinien być bardzo pożądany. Im więcej o tym myślał, tym bardziej zapalał się do swego pomysłu. By jednak coś w tym kierunku działać, musi najpierw znaleźć sposób na wydostanie się z wojska. Swyley powinien mieć na ten temat jakieś dobre pomysły – doszedł do wniosku.

Łup, łup, łup, łup. Tok jego myśli zakłócił odgłos maszerowania, zbliżającego się nie ze strony, w którą odszedł oddział wartowniczy, który i tak nie wracałby tędy, lecz z przeciwnej, lewej. Ponadto odgłos nie przypominał tupania wielu par przepisowych butów wojskowych. Brzmiał, jakby wydawała go tylko jedna para, był też głośniejszy i bardziej metaliczny. Towarzyszyły mu dwa głosy dziecięce, przyciszone i przerywane chichotem.

Driscoll zerknął w bok. Oczy rozszerzyły mu się ze zdziwienia, gdy w pole widzenia wmaszerował jeden ze stalowych kolosów znajdujących się na *Kuan-yin*, trzymając na ramieniu kawałek rury z aluminiowego stopu. Za nim podążała brązowa, wyglądająca na Hinduskę siedmioletnia dziewczynka i jasnowłosy chłopiec prawie w jej wieku.

– Oddział... stać! – zawołała dziewczynka. Robot zatrzymał się. – Oddział... Och, nie wiem, co

teraz trzeba powiedzieć. Stań na rozstawionych nogach i postaw karabin na dole. – Robot zrobił zwrot dokładnie naprzeciwko Driscolla, cofnął się o parę kroków pod przeciwległą ścianę i stanął w pozycji naśladowującej jego postawę. Górna połowa głowy robota zrobiona była z przezroczystego materiału, wewnątrz zaś zapalały się i gasły kolorowe światełka; dolna połówka miała zamiast ust metalową kratkę i kamerę telewizyjną zamiast nosa. Wyglądała, jakby się uśmiechała.

– Zostań... tutaj! – rozkazała dziewczynka. Zdusiła kolejny wybuch śmiechu i powiedziała do chłopca cichszym głosem: Chodź, postawimy jeszcze jednego naprzeciw Laboratorium Grafiki. – Oddalili się po cichu, Driscoll zaś został na miejscu, gapiąc się przez szerokość korytarza na niewzruszonego robota.

Przeszło kilka minut. Żaden z nich nie drgnął. Światełka w głowie robota wesoło mrugały na Driscolla, który z trudem walczył z narastającą chęcią wycelowania działa szturmowego i odstrzelenia robotowi jego głupiej głowy.

– Dlaczego stąd nie spływasz? – warknął na koniec.

– A dlaczego ty tego nie robisz?

Przez chwilę Driscoll miał wrażenie, że maszyna czyta jego myśli. Zamrugął ze zdziwienia, ale na koniec zdał sobie sprawę, że to było niemożliwe – po prostu zbieg okoliczności. – Jakże miałbym to zrobić? – odpowiedział. – Otrzymałem rozkazy.

– Ja także.

– Jest różnica.

– Jaka?

– Ty nie musisz tego robić.

– A ty musisz?

– Oczywiście.

– Dlaczego?

Driscoll westchnął poirytowany. Nie miał czasu na długie dyskusje. – Nie rozumiesz tego – powiedział.

– Czyżby? – odpowiedział robot.

Driscoll musiał namyślić się nad odpowiedzią, przeszło więc parę sekund. – To nie to samo – odrzekł. – Ty po prostu zabawiasz dzieci.

– A ty co robisz?

Na to Driscoll nie znalazł gotowej odpowiedzi. Ponadto zbyt mu się chciało palić, by miał ochotę na dialog filozoficzny. Zwrócił głowę najpierw w jedną, potem w drugą stronę korytarza i znów popatrzył na robota. – Możesz mi powiedzieć, czy którykolwiek z naszych znajduje się w pobliżu?

– Tak, mogę; nie, nie znajduje się. A co – masz już tego dosyć?

– Czy nie będę nikomu przeszkadzał, jeśli zapalę?

– Mnie nie będzie przeszkadzało, nawet jeśli zapalisz się płomieniem. – Robot ochryple zachichotał.

– Skąd wiesz, że nie ma nikogo w pobliżu?

– Wszystkie kamery wideo sieci dozoru na statku są w tej chwili włączone, a ja jestem połączony z siecią. Mogę oglądać wszystko i wszędzie. Pozwól sobie, jest okay. Okrągła pokrywa w ścianie obok ciebie to wejście do spalarki. Możesz jej użyć zamiast popielniczki.

Driscoll oparł działko szturmowe o ścianę, z wewnętrznej kieszeni wyłowił paczkę papierosów i zapalniczkę, zapalił i oparł się sam, wdychając dym z lubością. Irytacja, jaką odczuwał, rozwiła się z dymem. Robot odłożył swój kawałek rury, założył ręce na piersi i oparł się o ścianę. Oczywiście

był zaprogramowany w ten sposób, by postępować zgodnie z zachowaniem się ludzi wokół niego. Driscoll znowu spojrzął z ciekawością na robota. Miał ochotę wdać się z nim w rozmowę, ale sytuacja była na to zbyt dziwaczna. Błysnęło mu w głowie, że o wiele łatwiej byłoby porozmawiać, gdyby robot był szeregowcem piechoty z FWA. Nigdy nie myślał, że coś go może łączyć z Chińczykiem. Nie wiedział, czy rozmawia z robotem, czy poprzez niego z komputerami gdzieś na *Kuan-yin*, a może nawet na powierzchni Chirona; czy te komputery myślały, czy tylko były sprytnie zaprogramowane, czy jeszcze inaczej. Rozmawiał kiedyś z Colmanem na temat inteligencji maszyn. Colman powiedział, że w zasadzie jest ona możliwa, ale zanim powstaną sztuczne mózgi, wyposażone w autentyczną osobowość, upłynie przynajmniej jeszcze sto lat. Na pewno Chirończycy nie mogli ich na tyle przegonić. – Jaką maszyną jesteś? – zapytał. To znaczy, czy potrafisz myśleć jak człowiek? Czy wiesz, kim jesteś? – A jeśli powiem, że wiem? Czy tobie coś to powie?

Driscoll zaciągnął się papierosem. – Myślę, że nie. Skąd miałbym wiedzieć, czy ty wiesz, co mówisz, czy po prostu jesteś zaprogramowany do takiej odpowiedzi? Nie ma sposobu, by to odróżnić.

– Więc czy to robi jakąś różnicę?

Driscoll zmarszczył brwi, pomyślał nad odpowiedzią, potrząsnął głową i zmienił temat. – To trochę dziwne – rzekł.

– Co jest dziwne?

– Czemu jesteście uprzejmi dla ludzi, którzy tak się zachowują, jakby chcieli wam odebrać statek?

– Czy ty chcesz nam odebrać statek?

– Ja? Do diabła, wcale nie. Cóżbym z nim zrobił? – No to masz odpowiedź.

– Ale ludzie, dla których pracuję, mogą dojść do wniosku, że są jego właścicielami – zwrócił uwagę Driscoll.

– To ich sprawa. Jeśli taka myśl zrobi im przyjemność, co nas to obchodzi?

– Czy ludzi stąd nic by nie obchodziło, gdyby nasi zaczęli im mówić, co mają robić?

– Czemu miałyby to ich obchodzić?

Driscoll nie mógł się z tym pogodzić. – Chcesz powiedzieć, że spokojnie robiliby to, co nasi ludzie by im polecili? – zapytał.

– Nigdy nie twierdziłem, że oni by cokolwiek zrobili – odrzekł robot. – Powiedziałem tylko, że nie robi im różnicy, czy wasi będą im cokolwiek polecać.

W tym momencie dwie chirońskie dziewczyny ukazały się zza rogu węższego korytarza. Wyglądały ładnie i świeżo w luźnych bluzkach, dopasowanych spodniach i lekkich wysokich butach z jakiegoś elastycznego, połyskliwie srebrzystego materiału. Jedna z nich miała falujące kasztanowate włosy z rudawym odcieniem i wyglądała na jakieś trzydzieści parę lat, druga była blondynką i miała chyba ze dwadzieścia dwa lata. Przez moment Driscoll poczuł odruchowy lęk, że zapewne śmiesznie wygląda, ale dziewczyny nie okazały zdziwienia. Zamiast tego zatrzymały się i spojrzały na niego bez wrogości, natomiast z pewną rezerwą – jakby chciały się do niego uśmiechnąć, ale nie były całkiem pewne, czy powinny.

– Cześć – powiedziała ruda nieco powściągliwym tonem.

Driscoll wyprostował się pod ścianą i wyszczerzył zęby, nie wiedząc, co by tu zrobić. – No... cześć – odpowiedział.

Twarze dziewczyn natychmiast rozjaśniły się uśmiechami. Podeszły do niego. Ruda serdecznie uścisnęła mu dłoń. – Widzę, że już poznałeś się z Wellingtonem. Jestem Shirley. To jest moja córka, Ci.

– To jest twoja córka? – Driscoll zamrugnął ze zdziwienia. No wiesz, myślę, że to jest... bardzo miłe.

Ci zachowywała się dokładnie jak jej matka. – Kim jesteś? zapytała.

– Ja? Och... nazywam się Driscoll, Tony Driscoll. – Obliznął wargi, szukając, co by dalej powiedzieć. – Mam wrażenie, że ja i Wellington strzeżemy korytarza.

– Przed kim? – zapytała Ci.

– Dobre pytanie – skomentował Wellington.

– Jesteś pierwszym Ziemianinem, z którym rozmawiamy powiedziała Shirley. Kiwnęła głową w kierunku, z którego przyszły. – Mam tam klasę dzieci, które płoną z ciekawości. Czy chciałbyś pójść do nich, przywitać się i porozmawiać przez pięć minut? Sprawilibyś im wielką przyjemność.

– Co? – zdumiał się Driscoll. – Nigdy nie rozmawiałem z żadnymi klasami. Nie wiedziałbym, od czego zacząć.

– Najwyższy czas, abyś zaczął się w tym ćwiczyć – zwróciła mu uwagę Ci.

Przełknął ślinę i potrząsnął głową. – Muszę stać w tym miejscu. Nawet ta rozmowa wystarczy, by mnie rozstrzelano. – Ci wzruszyła ramionami, ale wyglądało, że pogodziła się z takim stanem rzeczy. – Czy wy dwie, eee... jesteście tutaj nauczycielkami albo czymś w tym rodzaju? – spytał Driscoll.

– Czasami – odpowiedziała Shirley. – Ci głównie uczy angielskiego, ale robi to przede wszystkim na planecie. To znaczy wtedy, gdy nie pracuje w elektronice albo nie zakłada gdzieś podziemnych przewodów elektrycznych dla fabryk. Ja nie mam tak technicznych zainteresowań. Hoduję oliwki i winorośl na Półwyspie i projektuję wnętrza. Po to właśnie tu przyjechałam – Clem chce zmienić wyposażenie i dekorację pomieszczeń załogi i pokładu jadalnego. Ale od czasu do czasu, choć rzadko, uczę także krawiectwa.

– Ale ja mam na myśli stałą pracę – powiedział Driscoll. Jakie masz podstawowe zajęcia?

– Wszystkie, które wymieniłam. – Shirley była z lekka zdziwiona. – Co rozumiesz przez “podstawowe”?

– Oni robią zawsze to samo, od chwili ukończenia szkoły do przejścia na emeryturę – przypomniawszy matce Ci.

– No tak, oczywiście – zgodziła się Shirley. – To okropne. Niemniej to ich sprawa.

– A co robisz najlepiej? – spytała go Ci. – To znaczy... zamiast podpierania ścian dla innych ludzi. Przecież to żadna przyjemność.

Driscoll pomyślał na ten temat, ale w końcu zmuszony był bezradnie potrząsnąć głową. – Obawiam się, że nie robię nic, co by cię mogło zainteresować – przyznał wreszcie.

– Ależ każdy ma coś takiego – nalegała Shirley. – Co lubisz robić?

– Naprawdę chcecie wiedzieć? – W głosie Driscolla pojawiło się napięcie.

– Hej, hamuj się, żołnierzu – rzekła podejrzliwie Ci. – Jeszcze jesteśmy obcy. Później, kto wie? Ale to musi dojrzeć.

– Ależ nic takiego nie miałem na myśli – zaprotestował zaambarasowany Driscoll. – Jeśli już naprawdę chcesz wiedzieć, to lubię karty.

– Masz na myśli sztuczki karciane? – zainteresowała się Shirley.

– Oczywiście potrafię robić sztuczki.

– Czy dobrze je robisz?

– Znakomicie. Potrafię zmusić karty, by wstały z miejsca i mówiły.

– Lepiej dla ciebie będzie, gdy okaże się, że mówisz prawdę ostrzegła Shirley. – Nie ma nic gorszego, jak próbować wydawać pieniądze, których się nie posiada. To tak, jakby się ludzi

okradają.

Driscoll nie rozumiał, co miała na myśli, więc powiedział tylko: – Mówię prawdę.

Shirley zwróciła się do Ci. – Słuchaj, czy nie byłoby cudowne, gdyby on przyszedł na nasze najbliższe przyjęcie? Uwielbiam takie rzeczy. – Odwróciła się ponownie do Driscolla. – Kiedy lądujesz na Chironie?

– Jeszcze nie wiem. Nic nie słyszeliśmy na ten temat.

– No to zgłoś się do nas, gdy już będziesz wiedział, a wtedy coś zorganizujemy. Mieszkam we Franklinie, więc nie będzie żadnych problemów. Tam się zwykle spotykamy.

– Myślę, że to dobry pomysł – powiedział Driscoll. – Ale w tej chwili nie mogę niczego obiecywać. Wszystko zależy od tego, jak sprawy się potoczą. Jeśli dobrze, to jak znajdę twój adres?

– Och, po prostu zapytaj gdziekolwiek komputery, jak dostać się do domu Shirley – z rudymi – włosami, matki Ci. One się tobą dalej zaopiekują.

– No to może zobaczymy się kiedyś tam, na dole – rzekła Ci. – Nooo... tak. Kto wie? – Miał jeszcze coś dodać, gdy Wellington przerwał:

– Dwóch waszych oficerów idzie w tym kierunku. Myślę, że powinieneś o tym wiedzieć.

– Kto? – zapytał automatycznie Driscoll, wrzucając niedopałek do spalarki i podrywając broń na ramię. Pokrywa na piersiach Wellingtona odsunęła się, ukazując ekranik, na którym widniały postacie Sirocca i Colmana, w ujęciu z góry. Szli swobodnym krokiem wzdłuż korytarza, rozmawiając z garstką towarzyszących im Chirończyków. Driscoll powrócił do poprzedniej postawy i w chwilę później rozległy się kroki z szerszego, biegnącego w prawo korytarza. Zbliżały się.

– W porządku, Driscoll! – zawołał z daleka Sirocco, gdy towarzystwo wynurzyło się zza zakrętu korytarza. – Daj sobie spokój z pantomimą. Znów jesteśmy w Fabryce Bomb. – Driscoll odprężył się i posłał zdumione spojrzenie w głąb korytarza.

– Mogłem się tego domyślić – powiedział do siebie, kiwając głową, Colman, równocześnie obrzucając taksującym spojrzeniem obie dziewczyny. Zatrzymał się.

– Bardzo tu przytulnie – zauważył Sirocco.

– Eeee... to jest Shirley i Ci – przedstawił je Driscoll. – A to Generał Wellington.

– Miałeś przyjemną pogawędkę, prawda? – spytał Sirocco.

– Tak, rzeczywiście, takie odniosłem wrażenie, sir. Skąd pan wie?

Sirocco machnął ręką w kierunku korytarza, z którego przybył. – Bo wszędzie tak się dzieje, stąd właśnie wiem. Carson dyskutuje o futbolu, a Maddock opowiada jakimś dzieciom jak wyglądało dzieciństwo spędzone na *Mayflowerze II*. – Westchnął, ale nie wydawał się przy tym szczególnie wzburzony. – Jeśli nie da się ich pobić, trzeba się do nich przyłączyć, co, Driscoll? Przynajmniej na godzinkę czy coś koło tego. A poza tym oni chcą coś pokazać Colmanowi w obserwatorium o piętro wyżej. Absolutnie nie rozumiem, o czym rozmawiają.

– Steve jest inżynierem – wyjaśnił jeden z Chirończyków, brodaty młodzieniec w czerwonej koszuli w kratę, pokazując na Colmana i zwracając się do Ci. – Opowiedzieliśmy mu o drganiach rezonansowych w zawieszeniu żyroskopu C7, a on powiedział, że może będzie mógł zasugerować sposób na ich wytłumienie przez sprzężenie z laserem osiowania. Zabieramy go na górę, żeby rzucił na to okiem.

– Gustav był dokładnie tego samego zdania – powiedziała Ci, patrząc z aprobatą na Colmana. – Oglądał to wczoraj.

– Wiem. Może uda się załatwić, żeby Gustav i Steve razem nad tym popracowali.

– Hej, nie liczcie na to za dużo – ostrzegł Colman. Powiedziałem tylko, że chciałbym to obejrzeć. Armia może być zupełnie odmiennego zdania co do mojego angażowania się w tę sprawę.

Więc nie dawajcie głowy za to, że się uda.

Chirończycy i Colman wspięli się na schodki o stalowej poręczy, dyskutując o przetwornikach różnicowych i kompensatorach indukcyjnych, Shirley zaś i Ci poszły w swoją drogę, bo Wellington przypomniał im, że do odlotu promu do Fraklina mają mniej niż piętnaście minut. Driscoll i Sirocco zostali z Wellingtonem na korytarzu.

– Jeśli pozwoli pan zrobić uwagę, to czy to nie jest trochę ryzykowne, sir? – wyraził obawę Driscoll. – To znaczy... przy tym wszystko, co się dzieje? Bo gdyby pokazał się pułkownik Wesserman czy ktoś inny...?

– Gdy są tutaj chirońskie roboty, nie ma obawy. Cały statek jest dokładnie obstawiony. – Powąchał powietrze marszcząc nos i poruszając wąsami. – Odpoczywajcie sobie, szeregowcu Driscoll, gdy jest okazja – doradził. – Zapaliłbym też jednego z tych papierosów, co ty.

Driscoll uśmiechnął się i poczuł się pewniej. – Widzisz, Wellington – powiedział – oni nie są wszyscy aż tacy źli, jak myślisz.

– Zdziwiająca – odpowiedział Wellington obojętnym tonem.

Tegoż wieczoru odbyło się przyjęcie w "Bowery" z okazji szczęśliwego ukończenia podróży przez *Mayflowera II*. Wiele rozmów poświęcono wiadomościom nadanym wcześniej wieczorem, z oburzeniem opisującym afronty wyrządzone z premedytacją przez Chirończyków delegacji wysłanej na *Kuan-yin*, przez co rozumiało się, że obrażono całą Misję i wszystko, co reprezentowała. Zdaniem wielu obecnych nieźle byłoby dać Chirończykom lekcję, po prostu sami się o to prosili. Nikt z tak myślących nie spotkał Chirończyka – pomyślał Colman – ale wszyscy znają się na nich doskonale. Nie chcąc jednak psuć nastroju na przyjęciu, nie podjął dyskusji na ten temat. Inni żołnierze z kompanii "D", którzy byli wraz z nim na *Kuan-yin*, a teraz towarzyszyli mu w "Bowery", myśleli, jak się zdawało, podobnie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Howarda Kalensa to nie bawiło.

– Skandaliczne przedstawienie – oświadczył, odkrawając kawałek wyhodowanego w segmencie Kansas melona, by go dołączyć do innych owoców na talerzu stojącym obok aperitifów na stole, przy którym siedzieli. – Kretyni i kompletne zera, co do jednego, żaden nie reprezentuje władzy godnej uwagi. A przecież jest jasne, że muszą mieć jakąś organizację rządzącą, choć Bóg wie z jakich ludzi się ona składa, wnosząc ze stanu, w jakim znajduje się miasto... kompletna ruina. Wynika z tego jedyny wniosek, że oni przywarowali, a ludność im w tym pomaga. Myślę, że John ma rację – jeżeli oni wprost zapraszają nas do wzięcia władzy, powinniśmy to zrobić i mieć to z głowy.

Rozmawiano na roboczym śniadaniu na świeżym powietrzu, wydanym na terenie ogrodowym na szczycie Centrum Rządowego, wieńczącego wznoszące się stopniowo kondygnacje budynków środkowej części Dystryktu Kolumbia. Wysoko nad nimi odsunięte zostały żaluzje przykrywające z zewnątrz przezroczysty dach segmentu, by pozwolić cieszyć się niemal zapomnianym zjawiskiem: naturalnym światłem słonecznym, płynącym od Alfy Centauri stojącej nisko na niebie, na wprost dziobu Wrzeciona. *Mayflower II* z wolna obracał się, z osią obrotu wycelowaną w stronę gwiazdy.

Garfield Wellesley skończył smarowanie cienkiego tostu pasztetem z wątróbki i spojrzał na mówiącego. – A co z tym typem w Selene, który twierdzi, że jest gubernatorem planety i proponował spotkanie z nami? Co się z nim dzieje?

Kalens rzucił pogardliwe, pełne wyższości spojrzenie. – Moi ludzie skontaktowali się z nim przez chirońską sieć telekomunikacyjną. Okazało się, że jest to pustelnik mieszkający w górach z całym zoo ziemskich i chirońskich zwierząt i trzema uczniami. Wszyscy są chorzy umysłowo.

– Rozumiem... – Wellesley zmarszczył brwi i skubnął kawałeczek tostu.

– Każcie wylądować SS – uranom i ogłoście stan wojenny warknął siedzący obok Kalensa Borfontein. – Mieli swą szansę. Jeśli się od niej odwrócili i oddali ją nam, bierzmy. Co tu się patyczkować?

Dyrektor Handlu i Polityki Gospodarczej Marcia Quarrey sączyła koktajl z niezbyt zadowoloną miną. – Oczywiście to byłoby możliwe – oświadczyła, odstawiając szklanę. – Ale czy to się na coś przyda? Plany dotyczące nieprzewidzianych wypadków były robione z założeniem, że spotkamy się z oporem. No cóż, żadnego oporu nie było. Jaki sens ma przepuszczenie okazji robienia dobrych interesów i to z perspektywą ich rozwoju, niepotrzebnie prowokując działania wojenne? Franklin możemy mieć po prostu tam wchodząc. Wcale nie musimy tego robić demonstracyjnie.

– Właśnie tak myślałem – dorzucił, kiwając z aprobatą głową, Wellesley. – .Musicie też pamiętać, że nasi ludzie, teraz gdy przestali się bać, stają się coraz bardziej niespokojni. Po dwudziestu latach nie możemy bez żadnych oczywistych powodów trzymać ich stłoczonych jak w klatce na *Mayflowerze II*. Mają przygotowane mieszkania we Franklinie koło kosmodromu. Skłaniam się do zdania, że powinniśmy zacząć wysyłać na planetę pierwsze grupy. O ile wiemy, rząd Chirona mógł się ukryć, ponieważ niepokoi się, jakie mamy zamiary. Może to okaże się właściwym sposobem skłonienia ich do tego, by się pokazali.

– Zgadza się – oświadczyła Marcia Quarrey. Spojrzała na Borfonteina. – Jeśli sprawy mają się w taki sposób, wysyłanie SS – uranów tylko potwierdziłoby ich obawy. To najgorsze, co możemy zrobić.

Kalens, który żuł plaster pomarańczy, zrobił minę, jakby owoc był zgniły. – Ale przecież zostaliśmy publicznie obrażeni zaprotestował. – Co chcesz powiedzieć: że powinniśmy zwyczajnie schować to do kieszeni? To nie do pomyślenia. Jakiż precedens stworzylibyśmy w ten sposób?

– Z ludźmi tego pokroju nie można być delikatnym – oświadczył bez ogródek Borfontein. – Daj im palec, a znieńwidzą cię, bo chcą całej ręki. Nie daj nic i przyciśnij ich ostro, to później, gdy im popuścisz na cal, będą cię kochać. Wszystko to już widziałem.

Quarrey westchnęła i potrząsnęła przecząco głową. – Możesz mieć Franklin i cały obszar wokół miasta jako kwitnący okręg produkcyjny i bogaty rynek albo też możesz go mieć w ruinach powiedziała. – Co byś wolał, mając taki wybór? A przecież sprawy nie stoją tak, byśmy nie mieli wyboru, prawda? Wybór mamy.

– Słuszna opinia, zgadzam się z nią – oświadczył Kalens. Ale przy tym trzeba ich nauczyć właściwych manier.

Wellesley lekko uniósł dłoń. – Nie powinieneś tego traktować jako sprawy tak bardzo osobistej, Howardzie – ostrzegł. – Wiem, że wczoraj byłeś w kłopotliwej sytuacji i nie mam zamiaru wybaczyć ich postawy, niemniej powinniśmy... – Przerwał, gdyż Sterm, Zastępca Dyrektora, zrobił ruch, jakby chciał coś powiedzieć. Zdarzało się to tak rzadko, że już z samego tego powodu zasługiwało na uwagę. – Tak, Matt? – Inni spojrzeli na Sterma zdziwieni.

Sterm złożył dłonie na wysokości twarzy – szlachetnej twarzy o rysach godnych rzymskiego imperatora, uwieńczonej laurowym wieńcem kędzierzawych włosów, płasko zaczesanych do przodu. Skrywało to przed wszystkimi, prócz najbardziej spostrzegawczych, rysującą się na jego obliczu brutalność. Teraz wpatrywał się swymi wielkimi jasnobrązowymi, nieprzeniknionymi oczami w środek stołu. – Byłoby szaleństwem działać popędliwie tylko po to, by ułagodzić nasze przelotne urazy – oświadczył. Przemawiał powoli, z namysłem, starannie wymawiając spółgłoski. – Powinniśmy się przenieść na powierzchnię planety, do Franklina, i narzucić naszą władzę spokojnie, ale zdecydowanie, bez melodramatycznych posunięć. Chirończycy własnym postępowaniem udowodnili, że są niezdolni do wzięcia na siebie odpowiedzialności i niegodni niczego więcej, niż statusu obywateli drugiej klasy. Ich przywódcy zrezygnowali ze wszelkich stanowisk, jakie mogli uzyskać dla siebie w przyszłej administracji planety, i nie będą w stanie ustalać warunków czy domagać się względów w momencie, gdy się ujawnią. – Przerwał i zwrócił wzrok na Howarda Kalensa. – To zabierze więcej czasu, ale w ten sposób nauka dobrych manier, którą otrzymają, będzie znacznie trwalsza. Podstawa góry lodowej, n której tak często mówiłeś, już się ujawniła. Jeśli we właściwy sposób spojrzysz na potencjalną sytuację, zobaczysz, że trochę cierpliwości zaoszczędzi nam o wiele więcej czasu i wysiłków później.

Przez czas posiłku trwała dyskusja. Na koniec zgodzono się, że ludności cywilnej oraz symbolicznej jednostce wojskowej zostanie udzielone zezwolenie na rozpoczęcie przenosin na powierzchnię, do Franklina.

– Nadal mi się to nie podoba – utyskiwał Borfontein, rozmawiając z Kalensem po zakończeniu zebrania. – Tak jak ja to widzę, staramy się uzyskać od tych cholernych Chirończyków oficjalne uznanie faktu, że istniejemy. Gdyby było po mojemu, szybko bym im pokazał, czy istniejemy, czy nie.

– Nie jestem pewien, czy zgadzam się z tobą tak bardzo, jak to myślałem początkowo – odpowiedział Kalens. – Sterm może mieć rację. Przynajmniej na początek powinniśmy spróbować sposobu, który zaproponował. Nie musimy się bez końca trzymać naszego pierwotnego planu.

– Nie podoba mi się pomysł ograniczonej obecności wojskowej na planecie – odrzekł Borfontein. – Nadmiernie ufamy Chirończykom. Nadal jestem zdania, że mogą posiadać jeszcze nie ujawnione siły. Niewykluczone, że narażamy tych cywilów na wielostronne ryzyko – terroryzm, prowokacje. A jeśli zostaną zaatakowani znieńcka? Widziałem już takie rzeczy.

– A wtedy będziesz miał wszelkie uzasadnienie, jakiego potrzebujesz, by zastosować ostre sankcje, prawda? – odparł Kalens. Borfontein myślał chwilę nad tą uwagą. – Czy sądzisz, że Sterm

tego się właśnie spodziewa? – Jego ton zdradzał, że dopiero w tej chwili zrozumiał, o co chodzi.

– Nie jestem pewien – odpowiedział Kalens z rezerwą. Próby dajścia do prawdziwych motywów Sterma, to coś podobnego do obierania cebuli. Ale gdy przemyśleć to, co powiedział, to jeśli nie będzie oporu – wygrywamy automatycznie; jeśli zaś będzie, to Chiróńczycy zostaną zmuszeni do wykonania pierwszego pociągnięcia, co da nam wolną rękę dla reagowania i jasne usprawiedliwienie, które zadowoli naszych ludzi... co jest tym ważniejsze wobec zbliżających się wyborów. Musisz się więc w końcu zgodzić, Joe, że ten program ma poważne zalety.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bernard Fallows podwinął opadający mankiet koszuli i cofnął się, by ogarnąć wzrokiem główną sypialnię nowego, tymczasowego miejsca zamieszkania jego rodziny, niedaleko od bazy promowej na przedmieściach Franklina. Osiedle składało się z około stu oddzielonych żywopłotami domków, rozmieszczonych w grupach po cztery wśród drzew podobnych do palm. Dawało to miłe wrażenie intymności, nie wywołując równocześnie poczucia izolacji. Osiedle było faktycznie samowystarczalną wspólnotą, znaną pod nazwą Cordova Village. Znajdował się w nim: jeden duży otwarty basen w kształcie liścia koniczyny, drugi, kryty, położony w pobliżu hali sportowej i boisk; restauracja i bar przylegające do obszernej świetlicy, wykorzystywanej także jako mała sala gier; rozrywkom zaś służyły w osiedlu: laboratorium, warsztat i pracownie artystyczne, wszystko w pełni wyekwipowane, jak również pełny zestaw instrumentów muzycznych. Ze stacji końcowej pod głównym budynkiem odjeżdżały wagony kolei podziemnej na poduszce magnetycznej, zwanej maglewem, napędzanej liniowymi silnikami indukcyjnymi – w jedną stronę do centrum Franklina, w drugą zaś do lądowiska promów kosmicznych i dalej do stacji położonych wzdłuż Półwyspu Mandela.

Na słonecznym, błękitnym niebie płynęło parę chmurek, przyjemny ciepły wietrzyk przynosił ożywcze, wiejskie aromaty od wznoszących się na południu pagórków. Fallows ciągle jeszcze nie mógł oswoić się z myślą, że wszystko to istniało naprawdę i nie było obrazem rzutowanym przez projektorzy spod dachu segmentu Wielkiego Kanionu, dochodzące zaś bez przerwy przez otwarte okna salonu na parterze stłumione ryki silników wydawane były przez promy kosmiczne, nieustannie krążące między statkiem i miejscem, które dla jego mieszkańców miało stać się teraz ich drugim domem. Gdy myśli Bernarda pochłaniała sprawa przenosin na nowe miejsce zamieszkania, w jego umyśle odbywał się równocześnie proces adaptacji. Rzeczy były już rozpakowane, a Jean sama zdecyduje, gdzie rozmieścić ich jeszcze leżącą na wierzchu resztę. Przeprowadzka odbyła się szybko i gładko, przede wszystkim dlatego, że Chirończycy wyposażyli dom we wszystko, z ręcznikami i bielizną pościelową włącznie. Dzięki temu Fallowsowie mogli zostawić w przechowalni na lądowisku większość swoich rzeczy aż do czasu, póki nie zamieszkają gdzieś na stałe.

Jeszcze bardziej zaś zdumiał ich gatunek tego wszystkiego, co otrzymali od Chirończyków. Szafy, komody i toaletka, które tworzyły meblościankę koło drzwi do łazienki, były staroświeckie w stylu, ale wykonane z prawdziwego drewna o pięknych słojach, mistrzowsko rzeźbionego. Drzwi i szuflady były doskonale dopasowane i otwierały się za dotknięciem palca. Wszystkie tkaniny były miękkie, o skomplikowanych wzorach tkanych, a nie drukowanych laserowo; dywany z naturalnego włókna, które przypominało w dotyku dwudziestowieczne ręcznie tkane puszyste dywany z Axminster czy z Wilton; armaturę w łazience odlano z metalizowanego kryształu, który lekko fluoryzował; ogrzewanie i klimatyzacja działały bezgłośnie. Na Ziemi taki dom kosztowałby przynajmniej sto tysięcy – pomyślał Fallows. Nie był pewny, czy Chirończycy nadal pozostawali właścicielami osiedla i wynajęli je Misji na pewien czas, czy załatwiono to inaczej, ale list od Merricka, przydzielający Fallowsowi mieszkanie na Chironie nic nie wspominał o płaceniu czynszu. Bernard, pałając chęcią jak najszybszego opuszczenia *Mayflowera II*, po krótkim wahaniu zdecydował nie pytać o to.

Nucąc cicho pod nosem przespacerował się korytarzem, by obejrzeć pokój, który Jay wybrał dla siebie. Pod jedną ze ścian leżał w nieładzie stos pudeł i skrzynek Jaya, na nich zaś porozrzucane

książki, mapy, narzędzia oraz sterta zwierciadeł i przyborów optycznych, które Jay wyłudził przed miesiącem od Jerry'ego Pernaka pod pozorem, że będzie budował mikroskop holograficzny. Szkielet rozebranego komputera sterowania procesami produkcyjnymi leżał na podłodze przy łóżku, koło niego zaś jeszcze więcej pudeł, hełm wojskowy oraz pas amunicyjny – pamiątka z obowiązkowego przysposobienia wojskowego na *Mayflowerze II*, jak również złom ze średniej wielkości sprzęgła hydraulicznego, którego przeznaczenie było całkowicie tajemnicze. Sam Jay znikł od rana, udając się na wyprawę badawczą. Bernard wzruszył ramionami. Jeśli Jay chce sobie odłożyć porządkowanie aż do wieczora, kiedy będzie umęczony, to jego sprawa.

– Bernie, tego już za wiele – dobiegł głos Jean z holu o piętro niżej. – Nigdy się do tego nie przyzwyczaję. – Bernard uśmiechnął się pod nosem i wyszedł z pokoju Jaya, by wstąpić do otwartej kabiny windy koło górnego podestu biegnących łagodnym łukiem schodów. W chwilę później wysiadł i udał się do holu. Jean stała pośrodku między jadalnią a zagłębioną częścią podłogi, naprzeciw ogromnego ekranu ściennego, tworzącą wygodną enklawę otoczoną przez kanapę, dwa duże fotele i obrotową ścienną półkę na książki. Środek jej zajmował stół do kawy z ciemnego szkła. Jean zrobiła bezsilny gest. – Co my zrobimy z tą całą przestrzenią? Wiesz, naprawdę zaczynam myśleć, że zachorowałam na agorafobię.

Bernard uśmiechnął się. – Potrzeba nieco czasu, by przywyknąć do tego. Myślę, że byliśmy tak długo zamknięci w statku kosmicznym, iż zapomnieliśmy, jak wygląda życie na planetach.

– Czy zawsze tak wyglądało? Zupełnie nie pamiętam.

– Może nie dokładnie tak, ale weź pod uwagę, że minęło dwadzieścia lat. Jak widać, czasy się zmieniają.

Marie, która zwiedzała cały dom, wynurzyła się z windy. – Suterena jest ogromna – obwieściła. – Są tam bardzo różne pokoje i nie wiem, który do czego służy. Mogę tam mieć własny pokój na skład moich rzeczy. I wiecie – tam są jeszcze drzwi prowadzące do tunelu. Myślę, że on może prowadzić do miejsca, w którym zatrzymują się wagony, bo wzdłuż niego biegnie coś podobnego do przenośnika taśmowego. Może w ogóle nie potrzebowaliśmy wozić naszych bagaży i wnosić ich frontowymi drzwiami.

– Mówiłam, że zbyt się śpieszysz – powiedziała Jean do Bernarda. – Pomyśl: tyle, tyle pracy na darmo. Mogliśmy jeszcze trochę poczekać, aż ci Chirończycy się nami zajmą.

Bernard wzruszył ramionami. – No to co? Wszystko już zrobione. Potrzeba nam było trochę gimnastyki.

Marie podeszła do wielkiego ekranu i spojrzała nań. – Czy to działa? – zapytała.

– Nie wiem. Jeszcze nie próbowaliśmy – odpowiedział Bernard. – Jest tu kto? – zapytał podniesionym głosem. – Co trzeba zrobić, by połączyć się z komputerem? – Nie było odpowiedzi.

– Gdzieś tu musi być główna tablica rozdzielcza czy coś podobnego – powiedziała, rozglądając się, Jean. – A może to? Zeszła dwa stopnie niżej do zagłębionej części holu, siadła na końcu kanapy i wzięła do ręki stojący obok na cokole przenośny ekran z szeregiem przycisków na obudowie. Po dziesięciosekundowych próbach oświadczyła, obserwując uzyskane wyniki: Może to jest to? Spróbuj teraz.

– Czy jest w tym domu komputer?! – zawołał Bernard.

– Do usług – odpowiedział głos od strony ekranu. – Mam na imię Jeeves, chyba że zechcecie je zmienić. – Zamiast poprzedniego, rozległ się głos dziewczęcy z dobrym francuskim akcentem. – *Une petite francaise, possiblement?* – Następnie gardłowy męski zapytał: – Albo Karl, bhawahrski khamerdhyner? – i dalej, łagodnym tonem: – A może coś skrajnie angielskiego spotka się z waszą aprobatą? – Na koniec znów rozległ się znajomy amerykański akcent: – Wszystkie planetarne środki

telekomunikacji oraz banki danych stoją do waszej dyspozycji – publiczny, domowy, szkolny, zawodowy oraz danych osobistych; ponadto zapamiętywanie informacji, obliczenia, rozrywki, instruktaż, korepetycje, dane źródłowe, organizacja podróży, mieszkania, usługi, towary oraz zasoby, prowadzenie sekretariatu i konsultacje. Wystarczy wyrazić życzenie, a ja to zorganizuję albo skontaktuję was z właściwymi osobami.

Bernard uniósł brwi. – No to witaj, Jeeves. Co w ogóle słyhać? Myślę, że lepiej będzie, jeśli na razie zostaniesz tym, kim jesteś. Czy mógłbyś nam na początek objaśnić, jak działa ten dom? Na przykład jak ty...

Jean usłyszała, jak otwierają się drzwi wejściowe i spojrzała w ich stronę. W chwilę później pojawił się Jay. Niósł na jednym ramieniu nowiutki plecak, pod pachą zaś oprawiony w ramy obraz, przedstawiający lodowcowy górski pejzaż pod burzliwym niebem. Na jego trochę nieprzytomnej twarzy malowało się zakłopotanie.

– Jay! – zakrzyknęła Jean. – Czy znalazłeś zakopany skarb? Co to za rzeczy?

– Czyżby? – Jay ustawił malowidło – pod ścianą i przyjrzał mu się uważnie, jakby je widział po raz pierwszy. – Myślałem, że będzie ładnie wyglądało w moim pokoju. – Zsunął plecak z ramienia i wsadził rękę pod klapę, której nie chciało mu się nawet zapiąć. – Wpadłem na paru kolegów ze szkoły i przyszło nam do głowy, żeby trochę się rozejrzeć po terenie w towarzystwie kilku spotkanych Chirończyków. Tu naprawdę jest o wiele więcej przestrzeni niż w segmencie Wielkiego Kanionu. No to wziąłem to. – Wyciągnął parę butów na grubych podeszwach, wiatrówkę z kapturem z grubego, jaskrawoczerwonego wiatroodpornego materiału z przykrywającą zamek błyskawiczny klapą sztormową, parę rękawiczek z wkładkami termoizolacyjnymi, trochę grubych skarpetek i czapkę z nasznikami. – Planujemy wycieczkę w góry za morzem – wyjaśnił. – Z Franklina można tam dolecieć awionetką w ciągu dwudziestu minut.

Jean wzięła buty i obracała je w rękach. Następnie podniosła wiatrówkę, rozłożyła ją i badała przez pewien czas w milczeniu. Ale... to jest dobre, Jay – powiedziała. Jej twarz przybrała wyraz zaniepokojenia. – Skąd... jak ty to dostałaś? To znaczy... ile to wszystko będzie kosztowało?

Jay miał niewyraźną minę i tarł czoło palcami. – Wiem, że w to nie uwierzysz, mam – wyjaśniał. – Ale to nic nie będzie kosztować. Wygląda na to, że tutaj wszystko nic nie kosztuje. Ja też tego nie rozumiem, ale...

– Och, Jay, nie bądź głupi. No, dość tego – powiedz mi, skąd wszystko masz.

– Naprawdę – po prostu wchodzisz i bierzesz sobie. Tak to się tu robi... ze wszystkim.

– Co się stało? – spytał, podchodząc do nich, Bernard, który tymczasem skończył rozmawiać z Jeevesem. Marie szła tuż za nim.

Jean spojrzała na niego zmartwiona. – Jay wrócił do domu z tym wszystkim i stara się wmówić, że dostał to za darmo. Twierdzi, że każdy może sobie wszystko po prostu wziąć. W życiu nie słyszałam takich bzdur.

Bernard ostro spojrzał na Jaya. – Chyba nie myślisz, że w to uwierzymy. Więc mów, skąd się te rzeczy wzięły. Chcę słyszeć prawdę. Jeśli narozrabiałeś, jestem skłonny o tym zapomnieć i przypisać to zawrotowi głowy od lądowania na planecie. No więc – czy nie masz nam nic do powiedzenia?

– Powiedziałem tylko prawdę – upierał się Jay. – W mieście jest coś w rodzaju supermarketu. Jest tam prawie wszystko i zwyczajnie się tam wchodzi i bierze. Rozmawialiśmy o tym z paru Chirończykami i oni nam pokazali, co robić. Ja też tego nie rozumiem, ale tak tu jest.

– Och, Jay – jęknęła Jean. – Oni zapewne cię nabierali, by się z ciebie pośmiać. W twoim wieku powinieneś się lepiej orientować.

– Nic podobnego – zaprotestował Jay. – Z początku my też tak myśleliśmy, ale przyglądaliśmy

się tam innym ludziom i rozmawialiśmy z robotem, który tym kieruje, i on nam powiedział, że tak właśnie się postępuje. Oni mają głęboko pod ziemią zakłady atomowe i wielkie automatyczne fabryki, które produkują wszystko, co może być komukolwiek potrzebne, a produkcja jest tak tania, że nikomu nie przychodzi do głowy, by ustalać na to ceny... albo coś w tym rodzaju. Ja też tego nie rozumiem.

– Czy to jest prawda? – spytał niepewnie choć bardzo podejrzliwie Bernard.

– Oczywiście tak – westchnął znużony Jay. – Przecież nie wszedłbym tak zwyczajnie do domu, gdybym to ukradł albo zrobił coś w tym rodzaju. Nie sądzicie?

– Jestem pewna, że to zrobił – obwieściła Marie.

– Serdeczne dzięki – odpowiedział Jay.

– Chcę obejrzeć ten magazyn. Czy istnieją powody, abyś mnie nie mógł zaprowadzić tam natychmiast?

Jay znowu westchnął. – Sądzę, że nie. Chodźmy. Maglewem to jeden przystanek stąd.

– Czy my też możemy pójść? – spytała Marie, oczywiście zapominając, co twierdziła przed chwilą. – Chcę dostać całą masę rzeczy.

– Ach, lepiej niech pójdzie twój ojciec z Jayem, kochanie odrzekła Jean. – Pomożesz mi tutaj skończyć porządki. Możemy tam pójść i obejrzeć jutro.

– Czy nie chcesz iść z nami? – spytał żonę Bernard. Przejdziecie się na powietrzu i odpoczniecie trochę.

Jean potrząsnęła głową i dyskretnie wskazała oczami Marie. Lepiej będzie, jeśli pójdziecie sami. Mamy tu mnóstwo do roboty. Marie wykrzywiła się, ale nic nie odpowiedziała.

Bernard skinął głową. – Okay. No, to zobaczymy się później. Lepiej zostaw te rzeczy tutaj, Jay. Jeśli okaże się, że nie wszystko wygląda tak, jak mówiłeś, wolę żebyś się z nimi nie pokazywał.

Pierwszym wrażeniem, jakie zrobił na Bernardzie widok Franklina z mknącego wagonu maglewu było odczucie, że miasto stanowi beznadziejnie pogmatwany zlepek budynków. W przeciwieństwie do schludnego i uporządkowanego wzoru, według którego planowano miasta wyrastające na stosach amerykańskich gruzów w okresie odbudowy po Chudych Latach – z dzielnicami handlowymi, rozrywkowymi, przemysłowymi i mieszkalnymi, oddzielonymi pasami zieleni i starannie ukształtowanym krajobrazem – we Franklinie wszystko wyglądało na mieszaninę bez ładu i składu. Budynki, wieże, domy i niezrozumiałe konstrukcje wszelkich kształtów, wielkości i kolorów przylegały do siebie, w jednych miejscach łącząc się i zrastając, w innych zaś ustępując kępom drzew i zieleni. Wszystko to razem wyglądało jak pstrokaty dywanik, zszyty z kawałków zminiaturyzowanego i obniżonego Nowego Jorku, Paryża i portu w Hongkongu. W jednym miejscu kanał, wzdłuż którego biegł wiadukt kolejowy, zdawał się przeszywać na wskroś kompleks budynków wyglądających na szkołę albo szpital; w innym schody imponującej budowli o dostojnej fasadzie wiodły wprost do basenu pływackiego, położonego na środku wielkiego trawiastego placu, otoczonego drzewami oraz chaotycznie rozrzuconymi domkami mieszkalnymi i sklepami. Na odcinku gdzie rura tunelowa maglewu wisiała nad ziemią, z wagonu otwierał się widok na rzekę, ukazujący parę jachtów leniwie dryfujących tu i tam, parę większych statków zakotwiczonych niżej, gdzie szerokie ujście prowadziło w dali na morze; nad głowami zaś brzęczały krążące we wszystkich kierunkach indywidualne pojazdy latające. Mignęły automatyczne dźwigi i spychacze, pracujące na budowie na drugim brzegu, aż wreszcie wagon zaczął zjeżdżać w dół, ku niższym poziomom zbliżającej się metropolii i zwalniać bieg przed stacją końcową.

– Trochę to inaczej wygląda, niż przejazd kapsułą wokół Pierścienia – zauważył Jay, gdy wagon zatrzymał się.

– Trudno zaprzeczyć – zgodził się Bernard.

– Czy tak wyglądały miasta na Ziemi?

– Nooo..., być może niektóre z nich, dawno temu. Ale nie te nowoczesne.

“Dom towarowy” – jak go określił Jay – leżał kilka pięter poniżej stacji kolejowej. By się tam dostać, zjechali długim ciągiem schodów ruchomych. Wokół kręciło się mnóstwo ludzi, noszących odzież we wszystkich możliwych stylach, modach i barwach. W tłumie, jak tego można się było spodziewać, kody genetyczne na *Kuan-yin* reprezentowały bowiem w równych proporcjach wszystkie ziemskie typy etniczne, występowały w prawie jednakowych ilościach wszystkie rasy ludzkie. Wszędzie widać było dzieci i młodzież; roboty i androidy zaś były, jak się wydawało, częścią systemu społecznego. Zaintrygowały one Bernarda. Takie stworzenia znano na Ziemi, ale spotykało je się tylko w laboratoriach badawczych jako ciekawostki, ponieważ funkcjonalnie nie na wiele się zdały. Prawdopodobnie roboty chirońskie wyewoluowały z maszyn, wychowujących pierwszych Chirończyków i wobec tego nie zaprojektowano ich na kształt blaszanych ludzi, ale by mogły spełniać swe zadania, jako ciepłe i miękkie niańki. Wynikałoby z tego, że obecność maszyn jako towarzyszy człowieka należała do stałych rysów życia na Chironie, wywodzących się z najpierwszych dni. Zmieniono modele w sposób odpowiadający życzeniom i zachciankom dzieci później, w okresie gdy już pojawili się rodzice naturalni, zapewniający potomstwu zaspokojenie podstawowych potrzeb fizjologicznych i psychologicznych. Bernard ze zdziwieniem złapał się na myśli, że stosunki między człowiekiem i humanoidalną maszyną mogą być całkiem serdeczne, a nawet mieć pewne powaby; w każdym razie nie zaobserwował oznak zimnej i ponurej atmosfery, które odmalowała mu Jean.

Ogólnie rzecz biorąc panował dość wesoły nastrój: lokale rozrywkowe i inne, wyglądające na handlowe, trochę barów i restauracji, wystawa dzieł sztuki oraz nie licujący z tym wszystkim zespół clownów, występujący, ku uciechu publiczności, w jednym z przejść podziemnych. W jednym zaś miejscu widać było za oknem zespół maszyn krawieckich – trudno powiedzieć, czy rzeczywiście produkujących odzież, czy tylko wystawionych z jakichś powodów.

Bernard zauważył kilka młodych dziewczyn, niewiele starszych od Marie, wiozących w wózkach lub noszących niemowlęta. Nagle wstrząsnęła nim myśl, że były to prawdopodobnie ich własne dzieci. Zszokowało go to, ale równocześnie poczuł ulgę na myśl, że Jean i Marie zostały w domu. A sposób w jaki Jay przyglądał się chirońskim dziewczynom, zapowiadał jeszcze więcej kłopotów na przyszłość. Pod pewnymi względami – doszedł do wniosku Bernard myśląc o przyszłości – zwyczajne i uporządkowane życie na *Mayflowerze II* miało swoje zalety.

Gdy wreszcie przebyli ostatnie schody ruchome, Jay poprowadził do szerokiego wejścia, położonego blisko głównej hali. Widniał nad nim napis: DOM TOWAROWY ZATOKI MANDELA, ODDZIAŁ. FRANKLIN CENTRUM. Na zewnątrz, w obszernej wnęce, grupa ludzi z uznaniem przysłuchiwała się kwartetowi smyczkowemu, grającemu znany Bernardowi utwór Beethovena. Na chwilę Ziemia wydała mu się nie aż tak odległa. Trzech Chirończyków spośród słuchaczy poznało Jaya i podeszło do nich. Byli to: wyglądający na Chińczyka młodzieniec w płaszczu koloru zielonej cytryny; wysoki Murzyn z małą bródką, ubrany w ciemną marynarkę, koszulę i krawat, oraz jasnowłosy, niebieskooki biały w koszuli z podwiniętymi rękawami. Jay przedstawił ich jako Czanga, Rastusa i Murphy'ego. Wprawilo to Bernarda w zakłopotanie, gdyż Murphy był Chińczykiem; Czang czarnym, Rastus zaś białym. Z początku Bernard miał wątpliwości, ale młodzieńcy wyglądali nader przyzwoicie, a jeśli słuchali Beethovena – zdecydował – nie było tak

źle. Obejrzał się odruchowo, ale przypomniał sobie, że *Majflower II* jest oddalony o dwadzieścia tysięcy mil. Doszedł do wniosku, że może się trochę odprężyć. – Ja, eee, widzę, że chyba lubicie, chłopaki, muzykę – powiedział, bo pod wrażeniem chwili nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Jedna z moich sióstr gra tam na wiolonczeli – poinformował go Murphy. (Czy rzeczywiście on? O tak – Chińczyk nazywał się Murphy). Bernard przyjrzał się kwartetowi. Na wiolonczeli grała oliwkowoskóra dziewczyna o śródziemnomorskim typie urody.

– Oooo... jest bardzo dobra – pochwalił Bernard. Wyglądało na to, że zrobił Murphy'emu przyjemność. – Nie sądzisz, że ma doskonały ton? To jedna z tych, które Czang wyrabia.

– Rzeczywiście – zgodził się Bernard. Nie miał pojęcia, o czym właściwie rozmawiają.

– To są chłopcy o których ci opowiadałem – rzekł Jay. – Ci z grupy, która wybiera się w góry.

– Jeśli chcesz także pojechać, będziesz mile widziany – oświadczył Rastus.

Bernardowi udało się uśmiechnąć z wysiłkiem. – To miło z waszej strony, ale mam robotę. Będziemy jeszcze przez pewien czas zajęci. Niemniej bardzo dziękuję. – Zastanowił się przez chwilę. – Mam nadzieję, że nie planujecie czegoś zbyt trudnego.

Jay, wiecie, nie miał dość dużej praktyki w takich sprawach. Nigdy jeszcze nie widział planety. – Jay skrzywił się bez słowa i odwrócił wzrok.

Czang zaśmiał się. – W porządku. Nie idziemy zbyt wysoko i będzie to raczej spacer. Nie grozi nam nic bardziej ryzykownego, jak pojawienie się paru daskrendów.

– Umiesz strzelać, Jay, prawda? – zapytał Murphy.

– No tak, ale... – odpowiedział zaskoczony Jay.

– Powinniśmy mu to byli wcześniej powiedzieć – rzekł Murphy. – Weź ze sobą strzelbę. Najlepsza byłaby kalibru czterdzieści pięć albo coś koło tego, jeśli masz taką.

– Chwileczkę, chwileeeeczkę – przerwał przestraszony Bernard, unosząc rękę. – Co to, u licha, znaczy? Co to jest ten das...?

– Daskrend – dokończył za niego Murphy. – O, to coś w rodzaju wilka, tylko większy i ma zęby jadowe. Ale one są dość tępe i łatwo się z nimi uporać. Spotyka się je czasem trochę wyżej na wzgórzach nad Morzem Śródchirońskim, ale większość ryje po drugiej stronie Łańcucha Bariery.

– Pogadamy jeszcze o tym, Jay – powiedział Bernard bardzo poważnie.

– Oczywiście żartowałem – rzekł Murphy. – Z awionetką lecącą nad nami nie ma szans, by daskrendy do kogokolwiek podeszły. Ale jest w zwyczaju, że poza miastami chodzimy z bronią... na wszelki wypadek.

– Może byśmy trochę zwolnili tempo – zaproponował Bernard. Spojrzał na Jaya. – Powinieneś dać sobie trochę czasu na aklimatyzację, zanim weźmiesz udział w czymś podobnym. – Ton jego głosu wskazywał, że stara się w taktownych słowach powiedzieć, że Jay nie pojedzie. W tym zaś przynajmniej momencie sam Jay nie był skłonny się sprzeczać.

– Jak uważasz. Po prostu daj nam znać – powiedział Murphy, zamykając sprawę lekkim wzruszeniem ramion. – Więc przyjechałeś jeszcze po coś?

– Nie. Mój ojciec chciałby tylko obejrzeć dom towarowy.

– Czy nie poszlibyście z nami? – poprosił Bernard.

– Chętnie – zgodził się Murphy i wszyscy ruszyli z miejsca. Po drodze Jay wytłumaczył trójce swych przyjaciół, o co poszło.

Wewnątrz, w wielkiej hali, na kontuarach i półkach wyłożone były towary wszelkiego rodzaju, od urządzeń elektronicznych i przyrządów naukowych na jednym końcu po płaszcze przeciwdeszczowe i sprzęt sportowy na drugim. Gdy wchodzili, z szeregu stojących pod ścianą wyjechał wózek samobieżny i zaczął się toczyć o parę kroków za nimi, oznajmiając równocześnie: –

Witajcie w Domu Towarowym Zatoki Mandela. Czy pomyśleliście kiedykolwiek, by założyć sobie ogródek i uprawiać go własnoręcznie? Jest to doskonale ćwiczenie na wolnym powietrzu, bardzo odprężające i stwarzające świetną sposobność do obrócenia parę razy w myśli tego wszystkiego, co mieliście zamiar sobie przemyśleć... jak również gleby w ogródku, ha, ha, ha! Mamy specjalną dostawę niezwykle kunsztownie wykonanych i wykończonych narzędzi do prac ręcznych, najlepszych, jakie spotkaliście kiedykolwiek, każde wraz z...

– Odejdź – powiedział mu Czang. – Dzisiaj tylko zwiedzamy.

Wózek zamilkł, zawrócił w miejscu i przygnębiony odjechał do szeregu, oczekując na nową ofiarę.

Bernard zatrzymał się, zmarszczył brwi i rozejrzał się wokół. Ruch w domu towarowym był umiarkowany, ludzie raczej spacerowali, przyglądając się towarom, niż je nabywali. Wyjątek stanowiło małżeństwo z *Mayflowera II*, łatwe do zauważenia z powodu ciągnących się za nimi trzech wózków, wyładowanych wszystkim co się dało. Małżeństwo należało do urzędników biurowych niższego szczebla i Bernard z daleka odpowiedział na ich ukłony ledwie dostrzegalnym skinieniem głowy.

– Myślę, że to wszystko wydaje się wam, moi drodzy, trochę dziwne – zauważył Rastus. – Ale biorąc pod uwagę, że od czasów Założycieli maszyny dostarczają nam wszystkiego, pomysł ograniczenia dostaw jakichkolwiek towarów nigdy nikomu nie przyszedł do głowy. Nie było ku temu żadnych powodów. Zawsze tak postępowaliśmy, od samego początku. Przyzwyczajcie się.

– Ale... przecież nie możecie opierać na tej samej zasadzie gospodarki całej planety – sprzeciwił się zdumiony Bernard. To znaczy wiem, że wasza produkcja w porównaniu z zaludnieniem jest olbrzymia, ale ludność szybko wzrasta. Powinniście zacząć myśleć o jakiegoś rodzaju... systemie regulowania. Wasze bogactwa naturalne nie są przecież nieograniczone.

Rastus się zdziwił. – Przecież jest do dyspozycji cała galaktyka, a dalej jeszcze kilka ich miliardów – oświadczył. – Upłynie wiele czasu, zanim zrobi się tam tłok. Europa niegdyś oparła swą produkcję o zasoby drewna i to stanowiło ograniczenie, ale dziś nikt o tym nie myśli, bo mamy do dyspozycji lepsze rozwiązania. Wzruszył ramionami. – Tak jest ze wszystkim. Umysł ludzki jest nieograniczonym bogactwem naturalnym i niczego więcej nie potrzeba.

Bernard potrząsnął głową i pokazał palcem małżeństwo z *Mayflowera II*, które oglądało się ukradkiem dokoła, podczas gdy maszyna pakująca przy wejściu wyładowywała zawartość ich wózków na taśmę transportującą towary na niższe piętro.

– Ależ spójrzcie, co się dzieje – powiedział. – Jak długo możecie się utrzymać przy takim stanie rzeczy? Co będzie, gdy każdy zacznie się tak zachowywać?

– A dlaczego by miał? – spytał Czang. Przyjrzał się małżeństwu ze zdziwieniem. – Zastanawiałem się, co oni właściwie zamierzają robić z tym wszystkim. Zachowują się tak, jakby zapasy miały się wyczerpać.

– By zyskać pozycję społeczną – powiedział Jay. Czang spojrzał na niego zupełnie nie pojmując.

– To w porządku – stwierdził Rastus. – Oczywiście jeśli za to zapłacą.

– O to mi właśnie chodziło – wyjaśnił Bernard. – Oni nie płacą za to, nawet jednego centa.

– Zapłacą – odrzekł Rastus.

– Jak?

Rastus zdziwił się trochę. – Znajdą sposób – zapewnił.

W tym momencie zza rogu wyszedł Jerry Pernak w towarzystwie swej narzeczonej Ewy Verritty i dwóch Chirończyków. Za nimi jechał wózek z paru drobiazgami. Jerry wlepił zdumione spojrzenie

w Bernarda i Jaya, po czym uśmiechnął się.

– Hej! Więc Jay wyciągnął cię z domu na zwiedzanie, co? Cześć, Jay. Już masz nowych przyjaciół?

Nastąpiły uśmiechy, uściski dłoni i wzajemne przedstawianie się. Dwojgiem Chirończyków towarzyszących Pernakowi było: Sal, niska, kędzierzawa blondynka, prowadząca badania naukowe w zakresie fizyki na uniwersytecie niedaleko od Franklina i stolarz Abdul, jeden z Założycieli, mieszkający w bardziej zacisznej okolicy w głębi lądu i wyglądający na Eskimosa. Wnuk Abdula – jak ich z dumą poinformował – ręcznie wyrzeźbił oryginały wzorów, według których zakodowano programy produkcji wszystkich drewnianych sprzętów w Cordova Village. Był zachwycony, gdy Bernard zaczął chwalić ich jakość, i obiecał, że przekaże swemu wnukowi opinię Ziemianina.

– A co wy na to? – zapytał Pernak. – Sal mówi, że uniwersytet marzy o kimś z wiedzą w zakresie nieliniowej dynamiki fazowo – przestrzennej i teorii cząsteczek. Prawie że obiecała, że mogę tam dostać posadę, a tego rodzaju praca jest tu najwyższej wynagradzana. Co sądzisz o takim zajęciu?

Bernard uśmiechnął się z wysiłkiem. – Wygląda to dobrze zgodził się. – Ale Dyrektoriat może też mieć coś do powiedzenia.

– O tym wiem, ale pomyślałem sobie, że z samej ciekawości obejrzę sobie to miejsce. Nic w tym złego. A później, cóż... nie wiadomo, co się może zdarzyć.

– W jaki sposób będą ci płacić? – zapytał Jay.

– Jeszcześmy o tym nie rozmawiali – odpowiedział mu Pernak.

– To bardzo osobiste pytanie, Jay – ostrzegł go Bernard. W każdym razie jest na nie za wcześnie.

– Jay powiedział nam, że jesteś inżynierem na *Mayflowerze II* – rzekł z zainteresowaniem Czang. – Specjalistą procesów termojądrowych.

– To prawda. – Bernarda zdziwiło to, ale i mile połechtało. Pomagam utrzymywać urządzenia głównego napędu.

– Chyba będziemy mogli i dla ciebie zorganizować wizytę zaoferował się Czang. – Na wybrzeżu jest duży zakład termojądrowy, dostarczający energii i większości surowców przemysłowych dla Franklina. Wkrótce zostanie zbudowany drugi i będzie potrzebował załogi. Jeśli myślisz, że cię to może interesować, to załatwię ci tam wizytę.

Oczywiście, że go to interesowało. – No... może – zaczął ostrożnie Bernard. – Kogo tam znasz?

– Mam przyjaciela, którego matka pracuje tam przez większość swego czasu. Na imię ma Kath.

– I to wystarczy, by wyznaczyć wizytę?

– Oczywiście – powiedział z całkowitą pewnością Czang. Zadzwonię do ciebie, gdy pogadam z Adamem. To ten przyjaciel: Jay też pewno chciałby tam pojechać.

Bernardowi nie przyszło to do głowy. Ujrzał, jak Jay energicznie zaczął kiwać głową, więc musiał się poddać. – Czemu nie? Jeśli jesteś pewien, że można, no to dziękuję... dziękuję bardzo.

– Nie ma sprawy – skwitował Czang.

Ewa spojrzała na wózek, który cierpliwie czekał, i zwróciła się do Pernaka. – To chyba już wszystko – oświadczyła. – Czy możemy teraz oglądać dalej miasto?

– Chodźmy – zgodził się Pernak. – Zabiorę rzeczy.

– Mogą pojechać sobie same maglewem – poinformował ich Murphy. – Automat na stacji w wiosce prześle je dalej. Odbierzesz koło windy we własnej piwnicy. Pod jakim numerem mieszkasz?

– Dziewięćdziesiątym siódmym – odpowiedział Pernak. Spojrzał na Ewę i pokiwał głową.

– To już wszystko – rzekł Murphy do wózka. – Dziewięćdziesiąt siedem, Cordova Village.

Jazda.

– Chwileczkę – odezwał się głos za nimi. Obejrzeni się. Stał tam chiroński robot, błyskając lampkami w ich stronę. Należał do modeli niewysokich i zaokrąglonych, przez co wyglądał jak baryłka. – Nie wzięliście żadnego z naszej specjalnej dostawy ręcznych narzędzi ogrodniczych. Czy chcecie się przedwcześnie zestarzeć i utyć? Pomyślcie o wszystkich przyjemnych i twórczych godzinach, które możecie spędzić w popołudniowym słońcu, z wietrzykiem muskającym delikatnie wasze czoła, odległym brzmieniem...

– Oj, daj spokój, Hoover – odpowiedział robotowi Rastus. Ci ludzie dopiero przybyli. Mają zajęć wyżej uszu. – Spojrzał na Ziemiaków. – To jest Hoover. Zarządza tym składem. Nie przejmujcie się nim zbytnio, bo inaczej zasypie was złomem po dziurki w nosie.

– Złomem?! – wszystkie naraz lampki Hoovera zapłonęły purpurą. – Co chcesz przez to powiedzieć – “złomem”? Zawiadamiam cię, młody człowieku, że mamy na składzie towary najlepszej jakości i w największym wyborze na całym Półwyspie. A osiągamy to przy najmniejszych zapasach magazynowych i z najmniejszą ilością problemów wynikających z braków na składzie ze wszystkich domów towarowych porównywalnej wielkości. Złom... coś podobnego! Czy zadałeś sobie trud zapoznania się z naszym...

– W porządku, w porządku, Hoover. – Rastus podniósł dłoń przeproszającym gestem. – Przecież wiesz, że to nie było na serio. A wystawy są dzisiaj naprawdę artystycznie ułożone.

– Dziękuję panu i moje uszanowanie dla pana, sir. – Hoover odwzajemnił się o wiele uprzejmiejszym tonem. – Mam nadzieję, że wizyta tutaj sprawiła wam wszystkim przyjemność i że wkrótce ujrzymy was tu ponownie. – Wózek odjechał, by przekazać swą zawartość maszynie pakującej. Hoover towarzyszył grupie klientów aż do wyjścia. – Ponadto w przyszłym tygodniu oczekujemy dostawy absolutnie pierwszorzędnych...

– Daj spokój, Hoover – powiedział Czang zmęczonym głosem. – Obejrzymy to sobie przez sieć. No dobrze, może cię odwiedzimy w przyszłym tygodniu.

Kwartet na korytarzu grał teraz Mozarta. – Czy roboty zachowano jako swego rodzaju... tradycję? – spytał Bernard.

– Dzieci lubią ich towarzystwo – potwierdziła Sal. – A uczciwie mówiąc – my też je lubimy. Wszyscy wyrosliśmy wraz z nimi.

– Pamiętam pierwszego, który uczył mnie mówić – powiedział Abdul. – Jeszcze dziś jest czynny, tam na *Kuan-yin*. Ale współczesne modele bardzo się od tamtych różnią.

Wreszcie po raz pierwszy od przybycia do Franklina znaleźli się na wolnym powietrzu i mogli z bliska obejrzeć chaotyczne, choć w jakiś sposób przytulne centrum miasta.

– No, a to wszystko? – zapytała Ewa. – Czy to też pochodzi z pierwszego okresu?

– Tak – odpowiedziała Sal. – Czterdzieści lat temu było tu tylko parę kopuł mieszkalnych i port dla promów orbitalnych. Główna baza, przez którą wyście przybyli, została zbudowana zaledwie dziesięć lat temu. W pierwszych dniach istnienia kolonii Założyciele zaczęli zmieniać plany zawarte w komputerach *Kuan-yin*, a maszyny zrobiły co mogły, aby być temu posłuszne. Westchnęła. – No i takie są skutki. Oczywiście moglibyśmy to przebudować, ale większość ludzi woli, by zostało tak, jak się przyzwyczaili. Czasem popełniano kosztowne błędy, ale w rezultacie nauczyło to nas, że wszystko w życiu trzeba z góry przemyśleć. Inne, dalej położone miasta, są znacznie późniejsze i staranniej planowane, ale każde z nich ma odrębny charakter i różni się od innych.

– Nie uwierzylibyście w wiele rzeczy, które dokładnie pamiętam – mruknął Abdul, gdy znów podjęli spacer. – Cholerne maszyny... zawsze robiły to, co im się kazało. Przez pewien czas myśleliśmy, że są całkiem głupie. Ale okazało się, że to my byliśmy głupi.

– Ile lat miałaś wtedy? – zapytała ciekawie Ewa.

– Och, nie wiem... cztery, może pięć. – Lubilem wówczas te wszystkie światła i to ożywienie, które tu panuje, ale po pewnym czasie życie tutaj wydało mi się zbyt już gorączkowe. Teraz wolę góry. Obecnie we Franklinie mieszka głównie młodzież, chociaż są też niektórzy z Założycieli.

Zatrzymali się na małym placyku pod gołym niebem, otoczonym z trzech stron przez budynki z pasiastymi markizami nad balkonami i oknami. Kaznodzieja z *Mayflowera II*, widocznie chcąc nadrobić dwadzieścia lat straconego czasu, perorował do mieszanej grupy Chirończyków z narożnika muru, otaczającego klomb obsadzony krzakami. Fakt, że wśród słuchaczy znajdowali się kilkunastoletni rodzice, rozwścieczył go, a już najbardziej wyprowadzały go z równowagi widoczne u dziewczyn w tym wieku wyraźne oznaki zbliżającego się macierzyństwa. Chirończycy wydawali się zainteresowani, lecz sceptyczni. Z całą pewnością brakło objawów jakichkolwiek nagłych przebudzeń ducha ewangelicznego czy też dramatycznych, błyskawicznych nawróceń.

– Wydaje mi się nierozumnym dyskutowanie w jakiegokolwiek formie o rzeczach, na które brak dowodów – zauważył chłopak na oko czternastoletni. – Możesz zmyślić, co sobie zechcesz, jeśli nie istnieje sposób zbadania, czy to prawda czy nie; więc o co chodzi?

– Musicie mieć wiarę! – ryknął kaznodzieja z oczami rozpalonymi namiętnością.

– Dlaczego? – spytała dziewczyna w różowym żakiecie.

– Ponieważ Biblia mówi nam, że musimy.

– A skąd wiesz, że to jest słuszne?

– Są rzeczy, które musimy przyjąć! – zagrział kaznodzieja.

– O to mi właśnie chodziło – odpowiedział mu chłopiec. Fakty się nie zmieniają, niezależnie od tego; jak mocno byś wierzył, że są inne, i niezależnie od tego, ile osób przekonałbyś, aby się z tobą zgodziły, nieprawdaż? Opowiadanie, że są rzeczy, których nie możesz ujrzeć i wierzenie w rzeczy, których nie możesz zbadać, po prostu nie ma sensu.

Kaznodzieja zakręcił się w miejscu i wpatrzył się w niego groźnym wzrokiem, który jednak chłopca nie przestraszył.

– Czy wierzysz w atomy?

– Oczywiście. Wszyscy wierzą.

– Aha! – Kaznodzieja zrobił błagalny gest w stronę słuchaczy. – Czyż więc istnieje jakakolwiek różnica, przyjaciele? Czy możemy zobaczyć atomy? Czyż to nie jest bezczelne zuchwalstwo? – Spojrzał znów na chłopca, wytykając go oskarżycielsko palcem. – Czy twierdzisz, – że widziałeś atomy? Powiedz, że tak, a oświadczę ci, że kłamiesz! – Ponowny błagalny gest. – Czyż to także nie jest wiara, a przecież ten osobnik oświadczył, że nie czuje potrzeby wiary. Czyż wobec tego nie popadł w naszej przytomności w sprzeczność?

– Twoje porównanie jest zupełnie nielogiczne – zwróciła uwagę towarzysząca chłopcu dziewczynka. – Istnieją dostateczne przesłanki, zweryfikowane przez powszechnie potwierdzone wyniki eksperymentalne, by przyjąć założenie, że byty posiadające właściwości przypisywane atomom istnieją naprawdę. To zaś, czy mogą lub nie mogą być bezpośrednio odbierane zmysłami, jest nieistotne. Jakie porównywalne dane możesz przedstawić?

Na ułamek sekundy kaznodzieja stracił rezon, ale opanował się szybko. – A ten świat wokół nas?! – zawył, szeroko rozkładając ramiona. – Czyż nie istnieje? Czyż go nie widzę? Kto go stworzył? Powiedz nam. Czy to nie jest dostateczny dowód?

– Nie jest – odpowiedział chłopiec po chwili namysłu. Mogę powiedzieć, że to dobre wróżki powodują, iż kwiaty rosną, ale fakt, że kwiaty rosną, nie dowodzi istnienia wróżek, prawda?

– Przyjmować wniosek jako przesłankę nie jest jego dowiedzeniem – wyjaśniła dziewczynka,

spoglądając na kaznodzieję. – Niestety twój dowód opiera się całkowicie na zasadzie błędnego koła.

Grupka Ziemiaków i Chirończyków poszła w dalszą drogę, pozostawiając słuchaczy kaznodziei na pastwę gwałtownej tyrady, która nastąpiła w odpowiedzi.

– Ale to przecież były jeszcze niemal dzieci – szepnęła Ewa Verritty.

– Wyglądasz na zdziwionego – zwrócił się Rastus do Bernarda.

– To te dzieciaki – odrzekł Bernard wskazując za siebie. – Są wśród nich bardzo bystre umysły.

Czy wszyscy tutaj są tacy?

– Oczywiście nie – powiedział Rastus. – Ale każdy ceni to, czym dysponuje. Powiedziałem, że umysł jest niewyczerpalnym bogactwem naturalnym. Ale tylko wówczas, gdy się go nie trwoni. Czy nie sądzisz, że to ciekawy paradoks?

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Przywódcy chirońscy nadal nie dawali znaku życia. Chirończyk, który zdawał się kierować znaczną częścią działalności głównej bazy promowej pod Franklinem, zwanej Canaveral, oświadczył, że ze swej działalności nie składa raportów ani żadnemu określone mu człowiekowi, ani organizacji, która zatwierdzałaby jego decyzje i dawała mu dyrektywy. Kto więc wskazywał mu, w jaki sposób ma zarządzać bazą? To zależało. On sam wystawiał zamówienia na wyposażenie czy nowe konstrukcje w bazie, ponieważ wiedział, czego potrzebuje. Skąd wiedział? Stąd, że ludzie, którzy zajmowali się planowaniem przepustowości i kontrolą ruchu, informowali go, jakie są potrzeby, a ponadto jego własna praca polegała właśnie na tym, by to wiedział. Z drugiej zaś strony, spółki budujące promy orbitalne i podobne urządzenia, ustalały ich normatywy techniczne, ponieważ to właśnie do nich należało. Klienci zaś ustalali między sobą kolejność priorytetów dla wypraw, odlatujących z bazy. Tym nie zajmował się w ogóle, natomiast starał się jak najściślej dotrzymywać terminów rejsów, jakie mu podawano. Więc ostatecznie kto zarządzał bazą? Kto polecał innym, co mają robić, i kto to wykonywał? To zależało. Wszystko to razem było niezrozumiałe.

Zgodnie z dyrektywą Wellesleya, Howard Kalens polecił Amery'emu Farnhillowi otworzyć ambasadę w małym budynku w Canaveral, udostępnionym przez Chirończyków tym chętniej, że i tak sami byli w przeddzień przeprowadzki do większego, gdzie indziej położonego lokalu. Zamiarem Dyrektoriatu było stworzenie ośrodka, który Chirończycy uznaliby i odpowiedzieli na tę inicjatywę otwarciem kanałów łączności dyplomatycznej. Niestety, krajowcy w ogóle nie zwrócili na to uwagi. Po dwóch dniach bezplodnego wysiadywania za biurkiem Amery Farnhill zwrócił się do Kalensa o wyrażenie zgody na wysłanie do miasta patroli, które sprowadziłyby do niego ewentualnych kandydatów do rozmów. Patrole miał wystawić oddział wartowniczy SS – uranów, który chronił ambasadę. Kalens mógł na to zgodzić się tylko częściowo, ponieważ związany był ścisłymi instrukcjami, wydanymi przez Wellesleya.

– Jeśli potrafisz ich do tego przekonać, to zrób to – odpowiedział na prośbę Farnhilla przez telełączność z pokładu *Mayflowera II*. – Można zgodzić na pewien stopień presji, ale patrole w żadnym wypadku nie mogą używać siły. Mnie też się to nie podoba, Amery, ale obawiam się, że przez pewien czas musimy stosować się do tych zasad.

– Hej, ty tam! Stój! – zwrócił się major do Chirończyka, za którym podążali od wyjścia z restauracji, mieszczącej się niedaleko za rogiem. Major dowodził patrolem czterech SS – uranów, wysłanym na zwiady do centrum Canaveral City – mieszkalnego i handlowego przedmieścia koło bazy promowej, przylegającego na przeciwległym skraju do Franklina. Chirończyk był starannie ubrany, miał trzydzieści parę lat i niósł w ręce teczkę dyplomatkę. Zignorował ich zupełnie i poszedł dalej. Wobec tego major wyprzedził go i zatrzymał się dokładnie na jego drodze. Chirończyk wyminął oficera i zatrzymał się dopiero wówczas, gdy SS – mani utworzyli wokół niego zaporę nie do przebycia.

– Pójdiesz rozmawiać z Ambasadorem – poinformował go major.

– Nie, nie pójdę. Idę na rozmowę w sprawie klimatyzacji w nowym holu pasażerskim w bazie.

– Mów "sir", gdy się do mnie zwracasz.

– Jak chcesz. Mów "sir", gdy się do mnie zwracasz.

Chirończyk zrobił krok do przodu, ale jeden z SS – uranów zastąpił mu drogę.

– Jak się nazywasz, chłopcze? – Major pochylił się do niego i groźnie zmrużył oczy.

– Nie twój zasrany interes.

– Chcesz, żebyśmy cię tam zaciągnęli siłą?

– A chcesz ująć stąd z życiem?

Majorowi zadrżały wargi, zaczerwienił się. Widział dobrze, jak twarze otaczających ich SS – uranów stężały we frustracji, ale nie mógł nic zrobić. Miał ściśle rozkazy.

– Jazda stąd! – warknął. – I nie myśl, że ci to ujdzie na sucho – rzucił za oddalającym się Chirończykiem. – Zostałeś sfilmowany. Jeszcze się spotkamy.

Major SS z wysiłkiem wyszczerzył zęby i rozciągnął w uśmiechu usta prawie do uszu.

– Wybacz pan, sir, czy może mi pan poświęcić parę minut?

– Na co? – zapytał ubrany w szkarłatny sweter i zielone szorty Chirończyk.

– Nasz Ambasador chciałby z panem pomówić. To niedaleko stąd, na terenie bazy, o parę kroków.

– O czym?

– Po prostu przyjacielska rozmówka... o waszym rządzie, jak jest zorganizowany, kto do niego należy... ot parę takich spraw. To doprawdy nie potrwa długo.

Chirończyk z wahaniem podrapał się w brodę. – Nie wydaje mi się, bym mógł być w czymkolwiek pomocny. O jaki w szczególności rząd tu chodzi?

– Planety... Chiron. Kto nią kieruje?

– Kieruje planetą? Jeej... Nigdy nie słyszałem o czymś takim.

– Kto panu poleca, co ma pan robić?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, co robię. – Chirończyk miał minę, jakby prosił o wybaczenie. – Mogę z nim pomówić o biologii morskiej na wschodnim wybrzeżu Anemii, o pokrywaniu budynków dachami albo o teoremacie Fermata teorii liczb – zaproponował. – Czy myślisz, że to by go zainteresowało?

Umęczony major westchnął głęboko. – Nieważne. Nie mówmy o tym. Czy masz tu kogokolwiek, kogo powinniśmy o to zapytać?

– Nikogo. Zdaje mi się, chłopcy, że macie trudną robotę. Jeśli chcecie ją zmienić, znam pewnych ludzi w dole rzeki, którzy potrzebują pomocy przy budowie statków. Czy któryś z was robił już coś podobnego?

Major gapił się na niego, nie wierząc własnym uszom. Zjeżdżaj – wyjąkał zduszonym głosem. Potrząsnął głową z niedowierzaniem. – Po prostu... zmywaj się stąd do wszystkich diabłów, dobraaa...?

– To nie do wiary! – wołał Amery Farnhill na plenarnym zebraniu Dyrektoriatu w Centrum Rządowym *Mayflowera II*. Oni wiedzą, że mamy związane ręce i korzystają z tego, robiąc z premedytacją uniki. Jedyne sposoby, by cokolwiek osiągnąć, to przyjąć ostrzejszy kurs, jeśli na to pozwolicie.

Wellesley odmówił zdecydowanie. – Nie pozwolimy, jeśli masz na myśli maltretowanie ludzi na ulicach. To by zepsuło wszystko, co osiągnęliśmy dotychczas.

– A co osiągnęliśmy? – rzucił pogardliwie Borfontein.

– Coś musimy zrobić – nalegała Marcia Quarrey. – Musimy bezwzględnie uzyskać jakąś formę oficjalnego uznania, nawet za cenę wprowadzenia stanu wojennego w całym mieście. Tego wszystkiego już za wiele.

Słuchając tego, Howard Kalens z trudem panował nad sobą. Quarrey zmieniła postawę z chwilą, gdy lobby handlowe, którego interesy reprezentowała, wpadło w panikę na myśl o konkurowaniu z wariackim systemem gospodarczym Chirona. Sygnały, jakie przekazywano jej z góry, wskazywały jasno, że musi coś w tym zakresie osiągnąć, i to szybko, jeśli ma nadzieję pozostać na stanowisku po wyborach. Dla Kalensa z kolei oznaczało to, że musi jej żądania otwarcie poprzeć, by mieć poparcie Marcii, gdyby chciał się pokusić o stanowisko Dyrektora Misji.

– Stwierdzam, że nie ponoszę odpowiedzialności za fiasko tej polityki – oświadczył, rzucając Wellesleyowi gniewne spojrzenie. Od początku byłem przeciwny fraternizacji, a teraz widzimy, jakie dała wyniki. Powinniśmy byli narzucić surowy apartheid do chwili, póki nie zostaną nawiązane stosunki na właściwym szczeblu.

– To by nic nie dało – odparował Wellesley. – Po prostu siedzielibyśmy zamknięci za płotem, ignorowani i śmieszni.

– Jeśli twoim zamiarem było sprowokowanie agresywnej reakcji Chirończyków jako usprawiedliwienia dla narzucenia porządku siłą, to również się nie udało – odrzucił zimno Kalens. – Teraz musimy na naszym koncie zapisać straty i zastanowić się, jakie nam pozostały warianty.

– Co ty tutaj sugerujesz? – Wellesley chwycił dłońmi poręczę fotela, jakby miał zamiar zerwać się z miejsca. – Natychmiast wycofaj to oskarżenie!

– Czy zaprzeczasz, że narażając osoby cywilne, miałeś nadzieję wywołać incydent, który usprawiedliwiłby wkroczenie wojska?

Wellesley zbladł, żyły wystąpiły mu na skroniach. – Zaprzeczam temu! Zaprzeczam również, jako byś występował na rzecz segregacji. Moja polityka bazowała na zachęceniu ich przywódców do ujawnienia się przez demonstrację pokojowego współistnienia, a ty się z tym zgodziłeś. Wycofaj swoje oświadczenie!

Kalens przez parę chwil spoglądał na niego spokojnie, po czym kiwnął głową. – Doskonale. Wycofuję oświadczenie i przepraszam.

– Pisarzu – rzucił Wellesley ciągle jeszcze gniewnym głosem komputerowi prowadzącemu protokół posiedzenia. – Wymaż oświadczenie dotyczące agresywnej reakcji i wszystko co po nim następuje.

– Wymazane – potwierdziła maszyna. – Ostatni wiersz protokołu brzmi: "...zamknięci za płotem, izolowani i śmieszni".

Insynuacja Kalensa osiągnęła swój cel. Stern przyglądał mu się ciekawie, Marcia Quarrey zaś spoglądała nań przez szerokość stołu z nowym respektem. Zmieszany Farnhill szurał nogami.

– No to co będziemy robić dalej? – spytał Borfontein, starając się rozładować napięcie.

Stern przez chwilę przyglądał się swym palcom, po czym zwrócił wzrok na zebranych. – Gdy bezpośrednia interwencja wojskowa jest niecelowa lub niepożądana, zwykle uzyskuje się zwierzchnictwo przez ograniczenie i kontrolowanie rozdziału bogactw – powiedział powolnym głosem. – Tradycyjne metody zastosowania takich środków byłyby tutaj utrudnione, może nawet niemożliwe, ponieważ pojęcia te nie znajdują tradycyjnych odniesień. Niemniej musi istnieć sposób wywarcia nacisku na to społeczeństwo. Jest rozwinięte, o wysokim poziomie technologicznym; jego bogactwo musi więc w ostatecznym rachunku wynikać z zasobów technicznych i przemysłowych. Tego musimy poszukać, by wykryć ich słabe punkty.

Zapadło krótkie milczenie, zebrani przetrwali te uwagi. Kalens pomyślał o kombinacie atomowym, o którym dowiedział się Farnhill podczas swych na ogół bezpłodnych rozmów z nader przypadkowo dobranymi Chirończykami we Franklinie. Po sarkastycznej uwadze Borfonteina, że kompania wojskowych nieudaczników uzyskała lepsze kontakty z krajowcami niż dyplomaci, Kalens polecił Farnhillowi pospacerować poza ambasadą, by w ten sposób sprawdzić, czy przez przypadkowe kontakty i rozmowy nie uzyska się więcej.

– Tak... Wiem, co masz na myśli – powiedział Kalens, potwierdzając skinieniem głowy opinię Sterma. – Prawdę powiedziawszy, już rozpoczęliśmy sondaże po tej linii. – Zwrócił się do Farnhilla:

– Amery, opowiedz nam jeszcze raz o tym osiedlu na wybrzeżu.

– Port Norday?

– Tak... jakiś kombinat przemysłowy, prawda?

– Jest to scentralizowany, oparty na energii jądrowej zakład, którego moc zainstalowana pokrywa w praktyce potrzeby prawie całego tego rejonu, wytwarza również wielkie ilości różnych materiałów w całym systemie sprzężonych zakładów przetwórczych – poinformował zebranych Farnhill. – Główne produkty to metale surowe, chemikalia oraz energia elektryczna.

– Kto nim kieruje? – spytała Marcia Quarrey.

Zakłopotany Farnhill odpowiedział z zażenowaniem: – No, o ile mogłem się zorientować, większość funkcji kierowniczych sprawuje tam kobieta znana jako Kath... oczywiście biorąc pod uwagę zakres, w jakim ktokolwiek czymkolwiek tutaj kieruje. Ale nie spotkałem jej jeszcze.

– To by było na początek dobre miejsce – zaproponował Kalens Wellesleyowi.

Wellesley siedział zamyślony. – Zastanawiam się, czy Leighton Merrick i jego specjaliści potrafiliby pokierować czymś takim odrzekł zadumany. Po paru chwilach dodał szybko: – Oczywiście nie zaraz, ale kiedyś w przyszłości, o ile się da, zależnie od okoliczności. Dla pewności warto by dowiedzieć się czegoś więcej na ten temat.

– Nie mam pojęcia – odpowiedział Farnhill. – Musisz zapytać o to Merricka.

– Trzeba stworzyć możliwości, by tam mógł pojechać i rozejrzeć się – zgodził się Borfontein. – W jaki sposób można to najlepiej zorganizować?

Kalens nie podnosząc wzroku wzruszył ramionami. – Z tego co wiem na gnat panującej tu anarchii, wystarczy tam zatelefonować i dowiedzieć, że przyjeżdżamy.

– Może by zaproponować im wymianę wizyt dobrej woli podsunął Sterm. – W zamian możemy zaoferować, że pokażemy grupie ich techników wybrane fragmenty *Mayflowera II*. Dobrze będzie mieć uzasadniony pretekst.

– Coś w tym jest – zgodził się z rezerwą Wellesley. Obrzucił spojrzeniem zebranych przy stole. – Czy ktoś ma lepszy pomysł? Nikt nie miał. – Wobec tego wezwiemy tu Merricka i pogadamy z nim – orzekł Wellesley. Wyprostował się i oparł dłonie na krawędzi stołu. – Nadszedł stosowny moment na przerwę obiadową. Pisarzu, odnotuj przerwę w obradach. Powrócimy do nich za dziewięćdziesiąt minut. Skontaktuj się z Leightonem Merrickiem w Inżynierii i wezwij go do nas. Poproś go, by wziął ze sobą dwóch lub więcej swoich najzdolniejszych współpracowników. W razie jakichkolwiek przeszkód, zawiadom mnie natychmiast. Koniec.

– Przyjęte – odpowiedział komputer.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Pani Crayford, pulchna, ekstrawagancko ubrana żona wiceadmirała Crayforda, zastępcy dowódcy załogi *Maflowera II*, Slessora, zamknęła kasetę z nowym kompletem chirońskich srebrnych sztućców i dołączyła ją do stosu pudełek na stole obok fotela, na którym siedziała. W całym tym kramie znajdowało się między innymi trochę przepięknej biżuterii, intarsjowana miniaturowa komódka z wybitymi atlasem szufladkami na klejnoty, zestaw jednej wielkości figurek zwierzęcych, wyrzeźbionych w czymś podobnym do onyksu, oraz chirońska futrzana etola.

– Nie mam pojęcia, gdzie wreszcie zamieszkamy, ale jestem pewna, że to wszystko wzbogaci nasze otoczenie, gdziekolwiek to będzie. Czy nie sądzicie, że te srebra są zachwycające? Nigdy bym nie pomyślała, że taki niezwykle, nowoczesny model może wywierać wrażenie wręcz antycznej jakości. prawda? Muszę tam pójść jeszcze raz, za następnym pobylem we Franklinie. Widziałam tam zastawę stołową, która by doskonale do tego pasowała.

– To wszystko jest bardzo ładne – zgodziła się Weronika, wstając z fotela stojącego w obszernym salonie domu Kalensów w Dystrykcie Kolumbia. – Jestem pewna, że znajdziesz gdzieś coś cudownego.

Od pierwszych dni wyprawy *Mawflowera II* Weronika należała do najbliższych przyjaciółek Celi. W niektórych środowiskach zyskała sobie nieco wątpliwą reputację, nie tylko przez to, że była jedną z nielicznych rozwiedzionych kobiet, ale że i nadal pozostawała rozwiedziona. Z przyczyn, z których Celia sama nie bardzo zdawała sobie sprawę, właśnie dlatego Weronika stała się jej jeszcze bliższa jako przyjaciółka i powiernica.

– Nie ma na nic ceny – skomentowała sucho Celia ze swego fotela. Dosłownie tak było, ale pani Crayford nie uchwyciła ironii. Weronika rzuciła Celi ostrzegawcze spojrzenie.

– Rzeczywiście, rzeczywiście – zgodziła się z zachwytem pani Crayford. Potrząsnęła głową. – Pod pewnym względem wydaje się, że brać je, to prawie przestępstwo, ale... – westchnęła. Jestem pewna., że gdyby nie to, zostałyby zmarnowane. W końcu ci ludzie to zupełnie dzikusy, całkowicie niezdolne do doceniania prawdziwej wartości czegokolwiek.

Celia zacisnęła zęby, ale udało jej się nadal zachować spokój. Pani Crayford grzebała w swojej stercie pudełek.

– Och, och, nie wiem, czy nie powinnam w końcu zostawić tutaj części z nich i przysłać po nie później. Zupełnie nie wiem, jak mogłybyśmy je udźwignąć przez całą drogę tylko we dwójkę.

– Tak byłoby najlepiej – powiedziała Celia.

– Damy sobie radę – obiecała Weronika. – One są nieporęczne, ale wcale nie ciężkie. Zbyt się tym przejmujesz.

Pani Crayford spojrzała na czasomierz na domowym kompanelu. – No cóż, naprawdę muszę już ruszać. Ta wycieczka i wasze towarzystwo sprawiły mi wielką przyjemność. Musimy niebawem wybrać się jeszcze raz. – Dźwignęła się z miejsca i rozejrzała wokół. – Ale gdzież ja zostawiłam mój płaszcz?

– Powiesiłam go w holu – odpowiedziała wstając z miejsca Weronika. Ruszyła przed siebie i pierwsza przeszła przez drzwi, pani Crayford podreptała za nią.

– Celio, daj sobie spokój z odnoszeniem czegokolwiek dobiegł z daleka głos Weroniki. – Wróć po te rzeczy.

Celia usiadła, spojrzała na pudła i zaczęła się zastanawiać, co w tej całej sprawie tak ją

rozeźliło. Była pewna, znając tę kobietę od wielu lat, że nie można oczekiwać po pani Crayford niczego innego, jak bezmyślnego afiszowania się bogactwem, które teraz już nic nie znaczyło. To zaś, że ona sama uległa podobnej pokusie, też nie mogło być powodem, wzięła bowiem rzecz o wiele mniejszej wartości: jedną tylko niezbyt dużą rzeźbę, i to taką, którą sporządzono bez użycia metali szlachetnych ani drogich kamieni. Zwróciła głowę, by raz jeszcze się jej przyjrzeć – umieściła ją we wnęce przy narożnym oknie. Rzeźba przedstawiała głowy trojga dzieci: dwóch chłopców i dziewczynki, dziesięcio – , a może dwunastoletnich, patrzących w górę na coś przerażającego, ale jeszcze odległego, groźbę już dostrzeżoną, ale jeszcze nie bezpośrednią. Artyście udało się nie tylko oddać w ich oczach wyraz lęku, ale także nieuchwytny spokój i odwagę bynajmniej nie dziecięcą, co w zestawieniu z gładkością ich twarzy tworzyło wyraz dziwnej zadumy, urzekającej i zapadającej w pamięć. Sprzedawca we Franklinie powiedział im, iż rzeźbę wykonał piętnaście lat temu jeden z Założycieli. Celia podejrzewała, że sprzedawca sam był autorem, lecz nie zareagował on na jej aluzje na ten temat. Z jakich przyczyn wyraz twarzy tych dzieci zrobił na niej takie wrażenie? Czy biegłość artysty, któremu udało się, wykorzystując strukturę materiału, stworzyć wrażenie światła padającego z góry, spowodowała, że Celia czuła się, jakby znieważyla prawdziwe dzieło sztuki pozwalając, by wraz z innymi stało się jeszcze jednym przedmiotem chciwie pochwyconym, by się nim przechwalać?

Weronika wróciła do pokoju i zaczęła zbierać pudła pani Crayford. – W porządku, Celio, możesz się nie ruszać. Dam sobie radę.

Zauważyła minę Celi i uśmiechnęła się. Zniżyła głos do szeptu. Wiem, to okropne, prawda? Ale to przejściowe. Ona z tego wyjdzie.

– Mam nadzieję – mruknęła Celia.

Weronika, zbierająca się do wyjścia, zatrzymała się na chwilę. Zaczyna mi trochę brakować tego wyganiania z domu w środku nocy. Co się dzieje z twoim przystojnym sierżantem? Nie rzuciłaś go chyba?

Celia spojrzała na nią z wyrzutem. – Och, daj spokój... przecież wiesz, że to była tylko rozrywka. Nie widziałem go już dość dawno, ale wszyscy są teraz tacy zajęci. Czy rzuciłam? Może nie... ale kto to wie? – Celia odniosła wrażenie, że Weronika poruszyła ten temat nie przez zwykłą ciekawość. I okazało się, że miała rację.

– Ja też mam coś takiego – szepnęła Weronika wprost do ucha Celi.

– Co?

– Nowego kochanka. Co o tym sądzisz?

– Kogoś ze znajomych?

Weronika zagryzła wargi, tłumiąc chichot. – Chironczyka.

Celia szeroko otworzyła oczy. – Żartujesz!

– Ani trochę. Jest to architekt... i cudowny. Spotkałam go wczoraj we Franklinie i zostałam z nim na noc. To takie proste – oni tak się zachowują, jakby to było najnormalniejsze w świecie... I zupełnie nie mają zahamowań!

Celia gapiała się na nią oniemiała. Weronika mrugnęła i skinęła głową. – Naprawdę. Później ci opowiem. Muszę już iść.

– Ach ty dziwko! Natychmiast mi wszystko opowiedz zażądała Celia.

Weronika wybuchnęła śmiechem. – Uważaj na siebie, bo umrzesz z ciekawości. Zadzwoń wieczorem.

Wszyscy wyszli. Celia usiadła w fotelu i pogrążyła się w myślach. Po raz pierwszy od dwudziestu lat poczuła, że jest samotna, Ziemia zaś bardzo daleko. Jako młoda dziewczyna,

dorastająca w czasach wprowadzania Nowego Porządku w okresie odbudowy po Chudych Latach, zamknęła oczy na twarde realia polityczne i militarne dwudziestego pierwszego wieku, zatapiając się w lekturach historycznych i powieściach z okresu, gdy Ameryka była kolonią brytyjską. Być może dzięki swej wysokiej pozycji społecznej wyobrażała sobie samą siebie w rolach nowo przybyłych angielskich dam na bogatych plantacjach Wirginii czy obu Karolin, dam jeżdżących powozami, otoczonych służbą, mieszkających we dworach o kolumnowych gankach i przebierających w garderobach pełnych sukien na sobotnie bale w kręgu wytwornej elity. Te fantastyczne marzenia nigdy nie zbladły do końca i zapewne właśnie z tego powodu Howard stał się później jej naturalnym partnerem. Dla niego zaś Celia stała się ucieleśnieniem jego teorii i przekonań. W ciągu lat, które od tej chwili upłynęły, Celia w głębi duszy nieraz rozważała, czy dla niej samej Wyprawa Chirońska nie rysowała się wówczas jako możliwość urzeczywistnienia dziewczęcych snów na jawie, rojeń, które nie mogły spełnić się na Ziemi.

A może jej obecny niepokój był ostrzegawczym sygnałem podświadomości, która już zauważyła rysy na gmachu marzeń? Może był on skazany na zagładę, tylko jej świadomość nie chciała się z tym pogodzić? Czy, uczciwie mówiąc, w najtajniejszych zakątkach jej duszy nie zaczęła się rodzić pogarda dla Kalensa za to, że na wszystko się godzi? Na mocy milczącej umowy Celia ofiarowała mu dwadzieścia lat swego życia, ale czy Howard w tej chwili nie nadużywał jej zaufania, pozwalając, by to wszystko, co obiecywał bronić, zostało zagrożone przez niebezpieczeństwa, od których milcząco zobowiązał się ją ochraniać? Wszędzie wokół nich Ziemianie z gorączkowym pośpiechem wyrzekali się tego, co mieli, wytężając wszystkie siły, by przenieść nienaruszone przez kosmos na odległość czterech lat świetlnych – i z entuzjazmem przejmowali chiroński tryb życia. Dyrektoriat – a dla niej oznaczało to Howarda – nie robił nic, by się temu przeciwstawić. Przypomniała sobie uwagę Janet Schaw, która jako gość z Wielkiej Brytanii odwiedziła w 1763 roku Trzynaście Kolonii w Ameryce że zauważyła tam powszechnie panującą “najobrzydliwszą równość”. Bardzo dobrze określało to obecną sytuację.

Zdawszy sobie sprawę z biegu własnych myśli, Celia zdławiła łzy i spróbowała się opanować. Wiedziała, że albo stara się coś zracjonalizować, albo ukryć przed sobą. Howard wielokrotnie wracał do domu zły i rozgoryczony z posiedzeń, na których odrzucano jego żądania, by zastosować środki hamujące proces rozkładu. Robił co mógł, ale wpływ planety rozprzestrzeniał się coraz dalej.

Zrozumiała, że mąż służy jej tylko jako projekcja i personifikacja czegoś innego, czegoś, co wyrastało z jej największej głębi. To inne zaś, zaledwie odczuła jego istnienie, przekształcało się w wizję jej i Howarda, samotnych i nieugiętych, wepchniętych w ślepy zaułek, podczas gdy główny nurt płynął swoją drogą, obojętnie i lekceważąco. Po dwudziestu latach nie było przed nimi nic, prócz pustki i zapomnienia. Za jej wściekłością na Howarda kryła się gorzka prawda, że jej obrońca był równie bezsilny jak ona sama.

Teraz rozumiała, czemu Ziemia wydała jej się tak daleka. A także pojęła, co jej umysł w swej mądrości starał się przed nią ukryć i zasłonić. To był strach.

I z wolna uświadomiła sobie także, co wyrażały twarze trojga dzieci na chirońskiej rzeźbie, na które jej umysł nieświadomie zareagował. Twórca był więcej niż artystą, był mistrzem. Wyrażały także strach i to nie w sposób uchwytny świadomie, ale podprogowo, strach tajemnie wkradający się do duszy patrzącego przenikający do szpiku kości. Dlatego była tak wytracona z równowagi przez całą drogę z Franklina. Ale i to jeszcze nie było wszystko. Czuła jeszcze coś drgającego, na samym skraju świadomości, jeszcze głębiej, niż dotychczas dotarła. Znowu spojrzała na rzeźbę.

Przyglądając się, odkryła wreszcie, na co wylaniającego się z oddali i przerażającego czekały dzieci. Zrozumienie ścisnęło ją za gardło. Bo nawet piętnaście lat temu... to była właśnie ona – bo to

ona przybyła tu na *Mayflowerze II*. Pojęła wreszcie, że Chirończycy toczyli wojnę, a ta wojna skończy się dopiero wówczas, gdy albo oni sami, albo ci, których przysłano, by ich podbili, zostaną zniszczeni. Już przy pierwszym zetknięciu poczuła bezsilność własnego gatunku. Teraz odczuła ją znowu. Ostatnia zasłona skrywająca tajemnicę artysty opadła i ukazała na jedno mgnienie, głębiej niż drżenie lęku i niepokoju, coś o wiele potężniejszego i groźniejszego niż całe uzbrojenie *Mayflowera II* razem wzięte. Celia Kalens ujrzała własną zagładę.

Zerwała się z miejsca, chwyciła rzeźbę i drżącymi rękami wepchnęła do pudełka, a pudło wcisnęła do szafy najgłębiej, jak zdołała sięgnąć.

ROZDZIAŁ SZESNASTY

Port Norday położony był o jakieś dwadzieścia pięć mil na północ od Franklina, za najdalszym przylądkiem Zatoki Mandela, na skalistym odcinku wybrzeża, w które wrzynało się ujście rzeki, opływającej tu jedną dużą i kilka mniejszych wysp. W początkowym okresie istnienia kolonii, gdy Założyciele po raz pierwszy zaczęli opuszczać teren bary pierwotnej, by zbadać w pieszych wędrówkach jej okolice, ustalili, że miejsce to leży mniej więcej o dzień drogi na nordzie od Franklina. Stąd nazwa, jaką mu nadano.

Osiedle rozwinęło się stopniowo z budowli, które zaczęto tam stawiać pod koniec pierwszego dziesięciolecia istnienia kolonii na Chironie. W tym czasie Założyciele; wyciągając właściwe wnioski z niektórych swych doświadczeń we Franklinie, byli bardziej skłonni stosować się do upomnień, udzielanych bez ogródek przez maszyny. Powiedziały one: – Tutaj ma powstać zespół przemysłowy. Jeśli będziecie się do tego mieszać, działać nie zacznie. W rezultacie powstała miejscowość o porządnym, sprawnym, funkcjonalnym układzie, bliskim temu, co zakładali planiści Misji *Kuan-yin*, z modyfikacjami niezbędnymi z uwagi na miejscowe warunki. Prócz zakładów przemysłowych, do zespołu Norday należał port morski, terminal lotniczy i kosmiczny położony za wyspami, z którymi istniało połączenie systemem tuneli; wyższa szkoła techniczna oraz niewielka dzielnica mieszkaniowa, przeznaczona raczej dla osób, którym wygodniej było wykonywać krótko – lub średnioterminowe prace przebywając na miejscu, niż dla stałych mieszkańców. Niemniej połowa ludności miasta mieszkała tam już od lat. Okazało się bowiem, że Chironczycy przyjęli styl życia bardziej zorientowany na realizowanie zadań, niż na robienie karier zawodowych i często przenosili się z miejsca na miejsce, jeśli im to odpowiadało.

Wydajność zespołu została obliczona na podstawie długoterminowych prognoz popytu i o wiele przewyższała obecne zapotrzebowanie przemysłów, rozmieszczonych wokół niego. Podstawowym źródłem energii zespołu był zamknięty w pułapce magnetycznej reaktor termojądrowy, łączący w sobie elementy układów stworzonych w końcu poprzedniego stulecia: tokamaka, zwierciadlanego oraz "nierównego pierścienia". Odznaczał się wysoką sprawnością produkcji energii elektrycznej metodą szybkościowego przedmuchu wysokotemperaturowej, zjonizowanej plazmy przez szereg olbrzymich zwojów magnetohydrodynamicznych. Ponadto szybkie neutrony, obficie powstające w toku tego procesu, były wykorzystywane do przetwarzania litu na jeszcze więcej paliwa trytowe, wytwarzania rozszczepialnych izotopów uranu i plutonu z pierwiastków paliworodnych. uzyskiwanych w innej części kombinatu, oraz do "spalania" w drodze transmutacji jądrowej małych ilości odpadów radioaktywnych po materiałach rozszczepialnych, używanych w tym zespole. W ten sposób cykl paliwowy był całkowicie zamknięty i obejmował pełne przetwarzanie oraz ponowne wprowadzenie do obiegu produktów reaktora.

Po wykorzystaniu w procesie podstawowym, plazma miała jeszcze dość energii resztkowej, by dostarczać wysokotemperaturowego ciepła na potrzeby zakładu wytwarzającego wodór z wody morskiej drogą krakingu termicznego. Plazmę poprodukcyjną wykorzystywano również w zakładach wydobywczych i przetwórczych metali pierwotnych, w fabryce chemikalii oraz w zakładzie odsalania wody morskiej, który jeszcze nie był uruchomiony, ale przygotowywano go dla planowanych na najbliższe lata systemów irygacyjnych w głębi lądu.

Zakład wydobywający metale wykorzystywał będącą na miejscu do dyspozycji wysoką temperaturę reakcji termojądrowej dla przetwarzania wody morskiej, zwykłych kamieni i piasku oraz

wszelkich domowych i przemysłowych odpadów i śmieci na plazmę jonów pierwiastkowych o wysokich ładunkach, które następnie łatwo i dokładnie rozdzielano metodą magnetyczną; działało to jak spektrometr masowy o skali przemysłowej. W fabryce chemicznej wytwarzano takie związki, jak nawozy sztuczne, plastyki, oleje i paliwa oraz półprodukty dla całego szeregu zakładów podległych. Również i ta fabryka działała głównie na zasadzie rekombinacji substratów reakcji w stanie plazmy, metodą strojenia promieniowania plazmy w ten sposób, by tworzyło ono pik w wąskim paśmie częstotliwości, korzystnym dla tworzenia się pożądaných molekuł. Optymalizowało to wyniki końcowe bez nadmiaru niepożądanych produktów ubocznych i było o wiele sprawniejszą metodą, niż stosowanie szerokopasmowych źródeł ciepła tworzenia. Metoda plazmowa pozwalała na wyeliminowanie większości kadzi i wież destylacyjnych, stosowanych w starszych technologiach, a co więcej, pozwalała na przeprowadzenie reakcji tonażowych, które dawniej trwałyby całymi dniami i tygodniami, w przeciągu paru sekund i to bez użycia katalizatorów dla ich przyspieszenia.

Chirończycy eksperymentowali także z przesyłaniem energii wiązkami promieniowania mikrofalowego z Port Norday do sztucznych satelitów, dla jej ponownego przekazywania z orbity na powierzchnię tam, gdzie będzie potrzebna. Projekt ten był dopiero w swym początkowym stadium i nie wyszedł poza fazę badań; jeśliby zakończyły się one sukcesem, naziemna stacja energetyczna wykorzystująca tę technikę na skalę produkcyjną zostałaby zbudowana gdzie indziej.

Bernard Fallows był mocno zdziwiony, gdy zadzwonił Czang z potwierdzeniem, że Kath, matka jego przyjaciela Adama, zgodziła się zorganizować wizytę. Zdziwił się zaś jeszcze bardziej, gdy się okazało, że Kath nie jest młodszym technikiem ani niższym urzędnikiem kombinatu, lecz osobą odpowiedzialną za poważną część głównego procesu termojądrowego, choć nie udało się wyjaśnić, w jakim trybie uzgadniała swe czynności i kto dawał jej polecenia. A już najbardziej zadziwiające było to, że zgodziła się osobiście przyjąć Bernarda z Jayem i poświęcić im całą godzinę własnego czasu. Było wręcz nie do pomyślenia, by w rewanżu Leighton Merrick oprowadził Czanga i jego przyjaciół po dziale głównego napędu *Mayflowera II*. Prawda, że grupa Chirończyków miała się wkrótce udać pod opieką przewodników na zwiedzanie niektórych sekcji napędu statku, ale było to wynikiem oficjalnego zaproszenia fachowców i nie obejmowało ojców ani synów, którzy chcieliby odbyć prywatną wycieczkę. Być może – snuł domysły Bernard – potraktowano go w ten szczególny sposób z uwagi na jego pozycję pracownika inżynierskiego wyższej rangi, wyspecjalizowanego w technice termojądrowej.

Na Chironie nie istniało jednak pojęcie rangi ani statusu społecznego. Bernard był oczywiście świadkiem, jak wydawano i przyjmowano bez słowa polecenia, ale role w jakich ci ludzie występowali, zdawały się czysto funkcjonalne i mogły być bez trudności zamieniane zależnie od tego, kto był uznany za posiadającego najlepsze kwalifikacje do kierowania sprawą, którą właśnie załatwiano. Wydawało się również, że decyzje takie podejmowano na podstawie milczącego consensusu. Taki system Chirończycy w jakiś sobie znany sposób wypracowali bez kłótni, zawiści i konfliktów, które dla Bernarda byłyby nie do uniknięcia. O ile zdołał ustalić, nie istniała tu w ogóle żadna pionowa struktura hierarchiczna. Zaczynał podejrzewać, że na tym polegał system całej planety. Może więc było dziwne, że Dyrektoriat miał trudności z odnalezieniem jej rządu. Zadziwiające zaś było nie tylko to, że taki system istniał, ale że jak wszystko wskazywało – całkiem dobrze funkcjonował.

– Nadal jednak nie rozumiem polityki, która się za tym kryje powiedział dwojgu Chirończykom, którzy jemu i Jayowi towarzyszyli na lunch do baru samoobsługowego, położonego w gmachu administracyjnym naprzeciw budynku głównego reaktora. Jednym był młody Polinezyjczyk imieniem Nanook, który zajmował się urządzeniami sterowania; drugą nieco młodsza, blada blondynka

imieniem Juanita, która zajmowała się statystyką, prognozowaniem i – jak się zdawało – miała też dużo do czynienia ze sprawami ekonomicznymi zakładów. Sama Kath pożegnała się wcześniej, wyjaśniając, że oczekuje następnej grupy zwiedzających.

Bernard rozłożył ręce błagalnym gestem. – To znaczy... kto jest właścicielem tych zakładów? Kto decyduje o polityce kierowania nimi?

Chirończycy spojrzeli na siebie z niedowierzaniem. – Właścicielem? – powtórzyła Juanita. Z tonu jej głosu wynikało, że nie spotkała się jeszcze z takim pojęciem. – Nie jestem pewna, co masz na myśli. Chyba ludzie, którzy tu pracują.

– Ale kto decyduje o tym, kto tu ma pracować? Kto wyznacza ich na stanowiska?

– Oni sami. Jak mógłby to robić za nich ktoś inny?

– To przecież śmiechu warte! Co przeszkodzi zacząć wydawać rozkazy komukolwiek, kto wejdzie z ulicy?

– Nic – powiedziała Juanita. – Ale po co miałby to robić? Kto w ogóle zwróciłby na niego uwagę?

– No to w takim razie skąd się wszyscy dowiadują, czyje polecenia wypełniać? – zapytał Jay, nie mniej zdumiony niż jego ojciec.

– Bardzo szybko to odgadują – zapewniła Juanita, jakby to już wszystko wyjaśniało.

Weszli do baru, w którym panował dość duży ruch, gdyż zbliżało się południe, i siedli przy oknie z widokiem na parking awionetek, za którym wzdłuż bliższego brzegu rzeki biegła szosa. Ekran na końcu stołu ukazywał ilustrowane menu; równocześnie deklamując, co szef kuchni poleca tego dnia. Juanita podyktowała ekranowi zamówienie. Przed sąsiednią lożą robot na kółkach, który kończył wydawanie potraw, zamknął drzwiczki podawcze ogrzewanego pojemnika, stanowiącego górną część jego korpusu i odtoczył się dalej.

Bernard zdał sobie sprawę, że go nie rozumieją. – Weźmy na przykład Kath – powiedział, zwracając się do Nanooka. – Cała masa ludzi wydaje się tutaj uważać ją za... powiedzmy, w braku lepszego słowa, szefa... w każdym razie w ogromnym zakresie.

Nanook potwierdził skinieniem. – Zgadza się. Ja także, przez większość czasu.

– Dlatego, że ona wie, o czym mówi, prawda?

– Jasne. Nie wystarczy?

– No to załóżmy, że pojawi się ktoś inny, przekonany, że wie akurat tyle samo. Co będzie, jeśli połowa ludzi tutaj zgodzi się z nim, a druga nie? Kto zadecyduje? Jak rozwiążecie taką sprawę?

Nanook niezdecydowanie podrapał się w brodę. – Pomysł takiej sytuacji wygląda mi na bardzo naciągany – odpowiedział po chwili. – Nie wyobrażam sobie, by mógł się pojawić ktoś o takim samym doświadczeniu. Ale gdyby to się wydarzyło i gdyby to była prawda... to przypuszczam, że Kath zgodziłaby się z nim: Byłaby w takim właśnie stopniu zadłużona. I to byłoby decydujące w przypadku każdego innego.

Bernard gapił się na niego z jawnym niedowierzaniem. – Nie chcesz chyba powiedzieć, że ona by po prostu ustąpiła? Ależ to wariactwo!

Odpowiedź Nanooka była niezrozumiała: – Wszyscy musimy płacić nasze długi.

– Gdyby była tak głupia, by tego nie zrobić, to przede wszystkim nie byłoby jej tutaj – starała się wyjaśnić Juanita.

Ale to znów niczego nie wyjaśniało. Jay też nie mógł, się połapać. – Tak, byłoby pięknie, gdyby każdy człowiek na świecie myślał rozsądnie i racjonalnie w każdym momencie i na każdy temat. Ale to przecież niemożliwe. Chirończycy mają taki sam zestaw genów, jak wszyscy inni ludzie. Nie może więc tutaj istnieć coś zasadniczo odmiennego.

– Nigdy nie twierdziłem, że istnieje – odrzekł Nanook.

– A co z wariatami? – spytał Jay. – Co robicie z ludźmi, którzy upierają się, by być tak nierozsądni i nieznośni, jak tylko się da, po prostu dla draki?

– Mamy takich – przyznał Nanook. – Ale niewielu. Ludzie zwykle bardzo wcześnie uczą się, co jest mile widziane, a co nie. Bo wszyscy mają oczy, uszy i mózgi.

– Ale ciągle nie odpowiedzieliście Jayowi – upierał się Bernard, pokazując głową syna. – Co się stanie z ludźmi, którzy nie zechcą ich używać?

– Nie ma wielu takich – raz jeszcze powtórzył Nanook. Jeśli nie zmienią się, i to szybko, nie mają dużych szans przetrwania. – Juanita spojrzała na Bernarda, a potem na Jaya z zadowoleniem, że wszystko już jest jasne. Ale nie było.

– Dlaczego? Co się z nimi dzieje? – zapytał Bernard.

Nanook wahał się przez chwilę, jakby nie chciał wyjaśniając rzeczy oczywiste ryzykować, że obrazi rozmówców. Wzruszył ramionami.

– No cóż... zwykle kończy się na tym, że ich ktoś zastrzelił. – Więc naprawdę nie stwarza to problemów.

Przez chwilę Bernard i Jay byli zbyt osłupiali, by cokolwiek odpowiedzieć. – Ależ... to jest szaleństwo! – krzyknął w końcu Bernard. – Przecież nie możecie pozwalać, by każdy mógł zastrzelić kogokolwiek dlatego, że mu się nie podoba.

– A cóż innego można zrobić? – spytała Juanita.

– Tak długo, póki nie bierzesz sobie za cel obrzydzania innym życia, nic ci się nie stanie – zwrócił uwagę Nanook. – Więc to się zdarza nieczęsto. A jeśli się zdarzy... no to się zdarzy.

Po chwili milczenia Jay przyznał im rację. – Okay, rozumiem, że to może być dobry sposób na pozbycie się pojedynczego wyrodka tu i ówdzie. Ale co robicie, gdy zbierze się ich razem cała grupa?

– Przede wszystkim – jak mogą się zebrać, jeśli nawet jeden zdarza się bardzo rzadko? – spytała go Juanita. – Powiedzieliśmy ci już, że nie przetrwają długo.

– A poza tym w jakim celu taka grupa miałaby się w ogóle zebrać? – zapytał Nanook.

Jay wzruszył ramionami. – Jak sądzę, by osiągnąć to, po co szaleńcy zwykle popierają szalonych przywódców.

– Na przykład? – spytał Nanook.

Jay znowu wzruszył ramionami. – Może obronę?

– Przed czym?

Dobre pytanie, przyznał w duchu Jay. – Poczucie bezpieczeństwa? – zastanawiał się. – Wzbogacić się?... Cokolwiek.

– Bezpieczeństwo mają zapewnione wszyscy – oświadczył Nanook. – A jeśli nie są dość bogaci, w jaki sposób zwariowany przywódca może im to zapewnić?

Zirytowany Bernard zamachał rękami. – Och, do diabła, powiedzmy, że tylko dlatego, iż są zwykłymi szaleńcami. Że nie mają żadnych rozsądnych powodów. Mniejsza o to, z jakich przyczyn się biorą, załóżmy tylko, że tak się zdarzyło. Co wtedy zrobicie?

Nanook ciężko westchnął. – Od czasu do czasu, choć bardzo rzadko, coś takiego się zdarzało – wyznał wreszcie. – Ale to nie trwa nigdy długo. W końcu zbiera się jeszcze większa grupa i pozbywa się ich. Więc na jedno wychodzi – tak czy inaczej kończy się na tym, że zostają zabici.

Jay był zmartwiony, Bernard przerażony. – Przecież nie można pozwalać, by ludzie bezkarne dokonywali samosądów – upierał się inżynier. – Rozpętana przemoc... rządy motłochu... Bóg jeden wie, co jeszcze. To wprost dzikość, barbarzyństwo. Prędzej czy później będziecie musieli to zmienić.

– Mylisz się całkowicie – odrzekł Nanook, starając się lekkim uśmiechem uspokoić Bernarda. – Tak źle nie jest. Takie wypadki nie zdarzają się często; tylko zupełnie wyjątkowo. Po prostu niekiedy...

Juanita pojęła wreszcie, co maluje się na twarzach Bernarda i Jaya. – Czy chcecie powiedzieć, że nasze społeczeństwo jest bardziej brutalne i barbarzyńskie niż wasze? Nigdy nie mieliśmy wojny. Nigdy nie rzucaliśmy bomb na domy pełne ludzi, nie mających nic wspólnego z przedmiotem sporu. Nigdyśmy nie palili na stosach, nie torturowali, nie oślepiali ani nie odrąbywali rąk i nóg ludziom, którzy chcieli tylko żyć po swojemu i nie wyrządzali krzywdy innym. Nigdy nie zabiliśmy nikogo, kto nas do tego nie zmusił. Czy możesz powiedzieć to samo o was? Okay, nasz system nie jest doskonały. A wasz jest?

– A przynajmniej nie rozkazujemy innym ludziom, by brali ryzyko na siebie zamiast nas – dodał spokojnie Nanook, by rozładować atmosferę, Juanitę bowiem zaczynały ponosić emocje. – Ryzykują ci ludzie, którzy są przekonani, że to warto robić. Zdziwiająco często się okazuje, że nie warto bić się o coś, gdy wiesz, że to ty masz być tym, który się bije. – Pokiwał wolno głową. – Nie, takie rzeczy prawie się u nas nie zdarzają.

– I nic was nie obchodzi, gdy zaczynają się gromadzić fanatycy, którzy znajdują powody, dla których warto umierać? – spytał Jay.

– Fanatycy są łatwowiernymi durniami. Jeśli na tej planecie durnie nie zdołają się nauczyć albo nie potrafią trzymać się z dala, umierają młodo.

Robot – kelner podjechał do stołu i zaczął podawać potrawy, trajkocząc na temat doskonałej jakości steków i różnorodności deserów do wyboru. Bernard wyrzwał przez okno i zaczął się zastanawiać. Zauważył niedaleko od wjazdu na główny parking grupę stojących ludzi w odzieży koloru khaki. Zesztywniał ze zdumienia. Nosili mundury – mundury Armii Stanów Zjednoczonych. Wywnioskował z tego, że jakaś delegacja z *Mayflowera II* zwiedza zakłady i natychmiast przyszło mu na myśl, że mogą to być goście, do których odeszła Kath. Po chwili zwrócił się do Nanooka i zapytał:

– Czy wiesz coś, by jacyś inni ludzie ze statku mieli być tu dzisiaj?

Nanook zdziwił się nieco. – Oczywiście. Myślałem, że i ty o tym wiesz. Jest tu trochę osób z twojego działu, mają spotkanie z Kath i paru innymi.

– Mojego działu?

– Inżynierii. Przecież tam pracujesz, prawda?

Bernard nagle zmarszczył brwi. – Tak jest. I nic o tym nie wiedziałem. – Nagle zaczął pojmować, co to wszystko znaczy, i jego niepokój wzrósł. – Kto przyjechał?

– No, jest tam jeden generał i jeszcze paru z Annie – odpowiedziała po namyśle Juanita. – A z Inżynierii jest niejaki... Merrick, tak, Leighton Merrick. – Spojrzała na Nanooka. I jeszcze jakiś Walters... i jeszcze jeden gość...

– Hoskins – odpowiedział Nanook.

– Tak, Frank Hoskins – powiedziała Juanita. – A także ten zabawny człowiek, który wygłosił mowę i dał to przedstawienie na pokładzie *Kuan-yin* – kieruje tą grupą... Farnhill.

W miarę słuchania podejrzenia Bernarda przekształcały się w coraz silniejszy lęk. Walters i Hoskins byli mu równi stopniami i funkcjami. Mogło to oznaczać tylko jedno: że został z rozmysłem pominięty. Zamilkł i przez cały lunch prawie się nie odzywał, rozmyślając ze zdumieniem, co tu się, u diabła, dzieje.

– A ja się założę, że ona to robi – upierał się Stanisław. Wszystkie to robią. Carson zeszłej nocy robił to z dziewczyn w Canaveral.

– Kto tak twierdzi? – spytał Driscoll.

– On sam. Dziewczyna ma mieszkanie w mieście, zaraz naprzeciwko bazy.

– Carson nie miałby pojęcia, co z tym zrobić – prychnął szyderczo Driscoll. – On myśli że to jest do zabawy.

– Po prostu powtarzam, co facet powiedział.

– Och, w takim wypadku murowane, że to prawda. Dodaj jeszcze, że Swley jest daltonistą.

Stojący o parę kroków dalej Swley nie zwracał na nich uwagi. Stał wraz z Fullerem i Batesmanem, którzy wymieniali wrażenia na temat znanych im dotychczas jako najlepsze z barów we Franklinie i przyglądał się samolotowi, który powoli schodził do lądowania na wielkiej wyspie w ujściu rzeki. Swley nie przypuszczał, by na Chironie podróże nie były bezpłatne jak i wszystko inne i zastanawiał się, jakie połączenia lotnicze mogą istnieć w Port Norday do bardziej odległych okolic planety. Interesujące. Najprościej zapewne byłoby to sprawdzić pytając którykolwiek z chirońskich komputerów, jako że na Chironie, jak się zdawało, nikt nie robił szczególnych tajemnic na jakikolwiek temat.

Po przeciwnej stronie całej grupy stał oddalony o parę jardów Colman. Podobnie jak i inni zaczynał mieć tego wszystkiego dość. Było już późne popołudnie, a delegacja Farnhilla ciągle siedziała w środku, nie dając najmniejszego znaku, by sprawy ich tam zajmujące miały się ku końcowi. Oddziałowi rozkazano stać w szyku luźnym, co trochę ułatwiało sytuację, ale mimo wszystko zaczynało być nudno. Colman ciężko westchnął i któryś raz z kolei przespacerował się do rogu budynku, zatrzymał i zaczął się gapić na naziemną część zakładów. Driscoll i Stanisław nagle przerwali dyskusję nad życiem seksualnym Garsona, gdyż dwóch Chirończyków idących do głównego wejścia przystanąło po drodze koło nich.

Pomagało znosić nudę przynajmniej to, że mieszkańcy Chirona nie zachowywali się z rezerwą. Przed godziną czy dwiema Colman odbył z przyjemnością długą rozmowę z parą inżynierów nukleoników z kombinatu, którzy ku jego zdumieniu z chęcią odpowiadali na wszystkie pytania na ten temat. Nawet zaproponowali mu krótką wycieczkę po zakładzie. Wydało mu się to dziwne. Nie z powodu chirońskiej uprzejmości wobec każdego, bez względu na jego stopień czy stanowisko – do tego już się zaczął przyzwyczajać – ale dlatego, że bez najmniejszych wątpliwości jego rozmówcy nie gorzej niż on sam zdawali sobie sprawę z rygorów dyscypliny wojskowej. Ale z premedytacją zachowywali się tak, jakby wiedzieli mniej, niż wiedzą, a równocześnie byli zbyt bystrzy, by sądzić, że da on się na to nabrać. I tak było z Chirończykami przez cały czas. Jakiś człowiek w bazie Canaveral ni mniej ni więcej zaproponował Siroccowi miejsce w składzie geograficznej wyprawy badawczej, wiedząc, że Sirocco nie jest w stanie tego przyjąć. Im więcej Colman o tym rozmyślał, tym bardziej był przeświadczony, że zachowanie się Chirończyków nie mogło być tylko wynikiem łańcucha zbiegów okoliczności.

Komunikator przyczepiony na pasie głównym przekazał mu sygnał wezwania do Sirocca, odpoczywającego wraz z Hanlonem i paru innymi w chirońskim transporterze powietrznym, który przyleciał z Canaveral.

– Jak leci? – spytał Sirocco w odpowiedzi na zgłoszenie Colmana. – Czy wojsko już się buntuje?

– Narzeka, ale nie za dużo. Czy były wiadomości ze środka?

– Nadal żadnych. Czas, żebyś i ty odpoczął. Za parę minut wyjdę z Garsonem i Youngiem, by was złuzować. Powiedz Swleyowi i Driscollowi, by zeszli z posterunku wraz z tobą. Byli na

zewnątrz najdłużej ze wszystkich.

– Przyjąłem. Do zobaczenia za parę minut.

Gdy odkładał komunikator, za jego plecami żołnierze wydali stłumiony pomruk, przerwany jednym czy dwoma niemal niesłyszalnymi gwizdnięciami. Odwróciwszy się ujrzał, że przedmiotem ich podziwu była kobieta wychodząca przez główne wejście. Zatrzymała się na chwilę, rozejrzała, zobaczyła żołnierzy i podeszła do nich.

Miała dobrze ponad trzydzistkę – musiała więc należeć do Założycieli – i nosiła się z elegancją pełną godności, dumnie wyprostowana, lecz bez cienia wyniosłości. Blond włosy z żywym, ognistym odcieniem, który w świetle słonecznym wydawał się niemal pomarańczowy, opadały jej swobodnie na ramiona, twarz miała kształtną i energiczną, trochę przypominającą z rysów Celię Kalens, choć o bardziej dziewczęcym wyrazie, łagodniejszej linii nosa i podbródka oraz ustami, które zdawały się gotowe do spontanicznego uśmiechu. Była wysoka, raczej szczupła, ale pięknie zbudowana, ubrana w wytworny lecz niepretensjonalny kostium z rudoczerwonym przybraniem i spódniczkę ukazującą kształtne, mocno opalone łydki z mięśniami grającymi pod skórą przy każdym kroku.

Kobieta zatrzymała się i przez chwilę z zaciekawieniem obiegnęła wzrokiem ich twarze, żołnierze zaś pod jej spojrzeniem z zakłopotaniem prostowali się i szurali nogami.

– Jeśli idzie o nas, to naprawdę nie musicie stać tutaj na dworze – powiedziała. – Jeżeli chcecie, możecie wejść do środka. Może kawy albo coś do zjedzenia?

Colman podszedł bliżej i twarze żołnierzy odruchowo zwróciły się w ich stronę. Bezwiednie zaczął się uśmiechać.

– To piękna myśl, proszę pani, ale otrzymaliśmy rozkazy i musimy zostać tutaj. Niemniej – jesteśmy wdzięczni.

I nagle zmarszczył brwi. Znowu to samo. Przecież ona cholernie dobrze wiedziała, że muszą stać w tym miejscu.

Oczy kobiety przelotnie zatrzymały się na jego dystynkcjach.

– Czy pan nazywa się sierżant Colman, ten interesujący się sprawami inżynierii?

Zaskoczony Colman otworzył szeroko oczy.

– Tak, to ja. Ale jak...

– Słyszałam o tobie. – Mogła słyszeć tylko od dwóch Chirończyków, z którymi wcześniej rozmawiał. Dlaczego powtórzyli jej jego nazwisko? Kim była?

Podeszła bliżej i uśmiechnęła się.

– Nazywam się Kath. Mam coś wspólnego ze stroną techniczną tego, co się tutaj robi. Z tego co słyszałam, to miejsce powinno cię zainteresować. Może, gdy będziesz miał trochę wolnego czasu, miałbyś ochotę spotkać się z paru ludźmi stąd. Jeśli chcesz, mogę im o tym powiedzieć.

Colman nie posiadał się ze zdumienia. Potrząsnął głową, jakby chciał w ten sposób rozjaśnić myśli.

– Co... co pani tutaj właściwie robi?

Uśmiech Kath stał się figlarny, jakby rozbawiło ją jego zakłopotanie. – Och, ale byś się zdziwił.

Colman zmrużył oczy, ledwie słysząc zazdrosne pomruki za plecami. – No... jasne – powiedział ostrożnie. – Jeśliby to nikomu nie sprawiło kłopotu. Pewnie rozmawiała pani z tymi dwoma, którzy tu przedtem byli.

Kath potwierdziła skinieniem. – Wally i Sam. Rozmawialiśmy bardzo krótko, bo musiałam wracać do Farnhilla i reszty waszych ludzi, ale z tego, co opowiadali wynika, że znasz się całkiem dobrze na generatorach magnetohydrodynamicznych. Gdzie studiowałaś?

– Och, byłem przez pewien czas w Korpusie Inżynierii, a poza tym myślę, że podłapałem trochę wiadomości tu i tam. – Jeśli ona tam w środku rozmawiała z delegacją Farnhilla, to oczywiście musiała być czymś więcej niż zwykłą recepcjonistką. To po co, u diabła, wyszła na parking, by okazać uprzejmość żołnierzom?

– Ilu jeszcze inżynierów jest tutaj? – spytała niedbale, patrząc na resztę oddziału. Oczywiście była to forma nawiązania rozmowy, a nie pytanie na serio. Żołnierze poruszyli się niezręcznie i wymienili lękliwe spojrzenia, nie mogąc się zdecydować, czy mówi ona poważnie, czy tylko robi sobie z nich widowisko.

Ale Kath mówiła dalej tak swobodnie i naturalnie, że ich skrępowanie zaczęło z wolna ustępować. Zaczęła od pytań jak się im podoba Franklin i po dziesięciu minutach oczarowała ich zupełnie. Wkrótce wszyscy trajkotali jak dzieciaki na letnich wakacjach – włącznie ze zmiennikami, którzy nadeszli tymczasem z transportera. Ci, co mieli odpoczywać, jak widać, zapomnieli o tym. – Dzieje się tutaj coś bardzo dziwnego – powtórzył w duchu Colman.

Ledwie mignęła mu, widziana kątem oka, rozczochrana postać wyłaniająca się z głównego wejścia, gdy postać go rozpoznała i zatrzymała się zaskoczona. Zwróciło to uwagę Colmana, który odruchowo spojrzał w tym kierunku i zobaczył Jaya Fallowsa. Zanim któryś z nich zdążył cokolwiek powiedzieć, o kilka kroków z tyłu pojawił się Bernard Fallows, ujrzał Colmana i stanął jak wryty. Było za późno, by mógł się wycofać, a niemożliwe, by iść dalej. Minęło kilka niezręcznych sekund. Bernard okazywał wszelkie oznaki bolesnego ataku zażenowania i złego samopoczucia, z równoczesną ostrą niezdolnością zrobienia czegokolwiek, by je przezwyciężyć. Colman nie uważał, by miał najmniejszy obowiązek zrobienia pierwszego kroku. Wzrok Bernarda przesunął się od Colmana do Kath i Colman natychmiast zorientował się, że ci dwoje już się znają. Bernard miał minę, jakby chciał odezwać się do niej, a równocześnie nie mógł tego zrobić w obecności Colmana.

A wówczas Jay, który patrzył to na jednego, to na drugiego, podszedł do ojca i zaczął mu coś po cichu perswadować. Bernard zawahał się, znowu z ukosa spojrzał na Colmana, wziął głęboki oddech i z Jayem u boku zbliżył się niezdecydowanie.

– Dawnośmy się nie widzieli – wyjąkał. Jego wzrok uciekał na bok, aż wreszcie Fallows spojrzał Colmanowi wprost w oczy. Steve, wiesz, wtedy na statku w sali pomp, ja, eee, ja...

– Nie ma sprawy – przerwał Colman. – Każdemu mogło się zdarzyć. Dajmy sobie spokój z tym i z innymi bzdurami, które mamy za sobą.

Bernard z ulgą kiwnął głową, lecz zwracając się do Kath, która patrząc z ciekawością zbliżyła się do nich, nadal miał nieszczęśliwą minę. Wyglądało, że chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć.

Jay ze swej strony coraz lepiej przyswajał sobie chirońską bezpośredniość. – Interesują nas ci ludzie w środku – powiedział. – Szczególnie mego tatę. Dziwne, że mu o tym nic nie powiedziano.

Bernard drgnął zaskoczony, ale Kath ani nie obraziła się, ani zdziwiła.

– Przypuszczałam, że tak będzie – odpowiedziała, lekko skinąwszy głową. – Nanook mi o tym powiedział. – Spojrzała na Bernarda. – Nie mamy tu wielu tajemnic – dodała. – Farnhill powiedział, że to należy do planu wymiany wizyt, ale ta dymna zasłona jest dla nas zupełnie przezroczysta, o czym nie wie, bo nigdy o to nie pytał. Próbują robić rozpoznanie zakładów na wypadek, gdyby następnie zdecydowali się je przechwycić. Dlatego przyjechał z nimi twój szef, Merrick – by ocenić, czy jego inżynierowie potrafiliby nimi pokierować. Wybrał Waltersa i Hoskinsa jako przyszłych szefów, jeśli Dyrektoriat zdecyduje się na takie posunięcie.

Początkowe zaskoczenie Bernarda jej szczerością szybko ustąpiło uczuciu gorczy, gdy zdał sobie sprawę, że słowa Kath potwierdzają jego najgorsze obawy. Dotychczas uparcie trzymał się

resztek nadziei, że może fałszywie ocenił sytuację. Teraz, gdy nadzieja znikła, załamał się w widoczny sposób. Jay wbił wzrok w ziemię. Colman starał się wydusić z siebie jakiegokolwiek słowa.

Kath przez parę sekund przyglądała się im w milczeniu, ale równocześnie z jakiejś przyczyny zdawała się rozbawiona sytuacją. Spojrzenie Bernarda wyrażało niepewność zmieszaną z urazą.

– Sądzę, że wiem, o czym myślisz – powiedziała Kath. – Ale nie martw się o to. Farnhill ani Merrick nie będą tu nam rozkazywać. Hoskins nie ma żadnego poważnego doświadczenia z techniką wysokostrumieniową, Walters jest niezły, ale niedbały, gdy idzie o szczegóły. Jeśli ludzie stąd mieliby zaakceptować kogoś nowego, to tylko takiego, który znalazłby się na ich robocie i którego obecność nie wprowadziłaby nawet najmniejszego elementu ryzyka.

– Ale właściwie... co chcesz przez to powiedzieć? – zapytał Bernard podejrzliwie, a równocześnie nie wierząc własnym uszom.

Twarz Kath znowu rozjaśniła się szelmowskim uśmiechem. – To wszystko, co zamierzałam powiedzieć – odrzekła. – Przynajmniej w tej chwili. Po prostu sądziłam, że będzie ci przyjemnie to usłyszeć. Zwróciła się do Jaya zmieniając temat. – Czang opowiadał o tobie memu synowi Adamowi, Adam zaś twierdzi, że powinieneś wpaść do niego, Jay. Mieszka we Franklinie, czyli niedaleko. Mógłbyś to zrobić?

– Wspaniała myśl. Oczywiście wpadnę. Jak dowiedzieć się o drogę? Przez sieć?

– No, to już wiesz – uśmiechnęła się Kath.

Jay zerknął na Colmana, a później spojrzał w oczy Bernardowi. Świtała w nich nowa nadzieja, coraz silniejsza w miarę, jak zaczynał pojmować ukryte znaczenie słów Kath. Jay zawahał się, ale w końcu zdecydował, że ojciec jest we właściwym nastroju.

– Wiesz, tato, ta planeta jest niezbyt bezpieczna – powiedział grobowym głosem. – Wszędzie strzelają do ludzi, i tak dalej. Działając na własną rękę, mógłbym się wplątać w niebezpieczne sprawy. Jestem pewien, że byłbym znacznie spokojniejszy, gdybym miał fachową ochronę.

Bernard spojrzał na niego podejrzliwie. – Coś ty znowu wykombinował?

Jay wyszczerzył zęby z odrobiną zakłopotania. – Eeee... czybyś się bardzo wściekał, gdybym poprosił, by Steve poszedł tam ze mną?

– Jestem pewna, że Adam strasznie by się ucieszył – wtrąciła Kath. Rzuciła Bernardowi wyczekujące spojrzenie, zdolne stopić misę odrzutową *Mayflowera II*.

Bernard spojrzał na Kath, na Colmana, na Jaya i w końcu znowu na Colmana. Został pokonany i wiedział o tym. A po tajemniczym oświadczeniu Kath nie był skłonny spierać się zbyt mocno.

– Do licha, przecież nie jest aż tak źle. Nikt nie musi go pilnować, by nie został zastrzelony – odpowiedział. Jay zasmucił się, Bernard zaś kontynuował: – Ale, jak amen w pacierzu, trzeba, by ktoś trzymał go z dala od tych wszystkich dziewczyn, od których roi się miasto. – Kiwnął głową Colmanowi z krzywym uśmieszkiem. – Pilnuj go dobrze, Steve. To bardzo chytry chłopak. – A do syna zwrócił się zrezygnowany: – Ty zaś mruknał – wracaj do domu na czas i nie wygadaj się przed matką.

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Generał Johannes Borfontein kierował się prostą i praktyczną filozofią życiową: tylko ten coś ma, kto sam tego szuka, a jeśli trzeba – bierze. Nikt nie daje nikomu czegoś za nic i nikt nie utrzyma długo w rękach tego, czego nie będzie bronił. Ta gra nosi nazwę: Przetrawianie. Nie on ustalał jej reguły; zostały wpisane do praw przyrody na długo, nim pojawił się na świecie.

To bardzo ładne starać się być miłym i układnym wobec wszystkich – jeśli to skutkuje; ale w ostatecznym rachunku jedynym, co powodowało, że ludzie brali pod uwagę piękne słowa wymieniane nad stołem rokowań, była liczba dywizji oraz głowic atomowych, jakimi dysponowali – na poparcie słów. A gdy zawiodły wszystkie inne środki, jedynym sposobem obrony przez naród własnych interesów było: bronić ich siłą. Wtedy zaś największe szanse przetrwania dawało działanie na swoją korzyść w sposób totalny, przy użyciu wszelkich dostępnych sposobów; półśrodki prowadziły do zguby.

Koszty bezpośrednie, które należało płacić, były pożałowania godne, ale czy zdarzyło się, by przyroda dawała coś za darmo? A na dłuższą metę czy miało to jakiegokolwiek znaczenie? Sowietci stracili dwadzieścia milionów zabitych podczas II wojny światowej, a przecież o trzy czwarte wieku później byli zdolni walczyć w trzeciej. Stany Zjednoczone zaś w III wojnie światowej straciły około stu milionów, niemniej odzyskanie statusu mocarstwa zabrało im połowę tego czasu. W najlepszym razie sentymentalni politycy i wykolejeni idealiści nie doceniali zdolności regeneracyjnych rasy ludzkiej; w najgorszym zaś, kusząc agresora przynętą łatwej zdobyczy, przyspieszali te właśnie wojny, które potępiali. Czy Hitler tak radośnie rzuciłby się do szaleńczego podboju Europy, gdyby Chamberlain udając się do Monachium miał za sobą poparcie dziesięciu dywizjonów ciężkich bombowców na lotniskach za kanałem La Manche? A gdy politycy wyklepali już i zużyli zapas swoich komunałów, czy to w końcu nie generałowie zdobywali wszystko, co miało jakąkolwiek wartość dla historii?

Jak wszyscy dojrzały realisci, Borfontein pogodził się z godnym ubolewania faktem, że od czasu do czasu plany i posunięcia, które akceptował, powodowały zabijanie ludzi, częstokroć w okropnych męczarniach. Ale nauczył się “obiektywizować swój punkt widzenia” z bezstronnością, jakiej wymagał jego zawód. Przewidywaną liczbę zabitych w planowanej operacji analitycy podawali mu jako “Współczynnik Strat”, rannych zaś jako “Współczynnik Obniżenia Zdolności Bojowej”; miasto przeznaczone do spopielenia wraz z mieszkańcami określono jako “Wyznaczone”; teren zalany napalmem i poddany skoncentrowanemu bombardowaniu był obszarem “Ofensywnego Rozpoznania Walką”; zrównanie zaś z ziemią wioski jako ostrzeżenie przed udzielaniem schronienia powstańcom było “Działaniem Obronnym”. Taki był regulamin.

Jako major artylerii, ukończywszy zaledwie trzydzieści lat zorientował się, że sprawa Afryki Południowej jest ostatecznie przegrana. Wyemigrował więc, by zaofiarować swe usługi i doświadczenie rodzącemu się Nowemu Porządkowi Wielkiej Ameryki, gdzie weteranów doświadczonych w walce z ofensywami partyzanckimi i demonstracjami obywateli cywilnych usilnie poszukiwano, jako pomocnych w “renormalizacji” chaosu odziedziczonego po wojnie. Gdy szybko awansował w szeregach elity, której powierzono siły nowego narodu, Borfonteinowi na chwilę zaświtała wizja dowodzenia siłami zbrojnymi rzeczywiście zdolnymi rzucić na kolana cały świat. Ale marzenie wkrótce zgasło. Trafiła się nadzwyczajna okazja, gdy Azjaci – jedyni wówczas poważni rywale – rzucili się sobie do gardła w walce o supremację między Chinami i Japoną –

Indiami. Ale szansa umknęła, gdyż politycy zawahali się; zniknęła zaś na zawsze, gdy Chiny wzięły górę, czego wynikiem było utworzenie Federacji Wschodnioazjatyckiej. Po tym fakcie jedyną perspektywą na przyszłość stało się czołowe zderzenie między dwiema półkulami Ziemi i w jego następstwie – jeszcze więcej niechlubnych dziesięcioleci zamętu i nie rozstrzygających potyczek o resztki łupu. W ciągu jego życia nie pojawią się już więcej okoliczności, pozwalające na uruchomienie Wielkiego Planu. Opuścił więc Ziemię na pokładzie *Mayflowera II* w poszukiwaniu lepszej przyszłości. Było ironią losu – powtarzał sobie wielokrotnie – że porywczosć i niecierpliwość doprowadziły go do decyzji, która miała go unieruchomić na statku kosmicznym przez dwadzieścia lat.

Niecierpliwość ogarnęła go znowu, gdy siedział w apartamencie Williama Fulmire'a, Najwyższego Sędziego *Mayflowera II*, słuchając jak Howard Kalens i Marcia Quarrey debatują nad subtelnościami konstytucji Misji. Tymczasem na planecie żołnierze otwarcie fraternizowali się z prawdopodobnymi przyszłymi wrogami, w przestrzeni zaś, o dwa lata lotu za nimi, pojazd kosmiczny Federacji Wschodnioazjatyckiej był co dzień bliżej. Wiadomości z Ziemi mówiły o trójstronnym konflikcie, przewalającym się przez wschodnią Afrykę, gdzie narody murzyńskie walczyły z Arabami na północy i białymi na południu, armia australijska lądowała na Madagaskarze, Europejczycy rozpaczliwymi manewrami starali się ugasić pożar, FWA zaś z radością go podsycala. Te wiadomości już znacznie wcześniej dotarły do *Pagody*, jakie więc mogły być zamiary jej załogi, mógł się każdy domyślić. Nie był to właściwy moment, by zawracać sobie głowę dwuznaczną składnią i subtelnościami prawniczymi.

Chociaż sondaże opinii publicznej ciągle wykazywały, że ma poparcie znacznej większości, Kalens martwił się, że nawet jego szef rządu będzie musiał dzielić władzę z Kongresem Misji, co pozbawi go możliwości jednoosobowego kierownictwa, którego, jak był przekonany, sytuacja będzie wymagać. Tylko mocny przywódca z zakresem władzy umożliwiającym podejmowanie ostatecznych decyzji będzie miał szanse stawienia czoła pojawiającym się problemom; ale konstytucja *Mayflowera II* została zredagowana w sposób uniemożliwiający komukolwiek osiągnięcie takiej pozycji. Jej duch był anachronizmem odziedziczonym ze starożytności, gdy nowo utworzona Federacja Amerykańska szukała dróg zabezpieczenia się przed nawrotem kolonializmu i przyjęty system rządzenia całkiem skutecznie oddawał ówczesne nastroje. Stąd cały problem dzisiaj.

Jak oceniał Borfontein, Kalens poparty przez niego samego i wszystkie siły zbrojne, będzie miał pełnię władzy, jakiej będzie potrzebował – oczywiście pod warunkiem, że wygra nadchodzące wybory. Ale po rozmowie ze Stermem na ten temat Kalens zgodził się, że otwarta próba narzucenia Chironowi nowej władzy pociąga za sobą ryzyko zrażenia sobie ludności wyprawy. Sytuacja wymagała bardziej subtelniejszego podejścia.

– W ostatecznym rachunku ludzie instynktownie lgną do tego, co znane i swojski – wykladał Kalens po spotkaniu Borfonteinowi. – Jawne oparcie się na praworządności, jako przeciwwaga wobec bezprawia panującego na tej planecie, jest sposobem na utrzymanie spójności. Nie możemy tego narażać na uszczerbek.

Borfontein musiał się więc zgodzić, że zastosuje się do reguł gry, opartych na postanowieniach prawnych dotyczących nienormalnych okoliczności, związanych z dwudziestoletnią podróżą przez kosmos.

By umożliwić szybkie i skuteczne reagowanie w krytycznych sytuacjach, Dyrektor Misji miał prawo zawiesić procedury demokratyczne, których wyrazicielem była instytucja Kongresu, i przejąć wyłączną i pełną władzę na okres, jaki uznał za konieczny w istniejącej sytuacji. Chociaż intencją tych jego prerogatyw było ustępstwo na rzecz niewiadomych związanych z lotem międzygwiazdowym i

miały one moc tylko do momentu ukończenia podróży. Kalens interpretował je, sędzia Fulmire zaś potwierdził, że formalnie będą one pozostawać w mocy aż do końca kadencji Wellesleya. Powstał więc następujący problem prawny: czy prerogatywy takie mogą zostać rozciągnięte na każdego, kto będzie szefem następnego rządu; jeśli tak, kto był władny wpisać taką poprawkę do księgi zasad prawnych? Oczywiście mógłby to zrobić Kongres na swej plenarnej sesji. Ale Kongres nie zechce, ponieważ sprowadzałoby się to do uchwalenia końca własnego istnienia. Czy więc, biorąc pod uwagę wyjątkowe uprawnienia, jakimi dysponował i które formalnie biorąc nadal miały moc prawną, mógłby to zrobić Wellesley?

Kalens podtrzymywał tezę, że Wellesley mógł. Wykoncypowało to kilku prawników, z którymi rozmawiał poprzedniego dnia. Ale równocześnie prawnicy ostrzegli go, że ta kwestia musi zostać rozstrzygnięta orzeczeniem sądowym. Kalens przyszedł więc, by spróbować wysondować opinię Fulmire'a co do jego przyszłego wyroku, zanim sprawa zostanie wniesiona, dając przy tym sędziemu do zrozumienia, że jego przychylnie stanowisko nie będzie w przyszłości zapomniane. Próba spaliła na panewce w sposób wręcz spektakularny.

– Nie wezmę udziału w tego rodzaju szwindlach! – wrzasnął sędzia. – Wiesz doskonale, że jest to całkowicie niezgodne z prawem. Orzeczenie może nastąpić po normalnej rozprawie sądowej, i tylko po takiej rozprawie. I na tym koniec. To, o co prosisz, jest niewybaczalne.

– Nasi ludzie mają prawo oczekiwać ochrony ze strony legalnie ustanowionego porządku prawnego, a na tej planecie nie ma niczego podobnego – upierał się Kalens. – Myślałem, że etyka twojego zawodu wymaga, byś współdziałał ze wszystkim, co zmierza do jego ustanowienia. Przecież dokładnie taki jest sens tych postanowień.

– Wręcz przeciwnie, to prowadziłyby do wprowadzenia faktycznej dyktatury – ripostował Fulmire. – Stan prawny ustanowiony przy użyciu bezprawia nie może być legalny.

– Ale przecież już zgodziłeś się, że problem nielegalności nie istnieje – zwrócił uwagę Kalens. – Klauzula krytycznej sytuacji ma zastosowanie do chwili odbycia nowych wyborów.

– Ale Dyrektor nie dysponuje wyraźnie sformułowanym uprawnieniem przekazania tego przywileju swemu następcy powiedział Fulmire. – Nie staraj się wydusić ze mnie jakichkolwiek zobowiązań co do możliwego orzeczenia w tej sprawie. Byłoby w najwyższym stopniu bezprawne, gdybym przyznał sobie prawo dawania ci jakichkolwiek obietnic w tym zakresie. To samo dotyczy wszelkich działań, które w ich wyniku byś podjął. Powtarzam, że nie mam tu nic do dodania.

– Więc powołaj się na klauzulę zagrożonego bezpieczeństwa zaproponował Borfontein, wierząc się na fotelu, zmęczony całą aferą. – Istnieje zagrożenie bezpieczeństwa, prawda? Chirończycy wywołali je przez niestawiennictwo na wezwanie, a zagrożone jest nie tylko nasze bezpieczeństwo, ale i ich własne. *Pagoda* jest o dwa lata podróży. Ktoś musi przejąć kierownictwo tego wszystkiego.

Fulmire wskazał gestem na księgi i dokumenty rozłożone na biurku. – Klauzula bezpieczeństwa stanowi, że Kongres może uchwalić nadzwyczajne uprawnienia dla Dyrektoriatu w przypadku jawnego zagrożenia, a Dyrektoriat może przekazać je szefowi rządu dopiero, gdy Kongres przyzna takie uprawnienia. Klauzula nie upoważnia szefa rządu do przyznania takich uprawnień samemu sobie, a wobec tego nie może ich także przyznać swemu następcy.

Zapadło krótkie milczenie, sprawa stała w martwym punkcie. Marcia Quarrey odwróciła się od okna, przez które oglądała widok Dystryktu Kolumbia. – Zdawało mi się, że wcześniej powiedziałeś, iż istnieje paragraf zapewniający ciągłość nadzwyczajnych uprawnień, o ile wymagają tego względy bezpieczeństwa – powiedziała marszcząc brwi.

– Gdy dyskutowaliśmy nad paragrafem o Ciągłości Urzędu – odpowiedział Kalens.

Fulmire zastanawiał się przez chwilę, po czym pochylił w fotelu, by przejrzeć jeden z otwartych

podręczników. – To się znajduje w rozdziale "Krytyczna Sytuacja", a nie "Bezpieczeństwo" odpowiedział po chwili nie podnosząc wzroku. – Zgodnie z postanowieniami, dotyczącymi krytycznych sytuacji które mogłyby pojawić się podczas trwania podróży, Dyrektor może zawiesić działalność Kongresu po obwieszczeniu, że powstała sytuacja krytyczna.

– Tak, wiemy o tym – zgodziła się Quarrey. – Ale czy nie było tam czegoś na temat przeniesienia tych uprawnień na Zastępcę Dyrektora?

Fulmire pochylił głowę nad innym paragrafem, a po chwili niechętnie potwierdził. – Jeśli Dyrektor staje się niezdolnym do wykonywania funkcji, lub w inny sposób zostaje mu uniemożliwione jej sprawowanie, wówczas Zastępca Dyrektora automatycznie przejmuje wszelkie uprawnienia, które uprzednio przysługiwały Dyrektorowi – oświadczył.

Kalens poderwał się. – Gdyby więc Dyrektor już uprzednio zawiesił Kongres, czy ten stan prawny trwałby nadal pod rządami nowego Dyrektora? – Zastanowił się i dodał: – Jestem pewien, że tak musi być. Oczywiście celem jest zapewnienie właściwych środków zaradczych podczas trwania sytuacji krytycznej.

Fulmire zaniepokoił się, ale w końcu był zmuszony pogodzić się z tą interpretacją. – Ale – ostrzegł – taka sytuacja może powstać tylko wówczas, gdy już uprzednio została wprowadzona w życie klauzula stanu zagrożenia. W żadnym wypadku nie może się to odnosić do obecnie istniejących okoliczności.

– Nie sądziłem, że statek kosmiczny pełen uzbrojonych po zęby Azjatów, nadlatujący w naszym kierunku stanowi sytuację krytyczną? – zapytał sarkastycznie Borfontein.

– Wyłącznie Dyrektor ma uprawnienia do podjęcia co do tego decyzji – odpowiedział zimno Fulmire.

Dyskusja trwała jeszcze pewien czas nie czyniąc widocznych postępów, ale Kalens stał się mniej natarczywy i bardziej pogrążył się w myślach. W końcu goście wyszli. Fulmire zaś długo siedział przy biurku, wpatrując się w jego blat z wyrazem głębokiego niepokoju. Wreszcie włączył ponownie terminal komunikacyjny obok fotela, wyłączony uprzednio w odpowiedzi na prośbę Kalensa o "jedną czy dwie opinie, których wolałbym nie rejestrować".

– Z jakim działem? – zapytał terminal.

– Środków łączności – odpowiedział powoli Fulmire z wyrazem głębokiej troski na twarzy. – Zechciej znaleźć dla mnie Paula Lechata i połącz, jeśli jest wolny. Połączenie kanałem bezpodłuchowym.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

– Ciągłe nie mogę zrozumieć, co tych ludzi motywuje do działania – powiedział Colman do Hanlona, gdy szli wraz z Jayem do domu Adama. – Wygląda, że wszyscy pracują bardzo ciężko, ale czemu właściwie pracują, gdy nikt im nie płaci za nic?

Przejechał autokar. Kilku Chirończyków pomachało im z okien. – Chyba to niezupełnie jest tak – zauważył Jay. Kobieta, o której mówiłem, powiedziała Jerry'emu Pernakowi, że praca badawcza na uniwersytecie jest dobrze opłacana. To chyba musi coś znaczyć.

– No, na pewno nie jest opłacana w pieniądzech – zwrócił się Colman do Hanlona. – Co sądzisz, Bret?

Gdy Jay telefonował rano, Adam powiedział mu, by przyprowadził tyłu Ziemi, ilu będzie miał ochotę. Jay dostał połączenie z Colmanem do szkoły w Canaveral City, używanej przez Armię jako tymczasowe koszary, ale sierżant zaczął się tłumaczyć, że przeznaczył to popołudnie na inne zajęcia. W rzeczywistości chciał się dowiedzieć od chirońskich komputerów czegoś więcej o Port Norday. Niemniej, gdy Jay nadmienił, że będzie tam Kath z wizytą u swoich wnuków, Colman zmienił plany. W końcu przekonywał sam siebie – nie ma lepszego źródła informacji o Port Norday niż Kath. Ponieważ Hanlon miał dzień wolny od służby, Colman zaprosił również i jego.

– Myślę, że spodziewasz się odpowiedzi na twoje pytanie odrzekł Hanlon. – Dla mnie to wszystko jest kompletna abrakadabra... – Zwolnił kroku i pokazał głową w kierunku przeciwnej strony ulicy. – Tam właśnie masz faceta, którego powinieneś o to zapytać – podsunął.

Dwaj pozostali poszli za jego spojrzeniem i ujrzeli Chirończyka, ubranego w kombinezon i zielony kapelusz z czerwonym piórem, malującego dolną część ściany jednego z domów. Koło niego stała maszyna na nóżkach, z pękiem pojemników, zaworów i rur na jednym końcu; na drugim zaś jeżyły się wiertarki, piły i różne inne narzędzia dodatkowe. Przed domem parkował pojazd naziemny z wielocłonowym wysięgnikiem teleskopowym, podtrzymującym pomost roboczy. O kilka jardów z boku wysmarowany farbami robot z wyglądem ucznia o niewielkiej praktyce uważnie przyglądał się malarzowi. Chirończyk zdawał się mieć tyle samo lat, co każdy ze spotkanych dotychczas przez Colmana tubylców i miał brązową, ogorzałą twarz. Ale jeszcze bardziej zaintrygował Colmana sam dom, wybudowany na wzór mieszkań ziemskich sprzed stu lat z prawdziwego drewna, pomalowanego farbą olejną. Nie był to jedyny ze spotykanych we Franklinie anachronizmów, gdzie budowle według projektów liczących trzy wieki koegzystowały doskonale z wagonami maglewu i genetycznie zmodyfikowanymi roślinami. Ale Colman nie miał jeszcze okazji zapoznać się bliżej z takim zjawiskiem.

Malarz obejrzał się i zauważył, że jest obserwowany. – Piękny mamy dzień – rzucił, kontynuując pracę. Ściana, którą wykańczał, była gruntownie oczyszczona, wyszpachlowana, wypolerowana i zagruntowana, zostało wymienionych parę desek i zreperowany parapet okienny, wszystko gotowe do pomalowania. Robota ciesielska była dobra i czysta, wymienione części pasowały dokładnie. Malarz pracował powolnymi, odmierzonymi ruchami; gładko nakładał farbę, nie zostawiając smug po pędzlu czy nierównych miejsc. Trójka Ziemi przeszła przez ulicę i zatrzymała się na chwilę, by dokładniej przyjrzeć się pracującemu. – Dobrze to robisz – odezwał się wreszcie Hanlon.

– Miło mi, że tak sądzisz – odrzekł nie przerywając pracy malarz.

– To ładny dom – zauważył Hanlon po krótkiej przerwie.

– Taaa.

– Twój?

– Nii.

– Kogoś znajomego? – spytał Colman.

– Jakby. – To zdawało się coś wyjaśniać, póki malarz nie dodał: – Czy wszyscy trochę nie znają wszystkich?

Colman i Hanlon wymienili spojrzenia. Było jasne, że nie dowiedzą się niczego, jeśli nie spytają wprost. Hanlon wytarł dłonie o spodnie na biodrach. – My, aaa... nie chcemy być wścibscy, ani nic w tym rodzaju, ale pytamy z czystej ciekawości: czemu ty to malujesz? – zapytał.

– Bo to wymaga pomalowania.

– I co z tego? – nalegał Jay. – Co ci za różnica, czy czyjś dom wymaga pomalowania, czy nie?

– Jestem malarzem – odpowiedział mężczyzna przez ramię. Lubię dobrą robotę malarską. Jakimś mógłby być inny powód do robienia czegośkolwiek? – Cofnął się o krok, przyjrzał krytycznie wynikom własnej pracy, kiwnął twierdząco głową i wrzucił pędzel do otworu w swym samobieżnym warsztacie, gdzie uchwyciła go mechaniczna łapa i zaczęła płakać w rozpuszczalniku. – A znów ludzie, którzy tu mieszkają są hydraulikami, prowadzą bar w mieście, jeden z nich zaś uczy gry na tubie. Moja instalacja niekiedy potrzebuje naprawy, lubię od czasu do czasu wypić drinka na mieście, a któregoś dnia któreś z moich dzieci może zachcieć uczyć się gry na tubie. Oni naprawiają krany, ja maluję domy. Co w tym dziwnego?

Colman zmarszczył brwi, potarł ręką czoło i w końcu zrobił gest zniechęcenia. – Nieee... jakoś nie możemy się dogadać. Powiedzmy to inaczej – w jaki sposób możesz zmierzyć, ile kto jest komu winien?

Malarz podrapał się po nosie i wlepił wzrok w ziemię. Oczywiście było, że jest to dla niego nowe pojęcie.

– Skąd wiesz, że wykonałeś tyle pracy, ile trzeba? – odezwał się Jay, starając się ułatwić malarzowi zrozumienie.

Zapytany wzruszył ramionami. – Po prostu wiesz. Skąd wiesz, że zjadłeś tyle, ile trzeba?

– A jeśli różni ludzie są na ten temat różnego zdania? nalegał Colman.

Hanlon, usiłując zamknąć swoje sto i jeden sprzeciwów w paru słowach, oblizał wargi. – No i kto by pomyślał? Ale jak można w ogóle cokolwiek zrobić takim sposobem? A co przeszkodzi jakiemuś facetowi dojść do wniosku, że nie będzie nic robił, tylko opalał się na słończku?

Malarz, właśnie oglądający parapet okienny, do którego miał się wkrótce zabrać, miał niepewną minę. – To jest bezsensowne mruknął po chwili. – Po co ktoś miałby być biedny, kiedy nie musi? Takie zachowanie byłoby dziwaczne.

– Oczywiście nic by mu z tego nie przyszło – odrzekł z powątpiewaniem Jay. – To znaczy nie pozwolilibyście mu ot tak spacerować sobie i brać darmo wszystko, czego zechce, prawda?

– Czemu nie? – zdziwił się malarz. – Wszystkim byłoby przykro za takiego człowieka. Przynajmniej trzeba by się postarać, aby był należycie odżywiany i miał zapewnioną opiekę. Paru takich właśnie mamy i tak są traktowani. To skandal, że tacy się zdarzają, ale co można z nimi zrobić?

– Nie zrozumiałeś mnie – powiedział Jay. – Wielu ludzi na Ziemi uważałoby takie zachowanie za cel życia.

Malarz przyglądał mu się przez chwilę i powoli skinął głową. Mhmmm... Ano, wykombinowałem sobie, że tak by u was było odpowiedział.

W pięć minut później trzech Ziemiaków skręciło za róg i zaczęło posuwać się wzdłuż strumienia po ścieżce prowadzącej do domu Adama. Od momentu pożegnania z malarzem pograżyli się w myślach i zamienili niewiele słów. Po krótkiej chwili Jay zwolnił kroku i zatrzymał się, zagapiwszy na grupę wysokich chirońskich drzew, stojących po drugiej stronie strumienia w otoczeniu dobrze znanych mu i oczywiście importowanych wiązów i klonów – zmodyfikowanych genetycznie przez roboty z *Kuan-yin*, by mogły rosnąć na obcej ziemi. Obaj sierzanci zaczęli, a po chwili skierowali ciekawe spojrzenia za wzrokiem Jaya.

Pnie chirońskich drzew pokrywały szorskie, dachówkowato ułożone tarcze, bardziej przypominające łuski gadów niż korę; gałęzie zaś, zebrane w baldachy przy wierzchołku, wygięte w górę i na zewnątrz, w sposób trochę przypominający kalifornijskie sekwoje, podtrzymywały kopulasto sklepienie masy liści na kształt kapeluszy gigantycznych grzybów. Listowie u podstawy kopał było zielone, lecz ku górze stawało się stopniowo coraz bardziej żółte, koło czubków zaś kilka latających zwierząt futerkowych wielkości kotów krążyło powolnym, leniwym ruchem, świergocąc między sobą nieustannie.

– Nigdy byście się nie domyślili, ale to żółte tam w górze wcale nie jest częścią tych drzew – powiedział, wskazując ręką, Jay. Jeeves opowiedział mi o tym. To zupełnie odrębny gatunek rodzaj paproci. Jego zarodniki wnikają do pędów, gdy drzewa zaczynają rosnąć, przez całe lata pozostają w stanie uśpienia, drzewa zaś rosną dalej i bezpłatnie wynoszą je w górę, ku słońcu. Wtedy paproć atakuje pączki liściowe i czerpie pożywienie z soków krążących w systemie naczyniowym rośliny.

– Mmmm... – mruknął Colman. Nie miał pojęcia o botanice.

Hanlon starał się okazać zainteresowanie, ale jego myśli nadal zaprzętała osoba malarza. Po kilku chwilach spojrzał na Colmana. – Wiesz, pomyślałem sobie, że ludzie, którym tam na Ziemi by zazdroszczono, tutaj są traktowani w podobny sposób, jak my traktujemy wariatów. Czy sądzisz, że dla Chirończyków my wszyscy jesteśmy obłąkami?

– To jest myśl – odpowiedział dwuznacznie Colman. Podczas rozmowy z malarzem doszedł do podobnego wniosku. Zaczynał łąpać kontakt z rzeczywistością.

Przez drzwi między kuchnią i salonem doleciał odgłos upadku czegoś kruchej na podłogę i brzęk rozbijanej porcelany. Adam rozwalony na końcu kanapy w wykuszu pod wielkim oknem, cicho jęknął. Miał około dwudziestu pięciu lat, ale wyglądał na znacznie starszego, niż spodziewał się Colman. Był chudy i żylasty, twarz miał wyrazistą, co jeszcze podkreślały błyszczące ciemne oczy; wąską, starannie przyciętą brodę i falujące czarne włosy. Ubrany był w koszulę w szkocką kratę z przewagą czerwieni i jasnoniebieskie dzinsy, co umacniało wrażenie, jakie odniósł na jego temat Colman: człowieka łączącego lekceważącą postawę wobec materialnych aspektów życia z namiętnym oddaniem się pracy umysłowej.

W parę chwil później domowy robot Kulas – niezbędny element w każdym miejscu na Chironie, gdzie znajdowały się dzieci ukazał się w progu. – Wyślizgnęło się – oświadczył. – Przepraszam, szefie. Nadałem polecenie przysłania zamiany.

Adam z rezygnacją machnął ręką. – Okay, okay. Nie musisz się kajać. A co, może by tak posprzątać?

– O, tak. Powinienem być o tym pomyśleć. – Kulas zrobił w tył zwrot i chwiejnie podążył do kuchni. Doleciał odgłos otwierania drzwi i gmerania w schowku, z którego coś wyciągano.

– Czy on często tak robi? – zapytał Colman z głębin fotela, który godzinę temu w związku z ich przybyciem został uwolniony ze stosu leżących na nim książek oraz wypchanych ptaków.

– To jest szmelc – powiedział Adam znużonym tonem. – Ma gdzieś nawalone obwody wizualne... czy coś w tym rodzaju. Nie znam się.

– Nie możesz dać go naprawić? – spytał Colman.

Adam machnął ręką. – Dzieci się nie zgadzają! Mówią, że to już nie byłoby to samo. Co można zrobić?

– Nie pozwolimy mu na to, prawda? – zwróciła się Kath do dziesięcioletniego Bobby'ego i ośmioletniej Susie, siedzących z nią na drugim końcu pokoju i pogrążonych w trudnym zadaniu opanowywania reguł gry w szachy. – Połowa przyjemności z przychodzenia tutaj bierze się z obecności Kulasa.

– Ale ty nie musisz z nim mieszkać, matko – odpowiedział Adam.

Przez okno doleciały głosy ludzkie z położonego za domem pasa zalesionego terenu. Hanlon i Jay poszli tam w towarzystwie drugiego syna Adama, jedenastoletniego Tima i jego dziewczyny, by obejrzeć co nieco z chirońskiej zwierzyny. Tim był znawcą tych spraw, niewątpliwie odziedziczywszy zainteresowania po Adamie, specjalizującym się w biologii i geologii i spędzającym wiele czasu na podróżach po planecie, zwykle w towarzystwie trójki swych dzieci.

A przynajmniej tej trójki, która z nim mieszkała. Adam miał jeszcze dwoje z Pam, dawniejszą "współtowarzyszką", mieszkającą teraz w jakiejś bazie arktycznej daleko na pomocy Selene. Mieszkał tam również ojciec Adama, który kilka lat wcześniej rozstał się z Kath. Obecna partnerka Adama, Barbara, odleciała na dwa tygodnie z wizytą do bazy arktycznej i wzięła ze sobą córkę swoją, ale nie Adama – która mieszkała wraz z nimi we Franklinie. Barbara miała także zamiar odwiedzić Pam i dwoje dzieci, które miał z nią Adam, ponieważ Barbara i Pam były dobrymi przyjaciółkami. Wynikało z tego, że na Chironie nie było instytucji małżeństwa ani czegoś podobnego i nie liczono na monogamiczne ani trwałe wiązanie się poszczególnych jednostek – ani też na przestrzeganie przez nie jakichkolwiek wzorców zachowania w tym zakresie.

Gdy Hanlon wyraził wątpliwości co do słuszności takiej postawy, Adam nie wyglądał na szczególnie zdziwionego. Odpowiedział tylko, że na Chironie sprawy osobiste są uważane za osobiste.

Niektóre pary mogą zdecydować się na trwałe związanie ze sobą i swymi rodzinami, inne nie, ale ani społeczeństwo, ani ktokolwiek inny nie miał prawa wypowiadać się na ten temat. Jeśli zaś idzie o jego zdanie – oświadczył Adam – pomyśl, że ktokolwiek mógłby orzekać o standardach moralnych dla innych ludzi, a tym bardziej próbować je narzucać w drodze ustawowej, jest "nieprzyzwoity".

Adam – ku zdziwieniu Ziemiaków – miał również starszą siostrę, która była projektantką instrumentów nawigacyjnych dla statków kosmicznych w zakładach leżących w głębi Półwyspu, oraz brata bliźniaka, który był architektem i – jak dochodziły wieści zaprzyjaźnił się z wesołą, rudowłosą dziewczyną z *Mayflowera II*, której Colman nie potrafił zidentyfikować. Adam miał też młodszą siostrę, która mieszkała z dwiema innymi nastolatkami gdzieś we Franklinie oraz brata przyrodniego, który jednak nie był synem Kath i mieszkał z ich ojcem na Selene. Bardzo to było powikłane.

– Ale czy taki stan rzeczy nie odbija się potem na dzieciach? spytał zażenowany Hanlon.

– Nie tak bardzo, jak zamknięcie w pudle z parą ludzi, którzy nie mogą znieść się nawzajem – odpowiedział Adam. – A zresztą, co by to miało za sens, gdy dzieci mają poza domem rodzinę, liczącą sto tysięcy osób?

– Umieramy z ciekawości, by poznać twoją siostrę, Jay powiedziała dziewczyna Tima, siedząc między swym chłopcem i Adamem i trzymając obu pod rękę.

– Jej matka też umiera – odparł sucho Jay.

Colman wciągnął Adama w rozmowę o jego pracy i w ogóle o fizycznym i biologicznym środowisku planety. Chiron był w mniej więcej tym samym wieku co Ziemia, gdyż został utworzony wraz z gwiazdą macierzystą przez tę samą falę uderzeniową, która przyspieszyła kondensację Słońca i jego sąsiadów z chmury gazu międzygwiazdowego.

– Ciekawe – powiedział Adam – że ciała ludzi obecnie rodzących się na Chironie i na Ziemi zawierają takie same ciężkie pierwiastki, które utworzyły się w tej samej gwiazdzie pierwszej generacji – tej właśnie, która wywołała falę uderzeniową, gdy wybuchła jako supernowa. Mogliśmy się urodzić oddaleni o lata świetlne – dodał – ale nasze ciała zbudowane są z materii, pochodzącej z tego samego źródła.

Powierzchnia Chirona została uformowana przez takie same procesy tektoniczne, które ukształtowały powierzchnię Ziemi, i uczeni chirońscy zrekonstruowali większość dziejów ruchu jego kontynentów, procesów górotwórczych, osadowych, wulkanicznych i erozji. Podobnie jak Ziemia, Chiron posiadał pole magnetyczne, które okresowo odwracało swą biegunowość i zapisało w zrozumiały sposób swe dzieje w ruchomych dnach oceanów, w miarę jak podnosiły się one do góry i ochładzały, wypiętrzając się z grzbietów podmorskich. Skomplikowany cykl pływowy, wynikający z posiadania przez Chirona dwóch satelitów, został rozszyfrowany i na jego podstawie odtworzono historię dawnych periodycznych powodzi oceanicznych, analiza sejsmizmu planetarnego zaś pozwoliła na nakreślenie planu jego sieci aktywnych uskoku odkształcających i stref nieciągłości, wzdłuż których znajdowała się większość wulkanów i pasów trzęsień ziemi.

Najciekawszą formą zwierzęcą był gatunek stworzenia podobnego do małej człekokształtnej, z pewnymi cechami kocimi. Zamieszkiwał on region na północ od Occideny i był znany jako "monkity" – nazwa utworzona przez Założycieli, gdy byli jeszcze dziećmi na pokładzie *Kuan-yin* i obejrzeni pierwsze ich obrazy, przesłane przez sondy badawcze statku. Monkity były wszystkożerne, choć wyewoluowały z czystych mięsożerców, miały wysoko rozwinięty system społeczny i zaczynały eksperymentować z wytwarzaniem pierwszych prostych narzędzi ręcznych. Chirończycy obserwowali je z zainteresowaniem, ale przede wszystkim starali się nie wtrącać do nich, chyba że zostali zaatakowani, co obecnie zdarzało się rzadko, gdyż monkity niezmiernie źle na tym wychodziły. Inną formą życia, w oczywisty sposób niebezpieczną, były daskrendy, o których Jay już opowiadał Colmanowi, różne jadowite gady i duże owady. Zamieszkiwały one głównie południowe regiony Seleny i cieśniny łączącej ją z Terranową, chociaż niektóre rodzaje posunęły się aż po Morze Śródchirońskie. Dalej latający ssak z Artemii, o zabójczych pazurach i zębatym dziobie, który pikował z lotu na wszystko, co dostrzegł, oraz duży wybór drapieżników typu kociego, psiego i niedźwiedziego, które w mniejszym lub większym stopniu nawiedzały części wszystkich czterech kontynentów.

Colman przypomniał sobie, co Jay opowiadał mu o chirońskim zwyczaju wychodzenia poza osiedla zawsze z bronią i domyślił się, że pochodzi on z czasów, gdy Założyciele po raz pierwszy ośmielili się wyjść poza bazy. Wiedząc, jak zachowują się tu dzieci, Colman doszedł do wniosku, że wszystko to musiało się zdarzyć, zanim bardziej podrosły, co oznaczało, że nauczyły się wcześniej dawać sobie radę w życiu, niezależnie od tego, czy zajmowały się nimi maszyny czy nie. Zapewne wszystko to decydująco wpłynęło na ukształtowanie poczucia niezależności i poleganie na samym sobie, tak widoczne wśród Chirończyków.

– A jakże mogłoby być inaczej? – spytał Adam, gdy Colman zagadnął go na ten temat. – Oczywiście musieli nauczyć się strzelać. Wiesz, jakie są dzieci. Maszyny nie mogą być równocześnie we wszystkich miejscach. Spytaj o to moją matkę, nie mnie.

Kath posłała mu uśmiech przez szerokość pokoju. – Należałam do pierwszej stworzonej grupy.

Była nas setka. Leon – to jest ojciec Adama – też do nas należał. Nazywaliśmy maszynę, która uczyła nas strzelania, Mickey Mouse, ponieważ miała czujniki obrazowe wyglądające jak wielkie czarne uszy. Zastrzeliłam daskrenda, gdy miałam sześć lat... a może mniej. Wyskoczył na Leona spod skały, dlatego satelity wcześniej go nie wykryły. Leon do dziś kuleje z tego powodu. – Zachichotała cicho. – Biedny Leon. przypomina mi Kulasa.

Słuchając tego Colman na moment szeroko otworzył octy. Nigdy o tym nie pomyślałem – przyznał się. – Ale mam wrażenie... tak, musiało być właśnie tak. Wasze dzieci dzisiejsze nie zmieniły się tak bardzo od tego czasu.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytała Kath.

Colman wzruszył ramionami i bezwiednie skinął głową w stronę Bobby'ego i Susie. – Mają głowy na karkach, mają zaufanie do własnych rozumów i opierają się na własnych ocenach. To dobrze.

– No to przyjemnie mi, że przynajmniej jeden Ziemianin jest tego zdania – powiedział Bobby. – Ten człowiek, który wtedy opowiadał w mieście o czymś tam niewidzialnym w niebie i twierdził, że niedobrze jest mieć dzieci, był innego zdania. Mówił, że gdy umrzemy, będziemy wiecznie cierpieli. Skąd on to może wiedzieć? Nigdy nie był umarłym. To było absurdalne.

– Spotkałam na rynku kobietę, która opowiadała, że umarli z nią rozmawiają – powiedziała do niego Susie. – To jeszcze większe głupstwo.

– Chyba nie wszyscy Ziemianie są tacy, prawda? – rzekł Bobby, patrząc z nadzieją na Colmana.

– Jestem przekonany, że nie wszyscy – odpowiedział Colman z uśmiechem. Zwrócił się do Adama i Kath. – Wy tutaj... eee... wy tu nie macie żadnej religii, o ile mi wiadomo, w każdym razie nic takiego nie widziałem. Mam rację? – Wyrósłszy w warunkach, w których religię musiał uznać za część składową życia, nie mógł tego nie zauważyć na Chironie.

Adam zastanawiał się nad odpowiedzią przez dłuższy czas. Nie... – odrzekł na koniec powoli. – Na tym ziarnku kurzu zanurzonym gdzieś w gazie galaktycznym, jesteśmy zdani sami na siebie. Wynajdywanie aniołów stróżów, by dotrzymywały nam towarzystwa, nie zmieni tego faktu. Czy damy sobie radę czy nie, zależy od nas. Jeśli zawalimy sprawę, wszechświat nie odczuje naszej nieobecności.

Przerwał, by przyjrzeć się, jak przyjmuje to Colman, po czym kontynuował: – To nie znaczy, że z tego powodu odczuwamy chłód i samotność. Prawda, oznacza to, że musimy sobie dawać radę baz żadnych wielkich nadnaturalnych braci, którzy dla nas kierowaliby przyrodą i rozwiązywali nasze problemy, ale czy na tym tracimy, jeśli oni i tak nie istnieją? Z drugiej strony nie musimy obawiać się wszystkich nonsensów, które wymyślono wraz z nimi. Oznacza to więc, że mamy całkowitą wolność podejmowania decyzji co do naszych losów i ufania własnemu rozsądkowi. Nie jest to aż takie złe samopoczucie, jak sądzę.

Colman zawahał się na chwilę, porównując filozofię Adama z dogmatami; które przyzwyczylił się słyszeć. – Ja, aaa... ja znam parę osób, które orzekłyby, że brzmi to nader arogancko.

– Arogancko? – Adam uśmiechnął się do siebie. – Tacy są raczej ludzie, którzy są pewni, że "wiedzą", nie ja. Ja po prostu staram się najlepiej interpretować fakty, które mi są dostępne. Zastanawiał się przez chwilę dłużej. – A w każdym razie arogancja i duma to są dwie różne rzeczy. Na pewno jestem dumny z tego, że jestem człowiekiem.

– Oni by też powiedzieli, że skromność jest większą cnotą rzekł Colman.

– Bo jest – zgodził się chętnie Adam. – Ale skromność i samoponížanie się to też dwie różne rzeczy.

Colman bezwiednie zerknął na Kath, chcąc poznać jej zdanie. – Jeśli masz na myśli system

wierzeń oparty, mimo powierzchownych pozorów, że jest przeciwnie, na chorobliwej obsesji śmierci, nienawiści, rozkładu, dehumanizacji i upokorzenia, to odpowiedź moja na twoje pytanie brzmi: "Nie" – powiedziała, patrząc na Colmana. Rzuciła okiem na swe wnuki. – Ale jeśli poświęcenie się życiu, miłości, rośnięciu, osiągnięciom i potędze ludzkiej twórczości odpowiada twojej definicji, wtedy odpowiedź brzmi: "Tak, Chiron ma swoją religię".

Gdy Hanlon i reszta towarzystwa powrócili ze spaceru, wszyscy już byli głodni, Kath i Susie zaś postanowiły obejść się bez usług automatycznego kuchmistrza i przeprowadzić eksperyment w zakresie staromodnej sztuki gotowania, nie posługując się niczym więcej, jak mikserem, mieszadłem, krajarką, obieraczką, samoregulującym się piecykiem i własnymi gołymi rękami. Wynik jednomyślnie został uznany za sukces. Podczas posiłku Ziemianie mówili głównie o wartych zapamiętania wydarzeniach z okresu podróży, Kath zaś starała się dowiedzieć czegoś więcej o systemie napędowym *Mayflowera II*, przygotowując się do wycieczki na pokład, w której miała wziąć udział w składzie chirońskiej delegacji. Colman doszedł jednak do wniosku, że niewiele więcej może dodać do wiadomości, które Kath już na ten temat zebrała.

Powstało więc zagadnienie, co robić z resztą wieczoru.

– Tim opowiadał nam o szkole przysposobienia wojskowego, do której chodzi ze swoją młodą damą – powiedział Hanlon. Wydaje mi się, że to coś ciekawego. Podejrzewam, że i Jay wzdycha, żeby tam rzucić okiem, ja zaś sądzę, że poszedłbym wraz z nim.

– Bret jest w wojsku instruktorem walki wręcz – wyjaśnił Tim.

Adam przeprosił, że nie będzie im towarzyszył, ponieważ ma robotę do wykonania, a Bobby i Susie szykowali się do obejrzenia komedii muzycznej, którą miano niedaleko stamtąd dawać tego wieczoru. Colman przypuszczał, że Kath z nimi nie pójdzie, musiałyby więc zagrać w orła i reszkę, by zdecydować, które z widowisk wybrać. Ale ku jego zdumieniu zaproponowała zamiast tego, by poszli gdzieś we dwoje na drinka. Wyjaśniła szeptem: Bo ja już widziałam to niezliczoną ilość razy. – Kimże jestem, by odrzucić taką propozycję? – spytał Colman samego siebie. Ale równocześnie nie mógł się pozbyć podskórnego uczucia, że to wszystko jest nieco dziwne.

Kath zaproponowała, by poszli do miasta pod "Dwa Księżycy" – gdzie ona i jej przyjaciele zwykle zbierali się dla rozrywki i dla towarzystwa. Bar znajdował się akurat w takiej odległości, jakiej trzeba na spokojny, wieczorny spacer. Po drodze minęli dom, przy którym Colman i jego koledzy zatrzymali się wcześniej tego dnia. Nasunęło mu to myśl, by wspomnieć o robocie, należącym do malarza. – Wyglądał, jakby się uczył tego rzemiosła – powiedział Colman.

– Bardzo możliwe, że tak było – odrzekła Kath. – Człowiek, którego widziałeś, zapewne zrobił sobie jedno – czy dwudniowy relaks z czynnym wypoczynkiem. Dobrze jest mieć koło siebie maszyny, które mogą zająć się naszymi sprawami, jeśli te stają się nudną rutyną.

– Ludzie nie boją się, że automaty ich zastąpią?

– Jeśli automat może wykonać tę pracę, prawdopodobnie i tak zrobi się lepszy użytek z życia, zajmąwszy się czymś innym.

Po krótkim milczeniu Colman zapytał: – Te wszystkie roboty – jak inteligentne są one właściwie?

– Są sterowane przez skomplikowany, samoadaptujący się i samouczący program, wprowadzony do komputerów tworzących sieć, to wszystko. Nie sądzę, żeby ta technika była aż tak odmienna od tego, do czego jesteś przyzwyczajony.

– A więc nie są w ogóle inteligentne... samoświadome. Nic z tych rzeczy?

Kath parsknęła śmiechem. – Oczywiście nie... ale tutaj można dać się nabrać, nieprawdaż? Musimy pamiętać, że one rozwinęły się z systemów zaprojektowanych, by się dostosowały do dzieci i uczyły je. W to, co mówią, wkładasz bardzo dużo własnych myśli.

– Ale wygląda, że one są wyposażone w intuicję, pozwalającą formułować ludzkie sądy wartościujące – sprzeciwił się Colman. Wiedzą zbyt wiele o ludzkim sposobie myślenia.

Kath znów się zaśmiała. – Naprawdę? W rzeczywistości tak nie jest, bądź pewien. Gdybyś się im uważnie przysłuchał, zauważyłbyś, że poza obiektywną rzeczową informacją, one wcale tak dużo nie tworzą. To, co do nich mówisz, odwracają i kierują do ciebie ponownie w formie pytań, ale ty tego nie zauważasz. Sądzisz, że mówią ci coś, czego one wcale nie mówią.

– Katalizatory – powiedział Colman po krótkim namyśle. Wiesz, gdy teraz o tym myślę, widzę, że masz rację. One tylko zmuszają do ćwiczenia umysłu uświadamiając ci, że go posiadasz. I to wszystko.

– No to już wiesz – powiedziała Kath lekkim tonem. – Czy nie na tym polega właśnie uczenie dzieci?

“Dwa Księżycy” zajmowały jeden ze skrajów piwnic i parterów w rozlokowanym w centrum miasta labiryncie budynków, stojącym naprzeciw końcowej stacji maglewu, od której dzielił je wąski i wysoko obudowany plac. Nad nimi znajdowała się księgarnia, a jeszcze wyżej jednostka mieszkalna. Składał się z jednego dużego baru poniżej poziomu chodnika, gdzie prawie każdej nocy odbywały się występy estradowe, i dwóch mniejszych i zaciszniejszych wyżej. Kath zaproponowała jeden z małych barów i Colman wyraził zgodę, po raz pierwszy pozwalając sobie na myśl, że może z tego wyniknie przyjemna romantyczna przygoda. Ale czemu właśnie on miałby mieć takie szczęście, to już przekraczało granice jego zrozumienia. Gdyby jednak się zdarzyła, nie zamierzał się opierać.

Oczywiście musieli już tam być Swyley, Stanislaw, Driscoll i Carson. Nie było jak się wycofać; Swyley dostrzegł go, zanim Colman zdążył zauważyć cztery mundury w kącie.

– Świat jest mały, szefie – oświadczył Driscoll, rozkosznie mrużąc oczy.

– Owszem, jest – zgodził się smętnie Colman.

Niedługo po tym, jak Colman i Kath zajęli miejsca, radar Swyleya wykrył sierżanta Padawskiego i grupę żołnierzy z kompanii “B”, wchodzących przez główne wejście do baru. Rozmawiali głośno i wyglądali na trochę podpitych. Colman dostrzegł, że towarzyszyła im Anita i jeszcze jedna dziewczyna z Brygady, przylepione do żołnierzy i zachowujące się wyzywająco. Potrząsnął rozpaczliwie głową, ale w końcu nie była to jego sprawa. Po paru pełnych napięcia chwilach, podczas których w holu trwała niezdecydowana debata, nowo przybyli zeszli na dół, nie zauważwszy grupy z kompanii „D”. Nastąpiło odprężenie, a Colman wkrótce zapomniał o nich, bo znajomi Kath przysiadali się do nich pojedynczo i parami. Napatoczył się też i malarz, który rozpoznał Colmana, sam zaś wstąpił tu po drodze do domu na chwilę dwie godziny temu, by szybko łyknąć coś na pragnienie.

Przysłuchując się rozmowom wokoło, Colman zaczynał rozumieć, że Chirończycy darzą się wzajemnie szacunkiem. Szanowali wiedzę i fachowość wszelkiego rodzaju i okazywali to. Może, pomyślał sobie, w ten sposób pierwsze pokolenie starało się współzawodniczyć i zdobywać tożsamość w swym sterowanym przez maszyny środowisku, w którym takie rzeczy, jak pochodzenie, pozycja społeczna, bogactwo i dziedzictwo nie miały żadnego znaczenia. I zachowano to na stałe w miarę rozwoju chirońskiej kultury.

Przypominał sobie, jak miał lat szesnaście i oddał cynkowi senatora tyle tylko, ile mu się

należało. Dwóch zastępców szeryfa dało mu bolesną lekcję "szacunku" w celi miejskiego więzienia, Armia zaś od tej pory bez przerwy też starała się uczyć go "szacunku". Ale był to szacunek w stylu ziemskim. Colman zaczął odczuwać, że być może po raz pierwszy w życiu uczy się prawdziwego znaczenia tego słowa, Na prawdziwy szacunek można tylko zasłużyć, nie można go wymusić. Prawdziwy przywódca przewodził dzięki zgodzie swych zwolenników w taki sposób, jak ludzie w zakładach termojądrowych przyjmowali zwierzchnictwo Kath, a dzieci Adama podległość ojcu – nie na mocy rozkazu. Chirończycy mogli wzajemnie odwrócić się do siebie plecami w sposób całkowicie niedostępny ludziom pokroju Howarda Kalensa; w taki w jaki Colman mógł to robić wobec swego plutonu. Ci tutaj należeli do jego gatunku. To było niesamowite, ale zaczynał czuć się tu jak u siebie w domu – coś, czego nigdy naprawdę nie doznał przez całe życie.

Dlatego, że po raz pierwszy miał poczucie, że jest kimś – nie tylko "Sierżantem, Armia Stanów Zjednoczonych" czy "Numerem Rejestracyjnym 5648739210" albo "Białym Anglosasem

Płci Męskiej" – ale "Steve'em Colmanem, Osobą, Jedynym w Swoim Rodzaju Produktem Wszechświata".

Było to miłe uczucie.

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Paul Lechat, jeden z dwóch członków Kongresu, wybranych przez segment mieszkalny Maryland do Izby Reprezentantów, która stanowiła drugą izbę i przeciwwagę dla Dyrektoriatu, w większości spraw spornych, nad którymi debatowano przez kilka ostatnich lat podróży, zdobył sobie opinię umiarkowanego. Choć nie naukowiec, gorliwie popierał sprawę postępu wiedzy jako jedyne go środka, jaki mógł ulżyć odwiecznym bolączkom, które dokuczały ludzkości przez całą jej historię. Był wielbicielem metod naukowych, których sprawdzona skuteczność – jak sądził otwierała o wiele większe możliwości wykorzystywania na terenie jego własnego zawodu, niż to było tradycyjnie we zwyczaju. Dlatego zawsze starał wyrażać się jasno, dobierać fakty obiektywnie, oceniać ich implikacje bezstronnie i sprawdzać swe oceny niedwuznacznie. W wyniku tego, jak się przekonał, mógł zgodzić się z każdym lobbystą do pewnego momentu, wczuć się w każdą sprawę szczególną do pewnego stopnia, sympatyzować z każdą mniejszością w ograniczonym zakresie i zgadzać się z każdym odłamem z pewnymi zastrzeżeniami. Był rozważny w rozumowaniach, ostrożny w ekstrapolacjach, podejrzliwy co do uogólnień i sceptyczny wobec dogmatów. Reagował raczej na argumenty rozumowe i logiczne niż namiętne i emocjonalne, w kontrowersjach zachowywał postawę otwartą, sądy opierał wyłącznie na istotnych przesłankach i chętnie je rewidował, gdy spotkał się z nowymi danymi. W wyniku tego wszystkiego miał niewielu wysoko postawionych przyjaciół, a nie miał w ogóle zdecydowanych zwolenników.

Ale posiadał zdecydowane zasady i skłonność do dyskrecji, nie był też porywczy. Dlatego właśnie sędzia Fulmire mógł bezpiecznie podzielić się z nim obawami co do sytuacji, która kształtowała się za kulisami polityki.

Fulmire nie miał jasnej koncepcji nawet własnych oczekiwań, co Lechat może zrobić, ale instynktownie identyfikował Lechata z milczącą większością, jak zwykle pochłoniętą sprawami życia codziennego, podczas gdy bardziej hałaśliwe elementy skrajne kłóciły się i kształtowały życie wspólnoty. Koła bankowe i finansowe uroczyście zapowiadały całkowity chaos w zakresie posiadania własności ziemskiej w nadchodzących latach i żądały, aby rząd przyjął odpowiedzialność za lustrację ziem leżących odłogiem, które powinny zostać rozparcelowane z wydaniem tytułów własności. Przy czym operację tę wielokrotnie zaoferowały się sfinansować pożyczkami na hipotekę ziemską. Lobby przemysłu surowcowego i przetwórczego zgadzało się z bankierami, że należy narzucić system monetarny, który by zahamował "szaleńcze marnotrawstwo, niesprawność i rozrzutność" oraz pobudził "rzetelną i uczciwą wolną konkurencję". Natomiast nie zgadzało się z bankierami co do projektów pożyczek na hipotekę, dowodząc, że tereny do zagospodarowania na Chironie są już otwarte do zawłaszczenia "mocą naturalnego precedensu"; nie zgadzano się też między sobą co do cen i stawek, ponieważ fabrykanci żądali zakazu używania tanich (to znaczy darmowych) surowców chirońskich oraz regulowania z urzędu cen sprzedażnych, natomiast handlowcy domagali się czegoś odwrotnego. Przedstawiciele zawodu nauczycielskiego i lekarskiego chcieli zostać zwolnieni z obowiązku uczenia zdrowych Chirończyków i leczenia chorych, ale równocześnie zależało im na istnieniu mechanizmu podnoszenia podatków, z których subsydiowano ich działalność. Prawnicy zaś naciskali na stworzenie w pierwszym rzędzie należycie ustanowionego systemu prawnego, co rzekomo miało ułatwić pobieranie podatków. Inne grupy zawodowe zgadzały się z systemem podatkowym tak długo, jak zapewniał im większe ulgi niż innym, z wyjątkiem przywódców religijnych, których to nie interesowało, ponieważ i tak byli od podatków zwolnieni.

Ale oni właśnie starli się z nauczycielami na tle wniosku o wprowadzenie kapłanów do szkół w celu "zniszczenia korzeni zła i rozkładu, które szaleją na tej planecie"; z lekarzami na temat, czy korzenie te miały charakter kulturowy czy duchowy; z prawnikami zaś, aby uznać chirońską praktykę kolejnej, a niekiedy równoległej poligamii i poliandrii za nielegalną, oraz ze wszystkimi na temat "nagłej potrzeby" subwencji na budowę kościołów. I tak to się toczyło.

Fulmire'a najbardziej zaniepokoiło widmo Kalensa, który wyrósłby wśród tego zamętu na faktycznego dyktatora, z poparciem Borfonteina, rwącego się ze smyczy. Każda frakcja uznałaby takie skupienie władzy w jednym ręku za potencjalny taran, użyteczny w celu poparcia wyłącznie własnych interesów, a jeszcze bardziej jako instrument, którego wykorzystanie należy za wszelką cenę uniemożliwić rywalom. W tak wybuchowej sytuacji wszystko mogło się zdarzyć i Fulmire'a prześladowały wizje Misji rozdieranej morderczymi sporami, z poważną możliwością rozlewu krwi w końcowej fazie, gdy poczucie frustracji stanie się nie do zniesienia. W jego rozumieniu, jedyną siłą mającą jakąkolwiek możliwość wpływu stabilizującego, był bardziej umiarkowany consensus całej ludności *Mayflowera II*; Lechat zaś mógłby zapewne być narzędziem, które ją zmobilizuje, nim sytuacja wymknie się z ręki.

Lechat uznał, że kultura chirońska wcale nie była naiwnym i anachronicznym eksperymentem, łatwym do wchłonięcia, jak to zakładano, przez system ziemski. Wręcz przeciwnie – była wysoko rozwinięta na własny nieortodoksyjny sposób i wcale niełatwo podda się zmianom. Nie można było pozwolić, by Ziemianie i Chirończycy weszli na kurs kolizyjny z nadzieją, że równowaga ustali się sama przez się. Zanim do tego dojdzie, coś gdzieś wybuchnie.

Chirończycy zgodzili się spełnić wcześniejszą prośbę *Mayflowera II* o dostarczenie kwater na powierzchni, jak równocześnie, w przewidywaniu przyszłych własnych potrzeb, rozbudowali Canaveral City i jego okolice w kierunku Franklina w większym stopniu, niż bieżąca sytuacja tego wymagała. Jak dotąd, jedna czwarta ludności *Mayflowera II* przeniosła się na planetę, ale ruch ten uległ zahamowaniu, ponieważ ludzie nie przenosili się do stałych miejsc zamieszkania w tempie widocznie przewidywanym przez Chirończyków, głównie z tego powodu, że Dyrektoriat wydał polecenia, by zostawali tam, gdzie już są. Zasoby mieszkaniowe w tym miejscu wyczerpywały się i ci, którzy pozostali na statku, robili się, co było zrozumiałe, coraz bardziej niespokojni.

Lechat powiedział Fulmire'owi, że nie uważa obecnie za wskazane tworzenia środowiska Ziemian w bezpośrednim styku z zupełnie obcymi im warunkami Franklina – a w każdym razie nie w tej chwili. Ziemianom na przystosowanie się potrzeba czasu, a zanim to nastąpi, mogą trzymać się własnych, dobrze znanych zwyczajów i obyczajów. Bliskość Franklina może tylko spowodować napięcia. Lechat był wobec tego zdania, że przesiedlanie się na powierzchnię planety należy całkowicie zahamować, dotychczasowe plany porzucić, na okres przejściowy zaś wybudować gdzie indziej osiedle ziemskie. Sądził, że obszar zwany Iberią, położony na południowym wybrzeżu zachodniej Selene, będzie odpowiednim do tego miejscem. Co nastąpi później – Lechat nie wiedział i bardzo wątpił, czy możliwe są w tej mierze godne ufności przewidywania. Ale na krótszą metę dawałoby to zarówno szanse całej ludności, osiedlającej się bez wpływów działających odśrodkowo, jak i ekstremistom możliwość ochłonięcia i przemyślenia sytuacji.

Fulmire poparł ten pomysł i oświadczył, że jest przekonany, iż wielu ludzi zaczyna myśleć po tej linii. To z kolei wywołało u Lechata myśl utworzenia oficjalnego ruchu Separatystów i uzyskania w ostatniej chwili nominacji na kandydata w wyborach. Wkrótce potem rozpoczął sondaże możliwych źródeł poparcia, a że jego zainteresowania wyrobiły mu dobre stosunki z większością zawodowych naukowców Misji, oni właśnie znaleźli się na czele listy potencjalnych zwolenników. Należał do nich Jerry Pernak, którego badaniami Lechat interesował się od wielu lat. Dlatego też Lechat zaprosił

Pernaka i Ewę Verritty na kolację u "Francoise" – w restauracji w Dystrykcie Kolumbia, odwiedzanej głównie przez polityków oraz zawodowców z kręgu środków masowej informacji, i tam wyłożył im swoją sytuację.

– Nie sądzę, by to mogło mieć powodzenie – powiedział Pernak potrząsnawszy głową, gdy Lechat skończył. – Ale to samo dotyczy wszystkiego, o czym się tu na górze krzyczy. Jeszcze nie zrozumieli, że nic z tego, co znają z doświadczenia, nie da się zastosować na Chironie. To jest całkiem nowe zjawisko, rządzące się własnymi, nowymi prawami.

– Co chcesz przez to powiedzieć, Jerry? – zapytał Lechat, gdy siedzieli przy stole. Był szczupłym, średniego wzrostu mężczyzną, zbliżającym się do pięćdziesiątki, z rzednącymi już włosami i suchą, różową cerą. Miał skłonność do czerwienienia się na nosie i policzkach, co mogłoby być uważane za oznakę gwałtownego temperamentu, zaprzeczał temu jednak całkowicie jego łagodny głos i spokojny charakter.

Pernak lekko uniósł rękę, a jego ruchliwa twarz przybrała wyraz zwiększonego napięcia. – Mówiliśmy długo i szeroko o społeczeństwie przechodzącym zmiany fazowe, które zapoczątkują całe nowe epoki rozwoju społecznego – powiedział. – No, więc dokładnie to właśnie nastąpiło tam w dole. Nie można ekstrapolować żadnej z naszych zasad dla tej kultury. Nie mają zastosowania. Nie nadają się dla Chirona.

Lechat nie od razu odpowiedział. Ewa Verritty rozwinęła myśl. Przez trzy wieki z uporem staraliśmy się pogodzić stare idee podziału bogactw z nowym sposobem działania wysoko rozwiniętej technologii. Zawsze problem stanowiło to, że tradycyjny system uwarunkowywania ludzi tak, aby byli przekonani, iż nie do uniknięcia jest zjawisko ograniczonych środków, przechodził z pokolenia na pokolenie jako nie kwestionowana mądrość potoczna, aż w końcu zaczął być uważany za .niepodważalną prawdę. Bogactwo zawsze było czymś, o co trzeba współzawodniczyć i walczyć. Kiedy niewolnictwo i obszar terytorialny stały się przestarzałymi czynnikami wobec tego, że głównym źródłem bogactwa stała się technika, walczyliśmy o jej posiadanie tak, jak poprzednio walczyliśmy o wszystko inne, a wszyscy myśleli, iż jest to nieuniknione i naturalne. Nie umieli oddzielić starych teorii od nowych faktów. – Ewa wypięła łyk wina ze szklanki, po czym kontynuowała: – Ale Chironczycy dorastając nigdy nie byli poddawani takiemu praniu mózgow. Nauka i rozwinięta technika, które ich otaczały i od początku były uważane za coś oczywistego, zapewniły im prosty start. I zrozumieli, że nowe technologie zapewniają nowe źródła zasobów... nieograniczonych.

Lechat wpatrywał się z namysłem w swój talerz, równocześnie kończąc przeżuwać kęs potrawy. – Mówisz tak, jakby każdy z nich był milionerem – skomentował wypowiedź Ewy.

– Bo dokładnie tak jest – oświadczył Pernak. – W każdym razie w sensie materialnym. Dlatego własność nie ma dla nich żadnej wartości jako źródło statusu społecznego, o niczym nie świadczy. I z tego samego powodu nie znajdziesz tam w dole żadnych absolutnych przywódców.

– Jak to możliwe? – spytał zdumiony Lechat.

– Czemu ludzie popierają przywódców? – odpowiedział Pernak. – By stworzyć kolektywną siłę. A po co im kolektywna siła? Ponieważ w ostatecznym rachunku siła kontroluje bogactwa i narzuca idee. A po cóż by rasa milionerów potrzebowała przywódców, jeśli już posiada wszelkie dobra materialne, jakich zapragnie, a nie jest zainteresowana w narzucaniu komukolwiek idei, ponieważ nikt i nigdy jej tego nie uczył? Chironczycy nikogo nie popierają. Nie ma nic, co by ich mogło zastraszyć. Nie możesz tam na dole rozpocząć żadnej krucjaty, ponieważ nikt nie zwróci na to

uwagi.

Lechat, nadal jedząc, zastanawiał się. Sam miewał podobne myśli, niemniej nie był w stanie jasno wyobrazić sobie, by rozwinięta kultura, nawet taka, która nie musiała tworzyć systemów obronnych, mogła skutecznie funkcjonować bez żadnych ograniczeń konsumpcji. Sprzeciwiało się to wszelkim zasadom, jakie przez całe życie w niego wpajano.

Ale właśnie gdy tak myślał, przypomniały mu się słowa Ewy o, praniu mózgow. Owszem, był gotów przyznać, że poddano go takiej samej obróbce jak wszystkich i że z tego powodu nie był w stanie oddzielić myślowo bogactwa i pozycji społecznej od materialnego stanu posiadania. Ale nawet jeśli dostatecznie rozwinięte społeczeństwo może dostarczać swym członkom towarów w takiej obfitości, że reglamentacja traci wszelki sens, nie mogło się to z pewnością równać nieograniczonemu bogactwu. Samo to pojęcie niosło w sobie wewnętrzną sprzeczność, gdyż "bogactwo" z samej definicji oznacza coś wysoko cenionego i o ograniczonej podaży. Innymi słowy, jeśli na Chironie posiadanie nie równało się bogactwu i wobec tego nie zaspakajało uniwersalnego ludzkiego dążenia, by być ocenianym jako człowiek sukcesu, co mogło stanowić podstawę takiej oceny?

– Do pewnego stopnia rozumiem twoje zastrzeżenia – powiedział wreszcie Pernak. – Ale ludzie nadal gromadzą własność długo po tym, jak przestała ona służyć jakimkolwiek celom materialnym, ponieważ ona zaspakaja także potrzebę uznania.

– To bardzo prawdziwe – zgodziła się Ewa.

Lechat był zdziwiony. – Ależ o to właśnie pytałem – jak Chironczycy zaspokajają tę potrzebę?

– Przecież już to sam wyjaśniłeś – odpowiedziała mu Ewa. Przez parę chwil przyglądała mu się z uwagą, aż w końcu uśmiechnęła się. – Jeszcze tego nie chwytasz, prawda, Paul?

Pernak odczekał dłuższą chwilę, po czym odłożył widelec i pochylił się nad stołem. – Na Chironie bogactwem jest fachowość! – oświadczył. – Czyżbyś nie zauważył? Pracują ciężko, a cokolwiek robią, robią tak dobrze, jak tylko można – i przez cały czas starają się robić to jeszcze lepiej. Dopóki to co robią jest dobre, nie ma znaczenia co to takiego. I wszyscy to wysoko cenią. Taką właśnie mają walutę – uznanie, jak sam powiedziałeś... uznanie dla fachowości. – Wzruszył ramionami i rozłożył ręce. – I to jest bardzo mądre. Przed chwilą stwierdziłeś, że wszyscy odczuwają taką potrzebę. No więc Chironczycy zaspokajają ją bezpośrednio, zamiast robić to poprzez symbole. Po co komplikować sobie życie?

Myśl ta była dla Lechata zbyt zaskakująca, by mógł się do niej od razu ustosunkować. Spoglądał to na Pernaka, to na Ewę, wreszcie odłożył widelec na talerz i rozsiadł się na krześle, by przetrwać tę niezwykłą ideę.

– Czy widziałeś na Chironie jakikolwiek bubel... drzwi nie pasujące do futryny albo motor, który nie chce zapalić? – zapytała go Ewa. – Czy kiedykolwiek i gdziekolwiek spotkałeś tu coś podobnego? W porównaniu z nimi to, co my mamy, wygląda jak szmelc. Byłam wczoraj na pokazie handlowym, zorganizowanym we Franklinie przez niektóre nasze spółki w ramach badań rynku. Chironczycy myśleli, że to jakiś żart. Powinieneś być tam widzieć ich dzieci – były przekonane, że nasze idee co do projektowania i wytwarzania są wręcz zabawne. Nasi musieli się z tego wycofać, bo był to kompletny niewypał.

– W ten sposób się bogacą – rzekł Pernak. – Będąc dobrymi w swojej specjalności i stając się jeszcze lepszymi. Tylko wariat mógłby robić byle co i pozostawać ubogim z wyboru.

– To znaczy zyskując dobrą reputację, czy coś w tym rodzaju? – spytał Lechat, którego to wszystko zaczynało intrygować.

– To tylko część tej sprawy – potwierdził, skinąwszy głową Pernak. – Drugą częścią jest

satisfakcja, jaką odczuwają dzięki uwarunkowaniom kulturowym. Ale zaczynasz chwycić całość zagadnienia.

Lechat znów wziął widelec do ręki. – Nigdy na to nie patrzyłem w ten sposób. To ciekawa myśl. – Znowu zabrał się do jedzenia, przerwał i spojrział na nich. – Przypuszczam, że na tej drodze ich pierwsze pokolenie początkowo poszukiwało indywidualnego uznania... gdy całą robotę wykonywały maszyny, a nasze tradycyjne pojęcie bogactwa nie miało żadnego znaczenia. A potem to zostało włączone do podstaw ich sposobu myślenia. – Pokiwał wolno głową w zamyśleniu i dalej snuł refleksje. – Zupełnie odmienny sposób warunkowania, wchłoniętego od najmłodszych lat... oparty na uznawaniu walorów osobistych. To by także tłumaczyło brak jakichkolwiek przesądów grupowych, prawda? Nigdy nie mieli powodu, by się czuć zagrożeni przez inne grupy.

– Bo nigdy nie mieli arystokratycznych rodziców, których przesądów musieliby się dopiero pozbywać – uzupełnił Pernak. Klasy, stopnie służbowe, biali, czarni, Sowieci, Chińczycy... to dla nich wszystko jedno. Nie dbają o to. Tylko ty sam masz znaczenie.

– I niezależnie od tego, czy zdarzyło się tak planowo, czy przypadkowo, udało im się rozwiązać całą masę innych problemów – włączyła się Ewa. – Weźcie na przykład przestępczość. Kradzież i zachłanność są niemożliwe, bo w jaki sposób można ukraść fachowość drugiego człowieka? Och, oczywiście możesz próbować ją udawać, ale z ludźmi tak spostrzegawczymi jak Chirończycy długo to nie potrwa. Umieją tak szybko zauważyć szarlatana, jak my spostrzec, że w sklepie wydano nam za mało reszty. I dla nich rzeczywiście to jest równoznaczne. Mieli w swych dziejach chwile przemocy, ale nic tak strasznego, jak to, co do nas dochodzi w telegramach o Afryce, albo co się zdarzyło w roku 2021. I nigdy nie wynikają z tego duże problemy. Nikt nie ma motywacji, by poprzeć niedosłęgo Napoleona. Nie miałyby do zaoferowania niczego, co ludzie potrzebują.

Po kolejnej krótkiej pauzie Lechat powiedział: – To dziwny system walutowy, nieprawdaż? Mam na myśli, że w ogóle nie kumulatywny ani zgodny z regułami arytmetycznymi. Możesz zapłacić wszystko, coś winien, i ciągle nie stajesz się przez to uboższy. To wygląda – naprawdę nie wiem – ale jakoś niemożliwie.

– Bo to nie należy do zakresu arytmetyki liczb skończonych potwierdził Pernak. – A czemu miałyby należeć? Nasze idee na temat waluty opierają się na jej pokryciu w jakimś ustalonym mierniku wartości, znaleźliśmy bowiem tylko taki system. Pokryciem w złocie waluty Chirończyków jest potęga ich rozumu, którą uważają za zasób niewyczerpalny. Dlatego ich księgowość opiera się na rachunku nieskończoności. Odejmij cokolwiek od nieskończoności i zawsze pozostanie jako reszta nieskończoność. Ja wiem, to dla nas brzmi po wariacku, ale to się zgadza z ich sposobem myślenia.

– Bo na pewno rzuca na wszystko nowe światło – zgodził się Lechat. Znów się rozparł, spojrział na Ewę, na Pernaka i zrezygnowany rozłożył ręce. – Więc wynika z tego, że w sprawie; o której mówiliśmy, nie będę miał waszego poparcia?

– To nie jest prywatna sprawa, Paul. Uważamy, że jesteś wspaniałym facetem... – Pernak zmarszczył brwi i westchnął przepaszająco. – Po prostu nie sędzę, by na dłuższą metę Separatyzm dawał odpowiedź na cokolwiek. Uczciwie mówiąc nie sędzę, by Kongres naprawdę przetrwał jeszcze długo. Dla planety tam w dole to już jest wykopalisko.

– Może to i prawda, ale na dłuższą metę – odparł Lechat. – Bardziej mnie martwi to, co się może stać wcześniej. Potrzebuj pomocy, by coś z tym zrobić.

– Te metody były właściwe przed zmianą fazową – odpowiedział Pernak. – Teraz nie ma na nie miejsca.

– Czy istnieje inny sposób? – spytał Lechat.

Parnak wzruszył ramionami. – Po prostu pozwolić temu systemowi umrzeć własną śmiercią.

– Może nie chceć umrzeć tak łatwo – zwrócił uwagę Lechat. – Szkoda, że nie słyszałeś tego, co działo się o parę bloków stąd, właśnie w pokoju, z którego do was przyszedłem.

– Niczego nie zatrzymają, Paul – powiedział Pernak. – Stanęli przeciw siłom napędowym rozwoju. Król Kanut miał ten sam problem.

– Masa ludzi może ucierpieć, zanim tamci porzucą swe zamiary – obstawał Lechat.

Pernak zmarszczył czoło, wydał wargi, a potem wyszczerzył zęby. – To niech ta masa zatroszczy się o własną przyszłość, zamiast czekać, aż ktoś inny przygotuje ją za nią i dla niej. Tak było dawniej. Ludzie muszą się nauczyć myśleć po chirońsku. – Po chwili wahania dodał: – To właśnie marny z Ewą zamiar zrobić.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Lechat, choć w tym samym momencie domyślił się już odpowiedzi.

Pernak rzucił Ewie przelotne spojrzenie. Wzięła go pod ramię, ścisnęła je uspokajająco i uśmiechnęła się. Oboje spojrzeli na Lechata. – To samo, co zrobią wszyscy inni, gdy zrozumieją jak sprawa wygląda – odpowiedział Pernak. Uśmiechnął się niemal przepraszająco. – Dlatego nie będziemy mogli wiele ci pomóc, Paul. Widzisz, my wyjeżdżamy.

– Rozumiem... – Lechat nie mógł udawać, że jest tak zdziwiony, jak byłby jeszcze dziesięć minut wcześniej.

Pernak zamachał rękami. – Obejrzałem sobie ten ich uniwersytet i to, co się tam robi. Nie uwierzyłbyś. A jeśli zechcę, mam tam już gotowe stanowisko i to tylko z tego powodu, że ludzie, którzy tam pracują, powiedzieli, że tak będzie w porządku. Dostaje się dom, za nic... dobry dom. Albo zbudują ci taki, jak zechcesz. Jakże odmówić? Będziemy Chirońcykami. I tak będzie ze wszystkimi, gdy tylko otrząsną się z przeżyć podróży. A wtedy tacy jak Kalens mogą sobie wrzeszczeć do ochrypnięcia, ale co to pomoże, gdy nie zostanie nikt, kto zwróciłby na to uwagę? Jest tak, jak mówiłem trzeba zacząć myśleć po chirońsku.

– Ale oni nadal mają Armię... i całą stertę paskudnego żelastwa tutaj w górze – przypomniał mu Lechat.

Przez twarz Pernaka przeleciało kilka grymasów. Znowu westchnął. – Wiem. O tym także myślałem, ale czy może nastąpić coś, co by wywołało rzeczywiste kłopoty? Nim się wszystko skończy, mogą zdarzyć się jakieś małe wybuchy, jeden czy dwa, ale dłużej tak być nie może. – Potrząsnął głową. – Jesteśmy przekonani, że istnieje tylko ta jedna droga. Nie możemy decydować za innych, ale oni przyłączą się we właściwym czasie. Jakikolwiek inny sposób może tylko wywołać jeszcze gorsze problemy.

Lechat niechętnie potwierdził ruchem głowy. – Zdaje się, że to wasze ostatnie słowo.

Pernak rozłożył ręce i też potwierdził gestem. – Tak. Przykro nam, i tak dalej, Paul, ale jest, jak jest.

Lechat patrzył na nich jeszcze przez parę chwil, po czym wyprostował się i zdobył na uśmiech. – No cóż, co można na to powiedzieć? Życzę szczęścia wam dwojgu. Mam nadzieję, że wszystko dobrze wypadnie.

– Dziękuję – odpowiedział Pernak.

– A ja mam nadzieję, że pozostaniemy nadal przyjaciółmi i będziemy w kontakcie – powiedziała Ewa.

– Możesz na to liczyć – zapewnił Lechat.

W tym momencie kelner zaczął sprzątać półmiski, szykując stół do następnego dania. – Słyszeli państwo wiadomości z powierzchni? – zapytał, ustawiając talerze i strzepując ręką parę okruszyn chleba do ściereczki.

– Wiadomości? – Lechat spojrzał na niego ze zdziwieniem. Kiedy? Jesteśmy tu już od godziny. Do tej chwili nie było nic szczególnego.

– Nadano je kwadrans temu – powiedział kelner. Potrząsnął głową ze smutkiem. – Złe wieści. Była strzelanina tam w dole... gdzieś we Franklinie. Przynajmniej jeden zabity – jeden z naszych żołnierzy, o ile wiem. To było w jakimś lokalu, zwanym “Dwa Księżycy”.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Podziemny bar w "Dwóch Księżycach" uspokoił się po krótkim zamieszaniu, które nastąpiło wskutek strzelaniny, chociaż potrzebny był jeszcze dłuższy czas, by sytuacja zaczęła trochę przypominać normalną. Colman i Kath stali po jednej stronie sali wraz z innymi, którzy zeszli z góry, przyglądając się w milczeniu jak major z oddziału SS odbierał zeznania od Chirończyków, obecnych przy incydencie. Inni Chirończycy siedzieli lub stali naokoło, przyglądając się lub rozmawiając między sobą cichymi głosami. Wyglądało, że podchodzą do sprawy dość spokojnie, włącznie z dwiema ładnymi dwudziestolatkami i mężczyzną, którzy brali w tym bezpośredni udział, a teraz siedzieli w grupie przyjaciół pod uważnymi spojrzeniami dwóch SS – uranów. Ciało kaprała Wilsona z kompanii "B", który przyszedł tu wraz z bandą Padawskiego, już zabrano. W głębi, w kącie, szeregowiec Ramelly, z tego samego plutonu co Wilson, siedział z nogą opartą na krześle; nogawkę miał rozciętą z jednej strony, a wojskowy sanitariusz kończył opatrywać i bandażować ranę od kuli na jego udzie. Na środku baru dwóch Chirończyków zmywało krwawe plamy z podłogi i usuwało potłuczone szkło. Ponury Padawski siedział wraz z resztą swej grupy, otoczony jeszcze większą liczbą SS – uranów, Anita zaś, blada i wstrząśnięta, stała opodal.

Pierwsze, co usłyszał Colman i jego towarzystwo, był strzał na dole, po którym nastąpiły okrzyki przerażenia i jakieś trzaski, a potem drugi strzał. W parę sekund później, gdy wbiegli do podziemnego baru, Wilson był już martwy, zabity strzałem między oczy, a Ramelly leżał na ziemi, z krwią tryskającą z nogi. Padawski i reszta stali niepewnie koło baru, trzymani pod pistoletem kalibru 38 przez młodą chirońską kobietę. Na sali było widać, że jeszcze kilku innych gości również wyciągnęło broń. Po kilku sekundach napięcia Padawski zrozumiał, że nie ma innego wyboru, jak skapitulować, SS zaś z chwalebnią szybkością przybyła w chwilę potem.

Wyglądało na to, że paru przyjaciół Padawskiego doszło do wniosku, iż kobiety chirońskie należą do towarów, które na Chironie są do wzięcia dla każdego, i dwóch z nich uparło się, by pchać się ze sprośnymi awansami do dwu dziewczyn w barze, choć kilkakrotnie i w sposób coraz bardziej zdecydowany powiedziano im, że dziewczyny nie są nimi zainteresowane. Żołnierze, mocno pijani, wpadli w gniew i stali się jeszcze bardziej grubiańscy, nie zwracając uwagi na surowe ostrzeżenia z sali. Wywiązała się sprzeczka, w czasie której Ramelly chwycił jedną z dziewczyn i zaczął brutalnie szarpać. Wyciągnęła więc pistolet i przestrelała mu nogę. Na tym by się prawdopodobnie skończyło, gdyby nie Wilson, który też chwycił za broń i skierował ją na Chirończyków zbliżających się, by interweniować. Na to inny Chirończyk z głębi sali zastrzelił go na miejscu.

Major SS skończył właśnie dyktowanie do kombloku notatki o zeznaniu ostatniego świadka i podszedł do miejsca, gdzie siedziały dwie młode kobiety i mężczyzna. Gdy spojrzeli na niego, nie wyglądali ani na zalęknionych, ani na skruszonych, choć w ich minach nie było także nic wyzywającego. Czyn był niemiły, lecz konieczny – zdawały się mówić ich twarze – i nie było w nim nic, by czuć się winnym. Co najwyżej, podobnie jak inni Chirończycy, którzy się temu przyglądali, byli zaciekawieni, jak Ziemianie wybrną z tej sytuacji.

– Jeden z naszych ludzi został zabity i istnieje ustalona procedura, do której musimy się zastosować – oświadczył major. – Rozkazy, jakie otrzymałem wymagają, abym was troje zabrał z nami. Ułatwiłoby wszystkim sprawę, gdybyście się do tego zastosowali. Przykro mi, ale nie mam innego wyboru.

– Czy ma pan zamiar, majorze, wymusić zastosowanie się do tych rozkazów, gdybyśmy

odmówili? – zapytał Chirończyk, który zastrzelił Wilsona. Gibki i muskularny, miał wąską, ale wyrazistą twarz. Ubrany był w ciemny strój, raczej praktyczny niż wyszukany i dobrze dopasowany, choć nie krępujący ruchów. Colmanowi przypominał czarny charakter ze starych westernów. Chirończyk zachowywał się łagodnie i mówił lekkim tonem, przez co jego wypowiedź brzmiała po prostu jak pytanie, a nie wyzwanie.

Major popatrzył mu w oczy stanowczym wzrokiem. – Moim obowiązkiem jest wykonywać rozkazy najlepiej, jak potrafię odpowiedział wymijająco. Ton jego głosu sugerował, że tak jak wszyscy uważa okoliczności za pożałowania godne, ale nie może pójść na żaden kompromis.

Okazało się, że ten pokaz taktu załatwia sprawę. Chirończyk patrzył mu w oczy jeszcze przez chwilę, po czym skłonił głowę na znak zgody. – Doskonale. – Colman w głębi duszy westchnął z ulgą. Kobiety w wyraźny sposób pozwalały mężczyźnie mówić także w ich imieniu. Wymieniły szybkie, ledwie widoczne skinienia, wstały i zabrały swoje rzeczy. Dwóch SS – uranów podeszło, by im pomóc, z objawami szacunku, które Colman uznał za zadziwiające.

Major wahał się przez chwilę, po czym rzekł: – Ach... biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby lepiej, gdyby pan pozwolił nam nieść pański pistolet. Czy nie ma pan nic przeciw temu?

– Czy chce pan przez to powiedzieć, że jesteśmy więźniami? – zapytał Chirończyk.

– Wolałbym nie używać tego określenia – odpowiedział major. – Nie jestem upoważniony do komentowania sytuacji prawnej. Ale oczywiście nasze władze będą chciały przeprowadzić śledztwo i broń będzie potrzebna jako dowód rzeczowy.

– Zgodnie z w a s z y m i zwyczajami – zauważył Chirończyk, – Był to jeden z n a s z y c h ludzi – odpowiedział major.

Chirończyk zastanowił się nad tym wyjaśnieniem, widać uznał je za wystarczające, skinął głową i oddał swój pistolet. Dziewczyna, która zraniła Ramelly'ego zrobiła to samo. Znamienne było, pomyślał Colman, że major nie zapytał jej towarzyszkę, czy również posiada broń. Gdy strażnicy zaczęli podnosić na nogi Padawskiego i jego grupę, major podszedł do Colmana i pozostałych z kompanii "D", stojących wraz z Chirończykami, którzy byli z nimi na górze. Spisał już ich nazwiska i ustalił, że nie byli bezpośrednimi świadkami incydentu.

– Wy, chłopcy, jesteście wolni – oznajmił. – Jeśli będzie przesłuchanie, możecie być wezwani na świadków. W takim razie właściwi ludzie skontaktują się z wami.

– Będą wiedzieli, jak nas znaleźć – odpowiedział Colman.

Komunikator kieszonkowy Kath zabrzączał, wyjęła go więc, by odpowiedzieć. Dzwonił Adam, który już słyszał o wypadku i sprawdzał, czy jej i Colmanowi na pewno nic się nie stało. Colman zostawił ją rozmawiającą i podszedł tam, gdzie stała przy drzwiach Anita, obok towarzystwa gotującego się do odejścia. Po co ty się zadajesz z tą bandą? – szepnął. – Postaraj się zmartwić, gdy się to wszystko skończy. Daj sobie z nimi spokój.

Gdy na niego spojrzała, w jej oczach nie było skruchy ani wyrzutów sumienia. – To już nie twój interes – syknęła. – Tak się bawię i tak żyję, jak mi się podoba.

Colman parsknął pogardliwie. – Nazywasz to zabawą?

– Wiesz, co mam na myśli. Oni nic nie zrobili. Tylko odrobinę za dużo wypili. Te dwie suki nie musiały zrobić tego, co zrobiły.

– Może powinnaś się postarać spojrzeć na to z ich punktu widzenia – powiedział Colman.

Oczy Anity zapłonęły. Szok zaczął ustępować i zmieniać się w złość. – Dlaczego miałabym to robić? Bruce właśnie został zastrzelony, Dan ma dziurę w nodze, a ty mówisz, żebym na to spojrzała z i c h punktu widzenia? Co z ciebie za człowiek? Posłała znad jego ramienia szyderyczy uśmiech Kath, która właśnie chowała komunikator do kieszeni. – Już widzę dlaczego. Nie zabrało ci to dużo

czasu, prawda? Czy ona jest dobra?

Colman zignorował uwagę. A jednak pomyśl o tym – mruknął. – Dla własnego dobra.

– Już raz ci powiedziałam, że teraz to już nie twój interes. Daj mi spokój. Nie chcę z tobą rozmawiać. Po prostu – idź sobie i zostaw mnie samą.

Z odległości paru stóp groźnie spoglądał Padawski, który widocznie odzyskał nieco pewności siebie, jako że SS panowała nad sytuacją. – Ty, Złotowłosa, trzymaj się od niej z dala – rzucił złośliwie. – Trzymaj się swoich przyjaciół – morderców. O tobie też nie zapomnimy. – Wychodząc odwrócił głowę, obejmując wściekłym spojrzeniem całą salę. – Do was też to się odnosi – ostrzegł głośno. – Nie zapomnimy. Zobaczycie.

– Jazda. – Jeden z żołnierzy trącił go w żebra kolbą karabinu i poprowadził ku schodom w ślad za Anitą i Ramellym, którego podtrzymywał sanitariusz i jeden z SS – uranów. Colman patrzył za nimi, póki nie wyszli i wówczas powrócił do swoich.

– Czy to twoja przyjaciółka? – zapytała Kath.

– Kiedyś tak. Ale już nie, o ile się orientuję, jak sprawy stoją.

– Przystojna dziewczyna. Czym się zajmuje?

– Specjalistka telekomunikacji w sztabie Brygady.

Kath uniosła brwi z aprobatą. – No to i niegłupia, co?

– Mogłaby urządzić się znacznie lepiej, a nie marnować się, włóczęc z taką szumowiną. Ale należy do tych, które wolą łatwą drogę... tak długo, o ile się da, w każdym razie.

– To szkoda – rzekła Kath.

Muzyka zagrała, tłum rozszedł się do baru i stolików i rozmowy znów się nawiązały. Colman ze swym towarzystwem wrócili na górę, a Driscoll przyniósł jeszcze jedną kolejkę napojów z baru. Inni usiedli tam, gdzie poprzednio. Przez chwilę rozmawiali o wypadku, zgodzili się, że niedobrze, iż mógł się w ogóle wydarzyć, przez chwilę rozważali, co z tego może wyniknąć, aż w końcu zmienili temat.

– Myślę, że tutaj trzeba nauczyć się umiarkowania – zauważył Stanislaw, przyglądając się swojej na wpół opróżnionej szklance ciemnego, pianistego piwa chirońskiego. Pokręcił głową. – Wiecie, może to głupio zabrzmieć, ale czasem chciałbym, abyśmy musieli za to płacić.

– Dokładnie wiem, co masz na myśli – powiedział Carson. Driscoll milcząco wyraził zgodę.

– Nie jestem pewien, czy się z tym zgadzam – oświadczył Swyley, co oznaczało, że się zgadza.

Colman chciał poartować na ten temat, ale w tym momencie pojął, że mówią na serio. Zmarszczył brwi i spojrzał pytająco na wszystkich po kolei.

– To ta cała sprawa, że za nic się nie płaci – objaśnił na koniec Stanislaw. – Wchodzimy tu, pijemy, wchodzimy do restauracji, jemy, wynosimy ze sklepów całe góry rzeczy i nic za to nie płacimy. – Wyprostował się, rozejrzał na boki poszukując wsparcia moralnego, otrzymał go ile chciał i beznadziejnie pokiwał głową. Na początku wyglądało to zbyt pięknie, aby było prawdziwe, ale to wrażenie szybko mija. To przestaje być zabawne, szefie. Działa nam na nerwy.

– Czujemy się zadłużeni i chcemy z tego wybrnąć w jakiś sposób – powiedział Driscoll. – Nie chcemy darmochoy. Ale wszystko, co mamy, to kawałki papieru, które tutaj nic nie znaczą. Co począć?

– Znajdziesz taki sposób – odpowiedział zupełnie nie poruszony jeden z Chirończyków siedzących przy stole.

– Myślę, że lepiej późno niż wcale – skomentował inny, spoglądając na malarza, który nadal siedział z nimi. Malarz milcząco skinął głową.

– Co to znaczy? – spytał Driscoll Chirończyka, który mu odpowiedział.

Chirończyk zawahał się przez chwilę, jakby się obawiał, że może powiedzieć coś, co, jak

sądził, może być uważane za obraźliwe. Kath spojrzała na niego i uspakajająco kiwnęła głową. – Więc... zaczął Chirończyk i znów przerwał. – Większość ludzi stąd zaczyna w ten sposób odczuwać, gdy mają około dziesięciu lat. Nie chciałbym obrazić nikogo – ale tak to jest.

Carson zmarszczył czoło rozważając, co z tego wynika, wreszcie potrząsnął głową. – To niemożliwe – powiedział. – Żaden system nie może działać na tej zasadzie.

Swyley przysłuchiwał się z ciekawością i zadumany. Nie odezwał się w ogóle, co oznaczało, że się nie zgadza.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIERWSZY

Jean Fallows zaczynała nienawidzić Chirona, Chirończyków i wszystkiego, cokolwiek miało coś wspólnego z tym bezbożnym, pełnym bezprawia, obcym i wrogim miejscem. Po dwudziestu latach codziennej i comiesięcznej rutyny życia na pokładzie *Mayflowera II*, brakowało jej ciepła i poczucia bezpieczeństwa, wśród których wyrosła, tęskniła więc do powrotu do zdrowego, cywilizowanego, zrozumiałego środowiska. Pojmowała sposób życia, w którym budżet i konieczności decydowały o kolejności zaspakajania potrzeb; w którym wyraźnie sformułowane prawa rządziły zasadami postępowania i w którym wypróbowane i godne zaufania zasady protokolarne określały każdemu jego rolę i funkcję – w tym i jej własną. Nie rozumiała i nie chciała zrozumieć kipiącego oceanu anarchii, w jakim była teraz pogrążona, oceanu, w którym od każdego wymagano, by brnął przed siebie bez jakiegokolwiek oparcia, jak papierowa łódeczka rzuconana na burzliwe wody, bez map wyznaczających brzegi, bez przystani dla wytchnienia, bez gwiazd przewodnich. Nie było tu dla niej miejsca i nie pragnęła go. Po cichu marzyła o cudzie, który zawróciłby *Mayflowera II* i zabrał ją na drugie dwadzieścia lat w podróż powrotną na Ziemię.

Jako doktorantka biologii na Uniwersytecie Michigan, stanu jej urodzenia, miała kiedyś ambicje uzyskania specjalizacji w zakresie biochemii i genetyki prymitywnych form życia. Miała nadzieję, że tego rodzaju studia przybliżają jej zrozumienie tego, jak materia nieożywiona zorganizowała się w skomplikowany sposób, umożliwiający powstanie życia. Usprawiedliwiała przed sobą to zainteresowanie argumentem, że jej wiedza może przyczynić się do zapewnienia wyżywienia dla lawinowo rosnącej ludności nowej Ameryki. Ale wtedy spotkała Bernarda, którego młodzieńczy zapał i wizje Wielkiej Reformy, przeorywującej cały świat, obudziły w niej świadomość polityczną i pchnęły wraz z nim w całkiem nowe wymiary stosunków międzyludzkich i motywacji, dotychczas jej niemal całkowicie obcych. Siły, które ukształtują świat i przekują losy jego narodów nie znajdują się – jak rozumiała – w szalkach hodowli mikrobiologicznych ani w osadach odwirowanych w laboratorium, ale w umysłach, sercach i duszach ludzi przebudzonych, zorganizowanych i zmobilizowanych. W rezultacie objeżdżali razem zebranie po zebraniu, przemawiali z tych samych trybun, wznosili zgodnie okrzyki na wiecach, oklaskiwali przemówienia przywódców i wreszcie razem porzucili Ziemię, by na Chironie budować przedłużenie wzorowego społeczeństwa.

Ale bez stałego dopływu nowo nawróconych wyznawców, bez ich poparcia, entuzjazm początkowych, aktywnych politycznie lat podróży na koniec zgasł. Na pewien czas Jean oddała się ponownie swemu pierwotnemu powołaniu, ze wznowionym zapałem uczęszczając na kursy specjalistyczne w segmencie Princeton, poświęcone takim przedmiotom, jak przegrupowanie genów, a następnie, rozszerzając swą działalność, podjęła badania naukowe oraz pewną liczbę wykładów na poziomie szkoły wyższej. Dzięki pracom badawczym w Princeton i wykładom uzyskała kontakt z Jenym Pernakiem, który był pracownikiem naukowo – badawczym, i z Ewą Verritty, wówczas młodszą administratorką w Departamencie Oświaty. To właśnie Jean przedstawiła ich sobie wzajemnie.

W następnych latach, gdy urodził się Jay, a później Marie, starała się dotrzymywać kroku swym obowiązkom zawodowym, uczęszczając na odczyty i kursy w Princeton i zadawszy sobie program lektur. Ale w miarę upływu czasu coraz częściej opuszczała wykłady, lektury zaś nieustannie odkładała do jutra, które, jak to dobrze wiedziała, nigdy jakoś nie następowało. Zuważyła na koniec, że czyta artykuły o urządzeniu mieszkań; – a nie o mechanizmie transkrypcji kwasu

dezoksyrybonukleinowego, chętniej ogląda lekkie rodzinne komedie z zasobów komputerowych niż filmy naukowe o różnicowaniu się komórek, i spędza więcej czasu z przyjaciółmi, z którymi wymienia recepty kulinarne, niż z tymi, którzy dyskutują o statystyce dziedziczności. Ale wychowała dwoje dzieci, z których, zgodnie z jej własnymi zasadami, mogła być dumna. Za jej poświęcenie należała jej się nagroda. A teraz groziło, że Chiron tę nagrodę ukradnie.

Myśl ta wywołała w niej dreszcze przerażenia. Jean siedziała na kanapie koło wielkiego ekranu ściennego, przyglądając się twarzy Howarda Kalensa, który potępiał "politykę niezdecydowania" Wellesleya jako coś, co przyczyniło się do zabójstwa żołnierza zastrzelonego ubiegłego wieczoru i wzywał do "pozytywnych inicjatyw na rzecz wzięcia spraw mocno w garść, czego sytuacja tak wyraźnie wymaga".

– Dwudziestotrzyletni chłopiec – powiedział przed chwilą Kalens – którego powierzono nam dzieckiem, abyśmy mu dali szansę żyć życiem z perspektywami w nowym świecie, wolnym od kajdan i łańcuchów... przeżyć swe życie z dumą i godnością, jak Bóg tego chciał – skoszony w chwili, gdy zaledwie rzucił okiem na tę planetę i – odetchnął jej powietrzem. Bruce Wilson nie umarł wczoraj. Jego życie zakończyło się, gdy miał trzy lata.

Chociaż Jean odczuwała dla żołnierza sympatię, linia, którą Kalens zdawał się proponować, z perspektywą coraz większych kłopotów i nieuchronnych dalszych zabójstw, martwiła ją jeszcze bardziej. Dlaczego zawsze tak musi być? – zadawała sobie pytanie. Wszystko czego pragnęła, to poczuć się przytulnie i bezpiecznie, patrzeć, jak jej dzieci wyrastają na przyzwoitych, godnych szacunku, odpowiedzialnych dorosłych, którzy staną się częścią otulającego ją kokonu dobrze znanej codzienności – zarówno dla ich przyszłego dobra, jak dla niej samej. Miała prawo tego oczekiwać, jako czegoś należnego, ponieważ zasłużyła na to swoim poświęceniem. Nikomu to nie zagrażało. Dlaczego więc spory innych ludzi, spory, do których powstania się nie przyczyniła, miały teraz zmieść to wszystko?

Tego ranka Paul Lechat, o którym nigdy nie myślała jako o kimś zdolnym do jakiegokolwiek konfrontacji, zgłosił swą kandydaturę ostatniej minuty w wyborach i wezwał do ustanowienia osobnej kolonii Ziemi w Iberii, gdzieś na Selene. Chciał, żeby Ziemianie mogli już teraz żyć według własnych wyobrażeń, bez postronnych niszczących wpływów, o ile zaś będzie możliwe – by rozwiązanie takie przybrało charakter stały, jeśli będzie to ludziom odpowiadać. Dla Jean propozycja zabrzmiała jak dar z nieba, dla wielu innych również, sądząc z masowego poparcia, jakie w ciągu kilku godzin ujawniło się ze wszystkich stron. Czemu więc wszyscy nie mogą być tego samego zdania? – dziwiła się. Przecież to było takie oczywiste. Dlaczego trafiali się niektórzy tak uparci, że interesy polityczne stawiali wyżej niż to, co zdrowy rozsądek dostrzegał jako dobro powszechne? Tacy jak Kalens, który w tej danej chwili uznał Lechata za zagrożenie i wzywał swych zwolenników do działania.

– Czy mamy uciekać i kryć się po drugiej stronie planety ze strachu, by nie urazić zdezorganizowanej i niezdyscyplinowanej rasy, która wszystko, z czego korzysta, w oczywisty sposób zawdzięcza nam i bezkarnie to wszystko marnotrawi, jakby nic nie miało wartości i nie musiało zostać zapracowane? – pytał Kalens z ekranu. – Czyja wiedza i praca wymyśliły i zbudowały *Kuan-yin* i wraz z nią te same maszyny, które stworzyły dobrobyt na Chironie? Czyja nauka i umiejętność stworzyły nawet samą rasę Chironczyków, którzy teraz przypisują sobie prawo własności wszystkiego, co ich otacza, nas zaś odpędzają jak nędzarzy od uczy, którą myśmy sami zgotowali? – Zrobił efektowną pauzę, a jego twarz pod koroną srebrzystych włosów przybrała wyraz oburzenia. – Mówię: nie! Nie dam się wypędzić w taki sposób. Nie zgadzam się nawet być tego świadkiem. Stwierdzam publicznie i bez ograniczeń, że każda sugestia w tym kierunku może być

uznana tylko za kapitulację przed tchórzostwem moralnym, które nie zasłużyło nawet na pogardę. Przebyliśmy aż tutaj przez cztery lata świetlne przestrzeni kosmicznej i tu zostaniemy, by uczestniczyć w tym, do czego mamy prawo, i by korzystać z tego, co nam się jedynie słusznie należy. – Grzmot oklasków powitał tę orację. Jean nasłuchiwała się jej dość i poleciała Jeevesowi, by wyłączył ekran.

Po wystąpieniu Lechata przez chwilę świeciła jej nadzieja, że jego deklaracja wzbudzi lawinowe poparcie ze strony opinii publicznej, co z kolei wymusi bardziej światły kierunek polityki oficjalnej. Ale nadzieja ta zgasła w dwie godziny później, gdy Ewa i Jerry wstąpili na krótkie pożegnanie przed przenosinami, które równały się przyjęciu chirońskiego sposobu życia. Wiele osób jawnie poczyniło sobie w podobny sposób, szerzyły się nawet plotki o dezercjach z wojska. Jean nie mogła opędzić się od uczucia, że Ewa i Jerzy dezercerują także od niej, ale udało jej się być miłą i życzyć im wszystkiego dobrego. Zdawało się, że sam Chiron spiskuje osobiście przeciw niej, aby zburzyć jej świat i zniszczyć każdy fragment życia, jakie znała.

Dom, w którym mieszkała, też brał w tym udział. Już nie uważała go za spełnienie snów, jak to odczuwała w dniu przeprowadzki z *Mayflowera II*, ale za część tego samego spisku – małą łapówkę, która miała ją skusić do zaprzędania własnej duszy w ten sam sposób, jak posada pracownika naukowo – badawczego i nowe mieszkanie skusiły Ewę i Jerry'ego. Chiron nie chciał zostawić jej w spokoju. Był jak wirus, który atakuje żywą komórkę i przestraja jej procesy życiowe, aby wykonywała kopie jego samego.

Na tę myśl przeszły ją dreszcze. Wstała z kanapy, by odszukać Bernarda. Niewątpliwie siedział w piwnicy, którą wraz z Jayem przerobili na warsztat, uzupełniający warsztaty komunalne. Ostatnio Bernard o wiele więcej interesował się lokomotywą Jaya, niż to było na pokładzie *Mayflowera II*. Jean podejrzewała, że robi tak po to, by skłonić Jaya do częstszego przebywania w domu i by nieco rozproszyć jej złe przeczucia. Ale jego zainteresowanie nie przeszkodziło Jayowi w robieniu na własną rękę wycieczek do Franklina, niekiedy do późnej nocy, po całych godzinach spędzonych w łazience na układaniu fryzury, dobieraniu koszul i spodni w nieskończonych kombinacjach, ze smakiem, o który Jean nigdy go nie posądzała, oraz eksperymentowaniu z krawatami, o które nigdy przedtem w życiu nie dbał, chyba że mu tak kazano. Cokolwiek by Jay zamierzał, przynajmniej Marie udawało się litościwie ograniczyć swe zabawy do kręgu własnych przyjaciół i nie opuszczać terenu osiedla.

Gdy Jean stanęła w drzwiach, Bernard majstrował przy zespole suwaków i korb, które na próbę zamocował w łożu montażowym. Przyglądała się przez chwilę, jak mąż popchnął mały drążek, który ze swej strony spowodował, że wszystkie pozostałe części zaczęły się zgodnie i gładko ślizgać i obracać, choć do czego która z nich służyła i po co to wszystko było, pozostało dla Jean tajemnicą. Bernard pociągnął drążek wstecz, wszystkie części powróciły do pozycji wyjściowych. Podniósł głowę i uśmiechnął się. – Muszę się nisko pokłonić wojskowym metodom szkolenia – powiedział. O Stevie Colmanie można jedno tylko powiedzieć – on z pewnością wie, co robi. Nasz syn wykonał tu kawał pierwszorzędnej roboty. Zauważył wyraz twarzy Jean i przybrał bardziej poważną minę. Oj, postaraj się wyjść z tego, kochanie. Wiem, że wszystko tutaj wydaje ci się trochę dziwne. Czego innego można oczekiwać po dwudziestu latach? Potrzebujesz czasu, by się przyzwyczaić. Wszyscy się przyzwyczaimy.

– Ciebie to nie obchodzi, prawda? Tutaj... tak jak sprawy stoją... tym się nie zajmujesz. Jesteś jak Ewa i Jerzy. – Choć wiedziała, że mąż stara się zachowywać pojednawczo, nie potrafiła złagodzić tonu głosu.

– Jerzy powiedział kilka ciekawych rzeczy i do tego sensownych – odrzekł Bernard, odkładając łoże na ławkę przed sobą i przysiadając na stołku. – Chirończycy mogą mieć parę dziwnych

zwyczajów, ale mają wiele szacunku – zarówno dla nas, jak dla siebie wzajemnie. Nie jest to taki zły sposób na życie. Prawda, być może będziemy musieli nauczyć się obywać bez pewnych rzeczy, do których jesteśmy przyzwyczajeni, ale będziemy za to wynagrodzeni.

– Czy oni okazali szacunek temu chłopcu, którego zabili zeszłej nocy? – zapytała gorzko Jean. – A nasi mówią, że nawet nie wytoczą oskarżenia przeciw człowiekowi, który to zrobił. Co to za życie? Czy mamy pogodzić się z tym, że oni będą nam dyktować swoje normy strzelając do każdego, kto przekroczy ich zasady? Czy mamy pogodzić się z tym, że nie zrobimy nic, aż dostaniemy telefon z wiadomością, że Jay leży w szpitalu – albo jeszcze gorzej – dlatego, że powiedział nie to, co należy?

Bernard westchnął i zmusił się do mówienia spokojnym głosem. No, daj spokój... Ten "chłopiec" złamał surowy zakaz upijania się i zaczął maltretować dziewczynę jeszcze długo po tym, jak dostał wystarczająco wiele ostrzeżeń, by ochłonać. A syn Van Nessa był tam właśnie wśród ludzi, którzy wmieszali się, by go uspokoić. A ty co byś zrobiła, gdyby pijak stał się nieobliczalny i wymachiwał naładowanym pistoletem prosto w twarz twojemu dziecku? Co każdy by zrobił?

– Skąd to możesz wiedzieć? – sprzeciwiła się Jean. – Nie byłeś tam. I nie tak to wyglądało w opowiadaniu Kalensa przed chwilą. I masa ludzi z nim się zapewne zgadza.

– On tylko wygrywa ludzkie emocje, Jean. Ja też tego słuchałem tutaj przez parę minut, ale nie mogłem znieść. Wszystko, co go obchodzi, to wygrać parę argumentów na szkodę Wellesleya i zahamować szybki wzrost poparcia Lechata. A ta cała gadanina, że Chirończycy twierdzą, iż wszystko tu należy do nich – to czysta bzdura! Twierdzą, że nic nie jest dalsze od prawdy, tylko nikt nie chce poświęcić chwili na to, by się nad tym zastanowić.

Zamyślił się przez chwilę marszcząc brwi. To prawda, że nie był w "Dwóch Księżycach", ale z samego rana zadzwonił do Colmana i usłyszał relację, która brzmiała prawdziwie. Lecz przy takim nastroju Jean nie chciał o tym wspominać. – W każdym razie fakty dotyczące strzelaniny zostały zarejestrowane – powiedział. Wystarczy, że zapytasz o nie Jeevesa.

Wydawało się, że Jean już o tej sprawie przestała myśleć. Przez parę sekund spoglądała niepewnie na Bernarda, a potem powiedziała: – Tak naprawdę, to wcale nie o to chodzi. Idzie o... och, nie mogę tego inaczej wyrazić... o ciebie.

Bernard wcale nie wyglądał na szczególnie zdziwionego. Chcesz to zrzucić z serca?

Jean dotknęła czoła dłonią i rozpaczliwie potrząsnęła głową, jakby żądano od niej formułowania rzeczy, rozumiejących się same przez się. – Gdy cię poznałam, nie byłeś człowiekiem, który by siedział tutaj i bawił się pociągami, kiedy to wszystko dzieje się wokół – wyjąkała w końcu. – Czy nie rozumiesz? To, co się tutaj dzieje, w tej właśnie chwili, jest ważne. Dotyczy ciebie, mnie, Jaya, Marie i tego, jak wszyscy będziemy żyli – prawdopodobnie przez całą resztę życia. Przed dwudziestu laty ty – my oboje – coś byśmy zrobili. Dlaczego siedzimy tutaj i pozwalamy innym ludziom – próżnym, aroganckim, chciwym, pozbawionym skrupułów ludziom – decydować o naszym życiu? Dlaczego nic nie robimy? To o to chodzi. Nie mogę tego wytrzymać.

Bernard nie odpowiedział, tylko pytająco podniósł brwi.

Jean błagalnym gestem uniosła rękę. – Czy to, co dziś rano mówił Paul Lechat, nie przemawia do ciebie jako bardzo mądre? Czy to nie jedyna droga? Przecież on będzie potrzebował pomocy w tej sprawie. Miałam nadzieję, że zaraz tam zatelefonujesz i dowiesz się, czy jest tam dla nas coś do roboty. Ale ty prawie nie wspomniałeś o tym. Do diabła, wiem, że i ja jestem o dwadzieścia lat starsza, ale przynajmniej nie zapominałam o tym wszystkim, o czym mówiliśmy wówczas. Mieliśmy dopomóc w budowie nowego świata – naszego świata, takiego jakim być powinien. I co, przybyliśmy. Podróż skończona. Czy nie czas pomyśleć o zapłacie za bilety?

Bernard wstał, powoli przemierzał piwnicę, przyjrzał się półce narzędziowej na przeciwległej ścianie, głęboko coś rozważając. Przez dłuższy czas nie odpowiadał. W końcu wydał długie westchnienie i odwrócił się twarzą do Jean, która zrobiła w drzwiach krok do tyłu.

– Ciągłe jeszcze możemy go zbudować – powiedział. – Ale to nie jest dokładnie tak, jak myśleliśmy wtedy. Wiesz, Jerry miał rację – to całe społeczeństwo przeszło przez zmianę fazową ewolucji. Nie da się tego cofnąć tak samo, jak nie da się ptaków cofnąć do stadium gadów.

Bernard podszedł o krok bliżej, jego głos przybrał ton przekonujący i zachęcający.

– Popatrz, nie chciałem o tym mówić, dopóki sam bym się czegoś wcześniej nie dowiedział, ale my nie musimy się do tego wszystkiego mieszać – żadne z nas. Kalens i cała ta reszta należą do epoki, którą zostawiliśmy za sobą. Już ich nie potrzebujemy. Czy nie widzisz, że to nie przetrwa?

– O czym ty mówisz, Bernard?

– Kiedy pojechałem z Jayem do Port Norday, okazało się, że oni planują utworzenie nowego kombinatu dalej na północ. Potrzebują inżynierów – inżynierów termojądrowców. Prawie że mi obiecali, iż nie będę miał problemów z dostaniem się tam, może na kierownicze stanowisko. Pomyśl tylko – nasz własny dom, dokładnie taki, o jakim zawsze marzyliśmy, i koniec z zalewaniem sadła za skórę przez Merricka czy któregokolwiek z nich. Bernard uniósł wysoko ramiona. – Będę mógł być sobą po raz pierwszy w życiu... i ty też będziesz mogła, każde z nas. Już nigdy nie musimy od nich wysłuchiwać nauk: kim jesteśmy i kim mamy być. Czy to... – Przerwał, widząc, że jego słowa nie wywierają takiego wrażenia, jak się spodziewał. Jean cofała się tyłem przez drzwi, potrząsając głową w niemym proteście.

– Ciebie też to wzięło – szepnęła zduszonym głosem. – Tak, jak już wzięło Ewę i Jerry'ego. Och, jak ja nienawidzę tego miejsca! Czy nie widzisz, co ono robi z nas wszystkich?

– Ależ kochanie, wszystko co ja...

Jean odwróciła się na pięcie i pobiegła do windy. Chiron kradł jej życie, jej dzieci, jej przyjaciół, a teraz nawet męża. Przez chwilę chciała, by *Mayflower II* zrzucił wreszcie te bomby i starł z powierzchni planety Chirończyków co do jednego. A wtedy mogliby zaczynać od początku, czysto i przyzwoicie. Wstydząc się tej myśli odepchnęła ją od siebie, wracając do holu. Spojrzała na barek pod przeciwległą ścianą, po chwili wahania podeszła i naląła sobie dużą szklankę nie rozcieńczonego alkoholu.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

– On jest zdumiewający, prawda? – powiedziała Shirley z lękiem, nachylona, by lepiej widzieć, nad ramieniem swej siedzącej na podłodze córki Ci. – Musi mieć wskutek mutacji genetycznej lepkie palce czy coś w tym rodzaju.

– Lepkie palce, to ostatnia rzecz, która by się tu nadała mruknął Driscoll, nie podnosząc głowy. Zręcznie wyrównał talię kart, przełożył ją kilka razy w powietrzu i potasował, a potem zaczął je rozdawać tak płynnymi ruchami, że zdawało się, iż talia sama się rozdaje.

– No to popatrzmy, co tu mamy – rzekł Adam. Wziął swe karty i rozłożył w wąski wachlarzyk. To samo zrobiła reszta graczy przy stole: Paula – jedna z cywilnych dziewcząt z *Mayflowera II*, i Czang, ciemnoskóry przyjaciel Adama.

– Można nie patrzeć – powiedział nonszalancko Driscoll. Ty masz parę króli. – Adam parsknął i rzucił otwarte karty na stół. Miał króla kier, króla pik i trzy karty nie do pary.

– A co ja? – spytała Ci, patrząc na Driscolla. Pochyliła się w bok, pokazując matce swą rękę.

Driscoll popatrzył na nią. – Trzy damy, a ja mam lepiej powiedział. Ci i Shirley wymienili zakłopotane spojrzenia.

Paula przyglądała mu się z szelmowskim uśmiechem. – A czy myślisz, że masz lepiej niż ja? – zapytała dziwnym głosem.

– Pewnie – odrzekł Driscoll. Na moment zabłysły mu oczy. Jeśli chcesz wiedzieć, w jaki sposób pobiję, to asami.

– Jesteś pewien, Tony? – spytała Paula. – Ale nie założysz się o to, prawda? – Paula zwróciła głowę do swego przyjaciela Terry'ego, również z *Mayflowera II*, przyglądającego się grze zza jej pleców, i uśmiechnęła się chytrze.

Driscoll patrzył jej spokojnie w oczy. – Zaryzykuję – powiedział. – A gdybyśmy grali na pieniądze, postawiłbym.

– Ile? – spytała Paula.

Driscoll wzruszył ramionami. – A ile ty?

– Dwadzieścia?

– Zgoda, dwadzieścia przebite.

– Pięćdziesiąt?

– Jestem.

– Setkę?

– Setkę.

Uradowana Paula rzuciła na stół cztery asy. – Przegrałeś! No i co? Rozłożyłam go. Widzicie, ja wiedziałam, że on blefuje.

– Blefuje? Ucho! – Driscoll położył na stół jeszcze pięć asów, a w pokoju wybuchły śmiechy i oklaski.

– Hej, mnie nikt nie pytał, co mam – powiedział Czang. – Ja to biję.

– Ty? – spytał zdziwiony Driscoll.

Czang rzucił karty na stół i wycelował w partnera dwa czarne palce. – Smith & wesson bije pięć asów. – Wyszczrzył zęby i wstał od stołu. – Czy wszyscy chcą drinka? – Dało się słyszeć chóralne potwierdzenie i Czang poszedł do baraku na końcu pokoju.

Słowa Shirley, by się z nią skontaktować, gdy przyleci na planetę, Driscoll potraktował

poważnie, ona zaś zaprosiła go do siebie do Franklina na przyjęcie. Dodała, że może przyprowadzić z sobą kogo tylko zechce. Driscoll poprosił więc Colmana, Swyleya, Maddocka i Stanisłaua, oni zaś wspólnie przekonali Sirocca, by także przyszedł. Sirocco znów zaproponował, by wziąć wraz z nimi kilka dziewcząt z *Mayflowera II*. Adam, który jak się okazało był przyjacielem Ci, został również zaproszony wraz z Kath, oni natomiast ze swej strony przyprowadzili brata bliźniaka Adama, imieniem Casey, oraz dziewczynę Casey z *Mayflowera II* – tę wesołą, której Colman nie mógł wtedy zidentyfikować.

Okazało się, że jest to bardzo zgrabny rudzielec, imieniem Weronika, zajmujący apartament w segmencie Baltimore. Colman pamiętał ją trochę z widzenia, ale dotychczas nie wiedział, jak się nazywa. Gdy rozmawiali przy barku wcześniej tego wieczoru, Weronika była nie mniej zaintrygowana Colmanem, niż on nią. Oczywiście tam byłem – odpowiedział na jej pytanie, zadane z szatańskim błyskiem w oku. – Mało jest miejsc, których by się w ciągu dwudziestu lat wcześniej czy później nie zwiedziło.

– A czegoś by taki przystojny sierżant jak ty szukał w segmencie Baltimore?

– A któż by się tym interesował?

Przyjrząwszy się przez parę chwil jego niewzruszonej twarzy, Weronika powiedziała cichym głosem: – To ty, prawda?

– Nawet gdybyśmy założyli, że wiem, o czym mówisz, nie sędzę, byś spodziewała się odpowiedzi. – Oboje więc już wiedzieli i wiedzieli także, że drugie też wie. Oboje nawzajem poddali próbie swą dyskrecję i z uznaniem przyjęli wyniki. Dalsze słowa były zbędne.

Ponieważ wszystkie bary zostały po strzelaninie objęte zakazem wstępu dla żołnierzy, przyjęcie wypadło w sam czas – pomyślał Colman, stojąc oparty o barek i ze szklanką w rękę, rozglądając się po pokoju. Z tyłu za nim Swley i Stanisłau stali w grupie Chirończyków płci obojga, wypytujac o środki komunikacji i warunki podróży na Chironie; na środku pokoju, Sirocco w innej grupie dyskutował na temat komunikatów wojennych z Ziemi. Maddock zaś, wyglądając już na z lekka zużytego, leżał wyciągnięty na tapczanie w alkowie po przeciwległej stronie, obejmując ramieniem Wendy, jedną z dziewcząt z *Mayflowera II*, która chyba zasnęła. Najprzyjemniej było znaleźć się z dala od awantury politycznej, która rozdarła Misję na stronictwa już nazajutrz rankiem po strzelaninie. Kalens domagał się narzucenia we Franklinie ustawodawstwa ziemskiego; Lechat chciał, aby wszyscy przenieśli się do Iberii; ktoś nazwiskiem Ramisson żądał rozwiązania Kongresu i integracji z ludnością Chirona, a gdzieś pośrodku Wellesley próbował sterować własnym kursem między nimi wszystkimi. Na jednym ze skrajnych skrzydeł niektórzy zignorowali dyrektywę, by pozostawać na terenie Canaveral i wynosili się stamtąd, na drugim zaś niektórzy popierali Kalensa, organizując antychirońskie demonstracje z żądaniem polityki twardej ręki. Padawski oraz jego grupa spod "Dwóch Księżyców", z Anitą włącznie, byli zatrzymani w bazie wojskowej w Canaveral, w oczekiwaniu na przedstawienie im oskarżenia o niewykonanie rozkazów i chuligaństwo. Ramelly był dodatkowo oskarżony o pobicie, Padawski zaś o brak dyscypliny w podległym mu pododdziale oraz o groźby karalne. Groźby te stały się główną przyczyną zatrzymania grupy Padawskiego w bazie, ponieważ niektórzy politycy obawiali się reakcji Chirończyków, gdyby ludzie ci pozostawali na wolności. Colman nie przypuszczał, by groził im odwet, gdyż żaden z Chirończyków, z którymi rozmawiał, nie przywiązywał większego znaczenia do incydentu. Życzyłby więc sobie, aby więcej polityków widziało sprawę w takich proporcjach, zamiast dla swoich celów rozdmuchiwać wypadek ponad wszelką miarę. Gdyby się do tego nie mieszało i pozwolono, by wojsko własnymi metodami załatwiło sprawę z własnymi ludźmi myślał – o całej sprawie nikt by już nie pamiętał.

Adam, Casey i Weronika siedzieli za stołem, przy którym Driscoll dawał swój pokaz. Kath

podeszła, by zamienić z nimi parę słów. Choć Colman czuł się teraz przy niej mniej skrępowany niż na początku znajomości, musiał włożyć dużo wysiłku, by przyzwyczaić się do poczucia, że jest swobodnie i naturalnie akceptowany przez kogoś takiego jak ona i traktowany, jakby był kimś ważnym na *Mayflowerze II*. Wówczas gdy szedł z nią z domu Adama pod "Dwa Księżycy", czuł się trochę jak zdefektowany robot Adama, Kulas – niezdarny, nie na miejscu i niepewny, o czym mówić i jak się zachować. Ale przez cały tamten wieczór, mimo wypadku ze strzelaniną, zarówno w drodze powrotnej i potem w domu Adama, jak i następnego dnia, gdy po służbie spotkali się na mieście w restauracji, Kath zachowywała się spokojnie i naturalnie. Powoli się odprężył, ale ciągle nie mógł wyjść ze zdumienia, że ktoś, kto był dyrektorem zakładów termojądrowych czy jak też tam się to jej stanowisko nazywało, mógł tak traktować sierżanta Inżynierii, zdegradowanego do służby w piechocie. Dlaczego tak postępowała? I w ogóle czemu jakikolwiek Chirończyk miałby się więcej niż przelotnie interesować jakimkolwiek Ziemianinem?

– Bo ona cię uwodzi – szepnął głos za jego plecami.

Colman odwrócił się i ujrzał Swyleya, który sterczał oparty rękami o bar i wpatrywał się w stojące tam butelki. Colman uniósł brwi. Gdyby chodziło o kogokolwiek innego, byłby bardziej zdumiony, lecz czytanie myśli przez Swyleya należało do rzędu jego tajemnych uzdolnień, które w kompanii "D" przyjmowano jako coś oczywistego. Po chwili Swyley kontynuował: – Uwodzą nas wszystkich. W ten właśnie sposób toczą wojnę.

Colman nie odpowiedział, ale pozwolił odczytać pytanie, które zadał w myśli. Swey oczywiście odpowiedział. – Nie produkują bomb, nie organizują armii. To zbyt brudne i zbyt wielu niewinnych mogłoby ucierpieć. Oni działają od podstaw. Prowokują u ludzi myślenie i zadawanie pytań, jakich nigdy nie uczono ich zadawać. W ten sposób po kawałku wybiorą fundamenty, aż dach sam się zawali. – Przerwał, po czym kontynuował, patrząc na ścianę. Jesteś inżynierem, a ona współkieruje zakładami termojądrowymi. Jeśli chcesz wyjść z wojska, masz tam miejsce dla siebie. To właśnie ona chce ci powiedzieć.

Colman po części zaczął już dostrzegać istnienie takiego planu, chociaż nie tak jasno i całkowicie, jak to Swyley opisywał. To co Swyley mówił, mogło być prawdą, lecz Colman był pewien, że w wypadku Kath coś jednak pominął, coś bardziej osobistego od motywów politycznych.

Poczuł na ramieniu dotknięcie ręki, która zaczęła sunąć do góry, aż pogłaskała go po karku. Odwrócił się i ujrzał, że to Kath. – Zaczynasz tu w kącie organizować kawalerskie przyjęcie – powiedziała. – Muszę je przerwać, zanim pomysł stanie się zaraźliwy.

Colman uśmiechnął się. – Słuszna myśl. Zaczynaliśmy już tu rozmawiać na tematy zawodowe. – Wskazał głową Weronikę, pogrążoną w ożywionej rozmowie z bliźniaczymi synami Kath i wyraźnie bardzo zadowoloną. – Ktoś tam ma wielkie powodzenie.

– A czy ona nie jest bardzo zabawna? – zapytała Kath. Właśnie przekonuje Caseya, by uczył ją architektury. I może się tego nauczyć. To inteligentna kobieta. Czy dawno ją znasz?

Colman uśmiechnął się pod wąsem. – Pierwszy raz ją zobaczyłem. To może idiotycznie wyglądać, ale faktem jest, że przed dzisiejszym wieczorem nigdyśmy się nie spotkali.

– Przez dwadzieścia lat na tym samym statku? To przecież niemożliwe.

Colman wzruszył ramionami. – Dziwne rzeczy zdarzają się na morzu, jak mówią. A myślę, że jeszcze dziwniejsze w kosmosie. – A ty jesteś kapral Swyley, który widzi rzeczy, których nie widać – rzekła Kath, robiąc krok w tamtą stronę. – Twój kapitan Sirocco powiedział mi, co potrafisz. Lubię go. Opowiedział mi także, w jaki sposób zepsułeś na statku manewry. Uważam, że to było wspaniałe.

– Jeśli i tak musisz przegrać, lepiej byś wygrał – odpowiedział Swyley. – Jeśli wygrywasz w niewłaściwy sposób, to przegrywasz, a jeśli przegrywasz jakimkolwiek sposobem, toś przegrał.

Więc czemu się nie zabawić?

– Co się stanie, jeśli wygrasz we właściwy sposób? – spytała go Kath.

– Wtedy przegrywasz z systemem. To tak, jak gra przeciw Driscollowi: system wyciąga własne asy.

W tym momencie jedna z chirońskich dziewczyn z grupy stojącej w kącie lekko wzięła Swyleya pod rękę. – Myślałam, że przygotujesz nam jeszcze trochę drinków – powiedziała. – Usychamy tam wszyscy z pragnienia. Mogę ci pomóc. A potem wracaj i opowiedz nam więcej o Mafii. To było bardzo interesujące.

Colman otworzył szeroko oczy ze zdziwienia. – On? Co on, u diabła, może wiedzieć o Mafii?

Dziewczyna rzuciła mu dziwne spojrzenie. – Jego wuj był szefem na całą West Side w Nowym Jorku i zgarnął przy tym na boku pół miliona. Gdy to wyszło na jaw, musiał wydać wszystko, by kupić miejsce na statku. Nie wiedziałeś o tym?

Przez chwilę Colman gapił się na nią z otwartymi ustami. Wiedział tylko, że Swyleya jako dziecko zabrał na *Mayflowera II* jakiś wujek, który w piętnastym roku podróży zmarł na serce. Hej, a jak to się stało, żeś nigdy nam o tym nie mówił?! – zawołał za Swyleyem, którego dziewczyna już uprowadzała z sobą.

– Nigdy mnie nie pytałeś – odrzucił Swyley przez ramię. Colman odwrócił się, potrząsnął rozpaczliwie głową i znowu spojrzał na Kath. Gdy Swyley dołączył do reszty towarzystwa, jej trochę oficjalne zachowanie zmieniło się w bardziej bezpośrednie. Colman patrzył na nią, a spojrzenie jej szarzielonych oczu błędziło spokojnie, ale badawczo po jego twarzy, jakby chciała przeniknąć do jego myśli. Uświadomił sobie z całą ostrością, że Kath ma pod obcisłą różową sukienką mocne, pełne ciało; miękkie rozwichrzone włosy o delikatnym aromacie i gładką, opaloną skórę na kształtnych ramionach. Przez cały wieczór podświadomie czekał na przyjście tej chwili, ale dopiero teraz gotów był to świadomie przyjąć. Jej promienne oczy wystarczyły, by rozproszyć wszystkie jego wątpliwości, ale uwarunkowania jakim był przez całe życie poddany, uniemożliwiły przełamanie bariery. Przez parę chwil, które zdawały się trwać wieki, czuł się jak we śnie: wiedział, co pragnie powiedzieć i zrobić, ale ciało i język miał sparaliżowane. Wiedział, że jest to odruch warunkowy, wywołany przez zakorzenione nawyki myślowe, lecz równocześnie brakło mu sił, by go przełamać.

Nagle zdał sobie sprawę, że Kath uśmiecha się w sposób mówiący, że nie musi niczego tłumaczyć ani się usprawiedliwiać. Patrząc mu nadal prosto w oczy powiedziała spokojnym i cichym głosem: – Lubimy się nawzajem jako ludzie i podziwiamy za to, czym jesteśmy. Na Chironie nie istnieje lęk przed tym, co powinno nastąpić. Ludzie, którzy czują do siebie to co my, zwykle idą do łóżka, jeśli mają na to ochotę. – Przerwała na chwilę. – Czy nie chcesz właśnie tego?

Colman wahał się jeszcze sekundę, poczuł, że sam się do niej uśmiecha, a ulotne światełka, tańczące w jej oczach mówią mu: Jesteś wolnym człowiekiem. w wolnym świecie. I nagle niewidzialna bariera prysnęła.

– Tak, chcę – odpowiedział. Nic więcej nie trzeba było mówić. – W Port Norday mieszkam tylko w dni robocze – powiedziała Kath. – Mam też mieszkanie we Franklinie. Zupełnie blisko stąd.

– A ja mam służbę dopiero jutro o świcie – odrzekł Colriian.

Znów się uśmiechnął, a ona odpowiedziała mu szelmowskim uśmiechem.

– To co my tu jeszcze robimy? – zapytali równocześnie.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

I

Kath przerwała rozmowę i przechyliła się, by nalać wina z karafki stojącej na nocnym stoliku koło łóżka. Colman, rozłożony na miękkich poduszkach, z przyjemnością rozglądał się po pokoju, rozkoszując się miłym, ciepłym poczuciem odprężenia, którego nie doznawał od długiego czasu. Był to przytulny, pogodny i kobiecy pokój, pełen gobelinów, atlasowych draperii, puszystych dywanów, pastelowych kolorów i miłych drobiazgów, rozstawionych na półkach i półeczkach. Bardzo przypominał apartament Weroniki w segmencie Baltimore. Na przeciwległej ścianie wisiała fotografia dwóch chłopaków o łobuzerskich minach. Choć na zdjęciu mieli ze dwanaście lat, rozpoznał w nich bez trudu Casey'a i Adama. Inne, otaczające ją fotografie przedstawiały, jak przypuszczał, resztę rodziny Kath. Jedyna oprawiona, stojąca na toalecie, przedstawiała kogoś podobnego do Adama, choć mniej do Casey'a – ciemnowłosego, brodatego mężczyznę w wieku Colmana. Domyślił się, że jest to Leon, choć wolał o to nie pytać. Bardziej z powodu zahamowań, wynikających z własnego wychowania, niż obawy, że będzie to krępowało Kath. Zainteresował go obraz przedstawiający scenę wiejską w dwudziestowiecznej Nowej Anglii – podarunek od jednego z przyjaciół, powiedziała Kath, gdy zwrócił na to uwagę. Od chwili przybycia na Chirona Colman spotkał wiele takich pamiątek życia na Ziemi, nie znanego żadnemu z Chirończyków. Pytając o nie dowiedział się, że uczucie nostalgii za planetą ich pochodzenia, znaną tylko z drugiej ręki za pośrednictwem maszyn, nie było rzadkością wśród Chirończyków.

Kath odwróciła się od stolika nocnego i usiadła, by wypić trochę wina, po czym oddała mu szklankę i znów przytuliła się do jego ramienia. – Przypuszczam, Steve, że musimy bardzo dziwnie wyglądać w twoich oczach, pochodząc od maszyn i komputerów. Zaśmiała się cicho. – Założę się, że na waszym statku jest wielu ludzi, uważających nas za kosmitów. Czy są przekonani, że poruszamy się jak Kulas i mówimy monotonnymi, metalicznymi głosami?

Colman uśmiechnął się i popił ze szklanki. – Tak źle nie jest. Ale niektórzy z nich mają na ten temat zabawne pomysły – a w każdym razie mieli. Masa ludzi nie może wyobrazić sobie, że dzieci zrodzone z maszyn mogą być czymś, co nie byłoby... "niehumaniczne". Myślę, że określiłabyś to słowem – zimne, czy jakimś podobnym.

– Zupełnie tak nie było – powiedziała. – Chociaż, jak przypuszczam, nie powinnam wiele o tym mówić, bo nie mam z czym porównywać. Ale tam było... – wzruszyła ramionami ciepło, przyjaźnie... sporo rozrywek i zawsze pełno ciekawych rzeczy, których można się było dowiedzieć. Na pewno nie żałuję, że nie kładziono mi w głowę tego wszystkiego, na co później mnóstwo ziemskich dzieci musi poświęcać całe życie, by się z tego wywikłać. Nauczyliśmy się uznawać i szanować wzajemnie za zdobyte umiejętności i różni ludzie byli uznawani za przywódców dla różnych spraw. Nikt nie może być ekspertem od wszystkiego, dlatego pojęcie stałego, absolutnego "szefa", czy jak to się tam nazywa, nigdy nie chwyciło.

– Jak długo byłaś tam, na *Kuan-yin*, Kath, zanim wysłano cię na dół, na planetę?

– Byłam jeszcze bardzo młoda. Nie potrafiłabym sobie dokładnie przypomnieć, nie sprawdzisz w notatkach. Na górze powierzchnia i warunki życia były ograniczone i maszyny skierowały pierwsze grupy na dół, gdy tylko zbudowały dla nich bazę.

– Od tej pory statek bardzo się zmienił – zauważył Colman. Spozrzegłem to w dniu, gdyśmy tam przylecieli z *Mayflowera II*, wkrótce po przybyciu... wtedy gdy Shirley i Ci poznały Tony'ego Driscolla. Dziób statku musi być przynajmniej dwa razy większy niż dawniej.

– Tak, zrobiono tam wiele różnych rzeczy przez ostatnie dziesięć czy piętnaście lat.

– A co to za zmiany wokół rufy? – zapytał ciekawie Colman. – Wygląda to na zupełnie nowy system napędowy.

– Bo jest. Zespół naukowy przebudowuje *Kuan-yin*, by wypróbować napęd na antymaterię. Projekt jest już całkiem niezłe zaawansowany. Tam na Ziemi pracują nad tym samym, prawda?

Brwi Colmana podjechały wysoko w górę ze zdumienia. – To prawda, ale... dla mnie bomba! Nie miałem pojęcia, że jesteście tutaj aż tak zaawansowani. – Eksperymenty i badania nad ujarzmieniem wyzwolonej energii antymaterii prowadzone były na Ziemi od pierwszej ćwierci wieku, głównie pod kątem programu zbrojeń. Ich atrakcyjność wynikała z teoretycznej sprawności energetycznej anihilacji materii z antymaterią – stuprocentowego przekształcenia masy w energię, co zaćmiewało nawet reakcję termojądrową. W zastosowaniu do bomb i wiązek napromieniania proces dawałby niszczycielskie efekty, a od dawna też doceniano możliwości, jakie taka wiązka otwierała jako wysoce efektywny system napędu statków kosmicznych.

Jeśli Chirończycy już go montowali na *Kuan-yin*, musieli wcześniej rozwiązać masę problemów, które na Ziemi ciągle jeszcze były sporne – pomyślał Colman. I zdał sobie w tym momencie sprawę, że cała ta planeta była gigantyczną siłownią, napędzającą postęp, nie hamowany żadnymi nierozumnymi tradycjami ani przeszkodami ze strony właścicieli zainwestowanych kapitałów. Jeśli ten wzorzec będzie funkcjonował dalej, póki Chiron nie stanie się gęsto zaludnioną planetą, za sto lat zostawi za sobą Ziemię w epoce kamiennej.

– Czy lataliście nią już kiedyś? – zapytał, zwracając głowę do Kath. – To znaczy *Kuan-yin*... czy zrobiła jakąś wyprawę po wejściu na tutejszą orbitę?

Kath potwierdziła ruchem głowy. – Na oba księżyce, a także wyprawy do wszystkich planet systemu Alfry. Ale to już było dawno. Jeszcze z pierwotnym napędem. Jest program utworzenia stałych baz w całym systemie, ale odłożyliśmy budowę statków, które miały to wykonać, do chwili kiedy zdecydujemy, jak będą napędzane. Dlatego *Kuan-yin* przebudowuje się na próbnik doświadczalny. Nie byłoby rozsądne pośpiesznie budować mnóstwo zwykłych silników termojądrowych, które za parę lat mogą stać się przestarzałe. W tym czasie na Chironie jest dużo do zrobienia, więc z tym nie ma pośpiechu. – Zwróciła się twarzą do niego i potarła policzek o jego ramię. – Ale po co o tym rozmawiamy? Powiedziałeś mi, bym ci nie pozwalała mówić o sprawach zawodowych. Okay, tak zrobiłam. No i właśnie!

Colman uśmiechnął się i pogłaskał ją po głowie. – Masz rację. Więc o czym chciałabyś posłuchać?

Przytuliła się mocniej i położyła mu rękę na piersi. – Opowiedz mi o Ziemi. Mówiłam ci, jak ja rosłam. A jak było z tobą?

Colman uśmiechnął się smutnie. – Ani nie pochodzę z dobrej rodziny, ani nie mam rodowodu pełnego słynnych przodków, by warto o tym mówić – ostrzegł.

– Nic takiego mnie nie interesuje. Chcę po prostu usłyszeć o kimś, kto tam żył i stamtąd przybył. Skąd ty pochodzisz?

– Początkowo z miasta zwanego Chicago. Słyszałaś o nim?

– Oczywiście. Leży nad jeziorem.

– Zgadza się – nad jeziorem Michigan. Sądzę, że byłem skutkiem niezbyt pożądanego przypadku. Moja matka lubiła wesołe życie – wielu mężczyzn, noce poza domem i te rzeczy. Myślę, że przez prawie cały czas jej przeszkadzałem.

– Czy twój ojciec też był taki?

– Nigdy nie dowiedziałem się, kto nim był. O ile wiem, nie dowiedział się tego nikt.

– Och, rozumiem.

Colman westchnął. – Więc ciągle uciekałem z domu, pakowałem się w głupie kłopoty i w rezultacie większość dzieciństwa spędziłem w państwowych domach dla trudnych dzieci. Czasami próbowano mnie umieszczać u różnych rodzin, ale nigdy nic z tego nie wychodziło. Ostatnia z nich bardzo się starała. Adoptowała mnie prawnie i w ten sposób dorobiłem się mojego nazwiska. Później przenieśliśmy się do Pensylwanii... Mój przybrany ojciec był inżynierem magnetohydrodynamiki i chyba dzięki temu nią się zainteresowałem... Ale znów wynikły kłopoty i wylądowałem w wojsku.

– Czy to tam zapoznałeś się z inżynierią? – spytała Kath.

– To przyszło później – gdy już pewien czas byłem na statku.

– Najpierw służyłem w piechocie... widziałem trochę walk w Afryce. Pomimo to większość podróży odbyłem w Korpusie Inżynierii... aż do wydarzenia sprzed roku czy dwóch.

– Czemu zgłosiłeś się na podróż?

Colman wzruszył ramionami. – Nie wiem. Sądzę, że nie wyglądało to tak, bym mógł tu narobić jeszcze większego bałaganu, niż już narobiłem.

Kath roześmiała się i przekręciła na plecy, by popatrzeć na sufit. – Jesteś bardzo podobny do nas, prawda? – powiedziała. Nie wiesz, skąd pochodzisz.

– To się zdarzyło całej masie ludzi – odpowiedział. – Po wojnie panował taki zamęt... Czy to ma jakieś znaczenie?

– Sądzę, że nie – powiedziała Kath. Przez pewien czas leżała w milczeniu, aż wreszcie odezwała się zamyślona. – Ale to ciągle nie to samo. Myślę, że urodzić się tam było cudowne... wiedzieć, że przez te wszystkie pokolenia pochodzisz bezpośrednio i wprost z czasów, gdy wszystko się zaczęło.

– Co?

– Życie! Ziemskie życie. Jesteś jego częścią. Czy to nie wspaniałe uczucie? Musi tak być.

– Ale ty też jesteś – nalegał Colman. – Geny chirońskie ostały wzięte z tego samego banku, co wszystkie inne. Na chwilę ody genetyczne zmieniły się w elektroniczne, a później z powrotem w kwas dezoksyrybonukleinowy. I co z tego? Książka zakodowana w komputerowym banku danych, jest nadal tą samą książką, gdy się ją stamtąd wyciągnie.

– Z technicznego punktu widzenia masz rację – przyznała Kath. Podniosła głowę, by z nieobecny wyrazem twarzy spojrzeć na zdjęcia swoich dzieci. – Mogą rozproszyć się po całej planecie, ich sposób życia może być dziwny w porównaniu z tym, do którego się przyzwyczaiłeś. Na swój sposób jest to szczęśliwe życie rodzinne – szepnęła. – Ale to ciągle nie jest to. Nie czuje się, by jakkolwiek jego część miała związek z czymś starszym więcej niż o pięćdziesiąt lat. Czy nie sądzisz, że to jest... no nie wiem, w jakiś sposób zawstydzające?

To o czym myślała, Colman zrozumiał nie wcześniej, niż w godzinę później, gdy siedział w wagonie maglevu w drodze do Canaveral, mając przed sobą niewesołe widoki urwania może godzinki snu, zanim obejmie służbę przed wschodem słońca, z ciężkim dniem w perspektywie.

Rodzina?

Ziemia?

Wyprostował się nagle na siedzeniu, gdy zaświtało mu zrozumienie, jak się to wszystko łączy. Być może Swyley mimo wszystko doszedł do prawidłowych wniosków.

To dlatego ktoś z Chirona zgadza się utrzymywać stosunki z kimś z Ziemi!

Chirończycy udostępniłi na tymczasowe koszary dla oddziałów wojskowych, kwaterujących na planecie, niedawno ukończony kompleks budynków zaprojektowanych jako szkoła, która miała być uruchomiona później, gdy Canaveral City się rozwinie. Należał do niego blok administracyjno – socjalny, którego Armia używała też głównie do celów administracyjnych i socjalnych; zespół bloków dydaktycznych, służących głównie za koszary, w części jednego z nich mieścił się areszt; ośrodek sportu i ćwiczeń fizycznych, który przekształcono w składnice, arsenał i garaż; oraz wspólna stołówka, którą pozostawiono bez zmian.

Było już po godzinie 4.00 czasu lokalnego, gdy Colman wrócił do dzielonego z Hanlonem pokoju w koszarach im. Omara Bradleya. Nawet w dwudziestoczerogodzinnym chirońskim systemie "długich godzin", była to pora dnia równie odrażająca, jak na Ziemi. Mając pokój do wyłącznej dyspozycji, ponieważ Hanlon był na służbie, Colman z pnyjemność. – ią wpełził między prześcieradła, nie troszcząc się o kąpiel, aby wyzyskać ile się da z możliwości niezakłóconego snu aż do 5.30, gdy nadejdzie jego zmiana.

Zdawało się, że ledwie dotknął głową poduszki, gdy pokojem wstrząsnął wybuch, a huk dobiegający do uszu postawił go na nogi, zanim jeszcze zdołał oprzytomnieć. Na zewnątrz budynku rozległy się jeszcze szybko po sobie następujące eksplozje, po nich zaś odgłosy strzelaniny, wrzaski i tupot biegnących stóp. W parę sekund później zawyła syrena, a z głośnika w pokoju rozległ się głos: – Alarm Ogólny! Alarm Ogólny! Próba ucieczki z aresztu. Wszyscy oficerowie i żołnierze zgłosić się na stanowiska alarmowe. Po czym nastąpił Bałagan Ogólny.

Colman spotkał w kancelarii kompanii Sirocca, działającego na własną rękę po otrzymaniu ze sztabu pułkownika Wessermana sprzecznych rozkazów. Sirocco skierował większość żołnierzy do zabezpieczenia bloku przed wtargnięciem z zewnątrz i zablokował wszystkie drogi, wiodące poza bramę. Wysłał Colmana z kombinowanym oddziałem z drugiego i trzeciego plutonu, aby udzielił pomocy tam, gdzie uzna za właściwe. Zaraz napotkali oddział SS – uranów, który zabrał ich ze sobą do bramy zachodniej – małej furtki wiodącej do obozu – przy której, jak podano, miała mieć miejsce akcja. Colman chciał ustawić posterunki wokół parkingu, gdzie parkował szereg samolotów towarowych, przysłanych z *Mavyflowera II*, ale sprzeciwił się temu starszy stopniem, który zapewnił, że zajmuje się tym inny oddział SS. A wtedy zgasły wszystkie światła.

Zdawało się, że połowa Armii zbiegła się przy zachodniej bramie, gdzie grupę uciekinierów przygnieciono ogniem do ziemi. Zamieszanie sięgnęło szczytu, a seria gromowych eksplozji okryła dymem areszt i składnice. Gdy dym się rozproszył, brakowało jednego z transporterów. Nikt nie pilnował parkingu.

Wkrótce potem poddała się grupa przy bramie zachodniej i okazało się, że jest ich tylko kilku, z całą masą urządzeń pozorujących. Radar wykrył transporter, który nisko i szybko leciał nad Morzem Śródchirońskim. Dwa ziemskie myśliwce, stojące w pogotowiu w bazie Canaveral, wysłano w pogoń. Przechwyciły go w chwili, gdy przelatywał nad przeciwległym brzegiem i zawróciły, wystrzeliwując dwie rakiety ostrzegawcze, po czym eskortowały go do Canaveral, gdzie jego załoga została aresztowana przez SS – uranów.

Ale historia, która zaczęła wychodzić na jaw w ciągu poranka, w miarę kolejnych przesłuchań, nie mogła wywołać uczucia ulgi. Okazało się, że przywódca grupy z bramy zachodniej, niejakiemu szeregowcowi Davisowi, Padawski powiedział, że brama ta będzie punktem zbornym do ataku na parking. Albo Davis z rozmysłem został tak wystawiony, aby odciągnąć pogoń, albo Padawski w ostatniej chwili zmienił plany. Nikt więcej nie pojawił się przy bramie zachodniej i grupa Davisa została na lodzie. Ale w schwytanym transporterze było tylko kilku żołnierzy, Padawski zaś wśród nich się nie znajdował. Oświadczyli oni, iż po zawładnięciu samolotem usłyszeli przez radio od

Padawskiego, że mają uciekać, póki się da, ponieważ on wraz z główną grupą zostali zablokowani przy koszarach Omara Bradleya. Ale Sirocco trzymał koszary Omara Bradleya dobrze zabezpieczone i obstawione i nikt się tam nie zbliżył. I w jakiś sposób, pośród tego wszystkiego, Padawski i dwudziestu trzech innych, wszyscy potężnie uzbrojeni, rozwiali się w powietrzu.

Dwóch uciekinierów i jeden strażnik zostali zabici przy bramie zachodniej, dwóch strażników ciężko zranionych w budynku aresztu. Sześciorga z przebywających tam żołnierzy płci żeńskiej, wśród nich Anity, brakowało.

– Od początku do końca fenomenalnie to spieprzono oświadczył Sirocco, szarpiąc wąsa podczas wieczornej rozmowy z Colmanem. – Zbyt wiele rzeczy, które nie mogły nie zagrać, właśnie nie zagrało... Nikt nie pilnował samolotów, nikt nie pilnował elektrowni, parę jednostek zostało skierowanych w jedno miejsce i ani jednego oddziału we wszystkie inne... I w jaki sposób dostali broń? Nie podoba mi się to, Steve, zupełnie nie podoba. Cały ten interes śmierdzi, jak stąd do nieba.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Już po krótkim czasie spędzonym na uniwersytecie koło Franklina, Jerry Pernak zdał sobie sprawę, że chirońska fizyka teoretyczna i eksperymentalna znacznie oddaliły się od głównego nurtu badań, prowadzonych na Ziemi. Naukowcy chirońscy nie tyle wyprzedzali swych ziemskich kolegów, ile – co nie było dziwne, biorąc pod uwagę brak na Chironie tradycyjnych nawyków myślowych oraz autorytetów, których szacowne opinie mogły być atakowane dopiero po ich śmierci – poszli w zupełnie nieoczekiwanym kierunku. A pewne rzeczy, na które natknęli się po drodze, były dla Pernaka zdumiewające.

Twierdzenie Pernaka, że Wielki Wybuch nie był aktem absolutnego stworzenia, lecz osobliwością oznaczającą zmianę fazową z jakiejś wcześniejszej – jeśli ten termin miał w ogóle zastosowanie – epoki, w której znane prawa fizyki wraz z samymi pojęciami czasu i przestrzeni załamywały się, było reprezentatywne dla powszechnie przyjętych mniemań, istniejących wówczas na Ziemi. Istotnie, jeśli dziwaczne warunki istniejące przed Wybuchem nie mogły zostać opisane w terminach jakiegokolwiek intuicyjnie znaczącego modelu myślowego, zaczynały jednak świtać niektóre z ich właściwości, wyłaniając się z abstrakcyjnego symbolizmu niektórych gałęzi fizyki matematycznej.

Oszalaniające mnożenie się najpierw barionów i mezonów, a później kwarków, mających tę sprawę uprościć, które było plagą studiów nad strukturą materii pod koniec dwudziestego wieku, zostało sprowadzone do uporządkowanej hierarchii "generacji" cząstek. Każda generacja składała się tylko z ośmiu cząstek: sześciu kwarków i dwóch leptonów. Pierwsza generacja zawierała kwarki "górnny" i "dolny", każdy występujący w trzech kolorach – wariantach ładunku silnych oddziaływań jądrowych, co dawało ich w sumie sześć; oraz elektron i neutrino elektronowe. Druga generacja była zbudowana z kwarków "dziwnych" i "powabnych", oba znów występujące w trzech możliwych kolorach, mionu i neutrino mionowego. Trzecia generacja zawierała kwarki "piękny" i "czarowny", lepton tau i neutrino tau. I tak dalej.

Generacje odróżniały się tym, że każdy reprezentant każdej z nich miał swój odpowiednik we wszystkich innych, identyczny pod każdym względem, z wyjątkiem masy: na przykład mion był elektronem, ale dwieście razy cięższym. Jak w końcu zrozumiano, każdą następną generację stanowiły te same cząstki "stanu podstawowego" z pierwszej generacji, podnoszone do kolejno wyższych stanów wzbudzenia. W zasadzie nie istniała granica liczby wyższych generacji, które można było produkować, dostarczając odpowiednio wyższych energii wzbudzenia, eksperymenty zaś zdawały się potwierdzać to przewidywanie. Niemniej wszystkie te egzotyczne odmiany cząstek mogły być wyjaśnione ciągle za pomocą tych samych ośmiu kwarków i leptonów stanu podstawowego plus odpowiadające im antycząstki oraz kwanty pola, za pomocą których oddziaływały na siebie. Tak więc po ogromnej pracy, pochłaniającej uczonych z całego świata przez niemal cały wiek, osiągnięto wielkie uproszczenie. Ale czy kwarki i leptony to był już koniec problemu?

Gdy dwa zespoły naukowców po przeciwległych stronach świata – jeden kierowany przez profesora Okasatokę w Tokijskim Instytucie Nauk, drugi w Stanford pod kierownictwem Amerykanina nazwiskiem Schriber – wypracowały identyczne teorie ujednoczenia kwarków i leptonów i równocześnie je ogłosiły. Okazało się, że odpowiedź jest negatywna. Jak z nowych teorii wynikało, szesnaście cząstek i antycząstek generacji stanu podstawowego może być wyjaśnionych

przez dwa tylko składniki, które odznaczały się zadziwiająco niewielką liczbą właściwości wrodzonych: każdy miał połówkowy moment spinowy, jeden miał ładunek elektryczny wynoszący jedną trzecią elementarnego, drugi nie miał żadnego. Inne właściwości, dotychczas uznawane za podstawowe, jak kolor ładunku kwarków, "smak" kwarków czy nawet masa, ku zdumieniu niektórych można było traktować jako konsekwencje sposobu, w jakich kombinacje tych dwóch podstawowych składników były ułożone, w znacznej mierze podobnie, jak melodia wynika z układu nut, ale nie może być pojmowana jako właściwość pojedynczej nuty.

Istniały więc dwa składniki, a każdy z nich miał swój "antyskładnik". Kwark lub lepton były tworzone przez tryplet albo trzech składników, albo trzech antyskładników. Istniało osiem możliwych kombinacji dwóch składników występujących w tryplecie i osiem dwóch antykomponentów w tryplecie, z czego wynikało szesnaście cząstek i antycząstek generacji stanu podstawowego.

Mając do wyboru dwa typy składników lub antyskładników dla każdego trypletu, mógł on zawierać albo trzy jednego typu, albo dwa jednego i trzeci drugiego. W ostatnim wypadku istniały trzy możliwe permutacje każdej kombinacji dwa – plus jeden, co odpowiadało trzem ładunkom kolorowym kwarków. Kombinacja trzech – jednego – rodzaju mogła być ułożona tylko w jeden sposób i odpowiadała leptonowi. Dlatego właśnie leptony nie mogły nieść ładunku kolorowego i nie reagowały na silne oddziaływania jądrowe.

Tak więc kwark lub lepton składał się zawsze z trzech składników lub antyskładników; masa wynikała jako konsekwencja tego, że składniki w tryplecie nie ulegały zmieszaniu. Kombinacje mieszane nie wykazywały masy i wyjaśniały istnienie cząstek wektorowych, pośredniczących w przenoszeniu sił podstawowych: gluonu, fotonu, bozonu wektorowego o masie zerowej i grawitonu.

Dla tych dwóch podstawowych składników Okasotaka zaproponował nazwę *kurni* – zaczerpniętą ze starojapońskiego określenia bogów sił Przyrody. Bogowie japońscy mieli dwie dusze: jedną łagodną – *nigi* – *rni* – *tama* i jedną gwałtowną – *ara* – *mi* – *tama*. Zgodnie z tym Okasotaka nazwał swe dwa rodzaje *karni*: *nigionami* i *araonami*, co międzynarodowy komitet standaryzacyjny uroczyście potwierdził i wprowadził do świątyni oficjalnie uznanej nomenklatury fizycznej. Schriber dla różnych kombinacji trypletów wymyślił sposób mnemotechniczny, nucąc sobie słówka takie, jak "li – la – la" dla kwarka głównego, "la – li – li" dla antykwarka dolnego, czy "la – la – la" dla pozytronu, i wobec tego nazwał dwa *karni* "lamy" i "firny". Studenci natychmiast dodali do tego "trala", jako określenie ogólne, i ku wielkiemu ubolewaniu strażników powagi naukowej, wersja ta została przyjęta do powszechnego użytku przez resztę uczonych całego świata, których wkrótce zmęczyło recytowanie "*nigi – nigu – ara*", a spodobało im się tamto. Naukowcy nie byli jednak przygotowani do zaakceptowania twierdzenia Schribera, że tym sposobem zostały zintegrowane: mechanika kwantralamiczna i re – la – li – tywizm.

Ponieważ oba słówka zaczynały się na tę samą literę, "la" zaczęto oznaczać jako "A", "li" zaś jako "I". Lam miał ładunek jednej trzeciej, firn żadnego. Dwa lamy i jeden firn tworzyły kwark górny, którego trzy możliwe kolory wyrażano trzema możliwymi permutacjami: AAI, AIA i IAA. Podobnie dwa firny i jeden lam dawały antykwark dolny w trzech kolorach ładunków AII, IAI i IIA; podobnie dwa "antyfirny" i jeden "antyli" – górny antykwark, a dwa antylimy i antylam – kwark dolny. Trzy lamy niosły wspólnie bezkolorowy ładunek jednostkowy, czego wynikiem był pozytron, oznaczany AAA; trzy antyfirny zaś, każdy o "antyładunku" jednej trzeciej, to znaczy ładunku ujemnym, tworzyły zwykły elektron. Trzy firny nie miały ładunku i dawały neutrino elektronowe, trzy antylimy zaś połączone zamykały generację stanu podstawowego antyneutrinem elektronowym. Wynikało z tego, że "antytrale" nie muszą w konieczny sposób tworzyć antycząstek, trale zaś nie zawsze dają cząstkę. Niemniej w budowie normalnej materii trale przeważały nad antytralami; na przykład proton;

składający się z dwóch kwarków górnych i jednego dolnego, był reprezentowany przez trójkę "tralapletów": AAI, AIA i AIA, zależnie od ładunków kolorowych przypisanych trzem składającym go kwarkom.

Ten schemat nareszcie wyjaśnił wiele rzeczy, które dotychczas były tylko notowane, jako zaobserwowane empirycznie ciekawe koincydencje. Wyjaśniał, czemu kwarki występowały w trzech kolorach: każda kombinacja jeden – plus – dwa lamów i limów miała trzy i tylko trzy możliwe permutacje. Wyjaśniał, czemu leptony były "białe" i nie poddawały się silnym oddziaływaniom; istniało tylko po jednej możliwej permutacji dla AAA lub III. Wyjaśniał też, czemu ładunki elektryczne kwarków i leptonów były równe: niosły je te same trale. Dalsze zaś studia "tralodynamiki" umożliwiły pierwsze spekulacje na temat, co zapoczątkowało Wielki Wybuch.

Wyniki matematyczne wskazywały na wcześniejszy stan fluidalny czystej "tralaterii", o nieokreślonych rozmiarach i szczególnych właściwościach, ponieważ przestrzeń i czas były związane jako wymiar złożony, co nie pozwalało na pojawienie się jakichkolwiek procesów analogicznych do czegokolwiek opisywalnego znanymi terminami fizycznymi. Istniały podstawy do przypuszczeń, że gdyby rozszerzająca się nodula rozplątanego czasu i przestrzeni została arbitralnie wprowadzona za pomocą jakiegoś mechanizmu niektórzy uzmysławiali to obrazem banieczki pojawiającej się w wodzie sodowej, choć nie było to ściśle – spadające "ciśnienie" wewnątrz banieczki zapoczątkuje kondensację surowej "tralaterii" z "tralaprzestrzeni", w formie eksplozji trafi i antytrali; przy czym trale zachowywałyby aspekt "czasopodobny", antytrale zaś "antyczasopodobny" pierwotnej beczasowej domeny ich pochodzenia. Ich wzajemne powinowactwo przyśpieszyłoby ich łączenie się w gęsty fluid fotonowy, w którym przywrócona zostałaby beczasowość, co zgadzałoby się z teorią względności, wyjaśniając, czemu dla poruszających się fotonów czas pozostawał nieruchomy oraz czemu w obserwowanym wszechświecie istniało dziwne powiązanie między stopniem upływu czasu i szybkością światła. Wysokoenergetyczne warunki pierwotnego fluidu fotonowego, którego gęstość zbliżała się do gęstości jądra atomowego, sprzyjałyby tworzeniu się jednostek "tralapletów", zapoczątkowując interakcję materii w warunkach zdominowanych przez silne oddziaływania jądrowe, co ujawniało się przywracając nie – Ablowską symetrią pomiarową w odniesieniu do wariacji stopni swobody, wprowadzonych przez rozdzielenie czasu i przestrzeni. Następnie już ewolucja wszechświata podążała zgodnie z dobrze znanymi zasadami.

Teorie obecnie preferowane na Ziemi przypisywały przewagę występowania materii we wszechświecie w porównaniu z antymaterią zakłóceniu równowagi w stosunku jeden do miliarda w reakcjach występujących w najwcześniejszej fazie Wybuchu. Dostępna energia produkowała wówczas obficie egzotyczne cząsteczki, nie występujące w obecnym wszechświecie, których model rozpadu łamał prawo zachowania liczby barionowej. W obecnym wszechświecie występowały rzadko, tylko jako nietrwałe "cząstki wirtualne" i były odpowiedzialne za niemal niemierzalny, ale zmierzony okres życiowy protonu, wynoszący 10^{31} lat.

Uważano, że cząstki wirtualne są dlatego wirtualnymi, ponieważ warunki obecnego wszechświata nie pozwalają na dostarczanie energii w ilościach koniecznych dla podtrzymywania istnienia tralapletów. Wobec tego jedynym sposobem stworzenia antymaterii było zogniskowanie w jednym punkcie dostatecznej ilości energii, by rozdzielić składniki pary wirtualnej, zanim pochłoną się wzajemnie, i podtrzymać ich egzystencję, co w praktyce oznaczało dostarczenie im przynajmniej ich równoważnika masowego, jak się to działo na przykład w gigantycznych akceleratorach. Z tego powodu szeroko rozpowszechnione były zastrzeżenia, że zysk energetyczny netto nigdy nie będzie mógł być uzyskany z późniejszej anihilacji antymaterii. Uważano, że w najlepszym razie jest to skomplikowany akumulator i do tego niezbyt sprawny; lepiej było zamiast podawać energię do

akceleratora, przyłożyć ją wprost tam, gdzie miała być zastosowana antymateria.

W tym właśnie miejscu fizyka chirońska poszła odmienną drogą. Chirończycy zrobili godny uwagi krok: rozciągnęli równoważność masy i energii na samą czasoprzestrzeń: wszystkie trzy były manifestacją tej samej "rzeczy". Fala uderzeniowa, tworząca się wewnątrz pierwotnej domeny tralaterii, mogła, jak wykryli, stworzyć gradient energetyczny dostateczny do "rozerwania" elementów złożonej czasoprzestrzeni i rozłożenia ich na znane wymiary czasu i przestrzeni, w których powszechnie przyjęte prawa fizyki mogły się ujawnić. W ten sposób Chirończycy odkryli przyczynę nieciągłości, którą uczeni ziemscy zmuszeni byli postulować arbitralnie.

Bezpośrednio z chirońskiej równoważności masy – energii – przestrzeni wynikała rozszerzalność czasu: ochładzający się fluid fotonowy przekształcał się wówczas zarówno w przestrzeń, jak w tralapety materii, przy czym stosunek między tymi procesami zależał od temperatury i przesuwiał się od sytuacji sprzyjającej tworzeniu tralapletów do tworzenia przestrzeni, w miarę jak ochładzał się wszechświat. W ten sposób galaktyczne przesunięcie ku czerwieni nie było spowodowane rozszerzeniem się kosmosu Chirończycy postawili całą sprawę na głowie i wyciągnęli odwrotny wniosek: że rozszerzanie się przestrzeni kosmicznej było produktem wydłużania się długości fal. Innymi słowy promieniowanie definiowało przestrzeń i w miarę jak ochładzało się do większych długości fal, rosła przestrzeń. Tak Chirończycy dokonali syntezy traladynamiki i ogólnej teorii względności, odnosząc właściwości przestrzeni do fotonów, jak również i właściwości czasu. "Wyspy" materialnych tralapletów, pozostawione przez ochładzający się fluid fotonowy, były zdominowane wewnątrz przez oddziaływania silne, podczas gdy grawitacja stała się oddziaływaniem dominującym w stworzonym na zewnątrz królestwie makrokosmosu, i wyspy te pod wieloma względami zachowywały się tak, jak mikrokosmosy z domeny, która dała im początek.

Jeszcze bardziej godną uwagi była następna predykcja, wynikająca z chirońskiego stosunku symetrii, który wymagał, by równolegle z wszechświatem powstał "antywszechświat", utworzony z antymaterii i stanowiący niezwykle królestwo, w którym "antyczas" biegł wstecz, "antyprzestrzeń" zaś kurczyła się z pierwotnej zerowej objętości. Wszechświaty jak cząstki tworzone były parami. I to właśnie dualizm wszechświatów, z których każdy odznaczał się czasoprzestrzenią rozłożoną na dwa wymiary dyskretne, był przyczyną dwukierunkowego dualizmu, manifestowanego przez trale i antytrale: lamy, limy, antylamy i antylimy były po prostu przestrzeniopodobnymi, czasopodobnymi, antyprzestrzeniopodobnymi i antyczasopodobnymi projekcjami tej samej fundamentalnej rzeczywistości, istniejącej w beczasowej i bezprzestrzennej domenie tralakosmosu.

I co było najbardziej zadziwiające, wystarczył tylko jeden "hipertral" w tralakosmosie, aby wytłumaczyć wszystkie projekcje, postrzegane jako lamy, luny, antylamy, antylimy i oba wszechświaty. Wszechświat w rzeczywistości był ekranem, na którym te same projekcje wciąż i wciąż się powtarzały w wyniku rozdzielenia się wymiarów przestrzeni i czasu na samym ekranie, co oczywiście powodowało, że każdy lam był taki sam, jak każdy inny lam, a każdy lim – jak każdy inny lim. Było to tak, jakby maszyna do pisania stwarzała papier w miarę pisania, pozostawiając płaskim mieszkańcom dwuwymiarowego wszechświata, który stworzyła, swobodę rozważania, dlaczego wszystkie znaki występujące seryjnie w ich własnym "płaskim czasie" musiały mieć dokładnie taki sam kształt.

Więcej trali niż antytrali było rzutowanych na ekran zwykłego wszechświata, a więcej antytrali niż trali na antywszechświat i to właśnie, zgodnie z chirońską interpretacją, było przyczyną, dla której wszechświat był zbudowany z materii, a nie z antymaterii. Odwrotne stosunki panowały oczywiście w bliźniaczym antywszechświecie. Wobec tego, rozumowali Chirończycy, sposobem na otrzymanie antymaterii byłoby spowodowanie, by mały kawałek wszechświata wyglądał jak

antywszechświat, aby tralakosmos mógł zostać "nabrany" na rzutowanie nań antytrali zamiast trali. Innymi słowy, zamiast wydatkować olbrzymie ilości energii na tworzenie antytrali "piechotę", jak to było uważane za nieuniknione przez większość uczonych ziemskich, czy nie lepiej było "przerzucić" trale w stan antytrali w materii, którą dysponowali?

Ku własnemu zdumieniu przekonali się, że jest to możliwe. Dokonali tego zaprzęgając wysokoenergetyczne inercyjne termojądrowe człony napędowe do produkowania plazmy dostatecznie skoncentrowanej, aby "zagotowała się" do czystego fluidu fotonowego, który w małej objętości mógł – odtwarzać początkowe warunki panujące w Wielkim Wybuchu. Wewnątrz niej przestrzeń i czas sprzęgły się ponownie i skurczyły dośrodkowo z implodującym rdzeniem, na chwilę symulując dziwaczne, odwrócone właściwości antywszechświata. W tym momencie znaczne ilości wyzwolonych w reakcji trali przekształcały się w antytrale, istniejące zaś warunki wysokoenergetyczne dawały uprzywilejowanie raczej przekształceniu się ich w antykwarki i antyleptony niż w promieniowanie. Występowały przy tym pewne straty wskutek ich anihilacji z cząstkami materii, również tworzącymi się, choć w mniejszych ilościach; to samo bez wątpienia następowało także w samym Wielkim Wybuchu, ale ostatecznym rezultatem był ogromny zysk energetyczny w porównaniu z energią włożoną dla potrzeby procesu i Chirończycy już dowiedli słuszności swego modelu teoretycznego w zakładzie eksperymentalnym na przeciwległym krańcu Orieny.

Oznaczało to, że mogą tanio "nabyć" znaczne ilości antymaterii. W rezultacie nauczyli się panować nad "małymi wybuchami", o których Pernak rozmyślał przez wiele lat.

Usiadłszy wygodnie w swym gabinecie, by dać umysłowi odpoczynek od wchłaniania informacji, prezentowanych na leżącym na przeciwległej ścianie ekranie, Pernak zaczynał rozumieć, że teoria ta otwierała całe nowe światy. To co mu tutaj zaświtało, nie było tylko fizyką: była to kompletnie nowa filozofia bytu, wynikająca z interpretacji fizycznej.

W chirońskim umyśle nie było miejsca dla odmalowanego przez wcześniejsze pokolenie ziemskich myślicieli ponurego obrazu wszechświata, zrodzonego przez wyjątkowy wypadek w przyrodzie, przez chwilę migoczącego jak iskra w ciemności nocy, by rozpląnąć się w nieskończoności i zamarznąć w lodowatym paraliżu rosnącej, nieubłaganej entropii. Dla Chirończyka wszechświat był tylko jednym atomem prawdopodobnie nieskończonego Kosmosu bratnich wszechświatów, z których każdy współistniał w każdym punkcie przestrzeni z pradomeną, jaka spłodziła jego rodzinę z rozrzutnością letniej chmury burzowej, siejącej kroplami deszczu. Poprzez to praźródło każdy wszechświat mógł się sprząć z każdym innym wszechświatem, sprzęgając się zaś z samym źródłem każdy jak to wykazało doświadczenie z wytwarzaniem antymaterii mógł być podtrzymywany, żywiony i zaopatrywany z nieograniczonej i nieskończonej hiperdomeny, tak ogromnej i niewyobrażalnej, że wszystko co istniało, od bakterii do najdalszych kwazarów, było ledwie cieniem jej najdrobniejszego pyłka.

Pernak wstał od biurka, przy którym pracował, i podszedł do okna, by popatrzeć w dół na trawniki między dwoma frontowymi blokami, tworzącymi skrzydła budynku. Pojawiało się coraz więcej pracowników i studentów, niektórzy odpoczywali rozwaleni na słońcu, inni tu i tam, korzystając ze zbliżającej się przerwy południowej zabawiali się sportem zespołowym. Pernak był przyczajony do życia wśród ludzi, odczuwających własną znikomość i lęk wobec wszechświata, który postrzegali jako zimny i pusty, zdominowany przez siły rozkładu, gnicia i na koniec – śmierci; świata, w którym kruche dziwactwo, zwane życiem, może niepewnie i przez krótką chwilę czepiać się kalekiej egzystencji, nie mającej prawomocnie przysługującego miejsca w porządku rzeczy. Nauka sięgnęła do początków wszystkiego, co można było pojąć, i taką ponurą odpowiedź znalazła

tam wypisaną.

W przeciwieństwie do tego Chirończyk widział bogaty, jasny, pulsujący wszechświat, przejawiający na każdym poziomie strukturalnym i w każdej skali wielkości tę samą nieodpartą siłę samoorganizującej się, samoporzadkującej ewolucji, która zbudowała z plazmy atomy, z atomów molekuly, później samo życie, a dalej najwyższe zjawisko: umysł i wszystko, co umysł mógł stworzyć. Słabiutkie zmarszczki, biegnące pod prąd ewolucji, były tak niezdolne do jej zatrzymania, jak lekki wietrzyk do odwrócenia biegu rzeki. Przyszłość obiecywała nowe horyzonty, otwierające się bez kresu na wiecznie rozszerzające się krajobrazy coraz bogatszej wiedzy, nieprawdopodobnych zasobów i nieograniczonych perspektyw. Bo sięgnąwszy do początków wszystkiego, co można pojąć, Chirończycy zaledwie zaczęli się uczyć.

I dlatego odrzucali złowrogą wiarę w nieuchronność poddania się ostatecznej uniwersalnej stagnacji i rozpadowi. Tak jak organizm umierał i rozkładał się z braku pożywienia lub miasto opuszczone przez swych budowniczych rozpadało się w proch, entropia rosła tylko w zamkniętych systemach, izolowanych od źródeł energii i życia. Ale wszechświat Chirończyków nie był już zamkniętym systemem. Jak sadzonka zakorzeniona w glebie i kąpiąca się w wodzie i promieniach słońca, jak komórka jajowa w łonie, dzieląca się i różnicująca, był on kwitnącym, rosnącym organizmem otwartym systemem, karmionym z niewyczerpanego źródła.

A dla takiego organizmu prawem uniwersalnym jest życie – nie śmierć.

Dziwne było, że zrozumienie, iż zaczyna przyswajać sobie chirońskie oddanie się życiu, zaniepokoiło Pernaka. Zaniepokoiło, bo im więcej dowiadywał się o ich historii i zwyczajach, tym bardziej rozumiał jak nieustępliwie i zaciekle bronić będą swej wolności, by dać wyraz temu oddaniu. Bronili jej indywidualnie i nie mógł sobie wyobrazić, by zbiorowo nie bronili jej z taką samą determinacją. Od przeszło dwudziestu lat wiedzieli, że *Mayflower II* się zbliża, a pod powłoką dobrodusznej swobody bynajmniej nie byli bierną i pokorną rasą, która powierzyłaby swą przyszłość przypadkowi i apelom do lepszych stron natury innych ludzi. Byli realistami, a Pernak był przekonany, iż przygotowali się na najgorsze, co sytuacja mogła przynieść. Choć nikt nie wspominał mu o jakimkolwiek uzbrojeniu, z tego co zaczynał wiedzieć o poziomie chirońskiej nauki, ich środki przeciwstawiania się złu, mogły być zaiste bardzo potężne.

Był spokojny, że Chirończycy nigdy nie sprowokują pierwszego działań wojennych, ponieważ nie żywili lęku przed Ziemianami i chętnie ich przyjęli, czego w pełni dowodziło wszystko, co zdarzyło się po przybyciu statku. Nie uważali, by sposób życia wybrany przez Ziemian w jakiegokolwiek mierze ich obchodził, ale nie pozwoliliby, aby na ich własny sposób życia ktokolwiek wpływał. Nie niepokoili się perspektywą współzawodnictwa o zasoby materialne, ponieważ z ich punktu widzenia wszelkie zasoby były nieomal nieskończone. Ale Pernak nie był tak pewien Ziemian – przynajmniej niektórych z nich. Kalens nadal wygłaszał podżegające przemówienia i rozkazywał poważnej liczbie zwolenników, sędzia Fulmire zaś był z oburzeniem atakowany przez pewne środowiska za odmowę zrewidowania decyzji o niewytaczaniu oskarżenia w sprawie zabójstwa Wilsona. Ostatnio zaś Pernak słyszał od Chirończyków o krążących po Franklinie ludziach, wyglądających na funkcjonariuszy wywiadu wojskowego po cywilnemu i stawiających pytania, zmierzające do zidentyfikowania

Chirończyków o skrajnych poglądach z żalami czy urazami, oraz ludzi o silnej osobowości – innymi słowy takich, którzy najlepiej nadawali się do zwerbowania w charakterze agitatorów czy organizatorów protestów. Te wysiłki nie dały wielu efektów, ponieważ Chirończyków bardziej bawiły, niż zaciekały. Ale fakt pozostawał faktem: ktoś badał szanse i możliwości posiania wśród Chirończyków niepokoju. Nie trzeba było długo zgadywać, by ustalić prawdopodobną przyczynę

takich działań: historia polityczna Ziemi roła się od wypadków, idy władze z rozmysłem prowokowały zaburzenia, aby usprawiedliwić w oczach własnych narodów brutalną reakcję. Jeśli jakaś grupa, prawdopodobnie nader potężna, rzeczywiście intrygowała, by spowodować konfrontację, i jeśli na tym, co Pernak zaczynał dostrzegać u Chirończyków, można było polegać, to grupę tę powinny oczekiwać paskudne niespodzianki. Pernaka nie one szczególnie martwiły, lecz to, że przy takiej okazji wielu ludzi musiałyby ucierpieć. Wiedząc to co teraz, uważał, że nie może sobie pozwolić na siedzenie na stronie i czekanie, aż sprawy przybiorą taki obrót.

Być może zbyt się pośpieszyłem – powiedział sobie – może byłem trochę zbyt naiwny podczas naszej rozmowy z Lechatem. Nadal wierzył, jak wierzył dotychczas, że Ziemianie we właściwym czasie mogą się wtopić w życie chirońskie, jeśli zostawi się ich w spokoju. Ale coraz wyraźniejsze było, że nikt ich w spokoju nie zostawi.

Nadal nie uważał, że permanentny Separatyzm jest rozwiązaniem. Ale na najbliższą przyszłość czułby się lepiej, widząc u steru kogoś zdolnego do wyważonej oceny sytuacji – kogoś takiego jak Lechat. Po namyśle Pernak pożałował swej odmowy pomocy dla Lechata. Lecz było już za późno, by to zmienić. Nie wiedział, w jaki dokładnie sposób mógłby dopomóc, ale zaczynał poznawać Cliirończyków i rozumieć wiele z ich sposobu postępowania. Z pewnością tę wiedzę można by z pożytkiem wykorzystać.

Lechat był na orbicie w *Mayflowerze II*, a Pernak miał opory przed składaniem tam wizyty, ponieważ jako "dezterter" nie był pewien, jakie przyjęcie oczekuje go ze strony władz. Armia wysyłała oddziały SS, by zmusić dezterterów wojskowych do powrotu; krążyły plotki, że nie wszyscy SS – mani odkomenderowani do tych zadań powrócili. Tak więc na wysokich szczeblach mogło się zacząć coś mocno przypominającego panikę. Nie uważał także za roztropne powierzania spraw, które chciał przedyskutować, elektronicznym środkiem łączności. Ale Ewa coś mówiła o tym, że Jean Fallows stała się bardzo aktywna jako stronniczka i organizatorka kampanii Lechata... Dobrze byłoby zacząć od tej strony.

Kiwnął głową sam do siebie. Tak właśnie uczyni. Zadzzwoni do Jean, a potem pojedzie do Cordova Village, by omówić wszystko z nią i z Bernardem.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Leighton Merrick ułożył palce w kształt żłobkowanej kolumny; podtrzymującej gotyckie łuki jego brwi i spoglądał w dół na biurko, dobierając słów. – Ach, przeglądałem wasze akta osobowe, Fallows – wyrzekł, spojrzawszy na koniec do góry. – Wykazują stałą i bardzo wydatną uwagę, poświęcaną szczegółom... wszystko wyczerpujące, kompletnie i należycie udokumentowane. To chwalebne, bardzo chwalebne... tego rodzaju postawa może być lepiej wykorzystana przez Służbę.

– Dziękuję, sir. – Oczywiście Merrick starał się go zmiękczyć. Bernard zachował nieruchomą twarz i zastanawiał się, co nastąpi teraz.

Merrick pozwolił swoim dłoniom opuścić się na wysokość piersi. – Jakiście się zainstalowali? Czy wasza rodzina dobrze się przystosowuje?

– Bardzo gładko, biorąc pod uwagę, że było to po dwudziestu latach lotu. – Bernard pozwolił sobie na słaby uśmiech. – Jean uważa niektóre sprawy za dziwne, ale jestem pewien, że jej to przejdzie.

– Dobrze, bardzo dobrze. A jaki macie pogląd ogólny na nasze stosunki z Chirończykami?

– Uważam, że są to krzepiąco uczciwi i bezpośredni ludzie. Z nimi wiadomo, na czym się stoi. – Bernard lekko wzruszył ramionami. – Biorąc pod uwagę, jak krótko tu jesteśmy, sądzę, że wszystko rozwija się zadziwiająco pomyślnie. Na pewno mogłoby być znacznie gorzej.

– Hmm... – Nie była to, jak się okazało, odpowiedź, której oczekiwał Merrick. – Jestem pewien, że nie wszystko wygląda aż tak dobrze – powiedział. – A co z zabójstwem kaprala Wilsona przed tygodniem?

– To było nieszczęście – zgodził się Bernard. – Ale moim zdaniem, sir, on to sprowokował.

– Niewykluczone, ale nie to miałem na myśli – powiedział Merrick. – Z pewnością nie usprawiedliwiacie przez to rządów motłochu, które tu ludziom zastępują prawo. Czy chcecie powiedzieć, że powinniśmy narażać naszych ludzi na to, że każdy z ulicy, któremu się nie spodoba, może ich zabijać?

Bernard westchnął. Jak zwykle Merrick próbował naciągać jego wypowiedzi tak długo, aż będą brzmiały, jak chciał. – Na pewno nie – odrzekł Bernard. – Ale uważam, że ludzie przesadzają na temat sytuacji. Ten incydent nie był reprezentatywny dla tego, czego możemy się spodziewać. Chirończycy tak traktują innych, jak sami są traktowani. Ludzie, którzy pilnują własnych spraw i nie wychylają się, by obrzydzać życie innym, nie mają czego się bać.

– Więc każdy stanowi prawo dla siebie – dokończył Merrick.

– Nie, tu istnieje prawo implicite i podlega mu każdy, ale trzeba umieć się go nauczyć. – Bernard zmarszczył brwi. Rozmowa nie wychodziła tak, jak sobie tego życzył. Aż prosiła się o replikę, że gdy dwaj patrzą na to samo, widzą co innego. Ale właśnie Chirończykom to nie przeszkadza. – Chciałem tylko powiedzieć, że nie sądzę, by sprawy wyglądały aż tak źle, jak niektórzy chcą je przedstawić – wyjaśnił, zdając sobie równocześnie sprawę, że wyjaśnienie jest kulawe.

– Przypuszczam, że słyszeliście ostatnie wiadomości o żołnierzach, którzy uciekli z koszar w Canaveral – powiedział Merrick.

– Tak, ale długo to nie potrwa. Jeśli Armia ich nie dostanie, zrobią to Chirończycy.

Padawski i jego ludzie jakimś sposobem pojawili się na przeciwległym, słabo zaludnionym brzegu Morza Śródchirońskiego i, jak się wydawało, usadowiwszy się w górach zbandycieli. Trudno

było sobie wyobrazić, na co bandyta mógłby liczyć na takiej planecie, jak Chiron, ale ich postępowanie wskazywało na zamiar wywarcia zemsty na Chirończykach. Napadnięto na dwa oddalone domy, splądrowano je i ograbiono; pięciu Chirończyków i jeden żołnierz zostali zabici. Trzy Chironki, w tym piętnastoletnia dziewczyna, zostały zgwałcone. Armia przeczesywała teren z powietrza i patrolami pieszymi, ale jak dotąd bez powodzenia – zdrajców dobrze wyszkolono w ukrywaniu się. Satelity były mało przydatne, gdy nie wiedziały dokładnie, czego szukać, szczególnie w terenie górzystym.

Bernard podejrzewał jednak, że Chirończycy są całkowicie w stanie dać sobie z tym radę bez pomocy Armii. Społeczeństwo to dysponowało przecież ekspertami w każdej dziedzinie, włącznie z pewną liczbą doskonale wyszkolonych strzelców wyborowych, a także zwiadowców leśnych, którzy w dawniejszych latach od czasu do czasu bywali wzywani, by uspokoić, a jeśli konieczne zlikwidować, uporczywych wicherzycieli. Na przykład Van Ness człowiek, który położył Wilsona celnym strzałem z głębi zatłoczonej sali – na pewno nie był amatorem.

Okazało się, że Van Ness, obok zawodu kartografa oraz drwala, był także doświadczonym myśliwym i odkrywcą, a także uczył strzelania bojowego oraz walki wręcz w szkole wojskowej we Franklinie, którą zwiedził Jay. Colman, spędziwszy popołudnie w górach w dalszej części Półwyspu na obserwowaniu ćwiczeń terenowych uczniów szkoły, wrócił przekonany – jak opowiadał Jay – że niektórzy z Chirończyków byli tak dobrzy, jak najlepsi snajperzy wojskowi.

Lecz Merrick nie był skłonny rozwodzić się nad tym aspektem zagadnienia. – Ale mimo wszystko Chirończycy są zabijani powiedział. – Na jak długo starczy im cierpliwości i jak długo będziemy musieli czekać, aż przynajmniej niektórzy z nich nie zdecydują się wziąć sprawy we własne ręce i rozpocząć odwet na oślep przeciw naszym ludziom? Byłoby to przecież zgodne z ich zasadą pożerania się nawzajem, którą wydajecie się aprobować?

– Nigdy tego nie mówiłem. Cała rzecz w tym, że oni nie działają na oślep. Wielu naszych? ludzi właśnie tego nie umie pojąć, nie wie więc, że nie musi się bać. Chirończycy nie mają zwyczaju oceniać hurtowo całej grupy ludzi i zakładać, że każdy, kto do niej należy, jest taki sam. Nie zaczęli nienawidzić wszystkich żołnierzy z tego powodu, że przypadkiem noszą płaszcze tego samego koloru co banda, która tam grasuje, i nie zaczną nienawidzić każdego Ziemianina. Oni nie myślą takimi kategoriami.

Merrick przez kilka chwil przyglądał mu się chłodnym wzrokiem i nadal nie był zadowolony. – No cóż, mogę tylko powiedzieć, że nie wszyscy podzielają waszą godną zazdrości wiarę w naturę ludzką. Powinienem dodać, że ja również nie. Oficjalna linia polityczna, przekazana mi z Dyrektoriatu, którą macie obowiązek popierać tak jak ja, bez względu na osobiste zapatrywania, stwierdza, że nie można wykluczyć możliwości gwałtownej reakcji ze strony Chirończyków. Dlatego, biorąc pod rozwagę przyszłość, musimy liczyć się z taką ewentualnością.

Bernard rozłożył ręce z rezygnacją. – Dobrze, rozumiem, że ma sens być przygotowanym. Ale nie widzę, w jaki sposób tu na statku mogłoby to wpływać na planowanie w Inżynierii.

Merrick na moment ściągnął brwi, a potem zdecydował się zrezygnować z okrężnego podejścia do tematu. – Około dziesięciu tysięcy naszych ludzi znajduje się obecnie w Canaveral City i jego bezpośredniej bliskości. – Spojrzał prosto na Bernarda. – Są poważnie uzależnieni od wszelkiego rodzaju usług i urządzeń chirońskich, od energii elektrycznej w domach do pożywienia. Jeśli tam w dole zamieszki wybuchną na szeroką skalę, ludzie ci będą całkowicie na łasce i niełasce Chirończyków. – Zanim Bernard zdołał przemówić, Merrick podniósł rękę, by ukrócić wszelkie jego obiekcje. – Jasne, że nie możemy tolerować takiego stanu rzeczy. Zdecydowano więc, traktując to wyłącznie jako środek ostrożności dla zabezpieczenia w razie potrzeby naszych ludzi, że musimy być

zdolni zapewnić im ciągłość podstawowych usług, jeśli okoliczności będą tego wymagać. A ponieważ nie mamy do czynienia ze środowiskiem zacofanym technicznie, istotne znaczenie dla wypełnienia tych zobowiązań będzie miał wysoki stopień fachowości w zakresie nowoczesnych procesów przemysłowych, co wyznacza nam, Inżynierii, niezastąpioną rolę. Myślę, że mnie rozumiecie.

Oczy Bernarda zwężyły się odrobinę. Miał już dodatkowe wyjaśnienie tego, co Kath mówiła w kombinacie termojądrowym po odjęciu całego uzasadnienia. A więc to przygotowywał Merrick – zwiększenie przewidywanego zespołu kierowniczego, ponieważ Dyrektoriat zdecydował się na działania pod pretekstem sprawy Padawskiego? – Nie jestem pewien – odpowiedział. Tak to brzmi, jakby pan mówił o przejęciu niektórych kluczowych urządzeń chirońskich. Czy to jeszcze nie pogorszy sytuacji?

– Nie wspominałem o przejmowaniu czegokolwiek. Mówię tylko, że musimy być wystarczająco obznajmieni z ich działaniem, aby móc zapewnić usługi, jeśli będzie to potrzebne. Otóż mieliśmy okazję obejrzeć Port Norday i kilka innych zakładów. Jestem przekonany, że potrafimy nimi kierować. Dotychczas nie chciałem nikomu zabierać w związku z tym czasu, ale teraz, gdy sprawa wydaje się wykonalna, chciałbym, abyście obejrzelі sobie Norday. Weźcie ze sobą Hoskinsa. Oczywiście był tam z nami poprzednim razem, ale nic mu się nie stanie, jeśli odświeży sobie wrażenia, a wam przyda się towarzystwo człowieka, który już się w tym orientuje. O tym właśnie chciałem z wami porozmawiać. – Merrick mówił obojętnie, sugerując tonem wypowiedzi, że rozmawiają o sprawach powszechnie znanych, choć nikt nie mówił o nich Bernardowi oficjalnie. Ale równocześnie ciekawie przyglądał się Fallowsowi, w sposób zdradzający, że nie umie całkowicie ukryć oczekiwania sprzeciwu i że wie, iż on nastąpi.

Bernard zdecydował udawać głupiego, by zobaczyć, co z tego wyniknie. – Przepraszam, co pan chce przez to powiedzieć: poprzednim razem? Musiałem coś przegapić.

Brwi Merricka podskoczyły do góry zbyt pośpiesznie, wyrażając zaskoczenie. – Poprzednim razem, gdy oglądaliśmy kombinat w Port Norday. – Bernard patrzył na niego z tępym wyrazem twarzy. – Nie mówcie mi, żeście o tym nie wiedzieli. Byłem tam jakiś czas temu z Waltersem i Hoskinsem. Czy Walters nic wam nie mówił?

– Nikt mi nic nie mówił.

Smutek na twarzy Merricka zmienił się w dezaprobatę. – Ts, ts, to nie do wybaczenia. Co za pech. Chwileczkę – nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale właśnie mieliście służbę. Dlatego nie mogłem was wówczas zaprosić. – Było to ordynarne kłamstwo, Bernard miał wówczas wolny dzień i był w Port Norday z Jayem. Ale bez wątpienia możemy to naprawić. Zobaczycie, że miejsce jest fascynujące. Większością podstawowych p"rocesów kieruje kobieta... niezwykła kobieta... więc mogę wam obiecać zarówno interesujące towarzystwo, jak interesujące otoczenie. Chciałbym więc, abyście jak najszybciej coś tu z Hoskinsem załatwili. Przez następne kilka dni będę bardzo zajęty.

Było oczywiste, że dzieje cię coś niecodziennego. Nie chcąc porzucić tematu w tym momencie, Bernard powiedział: – A czy także Waltersa? Może i jemu przyda się odświeżyć wrażenia?

Merrick nabrał pełną pierś powietrza. wyraz jego twarzy stał się poważny. – Mmmm... Walters. To mi przypomina jeszcze jedną sprawę, o której mam wam powiedzieć – rzekł ponurym głosem. Funkcjonariusza Waltersa nie ma już wśród nas. On i jego rodzina znikli z Cordova Village dwa dni temu i odtąd o nich nie słyszano. Zaniedbał stawienia się na służbę w dniu wczorajszym. Musimy przyjąć, że zdezerterował. – Potrząsnął głową ze smutkiem. Bolesne, Fallows, w najwyższym stopniu bolesne. Mniemałem, iż ma silniejszy charakter.

Więc o to chodziło? Oczko w głowie Merricka dało dyla i potrzebował kogoś na jego miejsce.

Merrick miał w nosie inżynierskie kwalifikacje Bernarda; interesowało go tylko, jak się wyplątać z niewątpliwie ambarasującego położenia. Gdy Bernard podsumował wszystkie kręta, których wysłuchiwał od chwili, gdy tu wszedł, wspomnienie szczerości i otwartości Kath, nawet wobec nieznanego, było jak łyk świeżego powietrza. Zanim zdał sobie sprawę, że mówi usłyszał własny głos: – Możesz się pan wypchać.

– Cooo? – Merrick gwałtownie wyprostował się na krześle. Coście powiedzieli, Fallows?

– Powiedziałem, że możesz się pan wypchać. – Nagle uczucie zastraszenia, które prześladowało Bernarda przez całe lata, znikło. Rola, w jaką pozwalał się wepchnąć i ugnieść, opadła z niego jak stara zeschnięta skóra. Po raz pierwszy był sobą – nie dającą wodzić się za nos jednostką. A po drugiej stronie biurka stojącego przed nim granitowa katedra pękła i rozpadła się w gruz, ukazując w środku... nic. Była kukłą, jak wszystkie inne kukły, przed którymi przez całe życie uciekał. I właśnie przestał uciekać.

Bernard rozparł się na krześle i spokojnie patrzył na obrażoną minę Merricka. – Nikt nie zamierza unieruchomić tego kombinatu i o tym wiesz pan bardzo dobrze – powiedział. – Daj pan sobie spokój z propagandą. Pomogłem statkowi dostać się tutaj bezpiecznie, a jest wielu młodych, którzy zasługują na awans. Zrobiłem moją robotę. Odchodzę.

– Nie możecie tego zrobić! – wybełkotał Merrick.

– Właśnie to zrobiłem.

– Jesteście związani umową.

– Przepracowałem ponad siedem lat, wobec tego przeszedłem na system umowy, podlegającej odnowieniu co kwartał. Jestem więc wam winien trzy miesiące. Okay, zgadzam się. Ale mam z czasów podróży ponad trzy miesiące zaległego urlopu i rozpoczynam go natychmiast. Będziecie to mieli potwierdzone na piśmie za pięć minut. – Wstał i poszedł do drzwi. – I możecie powiedzieć księgowości, żeby się nie przejmowała zaległą pensją powiedział, oglądając się przez ramię. – Nie będę jej potrzebował.

Tego wieczoru, gdy Bernard powrócił do domu z bazy promowej, zastał u siebie Jerry'ego Pernaka. Przy kolacji Pernak wyjaśnił, że przemyślał sobie i zmienił swoje stanowisko wobec programu Separatyzmu Lechita. Słyszał od Ewy, że Jean jest aktywna w tej sprawie, był ciekaw, czy Bernard także, i zgłaszał się do współpracy.

Bernard nie rozumiał, czemu Pernak zmienił zdanie. – Myślałem, że ty i Ewa macie już wszystko zaplanowane, zanim wyjechaliście stąd – powiedział podczas rozmowy, która trwała jeszcze po kolacji przy drinkach, podanych w obniżonej o kilka stopni części salonu. – Popatrz, co się dzieje – wy wyprowadziliście się, inni robią to samo. Mieliście rację. Nie mieszajmy się do sytuacji, to sama się naprostuje.

– Chciałbyś, żeby tak było, prawda? – powiedziała Jean z oskarżycielską nutką w głosie. – Chciałbyś, abyśmy postępowali jak tamci. A czy pomyślałeś sobie, co by to w rzeczywistości oznaczało? Ani wartości, ani porządku, ani moralności... I chciałbyś, żeby w takich warunkach dorastali Jay i Marie?

Jay i Marie byli jej bronią ostateczną. Bernard wiedział dobrze, że Jean chce tylko znaleźć uzasadnienie własnego lęku przed koniecznymi zmianami, ale nie chce wdawać się w sprzeczkę na ten temat przy innych. – Oczywiście chcę, aby mogli urządzić sobie życie najlepiej, jak będą chcieli. Właśnie tutaj mają możliwość. Nie musimy podróżować przez pół planety, aby odtworzyć część świata, który już nie jest nasz. To nie przetrwa. To już się skończyło. Musisz, kochanie. spojrzeć na

to otwartymi oczami.

– Jesteśmy nadal ludźmi, tak jak byliśmy dotychczas – odezwał się Jay z końca kanapy, patrząc na matkę. – To się nie zmieni. A jeśli chcesz zachować się głupio, możesz to robić gdziekolwiek. Ku lekkiemu zdziwieniu Bernarda, Jay przez całą kolację okazywał żywe zainteresowanie rozmową, a później zdecydował, że weźmie w niej udział. Najwyższy czas na to – pomyślał Bernard.

Jean potrząsnęła głową, nadal nie pogodzona z myślą o takiej przyszłości. – Ale czemu miałyby się skończyć? Spojrzała błagalnie na Bernarda. – Byliśmy szczęśliwi przez te wszystkie lata na statku, prawda? Mieliśmy przyjaciół, jak Jerry'ego i Ewę, mieliśmy dzieci. Miałaś stanowisko. Dlaczego ta planeta ma nam wszystko odebrać? Oni nie mają takiego prawa. Nigdyśmy niczego od nich nie żądali. To jest...to jest całkiem nie w porządku.

Bernard poczuł, że krew napływa mu do twarzy. Patos, z jakim przemawiała, działał mu na nerwy. Starając się opanować emocje, napełnił ponownie szklankę powolnym, odmierzonym ruchem. Skąd jesteś taka pewna, że ja to wszystko uważałem za cudowne? zapytał. – Czy nie przypisujesz sobie prawa mówienia mi, czego powinienem pragnąć? – Z trzaskiem postawił butelkę na stole i spojrzał na żonę. – No więc wcale nie uważam, że to było takie cudowne i nie chcę tego więcej. Dziś powiedziałem Merrickowi, żeby sobie wsadził moje stanowisko pracy w dupę.

– Żeby co? – jęknęła w panice Jean.

– Żeby je sobie wsadził. Koniec z tym. Możemy być sobą. Najbliższe trzy miesiące spędzę na studiowaniu dynamiki plazmy w Norday, a potem zaangażuję się do nowego kombinatu, który oni planują dalej na północ na wybrzeżu. Możemy się wszyscy przenieść do Norday i mieszkać tam, póki nie znajdziemy czegoś bardziej stałego.

Jean potrząsnęła głową w sprzecznie. – Ale nie możesz... Ja nie pojedę. Chcę się przenieść do Iberii.

– Przez całe lata musiałem znosić wszystko, co oni znowu chcą zacząć w Iberii! – zagrmiał nagle Bernard, waląc szklanką w stół. Spurpurowiał na twarzy. – Nienawidziłem tego przez każdą minutę życia. Kto mnie zapytał, czy tego właśnie chcę? Nikt. Mam dość tego, że wszyscy uważają za oczywiste to, kim jestem i kim według nich mam być. Trzymałem się tego, bo kocham ciebie i kocham nasze dzieci i nie miałem żadnego wyboru. Ale teraz mam wybór i tym razem ty jesteś coś winna m n i e. Powiedziałem, że przenosimy się do Norday i, do cholery, przenosimy się do Norday!

Jean była zbyt zaskoczona, by zrobić coś więcej, niż gapić się na niego z otwartymi ustami. Jay patrzył z nie ukrywanym zdumieniem. Pernak mrugnął parę razy i zaczął, aż atmosfera się rozładuje. – Cała rzecz w tym, że to nie jest takie proste powiedział na koniec, zmuszając się do mówienia spokojnie. Jeśliby wszystkich pozostawiono w spokoju, by wybrali, co chcą, zgodziłbym się z tobą. Ale tak nie jest. Gdzieś tu działa grupa, która pcha innych w tarapaty, a o ile się orientuję w chirońskich zwyczajach, mogą to być wielkie tarapaty. Ta sprawa z Iberią przynajmniej będzie trzymać wszystkich z boku, nim się to uciszy, i tyle tylko chciałem powiedzieć. Zgadzam się z tobą, Bern: to nie utrzyma się na dłuższą metę, ale nie odległa przyszłość mnie niepokoi. – Spojrzał przepraszająco na Jean. – Przykro mi, ale tak to sobie wyobrażam.

Bernard, uspokoiwszy się trochę wobec zmiany tematu, wziął do ręki szklankę, wypił łyk i potrząsnęła głową. – Czy ty, Jerry, nie przesadzasz odrobinę? O jakich ty kłopotach mówisz? Cośmy tu widzieli? – Rozejrzał się z boku na bok, jakby szukając poparcia. – Jeden dureń, którego nie powinno się wypuszczać z klatki, dostał, co mu się należało. Przykro mi, że to brzmi trochę brutalnie, ale tak to oceniam. I tyle tylkośmy wiedzieli.

– A czy oglądałaś dzisiejszy dziennik wieczorny? – spytała Jean. – Trzech z bandy Padawskiego uciekło z niej i poddało się, ale żołnierze znaleźli tam dwa dalsze ciała – Chirończyków. Ile według

ciebie upłynie czasu, zanim oni zaczną się na nas odgrywać, tu w Canaveral?

Bernard potrząsnął głową w sposób mówiący, że odrzuca całkowicie tę sugestię. – Nie zrobią tego. Oni nie są tacy. Po prostu nie myślą w ten sposób.

– Skąd ta pewność?

– Bo zaczynam ich poznawać.

– A ja zaczynam ich poznawać jeszcze lepiej – powiedział Pernak. Coś w jego głosie zmusiło ich do zwrócenia się w oczekiwaniu w jego stronę. Zrobił szeroki gest rękami. – To nie tę kłopoty mnie niepokoją. Ale jeśli to się posunie dalej... Jeśli Armia zacznie stosować sankcje, a szczególnie jeśli zacznie tam w górze, na statku, pobrzękiwać bronią, jeśli tego rodzaju rzeczy pójdą w ruch, nie będziemy liczyć trupów na sztuki ani na pary.

Bernard spojrział na niego niepewnie. – Nie zgadzam się z tobą, Jerry. Czemu by eskalacja miała posunąć się tak daleko? A zresztą w tej dziedzinie Chirończycy niczym nie dysponują.

– Widziałem, co robią w niektórych laboratoriach, i wierz mi, Bern, od tego mózg staje dęba – powiedział Pernak. – To nie są głupi faceci i na pewno nie należą do takich, którzy by się położyli i czekali, aż zacznie ich deptać każdy, komu na to przyjdzie ochota. Umieją dość, by dorównać wszystkiemu, co *Mayflower II* może przeciw nim rzucić, a może więcej, niż dorównać. Przez grubo ponad dwadzieścia lat wiedzieli, czego się spodziewać. Więc sam wyciągnij wnioski.

Bernard przez parę chwil przypatrywał się swej szklance, wreszcie znów potrząsnął głową. – Nie zgadzam się – powiedział. Nigdyśmy nic nie widzieli ani niczego nie słyszeli na temat ich broni strategicznych. Gdzież by się one znajdowały?

– Znamy tylko Franklin – odrzekł Pernak. – Poza nim jest jeszcze cała planeta.

– Wierzysz w cuda – rzekł Bernard. – Słuchaj no, Jerry, przecież jesteś naukowcem. Gdzie dowody? Od kiedy zacząłeś wierzyć w rzeczy, nie mając żdźbła dowodu rzeczowego na ich istnienie?

– Czuję to przez skórę – odpowiedział Pernak. – Broń musi istnieć. Mówię ci, znam ich sposób myślenia.

Jay wstał i po cichu opuścił pokój. Bernard przez kilka chwil śledził go ciekawie wzrokiem, po czym znów zwrócił się do Pernaka. – Ale to cholernie słaby powód, by wysłać wszystkich do Iberii, prawda? A poza tym, jeśli masz rację, to myślę, że najlepiej będzie pozostać tu na miejscu, wśród Chirończyków. W ten sposób nikt nie zacznie rzucać tutaj wielkich bomb, prawda? – Odwrócił się do Jean i krótko uśmiechnął. – Myślę, że Jerry dowiódł mojej słuszności.

Pernak słuchał bez uśmiechu. – A co z tym statkiem, krążącym dwadzieścia tysięcy mil nad nami?

Zanim Bernard zdążył odpowiedzieć, wrócił Jay, niosąc pejzaż, który przywiózł pierwszego dnia z wyprawy do Franklina. Postawił go na końcu stołu i trzymał tak, by wszyscy mogli się przyjrzeć. Czy nie zauważyliście tu czegoś niezwykłego? – zapytał.

Pernak i Jean spojrzeli po sobie zakłopotani. Bernard posłusznie wpatrywał się w obraz przez chwilę, po czym spojrział na Jaya. Wygląda to na bardzo dobrze namalowane góry – powiedział. Czy ma to coś wspólnego z naszą rozmową?

Jay kiwnął głową i pokazał jeden z chirońskich księżyców, namalowany między chmurami w prawym górnym rogu. – To Remus – powiedział. – Obraz namalowano ponad rok temu, a gdy się przyjrzy, zobaczycie, że ten, kto malował, bardzo dbał o szczegóły. Masę czasu spędziłem na lekturach o tym systemie słonecznym i jego planetach, a gdy zacząłem się przyglądać Remusowi na tym obrazku, zobaczyłem, że jest tu coś dziwnego. Jay pokazał palcem gładki obszar na powierzchni Remusa, wciśnięty między dwie wyraźnie ciemniejsze formacje, prawdopodobnie duże kratery. –

Byłem pewien, że na najnowszych zdjęciach, jakie oglądałem, pochodzących z chirońskiego komputerowego banku danych, te dwa kratery połączone są z trzecim w miejscu, gdzie jest ten gładki obszar... wielkim kraterem, paręset mil średnicy. Sprawdziłem to i okazało się, że mam rację – jest tam wielki krater, a rok temu go nie było.

Zrozumiawszy, co Jay chce przez to powiedzieć, Bernard zmarszczył czoło. – Czy zapytałeś Jeevesa o to? – spytał.

– Tak. Jeeves mówi, że to zostało spowodowane przez wypadek podczas zdalnie sterowanego eksperymentu, który Chirończycy przeprowadzali tam, bo był zbyt niebezpieczny – to miało coś wspólnego z ich badaniami nad antymaterią. – Jay wykrzywił twarz i zwichrzył sobie włosy palcami. – Ale można było się spodziewać, że właśnie w ten sposób będzie się o tym informowało, prawda... a Chirończycy rzadko robią błędy. – Spojrzał na krąg przerażonych twarzy, zwróconych ku niemu. – Lecz to, o czym mówiliście, nasunęło mi myśl, że krater może być wynikiem prób z jakąś potężną bronią...

Przez długi czas Bernard, Pernak i Jean przyglądali się malowidłu. Pernak miał bardzo poważny wyraz twarzy, a zalekniona Jean zaczęła gryźć wargi. Wreszcie Bernard kiwnął głową i spojrzał na tamtych dwoje. – Okay, dołączę do was – powiedział. Większość ludzi, wygłaszających tam na górze gromkie przemówienia, nie jest zdolna dać sobie z tym rady. Nie sądzę, żeby Iberia tak czy inaczej miała zbyt wielkie znaczenie, ale trzeba, by dzięki niej Lechat wygrał wybory – i to szybko.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Pierwsza bomba wybuchła w centrum Canaveral City wczesnym rankiem, powodując znaczne szkody na końcowej stacji maglewu, gdzie bocznicą do bazy promowej łączyła się z magistralą, wiodącą z Franklina dalej wzdłuż półwyspu. Dochodzenie przeprowadzone następnie przez specjalistów od materiałów wybuchowych wykazało, że została przywieziona w wagonie kolejki, przybywającym z Franklina. Jego jedynymi pasażerami było ośmiu Ziemian, wracających z nocnej zabawy w mieście. Zostali zabici na miejscu.

Druga wybuchła wkrótce potem koło głównej bramy koszar. Nikt nie został zabity, ale dwaj wartownicy odnieśli lekkie rany.

Trzecia całkowicie zniszczyła chiroński transporter powietrzny pionowego startu na stanowisku wewnątrz bazy promowej, w kilka godzin po świcie, zabijając dwóch pracujących tam Chirończyków i raniąc jeszcze trzech. Chociaż samolot był pusty, miał za godzinę przewieźć grupę pięćdziesięciu dwóch ziemskich urzędników, techników i oficerów na wizytę w chirońskim ośrodku badań i budowy statków kosmicznych o pięćset mil stamtąd, w głębi Occideny.

W południe sprawozdawcy ziemskich dzienników zinterpretowali te wypadki jako odwet chiroński za gwałty Padawskiego i jako ostrzeżenie Ziemian, co może nastąpić w wypadku wygrania nadchodzących wyborów na szefa rządu przez Kalensa, który w swym ostatnim wystąpieniu publicznym wezwał do wprowadzenia przemocą ziemskich praw we Franklinie, jako pierwszego kroku ku "restabilizacji" planety. Wywiady, w których Chirończycy beznamiętnie, ale bez ogródek zaprzeczyli, by mieli cokolwiek wspólnego z wypadkami, zostały ledwie wspomniane. Reakcje Ziemian były sprzeczne. Skrzydło ekstremalne zorganizowało wiece protestacyjne i demonstracyjne antychirońskie, które w kilku wypadkach wyrwały się spod kontroli i przekształciły w napady motłochu na Chirończyków i ich własność: Na przeciwległym grupie dwustu Ziemian, która była zdania, że podkładanie bomb było dziełem ziemskich antychirońskich ekstremistów, ogłosiła, że wyprowadza się *en masse*. Zatrzymał ją kordon wojskowy. Zanim zdołała się rozejść, została zaatakowana przez tłum podnieconych antychirończyków. Bójce przyglądali się Chirończycy w roli beznamiętnych widzów spektaklu, w którym Ziemianie walczyli z Ziemianami, wojsko ziemskie zaś, wyposażone w sprzęt do tłumienia zamieszek, starało się ich rozdzielić.

Na pośpiesznie zwołanej sesji Kongresu Howard Kalens ponownie potępił prowadzoną przez Wellesleya politykę "skandalicznego pobłażania temu, co na koniec ujawniło się jako anarchia terrorystyczna i bandytyzm" i zażądał stanu wyjątkowego. W burzliwej debacie Wellesley twardo obstawał przy zdaniu, że chociaż wydarzenia były zatrważające, nie stanowiły generalnego zagrożenia, porównywalnego z możliwymi wypadkami podczas lotu, których właśnie dotyczyło postanowienie o stanie zagrożenia; nie usprawiedliwiały więc odwołania się do tak skrajnych środków. Ale Wellesley musiał zrobić coś, co by uciszyło dochodzące ze wszystkich stron wrzaski o podjęcie działań zabezpieczających Ziemian na powierzchni planety.

Paul Lechat ponownie wystąpił z projektem Separatyzmu i przez chwilę, gdy lobby handlowe opuściło obóz Kalensa, zdawało się, że uzyska poparcie większości. Ale nastroje chwili nie działały na korzyść Lechata, i Borfontein natychmiast storpedował jego wniosek zjadliwym opisem sytuacji Ziemian, pozwalających się przepędzić na całej planecie, jak żebracy od kuchennych drzwi. Ramisson, który stał na czele ruchu na rzecz nie zakłóconej integracji Ziemian z systemem chirońskim, wniósł o powściągliwość w rozstrzygnięciach, ale w oczywisty sposób zdawał sobie

sprawę, że nastroje są przeciw niemu i przemawiał bardziej dla zadowolenia oczekiwanych swoich zwolenników, niż z przekonania, że mógłby wywrzeć jakikolwiek wpływ na sytuację. Zgromadzenie sumiennie go wysłuchało, pozostawiając wniosek bez rozpatrzenia.

Na koniec Kalensowi udało się uzyskać powszechne poparcie dla formalnego ogłoszenia enklawy ziemskiej w Canaveral City, z wyraźnie oznaczonymi granicami, wewnątrz których zostanie ogłoszone i będzie obowiązywać prawo ziemskie. Projekt co do Iberii odpowiedział Lechatowi – wymaga miesięcy dla realizacji, natomiast problemem domagającym się natychmiastowego rozwiązania jest bezpieczeństwo Ziemi. A w żadnym wypadku nie mógł on zostać zrealizowany bez upoważnienia ze strony wyborców. Enklawa zachowa nienaruszalną, działającą i spójną wewnątrz społeczność, która później, jeśli wyniki wyborów będą na to wskazywać, może zostać przeniesiona. Wobec tego enklawa stanowiła tak wielki krok w kierunku proponowanym przez Lechata, jakiego tylko można było dokonać, zachowując w chwili obecnej realizm. Lechat został zmuszony do zgodzenia się z tym, przynajmniej do pewnego stopnia, i poczuł się zobowiązany do udzielenia poparcia.

Było jasne, że od pewnego już czasu Kalens rozpracowuje szczegóły swego planu. Odzyskał poparcie lobby handlowego proponując, by chirońska "ekonomika przedszkolaków" miała zakazany dostęp do enklawy, poparcie wolnych zawodów zaś zdobył planem, by wszelka wymiana towarów i usług w enklawie następowała w specjalnej walucie, gwarantowanej przez bank *Mayflowera II*. Chirończycy, którzy mieszkaliby i pracowali wewnątrz określonych granic, mieli uzyskać swobodę przekraczania ich oraz stałego zamieszkania, jeśli sobie tego życzyli, pod warunkiem, że uznają i będą przestrzegać praw ziemskich. Jeśli zaś nie, zostaną do tego zmuszeni, jak wszyscy inni mieszkańcy. Gdyby natomiast integralność enklawy została zagrożona przez działania wywrotowe z zewnątrz, będzie ona broniona jako terytorium narodowe.

Wellesley, wyrażając na to wszystko zgodę, był zaniepokojony, ale znalazł się w trudnej sytuacji. Po wycofaniu się i odstąpieniu od wniosku o ogłoszenie stanu wyjątkowego, Kalens objawił się jako rzecznik rozsądnego kompromisu, Wellesley zaś dopiero później zrozumiał, że zapewne Kalensowi dokładnie o to chodziło. Nie miał też dobrej odpowiedzi na uwagę Kalensa, że jeżeli nie zrobi się czegoś w związku z dezercjami, Wellesley może zakończyć swą kadencję z wątpliwym zaszczytem prezydowania nad pustym statkiem – dezercje były solą w oku Wellesleya tak samo, jak były dla wszystkich.

To zaś łączyło się ze sprawą, która w rzeczywistości kryła się za tym wszystkim. Nie sformułowana myśl, do której Kalens zrobił aluzję, co poruszyło wszystkich, choć niewielu przyznałoby się do tego otwarcie, brzmiała, że cała konstrukcja społeczna, na której trzymały się wszystkie interesy, groziła rozpadem, i że rzeczywistą rolą enklawy o określonych granicach miało być nie tyle odstraszenie chirońskich terrorystów od wchodzenia do niej, ile Ziemi od jej opuszczania. Teraz, gdy Kalens miał odwagę na tyle zbliżyć się, na ile się tylko dało do wypowiedzenia tego, co każdy z nich miał ukryte w sercu, wszystkie lobby i frakcje stanęły za nim murem i Wellesley zdawał sobie z tego sprawę. Udzielił więc mu poparcia i wniosek przeszedł niemu jednomyślną uchwałą.

Marcin Quarrey podniosła wówczas kwestię oddzielnego gubernatora, odpowiedzialnego przed Wellesleyem, lecz rezydującego na powierzchni planety w enklawie, dla administrowania jej sprawami. Sugerowała, że być może podział władzy między członków Dyrektoriatu, znajdujących się o dwadzieścia tysięcy mil na statku, przyczynił się do trudności, których doznawano od chwili lądowania, a delegowanie jej jednej osobie, mającej tę przewagę, że będzie znajdować się na miejscu, zapobiegnie wielkiej liczbie błędów. Wniosek zyskał pozytywne opinie i Quarrey zaproponowała Sterma, Zastępcę Dyrektora, na to stanowisko. Sterm jednak uchylił się od

kandydowania z uzasadnieniem, że znaczna część zadań gubernatora będzie dotyczyła działań dyplomatycznych, związanych ze stosunkami ziemsko – chirońskimi, a ponieważ istniała już funkcja Dyrektora Łączności, który za to odpowiadał, rozsądnym sposobem uniknięcia ewentualnych konfliktów byłoby połączenie obu funkcji. Dlatego wysunął kandydaturę Kalensa, Quarrey ją poparła i wniosek przeszedł w głosowaniu znaczną większością.

I tak zdecydowano, że pierwsze przedłużenie Nowego Amerykańskiego Ładu zostanie oficjalnie proklamowane na planecie Chiron, a Howard Kalens zostanie jego realizatorem. Zdobył pierwszy punkt oparcia dla swego imperium. – To tylko początek – powiedział Celi tej samej nocy. – Za dziesięć lat będzie to stolica całego świata. Gdy mam za sobą poparcie całej Armii, jak może mnie teraz zatrzymać hałastrza łobuzów, uzbrojonych tylko w broń ręczną?

Tej samej nocy, na skraju oświetlonego reflektorami lądowiska koło koszar wojskowych w Canaveral, Colman stał z oddziałami z kompanii “D”, milcząco śledząc zbliżanie się chirońskiego transportera, który mniej niż dwadzieścia minut temu wystartował z przeciwległego brzegu Morza Śródchirońskiego. Obok niego stał Sirocco, generał Portney zaś, pułkownik Wesserman i kilku oficerów utworzyli grupę parę jardów przed nimi.

Samolot miękko wylądował. Rozsunęły się do połowy podwójne drzwi od strony oczekujących. Wysoki, zwalisty, rudobrody Chirończyk, ubrany w ciemną wiatrówkę z kapturem, ściągniętą pasem, wyskoczył ze środka. Po nim zaś drugi, podobnie ubrany, lecz szczuplejszy i zwinniejszy. Zapaliło się światło w kabinie, ukazując jeszcze kilka postaci. Za nimi równo ułożone na podłodze leżały dwa rzędy plastikowych pakunków wielkości śpiworów.

Oficerowie zamienili z Chirończykami kilka słów, Portney i Wesserman, natomiast zbliżyli się do samolotu, by obejrzeć wewnątrz. Po kilku sekundach Portney kiwnął do siebie głową, po czym skinął na Sirocca. Ten dał znak ręką i jedna z dwóch oczekujących karetek podjechała do chirońskiego samolotu. Dwóch żołnierzy otworzyło tylne drzwi. Czterech innych weszło do kabiny i zaczęło wnosić ciała. Przy każdym wynoszonym worku ze zwłokami Sirocco na chwilę uchylał jego brzeg, jeden adiutant zaś porównywał twarz z portretem na ekranie kompaka, drugi sprawdzał numer na identyfikatorze według listy, którą trzymał w ręku. Następnie trupy przenoszono do karetki.

Uciekły ogółem dwadzieścia cztery osoby; dziewięć poddało się lub zostało zabitych w starciach z Chirończykami. Anity wśród nich nie było. Worków na zwłoki leżało, jak policzył Colman, piętnaście; musiała więc znajdować się w jednym z nich.

Przyjrząwszy się przez kilka minut makabrycznemu rytuałowi, Colman zwrócił się do rudobrodego Chirończyka, stojącego bez ruchu prawie tuż przy nim. Wyglądał na trzydzieści lub niewiele ponad trzydzieści lat, ale jego twarz miała rysy człowieka starszego i nawet w bladym świetle reflektorów zdawała się opalona i rumiana. Miał jasne, żywo błyszczące oczy, ale nie zdradzały one nic z jego myśli. – Jak to się stało? – wyszeptał Colman, zbliżając się o krok.

Chirończyk nie odwracając głowy odpowiedział niskim, powolnym, przeciągłym głosem. – Tropiliśmy ich przez dwa dni, a gdy było nas na miejscu dosyć, otoczyliśmy ich półokręgiem, a inna grupa wylądowała za nimi za grzbietem górskim, by odciąć drogę. Gdy przeszli do wąwozu, zamknęliśmy oba wyjścia strzelcami i daliśmy znać, że jesteśmy. Pozostawiliśmy im wszystkie szanse... powiedzieliśmy, że jeśli wyjdą spokojnie, oddamy ich wam. Chirończyk na chwilę pochylił głowę i westchnął. – Widać niektórzy ludzie nigdy nie mogą zrozumieć, że muszę się poddać.

W tym momencie Sirocco uniósł kolejny brzeg worka; wewnątrz Colman ujrzał twarz Anity. Była woskowobiała. Przełknął ślinę i popatrzył tępo przed siebie. Spojrzenie Chirończyka szybko

przemknęło po jego twarzy. – Ktoś, kogo znałeś?

Colman kiwnął sztywno głową. – Już pewien czas temu, ale... Chirończyk przyglądał mu się jeszcze chwilę dłużej, a potem cicho odchrząknął. – To nie myśmy zrobili – powiedział. Gdyśmy im powiedzieli, że są w potrzasku, niektórzy z nich zaczęli strzelać. Pięcioro próbowało uciec, machając białą koszulą na znak, że chcą wyjść. Wstrzymaliśmy ogień, a wtedy tamci strzelili im w plecy, gdy biegli do nas. Ona była w tej piątce. – Chirończyk na chwilę odwrócił głowę i splunął na ziemię w cieniu samolotu. Następnie połowa z paczki, która została, rozpoczęła strzelaninę z drugą połową – może z powodu tego, co zrobili, a może dlatego, że sami chcieli stamtąd wyjść – i na koniec zostało ich tylko trzech czy czterech. Nie ruszyliśmy palcem. Wśród nich był Padawski i jeszcze paru innych, równie wrednych i pomyłonych. Nie zostawili nam wiele do roboty.

Później tego wieczoru Colman rozmyślał o Anicie, którą przywieziono z powrotem w worku na zwłoki, ponieważ wolała trzymać się pomyleńca, zamiast użyć własnego rozumu dla decydowania o swoim życiu. Chirończycy – pomyślał – nie oglądają swych dzieci, przynoszonych do domów w workach na zwłoki; nie uczą ich też, że zaszczytnie jest umierać za upartych starców, którzy nigdy w życiu nie oglądali wylotu lufy. Nie wysyłali ich także daleko, by były tysiącami wyrzynane, broniąc szaleństw innych ludzi. Chirończycy nie walczyli w ten sposób.

Dlatego Colman nie miał cienia wątpliwości, że Chirończycy nie mają nic wspólnego z zamachami bombowymi. Rozmawiał o tym z Kath, a ta zapewniła go, że żaden Chirończyk by się na to nie zgodził. Oczywiście było to tylko przekonanie, wierzył jednak, że Kath zna i mówi prawdę. Colman instynktownie wiedział, że Chirończycy zareagują na sprawę Padawskiego tak, jak zareagowali – swoiście, oszczędzając wysiłku i z chirurgiczną precyzją, by nie ucierpieli niewinni.

Bo tak właśnie walczyli. Przyglądali się, jak ich przeciwnicy słabli pojedynczo czy po kilku, i czekali na pozostałych, by rzucali się sobie do gardeł i wykończyli. I wtedy dopiero wkraczali.

Zrozumiał, że przyglądali się i czekali, gdy to samo działo się z Misją *Mayflowera II*. Kiedy i w jaki sposób wkroczą? A gdy to zrobią – pomyślał – po której on znajdzie się stronie?

CZEŚĆ TRZECIA

Phoenix

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SIÓDMY

Sposób, w jaki Chirończycy załatwili sprawę Padawskiego oraz to, że nie zareagowali w jakiegokolwiek zorganizowanej formie na wybuch hysterii wśród Ziemian, wywołało prawie powszechne przekonanie, że nie można obciążać Chirończyków winą za zamachy bombowe. Ale Ziemianie unikali wyciągania z tego oczywistych logicznych wniosków. Jednak poczucie winy i wielkiego wstydu, które się u wielu pojawiło, izolowało ekstremistów od większości Ziemian. Stosunki z Chirończykami szybko powróciły do normy. Lecz lawina, jaką wywołały wydarzenia, ruszyła i w pięć dni później ogłoszono oficjalne ustanowienie Terytorium Phoenix.

Phoenix, o powierzchni nieco ponad cztery mile kwadratowe, z nieregularną linią graniczną, obejmował większość Canaveral City wraz z centrum miasta i koszarami, otaczające je przedmieścia mieszkalne, jak Cordova Village, w której mieszkali głównie Ziemianie, oraz pewną liczbę zakładów przemysłowych, handlowych i gmachów publicznych, dobranych tak, by utworzyć załączek samowystarczalnej społeczności. Ponadto przewidziano do późniejszej aneksji i zabudowy dziesięć mil kwadratowych otwartych w większości terenów, od strony przeciwległej Franklinowi. Chirończykom, korzystającym z linii maglewu między Franklinem i Półwyspem Mandela zagwarantowano prawo tranzytu, w zamian za to zaś Phoenix zażądał korytarza do bazy promowej, która odtąd miała być wspólnym przedsiębiorstwem ziemsko – chirońskim.

Przy bramach na granicy postawiono punkty kontrolne, między bramami płoty i bariery, wzdłuż których krążyły uzbrojone patrole. Ogłoszono, że wewnątrz granic panuje prawo ziemskie, zakazano posiadania broni bez zezwolenia. Stałym mieszkańcom polecono poddać się rejestracji. Wszystkie zarejestrowane i pełnoletnie osoby otrzymały prawo do udziału w demokratycznych wyborach, przez co nadano Chirończykom prawo wybierania przywódców, których sobie nie życzyli, oraz obowiązek zaakceptowania tych, którzy w jakikolwiek sposób zostaliby na przywódców powołani.

Wprowadzono własną walutę i ogłoszono ją jedynym legalnym środkiem płatniczym. Wszelkie towary wwożone do Phoenixa zostały obłożone cłem w wysokości różnicy między ceną ich nabycia i cenami obiegowymi ich ziemskich odpowiedników plus dopłata importowa. Oznaczało to, że cokolwiek zyskało się we Franklinie, trzeba było w drodze powrotnej wpłacić rządowi Phoenixa. Fabrykanci ziemscy stracili w ten sposób dostęp do darmowych chirońskich surowców, uzyskali natomiast rynek przymusowy, którego rozpaczliwie potrzebowali, ponieważ ich wyroby nie cieszyły się większym popytem. Można było się spodziewać, że taki zamknięty rynek poważnie się rozszerzy, gdy zostanie zaanektowany cały Franklin. Nie trzeba zaś było wielkiej przenikliwości, by się domyślić, że Kalens możliwie szybko zamierza dokonać tego kroku. Ziemscy przedsiębiorcy budowlani oraz przedstawiciele wolnych zawodów mieli mniej szczęścia, podnieśli więc ryk protestu, gdy Chirończycy wesoło i bezpłatnie nadal naprawiali prysznicę, uczyli w szkołach i pacjentom czyścili z kamienia zęby. Pośpiesznie ogłoszono dodatkową ustawę, która orzekła, że bezpłatne świadczenie usług jest nielegalne. W odpowiedzi na ten absurd sceptyczni dotychczas

Ziemiańscy stali się cyniczni i zalali sądy – już i tak ledwie dyszące pod natłokiem setek Chirończyków, ustawiających się w uśmiechnięte kolejki do aresztowania – potopem pozwów przeciw wszystkim, którzy komukolwiek i jakkolwiek udzielili pomocy. Grupa żon prawników zorganizowała własną akcję protestacyjną, ogłaszając taryfę honorariów za udzielania względów małżeńskich.

Rozszalała się epidemia szmuglu, to zaś, co skonfiskowano, wkrótce wypełniło całe magazyny towarami. Władze nie miały odwagi dopuścić ich na rynek, a nie wiedziały, co z nimi robić dalej, gdyż Chirończycy odrzucili błagania ogłupiałego przedstawiciela akcyzy, by zabrali je z powrotem. Poza terytorium Phoenixa Chirończycy chętnie realizowali wszelkie prośby i zamówienia. Okazało się, że ziemskie firmy budowlane, które rozpoczęły roboty nad nowym kompleksem mieszkalnym, zatrudniają chirońskich robotników nie wykazując tego w księgowości; każdy natomiast biznesmen był przekonany, że jego konkurenci oszukują i niewiele trzeba było czasu, by wszystkie posiedzenia obu izb Kogresu zmieniły się w dom wariatów, w którym obrzucano się oskarżeniami i przeciwoskarżeniami o zakazaną spekulację, handel spod lady, zatrudnianie łamistrajków oraz wszelkie inne możliwe nadużycia.

W miarę jak coraz więcej Ziemiańców uświadamiało sobie, że Phoenix nie jest enklawą stworzoną dla ich ochrony, lecz w najgorszym razie więzieniem, w najlepszym zaś samozwańczym zakładem psychiatrycznym, cynizm zmienił się w bunt. Mieszkania pustoszały, coraz więcej ludzi zniknęło, a wycieczki do Franklina coraz częściej zmieniły się w podróże jednokierunkowe. Zaczęto wydawać paszporty i ograniczać podróże, ale posterunki graniczne pozwalały przechodzić swobodnie Chirończykom, nie wiedząc, którzy z nich są mieszkańcami, a którzy nie, ponieważ ani jeden się nie zarejestrował. Poza tym strażnicy już przestali się przejmować; zwyczaj odwracania głowy stał się wśród nich nagminny, a coraz więcej z nich, gdy przychodziła zmiana, okazywało się nieobecnymi na posterunkach. Wydano więc rozkaz przydzielający do każdego oddziału wartowniczego przynajmniej po jednym SS – manie. Skuteczność tego kroku wydatnie zmalała, gdy z dnia na dzień pojawiła się sieć chirońskich ochotników, pomagających Ziemiańcom w ucieczce przed ziemskimi strażami.

Dyfuzja przez błonę wokół Phoenixa wytworzyła ciśnienie osmotyczne, które z *Mayflowera II* wysysało na dół coraz więcej ludzi. Wkrótce też pojawił się niedobór rąk roboczych, co uniemożliwiło statkowi podtrzymanie stałego dopływu zaopatrzenia na powierzchnię planety. Zakłopotani urzędnicy Phoenixa zmuszeni byli zwrócić się do Chirończyków z prośbą o żywność i inne podstawowe produkty, za które upierali się płacić, choć wiedzieli, że po stronie chirońskiej nie istnieje żadna waluta. Chirończycy pobłażliwie przyjmowali proponowane im skrypty i nie zmieniali swych zwyczajów, pozostawiając Ziemiańcom troskę o to, jak ich administracja ma sama sobie płacić cła wwozowe.

Nikt już nie wspominał o aneksji Franklina. Szanse wyboru Howarda Kalensa na stanowisko, umożliwiające kontynuowanie tej farsy, spadły do zera. Paul Lechat zaś, widząc, że to, co się dzieje, jest tylko początkiem nieuchronnego dalszego ciągu, wycofał się z propozycji powtórzenia tego samego przedstawienia w Iberii – przynajmniej taki powód podał publicznie. Okazało się wreszcie, że jedynym kandydatem z platformą zdolną przyciągnąć większość, jest jak na ironię integracjonista Ramisson. Ale tak było tylko w teorii, gdyż jego potencjalni zwolennicy mieli skłonność do znikania z Phoenixa, gdy tylko przekonali się do integracjonizmu. W miarę zbliżania się daty wyborów stawało się oczywiste, że zainteresowanie nimi jest bliskie zera i że nawet przemówienia agitacyjne zmieniły się w rytuały odprawiane bez przekonania – jak to dobrze wiedzieli mówcy – przed publicznością złożoną tylko ze znudzonych techników telewizyjnych i obojętnych kamer.

Ale Kalens jawnie stracił poczucie rzeczywistości, nieubłagane narastającej wokół niego.

Nadal namiętnie zaklinał swe nie istniejące legiony, by dokonały ostatniego najwyższego wysiłku, nadal składał obietnice i przyrzeczenia głuchemu na jego głos audytorium i nadal malował wspaniałe obrazy świetnej cywilizacji, którą razem zbudują. Na swą oficjalną rezydencję wybrał wielki, majestatyczny budynek w centrum Phoenixa, pierwotnie służący za muzeum sztuki, i urządził go jak pałac, w którym zainstalował się ze swą żoną, swymi skarbami i służbą domową, złożoną z Chirończyków, którzy uprzejmie lecz z rozbawieniem, na które był całkowicie ślepy, wykonywali jego polecenia. Żył w świecie, w którym granica wokół Phoenixa stała się pancierzem, odcinającym świat zewnętrzny i chroniącym wewnątrz ostatnie szczątki rojeń, których nie był w stanie porzucić. Tam zaś, gdzie rzeczywistość różniła się od snów, nadrabiał braki fantazjowaniem.

Zachował nadal grupkę wiernych zwolenników – głównie takich, którzy nie mieli gdzie się zwrócić, a trzymali się razem dla wzajemnej obrony. Do grupy tej należała duża część handlowców i finansistów, niezdolnych do uświadomienia sobie, że ich rola jest skończona; biskup *Mayflowera II*, przewodzący trzódce wiernych, wzdrygających się na myśl o przyjęciu diabelskich obyczajów Chirona; oraz wielu przedstawicieli różnych środowisk, których cechy charakteru zmuszały do trwania do końca, bez względu na konsekwencje. Nade wszystko zaś był przy nim Borfontein, który nie miał gdzie indziej zainwestować swej lojalności, przybierającej u niego z wiekiem charakter przymusu wewnętrznego. Siła, na której czele stał Borfontein, była nader groźna; jej kręgosłup stanowiła niemal cała podległa Stormbelowi SS.

Ponieważ wszyscy ci ludzie czuli potrzebę wiary, pozwolili się przekonać Kalensowi, że przyczyną wszelkiego zła, które ich spotkało, była obecność Chirończyków wewnątrz granic Phoenixa. Gdyby ich stamtąd wyrzucić, organizm by ozdrowiał, uchodźcy spośród Ziemian powrócili, zapanowałyby i kwitły normalne warunki, a droga do jeszcze wspanialszych marzeń byłaby szeroko otwarta.

Uchwalone zostało Prawo o Posiadaniu Własności Ziemskiej. Stanowiło ono, że wszelkie prawa własności przechodzą na administrację, a prawnie obowiązujące tytuły własności obecnych i przyszłych gospodarstw powinny zostać zakupione – przez Ziemian po cenie rynkowej, dla zarejestrowanych zaś mieszkańców chirońskich po cenie symbolicznej; ustępstwo, które uznano za konieczne dla osłodzenia bezprawia. Zatrudnienie w przedsiębiorstwach należących do Ziemian powinno pozwolić Chirończykom na zarobienie pieniędzy na kupno własnego domu, teraz, gdy rząd oświadczył, że jest tych domów właścicielem i gotów je był im odsprzedać. I mieli – jak oświadczone – powody, by być wdzięczni za to, że nie muszą płacić cen, które nowo przybyłych Ziemian zmuszały do zaciągania pożyczek hipotecznych. Równocześnie, na mocy Prawa o Ruchu Cudzoziemców, Chirończycy spoza Phoenixa mogli uzyskiwać tam dostęp tylko po wyrobieniu sobie wiz, ograniczających ich działalność ekonomiczną wyłącznie do obejmowania płatnych posad lub działalności handlowej, opartej na oficjalnie uznanej walucie, po uzyskaniu odpowiednich zezwoleń, albo też do niezarobkowych prac socjalnych. W ten sposób Chirończycy mieszkający w Phoenixie, lub tam przebywający, przestawali być Chirończykami i problem rozwiązał się sam przez się.

Naruszenie przepisów wizowych karane było permanentnym zakazem wstępu na terytorium. Chirończycy zamieszkujący w Phoenixie, którzy po trzydniowym okresie wyczekiwania nie podporządkowałyby się wymogowi rejestracji, mieli podlegać wysiedleniu i konfiskacie majątków, które po cenach preferencyjnych zostaną odsprzedane imigrantom z Ziemi.

Większość Ziemian nie miała wątpliwości, że Chirończycy w ogóle nie zwrócą na to wszystko uwagi i nie mogła sobie wyobrazić, jak Kalens mógłby zrealizować swe groźby. Musiał to być bief – ostatnia, rozpacзлиwa zagrywka kliki, sądzącej, że będzie śnić wiecznie, i siłacej się, by utrzymać w całości ostatnie szczątki marzenia, rozpluwającego się w świetle poranka.

– Kalens powinien by sobie poczytać o ewolucji – skomentował Jerry Pernak, gdy wraz z Ewą słuchali wiadomości dziennika podczas śniadania. – Żyjemy wśród ssaków, a on myśli, że może cofnąć je prawnie do stanu dinozaurów.

Bernard Fallows stał oparty o rozsuwane szklane drzwi salonu i patrzył na trawnik na tyłach swego domu, zastanawiając się, kiedy wolno mu będzie rozpocząć nowe życie w Port Norday. Zagadnął o to Kath i wiedział już, że tego oczekiwała. Powiedziała mu po prostu, że ludzie tam zatrudnieni spodziewają się wspólnie z nim pracować. Ale zgodził się z Pernakiem i Lechatem, że musi tu na miejscu istnieć ośrodek dyspozycyjny, złożony z ludzi zdolnych do rozumnego pokierowania wydarzeniami. Musi istnieć aż do zniknięcia najmniejszej możliwości zagrożeń wobec Chirończyków. Ponadto integracyjna platforma Ramissona, do której przyłączył się Lechat, potrzebowała pomocy po to, by stary porządek wygasł w sposób naturalny.

Jean obecnie inaczej spoglądała na świat, szczególnie gdy Pernak opisał istniejące na uniwersytecie możliwości jej powrotu do biochemii – coś, o czym Bernard sądził, że dawno już zmarło śmiercią naturalną. Spojrzał w stronę pokoju, gdzie Jean Biedziła na kanapie przed ekranem ściennym, wprowadzając Marie w tajniki transkrypcji białka – schematów dostarczał Jeeves – i uśmiechnął się do siebie: żona stawała się bardziej niecierpliwa niż on sam. Parę dni temu powiedział jej, że jest znowu w kontakcie z Colmanem i że ten często towarzyszył Jayowi na wizytach u chirońskich przyjaciół we Franklinie, zanim zastrzono restrykcje co do podróży. Jean odpowiedziała, że to jest dobre dla Jaya i że sama chciałaby spotkać się z Chirończykami. A może znalazłby się tam dobry chłopiec dla Marie, rzuciła żartobliwie. – Ale taki naprawdę dobry – dodała w odpowiedzi na zdziwione spojrzenie Bernarda żaden tam nastoletni Casanova, od których tu się roi. Są przecież jakieś granice.

Jean pochwyciła jego spojrzenie, wstała i podeszła, pozostawiając Jeevesowi kłopot odpowiedzi na liczne pytania Marie. Zatrzymała się koło męża, patrząc na drzewa rosnące po drugiej stronie trawnika i odległe szczyty gór, błyszczące w słońcu nad dachami. Jakiż to będzie piękny świat – powiedziała. – Już nie wytrzymuję tego oczekiwania. Na pewno to wszystko i wkrótce się zakończy.

Bernard znów wyjrzał na dwór i potrząsnął głową. – Nie, dopóki jakimś sposobem nie rozbroi się tego statku w górze. Przerwał i znów spojrzał na żonę. – A więc już się nie boisz, ech?

– Nie sędzę, bym się kiedykolwiek bała. Bałam się tylko tego, co wbito mi do głowy. A niczego z zewnątrz. – Objęła spojrzeniem męża – jego mocne, opalone ręce, kontrastujące z bielą luźnej koszuli, jego odmłodniałą i spokojniejszą twarz, n wyrazie pewności siebie, jakiego nie widziała od dłuższego czasu – męża opartego niedbale, ale pewnie o framugę drzwi. I uśmiechnęła się. – Kalens może chować się w skorupie – powiedziała. – Ja mojej już nie potrzebuję.

– A więc jesteś pewna, że dasz sobie radę – rzekł Bernard. – Cokolwiek nastąpi, my damy sobie radę – odpowiedziała.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY ÓSMY

Celia Kalens przyglądała swój czarny, kimonowy płaszcz wieczorowy, narzucony na suknię ze złotej lamy i wyprostowała się; tymczasem steward w białej kurtce sprzątnął talerze ze stołu. To wszystko jest nierzeczywiste – powtórzyła w głębi ducha, rozglądając się po wystawnym wnętrzu apartamentu, w którym rezydował Matthew Stern. W wystudiowany sposób tworzyło ono atmosferę dystygowanej męskiej zamożności: brązowa skóra, politurowane drewno, matowy metal, kosmate dywany w przygaszonych kolorach, półki oprawnych tomów.

Celia skontaktowała się ze Stermem, mówiąc, że chce z nim porozmawiać prywatnie – nic więcej – i już po minucie zaproponował jej obiad we dwoje w swym apartamencie, jako “niezaprzeczenie prywatny i zdecydowanie przyjemniejszy, niż jakiegokolwiek inne możliwe rozwiązanie”. Jego pełen przemożnej siły spokój sparaliżował jej wolę, uniemożliwiając jakiegokolwiek sprzeciw. Powiedziała Howardowi, że wraca na statek, by spędzić noc na mieście z Weroniką, która urządza przyjęcie z okazji swego rozwodu.

Choć Weronika obchodziła tę uroczystość we Franklinie z Caseyem i jego bratem bliźniakiem, zgodziła się potwierdzić alibi Celi, gdyby ktokolwiek o to pytał. Celia była więc tutaj, i to, ku swemu zdziwieniu, wystrojona na tę okazję.

Stern, ubrany w brązowy smoking i czarną muszkę, śledził ją milcząco nieprzeniknionymi, wilgotno – brązowymi oczami; steward zaś napełnił dwa kieliszki koniakiem, postawił wraz z karafką na niskim stoliku i oddalił się, popychając barek na kółkach. Podczas kolacji Stern mówił o Ziemi i o podróży, Celia posłusznie podjęła temat, pozostawiając mu inicjatywę poruszenia przyczyny jej wizyty. Na koniec podniósł się, obszedł stół dookoła i odsunął jej fotel, by mogła wstać. Znowu poczuła przelotnie, że jest tylko marionetką, tańczącą pod dyktando Sterma. Przyglądała się sama sobie z boku, patrzyła jak ją prowadzi do głębokiego fotela i wręcza kieliszek. Następnie Stern usadowił się wygodnie na końcu tapczana, wziął swój kieliszek i podniósł go do twarzy, rozkoszując się bukietem.

– Mam nadzieję, że znajdzie twoje uznanie – powiedział. Gdy Stern zapytał ją wcześniej o życzenia co do poobiedniego trunku, Celia wymieniła koniak.

Spróbowała mały łyček. Był gładki, dostały i rozgrzewający. Doskonały – odpowiedziała.

– Mam własny mały zapas – poinformował ją Stern. Pochodzi z Ziemi – region Grande Champagne w Charante.

Znajduję, że winogrona odmiany Saint Emillion dają aromat najbardziej odpowiadający memu smakowi. – Jego doskonała francuska wymowa, powolny, pełen namysłu sposób formułowania zdań były przedziwnie fascynujące.

– Sądzę, że białe winogrona dają najlepsze koniaki – rzekła Celia. – I czy proporcja zawartości kamienia wapiennego w glebie nie jest bardzo istotna?

Brwi na majestatycznej, cesarsko – rzymskiej twarzy Sterma uniosły się z aprobatą. – Widzę, że zagadnienie nie jest ci obce. Moje gratulacje. Jednakże wyjątkowość nie odnosi się tu tylko do winogron.

Celia uśmiechnęła się znad kieliszka. – Dziękuję. Rzadko zdarza się znaleźć takie uznanie.

Stern przez chwilę przyglądał się, jak bursztynowy płyn powoli wiruje wokół ścian trzymanego w dłoni kielicha, wreszcie podniósł wzrok. – Ale jestem pewien, że nie po to przebyłaś dwadzieścia

tyśiący mil, by dyskutować o tego rodzaju sprawach.

Celia postawiła kieliszek na stole. Potrzebowała czasu, by zmienić kierunek myśli, nawet spodziewając się, że ten moment nadejdzie. – Niepokoi mnie ta nowa groźba wysiedlenia Chirończyków z Phoenixa. To nie jest bluff, jak wielu sądzi. Howard traktuje to serio.

Sterm nie wyglądał na zaskoczonego. – By uniknąć tych konsekwencji, wystarczy, że będą przestrzegać prawa.

– Wszyscy wiedzą, że nie będą. Przecież to tylko oczywisty sposób pozbycia się ich pod pozorem legalizmu. To słabo zamaskowana decyzja deportacji.

Sterm wzruszył ramionami. – A co cię obchodzi paru Chirończyków, którzy muszą gdzie indziej znaleźć mieszkania? Mają całą planetę, w większości pustą. Nie będą głodować.

Nie takiej odpowiedzi Celia oczekiwała. Na moment zmarszczyła brwi i sięgnęła po kieliszek. – Martwi mnie reakcja, którą to może wywołać. Dotychczas Chirończycy zgadzali się na wszystko. Ale nikt do tej pory nie próbował ich wyrzucić z własnych domów. Znamy przykłady, gdy nie wahali się reagować gwałtownie.

– To cię przeraża?

– A czy nie powinno?

– Raczej nie. Mając Chirończyków na zewnątrz, a wewnątrz w pełni wyposażoną Armię, z poparciem statku na orbicie, Phoenix jest całkiem zdolny utrzymać ich w ryzach. Co Howard mógł zrobić? Pozostawienie ich tam, gdzie są, byłoby moim zdaniem o wiele bardziej ryzykowne.

– Słusznie, ale dopiero gdy już znajdą się na zewnątrz zgodziła się Celia. – A ile będzie zabójstw, zanim to nastąpi?

– I to cię niepokoi?

– No... oczywiście.

– Naprawdę? – Jednym tylko słówkiem Sterm zdołał przekazać całą swą niewiarę. Jego ton sugerował, by Celia także zastanowiła się, czy wierzy w to, co mówi. – Słuchaj, Celio, realia życia nie są obce żadnemu z nas. Możemy być ze sobą szczerzy, nie bojąc się, że się nawzajem urazimy. Ludzie żyją, ludzie służą jakimś celom, paru mniej czy więcej nie robi różnicy. Więc powiedz mi, co naprawdę cię martwi?

Celia szybko zaczerpnęła powietrza, zatrzymała oddech na chwilę i nagle zwróciła twarz ku Stermowi. – Dobrze. Widziałam, co spotkało kaprała i Padawskiego. Chirończycy stosują odwet wobec każdego, kogo uważają za przyczynę wrogich działań skierowanych przeciw sobie. Jeśli nastąpią wysiedlenia... to nietrudno domyślić się, kto będzie najbliższym celem odwetu, prawda?

– Więc chcesz, abym wymusił odwołanie samozniszczenia Howarda.

– Jeśli tak to formułujesz...

– A dlaczego wyobrażasz sobie, że mógłbym to zrobić?

– Możesz z nim porozmawiać. Wiem, że bierze pod uwagę to, co mówisz. Dyskutowaliśmy różne sprawy.

– Rozumiem. – Sterm przyglądał się jej twarzy przez długi, jak się zdawało czas. Wreszcie spytał dziwnie zaciekawionym tonem: – A gdybym to zrobił, co wtedy, Celio?

Nie potrafiła odpowiedzieć. Odpowiedź miała już gotową w myśli, ale skrytą w miejscu, do którego nie chciała docierać. Szybko potrząsnęła głową i zamiast tego zapytała: – Czemu mówisz to tak, jakbym prosiła cię o coś dziwnego?

– Chęć ocalenia męża nie byłaby bynajmniej dziwna, a raczej szlachetna... gdyby była prawdziwa. Czy jest prawdziwa?

Celia przełknęła ślinę, chciała okazać oburzenie, wywołane słowami Sterma, ale nie potrafiła.

Odwróciła oczy. – Co pozwala ci sądzić, że tak nie jest? Po co bym tu przyszła?

Sterm patrzył na nią nieruchomym wzrokiem. – By się ocalić. – Uważam to za obraźliwe, a ponadto nie na miejscu.

– Naprawdę? Czy raczej nie umiesz się jeszcze z tym pogodzić? Celi zmusiła się, by odpowiedzieć tak chłodnym głosem, na jaki tylko mogła się zdobyć. – Nie lubię słuchać, że zajmuję się ratowaniem własnej skóry.

Sterm siedział nieporuszony, jakby się spodziewał takiej właśnie odpowiedzi. – Nie wspomniałem bynajmniej, że chcesz ratować się fizycznie. Podkreśliłem już, że oboje jesteśmy realistami, nie musisz więc uważać się za zobowiązaną do okazywania, że nie rozumiałaś. – Zrobił przerwę, jakby chcąc zostawić jej czas na odpowiedź, ale równocześnie dając do zrozumienia, że żadnej odpowiedzi nie oczekuje. Celia podniosła kieliszek do ust i poczuła, że jej ręka lekko drży. – Marzenie się załamało, nieprawdaż, Celio? Ja o tym wiem, ty o tym wiesz i wie też część umysłu Howarda, gdzieś bardzo głęboko, resztę zaś ogarnęło szaleństwo. Spodziewałaś się, że będziesz dzielić panowanie nad światem, zamiast tego dzielisz celę z szaleńcem. Świat nadal jest, jaki jest, ale ty nie umiesz z tym się pogodzić, Howard zaś zmienić świata nie potrafi. – Sterm zrobił wyrazisty gest ręką. – A przyszłość czeka na ciebie. – Znowu przerwał, patrzył jak Celia spuszcza oczy i skinął głową. – Tak, mógłbym przekonać Wellesleya, aby unieważnił rozkaz deportacji, albo spowodować, by Borfontein wzmocnił garnizon Phoenixa, otoczył twój dom SS – uranami, abyś nigdy nie musiała bać się o swe bezpieczeństwo. Ale czy naprawdę chciałabyś, abym to zrobił?

Celia spojrzała na kieliszek w dłoni i nerwowo zagryzła wargi. – Nie wiem – szepnęła z trudem. Sterm patrzył na nią obojętnie. Wreszcie potrząsnęła głową. – Nie.

Sterm milczał przez kilka sekund, aby Celia oswoiła się z własnym wyznaniem. Wreszcie powiedział: – Ponieważ staliby się oni strażnikami więzienia, w jakie Howard zmienia tę planetę. Jesteś tutaj, ponieważ sądzisz, że ja wezmę planetę, która, jak myślał, odda mu się sama, bo ja mam siłę, której mu brak, i ze mną możesz zachować życie. – Celia znowu spojrzała na niego, lecz oczy Sterma patrzyły gdzieś w dal. – Chiron zrobił błaznów z tych słabeuszy, którzy łudzili się, że gra będzie się tutaj odbywała według cywilizowanych reguł, a teraz, gdy słabi upadli, droga jest otwarta dla tych, którzy wiedzą, że dla ziemskich praw nie ma tu zastosowania. Przeżyją silni, a wola przetrwania nie liczy się ze skrupułami.

Oczy Celii rozszerzyły się. Wiele spraw nagle stało się jasne. Ty... – Głos na chwilę uwiązał jej w gardle. – Ty wiedziałeś, co się zdarzy z Howardem, z Phoenixem... wszystkim. Od początku wszystkich ich sobie ustawiałeś, nawet Wallesleya. Wiedziałeś, co nastąpi po lądowaniu, ale poparłeś to.

Sterm popatrzył na nią i uśmiechnął się niewesoło. – Nie mógłbym tego nazwać “ustawianiem”. Po prostu pozwalałem im posuwać się drogą, jaką sami wybrali, tak jak ty wybrałaś swoją. – Ale ty wiedziałeś, dokąd ta droga prowadzi.

– Gdybym ich ostrzegł, nie posłuchaliby. Trzeba było koniecznie pokazać, że wszelkie rozwiązania alternatywne wobec siły są daremne. Teraz już rozumieją to, jak ty zaczynasz rozumieć.

– Jak... jak możesz to usprawiedliwić?

– Przed kim miałbym cokolwiek usprawiedliwiać? To jest zasada rodem z Ziemi. Ja tworzę własne.

– Przed Kongresem, przed narodem.

Sterm parsknął. – Nie potrzebuję ich. Te same siły, które ujarzmią Chirona, ujarzmią też naród. – Jego oczy prześlizgnęły się po ciele Celii. – I oni się z tym pogodzą, bo mają, tak jak ty, instynkt samozachowawczy.

Celia patrzyła zafascynowana w jego oczy, które przez chwilę wyrażały chłodną, wyrachowaną bezwzględność, wolną od żalu, usprawiedliwień czy bodaj ich cienia. Przeszył ją zimny dreszcz. Lecz równocześnie poczuła, że jej najgłębsze myśli i życzenia, do których nie chciała sama przed sobą się przyznać, przebijają się na powierzchnię. Spojrzenie Sterma rzucało jej wyzwanie, aby zaprzeczyła cemukolwiek, co powiedział. Nie była zdolna nawet do tego.

Howard chciał posiadać ją na własność, ona zaś nie zgodziła się być własnością. Steru nie chciał posiadać Chirona, lecz nad nim panować. Nie było miejsca na kompromis, interesowała go tylko bezwarunkowa kapitulacja i Celia wiedziała, że ratunek ofiaruje jej za tę cenę. Może nawet wiedziała o tym, zanim tu przyszła.

Jakby czytając jej myśli, Sterm zapytał: – Czy jadąc tutaj wiedziałaś, że pójdziesz ze mną do łóżka? – Mówił spokojnie i rzeczowo, nie starając się ukryć przekonania, że umowa, którą to miało symbolizować, już jest zawarta.

– Ja... nie wiem – wyjąkała w odpowiedzi, starając się nie pamiętać, że powiedziała Howardowi, iż wróci porannym promem; miała też w torebce klucz do mieszkania Weroniki.

– Czy on spodziewa się, że wrócisz na noc? – zapytał ciekawie Sterm, choć Celia nie mogła ukryć uczucia, że on już zna odpowiedź. Potrząsnęła przecząco głową. – Gdzie rzekomo się znajdujesz?

– Z przyjaciółką w Baltimore – odpowiedziała, całkowicie się poddając. Nie musiała tego robić, ale coś w niej do tego ją zmuszało. Wiedziała też, że w ten sposób Sterm zniewala ją do otwartego przyznania się przed nim i przed nią samą. Warunki kapitulacji były już jasne.

– Nie ma więc powodu, aby niestosowny pośpiech obniżał jakość tego wieczoru – powiedział Sterm, pochylając się do przodu i swobodnym ruchem ujmując karafkę. – Trochę czasu ułatwia więcej, niż dobry koniak. Czy zechcesz jeszcze ze mną się napić?

– Oczywiście – szepnęła Celia i podsunęła swój kieliszek.

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DZIEWIĄTY

– Zaopiekujemy się tym. – Colman odwrócił głowę i zawołał: – Stanislaw, Young, chodźcie tutaj i pomóżcie mi z tą paką!

Stanislaw i Young, z karabinami przewieszonymi przez plecy, wystąpili z oddziału stojącego na trotuarze i pomogli Colmanowi wepchnąć pakę do ciężarówki, oczekującej odjazdu do punktu granicznego. Chirończyk z kilkunastoletnim synem, którzy przedtem próbowali dać sobie radę z pacą, przyglądali się im. Wepchnięta w głąb samochodu, zawadziła o brezent, odsłaniając leżący w otwartym pudle, obok różnych sprzętów domowych, wielkokalibrowy karabin. Chirończyk, zauważywszy to, spojrzał ciekawie na Colmana. Colman zarzucił brezent z powrotem na pudło i odwrócił się.

Robot familijny, który też nie mógł poradzić sobie z paką, wdrapał się na tylną klapę wozu i przysiadł na niej, machając nogami w powietrzu. Żołnierze odprowadzili Chirończyka do wozu osobowego, w którym czekało dwoje młodszych dzieci z matką. Rozległ się ostry stuk od strony domu. – Sirocco przybijał na nim zawiadomienie, że został skonfiskowany i stanowi obecnie własność państwową. Tłumek jakichś trzydziestu Ziemian, głównie młodzieży, przyglądał się temu posepnie z drugiej strony ulicy, pilnowany przez obojętny, ale czujny kordon SS – uranów w hełmach, z tarczami i pałkami. Tym razem wrogość Ziemian nie była skierowana przeciw Chirończykom.

Gdy Chirończyk z synem wsiadali do wozu osobowego, oczy siedzącej już w nim kobiety spotkały się na chwilę ze spojrzeniem Colmana. – Wiem wszystko – powiedziała przez okno. – Masz zajęcie, które musisz jeszcze przez chwilę wykonywać. Nie martw się. Skorzystamy z wakacji. A potem tu wrócimy. – Colmanowi udało się zdobyć na cień uśmiechu. W chwilę później ciężarówka ruszyła, z robotem siedzącym z tyłu, a za nią wóz osobowy. Dwie smutne twarze dziecięce widniały w tylnym oknie.

Od strony cywilnych Ziemian rozległy się gniewne pomruki. Colman starał się ich nie słyszeć. Ustawił oddział w styku, Sirocco zaś zagłębił się w papiery, poszukując następnego domu na liście. Chirończycy wiedzieli, że odgrywanie się na żołnierzach nic im nie pomoże. Żołnierz, który mógłby być sprzymierzeńcem, stałby się wrogiem na widok kolegi rannego i krwawiącego, wynoszonego z tłumu. Wszystko, co robili Chirończycy, było obliczone na zmniejszenie liczby ich wrogów, a nie powiększenie i na zredukowanie ich przeciwników do twardogłowych w centrum, bo tylko z nimi walczyli. Colman był tego świadom, Sirocco też był świadom i żołnierze również. Czemu więcej Ziemian tego nie dostrzegało?

Pomruki z przeciwległego chodnika zmieniły się nagle w kocią muzykę i szyderstwa. Towarzyszyły im wymachujące pięści i pałki, które nagle się nie wiadomo skąd pojawiły. Colman odwrócił się i ujrzał jak czarna limuzyna, którą Kalens sprowadził z *Mayflowera II*, przystanęła na skrzyżowaniu o jeden blok dalej przy grupie stojących tam oficerów. Major Thorpe podszedł do niej. Colman widział srebrnowłosą sylwetkę Kalensa, mówiącego coś do majora z tylnego siedzenia. Ktoś rzucił kamieniem, który nie doleciał i potoczył się z nieszkodliwym stukiem do stóp stojących oficerów. Poleciały następne i paru Ziemian groźnie posunęło się do przodu.

Dowódca SS cofnął swych ludzi, by sformowali kordon blokujący skrzyżowanie, Sirocco zaś polecił swoim wziąć pałki i tarcze. Gdy żołnierze ustawili się w styku defensywnym po jednej stronie ulicy, tłum runął po drugiej w stronę skrzyżowania, Sirocco krzyknął, by ich wyprzedzić, i

oddział pobiegł przed siebie, zderzając się z tłumem w połowie długości bloku.

Colman znalazł się przed wielkim mężczyzną, wymachującym kijem baseballowym, z paskudnie skrzywioną twarzą, wyrażającą tylko szaleństwo, które owładnęło tłumem. Mężczyzna machnął kijem groźnie, lecz niezdarnie, Colman z łatwością odparł uderzenie tarczą i dźgnął go końcem pałki w odsłonięte okolice nerek. Napastnik odskoczył z wrzaskiem bólu. Krzyki, przekleństwa i odgłos zderzających się ciał dochodziły ze wszystkich stron. Coś twardego odbiło się od hełmu Colmana. Rzucili się na niego z dwóch stron dwaj młodzi ludzie, jeden wymachując pałką, drugi łańcuchem. Sierżant odskoczył tak, by obaj znaleźli się w jednej linii, zrobił fintę pałką, po czym pchnięciem tarczy z całej siły posłał jednego na zderzenie z drugim. Obaj zwalili się bezwładnie. Colman dostrzegł, że coś trafiło Younga w policzek, ale dwie wodzące się za bary postacie zasłoniły mu widok, a potem Young leżał już na ziemi. Tłusty młodzieniec usiłował kopnąć leżącego. Colman zwalił napastnika ciosem w głowę. Gdy mrozące krew w żyłach ryki i tupot biegnących stóp obwieściły przybycie SS – uranów, bezładny tłum znikł za rogiem i wszystko się skończyło.

Young miał na policzku ranę brzydką, ale niezbyt głęboką oraz ogromnego siniaka na szczęcie; czterech demonstrantów zarobiło guzy na głowie i inne drobniejsze uszkodzenia. Podczas gdy sanitariusz kompanijny opatrywał rany, a Sirocco opodal rozmawiał z dowódcą SS – uranów, Colman patrzył, jak limuzyna Kalensa oddala się w przeciwnym kierunku i znika. Tak było zawsze teraz już wiedział. Przez tysiące lat ludzie krwawili i umierali za to, by innych odwożono do pałaców. Poświęcali się, gdyż nie potrafili przeniknąć starannie utkanej zasłony, zaciemniającej prawdę uwarunkowano ich tak, by nie byli zdolni przebić jej wzrokiem, a nawet pomyśleć o takiej możliwości. Ale Chirończyków nigdy tak nie tresowano.

Przewrotna logika, która zawsze tak go dziwiła, nie była cechą jedynie umysłów wojskowych; po prostu z taką tylko Colman dotychczas się stykał. Przewrotność była produktem całego obłąkańczego systemu, którego wojsko było tylko częścią – systemu, który toczył wojny, by bronić pokoju, i zniewalał narody wyzwalając je; który podawał nienawiść i chęć odwetu za wolę wszechmiłującego Boga, a w umysły dzieci wbijał litanie do tegoż Boga; który palił i torturował heretyków, głosząc wszechwybaczenie; uczynił grzech z miłości, a cnotę z morderstwa i wynosił do władzy szaleńców, wymagając od rządzących takich cech, których nie mógł mieć zdrowy umysł. Chirończycy nieubłaganie zdzierali z rzeczywistości zasłonę i mnóstwo rzeczy stawało się jasne.

Kurtyna zaś, którą podnoszono, była także tłem dla sceny, na której tańczyły kukiełki. Gdy kurtyna znikła i znikły sznurki, którymi kukiełki poruszano, one tańczyły nadal. Tańczyły bez sznurków, bo sznurków nie było. Nigdy nie było żadnych sznurków, z wyjątkiem tych, które kukiełki pozwoliły przywiązać do swych mózgowi reżyserom. Ale sznurki te podtrzymywały reżyserów, nie kukiełki, bo reżyserzy padali, a kukiełki tańczyły nadal.

I teraz Colman zrozumiał to, co Chirończycy przez cały czas starali się im wytłumaczyć.

Ale musiał tu zostać, podobnie jak Sirocco i 80 procent kompanii "D", znajdujące się jeszcze w Phoenixie. Gdy odszedł Swyley, odszedł Driscoll i odeszło wielu innych, Sirocco zebrał pozostałych i przypomniał im o broni na *Mayflowerze II*.

– Jeśli ludzie, którzy zaczynają teraz wpełzać z zakamarków, położą ręce na tej broni, może wyniknąć katastrofa, która będzie końcem cywilizacji na planecie. Widzieliście wszyscy, co się dzieje na Ziemi. No i ludzie o tej samej mentalności są tutaj i zaczynają wpadać w panikę. Musimy utrzymać w Armii siły dostateczne, by ich powstrzymać, jeśli zajdzie potrzeba. – Dlatego zostali.

Chirończycy będą patrzeć i czekać, aż pozostanie tylko nagi szaleńczy rdzeń, opuszczony przez ostatnich obrońców. Na koniec zostaną tylko dwa gatunki: Chirończycy i Kalensowie. A Colman nie miał już żadnych wątpliwości, po której stronie się znajdzie.

W kancelarii kompanii "D", w bloku koszarowym Omara Bradleya, Hanlon dopiął pas amunicyjny, nałożył hełm i wziął swoje M32 ze stojaka. Zbliżała się godzina 2.00, czas na zmianę posterunków strzegących rezydencji Kalensa o ćwierć mili stamtąd.

– No, już czas – powiedział do Sirocca, rozwalonego z nogami na biurku i Colmana wyciągniętego w kącie. Obaj mieli zapuchnięte oczy po długim i wyczerpującym dniu. – Postaram się krzyczeć cicho. Nie darowałbym sobie, gdybym zakłócił spokój Jaśnie Oświeconego, gdy śpi.

Sirocco uśmiechnął się z trudem. – Uważaj się za usprawiedliwionego, że nie zdejmujesz butów – mruknął.

– Czy nadal jesteśmy zaproszeni do Fallowsów wieczorem, Steve? – zapytał Colmana Hanlon, zatrzymując się na chwilę przy biurku.

Colman kiwnął głową. – Tak sędzę. Gdy skończysz służbę, pewno będę spał. Lepiej zadzwoń do mnie.

– Zgoda. Do zobaczenia. – Hanlon wyszedł. Było słyhać, jak na zewnątrz szykuje oddział zmiany warty.

– O, tu jest jeszcze coś, co ci chciałem pokazać – powiedział Sirocco, zdejmując nogi z biurka i odwracając się do kompanelu. – Nadali dziś wczesnym wieczorem. Chcesz się pośmiać?

– Co? – spytał Colman.

Sirocco wystukał kilka rozkazów na klawiaturze i w sekundę później na ekranie ukazał się dokument. Colman wstał i podszedł, by go przeczytać, Sirocco zrobił mu miejsce. Było to pismo od Pomocnika Zastępcy Dyrektora Inżynierii, Leightona Merricka z *Mayflowera II*, przysłane z prośbą o opinię drogą służbową poprzez Sztab Główny i Brygadę. Informowało, że w związku z niespodziewanie wysoką liczbą awansów wśród młodszych techników, Inżynieria obecnie była w stanie udzielić "ponownego należytego rozpatrzenia" wnioskowi, złożonemu przez sierżanta sztabowego Colmana. Czy Armia zechce podać swą obecną ocenę wniosku? – Wygląda, że zabrakło im Indian – zauważył Sirocco. – Co sobie życzysz, bym odpowiedział?

– A jak myślisz? – odrzekł. Colman i wrócił na swój fotel. Sirocco niedbale wystukał "Negatywna" i wyłączył ekran.

– No to co będziesz robić? – spytał Sirocco, ponownie pakując nogi na biurko. – Czy już się zdecydowałeś?

– Och, zaplanowałem całą kupę nauki – inżynieria ogólna, a szczególnie magnetohydrodynamika. Wtedy może zorientuję się, czy na pewien czas mogę się dostać do Port Norday. Później mógłbym się przenieść do tych nowych zakładów, o których opowiadają.

– Czy Kath ci to załatwi?

Colman kiwnął głową. – W każdym razie umożliwi start. Później, o ile się orientuję, wszystko zależy od tego, jak kto sobie daje radę. Wiesz, jak tu jest. – Po chwili zapytał: – A co z tobą?

Sirocco w zamyśleniu kręcił węża. – Nie wiem, od czego zacząć, Ty wiesz, co bym chciał – włóczyć się i oglądać całą planetę. Łańcuch Bariery jest tak wysoki jak Himalaje, jest i Glace... Największy kanion w Oriencie... masa tego jest. Ale myślę, że trzeba robić coś pożytecznego, równocześnie podróżując dla przyjemności. Sędzę, że jest jeszcze do zorganizowania mnóstwo wypraw badawczych. Muszę spróbować skontaktować się z tym towarzystwem geograficznym, którym tak interesował się Swyley, zanim rozwiął się jak mgła z Driscollem. – Sirocco przez chwilę przyglądał się swoim nogom, jakby próbując się zdecydować, czy jeszcze coś powiedzieć. – No i oczywiście jest jeszcze Shirley dodał niedbale.

– Shirley?... Mówisz o matce Ci?

– Tak.

– A co z nią?

Sirocco uniósł brwi jawnie udając zaskoczenie. – Och, czyżbym ci nie mówił? To zadziwiające, jak wielu z chirońskich kobiet zależy na Ziemiach, aby... – zmarszczył czoło i podrapał się w nos, szukając właściwych słów – ...pomogli w ich przyszłym przyczynieniu się do pomnożenia ludności. – Spojrzał na Colmana. – Chce mieć ze mną dzieci. Co o tym sądzisz, Steve? Słuchaj, założę się, że tak samo jest z Kath. – Chociaż swoim zachowaniem Sirocco starał się dać do zrozumienia, że sprawa jest błaha, nie potrafił ukryć radości. Nigdy w życiu nic takiego go nie spotkało i musiał się z kimś podzielić tą radością. Colman zrozumiał to natychmiast, ale poszedł Siroccowi na rękę.

– Ty cholerny cwaniaku! – zawołał. – Od jak dawna to trwa? – Sirocco wzruszył ramionami i rozłożył ręce gestem, który mógł oznaczać wszystko. Colman wyszczerzył zęby. – No cóż, co tu można wiedzieć? W każdym razie – wiele szczęścia.

Sirocco znów podkręcił wąsa. – A poza tym nie mogłem ci zostawić monopolu, prawda? – to znaczy monopolu na wszystkie dobre dziewczyny. – Patrzył na Colmana dziwnym wzrokiem, jakby chciał dowiedzieć się czegoś, o co nie chciał pytać.

– Co masz na myśli? – spytał Colman.

Sirocco odpowiedział nie od razu. Wreszcie przegrał walkę wewnętrzną z własnym rozsądkiem. – Swyley uważał, że tam na statku rznąłeś się z żoną Kalensa.

Colman zachował pokerową twarz. – Skąd on to wziął?

Sirocco machnął ręką na znak, że nie bierze odpowiedzialności za to, co będzie mówił. – Och, widział, jak z tobą rozmawiała, gdy stałeś na warcie honorowej przy tej wystawie z okazji Czwartego Lipca zeszłego roku. To jedno. Pamiętasz?

Colman udawał, że z trudem sobie przypomina. – Taaak... Było coś takiego. Ale nie pamiętam, by Swyley przy tym był.

– Cóż, musiał tam gdzieś być, prawda?

– Możliwe. I co jeszcze?

Sirocco wzruszył ramionami. – No, Kalensowa zawsze pokazuje się z Weroniką, więc muszą być przyjaciółkami. Swyley zauważył coś dziwnego między tobą i Weroniką na tym przyjęciu, które wtedy wydała Shirley, i powiązał sobie jedno z drugim. – Sirocco znów wzruszył ramionami. – Oczywiście wiem, że to nie moja sprawa, i nie chcę wiedzieć, czy to prawda, czy nie... – Zawiesił głos i przez chwilę patrzył z nadzieją na Colmana. – To prawda?

– Czy sądzisz, że gdyby tak było, powiedziałbym prawdę? – spytał Colman.

– Nie przypuszczam – zgodził się rozczarowany Sirocco, wypuszczając powietrze z płuc. Po sekundzie rzucił sierżantowi bystre spojrzenie. – Ale proponuję umowę. Opowiesz mi, gdy się to wszystko skończy, okay?

Colman uśmiechnął się. – Okay, szefie. Opowiem. – Milczeli przez chwilę, myśląc o tym samym. – Jak sądzisz, długo to potrwa? – zapytał wreszcie Colman.

– Kto wie? – odparł Sirocco poważniejszym tonem. – Po tym, co widzieliśmy dziś nie zdziwiłbym się, gdyby na koniec rzuciły się na niego obie strony.

– Dużo ludzi zaczyna przypuszczać, że to on kazał podłożyć te bomby. Co o tym sądzisz?

Sirocco zmarszczył czoło i potarł nos. – Nie jestem przekonany. Nie mogę się oprzeć wrażenia, że został przez kogoś innego wystawiony jako frajer do bicia i ten ktoś jeszcze się nie ujawni. Zdaje się, że Chirończycy też tak uważają.

Colman pokiwał w zamyśleniu głową, uznając, że to możliwe. Domyślasz się kto to?

Sirocco wzruszył ramionami. – Jestem prawie pewien, że to nie Wellesey. Chciał grać uczciwie, a to wszystko jest jak na niego grubo za sprytne. Poza tym cóż by na tym zyskał? Chce tylko, aby mu spokojnie pozwolono odejść na zieloną trawkę, ma – do tego jeszcze parę dni. Na pewno Ramisson ani Lechat nie byliby zamieszani w coś podobnego. Ale cała reszta to obłąkańcy. Może którykolwiek z nich, a może wszyscy razem. Ale to na takich właśnie polują Chirończycy.

– Więc to może potrwać – orzekł Colman.

– Może. Kto wie? Miejmy nadzieję tylko, że w wojsku nie ma takich wielu.

W tym momencie kompanela – rozległy się ostre dźwięki alarmu. Sirocco skoczył na równe nogi, wyłączył alarm i włączył ekran. Ukazał się Hanlon, cały spięty i zdenerwowany.

– Stało się – powiedział. – Kalens nie żyje. Znaleźliśmy go w mieszkaniu, zastrzelonego. Sześć strzałów. Ktokolwiek to zrobił, wiedział, co robi.

– Posterunki? – spytał krótko Sirocco.

– Emerson i Crealey stali na tyłach domu. Znaleźliśmy ich nieprzytomnych w rowie. Musiano ich zaskoczyć od tyłu, lecz nie ma pewności, bo jeszcze nie doszli do siebie. Ale wygląda, że nic im nie będzie. Inni nic nie słyszeli.

Colman przysłuchiwał się ponuro. – Co z jego żoną? – mruknął do Sirocca.

– Co z żoną Kalensa? – powtórzył Sirocco do Hanlona.

– Nie ma jej tu. Sprawdziliśmy w transporcie, miała zabukowane miejsce na promie do statku kosmicznego wczesnym wieczorem. Musiała odlecieć przed wypadkiem. – Colman stojący obok Sirocca głośno odetchnął z ulgą.

– No, to już jest coś – rzekł Sirocco. – Zostań tam, Bret, i nie pozwól nikomu niczego dotykać. Zaraz połączę się z Brygadą. Za parę minut będzie tam więcej ludzi. – Zwrócił się do Colmana: – Podnieś z łóżek dwie sekcje, jedną w pełnym oporządzeniu, druga zostaje w pogotowiu. Zaraz wyślij karetkę z załogą po Emersona i Crealeya. – Hanlon znikł z ekranu, Sirocco wystukał wezwanie do Brygady. – Wygląda na to, że frajer już został utłuczony, Steve – mruknął, podczas gdy Colman na drugim ekranie wywoływał dyspozytora karetek. – Zobaczymy, kto teraz wystąpi zza kulis.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY

Napięcie rosące od chwili, gdy osiągnęli planetę i szok ostatnich nowin, wyraźnie odbijały się na twarzy Wellesleya, gdy powstał, by przemówić do oszołomionych członków Kongresu *Mayflowera II*; zwołanego w parę godzin później. Wyglądał na cień człowieka, którym był, a zgromadzenie na szkielet ciała ustawodawczego, które zebrało się w dniu, gdy dumny statek osiadł na orbicie u celu swej heroicznej podróży. Niektórzy, jak na przykład Marcia Quarrey, znikli bez ostrzeżenia w ostatnich tygodniach, bo wszechobecny wpływ Chirona dalej zbierał swe żniwo; kilku na dole nie zdążyło przylecieć z powierzchni. Niwmniej, mimo nagłości wezwania, Wellesleyowi udało się zebrać quorum. Powiedział im o swych zamiarach, rozległo się kilka głosów protestu i sprzeciwu i teraz prawodawcy czekali na ogłoszenie decyzji, która dla większości z nich była już przesądzonym z góry zamknięciem sprawy.

– Wysłuchałem i przemyślałem sobie sprzeciwy, ale sądzę, że punkt widzenia większości z nas stał się zupełnie jasny – powiedział Wellesley. – Linia polityczna, którą usiłowaliśmy przeprowadzić, nie tylko nie osiągnęła swych celów i okazała się niezdolną do ich osiągnięcia, ale doprowadziła do czynu, który wszyscy musimy uznać za pierwszą manifestację groźby, skierowanej przeciw nam wszystkim jako potencjalnym przyszłym jej obiektom. Doprowadziła także do alienacji naszej własnej ludności do stopnia, w którym wielu sympatyzuje z tymi, od których groźba wyszła. Jakikolwiek rząd, usiłujący kontynuować tę linię, będzie rządem tylko z nazwy.

Przeżywamy kryzys, który zagraża dalszemu trwaniu integralności całej Misji, i stało się dla mnie oczywiste, że nasze trudności mogą być tylko pogłębione przez przedłużający się podział władzy. Ponieważ zaś odpowiedzialność nie może być delegowana, ja jeden jestem odpowiedzialny za wszelkie konsekwencje mojej decyzji. Przerwał na chwilę, by rozejrzeć się po sali, i wziął głęboki oddech. – Na mocy udzielonych mi jako Dyrektorowi Misji uprawnień, ogłaszam istnienie stanu zagrożenia. Działalność Kongresu zostaje z tą chwilą zawieszona na okres trwania zagrożenia i na mocy tego oświadczenia przejmuję całość uprawnień, dotychczas przynależnych Kongresowi, z wyjątkami, jakie uznam za stosowne wprowadzić podczas okresu zagrożenia. – Po krótkiej pauzie dodał tonem mniej oficjalnym: – I proszę was wszystkich o współdziałanie, aby okres ten był tak krótki, jak tylko możliwe.

Choć wszyscy spodziewali się tego obwieszczenia, na sali rosło napięcie w miarę, jak trwało oczekiwanie na słowa potwierdzenia. Teraz, gdy już zostały wypowiedziane, napięcie rozładowało się w fali pomruków, którym towarzyszył szelest papierów i skrzyp krzeseł, gdy siedzący na nich rozsiadali się wygodniej.

A wtedy rozległ się zza głównego wejścia coraz głośniejszy tupot maszerujących nóg. Sekundę później drzwi otworzyły się z trzaskiem i wkroczył generał Stormbel na czele grupy oficerów, poprzedzających oddział SS – uranów. Żołnierze błyskawicznie rozbiegli się, blokując wszystkie wyjścia, Stormbel z oficerami zaś przemaszerowali przejściem między ławami poselskimi do środka sali, gdzie zwrócili się twarzami do kongresmanów, przed którymi ciągle stał Wellesley. Borfontein zerwał się na nogi, ale pohamował się na widok pistoletu, który skierował nań jeden z pułkowników SS. Osłupiały opadł na siedzenie.

Stormbel był niski, krępy i kompletnie łysy, miał wodniste oczy i kamienną twarz. Nad górną wargą nosił cienki wąsik. Podparł się pod boki i przez parę chwil przyglądał oniemiałym twarzom przed sobą. – Kongres zostaje rozwiązany – oświadczył wysokim i przenikliwym głosem. – Misja

przechodzi pod bezpośrednią komendę sił zbrojnych. – Zwrócił głowę do Borfontein. – Jest pan zwolniony z dowództwa zarówno oddziałów regularnych, jak sił Służby Specjalnej. Te funkcje przechodzą na mnie.

– Na czyj...? – zaczął Wellesley drżącym głosem, ale inny głos, głośny i zdecydowany, przerwał mu.

– Z mojego polecenia. – Matthew Sterm wstał z miejsca i wyszedł na środek, rzucając zgromadzonym wyzywające spojrzenie. – Ta paplanina trwała zbyt długo. Dość już czasu stracono na tego rodzaju głupstwa. Udacie się teraz wszyscy pod eskortą do wyznaczonych wam kwater i pozostaniecie w nich aż do dalszych poleceń. My mamy sprawy do załatwienia. – Kiwnął głową na Stormbela, który dał znak posterunkom. – Chciałbym, aby pozostał admirał Slessor dla przedyskutowania spraw związanych z pomyślnością statku.

Gdy żołnierze poruszyli się, a członkowie Kongresu siedzieli sparaliżowani w milczeniu, podniósł się z ław Ramisson i wyszedł na środek, zatrzymując się naprzeciw Sterma. – Nie ustąpię i nie dam się zastraszyć – powiedział przez ściśnięte gardło. – Zabierz swoich ludzi sprzed drzwi. – Odwrócił się i zaczął iść ku głównemu wyjściu w głębi.

Stormbel wyciągnął pistolet i wycelował go w plecy Ramissona.. – Ostrzegam tylko raz! – zawołał. Ramisson szedł dalej. Stormbel strzelił. Ramisson potknął się przy akompaniamencie głosów przerażenia i nagle przewrócił na bok. Zawtórował mu jęk na ławach poselskich. Stormbel spokojnie włożył pistolet do kabury, a potem podniósł rękę, przyzywając żołnierzy. – Zabierzcie tego człowieka i postarajcie się, by miał opiekę lekarską. Dwaj SS – mani zbliżyli się, chwycili Ramissona pod pachy, mocno, ale bez zbędnej brutalności, i ponieśli. przed siebie. Dwaj inni otworzyli przed nimi drzwi, zamknęli i powrócili na swe miejsca.

– Czy ktoś jeszcze się sprzeciwia? – zapytał Sterm. Za jego plecami Wellesley, poblady i wyczerpany, opadł bezwładnie na fotel.

– Skończcie z tym – powiedział ponuro Borfontein. – Jak myślicie, ile wojska pójdzie za wami?

Stormbel obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. – A ilu twoich żołnierzy ci zostało? – zapytał. – Niemal wszyscy są na powierzchni, a oficerowie dowodzący kluczowymi jednostkami już są z nami. Poza tym my mamy statek, a to najważniejsze.

– W tej chwili – dodał Sterm. – Reszta przyjdzie później.

Borfontein obliznął wargi, gorączkowo myśląc. Gdy Stormbel miał już powtórzyć rozkaz opróżnienia sali, Borfontein spojrzał na Sterma, przymknął na chwilę oczy, po czym podniósł rękę i potrząsnął głową. – Ja... ja nawet nie jestem pewien, czy rozumiem, co się stało – powiedział. – To wszystko stało się zbyt nagle. Co ty w końcu zamierzasz zrobić? – Z wewnętrznej kieszeni munduru nieznacznie wy dobył komblok i wsunął pod stół.

Sterm wydał westchnienie ciężko doświadczonej cierpliwości. Postaram się wyjaśnić ci to prostymi słowami – odrzekł. To błazeńskie przedstawienie było...

Wpatrując się w Sterma, Borfontein równocześnie wystukał końcami palców osobisty numer sędziego Fulmire'a i spokojnie wsunął komblok pod leżące luzem papiery, oparte o spoczywający przed nim skoroszyt.

Paul Lechat wielkimi krokami przemierzał w podnieceniu salon w mieszkaniu Fallowsów w Cordova Village. – Nie sądziłem, że Chirończycy posuną się aż do tego – oświadczył. – Myślałem, że reagują tylko na bezpośrednią przemoc. Dlaczego nie pozwolili, by to wszystko umarło śmiercią naturalną?

– Czy nie sądzisz, że rabowanie ludziom domów i wyrzucanie ich na bruk jest dostatecznie bezpośrednim przejawem przemocy? – spytała Jean, siedząca na jednym z krzeseł przy stole obiadowym, podczas gdy Jay milcząco przysłuchiwał się z drugiej strony. – A co mieli robić? Nie ruszyli żołnierzy, lecz wyrównali rachunki z człowiekiem za to odpowiedzialnym. Powinien był się tego spodziewać.

Lechat potrząsnął głową. – To było niepotrzebne. Za parę dni Ramisson zostałby wybrany prawie na pewno. A wtedy wszystko ułożyłoby się samo, gładko i spokojnie. Ta akcja znów wszystko skomplikowała. Prawdopodobnie w tej chwili Wellesley ogłasza stan wyjątkowy, a to znaczy, że wybory automatycznie zostają przesunięte. Sprawa cofa się o całe tygodnie, może miesiące.

Przerwał na chwilę i wyrztał przez okno, zbierając myśli. Potem odwrócił się, spojrzął najpierw na Jean, później na Bernarda, który przysłuchiwał się z kanapy koło ekranu ściennego. – Jakkolwiek znam wielu ludzi myślących jak Jean, możemy jednak z wielu stron oczekiwać reakcji antychirońskich. I to mnie niepokoi. Ale jeśli teraz, mając okazję, ustanowimy tu liberalną cywilną administrację, jest duża szansa, że Wellesley zaakceptuje to jako fakt dokonany. Nawet jeśli ogłosi stan wyjątkowy, to pogodzi się z nami, gdy zrozumie nieuniknione – co, jak przypuszczam, już zaczął pojmować. A to zapewni wszystkim wiarę w jutro i o całej sprawie wkrótce zapomną. Ale mamy mało czasu. Dlatego nie pojechałem na sesję. A wy oboje możecie pomóc prawie w ten sam sposób, jakeśmy już mówili. Przede wszystkim chciałbym, abyście... – Przerwał mu sygnał wezwania z osobistego kombloku. Odruchowo spojrzął na kieszeń marynarki. – Przepraszam na chwilę.

Fallowsowie patrzyli, jak wyciąga aparat i ruchem kciuka potwierdza przyjęcie wezwania. Z miniaturowego ekranu wyrztał sędzia Fulmire. – Czy jesteś sam, Paul? – spytał bez wstępu. Mówił ostrym, urywanym głosem.

– Jestem w towarzystwie, ale to ludzie pewni. Co...

– Nie wychodź na ulicę i ukryj się – powiedział Fulmire. Sterm i Stormbel zrobili zamach stanu. Mają po swojej stronie SS i przynajmniej część wojsk regularnych – nie wiem jaką. Zaresztowali wszystkich tutaj członków Kongresu i wysłali patrole, by wyłapać resztę. Prawdopodobnie jesteś też na liście, więc rozmawiamy krótko. Obsadzają Centrum – Telekomunikacji, a ze Slessorem dogadali się, że pozostawią jego i załogę w spokoju, jeśli ograniczy się do spraw statku. Wydostań się z Phoenixa, jeśli zdołasz. Nie wiem czy... – W tym miejscu głos i obraz nagle zniknęły.

– Kto to był? – spytała Jean. Jej oczy wyrażały niepewność. – Sędzia Fulmire. – Lechat zmarszczył czoło i wystukał numer, by przywrócić połączenie. Aparat odpowiedział sygnałem: "numer nieosiągalny". Wystukał inny numer kodowy, by zaalarmować dyżurnego wideofonistę. Ta sama odpowiedź. – Sieć ogólna została chyba przerwana – powiedział. – Nawet kanały pogotowia.

– O, Boże... – szepnęła Jean. – Teraz wyciągną te bomby. Bernard ponuro patrzył przed siebie, przypomniawszy sobie obraz krateru wybitego na powierzchni Remusa. – Musimy ich powstrzymać – wyszeptał bez tchu. – Musimy jakimś sposobem wysłać tam na górę zawiadomienie... do Sterma... by powiedzieć mu, co nam grozi. Na statku są jeszcze tysiące ludzi.

– Nie uwierzy – odpowiedział smutno Lechat. – To by wyglądało na jawny blef, i to taki, który byle kto potrafiłby wymyślić.

Jean potrząsnęła głową. – Ale przecież musi coś być... Chirończycy! Im będzie musiał wierzyć. Jeśli nadadzą mu wiadomość z dokładnym opisem, co ich broń może zdziałać – obojętne, kto mu to powie, byleby z dowodami, że mówi prawdę – Sterm na pewno będzie musiał wziąć to pod uwagę.

– Ale nie wiemy nawet, z kim z Chirończyków o tym mówić zwrócił uwagę Lechat.

Bernard od pewnego czasu milczał. – Kath musi coś o tym wiedzieć albo zna ludzi, którzy

wiedzą – powiedział wreszcie. W końcu Chirona nie zamieszkuje miliardy. A Jerry mówił, że ona ma wiele wspólnego z ludźmi, którzy pracują nad antimaterią na uniwersytecie. Zaczniemy od niej.

Jean zerknęła na ekran, a potem na Bernarda. – Czy mamy ją wywołać przez Jeevesa... przez sieć chirońską? Nie powinna chyba być zablokowana?

– Nie można ufać żadnym środkom elektronicznym – ostrzegł Lechat.

– To może być ryzykowne – dodał Bernard po chwili namysłu. – Jeżeli Sterm i ktotamkolwiek jeszcze przygotowali tę akcję, to pewnie nie zaniedbali założyć podsłuchów linii i sygnałów wywołań na wszystkich sieciach. Ktoś musi pójść.

– Kto? – spytała Jean.

– No, Paul nie może się nigdzie pokazać – odpowiedział Bernard. – Słyszałaś, co powiedział Fulmire. Wynika z tego, że ja. – Ale co z posterunkami granicznymi? – przestraszyła się

Jean. – Nie wiemy, komu można ufać. Fulmire nie wiedział, która część Armii jest po której stronie. W każdej chwili mogą wybuchnąć walki. Nie wiadomo, w co tam wdepniesz.

Bernard bezradnie wzruszył ramionami. – Wiem. To ryzyko ale co innego można zrobić?

Zapadło pełne napięcia milczenie. Wreszcie odezwał się Jay: Znam przynajmniej jednego człowieka w wojsku, któremu można ufać. – Spojrzeli na niego zdziwieni.

Bernard pstryknął palcami. – Oczywiście, Colman! Czemu, u licha, o nim nie pomyślałem?

– Co za Colman? – zainteresował się Lechat.

– Przyjaciel rodziny, służy w wojsku – odpowiedziała Jean. – Taaak – powiedział, przeciągając słowo i kiwając głową Bernard. – Będzie wiedział, co się dzieje, a także będzie znał bezpieczną drogę przez granicę, nawet jeśli wybuchną zamieszki. – Kiwnął głową energiczniej. – I z pewnością można mu ufać.

– Pójdę go poszukać – zaproponował Jay. – Sądzę, że nie wywołam wielkiego zainteresowania. Nawet jeśli są patroli SS, to nie mnie przecież szukają.

Bernard spojrział na Lechata, Lechat zmarszczył czoło, jakby miał się sprzeciwić. Ale pomyślał jeszcze, wreszcie westchnął rozkładając ręce i skinął głową. Bernard zwrócił się do Jaya: – Okay, spróbuj, czy ci się uda. Jeśli go znajdziesz, poproś by tu przyszedł, gdy tylko będzie mógł.

Jay podskoczył i pobiegł do szafy po kurtkę. Ubierając się spojrział na Jean. – Tak, matko, będę uważał.

Jean zmusiła się do uśmiechu. – No to pamiętaj o tym powiedziała.

Jakaś ręka próbowała wyciągnąć Colmana z grobu, w którym leżał od tysiąca lat. – Sierzancie, niech pan wstaje – zagrzmiał z wysokości głos Sądu Ostatecznego, niesamowicie podobny do głosu Stanisława. – Hanlon wzywa pana do głównej bramy.

– Coo – aach?... Kto...? – Colman przewrócił się na łóżku i zmrużył oczy przed blaskiem: ktoś ścigał koc z jego twarzy.

Z promiennych wysokości zstąpił Anioł Stanisława i przyjął ziemską postać koło pryczy Colmana. – U Hanlona przy głównej bramie jest ktoś, kto chce z panem pogadać. Mówi, że pilne.

Colman usiadł i przetarł oczy. – Czemu nie zadzwonił do mnie? – Zwykle kanały są nieczynne, do statku... wszędzie – poinformował Stanisława. – Kanały alarmowe tylko dla dowództwa wojskowego – dodał, podając Colmanowi buty. – Do bazy promowej zlatuje masa SS – uranów, wysyłają patroli, aresztują ludzi, większość kompanii “B” wyniosła się... W ogóle nie wiem, o co chodzi.

– Sirocco w okolicy? – Colman podszedł do umywalki opłukać twarz.

– W kancelarii. Hanlon go obudził. W Brygadzie rozróżba podobno wykopali Portneya, a Wesserman wziął pod lufy jakichś SS – uranów i zamknął.

Colman wytarł twarz ręcznikiem, rzucił go Stanisławowi i wyciągnął koszulę z szafy. – Bądź tak miły i posprzątaj tu trochę powiedział. Idąc ku drzwiom włożył czapkę i pośpieszył do kancelarii, w biegu zapinając bluzę.

W niecałe pół minuty później Colman wsunął głowę przez drzwi. W kancelarii królował zamęt. Sirocco, Maddock i sierżant Armley z pierwszego plutonu próbowali ugasić coś, co przypominało pożar zapalających się lampek na kombloku alarmowym. – Co, u diabła, tu się dzieje? – zapytał ich.

– Bałagan – odrzekł Sirocco, przyciskając guziki i rozmawiając z ekranami. – Przylatujący promem opowiadają, że tam na statku coś się dzieje... coś dużego. – Zwrócił się do jednego z ekranów: To się postaraj, złap jego adiutanta i daj go na linię. – Po czym do Colmana: – Chcę złapać kogokolwiek, aby mi potwierdził plotki.

– Hanlon czegoś ode mnie chce, pilnie wzywa do bramy powiedział Colman. – Pogadamy za parę minut.

– Okay. Wracaj, jak tylko będziesz mógł.

Colman wyszedł z koszar Omara Bradleya i szybkim krokiem skierował się do głównej bramy. Na parkingu bez przerwy lądowały i startowały pojazdy, z ciężarówek naziemnych pośpiesznie wyładowywano skrzynie amunicji; rejon koszar roił się od krążących patroli i wykrzykujących rozkazy oficerów. W punktach strategicznych pojawiły się otoczone workami z piaskiem stanowiska ogniowe, których parę godzin wcześniej nie było, kopano jeszcze nowe.

Przy głównej bramie posterunek podwojono. Hanlon stał po jednej stronie bramy, przyglądając się wartownikom, sprawdzającym dokumenty wchodzących i wychodzących. Tuż na zewnątrz, obok budki wartowniczej, stał Jay Fallows. Hanlon dostrzegł zbliżającego się Colmana i podszedł doń bez pośpiechu. – Przykro mi, że ci przerwałem tak niezbędną dla urody drzemkę, ale ten tutaj młody człowiek chce z tobą porozmawiać. – Colman przeszedł przez bramę do Jaya, a Hanlon powrócił na miejsce.

Jay mówił poważnym i cichym głosem. – Ojciec polecił mi cię odszukać. To pilne! Jeden z ludzi, których szuka SS, jest u nas w domu. Stern aresztował cały Kongres i jesteśmy prawie pewni, że wraz z wojskowymi ogłosi ultimatum. Jeśli to zrobią, Chirończycy zestrzelą statek. Tata chce wyjść razem z tym facetem i pogadać z Kath, czy coś da się zrobić, ale po to muszą wydostać się z Phoenixa.

Colman zrobił groźną minę. – Zestrzelą statek? Czym?

– Nie wiem – powiedział Jay. – Za wiele by o tym mówić, ale jesteśmy pewni, że mają na to środki. To naprawdę jest aż tak pilne, Steve! Kiedy możesz przedostać się na tę stronę?

– O, Chryste... – Zmordowany Colman podniósł rękę do czoła. – Okay. No to jak tylko będę mógł... – Przerwały mu zbliżające się kroki. Zobaczył sierżanta Armleya z kancelarii kompanijnej.

Armley zatrzymał się przy Colmanie i gestem przywołał Hanlona. – Sirocco wzywa was natychmiast do siebie – wydusił z gardła ostatkiem tchu. – Przejmuję bramę. Zamieszki na bazie promowej. Ze statki: nadeszły rozkazy, by wyrzucić wszystkich Chirończyków i odizolować cały teren. Major Thorpe był tam z częścią kompanii "A" i odmówił przyjmowania rozkazów od SS. Mamy tam wysłać dwa plutony. Sirocco chce, żeby był z nimi Hanlon, a ty masz zabezpieczyć koszary na wypadek strzelaniny, jakby się to tutaj rozszerzyło.

Colman jęknął cicho. Miał właśnie odpowiedzieć, gdy ujrzał kobietę stojącą po drugiej stronie bramy, naprzeciw wartowni. Miała na sobie beret i jasny płaszcz przeciwdeszczowy i starała się dyskretnie zwrócić jego uwagę. – O, Jezu – Popatrzył na pozostałych. Słuchajcie, potrzebuję paru

minut. Jay, zostań tu. – Przeszedł na drugą stronę i dopiero gdy był tuż przy kobiecie, rozpoznał Weronikę, która tym razem nie miała szelmowskiej ani złośliwej miny.

– W tej chwili przybyłam ze statku, Steve. – Prawie przycisnęła go do słupka.

– Czy nie sprawdzają tam, kto wychodzi? – szepnął zdziwiony Colman.

– Oczywiście, że tak. Kompletny chaos. – Więc jak...?

– Znam Crayforda i jego żonę. Jeden z załogi przeprowadził mnie. Ale to nieistotne. Idzie o Celię.

Nie był to odpowiedni moment do podtrzymywania pozorów. Colman zafrasował się jeszcze bardziej. – O co chodzi? Nic jej nie grozi?

Weronika potwierdziła szybkim uchem głowy. – Nie jest ranna, ani nic w tym rodzaju, ale ma ogromne trudności. Zadała się ze Stermem i nie może zrobić kroku bez nadzoru. Może jej naprawdę grozić niebezpieczeństwo, Steve. Musi się stamtąd wydostać.

Colman zrobił głową gest zgody, ale równocześnie podniósł ręce do góry. – Okay, ale jak ona to zrobi?

– Dziś późnym popołudniem przyłeci o zmroku na powierzchnię, by zabrać papiery i swoje rzeczy. Ale będzie pod strażą. Mamy plan, ale najpierw ktoś musi mnie wprowadzić do domu, przed ich przybyciem, a później ją zabrać. Potem będę musiała jakoś wydostać się z bazy promowej, która będzie już zamknięta. Jesteś jedynym człowiekiem, któremu ufa. Czy możesz być wolny, powiedzmy, za godzinę?

Colman patrzył przed siebie osłupiały. Hanlon i Armley niecierpliwie wyczekiwali, Jay patrzył błagalnie. Myślał gorączkowo. Nie wiedział, czemu Celi coś grozi i czemu rozpaczliwie chce uciekać, ale to się później wyjaśni. Jeśli powie, że musi się urwać na parę godzin, Sirocco to ukryje, z tym jest okay. Najpoważniejsza była groźba, że Chirończycy mogą zniszczyć statek, ale mało prawdopodobne, by to była sprawa najbliższych godzin. Z drugiej strony Celia już się zaangażowała w to, co wymyśliły z Weroniką i tego nie da się zmienić ani odwołać. Więc najpierw z Celią. Jay może wracać do domu i powiedzieć ojcu, że Colman będzie później; równocześnie uprzedzi rodziców, by się przygotowali na przyjęcie większego towarzystwa, bo Colman będzie musiał przyprowadzić Celię. I powinno to dobrze wypaść, bo umożliwi jej to potajemną ucieczkę z Phoenixa w jednej operacji wraz z Bernardem i tym drugim poszukiwanym, o którym wspomniał Jay. Maszyny odlatujące z Phoenixa były zaprogramowane na przelot jedynie wąskim korytarzem, chyba że zostaną specjalnie skierowane gdzie indziej, więc ucieczkę trzeba zorganizować przez granicę. Na pewno będzie mógł coś wykombinować wraz z Sirokkiem, gdy wróci do kancelarii, ale to mniejsza, bo sam Colman był już ekspertem nielegalnego przekraczania granicy. Wydostanie zaś Weroniki z bazy trzeba będzie powierzyć Hanlonowi.

– Chyba możemy wymyślić sposób, byś się dostała do domu, Weroniko. Nie wiem, co się dzieje w tej chwili w bazie, ale lada moment powinna tam dotrzeć nasza jednostka. To znaczy, że musisz zaufać też innym facetom. Okay?

– Jeśli tak uważasz. Czy mam wybór?

– Nie. – Colman odwrócił głowę i przywołał Hanlona. – Bret, to jest Weronika. Nieważne czemu, ale będzie potrzebować pomocy, by się wydostać późnym wieczorem z bazy promowej. Co ty na to?

– Coś wymyślimy. Gdzie i kiedy? – zapytał Hanlon. Colman spojrzał pytająco na Weronikę.

– Prom odlatuje o 2130 ze stanowiska piątego – powiedziała. – Wsiądę z niego koło trzydziestu minut przed odlotem. Muszę tylko przedostać się na terytorium chirońskie. Dalej już dotrę na własną rękę.

– Dokąd? – spytał Colman.

– Przypuszczam, że do Caseya – odpowiedziała.

– Czy Casey wie? – spytał Colman. Weronika zaprzeczyła ruchem głowy. Colman namyślał się parę sekund. – To, co tu się dzieje, pachnie nie tak, jak powinno – powiedział. – Czy znasz most na południe od bazy – tam gdzie rura maglewu przechodzi przez mały wąwóz koło stacji rozrządowej?

– Zdaje mi się, że tak. W każdym razie go znajdę.

– Dostań się na most i poczekaj tam – polecił Colman. Wyślę jednego z chłopców do Franklina z wiadomością dla Kath, żeby przysłała tam Caseya czy kogoś innego. Na pewniaka będą się włóczyły po okolicy patrole SS. Lepiej nie ryzykować. Weronika kiwnęła głową na znak zgody.

– Teraz wracam do środka wszystko załatwić – rzekł Colman, idąc z nią do wartowni, skąd obserwowali go ciekawie Armley i Jay. – Mike – powiedział Colman, gdy zatrzymali się przed drzwiami – weź tych dwoje do środka, daj im kawy czy czegokolwiek, dobrze? Jay, poczekaj w środku z Weroniką. Wracam za parę minut. Nie martwcie się. Będzie okay.

Dziesięć minut później, w zaciszu małego arsenału za kancelarią, Colman opowiedział Siroccowi wszystko, czego się dowiedział od Jaya i tyle, co uważał za stosowne o Celi i Weronice. Sirocco poinformował Colmana, że Stormbel przechwycił dowództwo nad Armią i poparł Sterma, a Stermowi udało się pozyskać większość tego, co zostało z wojska, grając na obawach starszych oficerów, że zabójstwo Kalensa jest symptomem generalnego zagrożenia przez Chirończyków.

– Ale jeśli to, co mówisz, jest prawdą, Steve, statkowi grozi rzeczywiście niebezpieczeństwo – rzekł Sirocco, szarpiąc wąsa. Co to za broń i co może spowodować, by Chirończycy jej użyli? Muszę więcej o tym wiedzieć.

Colman tylko potrząsnął głową. – Nie wiem. I Jay nie wie. Właśnie tego chcą się dowiedzieć Fallows i ten drugi.

– Musimy utrzymać oddział w całości na wypadek ostatecznej rozgrywki – mruknął Sirocco. – I myślę, że jeśli chcemy zachować swobodę ruchów, musimy przez pewien czas udawać, że jesteśmy za Stormbelem. – Odwrócił się, przeszedł przez pokój, by spokojnie jeszcze pomyśleć, wreszcie okręcił się na pięcie i skinął głową. Okay, Bret, musisz zaraz udać się do bazy. Po prostu czekaj, aż ta Weronika wyjdzie z promu i rusz głową, jak ją stamtąd wydostać. Martw się tylko o to. No to w drogę. – Hanlon skinął głową i znikł w drzwiach do kancelarii. – Steve – powiedział Sirocco zbierając wszystkich, których chcesz wysłać do Franklina, a dalej już zostawmy to Kath. Potem znikaj i rób, co trzeba, by przerzucić Celię do domu Fallowsów. Jak odbierzesz stamtąd jeszcze tamtych dwóch, zaprowadź ich wszystkich do punktu między północnym przejściem granicznym i tyłami placu budowy koło dworca towarowego. Sekcja Maddocka obsadza ten odcinek od północy do 0400. Wiedzą, jak odwrócić uwagę SS – uranów, a ja postaram się, ty na was oczekiwali. – Colman kiwnął głową i chciał się udać w ślad za Hanlonem. – Ej, Steve! – zawołał Sirocco, jakby uderzyła go nowa myśl. Colman zatrzymał się przy drzwiach i spojrzał na niego. – Mówisz, że nieźle znasz tych Fallowsów?

– Od niedawna – odpowiedział Colman.

– To nie odłączaj się od nich na granicy – rzekł Sirocco. Jedź z nimi do Kath, dowiedz się, ile zdołasz o tej cholernej sytuacji, i wracaj tak szybko, jak potrafisz. W ten sposób możemy wywnioskować, co robić dalej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIERWSZY

Sytuacja wyjaśniła się błyskawicznie. Stormbel zdecydowanie utrzymał się przy dowództwie sił zbrojnych, baza promowa w Canaveral była w rękach Ziemian. Późnym popołudniem przywrócono telekomunikację i zaczęto interesować się mniej palącymi sprawami, odłożonymi chwilowo, gdy Armia była w stanie alarmowym. Należało do niej opróżnienie rezydencji Kalensa i przeniesienie tego, co było w niej najcenniejsze w bardziej bezpieczne miejsce. O zmroku na podjeździe i parkingu koło domu zgromadziły się pojazdy naziemne i powietrzne z oddziałami roboczymi. Na wojskowy transporter osobowy, który nie miał tu nic do roboty, nikt nie zwrócił uwagi. Wylądował na trawniku pod osłoną drzew koło parkingu na tyłach budynku.

Wewnątrz pojazdu Stanislaw wyłączył system sterowania lotem i wszedł do przedziału pasażerskiego, nie zapalając światła. Czekali tam Colman, Maddock, Fuller i Carson, siedząc przy wielkich skrzyniach na obrazy, za stosem kartonów, narzędzi i materiałów pakunkowych leżących u ich stóp. Była z nimi Weronika, ubrana w wojskowy kombinezon roboczy, kurtkę polową i czapkę. Długie, falujące, rude włosy miała krótko obcięte, a na karku podstrzyżono je do regulaminowej długości. Maddock przedostał się przez zwały materiałów, otworzył drzwi i wysiadł wraz z Garsonem i Fullerem. Stanislaw został w środku, pomagając przy wylądunku. Colman spojrzał na twarz Weroniki, ledwie widoczną w niepewnym świetle, dochodzącym z zewnątrz. – Samopoczucie okay? – zapytał.

Skinęła głową twierdząco, a później powiedziała: – Casey zemdleje na mój widok.

Było dobrym znakiem, że próbuje żartować. Colman wyszczerzył zęby i dźwignął się z siedzenia. – To idziemy – mruknął.

Gdy wyszli, Garson i Maddock wzięli skrzynię na obrazy, Stanislaw skrzynkę narzędziową, Fuller pęk sznurów i ściągaczy, a Colman trochę papierów i druków inwentarzowych. Weronika przyciskała do policzka niesiony na ramieniu wielki rulon pianogumy do pakowania. Wewnątrz rulonu zwinięty był mundur dyżurnego pokładowego służby promowej i buty. Oficer, który wczesnym popołudniem przesznuł ją na pokład wejściem dla załogi, dał jej to bez żadnych pytań. Wmieszali się w krzątanie trwającą koło domu i na całym parterze i na koniec przedostali się wszyscy razem na górę, spotykając przy drzwiach prowadzących do prywatnego apartamentu Kalensów. Colman rozłożył kilka przyniesionych papierów i szkiców i zatrzymał się, rozglądając wokół. Po paru chwilach podniósł rękę, by zwrócić uwagę SS – mana, obojętnie stojącego na podeście głównych schodów, i wskazał głową na drzwi. – Czy to jest wejście do sypialni i pokoi prywatnych? – zapytał.

– Tak, ale nie wolno tam nic ruszać, póki nie wróci pani Kalens, by zabrać trochę rzeczy – odpowiedział wartownik. Powinna w tej chwili być już w drodze na dół.

– To w porządku – odrzekł Colman. – Mamy tylko zrobić trochę pomiarów. – Nie czekając na odpowiedź skierował się do drzwi, otworzył je, wsadził głowę do środka i zawołał do stojącego z tyłu Stanisława: – To tu. Gdzie jest Johnson?! – i wszedł do środka. Stanislaw postawił skrzynkę narzędziową i ruszył za nim, Colman zaś znowu wyszedł i przykucnął przy skrzynce, szukając czegoś wewnątrz. Ukazała się Weronika i udała się do apartamentu ze swym rulonem, Stanislaw wyszedł, Colman wrócił i wybiegł z miarą taśmową, a o parę jardów dalej na korytarzu Garsonowi i Maddockowi udało się zaklinować całkowicie skrzynię na obrazy w niewygodnym przejściu. Gdy SS – man spojrzał na nich z ukosa, schodami kroczył Fuller pytając, gdzie jest Johnson, Stanislaw

machnął ręką w stronę drzwi, Fuller zniknął za nimi, a Colman wyszedł. Garson postawił na ziemi swój koniec skrzyni, Stanislaw wpadł do środka z komblokiem, Maddock zaczął się piekić na Garsona, a Fuller wyszedł.

W łazience na końcu apartamentu, za salonem i sypialnią, Weronika zrzuciła kombinezon i buty, które wepchnęła pod ręczniki w szafie na pościel. W momencie gdy drzwi do apartamentu zamknęły się, odcinając go od hałasów z domu i pograżając pokoje w ciszy, już wkładała mundur dyżurnego pokładowego, cały mundur z wyjątkiem butów. Następnie za pomocą kosmetyków Celi wzięła się za charakteryzację.

Na dole Maddock, włócząc się po domu, dotarł do głównego wejścia. Ustawił się przy nim na zewnątrz, by śledzić przylot maszyny, która miała przywieźć Celię z bazy promowej; reszta różnymi drogami wyszła od tyłu i w parę minut później spotkali się z Colmanem wewnątrz transportera. Rozsiedli się w oczekiwaniu, a Fuller i Garson zapalili papierosy. – Nadal uważasz, że wszystko pójdzie okay, sierzancie? – spytał Stanislaw. – Jeśli trzeba, mogę tu szybko zabawić się we fryzjera. – Na wszelki wypadek zabrał ze sobą wszystkie przybory.

Colman potrząsnął głową. – Nie będzie trzeba. Celia ma o wiele krótsze włosy. Później będzie tu mniej ludzi. Pójdzie gładko... pod warunkiem, że na górze zmieni się wartownik i że potrafiemy go na minutę odciągnąć w głąb korytarza. W każdym razie oni spodziewają się tam dużego ruchu.

– Jak uważasz – odrzekł Stanislaw.

– Ile do przylotu awionetki? – spytał Carson.

Colman spojrzał na zegarek. – Około pół godziny, jeśli przyleci zgodnie z planem.

W chwili gdy awionetka wylądowała na trawniku przed domem, Celia, początkowo zdenerwowana, zdążyła po stoicku pogodzić się z faktem, że teraz już nie może się wycofać. Zaryzykowała więc i postawiła na szansę, że Stern przyjmie jej chęć odwiedzenia domu za zwykły kobiecy kaprys. A ponieważ sądził, że jest bezsilna i nie ma w nikim oparcia, ani na moment nie zaniepokoiło go podejrzenie, że mogłaby próbować ucieczki. Wyprawę zorganizował następująco: trzech strażników z SS i gospodyni otrzymali rozkazy, by nie spuszczać jej z oka i nie pozwalać na rozmowy z nikim, chociaż nie była uważana za więźnia. Teraz jedynym zmartwieniem Celi było, że może Weronice nie udało się skontaktować z Colmanem albo że z jakichś powodów nie mógł on nic zrobić.

Siedziała w milczeniu trzymając przy twarzy chusteczkę, podobnie jak przez cały lot na dół – normalna reakcja świeżo owdowiałej kobiety, powracającej do domu – i czekała, aż jej eskorta wysiądzie. Gdy ukazała się w drzwiach, eskorta otoczyła ją i razem poszli ku głównemu wejściu. Ostatni strażnik niósł w każdej ręce walizkę. Celia była ubrana w obszerny płaszcz, ciemne okulary, a głowę obwiązała chustką, pod którą znajdowała się peruka w kolorze jej własnych włosów.

Grupa weszła głównymi schodami. Na podeście dwaj SS – mani stanęli na warcie przy drzwiach apartamentu, strażnik zaś z walizkami i gospodyni towarzyszyli jej do środka. SS – man wniósł walizki do sypialni i postawił je otwarte na łóżku, po czym zajął miejsce w salonie. Gdy Celia zaczęła wybierać i pakować rzeczy z szuflad i półek, gospodyni podeszła do drzwi w głębi, obrzuciła wnętrze łazienki pobieżnym spojrzeniem, sprawdzając, czy nie ma tam okien i innych wyjść, i z nieruchomą twarzą stanęła jak wartownik u drzwi salonu, usuwając się tylko, gdy Celia podeszła, by zabrać papiery z biurka i inne drobiazgi. Celia wróciła do sypialni, włożyła papiery i drobiazgi do małej torby podręcznej, po czym skończyła pakowanie walizek. Wreszcie, z bijącym sercem, wzięła torbę i przeszła do łazienki, znikając z pola widzenia, lecz drzwi zostawiając za sobą otwarte.

Z trudem stłumiła łzy, widząc, jak Weronika spokojnie wychodzi z kabiny prysznicowej i otworzywszy szafki zaczyna wyjmować buteleczki, podczas gdy Celia zdjęła pantofle, zsunęła płaszcz i perukę. Nie było czasu na uśmiechy ani uspakajające gesty. Weronika włożyła pantofle Celi, a buty dyżurnego pokładowego wsunęła do jej torby. Na jej przyszywanej głowie peruka doskonale leżała, płaszczem przykryła mundur, a na peruce zawiązała chustkę. W tym czasie Celia wkładała do torby buteleczki, słoiki, szczotki i tubki, aby odgłosy pakowania nadal trwały. Weronika wskazała palcem szafkę, w której schowała kombinezon roboczy i skinęła głową. Wkładając ciemne okulary Celi mrugnęła uspakajająco. Dokończyła pakować torbę. Celia zaś zniknęła pod prysznicem.

Gospodyni nie przyglądała się Weronice, wychodzącej z łazienki z torbą Celi w jednej ręce i przyciskającej drugą chusteczkę do twarzy. Żałobna wdowa zatrzymała się na chwilę, rozejrzała po pokoju, skinęła na gospodynię i skierowała się do drzwi. Minęła salon, poczekała, aż strażnik przyniesie jej walizki i wówczas we troje dołączyli do wartowników, stojących na podeście. Grupa przyjęła pierwotny szyk i zaczęła schodzić po schodach.

Celia odczekała parę minut na wypadek; gdyby ktokolwiek po coś wracał, wyszła spod prysznic, znalazła odzież pozostawioną przez Weronikę i zużyła trochę czasu na jej włożenie i sznurowanie butów. Poprzednio już pod peruką miała włosy wysoko podwiązane, ale jeszcze przez chwilę przeglądała się w lustrze, przymierzając czapkę i robiąc ostatnie poprawki, zanim uznała, że wszystko jest w porządku. Właśnie wchodziła do sypialni, by poczekać, gdy usłyszała odgłos otwieranych drzwi. Apartament wypełnił hałas kręcących się i nawołujących ludzi. W chwilę później w drzwiach do salonu ukazał się Colman. Celia odruchowo chciała do niego podbiec, ale zatrzymał ją, rzucając jej w twarz przyniesiony przez Weronikę rulon pianogumy. Złapała go w locie. – Jesteś w wojsku – krzyknął gburowato. – Nie siedź na tyłku!

Było to dobre posunięcie. Celia opanowała się szybko, wzięła rulon na ramię pod takim kątem, by zasłaniał jej kark i poszła do salonu. Colman szedł przed nią, aż stanął, wyglądając przez drzwi wejściowe. Żołnierze wchodzili i wychodzili w oszałamiającym bałaganie. Nagle wskazał jej gestem, by wyszła. Poczula jak we śnie, że idzie w dół po schodach między dwoma żołnierzami, którzy bez pauzy przekrzykują się na temat, że coś nie jest wystarczająco duże i że gdzieś coś w typowy sposób spieprzono, i nagle znalazła się na powietrzu, idąc przez tylny parking do stojącego niedaleko wśród innych pojazdów wojskowego transportera osobowego. A potem była już w kabinie, nie wiedząc, jak tam wsiadła. Szybko i cicho w ciemności zmaterializowały się postacie ludzkie i wskoczyły za nią do środka. Ostatnia zamknęła drzwi, silnik zaskoczył i Celia poczuła, że unoszą się w górę. Dopiero wówczas zaczęła się trząść.

– Nigdy nie mów, że płacisz na darmo podatki – zapewnił ją siedzący obok uśmiechnięty Colman, ledwie widoczny w słabym świetle zapalnego przez któregoś z żołnierzy papierosa. Ale Celia przez tyle czasu dzisiaj milczała, że nie umiała od razu wydobyć głosu. W ciemności znalazł jej ramię i krótko, uspokajająco je uściśnił. – Wszystko będzie w porządku – mruknął. Załatwiliśmy ci pewne miejsce i wszystko co trzeba, byś jeszcze tej nocy wydostała się z Phoenixa. Pojadę z tobą do Franklina.

– Co z Weroniką? – szepnęła.

– Nasz oddział w bazie czeka na nią. Wyciągną ją stąd, a Chirończycy przyślą kogoś, kto ją odbierze.

Celia opadła na siedzenie i zamknęła oczy, skinąwszy z westchnieniem ulgi. Któraś z postaci w ciemności koniecznie chciała się dowiedzieć, skąd ktoś, zwany Stanisław, wie, jak się lata czymś takim. Inny głos odpowiedział, że jego ojciec zajmował się kradzieżami czegoś właśnie takiego z magazynów rządowych.

Colman przyglądał się Celi j jeszcze przez chwilę. Nadal nie wiedział, czemu tak rozpaczliwie starała się uciec od Sterma i jakie niebezpieczeństwo jej groziło. Rozumiał, że życie z kimś takim, jak Howard, nie było wcale zabawne, uznał więc, że jej zwrócenie się do kogoś silnego i opiekuńczego jak Sterm nie miało w sobie nic dziwnego. I byłoby naturalne, gdyby została przy Stermie po zabójstwie Howarda. W takich okolicznościach otoczenie jej strażą podczas podróży na powierzchnię dla jej własnego bezpieczeństwa też wyglądało naturalnie. Ale pilnowanie jej przez cały czas i niepozwalanie na kontakt z nikim – tu coś się nie zgadzało. Według tego, co powiedziała Weronika, sama Celia nie podała jej żadnych informacji, a Weronika jej nie pytała. Colman w to wierzył, gdyż takie właśnie między nimi panowały stosunki podobne do tych, które łączyły jego i Sirocca. Ale teraz, gdy bezpośrednie zagrożenie znikło i wszyscy mieli chwilę wytchnienia, nie mógł powściągnąć ciekawości.

W tylnym przedziale pasażerskim promu, gotowego do odlotu ze stanowiska piątego bazy Canaveral, siedziała Weronika, trzymając w dłoni dużą szklankę mamini i spokojnie badając wzrokiem potok ruchu wokół niej i jej eskorty. Ruch zbliżał się do szczytu, pasażerowie przybywali regularnie, a załoga bez przerwy krążyła tam i na powrót. Ale nie było dość czasu, by zapamiętać większość twarzy. Gospodyni wyraźnie nie uważała, by udział w pakowaniu czy niesieniu pakunków należał do jej obowiązków; trzymała się na dystans, jako czysto bierny obserwator, i nie było powodów, by zmieniała teraz tę rolę.

Weronika wydała głośne westchnienie, gdy szklanka wyslizgnęła jej się z palców, a zawartość rozlała po płaszczu. Jednym ruchem chwyciła torbę i wstała z fotela; eskorta tylko na chwilę podniosła głowy, gdy śpieszyła w stronę rufy, trzymając płaszcz z dala od ciała i strzepując płyn dłonią. Gospodyni nie wstała z miejsca po drugiej stronie kabiny; na rufie było jeszcze tylko trochę foteli, toaleta i szafki załogi. Dyżurna z krótkimi rudymi włosami, przechodząca z kocem pod pachą i znikająca w przedniej kabinie – w mniej niż dziesięć sekund później, była zjawiskiem tak naturalnym, że nikt z eskorty nawet jej nie zauważył.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DRUGI

Celia, znów bardziej podobna do siebie w swetrze i spódnicy, otrzymanej od Jean, siedziała przy stole jadalnym w salonie Fallowsów, ściskając w obu dłoniach kubek mocnej kawy. Była blada i wyczerpana; od chwili przybycia przed czterdziestu minutami z Colmanem przez tylne wejście, powiedziała niewiele. Maglew do Franklina nie kursował, stacja końcowa w Cordova Village była zamknięta, ale system tuneli pod osiedlem pozwalał na skryte przejście; Colman nie chciał zwracać niczyjej uwagi lądowaniem wojskowego transportera pasażerskiego na trawniku.

– Czujesz się trochę lepiej? – spytała Jean, dolewając Celi kawy. – Czy na pewno nie chciałabyś położyć się i odpocząć przez pół godzinki, zanim odjedziesz? Dobrze by ci to zrobiło. – Celia potrząsnęła głową. Jean zrobiła gest rezygnacji i postawiła dzbanek na podgrzewaczu, po czym usiadła między Celią i Marie.

Po drugiej stronie pokoju, w jego zagłębionej części pod ekranem ściennym, Bernard, Lechat, Colman i Jay wrócili do rozmowy. Nie wiemy dokładnie, czym oni dysponują, ale to coś niszczącego absolutnie – rzekł Jay do Colmana. – Uważamy, że już to wypróbowali. Na jednym z księżyców powstał dodatkowy krater – paręset mil średnicy – którego nie było rok temu. Wyobraźcie sobie, że to coś, co to zrobiło, trafia w statek.

– Myślisz, że jest to możliwe? – spytał Colman, z miną równocześnie zatroskaną i nieufną.

– Przecież Chirończycy przez cały czas ku temu zmierzali powiedział Lechat. – Robili wszystko, by odciągnąć od przeciwników tylu ludzi, ile się da i przeciągnąć ich na swoją stronę. Czy nie zrobili tego z nami? Kiedy tamci stopnieli do garstki, niezdolnej przyswoić sobie chirońskiego sposobu myślenia, pozbędą się jej tak, jak pozbyli się Padawskiego. Ich społeczeństwo zawsze funkcjonowało na tej zasadzie; gdy zostaje kilku ostatnich, którzy nie chcą za żadną cenę nabrać rozumu, więcej się z nimi nie cackają. I to samo zrobią ze statkiem, jeśli Sterm wykona choć jedno zagrażające im posunięcie z tą bronią tam na górze. Jestem o tym przekonany. Chirończycy zabezpieczyli się dawno temu. To jest typowe dla ich sposobu myślenia.

Colman, pomyślawszy o tym, zmarszczył czoło i z westchnieniem potrząsnął głową. – Ale na pewno nie uderzą bez ostrzeżenia gdy jeszcze tylu ludzi jest tam w górze. Czyżby mogli nie uprzedzić o tym... nie powiedziec Stermowi, co mu grozi?

– Nie wiem – powiedział z powątpiewaniem Bernard. – Na planecie jest o wiele więcej osób niż na statku, a cały ich sposób życia jest zagrożony. Może więc nie uprzedzą. Kto z pewnością wie, jak myślą Chirończycy w sytuacjach naprawdę podbramkowych? A może uważają, że ludzie potrafią całą resztę sami sobie wydedukować?

Przy stole, gdzie siedziały Celia i Jean, Marie – słuchająca w milczeniu i niewiele z tego rozumiejąc – spojrzała pytająco na matkę.

– Więc co oni mają? – ponowił pytanie Colman. – Rakiety byłyby tu bezsilne i oni o tym wiedzą. *Mayflower II* może powstrzymać rakiety, zanim zbliżą się na odległość dziesięciu tysięcy mil. A broń promienista z powierzchni jest bezsilna, jeśli ma strzelać w górę przez atmosferę. – Rozłożył ręce pytająco. Na orbicie mają niemal same standardowe przekaźniki telekomunikacyjne i satelity obserwacyjne. Oba księżyce są poza zasięgiem rzutników promieniowania. Więc co może być jeszcze?

– Z tego co mówi Jerry Pernak, wynika, że to ma coś wspólnego z antymaterią – powiedział Jay. – Chirończycy korzystają z zupełnie nowej teorii cząstek elementarnych. To oznacza, że mogą tanio

wyprodukować całe masy antymaterii. Mogą więc wyrabiać bomby anihilacyjne materia – antymateria, tworzyć superintensywne źródła promieniowania, a może... kto to wie? Ale to musi być coś w tym rodzaju.

Wzmianka o antymaterii coś Colmanowi przypomniała. Oparł się o kanapę i starał się przypomnieć sobie coś z przeszłości. Przechylił głowę na bok i spojrzał na Bernarda. – Czy wiesz, że Chirończycy przebudowali *Kuan-yin* na statek na antymatrię? zapytał.

Bernard pochylił się do przodu, nagle poważniejąc. – Nie, nie wiedziałem – powiedział. – To właśnie z nią zrobili? W jaki sposób...? – Zamilkł.

Jay i Colman spojrzeli po sobie, obaj równocześnie dochodząc do tego samego wniosku. – To jest to – mruknął Jay.

Bernard miał minę poważną i zamyśloną. – Uderzenie promieniste napędem na antymaterię jest w stanie wybić dziurę w kontynencie każdej planety, która znalazłaby się w pobliżu startującego statku po jego niewłaściwej stronie – szepnął na wpół do siebie. – Był przez cały czas na orbicie, tuż pod naszym nosem. Mają największy projektor radiacji jaki można wymyślić, właśnie tutaj, krążący w przestrzeni obok *Mayflowera II*. Napakowali weń dzieciaków i zabawnych robotów, więc niczegośmy nigdy nie podejrzewali.

Gdy nad tym zaczęli myśleć, zapadła długa cisza. A więc od chwili wejścia na orbitę okołochirońską *Mayflowera II*, jak cień szła za nim broń zdolna w mgnieniu oka rozbić go na atomy. A kamuflaż był doskonały: przecież sami Ziemianie ją tam umieścili. Było to najbardziej zabójcze narzędzie śmierci, jakie kiedykolwiek wymyśliła rasa ludzka. Nic dziwnego, że Ghironczycy mogli przebić każdą stawkę rzuconą na stół i udawać, że biorą się na każdy blef. Mogli pozwolić, by bank urósł tak wysoko, jak ktokolwiek sobie zamarzy, i czekać na koniec licytacji; przez cały czas mieli w ręku najwyższe, wygrywające karty. Czy też smith & wessona, o którym Czang wspomniał wtedy u Shirley – może niezupełnie żarem?

– Może nie tylko myśmy zauważyli, że w Remusie jest dodatkowa dziura? – powiedział na koniec Jay. – Chcę przez to powiedzieć, że przecież przyleciało z nami dosyć naukowców, którzy mają dostęp do chirońskich zagrań tak łatwy, jak każdy. Chironczycy nie otaczają tajemnicą badań fizycznych.

– Mogli mieć dostęp – zgodził się Bernard. – Ale czy go szukali? Ze sposobu, w jaki działa Sterm, to nie wynika.

Jay wzruszył ramionami. – Może myśli, że ma nad nimi przewagę w pojedynku ogniowym? A może to po prostu wariat?

Lechat już wszystko przemyślał, wyciągnął wnioski i był zaniepokojony. – A może Chironczycy już dali ostrzeżenie, tylko nikt go nie zrozumiał? Przecież można sądzić, że już dali znać, iż bliscy są sytuacji przymusowej?

– Co chcesz przez to powiedzieć? – spytał Colman.

Lechat niespokojnie spojrzał najpierw na Celię, a potem znowu na nich. – Howard Kalens – powiedział zniżonym głosem. Czy to nie mogło być ostatnie ostrzeżenie? Spójrzcie jaki to efekt wywarło na Armii, choć tam nie potrafią wyciągnąć z tego właściwych wniosków. – Spojrzał na Jaya. – Nie sądzę, by oni tam się przeliczyli. Musieli tak zrobić.

Bernard wyprostował się i odetchnął głęboko. Miał właśnie coś powiedzieć, gdy przerwał mu Jeeves, zapowiadając rozmowę z chirońskiej sieci. Była to Kath, mówiąca ze swego domu we Franklinie. Gdy Bernard przyjął połączenie, powiedziała: Miałam wiadomości od Caseya. Odebrał pakunek wraz z Adamem i wiozą go do domu. Przyszło mi do głowy, że chcielibyście o tym wiedzieć.

Radosne uśmiechy rozproszyły ponurą atmosferę, panującą w pokoju. Przy stole Jean głośno westchnęła z ulgą. Bernard wyszczerzył zęby do ekranu. – Dziękujemy – powiedział. Wszystkich nas to ucieszyło. Wkrótce wywołamy cię znowu. Kath rzuciła im szybki uśmiech i znikła z ekranu.

– Weronice się udało! – krzyknęła uszczęśliwiona Jean. Steve, nie mam w ogóle pojęcia, jak to zrobiłeś.

– Oplaca się mieć przyjaciół – mruknął Colman.

– Gratulacje, Steve – rzekł uśmiechnięty Bernard. – Ciekaw jestem, co teraz zrobią z jej strażnikami?

– Bardzo się cieszę – powiedział cicho Lechat. Jay uśmiechnął się, uśmiechnęła się też Marie, bo musiały to być dobre nowiny. Dziwne było tylko, że na Celi nie zrobiło to żadnego wrażenia.

Nadal siedziała wpatrzona w trzymany w rękach kubek, z tym samym nieobecny wyrazem twarzy. Jej nieoczekiwany brak reakcji spowodował, że reszta zebranych zamilkła i niepewnie popatrzyła na nią. Wówczas Jean odezwała się z wahaniem: – Nie wydaje mi się, Celio, by to zrobiło na tobie wrażenie. Czy coś jest nie tak?

Zdawało się, że Celia nic nie usłyszała. Myślami ciągle była przy rozmowie sprzed telefonu od Kath. Po krótkim milczeniu odezwała się nie poruszywszy nawet głową: – To nie było ostrzeżenie od Chirończyków.

Zebrani wymienili zdziwione spojrzenia. Jean potrząsnęła głową i – zwróciła się do Celi: – Wybacz, ale nie chwytam. Czemu...

– Chirończycy nie zabili Howarda – oświadczyła Celia. – Ja to zrobiłam.

Zapadło milczenie, jakby stalowe kurtyny oddzieliły pokój od reszty świata. Trzy proste słowa usunęły w cień w jednej chwili wszelkie myśli o *Kuan-yin*, broniach i antymaterii. Wszystkie twarze zwróciły się z wyrazem niewiary ku Celi, która nadal siedziała patrząc przed siebie. Lechat wstał z fotela i wolno do niej podszedł; po krótkim wahaniu reszta poszła za jego przykładem. Chciał coś powiedzieć, ale Celia zaczęła mówić dalekim i bezbarwnym głosem, ze wzrokiem tak nieruchomym, jakby zwracała się tylko do trzymanego w rękach kubka.

– Nie mogłam dłużej żyć z człowiekiem, który zamknął swój umysł na rzeczywistość. Nie macie pojęcia, co to było. Stworzył sobie własną fikcję. a ode mnie oczekiwał, że będę ją dzielić i że pomogę ją podtrzymywać. To było niemożliwe. – Przerwała, by przełknąć trochę kawy. – Więc, to ze Stermem... zdarzyło się... Howard się dowiedział... – Celia zamknęła oczy, jakby chciała odegnąć wspomnienie czegoś, co ujrzała znowu. – Zupełnie stracił panowanie nad sobą... biliśmy się, i... – Zamilkła. Po paru sekundach otworzyła oczy i patrzyła tępo przed siebie. – Może chciałam, żeby się dowiedział... sprowokowałam to. Widzicie, po tylu latach wiedziałam w głębi duszy, że nie mogę po prostu ani odejść, ani ot tak sobie go zostawić. Co mi jeszcze zostało? – Oczy jej nagle napełniły się łzami, podniosła chusteczkę do twarzy.

Jean zagryzła wargi, zawahała się na chwilę i wreszcie położyła pocieszająco dłoń na jej ramieniu. – Nie powinnaś tak myśleć powiedziała z naciskiem. – Chcesz wziąć całą winę na siebie i...

Celia podniosła nagle głowę, patrząc na Lechata. – Ale ja strzeliłam do niego tylko dwa razy, a nie – sześć, jak to stwierdzili żołnierze. I kiedy wychodziłam, nie było żadnego włamania do domu. Czy rozumiesz, co to znaczy?

Lechat patrzył na nią, ale jeszcze nie potrafił wyciągnąć wszystkich wniosków. Koło niego Colman zacisnął szczęki. – Ktoś to zaaranżował tak, by wyglądało, że to zrobili Chirończycy wychrypiał.

Bernardowi opadła szczęka. – Sterm? – wyszeptał bez tchu i spojrzał na Celię. – Powiedziałaś

mu?

Celia skinęła głową. – Tego samego wieczoru, jak tylko dostałam się na statek. Myślę, że miałam atak hysterii czy coś podobnego. Ale... tak, powiedziałam mu.

Lechat wolno pokiwał głową. – I w parę godzin załatwił, upozorowanie tam operacji z zewnątrz, a następnego ranka miał już przygotowany zamach stanu, z Chirończykami jako pretekstem. Ale kto mu to załatwił?

– SS – odpowiedział natychmiast Colman. – To była robota zawodowców.

– Czy zgodziliby się na taką robotę? – spytała z powątpiewaniem Jean.

Colman kiwnął głową. – Na pewno. Są wyselekcjonowani i wytresowani do wykonywania rozkazów i niezadawania pytań. Niektórzy z nich zastrzeliliby własną matkę, gdyby przełożony wydał taki rozkaz. A Stormbel był w to zamieszany. Wszystko pasuje. – Namyślał się jeszcze chwilę, po czym zwrócił się do Lechata i Bernarda: – W sprawie ucieczki Padawskiego też było mnóstwo podejrzanych okoliczności. Bez pomocy z wewnątrz nie mogłaby mieć takiego przebiegu. Wielu z nas było przekonanych, że to zostało nagrane, by skusić Chirończyków do dokonania odwetu.

Lechat uniósł brwi, jeszcze bardziej marszcząc czoło. – A po tym pojawiły się te bomby... – Spojrzał na Celię. – Czy to także sprawka Sterma?

– Nie wiem, ale wcale by mnie to nie zdziwiło – odpowiedziała Celia. – Znam prawdę o Howardzie, ponieważ... ponieważ...

– Czy ktokolwiek jeszcze wie o Howardzie? – zapytał Colman. – Na przykład Weronika?

Celia zaprzeczyła ruchem głowy. – Dotychczas nikt.

Colman odetchnął głęboko. Teraz już wiedział, czego bała się Celia i czemu Sterm trzymał ją pod strażą. Bez wątpienia aż do chwili, kiedy upora się z pilniejszymi aspektami nieoczekiwanej okazji, która mu się nadarzyła.

– Weronika nic by nie mogła zrobić – kontynuowała Celia. Nie szukałam kogoś, żeby się przed nim kajać. Mam coś o wiele ważniejszego do powiedzenia. Nie ma niebezpieczniejszego umysłu, niż umysł człowieka, który tam w górze jest u steru. Jest anormalnie inteligentny, w pełni włada swymi zdolnościami i jest absolutnie obłąkany. Sterm wierzy, że jest nieomylny i niezwyciężony, i nic go nie powstrzyma. Ma w ręku to, co zostało z Armii, ponieważ udało mu się wmówić im kłamstwo. A ja jestem jedyną osobą, która może to zdemaskować. Sekcja zwłok nic nie wykaże – ciało już poddano kremacji. – Celia przebiegła wzrokiem kolejno wszystkich. Patrzyli na nią przerażeni – zrozumieli to, co Colman przed chwilą.

– Tak, wiedziałam, co mi grozi, ale to nie było wcale ważne – powiedziała Celia. – Nadal mogę zdemaskować kłamstwo. Chcę powtórzyć publicznie wszystko, co powiedziałam wam, i wszystko, co wiem – ludziom, Armii, Chirończykom – każdemu, kto może go zatrzymać. System, który pozwala, by ludzie tacy jak Sterm osiągali wszystko, czego zechcą, doprowadził mego męża do szaleństwa, a po tym rzucił go na pożarcie. Nie może być więcej ofiar. Dlatego uciekłam.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY TRZECI

Colman opuścił dom Fallowsów krótko przed północą, w towarzystwie Bernarda, Lechata i Celi. Po ulicach Phoenixa krążyło więcej ludzi, niż się spodziewali, grupa dotarła więc do miejsca wyznaczonego przez Sirocca bez uciekania się do skomplikowanych środków ostrożności.

Gdy przybyli, Maddock powiedział im, że nie było nawet potrzeby uzgadniania sprawy z Sirokiem. Ochrona granic Phoenixa rozpadła się, większość SS wycofano do ochrony bazy promowej, koszar i innych kluczowych punktów, słabe oddziały regularne rozproszone były wzdłuż granicy, niewiele sobie robiąc z exodusu ludności cywilnej. Cały jeden pluton z kampanii "A" wyszedł *en masse* z Phoenixa, oficerowie mogli tylko bezsilnie się temu przyglądać. Pozostałymi w jednostce wzmocniono resztki kompanii "B". Znikało też coraz więcej SS – uranów. Jediną siłą utrzymującą kompanię "D" była jej osobista lojalność wobec Sirocca, spowodowana jego apelem sprzed paru tygodni. Nic, co by mogło przeszkodzić pojazdom chirońskim w lądowaniu wewnątrz Phoenixa nie istniało, ale było widać, że Chirończycy czekali, aż system ziemski sam się rozpadnie i nie naruszali przestrzeni powietrznej terytorium. Maddock wskazał im zadrzewiony teren koło placu budowy, tuż za granicami, gdzie paliły się światła i nieustannie lądowały i startowały chirońskie awionetki.

– Będziecie mieli krótki spacer – powiedział. – Mogę wywołać Kath i poprosić, by przysłała wam taksówkę. Jaki jest jej numer?

Po przybyciu do apartamentu Kath we Franklinie, w towarzystwie Adama i jego dziewczyny Barbary, którzy odebrali ich na granicy, wraz z Kath zastali tam Weronikę i Caseyę. Colman znał wszystkich, Kath przedstawiła Bernarda i Lechata tym, których jeszcze nie spotkali, Weronika i Celia zaś powitały się uściskami i paru nowymi łzami Celi.

Gdy Bernard i Lechat opowiedzieli Chirończykom, że wiedzą już, czym jest *Kuan-yin* i do czego jest zdolna, atmosfera stała się poważna.

– Rozumiemy, że braliście pod uwagę, iż statek z Ziemi będzie miał ciężkie uzbrojenie i że od początku może zająć wrogą postawę – powiedział Lechat, chodząc nerwowo po pokoju. Ale to nie nastąpiło, a na górze jest jeszcze sporo ludzi, którzy nikomu nie zagrażają. Garstka, która teraz ma władzę, ich nie reprezentuje, a poparcie, jakie jej jeszcze zostało, wkrótce ulegnie erozji. Zależy mi na tym, aby ten, kto dysponuje waszą bronią, zdawał sobie sprawę z sytuacji. Bo teraz, gdy jeszcze jest do uniknięcia, nie można by usprawiedliwić tragedii.

Kath stała prawie na środku pokoju. Colman, który siedział koło Bernarda, spojrzał na nią. – Musisz mieć z tym coś wspólnego, nawet jeśli nie bezpośrednio – powiedział. – Musisz znać tych ludzi, nawet jeśli byś do nich nie należała.

– Co chciałbyś, by zrobili? – spytała Kath, dając do zrozumienia, że przynajmniej jedno z tego, co powiedział Colman, było zgodne z prawdą – choć nie określiła co. Potraktowała sprawę spokojnie i z opanowaniem, niemal jakby oczekiwała, że ktoś to wreszcie poruszy. Colman nigdy jeszcze nie słyszał, by mówiła tak stanowczo. Można było odczytać z jej zachowania, że sprawa wykracza daleko poza jej osobiste uczucia i poglądy.

– Może jest ich tylko garstka – dodał Adam z drugiego końca pokoju. – Ale dysponująca ciężkim

uzbrojeniem statku. Daliśmy im wszystkie szanse i zachęcaliśmy do opuszczenia statku tak długo, jak tylko było w naszej mocy. Nasza planeta jest zagrożona. Jeśli oni zaczną grozić lub przejdą do stanu gotowości bojowej, statek zostanie zniszczony. Tej decyzji nie można zmienić. Już dawno została podjęta.

Choć Casey i Barbara byli nadal serdeczni i uprzejmi, nie ukrywali, że myślą tak samo. Colman rozumiał, że po raz pierwszy widzi Chirończyków bez białych rękawiczek. Całe ich poprzednie zachowanie – ciepło, wylewność i serdeczność – było autentyczne; ale pod tą powłoką istniały wartości, które stawiali na pierwszym miejscu, nie bacząc na kierowane do nich błagania. A gdy szło o najwyższe wartości, nie robili żadnych ustępstw.

– To co mówisz, jest prawdą – przyznał Bernard. – Ale większe jest ryzyko, że Sterm spróbuje użyć tych broni, jeśli będzie myślał, że ma do czynienia z bezbronną planetą. Gdyby zdawał sobie sprawę, co mu grozi – nie musicie wprowadzać go w szczegóły – może by zrozumiał, że musi ustąpić. Tylko o to prosimy. Przez wzgląd na tych ludzi w górze powinniście ogłosić jasne i niedwuznaczne ostrzeżenie.

– Jay bez większych trudności potrafił zestawić fakty zwróciła uwagę Kath. – Nie staraliśmy się ich ukrywać. Czyżby naukowcy na statku nie doszli do tego samego wniosku?

– Nie wiem. – Bernard nie miał innej odpowiedzi. – Jeśli nawet takie wnioski wyciągnęli, to ich nie ogłosili. Ale czy tak było? Czy Sterm tak by się zachowywał, gdyby to zrobili? Przecież nic nie tracicie ostrzegając. Chyba warto to zrobić.

Kath przez parę chwil patrzyła na pozostałych Chirończyków, jakby zastanawiając się nad propozycją, ale Colman miał wrażenie, że była na nią przygotowana – prawdopodobnie od chwili, gdy dostała wiadomość, że Bernard i Lechat chcieliby się z nią spotkać. Podeszła do bocznego stolika, na którym stał przenośny komblok, zatrzymała się i odwróciła do Bernarda.

– Nie do mnie należy podejmowanie decyzji w tej sprawie powiedziała. – Ale ludzie, których to dotyczy, oczekują rozmowy z wami. – Bernard i Lechat wymienili zdziwione spojrzenia. Kath widocznie zawahała się na chwilę, po czym zwróciła do Lechata: – Obawiam się, że dopuściliśmy się wobec was czegoś niewybaczalnego. Ta rozmowa nie była całkowicie nieoczekiwana. Ludzie, z którymi chcecie mówić, byli przez cały czas na podsłuchu. Mam nadzieję, że nie czujecie się nazbyt dotknięci.

Wystukała kod na kombloku i natychmiast zapalił się wielki ekran na końcu pokoju, ukazując sześć osób. Ekran był podzielony na ćwiartki, jak przy telekonferencjach. W dwóch widniały po dwie osoby, w dwóch pozostałych pojedyncze. Oznaczało to, że obraz dochodził z różnych miejsc. Na widok niepokoju, który przemknął przez twarz Bernarda, Kath powiedziała: – Wszystko w porządku. Kanały są zabezpieczone.

Jednym z ludzi na ekranie był ciemnowłosy, brodaty mężczyzna, w którym Colman rozpoznał Leona. Siedział wraz z brązowoskórą kobietą, którą napis na dole ekranu określił tylko jako Thelmę. A więc, pomyślał Colman, przynajmniej część z nich znajduje się w polarnym ośrodku naukowym na północnej Selene. Drugą parę stanowili Azjata Otto i zupełnie czarny Chester. Pojedynczymi osobami w pozostałych sektorach była Gracie, również Azjatka, oraz Smithy, biały o wielkich wusach i długich bokobrodach. Z ich wieku wynikało, że wszyscy są Założycielami. Kath przedstawiła ich po kolei, nie wymieniając tytułów, funkcji ani miejsc, gdzie się znajdowali, Ziemianie zaś nie pytali.

Jak się okazało, rzecznikiem był Otto. Starał się ich uspokoić. Statek zniszczymy bez ostrzeżenia tylko w takim wypadku, jeśli Sterm zacznie wyprowadzać na stanowisko startowe i odpalać bronie strategiczne – oświadczył Ziemianom. – Bardzo trudno jest precyzyjnie to ocenić, ale wydaje nam się, że najprawdopodobniej Sterm ogłosi ultimatum, zanim przystąpi do akcji bezpośredniej. Bo

przecież nic by nie zdołał zyskać, niszcząc zasoby, które zamierza zdobyć. Naszym zamiarem było ogłosić ostrzeżenie dopiero jako odpowiedź na to ultimatum. Tymczasem poparcie dla niego będzie spadało i miejmy nadzieję, że może go to skłonić we właściwej chwili do bardziej rozsądnego postępowania.

– A jeśli wprowadzi broń na orbitę, zanim wystosuje ultimatum? – zapytał Bernard.

Leon na ekranie miał poważną minę. – Takie ryzyko istnieje zgodził się. – Jak mówił Otto, trudno to precyzyjnie określić. Ale jesteśmy zdania, że przyjęta przez nas linia minimalizuje niebezpieczeństwo dla większości ludności. Nic jednak nie wyeliminuje ryzyka w całości. – Nim wreszcie odpowiedział wprost na pytanie

Bernarda, westchnął ciężko i głęboko. – Ale nasze postanowienie nie może być zmienione.

Gdy przemawiał Leon, Colman patrzył pytająco na Kath, szukając u niej jakiegokolwiek reakcji. Ale Kath pozostała niewzruszona.

Celia, siedząca z Weroniką i Caseyem, po raz pierwszy zabrała głos. Aż do tej chwili nie była w pełni zorientowana, co spowodowało wizytę Bernarda i Lechata. – W żadnym wypadku ostrzeżenie nie poskutkuje – oświadczyła. – Czy ogłosicie je teraz, czy później, to zagadnienie czysto akademickie. Odrzuci je. Nie znacie go. Nieprzejednani z Armią poparli go i to wzmocniło jego wiarę w siebie. Sądzi, że jest niepokonany.

– Wojskowych ogarnął lęk – wyjaśnił Bernard ludziom na ekranie, po czym z niepokojem rzucił okiem na Celię – po tym, co się stało z Howardem Kalensem. A Sterm to wykorzystuje.

– To nieszczęśliwe wydarzenie nastąpiło poza zasięgiem naszych wpływów – powiedział Leon. – Mam nadzieję, iż nie podejrzewacie, że jesteśmy za to odpowiedzialni. – Bernard kiwnął głową na znak zgody.

Po długim milczeniu spojrzął na nich Otto. – Obawiam się więc, że nic więcej nie możemy zaproponować.

I nic więcej nie zostało do powiedzenia. Zrezygnowani Ziemianie patrzyli po sobie, Chirończycy spoglądali z ekranów poważnym i nieugiętym wzrokiem. Mogli albo ostrzec Sterma teraz, ryzykując konieczność użycia swej broni, gdy na statku było jeszcze wielu ludzi, jeśli zignoruje ostrzeżenie; albo czekać, póki ich nie sprowokuje, ryzykując konieczność odwetu bez ostrzeżenia, jeśli Sterm zdecyduje najpierw atakować, a później rzucić wyzwanie. Takie były warunki graniczne sytuacji, ale w ich ramach Chirończycy zgadzali się wysłuchać sugestii czy perswazji.

Lechat, który słuchając, równocześnie intensywnie myślał, przeszedł na miejsce, z którego mógł zwracać się zarówno do ekranu, jak i do zgromadzonych w pokoju. – Jest może jeszcze jedno, co możemy zrobić – powiedział. Wszyscy spojrzeli na niego ciekawie i wyczekująco. Szybkim ruchem uniósł rękę. – Sterm może działać wyłącznie dzięki jednej okoliczności – śmierci Howarda Kalensa. Prawda? Wielu wysokich funkcjonariuszy, z niektórymi w dowództwie Armii włącznie, jest przekonanych, że była to robota Chirończyków i że teraz przyjdzie kolej na nich. Dlatego dla wzajemnej obrony skupili się przy Stermie. Ale wydarzyło się coś nieoczekiwanego, co daje nam szansę oderwania od niego ostatnich obrońców.

– Co nieoczekiwanego? – spytała widoczna obok Leona Thelma.

Lechat zawahał się i niepewnie spojrzął w stronę Celii. Prawie nieuchwytnym skinieniem wyraziła zgodę. Lechat zwrócił się do ekranu: – Powiem tyle, że jesteśmy w stanie przedstawić niepodważalny dowód, iż nie tylko Chirończycy są niewinni, ale i że Sterm spowodował sfałszowanie dowodów w ten sposób, by rzucić na nich podejrzenie – oświadczył.

– Damy tym samym do zrozumienia, że był też zamieszany w sprawy podłożenia bomb i ucieczki Padawskiego – wtrącił Bernard.

Chirończycy zaciekawili się nagle. – Podejrzewaliśmy, że to było coś w tym rodzaju – powiedział Casey, siedzący na tapczanie obok Weroniki. – Ale jakie macie dowody?

W pokoju nastąpiło niezręczne milczenie. Wreszcie Celia powiedziała: – Bo to ja go zabiłam. Resztę upozorowano, gdy uciekłam z domu. Tylko Stern wiedział o jego śmierci.

Z ekranu dobiegły pomruki zdziwienia. Chirończycy w salonie wpatrywali się w Celię zaskoczeni. Celia spostrzegła, że Weronika patrzy na nią wstrząśnięta i wątpiaca, ale bez drgnienia wytrzymała jej spojrzenie. Weronika zacisnęła wargi, skinęła głową dając r.o zrozumienia, że po tym wyznaniu wszystko jest między nimi jak dawniej, wyciągnęła rękę i uściśnęła jej dłoń.

Lechat nie chciał, by Celia znów przechodziła wszystko od początku. Podniósł rękę, by zwrócić uwagę na siebie. – Nie zrozumieliście mnie – rzekł. – Jeśli podamy to do publicznej wiadomości, może to wystarczyć, by odwrócić od Sterma resztkę jego zwolenników – z wyjątkiem tych, którzy byli wmieszani w prowokację. Jeśli tak się stanie, to on będzie musiał zrozumieć, że wszystko skończone. Wisi na włosku kłamstwa, a my mamy dowody, które mogą ten włoszek przeciąć. To daje nam możliwość podjęcia próby, zanim uciekniemy się do ostatecznych, drastycznych środków. A poza tym czy to nie jest zgodne z całą waszą chirońską strategią?

Kath rzuciła Celi bystre spojrzenie. Celia potwierdziła skinieniem głowy w odpowiedzi na milczące pytanie. – Tak, chcę, by tak właśnie to się odbyło – powiedziała. Kath skinęła głową na znak, że się nie sprzeciwia.

– Więc czego dokładnie od nas oczekujecie? – zapytał Otto z ekranu.

Lechat wznosił ręce do nieba i znów zaczął przemierzać pokój. Wszystkiego, co trzeba, by rozpowszechnić to, cośmy powiedzieli... to przekazać fakty do Phoenixa i na *Mayflowera II* chirońskim: nadajnikami. Przynajmniej część ludności to usłyszy... będą podawać wiadomość z ust do ust... Nie wiem... cokolwiek, co pozwoli w najkrótszym czasie powiadomić z największym skutkiem największą liczbę ludzi.

Chirończycy zastanawiali się nad propozycją. Nastąpiła krótka przerwa. Ich miny zdradzały przekonanie, że choć nie wyrządzi to szkody, to zapewne i nie wywoła liczącego się skutku. – Czy dowody są dość mocne, by w jednej chwili odwrócić nastroje całej Armii? – spytała wreszcie z powątpiewaniem Kath. – W sprawie Padawskiego i zamachów nie mamy dowodów. To, co powiedziałaś o Howardzie Kalensie, może wywołać jakieś dyskusje. Ale czy będzie miało dostateczną siłę przebicia, by przekonać dość ludzi, jak bardzo Stern jest obłąkany? Bo gdybyśmy mogli udowodnić to wszystko, i to wszystko naraz...

– I trudno liczyć na wpływ wiadomości podawanych z zewnątrz – zwrócił uwagę Adam. – Tyle już było plotek. Najprawdopodobniej wszystko spali na panewce.

– Owszem, to jest pomysł – zwrócił się do Lechata Bernard. Ale wymaga więcej tego, o czym mówiła Kath: siły przebicia.

– Zgoda, zgoda – odpowiedział Lechat. – Ale wiemy tylko to, co wiemy i możemy zrobić tylko to, co możemy. To na pewno sytuacji nie pogorszy. Czy spróbujesz?

Nim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, wtrącił się Colman: Jest sposób, by to zrobić lepiej. – Wszyscy spojrzeli na niego. Rozejrzał się szybko. – Jest sposób, by wiadomość doszła do wszystkich i to równocześnie – do publiczności, do wojska – do każdego. – Znów się rozejrzał. Reszta czekała. – Przez Centrum Telekomunikacji na statku – powiedział. – Tam są skupione wszystkie kanały i częstotliwości, z siecią wojskową i pasmami alarmowymi włącznie. Stamtąd możemy nadawać na wszystkich równocześnie. Większą siłę przebicia trudno sobie wymarzyć. Usiadł i rozejrzał się w oczekiwaniu odpowiedzi.

Bernard kiwał głową, ale z widocznym powątpiewaniem. – To prawda – zgodził się. – Ale to

jest tam, na statku, a nie tu, na dole. I na pewno pod silną ochroną. Błędne koło: by zmienić postawę Armii, trzeba się tam dostać, ale żołnierze będą stali pod drzwiami i zatrzymają cię, nim znajdziesz się w środku, by Armię przekonać. Jak z tego wybrnąć?

– Z tego cośmy słyszeli, ich struktura dowodzenia jui się załamała – dodał Adam. – Czy w obecnej chwili można zorganizować taką operację penetracyjną?

Colman spodziewał się podobnych zastrzeżeń. – Znam pewną jednostkę wojskową, która może to zrobić – odpowiedział. A działa ona najlepiej, gdy nikt nie próbuje dowodzić jej operacjami.

– Która to jest? – spytał Leon z ekranu, z miną równocześnie wyrażającą powątpiewanie i zainteresowanie.

Colman uśmiechnął się lekko i wskazał gestem pokój. – Ta sama, która tu dostarczyła Weronikę i Celię.

W oczach Lechata zaświtała nadzieja. – Czy jesteś przekonany, że ona temu podołała?

– Jeśli ktokolwiek jest w stanie podołać, to ona na pewno odezwała się Weronika z głębi pokoju. – Ta ferajna mogłaby wynieść całe złoto ze skarbcza Stanów Zjednoczonych i nikt by tego nie zauważył.

– To prawda – dodała po prostu Celia.

Wszyscy znów spojrzeli na Colmana, tym razem z żywym zainteresowaniem. Nastrój w pokoju zmienił się i udzielił ludziom z ekranów, którzy pochylili się naprzód i słuchali w napięciu. Jak dotąd był to tylko pomysł, ale już zaczął chwytać.

Bernard, pocierając w zamyśleniu wargę, dostrzegł spojrzenie Lechata i zaczął się niepokoić. – Program musiałby pójść stamtąd na żywo – wyrzekł powoli. – Mając dookoła przeciwników, nie można ryzykować komplikacji ze zdalnymi połączeniami. – Chciał przez to zwrócić uwagę, że jeśli transmisja ma nastąpić, to właśnie z Centrum i to tam Lechat musiałby się dostać. Ale tym bardziej – a Lechat zdawał sobie z tego sprawę – musi tam się dostać Celia; to, co miała do powiedzenia, nie może być podane z drugiej ręki.

Lechat na sekundę zacisnął usta, po czym krótko skinął. Zrobię to – odpowiedział po prostu. Na chwilę odwrócił wzrok, w końcu spojrzał na Celię. Reszta zrozumiała, co miał na myśli, i poszła za jego wzrokiem. Wiedzieli, o co ją proszą. Colman dostrzegł udrękę w jej oczach, gdy odpowiedziała Lechatowi spojrzeniem. Po wszystkim, co przeżyła, miałaby rzucić spokój i bezpieczeństwo we Franklinie, wrócić do Phoenixa, stamtąd do bazy promowej i przez całą drogę aż do *Mayflowera II*. Innej możliwości nie było.

Celia już się zdecydowała. Skinęła głową. Nic więcej nie trzeba było dodawać. W pokoju zrobiło się bardzo cicho.

Wreszcie Kath, szukając sposobu rozładowania ciężkiej atmosfery, rozejrzała się i zwróciła do Colmana: – Jak przerzucisz ich na statek?

– To sprawa dla Sirocca – odpowiedział. – On się lepiej orientuje w sytuacji w bazie. Dziś wieczorem mieliśmy tam oddział, ale do tej chwili powinien być już wrócić.

– Skąd wiesz, że on na to pójdzie? – spytała Barbara.

– Cała jednostka jest gotowa do działania właśnie na taką okazję – odpowiedział Colman. – Sirocco w tej chwili czeka na wiadomości. Dlatego tu jestem.

Od pewnego czasu Celia była głęboko zamyślona. Przez chwilę czekała, aż zapanuje cisza, po czym powiedziała: – Jeśli tak czy inaczej musimy polecieć na statek, można zrobić o wiele więcej, niż mówiliśmy dotychczas. – Przerwała, ale nikt nie zabierał głosu. – Wiem, gdzie są przetrzymywani ludzie, których aresztowano. Są w Dystrykcie Kolumbia, niedaleko od Centrum Telekomunikacji. Jeśli istnieje sposób, by wydobyć Borfonteina i wciągnąć go w nasze plany, ma on o wiele większe

szanse, by zrobić wrażenie na Armii. – Po chwili dodała: – A jeśli Wellesleya można by włączyć podobnie jak Borfonteina, toby zastąpiło brak dowodów w innych sprawach. – Powoli obiegła pokój wzrokiem, zatrzymując się na Colmanie. – Nie wiem, czy coś takiego byłoby możliwe.

– Jak sądzisz? – zwrócił się po krótkim milczeniu Bernard do Colmana. – Da się zrobić?

– Nie wiem. Zależy od sytuacji. Być może. To także musimy zostawić do decyzji Sirocxa.

Popatrzyli na siebie pytająco, ale w tej chwili nikt nie miał już nic do dodania. Wreszcie Colman wstał. – No to, jak myślę, im prędzej wyruszymy, tym więcej mamy szans zbadania wszystkich okoliczności. – Siedzący w pokoju wstawali pojedynczo i po dwoje. Szykując się do odejścia, Lechat, Bernard i Celia zebrali się przy drzwiach. Weronika trzymała Celię za rękę, reszta podeszła, by ich pożegnać.

– Ale jest coś, co muszę z całą szczerością powtórzyć – odezwał się z ekranu Otto. Odwrócili się do niego. – Naszej zasadniczej decyzji nie możemy w żaden sposób zmienić. Jeśli Stern stanie się groźny, będziemy zmuszeni przeciwdziałać. Możliwość, że w tym momencie znajdziecie się na pokładzie, nie stanowi dla nas różnicy.

Lechat kiwnął głową. – To już przyjęliśmy do wiadomości – odrzekł niewesoło.

Gdy reszta przechodziła do holu, Kath wróciła do ekranu i nacisnęła przycisk na kombloku. Znikły wszystkie twarze z wyjątkiem twarzy Leona, która teraz wypełniła cały ekran. Thelma znikła, zostawiając go samego. – Powinniśmy rozpocząć ewakuację *Kuan-yin* – powiedziała Kath. – Wygląda na to, że wkrótce będzie tam bardzo niebezpiecznie.

– Już doszedłem do tego wniosku – odpowiedział Leon. Teraz, gdy sprawy urzędowe były załatwione i pozostali we dwoje, wyraz jego twarzy złagodniał. – Wyglądasz tak ładnie, jak zawsze – powiedział, przyjrzawszy się Kath przez parę chwil. – Czy z dziećmi wszystko w porządku?

– Jak zwykle – odpowiedziała Kath z uśmiechem. – A jak twoje dzieci, Kulasie?

Leon uśmiechnął się. – Psocą, ale są zabawne. – Przerwał na chwilę. – On wygląda na dobrego człowieka. Powinnaś być z nim szczęśliwa tak długo, jak się da. Mam nadzieję, że tamtym nic się nie stanie. To dzielni ludzie. Podziwiam ich.

– Ja też mam taką nadzieję – odpowiedziała gorąco Kath. Powinnam teraz pożegnać się z nimi. Uważaj na siebie, Leon.

– Ty także. – Obraz znikł z ekranu.

Kath weszła do holu akurat w momencie, gdy wszyscy zbierali się do odejścia. Po pożegnaniach i życzeniach powodzenia podeszła blisko do Colmana i na chwilę przytuliła się do jego ramienia. Wracaj – szepnęła.

Odwzajemnił uścisk uspokajająco. – Możesz być pewna.

– Chciałabym mieć taką pewność, jak ty. To wygląda ryzykownie.

– Nie wtedy, gdy się ma po swojej stronie najlepszy oddział, jaki kiedykolwiek istniał w Armii – odpowiedział.

– Och, więc to aż tak? Nie wiedziałam. Nigdy mi nie mówiłeś, że służysz w oddziale specjalnym.

– Tajna informacja – rzekł półgłosem Colman. Raz jeszcze uścisnął jej rękę i podążył za pozostałymi.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY CZWARTY

Świt zaczął rozjaśniać niebo, Stanislaw siedział przed przenośnym blokiem telekomunikacyjnym w kącie jadalni w koszarach Omara Bradleya i zmarszczywszy brwi patrzył na symbole, ukazujące się na ekranie, co pewien czas szybkimi ruchami palców nadając kodowane rozkazy. Sirocco przyglądał mu się z estrady, z której przemawiał na odprawach. Reszta kompanii "D", wielu z nich w kamizelkach przeciwodłamkowych i spodniach polowych, siedziała grupami, rozmawiając lub po prostu wyczekując w krzesłach, rozrzuconych w nieładzie naprzeciw estrady. Drzwi i podejścia do budynku były zabezpieczone czujkami, nie groziło więc, by ktoś się tu nagle przedostał.

Sirocco opracował plan przerzucenia kompanii na statek i opanowania Centrum Telekomunikacji, ale powodzenie działań zależało od tego, czy Stanislaw będzie w stanie zmienić rozkaz dzienny rozmieszczenia jednostek, które oparte było na zestawieniach znajdujących się w jednym z wojskowych komputerów logistycznych. Lechat, stojący nie opodal z Celią i Colmanem, zażądał próby testowej, by mieć pewność, że Stanislaw to potrafi. Bo gdyby ta część planu była niewykonalna, to cały plan również. Na czas próby Sirocco przerwał odprawę.

Bernard z zainteresowaniem zaglądał Stanislawowi przez ramię. Odprowadzony przez Barbarę, wrócił z innymi do Pheonixa, był w domu, by powiadomić Jean, jak sprawy stoją, i następnie poszedł do koszar, gdzie Colman przesznuł go na odprawę. Okazało się, że bardzo dobrze się stało; plan opracowany ostatecznie przez Sirocca wymagał znajomości sieci elektrycznej *Mayflowera II*, a ponieważ Colman miał ją wyłączyć, udział Bernarda był niezbędny. Bernard także więc odlatywał na *Mayflowera II*. Postanowił, że wyjaśni to Jean później.

Propozycja Celi, by wciągnąć Borfontaina i Wellesleya była bez wątpienia ponętna. Ale jak dotychczas, po bliższej analizie, nie ostał się żaden z pomysłów, jak ich uwolnić, więźniowie byli bowiem przetrzymywani w pokojach, nieustannie strzeżonych przez dwóch czujnych i uzbrojonych SS – uranów, stojących w połowie długości szerokiego, jasno oświetlonego korytarza; nie było więc możliwości zbliżenia się do nich, nim podniosą alarm. Dlatego Sirocco tę część planu pozostawił chwilowo w zawieszeniu.

Hanlon wyszedł z grupy żołnierzy i wolnym krokiem skierował się w stronę Colmana, Celi i Lechata. Wydarzenia biegły tak szybko, że od chwili powrotu Colmana nie mieli jeszcze okazji zamienić nawet paru słów. – No, widzę, że nie ma co pytać jak wam poszło. Steve. Rozumiem, że Weronika jest w pewnych rękach.

Colman potwierdził. – Jej przyjaciele czekali na nią, a teraz jest we Franklinie. Wszystko poszło gładko. – Zwrócił głowę w stronę Ceki. – To jest Bret. Wyprowadził Weronikę z bazy.

Celu udało się uśmiechnąć. Sirocco nie uważał za właściwe, by wyjaśniać oddziałowi jej rolę w aferze Howarda Kalensa i powiedział tylko, że celem operacji będzie nadanie przez sieć paru nowych faktów, które wykończą Sterma. – Nie jestem pewna, co powinnam powiedzieć – zwróciła się do Hanlona. – Nigdy nie będę w stanie dostatecznie wam wyrazić wdzięczności. Zaczynam dostrzegać cały nowy świat, pełen ludzi, o których istnieniu nie miałam pojęcia.

– Ech tam, to się jeszcze nie skończyło – odrzekł Hanlon. Na moment zabłysły mu oczy, gdy sobie coś przypomniał. – O, przy okazji jeszcze coś ci chciałem powiedzieć – zwrócił się do Colmana. – Tam w bazie promowej aresztowaliśmy kogoś – tuż przed północą, właśnie gdyśmy mieli zostać zmienieni.

– Naprawdę? Kogo? – zapytał Colman.

– Trzech SS – marsów i tłustawą gosposię w średnim wieku, którzy próbowali przeleźć przez płot – odrzekł Hanlon. – Kobieta utknęła na szczycie i narobiła niezłego wrzasku. Czy nie przychodzi ci do głowy, przed czym oni mogli tak uciekać?

– Nie mam pojęcia – odpowiedział, szczerząc zęby Colman. Nawet Celia zagryzła wargi, by powstrzymać się od śmiechu. No i co było dalej? Czy odesłaliście ich na górę?

Hanlon potrząsnął głową. – Och, po cóż aż tak się mścić? Zdjęliśmy ją z płotu i wszystkich wysłali w dalszą drogę. W tej chwili są już chyba we Franklinie, szukając najszybszego sposobu wyjazdu z miasta.

W tym momencie Stanisław wydał triumfalny wrzask, a stojący za nim Bernard wyprostował się, by spojrzeć na Colmana. – Dał mu radę! – krzyknął. Podeszli, by zobaczyć to z bliska, a Sirocco zszedł z estrady. Sala uciszyła się. Przed Stanisławem ekran ukazywał plan służby całej brygady piechoty na dzień dzisiejszy.

– Czy to jest kopia archiwalna, czy – pokazujesz oryginalny dokument? – zainteresował się Lechat.

– Oryginał – odpowiedział Bernard. – Z możliwością zapisu kasującego również. Patrzyliśmy, jak robił taką próbę.

– To chyba to, czegośmy chcieli, szefie – zwrócił się Stanisław do Sirocca, wskazując na jeden z akapitów. Sirocco pochylił się do ekranu.

Wiedzieli już, że na dzień następny zaplanowano ogromny ruch transportów; większość dotyczyła przewozu artylerii, broni pancernej i innego wyposażenia z *Mayflowera II* dla umocnienia bazy promowej – niewątpliwie dlatego właśnie Stern chciał ją opanować w całości. Wyglądało to tak, jakby zamierzał podjąć stamtąd wyprawę zbrojną na Franklin, prawdopodobnie pod osłoną broni orbitalnych, wystrzelonych ze statku. Dokonawszy zamachu na *Mayflowerze II* i oczywiście uważając statek za zabezpieczony, skoncentrowanych tam SS – marsów kierował na dół, by wzmocnić obóz warowny jako podstawę wyjściową operacji na powierzchni planety, natomiast niektóre jednostki regularne przenoszono na statek, by przejęły tam służbę. Stanisław wykrył rozkaz załadowania się dla kompanii "C" na ten wieczór o godzinie 18.00, celem przewozu na *May-lolvera II* – właśnie to, na co miał nadzieję Sirocco. Był gotów założyć się, że nikt, mając przed sobą pracowity dzień i tyle do roboty, nie będzie kwestionował wprowadzonych w ostatniej chwili zmian rozkazów.

– Zobaczymy, czy potrafisz wprowadzić zapis kasujący – rzekł Lechat.

Stanisław dotknął paru przycisków i natychmiast wszystko, co się odnosiło do kompanii "C", zostało zmienione w zapisy dotyczące kompanii "D". Kompania "D" była teraz wyznaczona do wieczornego transportu na statek, a kompania "C" miała spędzić niezakłóconą noc w łóżkach, ponieważ tak powiedział komputer. Stanisław szybko przywrócił pierwotny zapis. Najlepszym czasem dla dokonania ostatecznej zmiany będzie koniec dnia, niewłaściwym osobom zostawi to mniej czasu na stawianie niewłaściwych pytań.

Lechat skinął z zadowoleniem. – To załatwia sprawę dostania się na górę – powiedział. – Ale co dalej z przedostaniem się do Centrum Telekomunikacji?

Stanisław wprowadził kilka nowych poleceń. Na ekranie ukazała się nowa tablica informacyjna. – Oddziały wartownicze SS i harmonogram zmian posterunków na dzisiejszą noc w Dystrykcie Kolumbia – oświadczył. W tym zakresie do ostatniej chwili mieli się wstrzymać z wprowadzeniem jakichkolwiek zmian.

– Wystarczy? – zapytał Sirocco, robiąc perskie oko do Lechata. – Niebawem – mruknął Lechat, kiwając głową.

– Dobra robota, Stanisław – rzekł Sirocco. – Miejmy nadzieję, że dzisiejsza wieczorna premiera

będzie tak dobra, jak próba generalna.

– Może pan na to liczyć, sir – odrzekł Stanisław.

Sirocco wrócił na estradę, stając przed szkicami sytuacyjnymi, których używał wcześniej, i przez chwilę rozglądał się po sali, czekając, aż wszyscy spojrzą na niego.

– No, wszystkim wam będzie przyjemnie usłyszeć, że nasz zakładowy specjalista od włamań, fałszerstw i łamania szyfrów znowu dowiódł swoich kwalifikacji – ogłosił. – Wygląda więc, że faza pierwsza i czwarta są wykonalne, tak jak to omawialiśmy. – Siedzący z boku platformy Stanisław pokazał wszystkie zęby w szerokim uśmiechu, podnosząc nad głową złączone dłonie w podziękowaniu za chór półgłosnych pochwał i przyciszonych gwizdów uznania, entuzjastyczny, ale dość spokojny, by nie przyciągać zbędnego zainteresowania koszarami o tej porannej porze.

Gdy hałas się uciszył, Sirocco znów obrzucił spojrzeniem salę i sześćdziesiąt kilka twarzy tych, którzy wytrwali do końca i którzy, z wyjątkiem dziesięciu stojących na czujkach, stanowili wszystko, co pozostało z początkowej setki stanu osobowego kompanii „D”. Wiedział, że będzie mu potrzebny każdy z nich, ale nawet wtedy będzie obsadzał poszczególne zadania śmiesznie słabo. Lecz obok obaw, których starał się nie okazywać, czuł wewnętrzne wzruszenie patrząc na ludzi, którzy wedle wszelkich obowiązujących w armii norm i standardów powinni byli być pierwsi do dezercji. Ale pomijając jednostki SS, kompania „D” daleko wyprzedzała wszystkie inne swoją sprawnością. I był to dowód uznania złożony osobiście jemu, wyrażony w jedynym wspólnie zrozumiałym języku tej mieszaniny dziwaków i nieudaczników, których los powierzył jego opiece. Sirocco nigdy jednak nie uważał ich za nieudaczników, lecz za ludzi, z których wielu było utalentowanych we własny, szczególnie, a nieraz dziwaczny sposób i zaakceptował ich takimi, jacy byli. Oni zaś naprawdę tylko tego pragnęli. Określenie „niedostosowany społecznie” było, jak rozumiał z czasem, relatywne. Świat, który przykleił im tę etykietkę, był światem, któremu nie udało się zmusić ich do uległości regulaminem. Chiron był planetą zamieszkaną przez indywidualistów, których nigdy nie można by zmusić do uległości i którzy domagali się tylko, aby ich przyjmowano takimi, jacy są, albo dano im spokój. Każdy z ludzi należących do kompanii „D” był Chirończykiem na długo przed wejściem na orbitę Alfy Centauri, a wielu, zanim odlecieli z Ziemi. Najwyższą formą zapłaty, jaką mógł zaofiarować Chirończyk, był szacunek, a ci tutaj Chirończycy płacili mu nim w tej chwili, po prostu zostawszy z nim. Ich szacunek znaczył więcej niż medale, pochwały i awanse i Sirocco pozwolił sobie na krótką chwilę dumy z samego siebie. Wiedział bowiem doskonale, że bez względu na wynik operacji, która ich czekała, było to ostatnie spotkanie tych ludzi jeszcze formalnie jako kompanii „D”.

– Bardzo dobrze – powiedział. – Stanisław już bisował. Teraz wracajmy do zadania. Po pierwsze, streszczenie głównych punktów. Celem głównym jest wejście do Centrum Telekomunikacji i zabezpieczenie go podczas transmisji, a następnie utrzymanie go z nadzieją, że wystarczająca część Armii zareaguje dostatecznie szybko, by zlikwidować nacisk na nas. Okay? – Pytań nie było, Sirocco kontynuował. – Największe ryzyko stanowi możliwość sprowadzenia z powierzchni posiłków dla SS. Jeśli tak się stanie, to będą musieli przybić do śluz wejściowych Vandenberg i tam mamy sekcję Armleya, by ich zatrzymała. Co zrobisz, jeśli nie będziesz mógł ich odeprzeć, Mike? – spytał Sirocco, patrząc na pierwszy rząd krzesel.

– Wysadzę zawory, podzielimy się na dwie grupy i wycofamy do wyjść przy przegubach segmentu – odpowiedział Armley.

– W porządku. Kolejny... tak, słucham?

– Tamci mogą przybić promami do śluz w Module Bojowym i wejść przez Wrzeciono – zwrócił ktoś uwagę.

– Tak, miałem o tym mówić – odpowiedział Sirocco. Uniósł głowę, by ponownie zwrócić się

do całej sali. – Jak mówi Velarini, mogą wejść przez Moduł Bojowy i dziób. Moduł Bojowy jest największym problemem. Na pewno będzie najsilniej broniony ze wszystkich segmentów, a ze statku jest do niego tylko jedna droga. Dlatego zaatakujemy go bezpośrednio tylko wtedy, gdyby nie było innego wyjścia. Steve będzie stał koło dziobu Wrzeciona z najsilniejszą sekcją, by zablokować drogę dojścia. Jego zadaniem jest zatrzymać wszystkich SS – uranów, którzy by chcieli się stamtąd wydostać, oraz, co najważniejsze, uniemożliwić Stermowi i jego ludziom przedostanie się do Modułu, jeśli nam wszystko dobrze pójdzie, a oni rozumieją, że nie mogą utrzymać reszty statku. Za wszelką cenę musimy przeszkodzić Stermowi i Stormbelowi w przeniknięciu tam i odcumowaniu Modułu, co zagroziłoby zarówno *Mayflowerowi II*, jak planecie... Tak, Simmonds?

– Ale on zawsze może się odczepić, nawet bez Sterma.

– To jest ryzyko, które musimy podjąć – odrzekł Sirocco. Wątpię, by Sterm polecił otworzyć ogień na statek, na którym sam by się znajdował.

– A jeśli Sterm dostanie się do Modułu Bojowego z zewnątrz? – powiedział ktoś inny. – Jest kilka miejsc, gdzie może dostać prom albo transporter, nie tylko w Vandenberg. Ma tylko przeskoczyć parę mil. Do tego nie potrzeba lądownika.

Sirocco zawahał się na moment, po czym niechętnie potwierdził. – Jeśli tak się zdarzy, sekcja Steve'a będzie musiała próbować atakować z dziobu i zająć Moduł od wewnątrz. Ale jak powiedziałem, to środek ostateczny. – Spojrzał na Colmana, który odpowiedział poważnym skinieniem.

– A co, żeby dać paru ludzi w skafandrach od zewnątrz, by wysadzili sekcję rufową Modułu Bojowego? – zaproponował Carson z przedostatniego rzędu.

– Myślmy i o tym. Zależy od tego, ilu ludzi będzie mógł dać na to Steve. Oczywiście, gdyby Bret mógł się tam dostać z Dystryktu Kolumbia po zakończeniu transmisji, toby zmieniło... – Głos Sirocca zamarł, a usta otworzyły się; patrzył nie wierząc własnym oczom na drzwi w końcu sali. Wszystkie głowy odwróciły się, po czym ze wszystkich stron rozległy się westchnienia i pomruki, przerywane przyjacielskimi drwinami.

Do sali wszedł Swley i zatrzymał się, by przyjrzeć się otoczeniu przez swe grube szkła w masywnej oprawce. Jego puciołowata twarz miała zwykły swój wyraz pozbawiony jakiegokolwiek wyrazu. Koło niego stał Driscoll, kolejno wchodzili następni. Sirocco zamrugał i przełknął ślinę, gdy zaczęli rozchodzić się po sali i zajmować wolne miejsca z tyłu. Harding, Baker, Faustzman, Vanderheim... Simpson, Wesley, Johnson – byli wszyscy. Wszyscy wrócili.

– Słyszeliśmy, szefie, że może się panu przydać pomoc obwieścił Driscoll. – Nie mogliśmy zostawić całej roboty amatorom. – Niecenzuralne komentarze i drwiące gwizdy powitały jego wypowiedź.

Sirocco patrzył jeszcze przez chwilę, po czym szybko przyszedł do siebie. – Miałeś przyjemne wakacje, Swley? – zapytał z wymuszonym sarkazmem w głosie. – Niestawienie się na służbę, samowolne oddalenie od jednostki, dezercja w obliczu nieprzyjaciela... rzeczywiście cały kodeks. No to przyjmij do wiadomości, że otrzymałeś naganę i siadaj. Mamy masę do obgadania i potrzebujemy jeszcze dziś trochę odpoczynku. Sytuacja wygląda tak, że... – Sirocco przerwał i spojrzał z zaniepokojeniem na postać, której dotychczas nie zauważył – obcą twarz obok Swleya, który stał nadal. Obcy miał krótko przycięte włosy, gładko wygoloną, nieprzenikniętą twarz i oczy o zaciętym wyrazie. Stał obojętnie z rękami założonymi na piersi. – Kto to taki? – spytał Sirocco. On nie jest z naszej kompanii.

– Eks – sierżant Malloy z SS – odpowiedział Swley. – Doszedł do wniosku, że ma dość i znikł przeszło miesiąc temu. Brał udział w organizowaniu ucieczki Padawskiego i ma dokumenty na

dowód, że to Stern polecił podłożyć bomby. Chce to ogłosić publicznie. Swyley wzruszył ramionami. – Nie wiem dokładnie, co pan ma za plany, ale miałam przeczucie, że może się on przydać.

Sala odpowiedziała pomrukami zdumienia, ale większość obecnych nie zdawała sobie sprawy ze znaczenia tego, co słyszą. Stojący obok Colmana Celia i Lechat wlepili oczy w mówiącego, z estrady Sirocco spojrzął na nich pytająco. Celia odwróciła się do Colmana. – Nie mogę uwierzyć – szepnęła. – Kto to jest, ten kapral?

– Cudotwórca zakładowy naszej kompanii – odparł z roztargnieniem Colman, który właśnie starał się na nowo uporządkować w myśli sytuację. Dał znak Siroccowi, by przywołał Swyleya. Sirocco odwrócił się do sali i przy wtórze jęków raz jeszcze przerwał odprawę.

W pięć minut później Swyley i Malloy konferowali w kącie z Celią i Lechatem. Colman stał z boku wraz z Sirokkiem i Hanlonem, omawiając szczegóły taktyczne.

– Teraz mamy już dosyć ludzi, by wystawić oddział minerski na zewnątrz statku i wysadzić sekcję napędu Modułu Bojowego zgodnie z sugestią Garsona – powiedział Hanlon. – Nawet jeśli Stern się tam dostanie, reszta statku będzie bezpieczniejsza.

– Wolałbym nie podejmować ostatecznej decyzji, zanim nie będziemy wiedzieli, jak się rozwija sytuacja – odrzekł Colman. Ale masz rację, mamy dość ludzi, by trzymać w pogotowiu taki oddział w skafandrach.

– Wzmocnienie sekcji Armleya o dziesięciu ułatwi sprawy w segmencie Vandenberg, a ja i Sirocco będziemy w lepszej sytuacji przy Centrum Telekomunikacyjnym – dodał Hanlon. – Więc do czegośmy doszli?

– Wszystko gotowe, z wyjątkiem wyłuskania Borfonteina i Wellesleya – powiedział Colman. – Teraz gdy mamy Malloya, wraz z tamtymi dwoma, sprawa jest murowana. – Spojrzał na Sirocca, który słuchał półuchem patrząc z zamyśloną miną w koniec sali. – Jeszcze jakieś pomysły na ten temat? – spytał Colman.

– Mmm...? – odpowiedział z roztargnieniem Sirocco. – Borfontein i Wellesley.

– Właśnie o tym myślałem... – Sirocco ciągle wpatrywał się przez całą długość sali w Driscolla, który z Maddockiem i kilkoma innymi rozmawiał o swych doświadczeniach. – On jest naprawdę dobry, co? – rzekł Sirocco, na wpół do siebie.

Minęła chwila, nim Colman pojął, o czym mówi Sirocco. Tak... A bo co? Co masz...

– Chodź na chwilę, chcę go o coś zapytać. – Sirocco poprowadził Colmana, za nimi podążył Hanlon. Gdy podeszli, rozmowa się urwała, twarze zwróciły ciekawie w ich stronę.

– Czy robisz tylko sztuczki karciane – spytał bez wstępów Sirocco Driscolla – czy umiesz coś więcej?

Driscoll spojrzął zaskoczony. – No, zależy, co pan ma na myśli – odrzekł ostrożnie. Po chwili kiwnął głową. – Ale, tak wiem i inne rzeczy, można powiedzieć, że mam bardzo bogaty program.

Sirocco zwrócił się do Hanlona: – Przynieś ze zbrojowni parę pasów głównych z pistoletami, Bret – powiedział. – Przekonamy się, czy ten typ jest naprawdę dobry. Myślę, że może byłby w stanie pomóc w rozwiązaniu naszego problemu.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY PIĄTY

Generał Kazimierz Stormbel nie robił błędów i nie był przyzwyczajony, by odpowiadać za błędy innych; jego podwładni szybko przekonywali się, że błędów nie robią. Akceptacja narzuconych przez niego wzorów postępowania i karność zapewniała mu permanentną symboliczną obecność w sferze jego władzy i wpływów, co nieustannie przypominało, że z jego rozkazami nie ma żarów. Objawy rozluźnienia dyscypliny dowodziły, że akceptacja nie jest całkowita i oznaczały istnienie zaników uwagi co do faktu, że wszechobecność wynika z jego władzy – jakby ludzie zaczęli zapominać, że to, co powiedział, liczyło się. Stormbel tego nie lubił. Nie lubił ludzi zachowujących się tak, jakby on się nie liczył.

Biurokraci, sprawcy rozkładu nieudolnej maszyny polityczno – wojskowej, która panowała nad kontynentem północnoamerykańskim, albo nie byli w stanie, albo nie chcieli docenić jego wartości i poświęcenia. Równocześnie obsypywali zaszczytami i względami synków pochlebców bez czci i wiary, protegowali generalskie oczka w głowie – szykownych jak filmowi lalusie absolwentów akademii West Point. Nie czuł dla nich współczucia teraz, gdy telegraf laserowy przynosił z Ziemi wiadomości o spustoszeniu Afryki wzdłuż i wszerz i o tytanicznych zmaganiach między armiami w Azji Centralnej. Teraz za to płacili, a durnie, którzy dali im dowództwa, płacili za swą głupotę.

Wellesley i Kongres próbowali utrwalić tę samą niesprawiedliwość, stawiając go w cieniu Borfonteina, dlatego że nie był absolwentem stosownych uczelni ani nie miał właściwych powiązań rodzinnych. Próbowali wystawić go do wiatru, dając komendę tego, co uważali za sprawny, ale mały i nieważny korpus specjalistów. Oni też zapłacili. Teraz już wiedzieli, kim on jest, a kim pozostaną oni. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu śmierci Ramissona; to była lekcja dobitniejsza niż jakiegokolwiek słowa. Żałował tylko, że nie wymiółł tego do czysta, rozstrzeliwując ich wszystkich.

Wobec Sterma nie odczuwał ani wrogości, ani przywiązania. Odpowiadało mu to, ponieważ działał sprawniej w sytuacjach, na które nie wpływały względy osobiste czy uczuciowe. Nie żywił złudzeń, by którykolwiek z nich miał inne motywy działania niż własna korzyść. Ze świadomości, że obaj się uzupełniają i potrzebują siebie nawzajem, Stormbel czerpał nieco satysfakcji i trochę poczucia własnego znaczenia. Nie było sprzeczności w ich podstawowych interesach, byli bowiem jak współdziałające, ale niezależne części dobrze wyważonej maszyny. Sterm chciał mieć planetę, ale potrzebował człowieka silnej ręki, żeby ją wziąć. Stormbel zaś rozkoszował się rolą silnej ręki, ale nie miał ambicji posiadania ani ochoty na wszystkie komplikacje, które z tego wynikają.

Sterm nominalnie grał główną rolę, ale Stormbel nie zgodziłby się na nic, co by mogło wyglądać na oznaki niższości. Było to konieczne, by jego połowa maszyny działała bezbłędnie, precyzyjnie i w sposób nie podlegający krytyce. Dlatego właśnie w tym momencie błędy były podwójnie niewybaczalne. Ale kompletnie zaskakujące i tym bardziej denerwujące było, że eskorta i osoba im powierzone nie tylko nie stawiły się w terminie, lecz, co więcej, przeszedłszy bezpiecznie przez bardziej ryzykowne momenty harmonogramu, naprawdę wsiadłszy na pokład promu powrotnego znikły bez śladu. Z całą pewnością wsiedli, zajęli miejsca i było już tylko parę minut do odlotu, gdy jeden z członków załogi nagle dostrzegł, że ich nie ma – nikogo z nich. Posterunki SS przy wejściu dla pasażerów wiedziały wszystkie, jak wygląda Celia Kalens, i miały specjalne polecenie zwracania na nią uwagi: Ale żaden z nich jej nie zauważył, gdy eskortujący, zgubiwszy ją jakimś sposobem, wyszli z promu. A wkrótce po tym eskorta znikła w bazie i więcej nikt jej nie widział. Nikt nie przypominał sobie, by później ich spotkał na terenie bazy, nikt na jej granicach, nikt ich nie

przewoził na zewnątrz, a intensywne poszukiwania przez całą noc nie wykryły ich nigdzie. Było to niemożliwe, ale jednak się zdarzyło.

Sterm nie był człowiekiem, który by tracił czas i energię na daremne oskarżenia i melodramatyczne sceny, ale Stormbel w pełni zdawał sobie sprawę, że nie puści tego w niepamięć – i Stormbel też nie zapomni. Był pewien, że za tym wszystkim stali Chirończycy, tak jak stali za działalnością wywrotową w Armii, a nawet wśród niektórych własnych oddziałów Stormbela. I Chirończycy za to zapłacą – tak jak zawsze płacił każdy, kto wszedł mu w drogę lub próbował wystrychnąć go na dudka. Zapłacą w momencie, gdy ktokolwiek stawi opór jego oddziałom wkraczającym do Franklina. Co do tego dał dokładne rozkazy.

– Koncentracja w Canaveral przebiega zgodnie z planem i zostanie ukończona przed północą – poinformował Sterma na południowym zebraniu sztabu w Centrum Rządowym Dystryktu Kolumbia. – Jak przewidywaliśmy, jako nieuniknione, większa część Phoenixa została opuszczona, ale punkty kluczowe są zabezpieczone, a ubytki w oddziałach regularnych zahamowane. Przerzut sił SS na powierzchnię zostanie zakończony wczesnym wieczorem, z wyjątkiem jednostek obsadzających Moduł Bojowy, Dystrykt Kolumbia i Vandenberg. Wszystkie jutrzejsze operacje są gotowe do podjęcia zgodnie z planem, a uderzenie na *Kuan-yin* o godzinie 5.13, wyrzucenie grupy ubezpieczenia orbitalnego natychmiast po tym i natarcie sił głównych na Franklin wychodzące o świcie.

Sterm wolno kiwał głową, odfajkując w pamięci punkt po punkcie i patrząc chłodno na Stormbela. Następnie zwrócił się do Gaulitza, jednego ze starszych naukowców, siedzącego z boku w towarzystwie paru doradców. – Miejmy jednak pewność co do *Kuan-yin* – powiedział. – Powodzenie całej operacji od tego zależy. Czy jest pan całkiem pewien?

Gaulitz z emfazą pokiwał głową. – Nie ulega wątpliwości, że modyfikacje wprowadzone do sekcji napędowej stanowią system rekombinacji antymaterii. Poziomy radiacji i krzywe spektralne, zdjęte z krateru na Remusie, są zgodne z wielkościami występującymi przy reakcjach antymaterii. Świadczenie transmutacji wymuszonej promieniowaniem gamma, dystrybucja izotopów aktywowanych neutronami, wzór szczątkowego...

Sterm podniósł rękę. – Tak, tak, już o tym wszystkim była mowa.

Gaulitz pośpiesznie skinął głową i nacisnął guzik, wywołując na główny ekran w sali widok *Kuan-yin*. Ukazywał chirońskie promy kosmiczne, przycumowane do wszystkich słuz wejściowych i jeszcze więcej stojących o parę mil i wyraźnie oczekujących na swoją kolej. – Jest to kolejne potwierdzenie za pomocą zdjęć zrobionych dziś rano – powiedział. – Wszystko wskazuje, że Chirończycy ewakuowali statek, co podtrzymuje twierdzenie, że jest on przygotowywany do akcji.

Sterm w milczeniu przyglądał się obrazowi. Po pewnym czasie odezwał się jeden z obecnych pułkowników: – Przystudiowaliśmy to dokładnie. Nie ma reflektorów pomocniczych ani niczego, co by można uważać za uzbrojenie dodatkowe: Jedyne kierunek, w jakim może strzelać, jest od rufy z misy ogonowej. Przy ośmiu rakietach szanse, że przynajmniej jedna trafi, są powyżej dziewięćdziesięciu ośmiu procent. Przy szesnastu szansa nietrafienia jest już taka, że bardziej do zera zbliżyć się nie można

Kuan-yin krążyła po niższej, a więc asynchronicznej wobec *Mayflowera II* orbicie. W rezultacie co trzy i ćwierć godziny bryła Chirona rozdzielała statki na czas trzydziestu dwóch minut. Gdy *Mayflower II* będzie osłonięty przed ogniem odwetowym *Kuan-yin*, zostanie wyrzuconych szesnaście rakiet Devastator. Jedna salwa została zaprogramowana na lot koszący przy powierzchni planety, co pozwoli im szybko wznieść się z punktów położonych wokół obwodu Chirona; druga natomiast, wystrzelona parę minut wcześniej, wyleci wielkim łukiem w przestrzeń kosmiczną,

zawracając w kierunku rufy *Kuan yin* z różnych stron, z okresami przelotu tak wyliczonymi, by uderzyły w broń chirońską równocześnie. Masa tej wielkości co *Kuan-yin* nie jest w stanie szybko manewrować, a komputerowe symulacje najbardziej niepomyślnych wyników wykazały druzgocącą przewagę szans udania się ataku, bez względu na to, jaka taktyka obronna zostanie zastosowana.

– Czy obliczenia i symulacje zostały zweryfikowane? – spytał Stern, patrząc na Gaultitza.

– Dokładnie i wielokrotnie. W żadnym momencie nie istnieje dla *Mayflowera II* żadne ryzyko – odpowiedział Gaultitz.

Więcej istotnych punktów do dyskusji nie było. Harmonogram został zatwierdzony, a Stormbel nadał z terminalu sygnał kodowy, potwierdzający prowizoryczne rozkazy, już wprowadzone do ściśle tajnego komputera w Centrum Telekomunikacji, położonego na niższym poziomie Dystryktu Kolumbia.

W tej samej prawie chwili, wewnątrz pamięci mniej ściśle tajnego komputera logistycznego, mieszczącego się na tym samym piętrze, wszystko, co w dziennym rozkładzie zajęć odnosiło się do kompanii "C", nagle i tajemniczo zmieniło się w polecenia, odnoszące się do kompanii "D". Równocześnie rozkaz dla kompanii "D" pozostawania w pogotowiu w koszarach aż do następnego polecenia, przekształcił się w identyczny rozkaz dla kompanii "C". W dziesięć minut później zaniepokojony pisarz w Phoenixie podał zmianę do wiadomości kapitana Blakeneya, dowódcy kompanii "C". Blakeney, jak najdalszy od kwestionowania jej, polecił pisarzowi wysłać sygnał przyjęcia do wiadomości i z przyjemnością wrócił do łóżka. Transmisja wchodząca uruchomiła wewnątrz komputera logistycznego na *Mayflowerze II* instrukcję, która nie powinna była tam się znajdować; program przeskanował informację, zidentyfikował ją jako oznaczoną identyfikatorem kodowym przydzielonym kompanii "C", po czym spokojnie ją wymazał.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY SZÓSTY

Wczesnym wieczorem Sirocco zgłosił się w biurze Kontrolera Transportu w bazie promowej Canaveral, meldując, że kompania "D" przybyła do załadunku zgodnie z rozkazem. Od rana już zarezerwowano w tym celu środki transportu. Kontroler uniósł więc tylko lekko brwi i sprawdził w komputerze, ~ x zaszła zmiana. Nie sprawiało mu żadnej różnicy, którą z kompanii Armia zdecydowała przesunąć na statek, przynajmniej tak długo, póki jej liczebność nie przekraczała oczekiwanej. W godzinę później kompania w doskonałym porządku wymaszerowała z promu, odmaszerowawszy zaś dalej z obszaru dokowania w Vandenberg, dyskretnie rozproszyła się ku swym różnym punktom przeznaczenia na *Mayflowerze II*. Szybkość miała teraz decydujące znaczenie, bo niewiele było czasu do chwili, gdy ktoś zorientuje się, że jednostka, przybyła jako zmiana z powierzchni, nie stawiała się w przewidzianych miejscach.

Sekcja przydzielona do Dystryktu Kolumbia podzieliła się na małe grupy, które przez rurę tranzytową Pierścienia pojawiły się w różnych miejscach i czasach wewnątrz segmentu. Colman, Hanlon i Driscoll wysiedli z Lechatem, przebranym w sposób zmieniający jego wygląd, jako że prawdopodobnie nadal figurował na wysokiej pozycji listy poszukiwanych przez Sterma. W parę minut później spotkali się z Garsonem i trzema innymi i skierowali okólną drogą do restauracji "Francoise" na poziomie publicznie dostępnym, bezpośrednio pod kompleksem Centrum Rządowego.

Wszystkie wejścia do samego Centrum były strzeżone. Sirocco zaproponował, by przebrać oddział w mundury SS i otwarcie poprowadzić Lechata i Celię do głównego wejścia, odgrywając komedię, że eskortują dwoje aresztowanych uciekinierów. Ale Malloy postawił veto, ponieważ tego rodzaju podstęp nie ostałby się wobec obowiązującej w SS procedury bezpieczeństwa. Lechat zaproponował więc sposób mniej dramatyczny i mniej ryzykowny. Jako stały klient "Francoise" od wielu lat, był bliskim przyjacielem kierownika i wielokrotnie po zamknięciu zakładu dyskutował do późnej nocy o polityce z pracownikami. Wszyscy oni znali Lechata, on zaś był pewien, że może na nich polegać. Zwrócił uwagę, że kuchnie restauracji mieszczą się o jeden poziom wyżej i obsługują również stołówkę pracowniczą w Centrum Rządowym. Musiały więc istnieć urządzenia na zapleczu "Francoise", łączące oba piętra: dźwigi służbowe, pochylnie dla bielizny stołowej, zsypy na śmiecie.

Grupa dotarła do mało używanego przejścia między lokalem "Francoise" i sąsiednimi zakładami, żołnierze czekali w cieniu wejść i klatek schodowych dla personelu. Lechat zapukał cicho do tylnych drzwi restauracji. Po paru chwilach otworzyły się i Lechat znikł wewnątrz. W kilka minut później drzwi otwarły się ponownie, Lechat ukazał się, spojrzał w jedną, w drugą stronę i do góry, po czym szybkim gestem przywołał oczekujących.

W izolowanym skrzydle, wysoko na szczycie jednego z wieżowców Centrum Rządowego, steward w białej kurtce, który wyemigrował z Anglii do Ameryki i został powołany w skład Misji wskutek omyłki komputera, pogwizdując bezgłośnie przez zęby popychał barek na kółkach, ze stosem brudnych talerzy, w kierunku małej garmazerii dostarczającej posiłków i napojów dla konferencji, zebrań i innych spotkań, odbywających się w tej części dzielnicy. Nie wiedział, co sądzić o ostatnich wydarzeniach i w gruncie rzeczy szczególnie go one nie obchodziły. Było mu wszystko jedno. Najpierw na górze był Wellesley i zamawiano dwanaście porcji sałatki z drobiu i deser; później Wellesleya nie było, a na górze był Sterm i zamawiano dwanaście porcji sałatki z drobiu i deser. Nie

robiło mu najmniejszej różnicy, kto.

Wysunięta zza pleców ręka zatkała mu usta i został błyskawicznie wciągnięty do schowka koło spiżarni. Ręka trzymała go w żelaznym uścisku, a jakiś żołnierz w battledresie zagarnął do środka barek z korytarza i zamknął drzwi. Było tam więcej żołnierzy i jeden cywil. Wyglądali na wściekłych i nie w nastroju do żartów.

Po zamknięciu drzwi uchwyt dłoni na jego ustach odrobinę zelżał. – Boziu! Co się wyrabia? Kto...? – Ktoś szturchnął go pod żebra. Zamilkł.

– Ci ludzie zamknięci w pokojach wzdłuż korytarza Osiem – E szepnął z lekkim irlandzkim akcentem niższy z sierżantów. Nosisz im tam jeść? – Steward przełknął ślinę i szybko kiwnął głową. – Kiedy ma być kolacja?

– Za jakieś dziesięć minut – odrzekł steward. – Mam podobnie wziąć ją tutaj obok teraz zaraz. – Wgłębi jeden z żołnierzy odpinał pas i zdejmował bluzę.

– Wyskakuj z kurtki i kamizelki – rozkazał irlandzki sierżant. – A podczas tego możesz nam opowiedzieć po kolei, co zwykle robisz.

W korytarzu 8 – E przed kwaterą internowanych, dwóch SS – uranów stało nieruchomo na warcie z kamiennym wyrazem twarzy. Zza rogu na końcu korytarza pojawił się Driscoll w stroju służbowym stewarda, popychając barek na kółkach, wysoko załadowany talerzami z kolacją. W połowie długości korytarza barek lekko zбочzył z drogi z powodu przed chwilą uszkodzonego kółka jezdnego, ale Driscoll naprostował wózek i popychał go dalej, aż zatrzymał się przed wartownikami. Jeden z nich przyjrzał się jego odznace identyfikacyjnej i kiwnął głową, drugi odwrócił się, by otworzyć drzwi z klucza. Gdy Driscoll znów popchnął barek, ten zatoczył się i wpadł na bliższego strażnika, przez co zupa w niedbale przykrytej wazie chlupnęła i parę kropel rozlało się na mundur wartownika.

– O, Chryste! – Driscoll zaczął uwijać się z serwetką, by wytrzeć plamy. Równocześnie udało mu się zamoczyć drugi róg serwetki w zupie i chlupnąć nią na rąbek bluzy drugiego wartownika, właśnie gdy odwracał się od drzwi.

Driscoll jęknął rozpaczliwie i zaczął wartownikom wycierać mundury, ale został ostro odepchnięty. – Zjeżdżaj, ty niezdarny dupku – warknął strażnik. Driscoll chwycił w panice kierownicę wózka i przeleciał z nim przez otwarte drzwi.

Gdy wartownicy znów się odwrócili, żołnierze już wychodzili zza rogu, szybko nacierając na nich z dwoma sierżantami na czele.

SS – mani odruchowo sięgnęli po pistolety, lecz kabury były puste. Przez trzy decydujące sekundy byli zbyt zmieszani, by sięgnąć do przycisku alarmowego na ściennej tablicy za nimi. Te trzy sekundy wystarczyły Hanlonowi i Colmanowi na przebycie pozostałej odległości.

Więźniowie zamknięci w pokoju spojrzeli po sobie zdziwieni, gdy zza drzwi dobiegły stłumione uderzenia. Steward, który właśnie przyniósł kolację, otworzył drzwi i do środka wpadli żołnierze w battledresach. Wellesleyowi dech zaparło, gdy ujrzał wśród nich Lechata.

– Paul! – krzyknął. – Gdzieś się chował? Jesteś jedynym, którego nie złapano. Co...

Lechat uciszył go machnięciem ręki. – Bądźcie wszyscy cicho zwrócił się do całej grupy, otaczającej go ze zdumieniem. Wszystko jest okay. – Gestem przywołał Borfonteina.

Przez drzwi żołnierze wciągnęli dwóch nieprzytomnych strażników, dwaj żołnierze już przebierali się w mundury SS, steward zaś podawał im pistolety, które wyciągnął spod trzymanej w ręku serwetki.

– Nie mamy wiele czasu – ostrzegł Lechat Wellesleya i Borfonteina. – Musimy przedostać się z wami na dół i do Centrum Telekomunikacji. Teraz słuchajcie, to wam krótko streszczę sytuację...

Nie upłynęło pięć minut, gdy wyruszyli, zostawiając Garsona i jednego z żołnierzy wewnątrz wraz z więźniami i dwoma strażnikami, sztywno stojącymi na warcie w korytarzu, gdzie wszystko wyglądało normalnie. Hanlon zabrał Wellesleya, Borfonteina i Lechata do magazynu koło Centrum Telekomunikacji, gdzie mogli posiedzieć w ukryciu. Colman podążył za Driscollem do przedziału maszynowego na najniższym pokładzie, skąd awaryjne drzwi w grodzie, nie strzeżone, lecz zamknięte od zewnątrz i zabezpieczone systemem alarmowym, prowadziły przez salę silników zespołu wind biur administracyjnych, przyległych do Centrum Rządowego. Galman obejrzał, sprawdził i wyłączył system alarmowy. Sprawdził raz jeszcze swoją robotę i skinął Driscollowi, czekającemu koło drzwi. Gdy Driscoll otworzył zasuwę i pchnął drzwi na zewnątrz, Colman wstrzymał oddech. Nie było alarmu. Po drugiej stronie czekał Sirocco z Bernardem Fallowsem, ubranym w inżynierski kombinezon i niosącym skrzynkę narzędziową.

– Wspaniała robota, Steve – mruknął Sirocco, wchodząc. Z ciemności za jego plecami wślizgiwały się ukradkiem kolejne postacie. – Jak sobie poradził Zdumiewający Driscoll?

– Najlepszy numer jego życia. Tutaj wszystko okay?

– Tak wygląda. Co z Borfonteinem i Wellesleyem? – Zza pleców Sirocca ukazała się Celia, eskortowana przez Malloya i Fullersa. Za nimi, niosąc połowy kompak, szedł Stanislaw.

Colman kiwnął głową. – Schowani w magazynie z Hanlonem i Lechatem. Gdyśmy odchodzili, na górze była cisza.

W drzwiach w głębi ukazała się ostatnia z przybyłych postaci. Sirocco rzekł do Malloya: – Okay, wiesz, dokąd iść. Hanlon i reszta już tam powinni być. – bialloy skinął głową. – Jednak zrobimy z ciebie żołnierza – Sirocco zwrócił się teraz do Celii. Świetnie sobie radzisz. Jesteśmy prawie na miejscu. – Celia odpowiedziała słabym uśmiechem, ale milczała. Wraz z resztą przeszła na drugi koniec pomieszczenia. Tymczasem Stanislaw już włączył kompak i wywoływał na ekran zakodowane wiadomości. Ćwiczył to przez cały dzień i teraz szybko dotarł do planu rozmieszczenia posterunków SS w Centrum Rządowym.

Obecnie miała nastąpić najdelikatniejsza część operacji. Informacje uzyskane przez Stanisława potwierdziły, że zewnętrzne wejścia do kompleksu rządowego, które już ominęli, były najsilniej strzeżone. Natomiast trzy wewnętrzne przejścia do samego Centrum Telekomunikacji, główny hol od frontu, tylne kuluary i boczne wejście, używane przez pracowników, były obsadzone przez znacznie mniej groźne, trzyosobowe zespoły ochronne. Cały problem z tymi zespołami nie polegał na oporze fizycznym, który mogłyby stawić, lecz na tym, że były w stanie zamknąć pancerne, poruszane silnikami elektrycznymi drzwi Centrum, oraz na pierwsze oznaki czegoś podejrzanego podnieść alarm. Pozostawiłoby to oddział Sirocca odcięty na zewnątrz, bez nadziei osiągnięcia celu, natomiast z niewesołą perspektywą: albo bić się do końca, albo poddać posiłkom SS, które pojawią się na miejscu w ciągu minut. Z drugiej jednak strony, jeśli Siroccowi uda się przeniknąć ze swymi ludźmi do środka, sytuacja się odwróci.

Wymagać to będzie, aby grupa ludzi zbliżyła się bezpośrednio do przynajmniej jednego z punktów chronionych, bez zwracania podejrzeń – i to grupa zbrojna, gdyż mając do czynienia z uzbrojonymi strażnikami, nie może wystąpić przeciw nim bez broni. Znowu Malloy sprzeciwił się pomysłem przebierania się za SS – manów. Jedyne rozwiązanie zaproponował Armley: blef, poparty przez informację spreparowaną przez Stanisława – jakoby wewnątrz kompleksu rządowego obok SS – uranów warty objąć miała Armia, i to przy pomocy posiłków z kompanii "D". Plan był oczywiście ryzykowny, ale trzy równoczesne próby, dokonane niezależnie przy trzech wejściach, zwiększą

szanse; ponadto był to sposób na przedostanie się odpowiednich ludzi dostatecznie blisko. Sirocco wreszcie się zgodził. Jeśli uda się ta faza operacji, będą od tej chwili działać zależnie od okoliczności. Największe niebezpieczeństwo stanowiła możliwość przybycia, zanim sytuacja zostanie opanowana, posiłków SS z wartowni koło głównego wejścia do kompleksu Centrum Rządowego, położonej zaledwie o kilkaset stóp na tym samym poziomie. Tu właśnie zaczynała się rola, którą miał odegrać Bernard Fallows.

Stanislau cofnął się od kompaku i oświadczył, że zmiany zostały dokonane. Sirocco zerknął na ekran, sprawdził wprowadzone przez Stanislaua modyfikacje systemu wart i skinął głową. Spojrzał na Colmana i Driscolla, czekających przy ciągle otwartych drzwiach. – Okay, kości zostały rzucone – powiedział. – W drogę. Powodzenia.

– Tobie też – odrzekł Colman. Ruszył z Driscollem w stronę przedniej części Wrzeciona, aby dołączyć do Swyleya, który jeśli wszystko dobrze poszło, powinien był już organizować blokadę Modułu Bojowego przy pomocy ludzi, ściągających z różnych stron statku.

Sirocco zamknął za nimi drzwi, zatraskując je tylko na jedną zasuwę szybko zwalniającą, by mieć drogę odwrotu na wypadek trudności i odwrócił się twarzą do garstki ludzi, która mu pozostała. – Idziemy – powiedział.

Przeszli przez przedział maszynowy w tym samym kierunku co inni, przez komorę oprzyrządowania i do góry przez dwie kondygnacje stalowych schodów, powracając do samego Centrum Rządowego z tyłu za nieczynnymi od ukończenia lotu biurami, wykorzystując przejście w grodzie – otwarte przez schodzących na dół Colmana i Driscolla. Po ludziach, którzy wyruszyli przed nimi, nie było znaku życia. Tutaj grupa rozeszła się w trzech kierunkach.

Stanislau i dwaj inni, poruszając się ostrożnie i wykorzystując po drodze ukrycia, jako że znajdowali się obecnie w częściach Centrum nadal używanych, skierowali się do magazynu przy holu frontowym Centrum Telekomunikacji, by dołączyć do zespołu Hanlona, obecnie powiększonego o Celię, Malloya i Fullersa. Sirocco z trzema ludźmi poszedł do punktu zbornego drugiej grupy, na podejściu do tylnych kuluarów, a Bernard ze swoją skrzynką narzędziową wybrał się niedbałym krokiem na samotny spacer w stronę korytarza, łączącego Centrum Telekomunikacji z głównym wejście do kompleksu rządowego.

W kwadrans później, w biurze wychodzącym na korytarz do tylnych kuluarów Centrum Telekomunikacji, oburzony kierownik i dwie sterroryzowane urzędniczki siedzieli na podłodze z rękami założonymi na głowy, pod baczny spojrzeniem jednego z żołnierzy, którzy wpadli tu niespodzianie, wymachując karabinami i działami szturmowymi. – Co wy tu próbujecie wyrabiać? spytał kierownik trzęsącym się ze zdenerwowania głosem. – Nie chcemy mieć nic wspólnego z czymś takim.

– Zamknij się, nie ruszaj się, a nie będziesz miał – poradził mu półgłosem Sirocco, nie spuszczając oczu z krawędzi przymkniętych drzwi. – Tak sobie tylko spacerujemy. – Po krótkim milczeniu Sirocco szepnął w napięciu: – Idą tutaj... tylko dwóch i sierżant. Uwaga! Jeszcze dwóch typów rozmawia przy automacie z kawą. Też ich trzeba chwycić. Faustzman, zajmiesz się nimi. – Żołnierze skupili się za nim w pogotowiu, jeden został, by pilnować ludzi na podłodze. W korytarzu SS – mani, którzy mieli zmienić wartę przy kuluarach, prawie zrównali się z drzwiami.

– Stój! – Sirocco pojawił się przed nimi z wyciągniętym pistoletem, obok niego Stewam miał ich na muszce działa szturmowego. Nim SS – mani pojęli, co się dzieje, z tyłu celowało do nich jeszcze dwóch żołnierzy. Rozbrojono ich w mgnieniu oka, Sirocco ostrym ruchem broni wepchnął ich w otwarte drzwi, Faustzman zaś przygonił dwóch zdumionych cywilów od automatu z kawą. W momencie gdy zamykały się drzwi biura, dwie kobiety wyszły zza rogu korytarza i nic nie

zauważywszy, przeszły mimo, pogrążone w rozmowie. W chwilę później Sirocco na czele dwóch żołnierzy wyszedł z biura. W korytarzu uformowali się w szyk i pomaszerowali równym krokiem w kierunku kuluarów.

Kapral SS na punkcie ochrony tylnych kuluarów był zaskoczony, gdy z oddziałem zmiany warty pojawił się kapitan wojsk regularnych i zażądał dostępu do dziennika dyżurów. – Nie wiedziałem, że warty wewnętrzne wystawiają tu liniowcy – powiedział kapral, bardziej zdziwiony niż zaniepokojony.

Sirocco wzruszył ramionami. – Sam nic nie wiem. Myślę, że to dlatego, że część SS wysyła ją na dół do Canaveral. Po prostu wykonują rozkazy.

– Kiedy to zmieniono, panie kapitanie?

– Nie wiem, kapralu. Niedawno, jak przypuszczam.

– Powinienem sprawdzić te rozkazy. – Kapral odwrócił się do swego ekranu, dwaj pozostali SS – mani nie spuszczała oczu z oddziału zmiany. Po paru sekundach kapral podniósł brwi do góry. Ma pan rację. Och, dobra, widzę, że to w porządku. – Pozostali SS – mani odprężyli się odrobinę. Kapral wywołał dziennik dyżurów i odmeldował swój zespół. – Wygląda, że wszędzie robi się cienko – skomentował, przyglądając się Siroccowi, przepisowo meldującemu swoich ludzi.

– Coś na to wygląda – zgodził się Sirocco. Usiadł za biurkiem, a szeregowcy z kompanii “D” stanęli na warcie przy drzwiach. SS – mani odmaszerowali, wymieniając uwagi między sobą.

W kilka sekund po ich odejściu ludzkie sylwetki zaczęły wyskakiwać z wyjścia pożarowego za windami w końcu kuluarów i znikać szybko i cicho wewnątrz Centrum Telekomunikacji.

Tymczasem sierżant SS przy głównym holu okazał się skrupulatny. – Nie obchodzi mnie, co mówią komputery, Hanlon. To mi się nie podoba. Muszę to sprawdzić. – Rzucił okiem na dwóch SS – uranów stojących o parę kroków głębiej, z karabinami na gotuj broń. – Uważajcie na nich, a ja zawołam oficera służbowego. Po czym sięgnął do stojącego przed nim ekranu i włączając go, otaksował Hanlona spojrzeniem zza tablicy. – Stój dokładnie tam, gdzie jesteś, bracie. – Hanlon zeszywniał, ale nic nie mógł zrobić. Już zmierzył wzrokiem odległość od reszty SS – uranów, ale trzymali się z dala i w pełnej gotowości.

Nagle, od strony zewnętrznego wejścia do foyer, za Hanlonem mocny, władczy głos rozkazał: “Stać!” – Sierżant, który właśnie miał nadać wezwanie, spojrzął znad ekranu, otworzył usta ze zdumienia. W stronę biurka szedł wielkimi krokami Borfontein z Wellesleyem u jednego boku, Lechatem u drugiego i oddziałem żołnierzy w zwartym szyku w straży tylnej. Wśród nich znajdowała się Celia i Malloy. Obaj wartownicy spojrzeli po sobie niepewnie.

Sierżant SS na wpół podniósł się z krzesła. – Sir, ja nie... Ja myślałem..

Borfontein stanął sztywny i wyprostowany przed biurkiem. Cokolwiek myśleliście, byliście w błędzie. Jestem nadal Najwyższym Dowódcą Wojskowym tej Misji i macie wykonywać moje rozkazy ponad wszystkie inne. Dać przejście.

Sierżant wahał się jeszcze chwilę, po czym kiwnął głową do obu wartowników. Borfontein i jego grupa przemaszerowali przez wejście, przy którym Hanlon zaczął rozstawiać swoich wartowników. Z klatki schodowej z boku holu zmaterializowała się jeszcze jedna drużyna kompanii “D” i znikła w Centrum Telekomunikacji, zagarniając parę oglupiałych sekretarek i urzędników, którzy nawinęli się po drodze.

Ale przy bocznym wejściu nie było Borfonteina, który mógłby uratować sytuację. – Nic mi o tym nie wiadomo – oświadczył z ekranu oficer służbowy SS na pytanie, nadane przez wartę. – To są mylne rozkazy. Aresztować tych ludzi. – Dowódca warty przy biurku wyciągnął pistolet i wycelował w Maddocka, który stał o dziesięć stóp dalej w miejscu, w którym został zatrzymany wraz z

Hardingiem i Merringerem. W tej samej chwili dwaj SS – mani stojący w głębi wzięli ich na cel swych automatów.

– Padnij! – wrzasnął Maddock i cała trójka rozbiegła się na boki, by zejść z linii ostrzału, gdy rzucony zza odległego rogu granat dymny wybuchł przy wejściu. Ogień flankowy z korytarza pokrył całą przestrzeń, gdy oddział z kompanii “D” poderwał się do szturm przez zasłonę dymną. Ale pierwszy z nacierających był jeszcze o dobre dwadzieścia stóp, gdy zapadły stalowe drzwi i w całym Centrum Rządowym rozległ się dźwięk alarmu.

Gdy dym zaczął się rozpraszać, Maddock wstał. Merringer był martwy, a dwóch innych trafionych. Jediną szansę bezpieczeństwa dawało teraz dotarcie do holu frontowego, zanim Hanlon zostanie zmuszony go zamknąć, i to pod warunkiem, że mu się powiodło.

– Idź przodem z czterema ludźmi! – wrzasnął Maddock do Hardinga. – Strzelaj do każdego SS – mana po drodze. Już wiemy, gdzie jesteśmy. – Zwrócił się do pozostałych. – Bierzcie tych dwóch i trzymajcie się mnie. Wy dwaj, zostań z Crosbym i kryć tyły. Okay, idziemy stąd w diabły.

Ale z wartowni za głównym wejściem do Centrum Rządowego już wylewali się SS – mani i biegli korytarzem w kierunku Telekomunikacji, cywile zaś przylepiali się do ścian, by zejść im z drogi; a inni, jeszcze pracujący, wyglądali z biur, by zobaczyć, co się dzieje. Inżynier w kombinezonie, który nie zwracając niczyjej uwagi otworzył drzwiczki kontrolne w podłodze i majstrował w otwartej tablicy rozdzielczej, zwarł na krótko obwód i opancerzone drzwi pożarowe w połowie korytarza zamknęły się przed nadbiegającymi SS – uranami. Major SS, dowodzący oddziałem, gapił się na nie tępo przez parę chwil, jego ludzie bezładnie stanęli przy nim. – Z powrotem do frontowych schodów – ryknął. Do góry na trzeci poziom, a po tym na dół po drugiej stronie!

Po drugiej stronie drzwi pożarowych Bernard, rzucił narzędzia i pomknął do holu frontowego Centrum Telekomunikacji, modląc się w duszy, by okazało się, że to nie stamtąd nadano sygnał alarmu. Hanlon, Stanislaw i garść innych czekali przed wejściem. Dokładnie w chwili przybycia Bernarda, z bocznego korytarza pojawił się Harding z czołówką grupy wejścia służbowego, a następującym im na piąty Maddockiem i główną siłą. Niesiono dwóch rannych. Hanlon pognął ich wszystkich do środka Centrum Telekomunikacji i na moment, nim z przyległej klatki schodowej rozległ się łomot ciężkich butów, zapadły z trzaskiem drzwi pancerne.

Technicy i reszta obsługi wewnątrz dochodzili do siebie po szoku, wywołanym inwazją oddziałów wojskowych i jeszcze większym, jakim był widok Wellesleya, Celi Kalens i Paula Lechata w otoczeniu żołnierzy. Stali niepewnie wśród błyszczących szaf rozdzielczych i konsoli, żołnierze zaś błyskawicznie zajęli pozycje, z których trzymali pod kontrolą całe wnętrze. Wówczas Wellesley wyszedł na środek sali sterowania i rozejrzał się na wszystkie strony. – Kto tu jest kierownikiem? – zapytał. Od dawna nie słyszano, by mówił tak pewnym i zdecydowanym głosem.

Z grupy zgromadzonej przed wejściem do jednego z biur wystąpił siwowłosy mężczyzna bez marynarki. – Ja jestem – powiedział. McPherson – Naczelnik Telekomunikacji i Centrum Danych. Po krótkiej pauzie dodał: – Do pana dyspozycji.

Wellesley krótkim skinieniem przyjął to do wiadomości i wskazał ręką na Lechata. – Szybkość ma kluczowe znaczenie – powiedział bez wstępów Lechat. – Żądamy natychmiastowego dostępu do wszystkich kanałów na sieciach cywilnych, administracyjnych, wojskowych i alarmowych...

Moduł Bojowy był milowej długości skupieniem megaśmierci i masowego zniszczenia, stojącym na podstawie, utworzonej przez tępy nos Wrzeciona, w widłach z dwóch słupów,

wysuniętych do przodu dla podtrzymania leja chwybaka strumieniowego i jego generatorów pola. Mieściły się w nich także przewody doprowadzające do reaktorów przetwórczych na śródkręciu wodór, wychwytywany z przestrzeni kosmicznej, gdy statek pędził z szybkością przyświelną. Lśniący, mocny, groźny i najeżony wyrzutniami raketowymi, projektorami promieniowania ochronnego i śluzami dla wyrzucania systemów broni orbitalnych i zdalnie sterowanych, krył w sobie wszystkie bronie strategiczne *Mayflowera II* i w razie potrzeby mógł być odczepiany, by działać jako niezależny, w pełni samodzielny okręt wojenny.

Moduł Bojowy nie był zaplanowany jako część ogólnie dostępnego terytorium *Mayflowera II* i jednym z podstawowych kryteriów jego projektowania było ograniczenie możliwości przedostania się do środka. Personel i zaopatrzenie dostawały się do Modułu przez cztery kolosalne przewody cylindryczne, zwane rampami dostawczymi, które wysuwały się z głównego korpusu statku i kończyły kopułami sprzęgającymi z wrotami zewnętrznymi Modułu Bojowego, dwoma w przedniej i dwoma w tylnej części jego śródkręcia. Jedna para ramp wysuwała się w tył i do środka z kulistych komór, zabudowanych na przednich częściach słupów podtrzymujących lej chwybaka wodoru, druga w przód i do środka sześciokątnej, wysuniętej do przodu części Wrzeciona, zwanej nader trafnie Heksagonem. Jakby przedostanie się przez rampy dostawcze nie było dostatecznie trudne, wszystkie biegnące wewnątrz nich z Wrzeciona rury jezdne, przenośniki towarowe, tory amunicyjne i inne przewody, spotykały się w jednej tylko, silnie bronionej śluzie, przez którą przechodziły do Heksagonu przez pancerną grodzę. Za grodzą, w kierunku rufy, śluza wychodziła na klinowatą, trzystustopową platformę nośną, na której skupiały się wszystkie rury i przewody, przechodzące przez ogromny przedsionek, wypełniony dżunglą dźwigarów, konstrukcji nośnych, obudów silnikowych, maszyn wyciągowych, przewodów, rur, kanałów, drabinek konserwacyjnych i pomostów roboczych. Innej drogi przez, lub wokół grodzy, nie było. Jedyne przejście z Heksagonu ku przodowi prowadziło przez śluzę.

Nie do zdobycia – pomyślał Colman, leżąc skulony za podstawą dźwigara, wysoko w cieniu zalegającym głąb przedsionka, i badając podejścia do śluzy. Szczeliny obserwacyjne, wychodzące na przedsionek u góry i z boków, panowały nad nim całkowicie krzyżującymi się polami ostrzału, a bez wątplenia były tam jeszcze ukryte automatyczne lub zdalnie sterowane urządzenia obronne. Prawda, że na początku ataku można było wykorzystać mnóstwo miejsc zasłoniętych, ale końcowy szturm byłby samobójczy... i do tego daremny, bo wrota śluzy były dość mocne, by oprzeć się każdej broni słabszej, niż rakiet taktyczna. Zaczynał też wątpić, czy oddział minerski, który właśnie wkładał skafandry, by po zewnętrznej stronie dostać się do dalszej części Heksagonu, cokolwiek zdołała, bo zewnętrzne podejścia do Modułu prawie na pewno były bronione nie mniej skutecznie – wiedział, jakimi kategoriami myśleli projektanci tego typu urządzeń.

– Najlepiej byłoby wysadzić wrota salwą rakiet przeciwpancernych i mieć nadzieję, że zablokują się otwarte – powiedział półgłosem do Swyleya, który leżał obok niego, badając odległą grodzę przez wzmacniacz obrazu. – A po tym może zalać śluzę płynem zapalającym i dostać się tam pod osłoną dymu.

– To tylko pierwsze drzwi – przypomniał mu Swyley, odkładając przyrząd optyczny. – A jest ich dwoje. Cokolwiek zrobimy z pierwszymi, to ich nie powstrzyma od zatknięcia drugich.

– Prawda, ale jeśli się przedostaniemy za pierwsze, możemy uprzętać szczeliny od tyłu i przynajmniej móc tutaj spokojnie sprowadzić ciężką broń, by zdobyć drugie.

– I co wtedy? – zapytał Swyley. – Nadal będziesz musiał przebijać się pod ogniem wzdłuż ramp dostawczych i do Modułu Bojowego. Jeśli tam dotrzesz i nie stracisz po drodze wszystkich ludzi, to tamtym zostanie kupa czasu na przygotowanie Modułu do odlotu, zanim wysadzisz śluzę.

– Masz lepszy pomysł? – Po raz pierwszy Swyley nie miał. W tym momencie z obu ich komunikatorów rozległ się równocześnie sygnał alarmu, a ostrzegawcze brzęczyki i syreny zaczęły dolatywać ze wszystkich stron labiryntu. Spojrzeli po sobie. Hałas ucichł, gdy Colman wydobyl swój aparat z kieszeni na piersiach i ujął tak, by obaj mogli go oglądać. Swyley wyłączył swój. W kilka sekund później na małym ekranie ukazały się twarze Wellesleya, Borfontaina i Lechata. Na chwilę Colman zamknął oczy i wydał długie, głębokie westchnienie ulgi.

– Udało im się – szepnął. – Są tam wszyscy.

– Oto obwieszczenie o najwyższym stopniu ważności, dotyczące każdego z członków Misji *Mayflowera II* – rozpoczął Wellesley, przemawiając jasnym, ale groźnym głosem. – Zwracam się do was będąc w pełni mojej władzy Dyrektora tej Misji. Jest ze mną generał Borfontein, jako Najwyższy Dowódca wszystkich Sił Zbrojnych. Niedawno dopuszczono się próby zdrady w najpodlejszej i skrajnie przestępczej formie. Próba ta się nie udała. Ale na dodatek dokonano oszustwa, które miało na celu nucenie oszczerstwa na postępowanie Chirończyków, podżeganie do użycia siły dla dogodzenia ambicjom politycznym skorumpowanych elementów spośród nas, oraz z premedytacją i zimną krwią dopuszczono się morderstwa na niewinnych ludziach i to popełnionego przez nasz własny gatunek. Nie muszę wam przypominać...

– To powinno dać w nasze ręce resztę statku i powierzchnię – orzekł Swyley. – Jeśli Armia pozbiera się i schwyta Sterma, zanim uda mu się tu dotrzeć, być może nie będziemy w ogóle musieli się tam przedostawać.

Colman podniósł głowę i znowu zaczął się przyglądać niedostępnym podejściom do wrót grodzy, raz jeszcze wyobraziwszy sobie nieuchronną rzeź, do której doprowadziłby atak frontalny. A po obu stronach – kto miałby szanse zyskania czegokolwiek, na czym mu zależy? Nie miał sporów z ludźmi obsadzającymi tę pozycję obronną, oni nie mieli sporów z nim, czy kimkolwiek z jego ludzi. Czemu więc leżał tu z bronią w ręku, starając się wymyślić najlepszy sposób, by ich zabić? Dlatego, że oni tam też mieli broń i zapewne spędzili dużo czasu na obmyśleniu najlepszego sposobu, by zabić jego. Żaden z nich nie wiedział, czemu to robi. Po prostu zawsze tak się robiło.

Na ekranie komunikatora ukazała się Celia, która zaczęła mówić głosem lekko drżącym, ale zdecydowanym. Lecz Colman słuchał jej tylko półuchem. Starał się nastawić na taki sposób myślenia, jakim posłużyłby się Chirończyk.

ROZDZIAŁ TRZYDZIĘSTY SIÓDMY

Za pancerną grodzą Heksagonu w miejscowym punkcie dowodzenia major Lesley z Oddziałów Służby Specjalnej był ciągle zbyt oszołomiony tym, co usłyszał, by być zdolnym w tej chwili do logicznej reakcji. Gapił się na kompanel, którego ekran ukazywał widok Dystryktu Kolumbia, gdzie przed paru minutami dowódca oddziału ochronnego SS wszedł z białą flagą do Centrum Telekomunikacji na rozmowę z Borfonteinem. Teraz Lesley starał się uporządkować w głowie sprzeczne uczucia. Jego adiutant kapitan Jarvis i porucznik Chaurez przyglądali się w milczeniu, a inni obecni na służbie w punkcie dowodzenia odwracali oczy, zajęci własnymi myślami. Jego dylemat polegał nie tyle na wyborze po raz pierwszy w życiu między sprzecznymi rozkazami, ich hierarchia ważności bowiem była jasna i nie miał obowiązku słuchania kogoś, kto uzurpował sobie rangę i przestępczo nadużywał prawa wydawania rozkazów, ile na decyzji, po której stronie chciałby być. Borfontein miał w ręku uprawnienia, ale Stormbel pistolet.

Na drugim końcu punktu dowodzenia Jarvis oglądał ekran. Wygląda, że w Vandenberg walka się kończy – zawiadomił. – Dwie grupki naszych trzymają pierwszą i trzecią przystań, ale reszta współdziała z Armią. Wojsko opanowało prawie cały segment. Tą drogą Stormbel nie dostanie żadnych posiłków z powierzchni.

– Ostatnie wiadomości z powierzchni? – zapytał Chaurez.

– Dezorientacje, ale w koszarach spokój – odrzekł Jarvis. Duża strzelanina wewnątrz bazy Canaveral. Chyba wszyscy starają się tam zdobyć ciężką broń. Na jednym ze stanowisk startowych pali się prom.

Major Lesley pokręcił głową i patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem. – To nie powinno było się zdarzyć – rzekł półgłosem. – Przecież to nie są wrogowie. Nie powinni walczyć ze sobą.

Jarvis i Chaurez wymienili spojrzenia. Następnie Jarvis rzucił okiem na nową wiadomość, wyświetloną na jednym z ekranów. Peterson poszedł do Borfonteina w Centrum Rządowym mruknął przez ramię. – W Dystrykcie Kolumbia chyba wszystko skończone. To im daje w ręce cały Pierścień.

– Wobec tego pójdą teraz na Wrzeciono – powiedział Chaurez. Obaj spojrzeli znowu na Lesleya, ale nim ktokolwiek się odezwał, ostrym dźwiękiem z głównego ekranu rozległo się wezwanie ze sztabu Brygady w Module Bojowym.

Lesley automatycznie potwierdził odbiór i ujrzał twarz pułkownika Oordsena, jednego z członków sztabu Stormbela, groźną i zdeterminowaną, lecz wyraźnie wstrząśniętą. – Włączyć system obrony przeciwinwazyjnej, zamknąć śluzy wewnętrzne i zewnętrzne i postawić oddział w stan pogotowia, majorze – rozkazał. Wszelkim próbom wdarcia się od strony Wrzeciona przed zamknięciem wejść należy przeciwstawić się wszystkimi siłami. Gdy tylko grodzia będzie zabezpieczona, zameldować, w żadnym wypadku nie później niż za pięć minut. Zrozumiano?

W tym momencie w punkcie dowodzenia rozległ się alarm lokalny. W ciągu paru sekund dały się słyszeć kroki ludzi biegnących z tylnych korytarzy i schodów na stanowiska ogniowe. Jeden z dyżurnych już włączał przyciski, by zebrać całość meldunków, a Chaurez podniósł się, by przejść na wysunięte stanowisko obserwacyjne w chwili, gdy w drzwiach po przeciwnej stronie ukazał się dowódca warty. – Do śluzy zbliża się wojsko – zaraportował. – Oddział liniowy – trzydziestu albo nieco więcej.

Zostawiając pułkownika Oordsena patrzącego z ekranu, Lesley wstał, przeszedł przez drzwi w stalowej ścianie, dzielącej punkt dowodzenia od stanowiska obserwacyjnego i wyjrzał przez jedną

ze szczelin na podejście do śluzy poniżej. Od drzwi zaś przyglądał się Chaurez, ignorując oburzony głos Oordsena, płynący z tyłu. Majorze Lesley, nie pozwoliłem odejść. Proszę wracać natychmiast. Co, u diabła, tam się dzieje? Co to za alarm? Lesley, słyszysz mnie?

Ale Lesley nie zwracał na niego uwagi, lecz przyglądał się platformie poniżej, która jasno oświetlona lampami łukowymi nad śluzą, im dalej od nich, tym bardziej ginęła w mroku przedsionka. Z jego cienia ukazywały się powoli postacie ludzkie, idące od strony rur tranzytowych i szyn towarowych. W głębi szły luzem, lecz zbliżając się przez platformę, przechodziły w coraz bardziej zwarty szyk. Poruszały się uważnie i ostrożnie, ale bynajmniej nie ukradkiem, i wyraźnie unikały korzystania z ukryć. I trzymały broń na pasach, z lufami skierowanymi w dół w sposób, który mógł oznaczać wszystko, z wyjątkiem groźby.

– Wszystkie stanowiska obronne obsadzone i gotowe do otwarcia ognia – wyśpiewał jeden ze służbowych wewnątrz punktu dowodzenia.

– Działa laserowe w gotowości do otwarcia ognia – zameldował inny głos.

– Środki obrony przeciwinwazyjnej załadowane i gotowe do uruchomienia.

– Śluza w pozycji pomarańczowej i gotowa do zamknięcia.

Postacie były już dobrze widoczne. Szły coraz wolniej, zbliżając się do najjaśniej oświetlonego miejsca przy śluzie. Lesley ujrzał, że był to oddział piechoty liniowej. Prowadzili go, idąc o kilka kroków w przodzie, wysoki sierżant i kaprał w okularach. Zatrzymali się, jakby na coś czekając; za ich plecami stanął nieruchomo cały oddział. Lesley zacisnął zęby, patrząc na nich przez szczelinę obserwacyjną. Ci ludzie ryzykowali życie – w zależności od tego, jaką znajdzie odpowiedź na pytania, z którymi się borykał.

W drzwiach obok Chaureza ukazał się nagle Jarvis. – Trzy kompanie w szyku bojowym przybyły na Wrzeciono i posuwają się w stronę dziobu; od strony Pierścienia przybywa jeszcze więcej zawiadomił. – Zaś z Modułu Bojowego wysłano oddział przez jedną z rufowych ramp dostawczych. Chyba idą, by zamknąć śluzę.

Lesley spojrzał na nich obu, ale nie odezwał się. Nie miał im nic do powiedzenia. Mógł zamknąć śluzę i włączyć się do obrony Modułu Bojowego; albo też, wzmocniony o siły liniowe, które nadeszły dołem, mógł bronić otwartej śluzy przeciw SS – uranom nadciągającym z Modułu, zanim dołączy reszta Armii. Decyzję musiał podjąć teraz.

Przypomniawszy sobie twarz Celi Kalens, która chyba ukryła się w bezpiecznym miejscu, ale potem przebyła całą drogę z powrotem do serca Centrum Rządowego, ryzykując wszystko, aby dać świadectwo prawdzie. A później spojrzał znów na sierżanta, na kaprała, na ludzi stojących za nimi w milczącym apelu do rozsądku. Oni też ryzykowali wszystko, by to, co zrobiła Celia i inni, nie poszło na marne. Jakąkolwiek przegraną ryzykowałby Lesley, nie mógł postawić większej stawki niż ta, którą ci ludzie już postawili.

– Każ ludzom zejść ze stanowisk – powiedział spokojnym głosem Jarvisowi. – Rozładuj obronę przeciwinwazyjną i cofnij śluzę do pozycji zielonej. Całość sił przesun do przodu do śluzy zewnętrznej i zajmij pozycję obronną przed atakiem z Modułu Bojowego. Chaurez, wprowadź tych ludzi z dołu do środka. Każda pomoc nam się przyda. – Z tymi słowami odwrócił się i wyszedł ze stanowiska obserwacyjnego, by zejść na dół do śluzy.

Jarvis i Chaurez spojrzeli sobie w oczy. Po chwili Jarvis westchnął z ulgą. Chaurez odpowiedział krótkim uśmiechem i cofnął się do punktu dowodzenia, pochylając się nad kompanelem. – Poruczniku – zapytał rozżłoszczony Oordsen z ekranu – gdzie jest major Lesley? Rozkazałem.. – Chaurez wyłączył go pstryknięciem przełącznika i równocześnie włączył obwód zamknięty głośników, rozmieszczonych wokół śluzy.

– Okay, chłopaki, schodzimy ze stanowisk – powiedział do wystającego na sztycy z panelu mikrofonu. – Wracajcie tu tak szybko, jak możecie. Od strony rampy dostawczej zbliżają się ze środka przykrości.

Gdy Chaurez skończył, wskaźnik zasygnalizował wezwanie z Centrum Rządowego. Przyjął je i ujrzał twarz kapitana Armii z wielkimi wąsami. – Wysunięty Punkt Dowodzenia Obroną zgłosił się Chaurez.

– Sirocco, dowódca kompanii "D", Druga Brygada Piechoty. Czy jest tam wasz dowódca?

– Niestety, sir. Właśnie poszedł do służby tylnej.

– A jego adiutant? – spytał Sirocco.

– Poszedł do służby przedniej.

Sirocco zaniepokoił się. – Słuchajcie, oddziały posuwają się naprzód, by zająć dziób. Chcemy uniknąć bezsensownego rozlewu krwi. Te służby muszą pozostać otwarte. Jest tu generał Borfontein, który chce mówić bezpośrednio z kimkolwiek, kto u was dowodzi.

– Mogę mówić w ich imieniu – powiedział Chaurez. – Może pan powiedzieć generałowi, że nowiny są dobre.

Na dole, w służbie wewnętrznej, Colman i Swyley stali z majorem Lesleyem, podczas gdy oddział z kompanii "D" już posuwał się skokami w niskiej grawitacji Wrzeciona, by dołączyć do SS – uranów, zajmujących pozycje naprzeciw służby zewnętrznej. – Cholernie ryzykowaliście, sierżancie – powiedział Lesley.

– Fifty – fifty – odrzekł Colman. – Innym sposobem szanse byłyby zerowe.

– Bystro rozumujecie.

– Wszyscy musimy się tego nauczyć.

Lesley przez chwilę patrzył mu w oczy, po czym skinął głową. Sytuacja wyglądała tak, że z Modułu Bojowego właśnie wyszedł atak na nas wzdłuż rufowych ramp dostawczych. Wyłączyliśmy energię urządzenia jezdnego w rampie, by ich przyhamować, a więc wspólnie będziemy w stanie ich zatrzymać, nim nadejdą wasze posiłki. Kiedy się ich spodziewać? – Poszli szybko w stronę zewnętrznych wrót służby, za którymi promieniście rozchodziły się trasy do ramp dostawczych i słupów podtrzymujących chwytak strumieniowy.

– A jak daleko już dotarli? – spytał Colman.

– Zaczęli dochodzić do Wrzeciona kilka minut temu. – Lesley był zdziwiony. – Jak to możliwe, żeście o tym nie wiedzieli?

– To była... niezupełnie szablonowa operacja.

Przed nimi Jarvis rozmieścił żołnierzy na pozycjach przed wszystkimi wylotami tuneli, z najsilniejszą grupą skoncentrowaną przy wylocie rampy dostawczej, którą zbliżali się SS – mani z Modułu Bojowego; następnie wycofał się na osłoniętą platformę obserwacyjną, z której mógł dowodzić działaniami, mając dobry wgląd w głąb tunelu. Lesley, Colman i Swyley skupili się za kolumną, za którą już przyczał się z bronią Driscoll i paru innych z kompanii "D". Po chwili wszyscy żołnierze już czekali w napięciu.

I nagle znajdujący się najbliżej wylotu tunelu unieśli głowy, patrząc na siebie zdziwieni. Na platformie obserwacyjnej Jarvis wyjrzał zza przedpiersia, a następnie wyprostował na całą wysokość. Żołnierze jeden po drugim zaczęli opuszczać wyloty luf, a Jarvis zszedł na podłogę służby.

Major SS z twarzą poczerniałą od dymu i rękawem we krwi wyszedł niepewnym krokiem z wylotu tunelu, tuż za nim czterech obszarpanych SS – uranów; jeden z nich z zakrwawioną głową. Lesley i pozostali wyszli z ukrycia, Jarvis zaś i paru jego ludzi poszli ku nadchodzącym, by ich odprowadzić na tyły.

Lesley i major oczywiście się znali. – Brad – spytał Lesley co, u diabła, się zdarzyło? Oczekiwaliśmy starcia.

– Owszem, było, w Module Bojowym – ostatkiem tchu wyjąkał major. – Paru z nas próbowało zrobić tam porządek po audycji telesieci, ale zbyt wielu innych doszło do wniosku, że Moduł jest najbezpieczniejszym miejscem i nie chciało ustąpić. Mogliśmy jedynie wydostać się stamtąd.

– Ilu was tam jest? – spytał Lesley.

– Nie wiem dokładnie... może pięćdziesięciu. Większość z nich została z tyłu w rampie, blokując służbę wyjściową z kopuły.

– Mówi pan, że droga aż do samego Modułu Bojowego jest wolna? – zapytał Colman.

Major Brad kiwnął głową. – Ale w kopule są ludzie Stormbela. Jedyne sposoby, by się dostać do Modułu, to wysadzić wrota wejściowe.

Lesley zwrócił się do Jarvisa: – Włącz energię w rurach i szybko wyślij tam więcej chłopców. Niech włożą skafandry na wypadek, gdyby kopuła rozhermetyzowała się i cofnij ludzi Brada do środka rampy.

– Mamy jedną sekcję już w skafandrach – powiedział Colman. – Czy te wozy są na chodzie? – wskazał kilka transporterów osobowych, stojących na bocznicach jednej z linii przelotowych. Jarvis kiwnął głową. Colman zwrócił się do Swyleya: – Załaduj do nich sekcję i wyślij ją tam rampą. – Swyley i Jarvis pobiegli.

– Armia nadchodzi przez Wrzeciono – poinformował Brada Lesley. – Lada chwila powinni tu być.

– Miejmy nadzieję, że nie będą tracić czasu – odpowiedział Brad. – Sterm przygotowuje właśnie w tej chwili atak raketowy – i to wielki.

Colman poczuł chłód w żołądku, zanim jeszcze dotarło do jego świadomości, co Brad powiedział. – Sterm? – powtórzył głucho. Obliznął wyschnięte nagle wargi, patrząc to na jednego, to drugiego majora SS. – Mówi pan, że on już tam jest?

Lesley skinął twierdząco. – Był tam przez cały wieczór. Przybył ze Stormbelem około 18.00 na naradę sztabową wyższego dowództwa. Wszyscy tam są... – Zmarszczył czoło na widok wyrazu twarzy Colmana. – Nikt o tym nie wiedział?

Colman powoli pokręcił głową. Zbyt wiele trzeba było przemyśleć w zbyt krótkim czasie. I zawsze to samo się zdarzało: gdy tylko napięcie sięgało szczytu, zawsze jakaś rzecz umykała uwadze wszystkich, bo była nazbyt oczywista. Wszyscy byli tak pogrążeni w rozważaniach, jak przeszkodzić Stermowi w przedostaniu się do Modułu Bojowego, że nikt nie wziął pod uwagę oczywistej możliwości, że on już się tam znajduje.

– Co ma być celem ataku raketowego? – zapytał ochryple Colman.

– Nie wiem – odpowiedział Brad. – Nie byłem informowany z najwyższego szczebla. Ale to mają być rakety zasięgu powyżej średniego i z jakichś powodów atak ma być zsynchronizowany z okresem obiegu orbitalnego statku.

Colman jęknął. Celem mogła być tylko *Kuan-yin*. Jeśli atak się uda, Sterm będzie posiadał jedyne pozostałe na planecie bronie strategiczne, a więc znajdzie się w sytuacji pozwalającej dyktować warunki, jakie tylko zechce. Jeśli zaś się nie uda, Sterm i jego ostatnia garstka zabiorą ze sobą całego *Mayflowera II*, gdy zza tarczy Chirona wejdzie *Kuan-yin*, by dokonać odwetu. Przed służą pierwszy wóz wyładowany wojskiem w bojowych skafandrach kosmicznych odjechał i znikł w tunelu, z którego wyszli Brad i jego grupa. .

– Macie minę, jakbyście coś o tym wiedzieli – powiedział do Colmana Lesley. – Czy tam w dole na powierzchni jest coś, czego nie podano do wiadomości publicznej?

– Nie... – Colman niechętnie potrząsnął głową. – Zbyt tego wiele, by teraz opowiadać. Niech...

Przerwał mu sierżant SS, stojący za plecami Lesleya. – Już są, sir. Transportery przejeżdżają przez służę. – Obejrżeli się i ujrzeli pierwsze wozy wyładowane żołnierzami, wielu z nich w skafandrach i z bronią w rękach. Wagony zwalniały między wrotami służy i na znaki dawane machaniem znów przyspieszały bez zatrzymania. Za nimi nadjeżdżały dalsze, ich pasażerowie wyglądali groźnie i zdecydowanie. Lesley rozkazał, by kierowano je przez pozostałe trzy rampy dostawcze aż do wszystkich czterech wejść do Modułu Bojowego.

Komunikator Colmana zabręczał. Wzywał Bernard Fallows z Centrum Telekomunikacji. – Rozumiem, że wam się udało powiedział. – Ale to nie koniec. Dowiedzieliśmy się, gdzie jest Sterm.

– Ja też – odrzekł Colman. – I jest gorzej, niż myśleliśmy. W tej chwili przygotowuje atak raketowy. Celem ma być *Kuan-yin*.

Bernard ponuro kiwnął głową, ale jego mina nie wyrażała strachu, którego można było oczekiwać. Było jasne, że już nieomal spodziewał się takiej wiadomości. – Borfontein sprawdzał tę ewentualność – powiedział. – Mamy jeszcze czterdzieści minut, zanim *Kuan-yin* zajdzie za planetę. Sterm wcześniej nie odpali raket.

– Czy Chirończycy pozwolą mi tak długo czekać? – spytał Colman. – Czy wiedzą, gdzie on jest i co to oznacza?

Bernard potrząsnął głową. – Nie. Jesteśmy z nimi w kontakcie, ale Wellesley postawił veto co do wszelkich informacji na ten temat. – Colman kiwnął głową. On też by nie ryzykował możliwości sprowokowania ich do wcześniejszego otwarcia ognia. Wellesley próbował skontaktować się także z Modułem Bojowym – kontynuował Bernard – ale Sterm nie chciał rozmawiać. Doszliśmy do wniosku, że będzie trzymał Moduł połączony ze statkiem, aż do ukończenia ataku – innymi słowy, jeśli mu się nie uda i zostanie zniszczony, my też będziemy zniszczeni. I tak samo będzie, jeśli Chirończycy zdecydują się nacisnąć guzik. Trzeba zakładać, że Sterm rozpoczął czterdziestominutowe odliczanie wsteczne. Są tam już w drodze Hanlon i Armley, a Sirocco wyruszył parę minut temu. Borfontein wysyła do was wszystkie siły, jakie udaje mu się skądkolwiek wyskrobać. Jakie są szanse?

Przez służę prześlizgnął się transporter pełen piechoty w skafandrach bojowych, trzymającej wyrzutnie raket przeciwpancernych i materiały minerskie, i pomknął po torach, prowadzących do jednej z dziobowych ramp Modułu Bojowego. – Ano, mamy w rękach na całej długości jedną z ramp dostawczych i wchodzimy do pozostałych – odrzekł Colman. – W Module Bojowym było starcie i masa chłopaków wydostała się na zewnątrz. Miejmy nadzieję, że nie zostało ich tyłu w środku, by nam mogli przeszkodzić w wysadzeniu wszystkich czterech wejść naraz. Powiedz tylko Borfonteinowi, by przysyłał nam całą ciężką broń, jaką znajdzie, i to jak najszybciej.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY ÓSMY

Kapitan SS dowodzący obroną Wrót Wejściowych Numer Dwa w Module Bojowym cofnął swą wysuniętą sekcję od śluzy, gdy środek drzwi wewnętrznych zaczął się rozpalać do wiśniowej czerwieni. Obrońcy nałożyli skafandry, rozhermetyzowali przedziały przyległe do wrót i zamknęli grodze do wewnętrznych części Modułu. Ze stanowiska obserwacyjnego za pancerną szybą pokoju sterowania służą wychodzącą na wrota, kapitan widział pierwszą ze zdalnie sterowanych armat automatyczny, toczącą się z wnętrza.

– Pośpieszcie się z tymi SAA! – wrzasnął do mikrofonu wewnątrz hełmu – Sekcja Żółta, zając pozycję obronną. Zielona i Czerwona, przygotować się do wycofania do śluz w grodzach podłużnych.

– Musisz się trzymać do ostatniego człowieka – odezwał się z jednego z ekranów kontrolnych pułkownik Oordsen, który śledził rozwój wydarzeń z Mostka. – Jesteśmy prawie gotowi do odcumowania Modułu.

– Będziemy. Jeżeli tak trzeba, sir – zapewnił go kapitan.

Nagle cała konstrukcja śluzy eksplodowała do środka, trafiona salwą rakiet przeciwpancernych z kruszącymi głowicami wybuchowymi. Chociaż nie było tam przewodzącego dźwięk powietrza, zatrzęsły się ściany i podłogi. Kilku obrońców zostało pogrzebanych pod rumowiskiem, jeszcze więcej padło od salwy granatów odłamkowych, wystrzelonej w sekundę później przez dziurę, gdzie przed chwilą była śluza. Pozostali otworzyli ogień do posuwających się naprzód przez szczątki zewnętrznej kopuły sylwetek w skafandrach. Jedna SAA stanęła sztorcem i zaplątała się w resztkach bramy śluzowej. Druga manewrowała, próbując ją okrążyć. – Sekcja Czerwona, wycofać się na drugą linię obrony! – ryknął kapitan. – Broniąc...

Kolejna salwa rakiet wleciała do środka i wybuchła na ścianach i konstrukcjach w głębi komory śluzowej, zmiatając połowę oddziału, który właśnie zaczął się wycofywać. Pozostali przy życiu, zataczając się wśród szczątków, zaczęli osuwać się i padać pod gradem pocisków eksplodujących i skoncentrowanym ogniem z M32 i działek okopowych piechoty. To, co zostało z formacji obronnej, załamało się i rzuciło do bezładnej ucieczki. – Wyprowadzić wszystkich! Wycofać się do... – Szyba pancerna rozprysła się pod bezpośrednim trafieniem i do środka błyskawicznie wleciała zdalnie sterowana bomba z pięciusetfuntową głowicą zapalającą, kładąc kres jakiegokolwiek oporowi w rejonie Rufowowych Wrót Wejściowych Numer 2.

Pułkownik Oordsen na Mostku w Module Bojowym odwrócił twarz od ekranu, który właśnie przed nim zgasł. Na sąsiednim inny oficer SS składał meldunek sytuacyjny z wewnętrznej pozycji obronnej przy grodzie podłużnej. – Rufowe Numer Dwa nie istnieją – powiedział Oordsen Stermowi, przyglądającemu cię z zaciętą twarzą. – Za parę minut będą tu w środku.

– Ile do przejścia *Kuan-yin* za tarczę? – zapytał Sterm, patrząc na Stormbela, kierującego operacją odcumowania. Miał zamiar wykorzystać *Mayflowera II*, póki nie zostanie rozpoczęty atak. Ale niespodziewana utrata reszty statku, w połączeniu ze zdrazieckim przejściem Lesleya na stronę nieprzyjaciela i wdarciami się oddziałów szturmowych do wnętrza Modułu Bojowego, zmusiła go do zmiany kolejności działań. Nie miałyby sensu niszczenie *Kuan-yin*, gdyby równocześnie miał stracić Moduł Bojowy.

– Osiem minut – odpowiedział Stormbel. – Ale jej misa odrzutowa nadal nie jest na nas skierowana. Jesteśmy już gotowi do odcumowania.

– Czy jesteś pewien, że możemy bezpiecznie dotrzeć do ukrycia za Chironem?

– *Kuan-yin* nie będzie zdolna do natychmiastowego manewru – odpowiedział Stormbel. – Dając maksymalne przyspieszenie dla wyprzedzenia *Mayflowera II* natychmiast po odcumowaniu,

znajdziemy się za, planetą na długo, nim *Kuan-yin* będzie w stanie wycelować. A potem możemy wejść na trwałą orbitę przeciwległą do średnicy.

– Wrota Dziobowe Numer Jeden poddały się – powiedział zduszonym głosem Oordseo po odebraniu kolejnego meldunku. – Ogień w tym rejonie ustał. Nickalson wyprowadza swych ludzi na zewnątrz, z rezerwą włącznie. Nie mamy wyboru.

Sternowi zapłonęły oczy. – Żądam prowadzenia dokładnego rejestru wszystkich oficerów, którzy zdezerterowali – przypomniał Stormbelowi. – Tych w Centrum Rządowym, tego w Vandenberg, Lesleya w Heksagonie, tego tutaj wszystkich. – Mówił głosem spokojnym i lodowatym, lecz przez to jeszcze groźniejszym. Odpowiedzą za to, gdy nadejdzie czas. Generale, natychmiast odczepić Moduł Bojowy i przystąpić do operacji zgodnie z planem.

Stormbel przekazał rozkaz i gdy odpaliły silniki pomocnicze, Moduł Bojowy zaczął wyslizgiwać się z uchwytu słupów podtrzymujących. Zgrzyt poskręcanej stali, szorującej po zewnętrznej części kadłuba, rozległ się w jego rufowej części, gdy jedna z ramp dostawczych. – z których żadnej nie zdążono wciągnąć, najpierw się zgięła, a potem przełamała. Rampa pękła podłużnie na pół, na wysokości sekcji utrzymywanej pod normalnym ciśnieniem, wysypując w przestrzeń ludzi i sprzęt. Szczęśliwcy ubrani w skafandry mogli mieć nadzieję, że zostaną namierzeni według sygnałów alarmowych z ich nadajników. Pozostałym nie starczyło czasu, by mieć nadzieję, nim ich ciała eksplodowały.

– Gdy wrócimy, będzie to całkiem inna historia – powiedział Stern do swej świty na Mostku, gdy zapalił główny silnik Modułu i dał się odczuć skok do przodu i dalej od dziobu *Mayflowera II*. – Ale przede wszystkim musimy się załatwić z naszymi chirońskimi... przyjaciółmi. Jakie wiadomości o *Kuan-yin*?

– Nie zaczęła się jeszcze przygotowywać do odpowiedzi odrzekł Stormbel po raz pierwszy od wielu godzin z ulgą w głosie. – Może mimo wszystko udało nam się ich zaskoczyć. Rzucił okiem na cyfry na displeju orbity i projekcji kursowej.

Stern wolno pokiwał głową z satysfakcją. – Znakomicie. Myślę, dżentelmeni, iż zgodzicie się, że uzyskaliśmy niewzruszoną pozycję przetargową.

W Centrum Telekomunikacji *Mayflowera II* Borfontein, Wellesley i inni koordynatorzy działań na całym statku i na powierzchni planety przyglądali się w napięciu pandemonium widocznemu na ekranach dokoła. Sylwetki w skafandrach wylatywały po spirali z potrzaskanych resztek jednej z ramp dostawczych i z otwartych trzech pozostałych wewnątrz kopuły; wszystkie nosiły ślady walki, a jedna była częściowo wysadzona w powietrze. Wysypywały się z nich we wszystkich kierunkach części uzbrojenia, wyposażenia i różne szczątki. Wszędzie wisieli żołnierze w skafandrach, beznadziejnie zaplątani w zwoje lin ratowniczych.

– Każ startować wszystkim transporterom osobowym, pojazdom technicznym, promom i w ogóle wszystkiemu, co może latać – warknął Borfontein do jednego z oficerów. – Weź je z Vandenberg i stąd, gdziekolwiek są. Żądam, by ci ludzie zostali uratowani, wszyscy co do jednego. Peterson, powiedz admirałowi Slessorowi, by wszystkie promy powierzchniowe zostały postawione w gotowość startową na wypadek, gdybyśmy musieli ewakuować statek. I dowiedz się, ile ich jeszcze możemy dostać z Canaveral.

– Wiceadmirał Crayford zgłasza się z Vandenberg, sir! zawołano.

– Major Lesley zgłasza się z dziobu, sir.

– Moduł Bojowy utrzymuje szybkość i kurs i wkrótce skryje się za horyzontem *Kuan-yin*.

Niedaleko od Borfonteina Wellesley i Lechat rozmawiali przez wielki ekran z Chirończykami Ottonem i Chesterem. Za nimi, przy konsoli jednego z monitorów Centrum, Bernard, Celia i jeden z teletechników śledzili dwa mniejsze ekrany. Jeden ukazywał twarz Kath, drugi widok zamieszania panującego wewnątrz tego, co zostało z kopuły rampy dostawczej.

Na tym drugim Hanlon, w skafandrze z czarnymi plamami spalenizny, uczepony na pierwszym planie do resztek konstrukcji stalowej, powyginanej i wystającej w pustą przestrzeń, ciągnął wolną ręką dwie splątane liny. Za nim żołnierze wciągali do potrzaskanej kopuły jakieś postacie i pomagali im wdrapać się do wejścia rampy dostawczej. – Myślę, że teraz to jest ten, o kogo chodzi – rozległ się głos Hanlona z głośnika koło ekranu. – A, tak... trochę zużyty, ale niedługo będzie jak nowy. – Szarpnął liny po raz ostatni i na obrazie ukazała się druga postać. Bernard i Celia westchnęli z ulgą, rozpoznawszy pod wizjerem w hełmie skafandra rysy Colmana, zlanego potem, ale nie pokaleczonego. Colman przywarł do części konstrukcji, na której siedział Hanlon, odczepił swą linkę bezpieczeństwa i wyplątał z innej, po czym pomógł Hanlonowi ciągnąć ją. Ukazała się druga postać w skafandrze, tym razem do góry nogami, z puciołowatą, zatroskaną twarzą, której jakimś cudem udało się utrzymać przekrzywione skośnie na nosie okulary z grubymi szklami.

– Hanlon go ma – powiedział Bernard do ekranu Kath. Wygląda, że z nim wszystko w porządku. Mają też Swyleya. Też wygląda okay.

Kath z wdzięcznością zamknęła na chwilę oczy, następnie odwróciła się do Weroniki, Adama, Caseya i Barbary, którzy byli poza polem widzenia. – Znaleźli Steve'a. Nic mu nie jest.

Z tyłu za Bernardem i Celią Lechat rozmawiał z Ottonem. Wszystkie bronie strategiczne są w Module. Reszta statku nie stanowi żadnej groźby.

– Jesteśmy tego świadomi – odrzekł Otto.

– Musieliśmy spróbować – tłumaczył stojący obok Lechata Wellesley. – Nie mogliśmy podjąć ryzyka informowania was, że tego rodzaju ludzie przejęli kontrolę nad bronią. Tę decyzję podjąłem ja i nikt inny.

– Sądzę, że postąpiłbym tak samo – odparł Otto.

W tym momencie naczelnik Telekomunikacji zawołał: – Mamy transmisję z Modułu Bojowego! – W jednej chwili w całym Centrum Telekomunikacji zapadła cisza, a na jednym z wielkich ekranów wysoko nad podłogą ukazały się postacie Sterma i Stormbela w otoczeniu wyższych oficerów ich dowództwa. Sterm był chłodny i opanowany, ale miał w oczach drwiący, triumfalny błysk; Stormbel stał na rozstawionych nogach z rękami założonymi na piersi, głową podniesioną i twarzą bez wyrazu. Inni oficerowie patrzyli nieruchomo przed siebie. Po paru sekundach Wellesley, Lechat i Borfontein wyszli na środek sali i stanęli, spoglądając na ekran.

Twarz Celi, patrzącej na Sterma, zmieniła się w sztywną, bezkrwistą maskę. – Mamy czynny kanał z Modułu Bojowego szepnął Bernard do Kath.

– Wiem – odpowiedziała. – Jest też połączony z Ottonem i Chesterem przez jeden z naszych satelitów przekaźnikowych. Połączenie jest trójstronne.

– Niezła próba, Wellesley – odezwał się Sterm z wielkiego ekranu. – Mimo wszystko jestem zmuszony pochwalić cię za twą zaskakującą pomysłowość. Fatalnie jednak dla ciebie, obecnie widać, że było to daremne. – Odwrócił wzrok w kierunku poza kadrem, zapewne do displeju ukazującego Ottona i Chestera. I także fatalnie dla was, obawiam się, bo dawno już wydedukowaliśmy, na czym polega tajemnica *Kuan-yin*.

– Bernard – odezwała się spokojnie Kath z ekranu na konsoli. Odwrócił się i spojrzał na nią. – Tak?

– Niektóre z segmentów *Mayflowera II* mają świetliki dachowe z zewnętrznymi stalowymi

okiennicami, prawda? – rzekła Kath. Bernard zmarszczył czoło, nic nie pojmując. – Tak... Czemu... Co...?

Głos Kath był nadal przyciszony, ale stał się teraz nalegający. Spowoduj, by wszystkie zostały z całą pewnością zamknięte. Zrób to zaraz.

Zaskoczony Bernard potrząsnął głową i chciał pytać dalej.

– Proszę to zrobić – przerwała mu Kath. – Może nie być wiele czasu.

Bernard gapił się na nią jeszcze przez chwilę, po czym skinął głową i spojrzał na siedzącego obok Celi teletechnika. – Czy możecie mnie stąd połączyć z admirałem Slessorem? – Operator potwierdził i pochylił się do konsoli, wystukując kod.

Ze środka sali zapytał Wellesley: – Czego chcesz?

– Dobrze – kiwnął głową z aprobatą Sterm. – Dostrzegam tu skłonność do współpracy. – Zwrócił się w stronę Chirończyków: – Zakładam więc, że zaczynamy się rozumieć.

– Słuchamy – odpowiedział bezbarwnym głosem Otto.

– Być może będzie korzystne, jeśli streszczę obecnie istniejącą sytuację – zaproponował Sterm. – Dysponujemy kompletnym arsenałem strategicznym, którego potęgi nie muszę wam opisywać, a jedyna broń, zdolna się nam przeciwstawić, jest obecnie zneutralizowana. Z drugiej zaś strony, nasza zdolność zaatakowania

Kuan-yin jest nie naruszona i pewien jestem, że doszliście już do wniosku, iż można ręczyć za jej zniszczenie. Trzymamy pod ostrzałem całą powierzchnię Chirona, *Mayflower II* stał się bezbronny, a implikacje tych faktów są oczywiste.

Sterm przerwał na parę sekund, by sens jego słów dotarł w pełni do słuchaczy, następnie zrobił mały ruch dłońmi, jakby chciał podkreślić beznadziejność sytuacji swych rozmówców. – Ale nie jest moim pragnieniem, by niszczyć cenne zasoby, z których zmarnowania nie odniósłby nikt z nas pożytku. Nie muszę prowadzić układów, ponieważ siła jest wyłącznie po mojej stronie, ale jednak jestem skłonny się układać. W zamian za uznanie mego zwierzchnictwa i lojalność ofiarowuję wam opiekę tej siły. Jestem w mocy stawiania nieograniczonych żądań, ale zdecydowałem coś wam zaofiarować. Jak więc widzicie, podchodzę do was wspaniałomyślnie.

– Admirał Slessor – szepnął teletechnik do ucha Bernardowi. Bernard potwierdził ruchem głowy i pochylił się, by mówić po cichu do człowieka, który ukazał się na pomocniczym ekranie. To jest pilne, admirale. Proszę spowodować, aby wszystkie okiennice zewnętrzne na górnych świetlikach zostały natychmiast zamknięte.

Slessor rozpoznał Bernarda jako jednego z byłych pracowników Merricka. – Dlaczego? – zapytał zdumiony. – Co pan tam robi... Fallows, o ile się nie mylę?

– Nie wiem dlaczego, ale to jest ważne... wiadomość od Chirończyków.

Slessor jeszcze bardziej zmarszczył czoło. Zawahał się, myślał przez chwilę i wreszcie ustąpił. – Dobrze, każę to zrobić. – Znikł z kadru.

– To dziwna propozycja – powiedział Otto do Sterma. Ofiarowuje pan obronę, ale jedyna obrona, której ktokolwiek by potrzebował, byłaby w pierwszym rzędzie przed panem. Bo przecież przed chwilą powiedział pan nam, że dysponuje całą bronią. Pana pojęcie logiki wydaje mi się dziwne.

Pierwszy raz przez twarz Sterma przeleciało coś na kształt gniewu. – Zalecałbym panu niewykorzystywanie tej rozmowy jako okazji do demonstrowania swej pomysłowości – ostrzegł. Przerwał na chwilę, by ochłonać. Następnie przemówił wolniej. Ziemia rozdzielana jest na części, ponieważ nie udało się jej wydać silnego przywódcy, który by zmiażdżył – Sterm podniósł dłoń i ścisnął ją w pięść przed swą twarzą – drobne rywalizacje i zazdrości, które przez całą historię

ludzkości niweczą każdą szansę ujawnienia się w pełni potencjalnej wspaniałości kolektywnej jedności i mocy. Ziemia zawsze była w zamęcie, ponieważ odziedziczyła w spadku chaos na skalę globalną, przeciw któremu wysiłki najzdolniejszych nawet jej organizatorów były daremne. Czy takiej przyszłości pragniecie dla Chirona?

Tej planecie dotychczas udawało się unikać takiego losu; ale jej ludność będzie wzrastać. Ma ona dziś szansę skorzystania z nauk Ziemi i zasiania ziarna silnego, zjednoczonego i niewzruszonego porządku teraz, zanim jeszcze zaraza rozbicia zakiełkuje i stanie się trująca. Te same siły, które rozpętały się na Ziemi, są oddalone tylko o dwa lata od Chirona w postaci przedniej straży Federacji Wschodnioazjatyckiej. Za dwa krótkie lata staniecie przed wyborem: albo poddanie się dominacji tych, którzy zniewolą tę planetę, albo przeciwstawienie się im zjednoczoną siłą, która uczyni Chirona niezdobytym. Stoicie przed wyborem: słabość lub siła, służalczość albo godność, niewolnictwo albo wolność, upodlenie lub honor, hańba lub duma. Siła lub słabość. Ofiarowuję wam drugie z tych rozwiązań.

Spojrzenie Sterma zabłysło wizjonerskim światłem, zaczął szybciej oddychać. – Stworzę z tego świata potęgę, jakiej Ziemia nigdy nie osiągnie – niezdobytą fortecę, do której nawet cała flota statków FWA nie będzie śmiała się zbliżyć. Zbuduję dla was tu na Centauri pierwsze imperium gwiazdne, jeden zjednoczony lud pod przywództwem jednego wodza... zjednoczony wolą, zjednoczony czynem i zjednoczony celem. Słabi nie będą już musieli walczyć ze słabymi o przeżycie. Słabych obroni siła płynąca z tej jedności i dzięki jedności ci silni, którzy ich obronią, staną się niezwyciężeni. To... właśnie to ofiarowuję, by stało się waszym udziałem.

– Czy ta obrona różni się czymkolwiek od dominacji FWA, która jakoby powinna nas niepokoić? – zapytał Chester.

Sterm był niezadowolony z odpowiedzi. – Zabezpieczenia waszej planety nie wolno mylić z zaspakajaniem ambicji podboju odrzucił.

Otto potrząsnął głową. – Jeśli Ziemia rozdierana jest na części, dzieje się to dlatego, że jej ludność pozwoliła sobie uwierzyć w takie same samospełniające się proroctwa, jak te, które pan nam proponuje przyjąć, panie Sterm. Ale my je odrzucamy. Nie potrzebujemy od pana większej obrony przeciw ludziom ze statku FWA, niż oni od swoich Stermów, by ich bronili przed nami. Tego rodzaju siła nie jest nam potrzebna. Jeśli sąsiedzi muszą fortyfikować swoje domy przed sąsiadami, czy to jest siła, czy paranoja? Musi się pan czuć bardzo niepewnie, chcąc ufortyfikować cały system gwiazdny.

Sterm zacisnął wargi w ponurą, zwróconą kątami w dół linię. – Dla FWA podbój jest dogmatem – powiedział. – Nie rozumie ona innego języka, jak język siły. Nie możecie mieć nadziei na stosunki z nimi na jakiegokolwiek innej płaszczyźnie.

– Wręcz przeciwnie, proszę pana, oni rozumieją ten język ten sam język, którym ludzie wszędzie rozmawiają – powiedział Chester. – Będziemy postępować z nimi w taki sam sposób, jak już postąpiliśmy z wami.

– A cóż to właściwie ma znaczyć? – zagrział Sterm.

Otto uśmiechnął się niewesoło. – Niech pan spojrzy na tę garstkę szaleńców wokół siebie – zaproponował. – Co się stało z ludźmi? Gdzie się podziała pańska Armia? Wszyscy oni są już

Chirończykami. I nie ma im pan nic do ofiarowania, prócz obrony przed strachem, który by pan chciał sfabrykować w ich umysłach. Ale ich umysły są chirońskie. Widzą, że ten strach jest pana strachem, nie ich, i że to pan potrzebuje obrony, nie oni.

Twarz Sterma stężała. Widać było, jak zadrżał, siląc się, żeby opanować wściekłość. – Byłem skłonny do układów – wychrypiał. – Jest oczywiste, że nie udało nam się wykazać wam powagi

naszych intencji. Doskonale, nie zostawiacie mi wyboru. Może więc, by was przekonać, posłuży demonstracja. – Zwrócił się do Stormbela: – Generale, proszę podać stan rakiety wycelowanej obecnie w chirońską stację naukową w północnej Selene.

– Uzbrojona i gotowa do natychmiastowego odpalenia odpowiedział monotonnym głosem Stormbel. – Zaprogramowana na wybuch w powietrzu, dwa tysiące stóp nad celem, który osiągnie w ciągu trzynastu minut. Głowica dwadzieścia megaton, niewyłączalna i nierozbrajalna po odpaleniu.

– Wasza ostatnia szansa do zrewidowania stanowiska – powiedział Sterm, patrząc z ekranu.

– Nie mamy nic do rewidowania – odrzekł spokojnie Otto. Twarz Sterma pociemniała, usta wygiął paskudny grymas. Opadła z niego cienka powłoka dobrych manier, oczy się rozszerzyły i przez moment, nawet z oddalonego miejsca, gdzie siedział, Bernard poczuł, że przenika w samą głąb umysłu pogrążonego w otchłani obłędu. Mimo woli zadrżał. Siedząca obok Celia chwyciła go za ramię.

– Generale – rozkazał Sterm. – Odpalić raketę za sześćdziesiąt sekund.

Stormbel dał znak komuś w głębi i ogłosił: – Sześćdziesięciosekundowe odliczanie wsteczne rozpoczęte.

– Odliczanie może zostać zatrzymane w każdej chwili poinformował ich Sterm.

Wellesley, Borfontein i Lechat stali bezsilnie jak skamieniali na środku sali. – On to robi – szepnęła przerażona Celia do Bernarda.

Bernard potrząsnął głową w niemym proteście i odwrócił oczy do ekranu, na którym nadal widniała Kath. – Nie możecie na to pozwolić – powiedział błagalnie. – Tam w Selene są wasi ludzie. To dopiero pierwszy przykład. Później będzie gorzej.

– Nie zamierzamy na to pozwolić – odrzekła Kath. – Ale musicie. Cóż możecie zrobić, by to zatrzymać? – Już sam w znacznej mierze do tego doszedłeś.

Bernard znowu potrząsnął głową. – Nie rozumiem, co mówisz. *Kuan-yin* nie może dać skutecznie ognia. Jest za horyzontem Modułu Bojowego.

– Tak czy inaczej nie mogłaby dać ognia – odpowiedziała Kath. – Jej przebudowa nie jest ukończona. Jużemy wam o tym mówili.

Bernard patrzył na nią w zamruczeniu. Nic się już nie zgadzało. – Ale... jej napęd na antymaterię... to przecież wasza broń, prawda?

– Nigdyśmy tego nie twierdzili – odrzekła Kath. – To wyście tak przypuszczali. A także Sterm. – Bernard patrzył na nią z otwartymi ustami, zaczynając pojmwować ogrom znaczenia tego, co powiedziała. Wyraz twarzy Kath był poważny, ale w oczach miała leciutkie błyski ironii. – Trudno byłoby nam zataić naszą pracę naukową – powiedziała. – Musiała tak wyglądać, jakby służyła jakiemuś uzasadnionemu celowi. Napęd na antymaterię wyglądał odpowiednio. Ale przebudowa *Kuan-yin* jest bardzo daleko na naszej liście priorytetów.

Bernard niedowierzająco otworzył oczy. – Ale jeśli *Kuan-yin* nie jest ukończona, skąd się wziął krater na Remusie?

– Dokładnie tak, jak odpowiedział Jeeves na pytanie Jaya – wypadek z magnetycznym systemem magazynowania antymaterii; słusznie więc zdecydowaliśmy składować ją bardzo daleko od Chirona. Trudno byłoby go ukrywać po tym, co się wydarzyło, był to więc jeszcze jeden powód, dla którego potrzebna nam była *Kuan-yin*.

– My... my nigdyśmy nie uwierzyli w tę historię – powiedział słabym głosem Bernard.

– A, to już wasza sprawa. Myśmy wam powiedzieli.

Dwieście tysięcy mil stamtąd, na dzikiej, poznaczonej kraterami powierzchni drugiego księżycy chirońskiego – Romulusa, dwie olbrzymie pokrywy, których zewnętrzne powierzchnie wyglądały identycznie jak utaczający je teren, rozsunęły się z wolna, ukazując wylot dwustustopowej średnicy i dwumilowej głębokości szybu, wydrążonego w litej skale. Bateria pierścieni akceleracyjnych – w komorach otaczających dno szybu była już nabita gęstymi strumieniami antimaterii, krążącej niemal z szybkością światła.

Komputer synchronizujący wydał polecenia i pierścienie akceleracyjne zaczęły się kolejno rozładowywać po stycznej, tworząc skoncentrowany promień natychmiastowej anihilacji, wybiegający w przestrzeń kosmiczną przez gigantyczne zwoje odchylające, sterowane danymi napływającymi z chirońskich satelitów śledzących.

Promień przeciął przestrzeń w czasie niewiele dłuższym od jednej sekundy do miejsca, w którym Moduł Bojowy stał na orbicie nad Chironem. Na niebie wybuchło miniaturowe nowe słońce, oświetlając nocną półkulę planety. Błysk promieniowania gamma zjonizował górne warstwy atmosfery i niebo nad Chironem rozjaśniły ciągnące się tysiącami mil błyskawice. Wszystkie czułe instrumenty pomiarów promieniowania na zewnątrz kadłuba *Mayflowera II* zastały spalone, a burza elektryczna przerwała na dwanaście godzin połączenia z powierzchnią.

ROZDZIAŁ TRZYDZIESTY DZIEWIĄTY

Wellesley stał przed fotelem Dyrektora Misji, pośrodku podwyższeni, patrząc na Salę Kongresową Centrum Rządowego *Mayflowera II* i wygłaszał swoje ostatnie przemówienie. Zrekapitulował wydarzenia od chwili przybycia Misji do układu Alfy Centauri, omówił dłużej, czego się nauczono i jakie nastąpiło od tej pory przekształcenie umysłów, złożył hołd pamięci tych, którzy oddali życie w obronie tych nauk i szczegółowo opisał możliwości, jakie przyszłość otwierała przed wszystkimi na planecie, określając ich bez względu na różnice pochodzenia, niedwuznacznie jako "Chirończyków".

Posiedzenie było transmitowane na żywo na cały statek i całą planetarną sieć telekomunikacyjną, obecni zaś na sali stanowili największe ze zgromadzeń, jakie kiedykolwiek zasiadało w Sali Kongresowej.

Wszyscy dotychczas nieobecni kongresmani z tej okazji powrócili na statek, a jedynymi nie zajętych miejscami były fotele: Zastępcy Dyrektora Misji, Dyrektora Łączności, Generała Dowodzącego Siłami Służby Specjalnej i dwóch innych, którzy podzielili los Stercna. Mając na czele Sirocco i zajmując niemal połowę wolnej przestrzeni przed ławami, była obecna w komplecie cała kompania "D" w paradnych mundurach, reprezentując Armię. Bernard Fallows zaś wystąpił w mundurze Szefa Inżynierii, na czele reprezentacji załogi, zgodziwszy się na prośbę admirała Slessora powrócić do służby na pół roku, dopomagając w organizowaniu tymczasowej załogi składającej się z uczniów z Ziemi i Chirona, dla których *Mayflower II* miał posłużyć jako uniwersytet wyższej astroinżynierii. Jean Fallows, Jay i Marie siedzieli wraz z Celią, Weroniką, Jerrym Pernakiem i Ewą Verritty w pierwszym rzędzie dla specjalnie zaproszonych gości, a wraz z nimi Kath i jej rodzina, siedzący obok Ottona, Chestera, Leona i innych z bazy w Selene, ale nie tylko stamtąd. Jakby dla podkreślenia i potwierdzenia tego, co Wellesley odmalował jako ich przyszłość, Ziemianie i Chirończycy nie dzielili się na grupy; było też wiele dzieci pochodzących z obu planet.

Wellesley zakończył oficjalne przemówienie i przez chwilę jeszcze stał, rozglądając się po sali w oczekiwaniu, aż atmosfera stanie się nieco swobodniejsza. W ostatnich dniach twarz jego odzyskała nieco naturalnych kolorów, postawa stała się bardziej wyprostowana i swobodna, wyglądał, jakby zrzucił z ramion ciężar wielu lat. Kąciaki ust miał uniesione do góry, siedzący zaś w pierwszych rzędach mogli dostrzec przelotny, niemal figlarny błysk w jego oczach.

– A teraz zostaje mi ostatnie zadanie do wykonania oświadczyć. Znów przerwał, a na sali czekano na dalszy ciąg w nastroju ciekawości i zainteresowania. Przeczowano bowiem, że nastąpi coś niezwykłego. – Czy mogę przypomnieć temu zgromadzeniu, że ogłoszenie stanu wyjątkowego nigdy nie zostało odwołane i że wobec tego na zasadzie postanowień, którym formalnie nadal jesteśmy obowiązani się podporządkować, warunki stanu zagrożenia są ciągle w mocy, wraz z przynależnym do nich zawieszeniem Kongresu i przelaniem całości jego władzy na mnie. Zdziwione miny powitały jego słowa i przez salę przebiegł szmer zaskoczenia. – Wakuje urząd Zastępcy Dyrektora Misji – przypomniał Wellesley. – W związku z tym, na mocy pełni uprawnień posiadanych przez Kongres, lecz przelanych w całości na mnie jako Dyrektora Misji, niniejszym proponuję, popieram ten wniosek i mianuję Paula Lechata Zastępcą Dyrektora, ze skutkiem natychmiastowym. – Zwrócił głowę i znad podwyższenia spojrział w kierunku, gdzie siedział, z miną co najmniej

oszołomioną, Lechat. – Gratuluję, Paul. Zechciej zająć miejsce, które ci się słusznie należy. – Pokazał ręką pusty fotel obok swojego. Lechat wstał, obszedł dookoła ławy poselskie i usiadł na miejscu Zastępcy Dyrektora, ciągle potrząsając głową w kierunku reszty kongresmanów, jakby chciał dać do zrozumienia, że sam jest nie mniej zaskoczony postępowaniem Wellesleya, niż oni. Wellesley po raz ostatni powoli obiegnął salę spojrzeniem. – Teraz zaś, na mocy tych samych uprawnień, równocześnie składam i przyjmuję własną rezygnację z funkcji Dyrektora, w związku z przejściem na emeryturę. Służenie wam wszystkim było dla mnie honorem i zaszczytem. Dziękuję. – Z tymi słowami zszedł z podwyższenia i skierował się na salę, by zająć wolne miejsce na końcu pierwszego rzędu krzeseł.

Gdy Lechat kręcąc głową w zdumieniu patrzył na dyrektorski fotel obok siebie, na sali dały się słyszeć pierwsze pomruki aprobaty i z ław deputowanych zaczęły się zrywać pierwsze oklaski. Stopniowo uświadamiano sobie, co to wszystko oznacza. Oklaski zmieniły się w owację, aż wreszcie Lechat, trochę niezdarnie, lecz z szerokim uśmiechem na rozjaśnionej twarzy, wstał i przeszedł na miejsce przed fotelem Dyrektora Misji, które na mocy postanowień o stanie wyjątkowym stało się automatycznie jego miejscem. Tego życzył sobie Wellesley, nawet jeśli czas kadencji Lechata miał być liczony tylko w minutach.

Lechat poczekał, aż hałas trochę ucichnie, a jemu uda się i dostatecznie opanować własne emocje, by z godnością sprostać próbie zachowania postawy właściwej dla tej chwili. Ale na miejscu była także prostota i zwięzłość.

– Jestem zaszczycony i wyróżniony tą nominacją i przez okres mojej kadencji postaram się zrobić najlepszy użytek z moich możliwości w służbie najlepszych interesów ludu – zapowiedział. – Zgodnie z tą obietnicą, moim pierwszym oficjalnym aktem jest przywrócenie dotychczas zawieszonych uprawnień Kongresu, drugim zaś, zakończenie z tą chwilą stanu wyjątkowego. – Ponowne oklaski, tym razem krótsze niż poprzednio, powitały jego oświadczenie. – Następnie mam dwa wnioski do przedłożenia pod głosowanie tego wysokiego zgromadzenia kontynuował Lechat. – Ale zanim to uczynię, mam wrażenie, że Najwyższy Dowódca Wojskowy Misji chciałby zabrać głos.

Usiadł, spojrzął z podwyższenia na Borfonteina i gestem wezwał generała, by przemówił jako następny.

Borfontein zdziwił się, zawahał na chwilę, po czym, zrozumiałwszy, czego chce Lechat, skinął głową. Podniósł się powoli i przez chwilę milczał, zbierając myśli.

– Jestem dumny, że uznano mnie za godnego dowodzenia oddziałami, których męstwa, zdecydowania i zdolności bojowych byliśmy wszyscy świadkami – powiedział. – Nie będę długo rozwodził się nad tym, co im zawdzięczamy, ponieważ słowa nigdy nie będą mogły wyrównać naszego długu. Wszyscy oni wywiązali się ze swych obowiązków w sposób wierny najlepszym tradycjom Służby, a wielu z nich z dzielnością daleko wykraczającą poza tej Służby wymagania. – Przerwał, a jego twarz przybrała bardziej uroczysty wyraz. – Niemniej, chociaż nigdy nie będziemy mogli tego zapomnieć i nigdy nie zapomnimy, nasze zwrócenie się ku nowej rozumnej przyszłości, która nas czeka, nie pozwala na dłuższe istnienie organizacji poświęconej sprawom należącym do świata, który wszyscy zostawiliśmy za sobą. Wobec tego cały skład osobowy Sił Zbrojnych Misji zostaje niniejszym zwolniony z dalszych obowiązków wobec dowództwa wojskowego Misji i zdemobilizowany z najwyższymi honorami, dowództwo zaś zostaje bezzwłocznie rozwiązane.

Gdy Borfontein usiadł, sala pozostała milcząca. Dla wielu Ziemian była to chwila ostatecznego zrozumienia i rezygnacji; chociaż przyszłość była obiecująca i otwierała nowe perspektywy, czekały równocześnie nowe i trudne do ogarnięcia zmiany, do których trzeba się będzie dostosować, poświęcając wiele z tego, co było dotychczas tak dobrze znane.

Lechat zostawił nieco czasu, by nastrój się rozproszył, po czym wstał ponownie. – Pierwszym wnioskiem, jaki składam jest, aby wszelkie rozszczenia, prawa i ustawy wydane uprzednio w odniesieniu do Terytorium Phoenix zostały w całości odwołane, by proklamowanie tegoż Terytorium, jako podległe jurysdykcji Kongresu zostało anulowane i by obszar dotychczas określany jako Phoenix został formalnie przywrócony pod każdym względem do swego stanu poprzedniego.

– Popieram wniosek – rozległ się natychmiast głos z sali.

– Kto za? – zapytał Lechat. Ręce wszystkich członków Kongresu uniosły się w górę. – Przeciw? – Nikt nie podniósł. Wniosek został uchwalony – ogłosił Lechat. Phoenix oficjalnie znów stał się częścią Chirona.

Lechat powoli przesuwał spojrzenie po twarzach pełnych oczekiwania. Wszyscy wiedzieli, co ma nastąpić. – Moim drugim wnioskiem jest, aby ten Kongres, w pełni przywróconej mu władzy i powagi zadeklarował swoje trwałe i nieodwołalne rozwiązanie. Wniosek uchwalono jednomyślnie.

Wyprawa na podbój Chirona była zakończona.

EPILOG

Z dziobu *Mayflowera II* znikł lej chwybaka strumieniowego, a wraz z nim obudowa generatorów pola i bliźniacze słupy podtrzymujące, poprzednio wysunięte przed Heksagon. Na ich miejsce wyrosła nowa sekcja dziobowa, kształtu zbliżonego do zakończonego kopytą cylindra, zawierająca dodatkowe hale promowe, stanowiska dla orbiterów i statków pomocniczych, ogromny kompleks rekreacyjny o niskiej grawitacji, w którym umieszczono cylindryczny basen wioślarski i pływacki, a także nowy ośrodek wyższych studiów technicznych i badań naukowych. Jeszcze większe zmiany nastąpiły na rufie, gdzie pierwotny napęd termojądrowy został wymieniony na system napędu na antymaterię, rozwinięty z prototypu wypróbowanego z powodzeniem na *Kuan-yin*, tutaj zaś rozbudowany do jeszcze większych rozmiarów.

Colman, jako kierownik prac konstruktorskich w zespole pracującym pod kierunkiem Bernarda Fallowsa, był głęboko zaangażowany w prace nad tym nowym systemem. Na statek zaprosił swą żonę Kath i ich czteroletniego syna Alexa, by byli wraz z nim świadkami uroczystości, która miała się odbyć w głównej alei nowej sekcji dziobowej. Widać było też wiele twarzy ludzi znanych sprzed pięciu lat. Przez ten czas niewielu z nich utraciło wzajemny kontakt, ale rzadko się zdarzało, by tak wielu mogło się stawić w tym samym miejscu i w tym samym czasie – z wyjątkiem ich dorocznych spotkań. Z tej okazji zgromadziła się większość kompanii "D": Sirocco z Shirley i ich córkami bliźniaczkami; Hanlon, obecnie instruktor akademii wojskowej we Franklinie, w towarzystwie Janet i ich dwojga dzieci; Driscoll, na urlopie od swego tournée pokazów magicznych – jednej z najpopularniejszych atrakcji rozrywkowych na Chironie; Stanislaw, obecnie specjalista programowania komputerów; Swyley – reżyser i producent filmów, zwykle o tematyce amerykańskiego świata przestępczego – wraz z paru pięknymi dziewczynami, otaczającymi go wszędzie, dokądkolwiek się udawał... I tylu innych... Jean Fallows kierowała programem badawczym z zakresu biochemii na uniwersytecie, na którym Pernak ciągle badał "małe wybuchy"; również Marie studiowała tam biologię. Jay, mając już lat dwadzieścia i młodego syna, zbudował dla Franklina, obecnie dużego i kwitnącego miasta, staromodną kolej żelazną, której wagony ciągnął naturalnej wielkości parowóz, stanowiący atrakcję turystyczną i ciekawostkę historyczną: każdy odwiedzający miasto musiał się nim raz przynajmniej przejechać. Weronika, czynny architekt, przybyła z Caseyem, Adamem i Barbarą. Celia odmówiła przybycia na statek, ale – oglądała ceremonię na ekranie w domu na wybrzeżu, który dzieliła z Lechatem; Wellesley zaś odbył podróż ze swej fermy w Occidencie, by ujrzeć, jak jego stary statek zostaje na nowo ochrzczony i oddany do użytku.

Niektórych z obecnych nie było tu jeszcze pięć lat temu, gdyż przybyli na statku kosmicznych FWA, inni zaś z misją europejską, – która osiągnęła Alfę Centauri w rok później. Dawniej nazywano ich Chińczykami, Hindusami, Japończykami i Indonezyjczykami albo Rosjanami, Niemcami, Francuzami, Hiszpanami, Włochami... Ale teraz byli po prostu Chirończykami. Oni również zrozumieli, że stare społeczeństwo nie może w żaden sposób dostosować się do kultury o wysoko rozwiniętej technologii, nieograniczonych zasobach i powszechnym dobrobycie, ponieważ przeszłość obciążała je zbyt wielu elementami autodestrukcji. Nowe społeczeństwo mogło zostać zbudowane tylko tak, jak zostało: latami świetlnymi przestrzeni kosmicznej oraz jedynym w swoim rodzaju dziedzictwem oddzielone od mechanizmów społecznych, przekazujących z pokolenia na pokolenie wiarę, że nienawiść, przesady, chciwość, zastraszenie, przemoc i bezmyślność są nieodłącznymi

cechami ludzkości.

W tydzień po króciutkiej kadencji Lechata jako Dyrektora, łącznie laserowe przyniosło z Ziemi wiadomości o masakrze szalejącej na całej planecie. A po tym komunikacja się zerwała i przez pięć lat nie nadszedł żaden sygnał. Niewątpliwie musiały istnieć gniazda, w którym ludziom udało się przetrwać. Ale pierwsza próba ludzkości stworzenia kwitnącej cywilizacji skończyła się porażką... Lub prawie porażką, gdyż mimo wszystko dokonano na tej drodze czegoś cennego: ludzkość podniosła się z prymitywnych, zwierzęcych początków na poziom, na którym mogły się rozwinąć wartości ludzkie, a nie zwierzęce. I rzuciła przed siebie własne nasienie, które zapuściło korzenie, wyrosło i zakwitło w słońcu odległej gwiazdy. A wtedy ludzkość umarła tak, jak umrzeć musiała.

Ale potomkowie, którzy wyrosli z tego nasienia powrócą i raz jeszcze zaludnią opustoszałą Ziemię. Za sześć miesięcy przebudowa statku zostanie zakończona i znowu zanurzy się on w próżnię, wyruszając w pierwszą powrotną podróż odkrywczą; podróż, która zabierze mniej niż jedną trzecią czasu, jaki pochłonęła droga w tę stronę. Dyrektorem Misji będzie Lechat, Fallows Szeferem Inżynierii, Adam zaś stanie na czele jednego z zespołów naukowych. Na statek wróci także Colman jako oficer Inżynierii, Kath spełni swe marzenie, by ujrzeć Ziemię, Alex zaś, w chwili powrotu na Chirona będzie już w wieku Jaya. Wiele ze starych, dobrze znanych twarzy znajduje się znów na statku, który przez dwadzieścia lat był ich domem – jednych przygnała nostalgia, innych niecierpliwość, która narastała w nich przez pięć lat życia na powierzchni planety.

Gdy skończyło się ostatnie przemówienie, oczy Kath zabłysły podnieceniem i oczekiwaniem. Wśród zebranych zapadła cisza. Wystąpił Lechat, by przeciąć wstęgę i formalnie oddać do użytku statek, którym teraz będzie dowodził. Kath ścisnęła ramię Colmana, a stojący obok nich Kulas II podniósł Alexa wysoko na rękach, by lepiej widział, jak opadają zasłony, ukazujące tablicę z brązu, na której dwustopowymi literami błyszczał napis: HENRY B. CONGREVE – nowe imię statku, który poniesie dzieci Ziemi do domu.

KONIEC